

Dla wszystkich, którzy
pokochali powieść L.M. Montgomery
Błękitny zamek

DODIE
SMITH

Zdobywam
zamek

DODIE
SMITH

Zdobywam zamek

Z angielskiego przełożyła
Magdalena Mierowska



Świat Książki

Tytuł oryginału
I CAPTURE THE CASTLE

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Redakcja
Anna Walenko

Korekta

Agnieszka Trzeszkowska-Bereza

Copyright © 1948, renewed 1976 by Dorothy Gladys Beesely

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Magdalena Mierowska, 2013

Świat Książki

Warszawa 2013

Świat Książki Sp. z o.o.

02-103 Warszawa, ul. Hankiewiczza 2

Księgarnia internetowa: Fabryka.pl

Łamanie

Laguna

Dystrybucja

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. k.a.

05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91

email: hurt@olesiejuk.pl tel. 022 721 30 00

www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-7943-340-7

Nr 90088386

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

I • ZESZYT ZA SZEŚĆ PENSÓW

I

II

III

IV

V

II • ZESZYT ZA JEDNEGO SZYLINGA

VI

VII

VIII

IX

X

III • ZESZYT ZA DWIE GWINEE

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

I • ZESZYT ZA SZEŚĆ PENSÓW



Marzec

I

Piszę, siedząc na kuchennym zlewie. To znaczy – trzymam w nim nogi; reszta mnie siedzi na blacie suszarki, którą wypościłam kocykiem naszego psa i ocieplaczem na dzbanek do herbaty. Nie mogę powiedzieć, żeby było mi naprawdę wygodnie, no i jest coś przygnębiającego w zapachu karbolowego mydła, ale tylko do tej części kuchni dochodzi jeszcze trochę światła dziennego. I wiem już, że siedzenie w miejscu, gdzie się wcześniej nigdy nie siedziało, może być inspirujące – swój najlepszy wiersz napisałam na kurniku. Ale i tak nie był to dobry wiersz. Stwierdziłam, że moja poezja jest tak zła, że nie wolno mi pisać nic więcej.

Krople z dachu padają z pluskiem do beczki na deszczówkę przy tylnym wejściu. Widok przez okno nad zlewem bardzo mnie przygnębia. Za mokrym ogrodem na dziedzińcu widać zrujnowane mury na brzegu fosy. Za fosą błotniste pola uprawne ciągną się po skraj ołowianego nieba. Powtarzam sobie, że ten cały deszcz, który pada ostatnio, jest dobry dla przyrody i wiosna wybuchnie u nas lada moment. Próbuję wyobrazić sobie liście na drzewach i dziedziniec pełen słońca. Niestety, im więcej zieleni i złota widzę oczyma duszy, tym bardziej bezbarwny wydaje mi się dzisiejszy zmierzch.

Poprawia mi się nastrój, kiedy przenoszę wzrok z okien na kuchenny ogień, bo blisko niego moja siostra Rose prasuje – mimo iż oczywiście nie może tam dobrze widzieć i szkoda by było, gdyby

przypaliła swoją jedyną koszulę nocną. (Ja mam dwie, ale jedna jest bez pleców). Rose szczególnie ujmująco wygląda w świetle rzucanym przez ogień, bo jest osobą o jasnej karnacji, ma delikatnie zaróżowioną skórę i złote włosy, bardzo jasne i lekkie jak puch. Chociaż mnie już trochę spowszedniała, to wiem, że uchodzi za piękność. Ma prawie dwadzieścia jeden lat i jest mocno rozgoryczona życiem. Ja mam siedemnaście lat, wyglądam młodziej, a czuję się starsza. Nie jestem pięknością, ale moje rysy twarzy są regularne.

Właśnie powiedziałam Rose, że nasza sytuacja jest właściwie całkiem romantyczna – dwie dziewczyny w takim dziwnym i samotnym domu. Odparła, że nie widzi nic romantycznego w tym, że siedzimy zamknięte w rozsypującej się ruinie, otoczonej morzem błota. Muszę przyznać, że nasz dom jest niezbyt odpowiednim miejscem do życia. Jednak ja go kocham. Sam dom powstał w czasach Karola II, ale został dobudowany do resztek czternastowiecznego zamku, zburzonego przez Cromwella. Cała wschodnia ściana jest częścią zamku. Są w niej dwie okrągłe wieże. Wartownia zachowała się nietknięta i odcinek starych murów pełnej wysokości łączy ją z domem. Wieża Belmonte, pozostałość jeszcze starszego zamku, nadal stoi na wzgórzu nieopodal. Jednak nawet nie spróbuję dokładnie opisać naszego niezwykłego domu, dopóki nie będę miała więcej wolnego czasu, niż mam teraz.

Prowadzę ten pamiętnik częściowo po to, by ćwiczyć świeżo poznaną metodę stenografowania, częściowo zaś po to, by uczyć się, jak pisać powieść – zamierzam opisać wszystkie osoby i przytoczyć rozmowy. Mojemu stylowi wyjdzie na dobre, jeżeli będę pisać szybko, bez długiego zastanawiania się, bo dotychczas moje opowiadania były strasznie sztywne i nieśmiałe. Kiedy raz ojciec okazał się tak dobry, że przeczytał jedno z nich, dowiedziałam się, że mój styl łączy w sobie dostojność z desperackimi próbami, żeby pisać śmiesznie. Poradził mi, żebym się zrelaksowała i pozwoliła słowom płynąć.

Chciałabym znaleźć sposób na to, żeby ojcu również płynęły

słowa. Wiele lat temu napisał niezwykłą książkę pod tytułem *Boje Jakuba* – mieszankę beletrystyki, filozofii i poezji. Książka odniosła wielki sukces, zwłaszcza w Ameryce, gdzie ojciec zarobił mnóstwo pieniędzy, jeżdżąc z odczytami na jej temat. Wydawało się wówczas, że zostanie naprawdę poważnym pisarzem. Ale przestał pisać. Mama sądziła, że było to spowodowane czymś, co się zdarzyło, kiedy miałam około pięciu lat.

Mieszkaliśmy wtedy w małym domku nad morzem. Ojciec właśnie wrócił z drugiej tury odczytów w Ameryce. Pewnego popołudnia piliśmy herbatę w ogrodzie i ojciec bardzo głośno zaczął się złościć na mamę, akurat wtedy, kiedy miał kroić ciasto. Wymachiwał nożem do ciasta w jej stronę tak groźnie, że nadgorliwy sąsiad przeskoczył płot, by interweniować, i został powalony. Ojciec wyjaśnił w sądzie, że zabijanie kobiety srebrnym nożem tak, by zapłować ją na śmierć, wymagałoby zbyt długiej i mozolnej pracy, no i został całkowicie oczyszczony z zarzutu jakiegokolwiek intencji zamordowania mamy. Cała sprawa wydawała się wszystkim bardzo śmieszna, tylko sąsiad wcale nie był ubawiony. Ale ojciec popełnił błąd: okazał się zabawniejszy od sędziego, a że nie ulegało wątpliwości, iż poważnie uszkodził sąsiada, to został posłany do więzienia na trzy miesiące.

Kiedy wyszedł, był miły jak zawsze – a nawet miłszy, bo miał o wiele lepszy nastrój. Ale poza tym mnie wcale nie wydawał się zmieniony. Jednak Rose pamięta, że już zaczął stronić od ludzi – wtedy właśnie wynajął na czterdzieści lat ten zamek, wspaniałe miejsce do bycia odludkiem. Po wprowadzeniu się miał zacząć nową książkę. Ale czas mijał i nic się nie działo, aż zdaliśmy sobie sprawę, że zrezygnował i nawet nie próbuje pisać – i od lat nie chce rozmawiać o takiej możliwości. Większość czasu spędza w pokoju wartowni, gdzie zimą jest lodowato, bo nie ma tam kominka; kuli się tylko koło piecyka naftowego. O ile się orientujemy, nie robi nic innego poza czytaniem powieści detektywistycznych z wiejskiej biblioteki. Przynosi mu je panna Marcy, bibliotekarka i nauczycielka. Bardzo go podziwia i mawia, że „jest mu bardzo

ciężko na duszy”.

Osobiście nie wiem, jak może się zrobić „bardzo ciężko na duszy” zaledwie po trzech miesiącach więzienia – w każdym razie w przypadku gdy człowiek ma tyle energii, ile miał ojciec; a wydawało się, że miał jej jeszcze dużo, kiedy go wypuszczono. Ale teraz już mu się wyczerpała, a jego nietowarzystwo stała się prawie chorobą. Często myślę, że wolałby nie spotykać nawet domowników. Cała jego naturalna wesołość znikła. Czasami udaje fałszywą pogodę ducha, co mnie krępuje, ale zazwyczaj jest albo ponury, albo drażliwy – chyba wolałabym, żeby wpadał w złość, jak kiedyś. Och, biedny ojciec, on naprawdę zasługuje na współczucie. Mógłby przynajmniej popracować trochę w ogrodzie. Zdaję sobie sprawę, że nie kreślę tu sprawiedliwego obrazu ojca, ale uchwycę go później.

Mama zmarła osiem lat temu z zupełnie naturalnych przyczyn. Myślę, że musiała być tajemniczą osobą, bo moje wspomnienia o niej są bardzo mgliste, a ja raczej świetnie wszystko pamiętam. (Doskonale pamiętam wypadek z nożem do ciasta: uderzyłam leżącego sąsiada swoją małą drewnianą łopatką. Ojciec zawsze mówi, że za to dostał dodatkowy miesiąc).

Trzy lata temu (albo może cztery? Wiem, że jedyny towarzyski zryw ojca nastąpił w 1931 roku) została nam przedstawiona nasza macocha. Byłyśmy bardzo zaskoczone. To słynna modelka malarzy, która twierdzi, że na chrzcie dano jej imię Topaz. Nawet jeżeli to prawda, nie ma takiego prawa, które zmuszałoby kobietę, by przy takim imieniu pozostać. Jest bardzo piękna, z masą włosów tak jasnych, że prawie białych, i całkiem niezwykłej bladości. Nie stosuje makijażu ani nawet pudru. W Tate Gallery są dwa obrazy z nią: Macmorrisa zatytułowany *Topaz w nefrytach*, gdzie ma wspaniałe nefrytowe naszyjnik; drugi, H.J. Allardy’ego, prezentuje jej akt na starej sofie wypchanej końskim włosiem, która – jak mówi Topaz – była bardzo kłująca. Nazywa się to *Kompozycja*; ale Allardy namalował ją jeszcze bledszą, niż jest, i *Dekompozycja* lepiej by pasowało.

W rzeczywistości nie ma nic niezdrowego w bladej Topaz; ona po prostu wygląda, jakby należała do jakiejś nowej rasy. Ma głęboki głos – to znaczy mówi udawanym niskim głosem. Należy to do jej artystycznej pozy, razem z malowaniem i grą na lutni. Ale jej dobroć jest zupełnie nieudawana, jak również jej gotowanie. Bardzo, bardzo ją lubię – miło jest to pisać, kiedy ona właśnie pojawia się na kuchennych schodach. Ma na sobie odwieczną pomarańczową suknię popołudniową. Jej jasne proste włosy spływają po plecach do pasa. Zatrzymała się na najwyższym schodku i powiedziała: „Och, dziewczęta...” z aksamitną intonacją każdego słowa.

W tej chwili siedzi na stalowym trójnogu i wygarnia popiół. Różowe światło sprawia, że wygląda bardziej zwyczajnie, ale ślicznie. Ma dwadzieścia dziewięć lat i miała dwóch mężów przed naszym ojcem (nigdy się o nich dużo nie dowiemy), wydaje się jednak bardzo młoda. Może dlatego, że jej twarz ma taki nieodgadniony wyraz.

W kuchni jest teraz przepięknie. Ogień płonie równo za kratkami pieca i w okrągłym otworze na płycie, skąd zostały zdjęte fajerki. Sprawia, że pobielone ściany są różowe, a ciemne belki sklepienia matowozłote. Najwyższa belka znajduje się mniej więcej trzydzieści stóp nad ziemią. Rose i Topaz są jak dwie małe figurki w wielkiej jarzącej się jaskini.

Rose przysiadła na osłonie paleniska i czeka, aż żelazko się zagrzeje. Wpatruje się w Topaz z wyraźną niechęcią. Często potrafię powiedzieć, co myśli Rose, i założyłabym się, że teraz zazdrości Topaz jej pomarańczowej sukni popołudniowej i nie cierpi swojej kusej, starej bluzki i spódnicy. Biedna Rose nienawidzi większości rzeczy, które ma, i zazdrości większości rzeczy, których nie ma. Prawdę mówiąc, ja jestem równie niezadowolona, ale aż tak nie zwracam na to uwagi. W tej chwili, patrząc na nie obydwie, czuję się bezgranicznie szczęśliwa; wiem, że mogę dołączyć do nich tam w cieple, a jednak pozostaję tu w chłodzie.

Ojej. Właśnie odbyła się tam mała scena. Rose poprosiła Topaz, by pojechała do Londynu zarobić trochę pieniędzy. Topaz

odpowiedziała, że nie uważa, żeby gra była warta świeczki, bo życie jest tam bardzo drogie. To prawda, że nie udaje jej się nigdy zaoszczędzić więcej niż na parę prezentów dla nas – jest niezwykle szczodra.

– Dwóch malarzy, którym pozuję, przebywa za granicą – mówiła dalej – a ja nie lubię pracować dla Macmorrisa.

– Dlaczego? – zapytała Rose. – Przecież on płaci lepiej od innych, prawda?

– No i powinien, biorąc pod uwagę, jaki jest bogaty – powiedziała Topaz. – Ale nie lubię mu pozować, bo on tylko mnie portretuje. Wasz ojciec uważa, że malarze aktów malują moje ciało i myślą o swojej pracy, a Macmorris maluje moją głowę i myśli o moim ciele. I to jest szczerą prawdą. Miałam z nim sporo kłopotów i nie chciałabym, żeby to dotarło do waszego ojca.

– Myślę, że warto mieć trochę kłopotów, by zarobić prawdziwe pieniądze – powiedziała Rose.

– No, gdybyś sama zobaczyła, co to za kłopoty, kochanie... – Topaz zawiesiła głos.

Musiało to bardzo rozgniewać Rose, zwłaszcza że ona nigdy nie miała nawet cienia szansy na tego rodzaju kłopoty. Nagle dramatycznie odrzuciła głowę do tyłu i powiedziała:

– Chętnie spróbuję. Może was to zainteresuje, że od pewnego czasu rozważam, czy się nie sprzedać. Jak będzie trzeba, to pójdę na ulicę.

Zwróciłam jej uwagę, że nie może iść na ulicę w bezludnych ostępach hrabstwa Suffolk.

– Ale jak Topaz będzie tak dobra, pożycz mi na bilet do Londynu i da parę wskazówek...

Topaz odparła, że nigdy nie była na ulicy i że raczej tego żałuje, bo – „trzeba upaść na dno, by wznieść się na wyżyny” – co jest charakterystycznym dla niej wyrażeniem, ale trzeba dużo dobrej woli, by spokojnie tego słuchać.

– A i tak – powiedziała Topaz do Rose – jesteś ostatnią dziewczyną, która miałaby brać na siebie ciężką harówkę

niemoralnego życia. Jeżeli naprawdę przemawia do ciebie ten pomysł, żeby się sprzedać, to lepiej znajdź bogatego mężczyznę i cnotliwie wyjdź za niego za mąż.

Ten pomysł oczywiście przyszedł Rose do głowy, ale zawsze miała nadzieję, że mężczyzna będzie na dodatek przystojny, romantyczny i uroczy. Przypuszczam, że desperacka obawa, iż nigdy nie spotka żadnego nadającego się na męża mężczyzny, nawet okropnego i biednego, sprawiła, że teraz nagle zalała się łzami. A że płacze mniej więcej raz na rok, to naprawdę powinnam była iść do niej i ją utulić, ale chciałam zapisać to wszystko w pamiętniku. Zaczynam dostrzegać, że pisarze łatwo stają się bezduszni.

W każdym razie Topaz spisała się w utulaniu o wiele lepiej, niż ja bym potrafiła, bo wcale się nie spieszę, by przytulać ludzi do swojej piersi. Topaz była jak najlepsza matka, pozwalając Rose wypłakać się w tę swoją aksamitną pomarańczową popołudniową suknię, która wiele już przeszła w swoim życiu. Rose będzie później wściekła na siebie, bo ma przykrą skłonność do pogardzania Topaz, ale w tej chwili są dla siebie nadzwyczaj miłe. Rose składa prasowanie, tłumiąc szloch, a Topaz nakrywa stół do kolacji, omawiając niepraktyczne sposoby zarabiania pieniędzy – takie jak dawanie we wsi koncertu na lutni albo kupowanie prosiaka na raty.

Ja włączam się do rozmowy, kiedy daję ręce odpocząć, ale nie mówię nic szczególnie ważnego.

Znowu pada. Stephen idzie do nas przez podwórko. Mieszka z nami od małego, jego matka była naszą pokojówką w czasach, gdy jeszcze mogliśmy sobie na to pozwolić, a kiedy umarła, on nie miał się gdzie podziać. Hoduje dla nas warzywa, dogląda kur i wykonuje tysiąc drobnych robót – nie wyobrażam sobie, jak byśmy poradzili sobie bez niego. Ma teraz osiemnaście lat, bardzo jasne włosy i szlachetny wygląd, ale odrobinę głupawy wyraz twarzy. Zawsze był mi niezwykle oddany. Ojciec nazywa go moim lubym. On jest taki jak moje wyobrażenie Sylwiusza w *Jak wam się podoba* – ale ja nie jestem wcale podobna do Febe.

Właśnie wszedł Stephen. Pierwsze, co zrobił, to zapalił świecę

i postawił na parapecie koło mnie, mówiąc:

– Nie trzeba psuć oczu, panienko Cassandro.

Potem upuścił ciasno zwinięty kawałeczek papieru na mój pamiętnik i serce mi zamarło, bo wiedziałam, że to będzie wiersz. Domyślałam się, że pracował nad nim w stodole. Jest napisany jego starannym, prawie pięknym pismem. Tytuł: „Do Panienci Cassandry”, autor: Stephen Colly. Jest to czarujący wiersz... Roberta Herricka.

Co mam zrobić ze Stephenem? Ojciec twierdzi, że wyrażanie własnego „ja” jest żalosne, ale ja myślę, że tak naprawdę głównym pragnieniem Stephena jest po prostu być miłym dla mnie; wie, że cenię poezję. Powinnam mu powiedzieć, że wiem, iż on tylko przepisuje wiersze – robił to przez całą zimę, mniej więcej co tydzień – ale nie mam serca sprawiać mu przykrości. Może jak nadejdzie wiosna, będę mogła zabrać go na spacer i uświadomić mu to w jakiś mało zniechęcający sposób. Tym razem wybrnęłam, nie mówiąc, jak zwykle, żadnych nieszczerych słów pochwały, tylko aprobująco uśmiechając się do niego przez całą kuchnię. Teraz pompuje wodę do kotła i wygląda na bardzo szczęśliwego.

Źródło jest pod kuchenną podłogą, istnieje tam od najwcześniejszych dni zamku; dostarcza wody od sześciuset lat i mówią, że nigdy nie wyschło. Rzecz jasna, musiało już być wiele pomp. Obecna została przywieziona, kiedy w czasach wiktoriańskich zakładano tu instalację (podobno) ciepłej wody.

Cały czas jestem odrywana od pisania. Topaz właśnie napełniła czajnik, ochlapując mi nogi, a mój brat Thomas wrócił ze szkoły w pobliskim miasteczku King’s Crypt. Jest niezgrabnym piętnastoletnim chłopcem i trudno go uczesać z przedziałką, bo jego włosy rosną w kępkach. Mają taki sam mysi kolor jak moje; tyle że moje są posłuszne.

Kiedy Thomas wszedł, przypomniałam sobie, dzień po dniu, moje niedawne powroty ze szkoły. W jednej chwili ponownie przeżyłam dziesięć mil jazdy w ślimaczym tempie trzęsącym małym pociągiem, a potem pięć mil na rowerze od stacji w Scoatney. Jak ja

nienawidziłam tego w zimie! Ale w jakiś sposób chciałabym znaleźć się z powrotem w szkole: również dlatego, że chodziła do niej córka kierownika kina i czasem wprowadzała mnie na seans za darmo. No i w ogóle brak mi samej szkoły – była zadziwiająco dobra jak na takie spokojne, małe, prowincjonalne miasteczko. Miałam stypendium, tak jak i Thomas ma teraz w swojej szkole; jesteśmy stosunkowo rozgarnięci.

Deszcz mocno uderza o szyby. Tu przy mojej świeczce wydaje się, że na zewnątrz jest całkiem ciemno. I dalsza część kuchni jest bardziej mroczna teraz, kiedy czajnik zakrywa otwór płyty kuchennego pieca. Dziewczęta siedzą na podłodze i przez kratki robią grzanki na wolnym ogniu. Dookoła każdej głowy widać jaśniejszy krąg tam, gdzie ogień prześwituje przez włosy.

Stephen skończył pompować wodę i dokłada do kotła – wielki staroświecki ceglany piec ogrzewa kuchnię i dodatkowo daje gorącą wodę. Kiedy grzeje się ten piec i pali się pod kuchnią, jest to najcieplejsze miejsce w całym domu; dlatego tak często tu siedzimy. Zresztą nawet w lecie jemy posiłki w kuchni, bo meble z jadalni zostały sprzedane ponad rok temu.

O, mój Boże, Topaz naprawdę gotuje jajka. Nikt mi nie powiedział, że kury wysłuchały naszej modlitwy. Ach, wspaniałe kury! Myślałam, że na kolację będzie tylko chleb z margaryną, a ja nie mogę się przyzwycząić do margaryny tak, jakbym chciała. Dziękuję niebiosom, że nie ma jakiejś formy chleba tańszej od chleba.

Jak dziwnie jest wspominać, że kiedyś posiłek zwany *tea* oznaczał dla nas popołudniową herbatę – ciasteczka i cienko krojony chleb z masłem, podawane w salonie. Teraz jest to posiłek tak solidny, jak tylko się da, bo musi wystarczyć do śniadania. Jemy ten posiłek, kiedy Thomas wraca ze szkoły. Stephen zapala lampę. Za sekundę różowy poblask zniknie z kuchni. Ale światło lampy też jest piękne.

Lampa już zapalona. Kiedy Stephen niósł ją do stołu, mój ojciec pojawił się na schodach. Owinąwszy ramiona starym pledem w szkocką kratę, przyszedł z wartowni po murach zamkowych. Mruczał: „Herbata, herbata. Czy panna Marcy przyniosła już książki

z biblioteki?” (jeszcze nie). Potem powiedział, że ma całkiem skostniałe ręce. Nie ze skargą, raczej z lekkim zdziwieniem, chociaż trudno mi uwierzyć, że ktokolwiek, żyjąc w zamku zimą, może się dziwić, że mu kostnieje jakaś część ciała. I kiedy schodził do nas, strzepując deszcz z włosów, poczułam, że bardzo go kocham. Niestety, nie czuję tego zbyt często.

Ciągle jeszcze wygląda wspaniale, chociaż jego piękne rysy trochę zaczynają ginać w tłuszczu, a twarz... blaknie. Kiedyś miał tak żywą karnację jak u Rose.

Teraz gawędzi z Topaz. Z przykrością zauważam, że jest w takim fałszywie radosnym nastroju, chociaż myślę, że obecnie biedna Topaz z wdzięcznością przyjmie nawet ten jego fałszywie radosny nastrój. Uwielbia ojca, a on zdaje się tak mało nią interesować.

Będę musiała zejść z blatu suszarki przy zlewie – Topaz potrzebuje ocieplacza na dzbanek do herbaty, a nasz pies Heloiza przyszedł i zobaczył, że pożyczyłam sobie jego kocyk. Nasz pies to ona, bulterierka, śnieżnobiała z wyjątkiem miejsc, gdzie różowiotka jak cukierek skóra prześwituje przez krótką sierść. No, już dobrze, Heloizo, kochanie, będziesz miała swój kocyk. Spogląda na mnie z miłością, wyrzutem, zaufaniem i radością. Jak ona potrafi wyrazić tak wiele tymi swoimi dwoma małymi skośnymi oczkami?

Kończę tę notatkę, siedząc na schodach. Uważam, że warto zaznaczyć, że nigdy nie byłam szczęśliwsza – pomimo troski o ojca, współczucia dla Rose, zakłopotania z powodu poezji Stephena i braku podstaw do jakiegokolwiek nadziei, jeżeli chodzi o perspektywy dla naszej rodziny w ogóle. Być może jest tak, bo zaspokoiliam swoje twórcze potrzeby; a może to dlatego, że wiem, że na kolację będą jajka.

II

P óźniej. Pisane w łóżku.

Jest mi dość wygodnie, bo mam na sobie szkolny płaszcz, a w nogach gorącą cegłę, ale wolałabym, żeby to nie był mój tydzień na małym żelaznym łóżku. Rose i ja śpimy na zmianę w łóżku z baldachimem. Ona tam teraz siedzi i czyta książkę z biblioteki. Kiedy panna Marcy ją przyniosła, powiedziała, że to „ładna opowieść”. Rose mówi, że jest okropna, ale woli ją czytać, niż myśleć o swoich sprawach. Biedna Rose! Ma na sobie stary niebieski flanelowy szlafrok, którego dół złożyła podwójnie i owinęła wokół pasa, żeby było cieplej. Ma ten szlafrok tak długo, że już go nawet nie zauważa, wydaje mi się, że gdyby schowała go na miesiąc, a potem popatrzyła na niego, doznałaby szoku. Ale jakie ja mam prawo cokolwiek mówić – ja, która w ogóle nie mam szlafroka od dwóch lat? W resztki mojego starego szlafroka owinięta jest gorąca cegła.

Nasz pokój jest duży i uderzająco pusty. Poza łóżkiem z baldachimem, które jest mocno zniszczone, wszystkie dobre meble zostały stopniowo wyprzedane i zastąpione najprostszymi sprzętami ze sklepów ze starzyzną. Tak więc mamy szafę bez drzwi i bambusową toaletkę, którą uważam za rzadki okaz. Trzymam swój świecznik na poobijanym blaszanym kufrze, który kosztował jednego szylinga; świecznik Rose stoi na komodzie pomalowanej

tak, że blat imituje marmur, choć bardziej przypomina bekon. Emaliowany dzbanek i miednica są moją osobistą własnością – właścicielka gospody Pod Kluczami dała mi je po tym, jak znalazłam je stojące bezużytecznie w stajni. Pozwalają uniknąć kolejek do łazienki. Jediną raczej ładną rzeczą jest rzeźbiona drewniana ławeczka w oknie wykuszowym – cieszę się, że w żaden sposób nie da się jej sprzedać. Została wbudowana w gruby mur zamkowy, a nad nią znajduje się duże wielodzielne okno. W pokoju są też okna wychodzące na ogród; mają małe kwadratowe szybki.

Nigdy nie wyrosłam z fascynacji jedną rzeczą: okrągłą wieżą z drzwiami, w rogu naszego pokoju. W środku są kręte schody, którymi, idąc w górę, można dojść do obronnego szczytu z blankami, a w dół – do salonu; niektóre stopnie prawie się rozpadają.

Może do mebli powinienam zaliczyć również pannę Blossom. To manekin krawiecki o bardzo obfitych kształtach, w spódnicy z drutu dookoła jedynej nogi. Trochę sobie żartujemy z tą panną Blossom – udajemy, że to prawdziwa osoba. Wyobrażamy sobie, że jest kobietą doświadczoną, może w młodości była barmanką. Mówi na przykład takie rzeczy: „No tak, złociutka, tacy są mężczyźni” albo: „Domagaj się świadectwa ślubu”.

Wiktorianscy wandale, którzy poprzerabiali tyle rzeczy w tym domu, nie wpadli na pomysł, żeby zrobić korytarze, tak więc wszyscy musimy stale przechodzić przez czyjeś pokoje. Topaz właśnie przeszła przez nasz w koszuli nocnej uszytej z gładkiego białego perkalu z otworami na głowę i ramiona; uważa, że nowoczesna bielizna jest pospolita. Wyglądała w tym raczej jak ofiara prowadzona na stos, podczas gdy jej właściwym celem była tylko łazienka.

Topaz i ojciec śpią w dużym pokoju, z którego wychodzi się na schody do kuchni. Między ich pokojem a naszym jest małe pomieszczenie, które nazywamy pokojem buforowym; Topaz zajęła je na swoje studio. Thomas ma sypialnię po drugiej stronie podestu, obok łazienki.

Ciekawa jestem, czy Topaz poszła prosić ojca, żeby już kładł się spać; to całkiem do niej podobne, by tak w koszuli nocnej przemaszerować górą murów zamkowych. Mam jednak nadzieję, że nie poszła, bo ojciec robi jej duże afronty, kiedy ona tak wpada do wartowni. Nas już jako dzieci nauczono nigdy nie zbliżać się do niego bez pozwolenia i on uważa, że Topaz powinna zachowywać się w taki sam sposób.

Nie – jednak nie poszła. Wróciła po paru minutach i wyglądało na to, że chce u nas zostać, ale jej nie zachęcałyśmy. Teraz jest w łóżku i gra na lutni. Sama lutnia mi się podoba, ale nie hałas, który robi; rzadko jest nastrojona i wydaje się instrumentem, na którym nigdy nic nie wychodzi.

Czuję się trochę winna, że byłam chłodna dla Topaz, ale dzisiejszego wieczora mieliśmy tyle atrakcji.

Koło ósmej przyszła panna Marcy i przyniosła książki. Ma około czterdziestu lat, jest niewysoka i raczej spłowiała, a jednak w jakiś sposób bardzo młoda. Często mruga oczami, ma tendencję do chichotania i mówi: „No, nie!”. Pochodzi z Londynu, ale mieszka tu na wsi już od ponad pięciu lat. Sądzę, że bardzo przyjemnie uczy. Jej przedmioty to: pieśń ludowa, dzikie kwiaty i tradycja ludowa. Na początku jej się tutaj nie podobało (zawsze mówi, że „brakuje jej jasnych świateł miasta”), ale wkrótce zajęła się sprawami wsi i teraz próbuje zainteresować nimi także tutejszych mieszkańców.

Jako bibliotekarka troszkę oszukuje, żeby dać nam najnowsze książki: miała dziś dostawę i przyniosła ojcu powieść kryminalną, która wyszła zaledwie dwa lata temu, a jej autorem był jeden z ulubionych pisarzy ojca. Topaz powiedziała:

– Ach, muszę to natychmiast zanieść Mortmainowi. – Mówi do ojca „Mortmain” dlatego, że podoba jej się nasze dziwne nazwisko i żeby podtrzymać fikcję, że wciąż jest on słynnym pisarzem.

Wrócił z nią, by podziękować pannie Marcy, i wreszcie wydawał się całkiem szczerze ożywiony.

– Przeczytam każdy kryminał, dobry, zły czy średni – zwrócił się do niej – ale klasyczny należy do rzadkich przyjemności w życiu.

Potem się dowiedział, że dostał książkę przed pastorem, i był tak uradowany, że posłał pannie Marcy całusa, a ona powiedziała:

– Ach, dziękuję, panie Mortmain. To znaczy... no, nieee! – Zarumieniła się i zamrugła. Ojciec zarzucił na siebie koc jak togę i poszedł z powrotem do wartowni, wyglądając pogodnie jak nigdy. Kiedy był już dość daleko i nie mógł usłyszeć, panna Marcy zapytała: – Jak on się miewa? – przyciszonym głosem, który sugerował, że albo jest na progu śmierci, albo stracił rozum.

Rose odrzekła, że ojciec ma się doskonale i jest doskonale bezużyteczny, jak zawsze. Panna Marcy wyglądała na zaszokowaną.

– Rose jest przygnębiona finansami – wyjaśniłam.

– Nie będziemy zanudzać panny Marcy naszymi zmartwieniami – szybko wtrąciła Topaz.

Ona nie znosi, gdy coś rzuca cień na ojca.

Panna Marcy powiedziała, że jest wykluczone, by cokolwiek, co dotyczy naszego domostwa, mogło ją nudzić – wiem, że uważa życie w zamku za niezwykle romantyczne. Potem zapytała, bardzo nieśmiało, czy mogłaby nam służyć radą.

– Czasami osoba z zewnątrz...

Nagle poczułam, że chętnie bym zasięgnęła jej rady. Jest taką rozsądną małą kobietką – to ona wpadła na pomysł, żeby sprowadzić dla mnie książkę o nowej metodzie stenografowania. Mama nauczyła nas, by we wsi nigdy nie opowiadać o naszych sprawach, i szanuję też lojalność Topaz wobec ojca, ale byłam pewna, że panna Marcy musiała doskonale wiedzieć, że jesteśmy bankrutami.

– Gdyby pani mogła podsunąć nam jakieś sposoby na zarobienie pieniędzy – powiedziałam.

– Albo żeby na dłużej starczyły... wiem, że was wszystkich tak pochłania sztuka, że w ogóle nie jesteście praktyczni. Zróbmy zebranie zarządu!

Powiedziała to tak, jakby zachęcała dzieci do zabawy. I miała tyle zapału, że byłoby po prostu niegrzecznie jej odmówić. Myślę też, że Rose i Topaz były już tak zdesperowane, że chciały spróbować

czegokolwiek.

– Potrzebny jest papier i ołówki – dodała panna Marcy, klaszcząc w dłonie.

Papier do pisania jest w tym domu rzadkością, a ja nie zamierzałam wydierać kartek z tego zeszytu, wspaniałego zeszytu za sześć pensów, który dał mi pastor. W końcu panna Marcy wyjęła środkowe strony bibliotecznego rejestru, co dało nam przyjemne uczucie, że okradamy rząd, a potem siedliśmy dookoła stołu i wybraliśmy ją na przewodniczącą. Powiedziała, że musi też być sekretarzem, by móc pisać protokół, i zanotowała:

ANALIZA FINANSÓW RODZINY MORTMAINÓW

Obecni

Panna Marcy (przewodnicząca)

Pani Jamesowa Mortmain

Panna Rose Mortmain

Panna Cassandra Mortmain

Thomas Mortmain

Stephen Colly

Zaczęliśmy od dyskusji nad wydatkami.

– Najpierw czynsz – powiedziała panna Marcy.

Czynsz wynosi czterdzieści funtów rocznie; wydaje się to niewiele jak na taki wielki zamek, ale mamy tylko parę akrów ziemi, miejscowi wieśniacy uważają, że ruiny są minusem, no i mówi się, że są tu duchy – lecz to nieprawda. (Coś dziwnego pojawia się na wzgórzu, ale to nigdy nie przychodzi do domu). W każdym razie nie płacimy czynszu od trzech lat. Właściciel zamku, bogaty stary dżentelmen, który mieszkał w Scoatney Hall, pięć mil od nas, zawsze przysyłał nam szynkę na Boże Narodzenie, bez względu na to, czy płaciliśmy czynsz, czy nie. Zmarł zeszłego roku w listopadzie i bardzo nam brakowało tej szynki.

– Mówią, że Scoatney Hall będzie ponownie otwarte – powiedziała panna Marcy, kiedy wyjaśniliśmy jej sytuację związaną z czynszem.

– Dwóch chłopców ze wsi zatrudniono jako dodatkowych ogrodników. No, to zapiszemy „czynsz”, z adnotacją

„nieobowiązkowy”. A co z jedzeniem? Czy wystarczy wam piętnaście szylingów tygodniowo na osobę? Powiedzmy, jeden funt, wliczając świece, naftę do lampy i środki czyszczące.

Myśl, że nasza rodzina mogłaby kiedykolwiek mieć sześć funtów na tydzień, sprawiła, że wszyscy wybuchnęliśmy gromkim śmiechem.

– Jeżeli panna Marcy ma nam naprawdę coś poradzić – odezwała się Topaz – to lepiej jej wyjaśnić, że nie mamy żadnego dochodu w tym roku.

Panna Marcy zarumieniła się i powiedziała:

– Wiedziałam, że sytuacja jest trudna. Ale droga pani Mortmain, przecież jakieś pieniądze muszą chyba być?

Przedstawiliśmy jej fakty. Ani jeden pens nie wpłynął w styczniu i lutym. W zeszłym roku ojciec dostał czterdzieści funtów z Ameryki, gdzie książka *Boje Jakuba* jeszcze się sprzedawała. Topaz pozowała w Londynie przez trzy miesiące, zaoszczędziła osiem funtów i pożyczyła pięćdziesiąt; sprzedaliśmy także komodę marszandowi w pobliskim miasteczku King’s Crypt, za dwadzieścia funtów. Żyjemy za tę komodę od Bożego Narodzenia.

– Dochód w zeszłym roku wyniósł sto osiemnaście funtów – podliczyła panna Marcy i zapisała to.

Szybko wyjaśniliśmy, że to nie ma żadnego związku z tegorocznym dochodem, bo już nie mamy dobrych mebli do sprzedania, Topaz wyczerpała możliwości bogatych pożyczkodawców i wiemy, że jest mało prawdopodobne, by tantiemy ojca były tak wysokie, bo zmniejszają się z każdym rokiem.

– Może powinienem przestać chodzić do szkoły? – spytał Thomas. Oczywiście odparliśmy, że to byłby absurd, bo jego nauka nic nas nie kosztuje dzięki stypendium, a pastor właśnie dał mu roczny bilet na kolej.

Panna Marcy przez chwilę bawiła się ołówkiem i wreszcie powiedziała:

– Jeżeli mam pomóc, to muszę być szczerą. Czy nie można by

trochę oszczędzić na wypłatach dla Stephena?

Poczułam, że się rumienię. Przecież nigdy nie płaciliśmy Stephenowi – nigdy nawet się o tym nie pomyślało. I nagle zdałam sobie sprawę z tego, że powinniśmy byli. (Nie znaczy to, że mieliśmy kiedykolwiek jakieś pieniądze, żeby mu płacić, od czasu kiedy był już na tyle duży, by zarabiać).

– Nie chcę żadnej zapłaty – szepnął Stephen. – Nie wziąłbym jej. Wszystko, co kiedykolwiek miałem, dano mi tutaj.

– Wie pani, Stephen jest jak syn – powiedziałam.

Panna Marcy miała taką minę, jakby nie była pewna, czy to dobrze, ale twarz Stephena rozjaśniła się na moment. Potem się zawstydził i mruknął, że musi sprawdzić, czy wszystkie kury wróciły do kurnika. Kiedy już poszedł, panna Marcy upewniła się:

– Żadnej, zupełnie żadnej zapłaty? Tylko utrzymanie?

– Nie płacimy sobie żadnych pensji – odparła Rose, i była to prawda; ale my nie pracujemy tak ciężko jak Stephen i nie śpimy w małym ciemnym pokoiku koło kuchni. – I uważam, że to upokarzające dyskutować o naszej biedzie przy panie Marcy – z gniewem mówiła Rose. – Myślałam, że tylko poprosimy o radę.

Po tych słowach straciłyśmy dużo czasu na ugłaskanie dumy Rose i uczuć panny Marcy. Potem zabrałyśmy się do rozważenia możliwości zarabiania.

Topaz powiedziała, że nie zarobi w Londynie więcej niż cztery funty tygodniowo, może nawet i tego nie, i że musi mieć trzy funty na życie, jakieś ubranie i bilet, by tu przyjeżdżać przynajmniej co drugi weekend.

– I ja wcale nie chcę jechać do Londynu – dodała żałośnie. – Jestem zmęczona pozowaniem. I okropnie tęsknię za Mortmainem. On mnie potrzebuje, jestem jedyną osobą, która potrafi gotować.

– To nie jest takie ważne, kiedy nie mamy co gotować – zauważyła Rose. – A czy ja mogłabym zarabiać jako modelka?

– Obawiam się, że nie – odparła Topaz. – Twoja figura jest zbyt ładna; nie daje rysownikowi pola do popisu. I nigdy nie miałabyś cierpliwości, by usiedzieć spokojnie. Myślę, że jeśli nic innego się

nie trafi, będę jednak musiała jechać do Londynu. Mogę przysłać do domu około dziesięciu szylingów tygodniowo.

– To wspaniale – powiedziała panna Marcy i zapisała: „Pani Jamesowa Mortmain: możliwe dziesięć szylingów tygodniowo”.

– Nie przez cały rok – zaznaczyła Topaz zdecydowanie. – Nie zniosłabym tego i w ogóle nie miałabym czasu na własne malowanie. Naturalnie, mogłabym też coś z tego sprzedać.

– Oczywiście, że by pani mogła – zgodziła się bardzo grzecznie panna Marcy, po czym odwróciła się do mnie.

Powiedziałam, że ćwiczona przeze mnie metoda stenografii pozwala mi pisać coraz szybciej, ale nie jest to prawdziwa stenografia (ani też właściwie nie jest to prawdziwa metoda), no i nie potrafię pisać na maszynie, a szanse zdobycia gdzieś maszyny do pisania są znikome.

– No to obawiam się, że dopóki nie ruszysz ze swoją pracą literacką, musimy wpisać ci zero – powiedziała panna Marcy. – Thomas oczywiście będzie miał zero jeszcze przez parę lat. Rose, moja droga?

Jeżeli ktokolwiek w tej rodzinie ma zero, jeśli chodzi o zarabianie pieniędzy, to właśnie Rose. Pomimo że gra trochę na fortepianie i całkiem ładnie śpiewa, no i jest oczywiście śliczna, to nie ma żadnych talentów.

– Może mogłabym opiekować się małymi dziećmi – podsunęła.

– O, nie – zaprzeczyła szybko panna Marcy. – To znaczy, moja droga... no, nie sądzę, żeby ci to mogło odpowiadać.

– Pójdę do Scoatney Hall pracować jako pokojówka – powiedziała Rose z taką miną, jakby wstępowała na szafot.

– Pokojówki muszą być wykwalifikowane, moja droga – zauważyła panna Marcy – i czuję, że to nie spodobałoby się twojemu ojcu. A nie mogłabyś uszyć czegoś ładnego?

– Z czego? – zapytała Rose. – Z materiału na worki? W istocie Rose wcale nie radzi sobie z szyciem.

Panna Marcy z przygnębieniem patrzyła na swoją listę.

– Przykro mi, ale na razie musimy zapisać zero naszej drogiej Rose

– powiedziała. – Zostaje nam tylko pan Mortmain.

– Jeżeli ja mam zero, to ojciec powinien mieć podwójne zero – mruknęła Rose.

Panna Marcy pochyliła się do przodu i powiedziała ściszym głosem:

– Moje drogie, wiecie, że próbuję wam pomóc. Na czym polega prawdziwy problem pana Mortmaina? Czy to... czy to... alkohol?

Śmiałyśmy się tak bardzo, że Stephen przyszedł zobaczyć, co to za żart tak się udał.

– Biedny, biedny Mortmain. – Topaz z trudem wydobyła głos. – Przecież on nigdy nie ma nawet na piwo! Na alkohol potrzeba pieniędzy, panno Marcy.

Panna Marcy powiedziała, że nie mogą to też być narkotyki – i na pewno nie są; on nawet nie pali, jak już skończą się cygara podarowane mu na Boże Narodzenie przez pastora.

– To jest czyste lenistwo – oznajmiła Rose. – Lenistwo i słabość. I nie wierzę, że ojciec w ogóle był kiedyś dobry, tak naprawdę. Podejrzewam, że *Boże Jakuba* były przereklamowane.

Topaz wyglądała na tak zagniewaną, że przez sekundę myślałam, że uderzy Rose. Stephen podszedł do stołu i stanął między nimi.

– Ależ skąd, panienko Rose – powiedział spokojnie. – To jest wielka książka, wszyscy to wiedzą. Ale coś mu się stało i już nie może pisać. Nie da się pisać tylko dlatego, że się chce. – Spodziewałam się, że Rose niegrzecznie mu odpowie, ale zanim zdołała się odezwać, on obrócił się w moją stronę i szybko mówił dalej: – Myślałem o tym, panienko Cassandro, że powinienem znaleźć pracę; mogą mnie zatrudnić na farmie Four Stones.

– Ale co z naszym ogrodem, Stephen! – prawie jęknęłam, bo właśnie dzięki warzywom udaje nam się jakoś przeżyć.

Powiedział, że już wkrótce dni będą dłuższe i że będzie pracował dla nas wieczorami.

– Ja też się przydam w ogrodzie, prawda, Stephen? – zapytała Topaz.

– Tak, proszę pani, bardzo. Nie mógłbym się oczywiście zatrudnić

w Four Stones, gdyby pani pojechała do Londynu, bo wtedy byłoby za dużo pracy dla panienki Cassandry.

Rose nie jest dobra w takich sprawach jak ogrodnictwo i prowadzenie domu.

– Tak więc można zapisać dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo przy moim nazwisku, panno Marcy – mówił dalej Stephen – bo pan Stebbins obiecał, że na początek tyle dostanę. I będę mieć również obiad w Four Stones.

Z zadowoleniem pomyślałam, że to znaczy, że dostanie jeden porządny posiłek dziennie.

Panna Marcy powiedziała, że to wspaniały pomysł, chociaż szkoda, że przez to trzeba wykreślić dziesięć szylingów Topaz.

– Mimo że była to tylko pewna możliwość – dodała.

Kiedy zapisywała te dwadzieścia pięć szylingów Stephena na liście, Rose nagle się odezwała:

– Dziękuję, Stephen.

No, a ponieważ ona z zasady raczej nie zwraca na niego uwagi, zabrzmiało to poważnie. I uśmiechnęła się bardzo miło. Biedna Rose chodzi ostatnio tak przygnębiona, że jej uśmiech jest jak popołudniowe słońce po długim deszczowym dniu. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek, widząc uśmiechającą się Rose, nie poczuł, że ją lubi. Spodziewałam się, że Stephen będzie ogromnie zadowolony, ale on tylko skinął głową i przełknął kilka razy.

Właśnie wtedy ojciec pojawił się na schodach i spojrzał w dół na nas wszystkich.

– Co, gracie w karty? – zapytał. Mogło to tak wyglądać, bo siedzieliśmy dookoła stołu w świetle lampy. Potem zszedł do nas, mówiąc: – Ta książka jest pierwszorzędna. Zrobiłem sobie małą przerwę, próbując odgadnąć, kto jest mordercą. Chciałbym dostać herbatnika.

Zawsze, kiedy ojciec jest głodny między posiłkami – a podczas nich je bardzo niewiele, mniej niż ktokolwiek z nas – prosi o herbatnika. Domyślam się, że w jego pojęciu jest to najmniejsza i najtańsza rzecz, o którą może prosić. Oczywiście od wieków nie

mieliśmy prawdziwych herbatników, takich ze sklepu, ale Topaz robi owsiane ciasteczka, które są bardzo sycące.

Położyła trochę margaryny na herbatniku. Spostrzegłam lekki niesmak w oczach ojca, który zapytał, czy mogłaby posypać to odrobiną cukru.

– To tak dla odmiany – rzucił przepraszająco. – Czy możemy poczęstować czymś pannę Marcy? Może trochę herbaty albo kakao, panno Marcy?

Podziękowała, mówiąc, że nie chce odbierać sobie apetytu przed kolacją.

– No to nie będę wam przerywał gry – powiedział ojciec. – Co to jest?

I zanim zdążyłam pomyśleć, jak odwrócić jego uwagę, pochylił się przez jej ramię, żeby popatrzeć na leżącą przed nią listę. A oto co było tam zapisane:

Możliwości zarobku w roku bieżącym

Pani Mortmain zero
Cassandra Mortmain zero
Thomas Mortmain zero
Rose Mortmain zero
Pan Mortmain zero
Stephen Colly 25 szylingów na tydzień

Mina ojca nie zmieniła się, kiedy to czytał – nadal się uśmiechał, ale ja czułam, że coś się z nim działo. Rose mówi, że zawsze przypisuję ludziom emocje, które bym sama odczuwała, gdybym była w ich sytuacji, ale jestem pewna, że miałam wtedy prawdziwy przebłysk intuicji. I nagle zobaczyłam jego twarz bardzo wyraźnie, nie tak jak się widzi twarze ludzi, które zna się na pamięć. Zobaczyłam, jak zmienił się od czasów, gdy byłam mała, i przypomniałam sobie słowa Ralphi Hodgsona o „poskromionych i liniejących tygrysach”¹. Jak długo trwa zapisywanie myśli, które zajmują ledwie chwilę! Myślałam o wielu innych rzeczach, skomplikowanych, wzruszających i bardzo zagadkowych, podczas gdy ojciec czytał naszą listę.

Kiedy skończył, rzucił całkiem lekko:

– I Stephen oddaje nam swoje zarobki?

– Powiniennem płacić za wyżywienie i mieszkanie, proszę pana – powiedział Stephen – za życzliwość w przeszłości i książki, które mi pan pożyczał.

– Jestem przekonany, że będziesz bardzo dobrą głową rodziny – skwitował ojciec.

Wziął od Topaz owsiane ciasteczko posypane cukrem i ruszył w stronę schodów. Zawołała za nim:

– Zostań chwilę przy kominku, Mortmain.

Ale odpowiedział, że chce wrócić do lektury. Potem jeszcze raz podziękował pannie Marcy za przyniesienie takiej dobrej książki i powiedział jej „dobranoc”, bardzo szarmancko.

Słyszeliśmy, jak nucił pod nosem, idąc przez sypialnie do wartowni. Panna Marcy słowem nie skomentowała całego zdarzenia, co dowodzi, jak bardzo jest taktowna; ale wyglądała na speszoną i oznajmiła, że już będzie musiała iść. Stephen zapalił latarnię i powiedział, że odprowadzi ją do drogi, gdzie zostawiła swój rower z powodu okropnego błota na naszym podjeździe. Ja także z nią wyszłam. Kiedy przechodziłyśmy przez dziedziniec, spojrzała w górę, w okno wartowni, i zapytała, czy myślę, że ojciec by się obraził, gdyby mu przyniosła małą puszkę herbatników, żeby miał je u siebie. Odrzekłam, że nie uważam, by jakiegokolwiek jedzenie mogło kogoś w naszym domu obrazić, a ona tylko westchnęła: „Ojej”. Potem popatrzyła na ruiny dookoła i powiedziała, że są takie piękne, ale że pewnie ja już się do nich przyzwyczaiłam. Chciałam szybko wrócić do ciepłej kuchni, więc po prostu potwierdziłam; ale to nie jest prawda. Piękno zamku wcale mi nie spowszedniało. I potem, gdy odeszła ze Stephenem, zdałam sobie sprawę z tego, że zamek wygląda szczególnie pięknie. To była dziwna noc. Księżyc w pełni skrywał się za chmurami, ale osrebrzył je tak, że niebo było całkiem jasne. Wieża Belmonte, wysoko na swoim wzniesieniu, wydawała się jeszcze wyższa niż zwykle. Jak już popatrzyłam w niebo, to chciałam tak stać i patrzeć; przyciągało

mnie jakby do siebie i sprawiło, że zaczęłam nasłuchiwać, chociaż nie było czego słuchać, bo żadna gałązka nawet nie drgnęła.

Kiedy Stephen wrócił, wciąż patrzyłam w niebo.

– Jest zbyt zimno, żeby wychodzić bez płaszcza, panienko Cassandro – powiedział.

Ale ja zapomniałam o wszystkim i naturalnie nie było mi już wcale zimno. Gdy wracaliśmy do domu, zapytał, czy myślę, że *La Belle Dame sans Merci*² mogła mieszkać w takiej wieży jak Belmontte. Przyznałam, że to całkiem prawdopodobne, chociaż nigdy nie przyszło mi do głowy, że ona miała jakieś życie rodzinne.

Potem wszyscy zdecydowaliśmy się wcześniej położyć, żeby już nie dokładać do ognia, wzięliśmy więc swoje nagrzane cegły z piekarnika i każdy poszedł w swoją stronę. Jednak wczesne kładzenie się jest bardzo szkodliwe dla świec. Myślałam, że moja wystarczy na dwie godziny, ale kawałek knota się zapadł i teraz mam stopioną masę. (Ciekawe, jak król Artur radził sobie z zegarami ogniowymi, kiedy zdarzało się coś takiego). Zapytałam Thomasa, czy mogę wziąć jego świecę, ale on ciągle jeszcze odrabia zadania domowe. Będę musiała iść do kuchni – mam tam sekretny schowek z ogarkami. I zrobię dobry uczynek, bo w drodze na dół, do kuchni, utnę sobie przyjacielską pogawędkę z Topaz.

...Jestem z powrotem. Zdarzyło się coś zaskakującego. Kiedy zesłam do kuchni, Heloiza obudziła się i zaszczekała i Stephen pojawił się w swoich drzwiach, by zobaczyć, co się dzieje. Zawołałam, że to tylko ja, i zniknął w swoim pokoju. Znalazłam ogarek i właśnie kiedy przyklęłam przy koszyku Heloizy, by powiedzieć do niej parę słów (ma taki szczególnie przyjemny ciepły zapach czystego psa po spaniu), znowu pojawił się Stephen w płaszczu narzuconym na koszulę nocną.

– Wszystko w porządku! – zawołałam. – Już znalazłam, co chciałam.

Wtedy właśnie zatrzasnęły się drzwi na górze kuchennych schodów, tak że nastąpiła zupełna ciemność, z wyjątkiem bledszego kwadratu okna. Po omacku przeszłam przez kuchnię i wpadłam na

stół. Wtedy Stephen wziął mnie za ramię i podprowadził do schodów.

– Teraz już sobie poradzę – powiedziałam.

Byliśmy bliżej okna, gdzie wszystko było spowite dziwnym światłem księżyca.

Nie puścił mojego ramienia.

– Chcę o coś zapytać, panienko Cassandro – odezwał się. – Chcę wiedzieć, czy jest panienka czasem głodna, to znaczy wtedy, kiedy nie ma nic do jedzenia.

Pewnie bym potwierdziła: „Oczywiście, że jestem”, ale zauważyłam napięcie i zatroskanie w jego głosie, więc powiedziałam:

– No przecież zazwyczaj coś tam mamy do jedzenia, prawda? Oczywiście byłoby przyjemniej mieć mnóstwo pyszności, ale zwykle mi wystarcza. Dlaczego nagle o to pytasz?

Powiedział, że nie mógł zasnąć i o tym myślał, i że nie zniósłby, gdybym była głodna.

– Jeżeli kiedykolwiek będziesz, to mi powiedz – poprosił. – Coś wymyślę.

Bardzo mu podziękowałam i przypomniałam, że będzie nam pomagał swoimi zarobkami.

– Tak, to już będzie coś – zgodził się. – Ale proszę mi powiedzieć, gdyby było mało. Dobranoc, panienko Cassandro.

Idąc na górę, byłam zadowolona, że nie przyznałam mu się, iż często odczuwam głód, bo jeżeli on podkrada dla mnie wiersze Herricka, to sądzę, że mógłby też kraść jedzenie. Była to raczej przerażająca myśl, ale też jakoś podnosząca na duchu.

Ojciec właśnie szedł z wartowni. Nie zauważyłam u niego żadnych oznak urażonej dumy. Powiedział, że zostawił sobie cztery rozdziały książki do przeczytania w łóżku.

– I wymagało to wielkiej siły woli – dodał. Topaz wyglądała na dość przygnębioną.

Zastałam Rose leżącą w ciemnościach, bo Thomas pożyczył od niej świecę, żeby skończyć odrabiać lekcje. Powiedziała, że nie

zrobiło jej to różnicę, bo jej książka okazała się zbyt ładna i to było nie do zniesienia.

Zapaliłam ogarek przyniesionej świecy i przykleiłam go do stopionej masy w lichtarzu. Musiałam przykucnąć nisko na łóżku, żeby mieć dość światła do pisania. Już miałam zacząć, kiedy zobaczyłam, że Rose obejrzała się, sprawdzając, czy zamknęłam drzwi do pokoju buforowego. Potem spytała:

– Czy pomyślałaś o czymś, kiedy panna Marcy powiedziała, że Scoatney Hall znów będzie otwarte?

No tak, pomyślałam o początku powieści *Duma i uprzedzenie*, kiedy pani Bennet mówi: „Wydzierżawiono nareszcie Netherfield Park”. A potem pan Bennet jedzie tam złożyć wizytę bogatemu nowemu właścicielowi.

– Pan Bennet nie był mu winien żadnego czynszu – zauważyłam.

– Nasz ojciec i tak by nie pojechał. Jak ja bym chciała żyć w powieści Jane Austen!

Powiedziałam, że ja wolałabym żyć w powieści Charlotte Bronte.

– Co byłoby przyjemniejsze: Jane z odrobiną Charlotte czy Charlotte z odrobiną Jane? – spytała Rose.

Jest to ten rodzaj dyskusji, który bardzo lubię, ale chciałam pisać dalej, więc tylko powiedziałam:

– Pięćdziesiąt procent każdej byłoby idealnie. – Po czym z determinacją wróciłam do pamiętnika.

Teraz jest już prawie północ. Sama czuję się jak jakaś Bronte, pisząc przy świetle migocącej świecy palcami tak zdrętwiałymi, że ledwie mogę utrzymać ołówek. Wolałabym, żeby Stephen nie przywiódł mi na myśl jedzenia – cały czas czuję głód, co jest śmieszne, bo zjadłam dobry posiłek z jajkiem niecałe sześć godzin temu. O Boże – właśnie pomyślałam, że jeżeli Stephen martwił się, czy nie jestem głodna, to pewnie sam był głodny. Ależ my gospodarujemy!

Ciekawa jestem, czy uda mi się zdobyć kilka dodatkowych minut światła, jak zrobię knoty z zapalek. Czasem to skutkuje.

Nie udało się – jakbym próbowała pisać przy świetle robaczka

świętojańskiego. Ale księżyc wreszcie przedarł się przez chmury i da się coś zobaczyć. To dość ekscytujące pisać przy świetle księżyca.

Rose śpi na plecach, usta ma szeroko otwarte. Nawet tak leżąc, ładnie wygląda. Mam nadzieję, że śni jej się piękny sen o bogatym młodzieńcu, który jej się oświadcza.

Wcale nie jestem śpiącą. Utnę sobie w myślach małą pogawędkę z panną Blossom. Na tle srebrnego okna jej szlachetne popiersie wydaje się większe niż zwykle. Właśnie zapytałam ją, czy uważa, że Rose i mnie przydarzy się kiedykolwiek coś ekscytującego, i usłyszałam wyraźnie, jak powiedziała: „No, nie wiem, kochanie, ale jestem pewna, że twoja siostra będzie gwiazdą, jak tylko trafi jej się szansa”.

Nie sądzę, by mnie kiedykolwiek udało się zostać gwiazdą. Mogłabym pisać przez całą noc, ale ledwie widzę, no i nie mogę rozrzutnie marnować papieru, więc będę sobie tylko myśleć. Kontemplacja wydaje się jedynym luksusem, który nic nie kosztuje.

1 Cytat z wiersza *The Bells of Heaven* (Niebiańskie dzwony) Ralpa Hodgsona (1871–1962), angielskiego poety, którego twórczość zalicza się do nurtu poezji georgiańskiej (przyp. red.).

2 Tytuł wiersza Johna Keatsa (1795–1821) (przyp. tłum.).

III

Właśnie przeczytałam swój pamiętnik od początku. Okazuje się, że potrafię z łatwością odczytywać tekst zapisany tym moim sposobem stenografii, nawet to, co pisałam przy świetle księżycy wczoraj w nocy. Ze zdziwieniem widzę, ile napisałam; przy opowiadaniach nawet jedna strona może mi zająć całe godziny, ale prawda wydaje się płynąć tak szybko, jak tylko potrafię zapisywać. Jednak słowa są bardzo niedoskonałe, w każdym razie moje słowa są niedoskonałe. Czy ktokolwiek, czytając je, mógłby wyobrazić sobie naszą kuchnię w blasku ognia albo wieżę Belmonte wznoszącą się ku osrebrzonym przez światło księżycy chmurom, albo Stephena wyglądającego zarówno szlachetnie, jak i pokornie? (Było ogromnie niesprawiedliwe z mojej strony powiedzieć, że ma odrobinę głupawy wyraz twarzy). Kiedy czytam książkę, wkładam w to całą swoją wyobraźnię, tak że jest to prawie jak pisanie tej książki i równoczesne jej czytanie – albo raczej przeżywanie. To sprawia, że lektura staje się o wiele bardziej ekscytująca, ale nie przypuszczam, żeby wiele osób próbowało tak robić.

Dziś po południu piszę na strychu, bo Topaz i Rose są zajęte rozmową w kuchni; znalazły gdzieś opakowanie zielonej farby – pochodzi z czasów, kiedy byłam elfem w szkolnej sztuce – i mają zamiar ufarbować kilka starych sukienek. Nie chcę być pisarką, która potrafi pracować wyłącznie w odosobnieniu – w końcu Jane

Austen pisała w salonie i tylko przykrywała swoją pracę, kiedy ktoś przychodził z wizytą (choć założyłam się, że myślała o tym i o owym) – jednak nie jestem jeszcze całkiem jak Jane Austen i są granice tego, co mogę wytrzymać. A chcę w spokoju zająć się opisem zamku. Jest tutaj okropnie zimno, ale mam na sobie płaszcz i wełniane rękawiczki, które stopniowo stały się mitenkami na wszystkich palcach z wyjątkiem jednego kciuka. Ab, nasz piękny bladurudy kot, grzeje mi brzuch; pochylam się nad nim, by pisać. Jego prawdziwe imię brzmi Abelard, by pasowało do Heloizy (nie muszę mówić, że to Topaz nadała im imiona), ale prawie nigdy tak się na niego nie woła. Ma dość przyjemną naturę, nie egzaltowaną; rzadko okazuje takie specjalne względy, jakimi obdarza mnie dzisiejszego popołudnia.

Dziś chciałabym zacząć od tego:

JAK PRZYJECHALIŚMY NA ZAMEK

Kiedy ojciec był w więzieniu, mieszkaliśmy w londyńskim pensjonacie, bo mama nie chciała znowu znaleźć się koło przeskakującego przez płot sąsiada. Gdy ojca wypuszczono, zdecydował się kupić dom na wsi. Myślę, że musieliśmy być raczej zamożni w tamtych czasach, bo *Boje Jakuba* sprzedawały się nadzwyczaj dobrze jak na tak dziwną książkę, a odczyty ojca przyniosły jeszcze więcej zysku niż sprzedaż. A mama miała własny dochód.

Ojciec wybrał Suffolk jako odpowiednie hrabstwo, więc zatrzymaliśmy się w hotelu King's Crypt, Królewska Krypta, i jeździliśmy codziennie w poszukiwaniu domu; wtedy mieliśmy jeszcze samochód. Ojciec i mama z przodu, Rose, Thomas i ja z tyłu. Bawiliśmy się świetnie, bo ojciec był we wspaniałym nastroju: Pan Bóg świadkiem, że wtedy wcale nie było mu ciężko na duszy. Ale na pewno był uprzedzony do wszystkich sąsiadów; widzieliśmy mnóstwo ładnych wiejskich domów, ale on nawet nie brał ich pod uwagę.

Była późna jesień, bardzo łagodna i złota. Uwielbiam spokojne kolory rżyska i mgliste łągi. Rose nie przepada za nizinnym

krajobrazem, ale ja go zawsze lubiłam, bo równina stanowi dobre zestawienie z niebem. Pewnego wieczoru, podczas pięknego zachodu słońca, zgubiliśmy się. Mama miała mapę i cały czas mówiła, że teren jest do góry nogami, a kiedy ułożyła ją prawidłowo, wtedy nazwy na mapie były do góry nogami. Rose i ja się z tego śmiałyśmy; podobało nam się, że się zgubiliśmy. A ojciec był idealnie cierpliwy wobec mamy, jeśli chodzi o tę mapę.

Nagle zobaczyliśmy wysoką okrągłą wieżę na małej górcie. Ojciec natychmiast zdecydował, że musimy ją zbadać, chociaż mama nie wydawała się zachwycona. Wieżę trudno było znaleźć, bo wąskie drogi były kręte, a zagajniki i wioski wciąż skrywały ją przed nami, chociaż co parę minut migąła nam przez moment i wtedy ojciec, Rose i ja wpadaliśmy w wielki entuzjazm. Mama cały czas mówiła, że Thomas za późno pójdzie spać, a on spał, kołysząc się na siedzeniu między Rose i mną.

W końcu dojechaliśmy do zniszczonego drogowskazu z napisem: TYLKO DO BELMOTTE I ZAMKU, wskazującego wąską, zarośniętą ścieżkę. Ojciec natychmiast skręcił na nią i wolno potoczyliśmy się do przodu, a jeżyny czepiały się auta, jakby próbowały je zatrzymać; pamiętam, że pomyślałam o księciu, który musiał się przedzierać przez las, by dotrzeć do Śpiącej Królowny. Żywopłot był tak wysoki i wąska droga skręcała tak często, że mogliśmy widzieć tylko na parę jardów przed sobą. Mama wciąż powtarzała, że powinniśmy zawrócić, zanim utkniemy, i że zamek jest pewnie bardzo daleko. Potem nagle wyjechaliśmy na otwartą przestrzeń i zobaczyliśmy na wzniesieniu wieżę, której szukaliśmy – wcale nie samotną. Przed nami był całkiem duży zamek, zbudowany na płaskim terenie. Ojciec krzyknął i w następnej chwili wyskoczyliśmy z auta, wytrzeszczając oczy ze zdumienia.

Jak dziwnie i pięknie wyglądał zamek w świetle odchodzącego dnia! Ciągle potrafię przywołać ten pierwszy widok: pionowe, strome szare kamienne ściany i wieże na tle bladożółtego nieba, odbicie zamku biegnące w naszą stronę po powierzchni wody w fosie i pływające na niej szmaragdowe plamy wodorostów.

Najmniejszy powiew wiatru nie marszczył zwierciadła wody, nie dobiegał żaden dźwięk. Nasze podekscytowane głosy sprawiały, że zamek wydawał się jeszcze bardziej milczący.

Ojciec wskazał na wartownię – miała dwie okrągłe wieże połączone w połowie pokojem z oknami o kamiennych słupkach. Na prawo od wartowni nie było nic prócz rozpadających się ruin, ale na lewo odcinek murów obronnych z blankami łączył ją z narożną okrągłą wieżą. Most nad fosą prowadził do wielkiej, nabijanej gwoździami dębowej bramy pod oknami wartowni, a małe drzwi wycięte w tej wielkiej bramie były lekko uchylone. Kiedy ojciec je zauważył, ruszył natychmiast w ich kierunku. Mama mówiła coś niejasno o wkraczaniu na teren prywatny i próbowała nas zatrzymać, żebyśmy nie szły za nim, ale w końcu pozwoliła nam iść, a sama została z Thomasem, który się obudził i trochę popłakiwał.

Jak dobrze pamiętam ten bieg przez ciszę, zapach mokrego kamienia i mokrego zielska, kiedy przechodziliśmy przez most, a także chwilę podniecenia, gdy weszliśmy przez małe drzwi! Minąwszy je, znaleźliśmy się w chłodnym półmroku korytarza wartowni. To tam po raz pierwszy poczułam zamek – to miejsce, gdzie człowiek jest najbardziej świadomy wielkiego ciężaru kamienia nad sobą i dookoła siebie. Byłam zbyt mała, by wiedzieć wiele o historii i przeszłości; zamek kojarzył mi się tylko z bajką. Dziwne, dotkliwe zimno było tak hipnotyzujące, że kurczowo złapałam Rose. Razem pobiegliśmy w stronę dziennego światła i stanęliśmy jak wryte.

Po naszej lewej stronie zamiast szarych murów i wież, których się spodziewaliśmy, był długi dom z cegły ułożonej w jodełkę, cały w siatce wyblakłych drewnianych belek. Fragmenty ścian między belkami były pokryte białym tynkiem. Miał rozmaite dziwne okienka z małymi szybkami w ołowianych ramkach, jasnozłote od zachodzącego słońca, a szczyt poddasza wyglądał, jakby zaraz miał runąć. To wszystko należało do innej bajki. Tak właśnie wyobrażałam sobie domek Jasia i Małgosi i przez sekundę obawiałam się, że wiedźma, która musiała czyhać w środku, porwała

ojca. Potem zobaczyłam, że próbował wejść kuchennymi drzwiami. Wrócił, biegnąc przez zarośnięty ogród na dziedzińcu, i wołając, że małe okno koło frontowych drzwi jest otwarte i że może podsadzić Rose, by weszła do środka i nas wpuściła. Byłam zadowolona, że mówił o Rose, a nie o mnie – ja bałabym się znaleźć w tym domu sama choćby przez sekundę. Rose nigdy nie boi się niczego; próbowała wspiąć się na okno, zanim ojciec tam dotarł, żeby jej pomóc. Dostała się do środka i słyszeliśmy, jak walczyła z ciężkimi zasuwami. Potem z triumfem gwałtownie otworzyła drzwi.

Kwadratowy hol był ciemny, zimny i miał okropny zapach stęchlizny. Każdy kawałek stolarki był w ponurym rudobrunatnym kolorze, pomalowany tak, by imitować słoje drewna.

– To nie do uwierzenia – wybuchnął ojciec – że ktoś mógł w ten sposób potraktować taką starą piękną boazerię.

Poszliśmy za nim do pokoju na lewo, który miał ciemnoczerwoną tapetę i duży kominek pokryty ochronną grafitową warstwą. Było tam ładne małe okno wychodzące na ogród, ale pokój wydał mi się ohydny.

– Podwieszany sufit – powiedział ojciec, wyciągając się, by w niego popukać. – O Boże, widzę, że wiktoriańscy mieszkańcy jak najgorzej obeszli się z tym wszystkim.

Wróciliśmy do holu, po czym weszliśmy do dużego pokoju, który teraz jest naszym salonem; rozciąga się na całą długość domu. Rose i ja przebiegłyśmy przez pokój i uklękłyśmy na szerokiej ławeczce w wykuszowym oknie, a ojciec otworzył te ciężkie wielodzielne okna, tak że mogłyśmy popatrzeć w dół i zobaczyć swoje odbicie w fosie. Potem pokazał nam, jak gruby jest mur, i wyjaśnił, że dom pochodzi z czasów Stuartów i został zbudowany na ruinach zamku.

– Kiedyś musiał być piękny... i mógłby znowu być – powiedział, wpatrując się w pole po ściętym zbożu. – Pomyślcie, jaki to będzie widok w lecie, kiedy zboże dochodzi do samej fosy.

Potem się odwrócił i krzyknął ze zgrozy, ujrawszy tapetę. Powiedział, że wygląda jak gigantyczne rozkwaszone żaby. I rzeczywiście tak wyglądała, a jeszcze do tego było okropieństwo

w postaci kominka obramowanego kafelkami w kolorze tabaczkowym. Ale okna z szybami w kształcie rombów, wychodzące na ogród, i zachód słońca w całej okazałości były piękne i już zakochałam się w fosie.

Kiedy Rose i ja machałyśmy do naszego odbicia, ojciec poszedł krótkim przejściem do kuchni i nagle usłyszałyśmy, jak krzyczy: „Świnie, świnie!”. Przez moment myślałam, że znalazł świnie, ale okazało się, że po raz kolejny wyrażał swoją opinię o ludziach, którzy zepsuli dom. Kuchnia była naprawdę straszna. Została podzielona na parę małych pomieszczeń. W jednym z nich trzymano kury; był tam wielki opadający podwieszany sufit, schody z poręczą i szafki pomalowane we wzór słoików drewna w rudobrunatnym kolorze, tak samo jak hol. Najbardziej zaniepokoił mnie tobołek łachmanów i wiązka słomy, gdzie pewnie musieli spać włóczędzy. Trzymałam się od tego jak najdalej i byłam zadowolona, kiedy ojciec ruszył schodami na górę.

Sypialnie były tak samo oszpecone jak pokoje na dole – podwieszane sufity, wstrętne kominki, obrzydliwe tapety. Ale byłam zachwycona, kiedy zobaczyłam okrągłą wieżę, łączącą się z pokojem, który teraz należy do Rose i do mnie. Ojciec próbował otworzyć drzwi do niego, ale były zabite gwoździami, więc poszedł dalej przez podest.

– Ta narożna wieża, którą widzieliśmy z zewnątrz, musi być gdzieś tutaj – powiedział.

Poszłyśmy za nim do dzisiejszego małego pokoju Thomasa, szukając tej wieży, a potem do łazienki. Stała tam ogromna wanna z szerokim mahoniowym obramowaniem i dwa sedesy z mahoniowymi siedzeniami, tuż koło siebie, pod jedną pokrywą. Ceramiczne detale były udekorowane widokami zamku Windsor, którego dół opadał, kiedy spłukiwało się muszlę. Wyżej widniał napis pozostawiony przez poprzednich mieszkańców: „Podnieś mnie, a nie sprawię ci zawodu”. Ojciec usiadł na brzegu wanny i wybuchnął gromkim śmiechem. Nigdy nie dał nic zmienić w łazience, więc nawet ten napis ciągle tam jest.

Narożna wieża znajdowała się między wanną a sedesami. Nie było do niej drzwi; zaczęliśmy się wspinać po krętych kamiennych schodach w środku, ale były tak pokruszone, że musieliśmy zawrócić. Jednak doszliśmy dość wysoko, by znaleźć wyjście na szczyt murów obronnych; było tam całkiem szerokie przejście mające z obu stron parapet z blankami. Mogliśmy stamtąd zobaczyć mamę w aucie, tulącą Thomasa.

– Nie wołajcie do niej – poprosił nas ojciec – bo będzie się martwić, że skrećimy karki.

Górą murów doszliśmy do jednej z wież wartowni; w środku były drzwi prowadzące ze schodów do dawnej izby wartownika.

– Dzięki Bogu, to nie jest zeszpecone – powiedział ojciec, kiedy tam weszliśmy. – Mógłbym pracować w tym pokoju!

Były tam wielodzienne okna z kamiennymi słupkami, wychodzące na dziedziniec, oraz inne, od frontu, z widokiem na podjazd. Ojciec powiedział, że pochodzą z czasów Tudorów, z późniejszego okresu niż sama wartownia, lecz są o wiele wcześniejsze niż dom.

Wróciliśmy do wieży i stwierdziliśmy, że kręte schody są w wystarczająco dobrym stanie, żeby pójść wyżej. Kiedy jednak weszliśmy powoli w ciemność, pożałowałam, że były takie dobre; ojciec palił zapałki, ale zawsze przychodziła ta straszna czarna chwila, gdy zapałka gasła. I zimny, szorstki kamień, którego dotykałam dłońmi i gołymi kolanami, wydawał się dziwny. Ale kiedy w końcu wyszliśmy na szczyt muru obronnego wieży, poczułam, że było warto. Nigdy w życiu nie byłam tak wysoko. Triumfowałam, że znalazłam w sobie dość odwagi, żeby tam dojść. Nie miałam zresztą wielkiego wyboru; Rose przez cały czas popychała mnie z tyłu.

Staliśmy tam, patrząc w dół na podjazd i na pola ciągnące się daleko po obu stronach. Z tej wysokości mogliśmy zobaczyć, jak żywopłoty tworzą szachownicę z pól. Widać było kilka zagajników i około mili w lewo maleńką wioskę. Ruszyliśmy wokół szczytu wieży, żeby popatrzeć na ogród na dziedzińcu – i wszyscy krzyknęliśmy: „Jest!”, w tym samym momencie. Za zrujnowanymi

murami w zachodniej części dziedzińca znajdowało się małe wzniesienie, a na nim stała wysoka wieża, której szukaliśmy, jadąc tutaj tak długo. Zastanawiam się teraz, dlaczego nie zobaczyliśmy jej od razu, idąc korytarzem wartowni. Może zarośnięty ogród zasłaniał widok, a może byliśmy zbyt zdumieni na widok domu, żeby popatrzeć w przeciwnym kierunku.

Ojciec dał nurka na schody. Ja zawołałam: „Czekaj, czekaj!”. Obrócił się i wziął mnie na ręce, pozwalając Rose pójść przodem i palić zapalki. Domyślał się, że dół schodów musi być w korytarzu wartowni, ale Rose zużyła ostatnią zapalkę, gdy dotarliśmy do przejścia prowadzącego na mury. Poszliśmy wzdłuż nich z powrotem do łazienki i na dół, niewielkimi ładnymi schodami frontowymi, do holu. Mama właśnie wchodziła przez główne drzwi, żeby nas szukać; ciągnęła gniewnego, zaspanego Thomasa – nigdy nie lubił zostawać sam w aucie. Ojciec pokazał jej wieżę na wzniesieniu – teraz, kiedy wiedzieliśmy, gdzie patrzeć, mogliśmy ją od razu zobaczyć – i poprosił, żeby poszła z nami; po czym pobiegł przez ogród na dziedzińcu. Odparła, że nie da rady z Thomasem. Pamiętam to uczucie, że powinnam z nią zostać, ale nie zostałam. Pognałam za ojcem i Rose.

Przeleźliśmy przez zrujnowane mury, które opasywały ogród, i przeszliśmy nad fosą po chybottliwym moście w południowo-zachodnim rogu. Dotarliśmy do stóp góry, a ojciec wyjaśnił nam, że to jest dawny wał ziemny, a nie prawdziwa góra (odtąd zawsze mówimy na to „kopiec”). Pokrywała go krótka i gładka darń i już nie było tam ruin. Na szczycie musieliśmy gramolić się przez jakieś nasypy, które zdaniem ojca stanowiły kiedyś zewnętrzny system obrony. Doszliśmy do szerokiego trawiastego płaskowyzu. Na jego odległym krańcu znajdował się mniejszy kopiec, okrągły i bardzo gładki; wyrastała z niego wieża wysoka na sześćdziesiąt stóp, czarna na tle gasnącej łuny zachodu słońca. Wejście było na wysokości około piętnastu stóp na szczycie zewnętrznych kamiennych schodów; ojciec usiłował otworzyć drzwi, ale bez powodzenia, więc tamtego wieczoru nie zobaczyliśmy wnętrza wieży.

Chodziliśmy dookoła małego kopca, a ojciec wyjaśnił nam, że taka niewielka fortyfikacja polowa to gródek, a szeroki trawiasty płaskowyż to pas obronny; powiedział też, że cała ta część jest o wiele starsza od zamku z fosą. Słońce zaszło, zerwał się wiatr i wszystko zaczęło wyglądać przerażająco, ale ojciec mówił dalej, radośnie i z ożywieniem. Nagle Rose odezwała się: „To jest jak wieża w *Wiedźmach z Lancashire*, gdzie żyła Mateczka Demdike”³. Rose kiedyś czytała mi fragmenty tej książki na głos, aż mnie tak wystraszyła, że mama kazała jej przestać. Wtedy właśnie usłyszeliśmy, jak mama woła z dołu; jej głos brzmiał wysoko, dziwnie i dość rozpaczliwie. Złapałam Rose za rękę i powiedziałam: „Chodź, mama jest przerażona”. Wmawiałam sobie, że biegnę pomóc mamie, ale w rzeczywistości bałam się pozostawać tu dłużej.

Ojciec powiedział, że lepiej, byśmy już wszyscy wracali. Wspięliśmy się po nasypie, a potem Rose i ja chwyciliśmy się za ręce i popędziliśmy w dół po gładkim zboczu – prędeż i prędeż, aż myślałam, że upadniemy. Kiedy biegłyśmy, byłam straszliwie przerażona, ale mi się to podobało. Cały ten wieczór był taki.

Kiedy dotarliśmy do domu, mama siedziała na progu przed frontowymi drzwiami, tuląc Thomasa, który znowu zasnął.

– Czyż to nie jest cudowne? – zawołał ojciec. – Biorę to, nawet jeżeli zostaniemy bez pensa.

Mama powiedziała:

– Jeżeli to ma być mój krzyż, mam nadzieję, że Bóg da mi siłę, by go nieść.

Ojciec zaśmiał się na to, a ja czułam się lekko zszokowana. Nie mam pojęcia, czy żartowała, ale właściwie coraz jaśniej zdaję sobie sprawę, jak mglisty stał się dla mnie jej obraz. Nawet jeśli pamiętam to, co mówiła, nie mogę przypomnieć sobie tonu głosu. I chociaż ciągle widzę jej sylwetkę skuloną na schodach tego dnia, plecy, kiedy byliśmy w aucie, brązowy tweedowy kostium i pognieciony filcowy kapelusz, to nie mogę odtworzyć sobie jej twarzy. Kiedy próbuję, widzę po prostu jej fotografię, którą mam.

Rose i ja poszliśmy z nią do auta, a ojciec spacerował, aż się

zrobiło ciemno. Pamiętam, że widziałam go, jak wyszedł na mury koło wartowni – i dziwiłam się, że też byłam tam na górze. Nawet o zmierzchu mogłam dostrzec jego złote włosy i wspaniały profil.

W tamtym czasie był szczupły, ale barczysty – zawsze wyróżniał się okazałą posturą.

Był tak rozemocjonowany, że zaczął bardzo szybko jechać z powrotem do King's Crypt, a Rose, Thomas i ja po prostu objaliśmy się o siebie na tylnym siedzeniu. Mama zwróciła mu uwagę, że to nie jest bezpieczne na tych wąskich drogach, a wtedy zwolnił do tempa ślimaka, co sprawiło, że Rose i ja zaczęłyśmy się śmiać. Mama powiedziała: „Wszystko ma swój sens i Thomas powinien już być w łóżku”. Thomas nagle usiadł i pisnął: „Ojejku, tak, powinienem być”, co rozśmieszyło nawet mamę.

Następnego dnia, popytawszy i zebrawszy informacje, ojciec poszedł do Scoatney Hall. Kiedy wrócił, powiedział, że pan Cotton nie chce sprzedać zamku, ale wydzierżawił mu go na czterdzieści lat.

– I mogę zrobić z zamkiem wszystko, co mi się podoba, bo starszy pan się zgadza, że nie mógłbym go w żaden sposób doprowadzić do większej ruiny.

Rzecz jasna, ojciec sprawił, że zamek jest w znacznie lepszym stanie – pobielił ściany, odkrył boazerię w salonie spod ośmiu warstw tapety, usunął najgorsze kominki, podwieszane sufity i ścianki działowe w kuchni. Wiele innych rzeczy zamierzał zrobić, szczególnie jeżeli chodzi o wygody. Wiem, że mama chciała mieć centralne ogrzewanie i maszynę do wytwarzania prądu elektrycznego, ale ojciec wydał tyle na stylowe meble, jeszcze zanim rozpoczęły się prace remontowe w zamku, że mama przekonała go, że trzeba zmniejszyć wydatki do minimum. Zawsze się planowało, że pożyteczne rzeczy zostaną zrobione później; może kiedy ojciec napisze następną książkę.

Wprowadziliśmy się na wiosnę. Szczególnie pamiętam popołudnie, kiedy pierwszy raz zobaczyliśmy gotowy salon. Wszystko było takie świeże: perkalowe zasłony w kwiaty, piękne błyszczące stare meble,

biała boazeria – musiała zostać pomalowana, w tak złym była stanie. Zafascynował mnie wielki dzban gałązek brzozowych; siedziałam na podłodze, gapiąc się na nie, podczas gdy Rose grała swój ulubiony utwór, *Do lilii wodnej*, na starym fortepianie mamy. Nagle wszedł ojciec i nie posiadając się z radości, powiedział, że za oknem czeka na nas niespodzianka. Z rozmachem otworzył szeroko wielodzielne okna, a tam w fosie dostojnie pływały dwa łabędzie. Wychyliłyśmy się, by nakarmić je chlebem, a powiew wiosennego powietrza poruszał brzozowe listki i wpadał do środka. Potem poszłam do ogrodu, gdzie trawniki zostały przycięte, a grządki kwiatowe uporządkowane. Kwitło bardzo dużo wczesnych dużych kwiatów laku, które pięknie pachniały. Ojciec układał książki w pokoju wartowni. Zawołał:

– Czy nie uważacie, że to wspaniały dom?

Zgodziłam się z nim, że dom jest wspaniały, i ciągle tak myślę. Ale każdy, kto przetrwa tu zimę, będzie czuł, że na biegunie północnym jest duszno.

Jak dziwna jest pamięć. Kiedy zamykam oczy, widzę trzy różne zamki. Jeden w świetle zachodzącego słońca, jak w ten pierwszy wieczór; drugi cały świeży i czysty, jak na początku naszych dni tutaj. Ostatni obraz jest przejmująco smutny, bo nie ma już pięknych mebli; w pokoju jadalnym został tylko dywan; no, ale nie brak nam za bardzo tego pokoju – pierwszego, który zobaczyliśmy, zwiedzając zamek – bo zawsze był zbyt oddalony od kuchni. W salonie stoi jeszcze kilka krzeseł i, dzięki Bogu, nikt nie kupi nigdy fortepianu, bo jest tak wielki i stary. Niestety, perkalowe zasłony wypłowiały i wszystko wygląda na zanedbane. Kiedy przyjdzie wiosna, musimy naprawdę spróbować trochę odświeżyć nasz dom – wciąż możemy sobie pozwolić przynajmniej na brzozowe gałązki.

Jesteśmy biedni już od pięciu lat; po śmierci mamy żyliśmy, jak sędzę, z kapitału, który zostawiła. Nigdy się wtedy nie martwiłam o takie rzeczy, bo byłam pewna, że prędzej czy później ojciec znowu coś zarobi. Mama wychowała nas w przekonaniu, że ojciec

jest geniuszem, a geniuszy nie można poganiać.

Co mu jest? I co on robi cały czas? Wczoraj napisałam, że czyta powieści detektywistyczne, ale to jest dziecinne uogólnienie, bo panna Marcy rzadko może mu pożyczyć więcej niż dwie książki tygodniowo (choć on po pewnym czasie czyta niektóre od nowa, co wydaje mi się zdumiewające). Naturalnie, czyta też inne książki. Wszystkie wartościowe sprzedaliśmy (jak mi ich brak!), choć jeszcze zostało sporo innych, w tym stare niekompletne wydanie *Encyclopaedia Britannica*; wiem, że ją czyta – bawi się w jakąś grę, sprawdzając tam odsyłacze. I jestem pewna, że bardzo intensywnie myśli. Kilka razy, kiedy nie odpowiedział na moje pukanie do drzwi pokoju w wartowni, weszłam tam i ujrzałam go zapatrzonego w przestrzeń. Przy dobrej pogodzie spacerował, ale teraz od miesięcy nie wychodzi. Zerwał kontakty z wszystkimi przyjaciółmi w Londynie. Jedyną osobą, z którą się tu zaprzyjaźnił, to pastor, najmiłszy człowiek pod słońcem; kawaler mający starszą gospodynię. Teraz, jak o tym myślę, widzę, że i jego unikał tej zimy.

To, że ojciec stroni od towarzystwa, bardzo utrudnia nam poznanie jakichkolwiek ludzi – a i tak nie ma ich tu zbyt wielu. Wieś jest maleńka: tylko kościół, plebania, mała szkoła, gospoda, jeden sklep (w którym jest także poczta) i skupisko chat; a jednak pastor ma całkiem sporą grupkę parafian z okolicznych osad i gospodarstw. Nasza wieś jest bardzo ładna i ma nieprawdopodobną nazwę Godsend – co może wyglądać na „dar niebios”, a jest przekreśloną formą Godys End, co pochodzi od nazwiska normańskiego rycerza, Etienne’a de Godysa, który zbudował zamek Belmotte. Nasz zamek – mam na myśli ten z fosą, gdzie jest nasz dom – też się nazywa Godsend; został zbudowany przez jakiegoś późniejszego de Godysa.

Nikt naprawdę nie zna pochodzenia nazwy „Belmotte” – cały kopiec i wieża na nim tak się nazywają. Można by przypuszczać, że „Bel” pochodzi z francuskiego, ale pastor wyznaje teorię, że nazwa pochodzi od Bela, boga słońca, którego kult wprowadzili Fenicjanie, i że kopiec został wzniesiony po to, by mogły być tam palone ognie wotywnie w wigilię letniego przesilenia; pastor uważa, że

Normanowie po prostu to wykorzystali. Ojciec nie wierzy w teorię o bogu Belu i mówi, że Fenicjanie czcili gwiazdy, a nie słońce. W każdym razie kopiec jest bardzo dobrym miejscem do czczenia zarówno słońca, jak i gwiazd. Sama tam trochę oddaję im cześć, kiedy mam czas.

Chciałam przepisać do tego pamiętnika mój esej o zamkach, który napisałam dla Towarzystwa Historycznego, ale jest bardzo długi i ma strasznie kwiecisty styl (musieli cierpieć ci, co go czytali!), więc go krótko streszczę.

ZAMKI

Wydaje się, że we wczesnym okresie normańskim jako system obronny istniały tylko kopce z rowami i drewniane palisady. Wewnątrz takiego systemu obronnego stawiano drewniane budynki, a czasem również wysoki, usypany z ziemi gródek (mała fortyfikacja polowa), który służył jako punkt obserwacyjny. Późniejsi Normanowie wznosili wielkie kwadratowe kamienne wieże (nazywane stołpami albo słupami), ale okazało się, że można podminować narożniki tych wież – oczywiście podminowanie znaczyło w tamtych czasach podkopanie, a nie stosowanie materiałów wybuchowych – tak więc zaczęto budować wieże okrągłe, do których należy Belmonte. Potem wieże stołpy otaczano wysokimi murami, czyli ścianami fortyfikacyjnymi, zwanymi kurtyną. Często przybierały one formę czworokątu, z wieżami przy wartowni, na rogach i pośrodku z każdej strony, tak że obrońcy mogli zobaczyć wroga, który usiłował podkopać się lub wspiąć na mury, i go odeprzeć. Ale wróg znał wiele innych sprytnych sztuczek, a przede wszystkim miał broń zwaną *trébuchet*, czyli maszynę miotającą, która mogła przerzucać wielkie kamienie – lub martwego konia – ponad murem obronnym, czyniąc duże szkody. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł, żeby mury obronne otoczyć fosą. Naturalnie zamki z fosą trzeba było budować na płaskim gruncie; wieża Belmonte, wystrzelająca ze swojego kopca, musiała być bardzo starym zabytkiem z czasów, kiedy był wznoszony zamek Godsend. A potem wszystkie zamki stopniowo stały się starymi budowlami; a żołnierze Cromwella – Okrągłe Głowy – zburzyli nasze mury obronne z dwóch stron z kawałkiem.

Długo przedtem ród de Godysów wygasł i obydwa zamki przeszły

w ręce rodziny Cottonów ze Scoatney, przez córkę. Budynek wzniesiony na ruinach przez pewien czas był jej wdowim wianem, potem stał się po prostu wiejską zagrodą. A teraz nie jest już nawet tym; jest tylko domem zrujnowanych Mortmainów.

Och, skąd my mamy wziąć pieniądze? Z pewnością jesteśmy dość inteligentni, żeby jakoś zarobić albo korzystnie wyjść za mąż – to znaczy Rose by mogła, bo ja podchodziłabym do małżeństwa tak ochoczo jak do grobu i nie sądzę, że zdołałabym się dobrze spisać. Ale jak Rose ma kogokolwiek poznać? Kiedyś co roku jeździłyśmy do Londynu i zatrzymywałyśmy się u ciotki ojca, która ma dom i sadzawkę z liliami w Chelsea oraz hołubi artystów. Ojciec poznał tam Topaz. Ciocia Millicent nigdy mu nie wybaczyła, że się z nią ożenił, no i teraz nas już nie zaprasza. Jest to bolesne, bo oznacza, że nie spotykamy żadnych mężczyzn, choćby nawet artystów. O, ja biedna! Mam kiepski nastrój. Kiedy pisałam, żyłam przeszłością i otaczało mnie jej światło; najpierw złoto jesieni, potem srebrne światło wiosny i dalej dziwne światło, szare, ale ekscytujące, w którym widzę dawne dzieje. A teraz wróciłam na ziemię i deszcz bije w okno na poddaszu, lodowaty przeciąg pędzi po schodach na górę, a kot Ab uciekł na dół i już nie grzeje mi brzucha.

Boże, jak leje! Zacinający deszcz okrywa Belmonte niczym woalka. Ale czy w deszczu, czy w słońcu, Belmonte zawsze wygląda cudownie. Chciałabym, żeby nadeszło już letnie przesilenie, żebym mogła zapalić mój ofiarny ogień na kopcu.

Słysząc bulgocący hałas w kotle, co oznacza, że Stephen pompuje wodę. O, radosna myśli, dziś jest moja kolej na kąpiel! I jeżeli Stephen przyszedł, to musi już być pora kolacji. Pójdę na dół i będę bardzo uprzejma dla wszystkich. Szlachetne uczynki i gorąca kąpiel są najlepszym lekarstwem na przygnębienie.

3 Książka *The Lancashire Witches* Williama Harrisona Ainswortha (1805–1882), angielskiego pisarza historycznego (przyp. red.).

IV

Zupełnie nie spodziewałam się tego, co wieczór miał przynieść – coś się naprawdę u nas wydarzyło. Moja wyobraźnia marzy o tym, żeby popędzić naprzód i ułożyć dalszy rozwój wypadków; ale zauważyłam, że jeśli rzeczy dzieją się w wyobraźni, to nigdy nie mają miejsca w prawdziwym życiu, więc staram się opanować. Zamiast pozwalać sobie na snucie zwodniczych nadziei, opiszę wieczór od początku, ze spokojną radością, bo teraz każda chwila wydaje się pasjonująca z powodu tego, co nastąpiło później.

Znalazłam schronienie w stodole. Po tym, co stało się wczoraj wieczorem, Rose i Topaz robią wiosenne porządki w salonie. Są cudownie bez troski; kiedy znikalam stamtąd, Rose śpiewała *Pamiętasz Capri* – bardzo wysokim głosem, a Topaz szantę *Blow the Man Down* – bardzo niskim. Poranek też wydaje się bez troski, cieplejszy w promieniach słońca, chociaż cała wiejska okolica jest jeszcze podtopiona. Stodołę – wynajmujemy ją panu Stebbinsowi, jednak jesteśmy mu tyle winni za mleko i masło, że już nam nie płaci – wypełnia wielka sverta siczki; wspięłam się na nią i otworzyłam kwadratowe okno pod dachem, tak że mogę wyjrzeć. Patrzę przez ścierniska, zaorane pola i zamokłą ozimą pszenicę w stronę wsi, gdzie dym z kominów idzie prosto w górę w nieruchomym powietrzu. Wszystko jest jasnozłote, wymyte do czysta i pełne nadziei.

Kiedy wczoraj zesłam ze strychu, zobaczyłam, że Rose i Topaz ufarbowały wszystko, co im wpadło w ręce, łącznie ze ścierką do naczyń i ręcznikiem z rolki. Zanurzyłam swoją chusteczkę do nosa w wielkiej cynowej balii pełnej zielonej farby i też mnie to zafascynowało; naprawdę można się poczuć bardzo władczo, jak Pan Bóg, kiedy nadaje się rzeczom inny kolor. Ufarbowałam swoje obie koszule nocne, a potem razem wzięłyśmy się do prześcieradeł Topaz, co było tak wielkim przedsięwzięciem, że wyczerpało nasz entuzjazm. Ojciec przyszedł na kolację i nie był zbyt zadowolony, że Topaz ufarbowała jego żółty rozpinany sweter – teraz ma kolor bardzo starego mchu. I uważał, że nasze ręce, zielone aż do łokci, są odrażające.

Mieliśmy prawdziwe masło na kolację, ponieważ pan Stebbins dał Stephenowi trochę, kiedy ten poszedł dogadać się w sprawie pracy (zaczął na farmie dziś rano); a pani Stebbins przysłała plaster miodu. Stephen położył to przy moim miejscu przy stole i czułam się jak pani domu. Nie przypuszczam, by nawet milionerzy mogli jeść coś smaczniejszego na kolację niż świeży chleb, prawdziwe masło i miód.

Rzadko słyszy się taki deszcz, jaki padał w czasie naszego posiłku. Nigdy nie jestem szczęśliwa, kiedy żywioły popadają w skrajności; nie żebym się bała, ale wyobrażam sobie zboląłą wiejską okolicę sieczoną ulewą, aż w końcu sama czuję się obita. Z Rose jest dokładnie odwrotnie: ona jakby podjudza jeszcze pogodę, domagając się głośniejszych grzmotów i niemal prowokując zygzaki błyskawic. Podeszła do drzwi w czasie tej ulewy i poinformowała nas, że ogród jest kompletnie zalany.

– Podjazd zamieni się w rzekę – zauważyła z satysfakcją, zapominając, że w ciągu najbliższej godziny Thomas będzie musiał przyjechać tu na rowerze; był dziś dłużej w szkole, bo miał wykład.

– Pozwól, że coś dodam do twojego szczerego zachwytu nad gwałtownością natury – odezwał się ojciec – i przypomnę ci, że wkrótce będzie przynajmniej sześć wspianiałych nowych przecieków w naszym dachu.

W kuchni już jeden powstał; Stephen postawił pod nim wiadro. Powiedziałam mu, że na strychu w dwóch miejscach zaczęło kapać, zanim zeszłam na dół, ale wiadra już tam były. Poszedł zobaczyć, czy się nie przelewają, i wrócił, oznajmiając, że znalazł jeszcze cztery przecieki. Skończyły nam się wiadra, więc wziął trzy rondle i wazę do zupy.

– Może lepiej zostanę tam i będę je opróżniał, gdy się napełnią. – Zabrał książkę i parę ogarków świec, a ja pomyślałam, jak mu tam będzie ponuro czytać poezję wśród tych sześciu przecieków.

Umyłyśmy naczynia po kolacji. Potem Rose i Topaz poszły do pralni strzepnąć ufarbowane prześcieradła. Ojciec siedział przy ogniu, czekając, żeby przestało padać, zanim wyruszy z powrotem do wartowni. Tkwił tak, zupełnie nieruchomo, po prostu patrząc przed siebie. Uderzyło mnie, jak słaby mam z nim kontakt. Podeszłam do ojca, siadłam na osłonie paleniska i zaczęłam mówić o pogodzie; nagle zdałam sobie sprawę z tego, że prowadzę konwersację jak z kimś obcym. To mnie przygnębiło tak bardzo, że nie potrafiłam wymyślić, co jeszcze mogłabym powiedzieć. Po paru minutach milczenia odezwał się:

– A więc Stephen dostał pracę na farmie Four Stones. Pokiwałam jedynie głową, a on popatrzył na mnie jakoś dziwnie i zapytał, czy lubię Stephena. Odrzekłam, że oczywiście, lubię, tylko jego wiersze są krępujące.

– Powinnaś mu powiedzieć, że wiesz, że on je przepisuje – oznajmił ojciec. – Będziesz wiedziała, jak to zrobić... zachęć go, żeby napisał coś własnego, od siebie, nawet gdyby to miało być słabe. Bądź bardzo rzeczowa wobec niego, moje dziecko... możesz nawet być trochę chłodna.

– Nie sędzę, że to by mu się spodobało – odparłam. – Przypuszczam, że potraktowałby chłód jako lekceważenie. A wiesz, jak mnie zawsze lubił.

– No i dlatego potrzeba tu odrobiny chłodu – powiedział ojciec. – Chyba że... Oczywiście, on jest nadzwyczaj przystojnym młodzieńcem. Cieszę się, że nie wybrał Rose.

Musiałam wyglądać na bardzo zdziwioną. Ojciec się uśmiechnął i mówił dalej:

– Och, nie zaprzataj sobie tym głowy. Masz tyle zdrowego rozsądku, że pewnie instynktownie zrobisz to, co należy. Nie ma sensu prosić Topaz, żeby ci coś doradziła, bo ona by pewnie uznała, że to wszystko jest bardzo piękne i naturalne. I z tego, co wiem, to może takie być. Bóg wie, co z wami będzie, dziewczęta.

Nagle poczułam, że wiem, o czym mówi.

– Rozumiem – powiedziałam – i będę chłodna... w granicach rozsądku.

Ale zastanawiam się, czy sobie kiedykolwiek z tym poradzę. I również się zastanawiam, czy to jest rzeczywiście konieczne. Przecież sympatia Stephena to nic poważnego ani dorosłego. Ale teraz, gdy podsunęto mi ten pomysł, ciągle przypominam sobie, jak dziwny miał głos, kiedy pytał, czy nie jestem głodna. Martwi mnie to, ale jest dość ekscytujące... Przestanę o tym rozmyślać, takie sprawy w ogóle mi się nie podobają. Są bardzo w stylu Rose i wiem, co ojciec miał na myśli, mówiąc, że się cieszy, że Stephen jej nie wybrał.

Topaz wróciła z pralni i nastawiła żelazka, więc ojciec zmienił temat i zapytał mnie, czy ufarbowałam wszystkie swoje ubrania na zielono. Powiedziałam, że wcale nie mam ich wiele.

– A jakieś długie suknie w ogóle masz?

– Ani jednej – odparłam. I właściwie nie widzę najmniejszej szansy na to, że kiedykolwiek dostanę ubrania dla dorosłych. – Ale moja szkolna sukienka jeszcze całkiem dobrze wygląda i jest wygodna.

– Muszę coś dla niej przerobić z moich rzeczy – odezwała się Topaz.

Czułam, że brak ubrań źle świadczy o ojcu, i próbując zmienić temat, postąpiłam najbardziej nietaktownie, jak tylko mogłam.

– Jak idzie praca? – zapytałam.

Jego twarz stała się nieobecna, nieprzenikniona i rzucił tylko krótko:

– Jesteś za duża, żeby wierzyć w bajki.

Wiedziałam, że popełniłam gafę, i pomyślałam, że równie dobrze mogę posunąć się trochę dalej.

– Naprawdę, ojczu, wcale nie próbujesz pisać?

– Moja droga Cassandro – rzekł lodowatym tonem, którego rzadko używa. – Już czas skończyć z tą legendą, że jestem pisarzem. Nie dostaniesz z moich zarobków żadnych sukni na wejście w dorosłe życie.

Wstał i już bez słowa poszedł na górę. Pluję sobie w brodę za bezmyślne zaprzepaszczenie naszej pierwszej rozmowy od miesiący.

Właśnie wtedy wrócił Thomas, cały mokry. Ostrzegłam go, żeby nie przechodził przez sypialnię ojca, jak zwykle robimy, więc ruszył na górę od frontu. Zaniósłam mu suchą bieliznę – na szczęście rzeczy z tego tygodnia były poprasowane – po czym poszliśmy zobaczyć, jak sobie radzi Stephen.

Poprzyklejał ogarki świec do podłogi, blisko otwartej książki, i czytał, leżąc na brzuchu. Jego twarz była oślepiająco jasna na tym wielkim ciemnym strychu. Stałam przez chwilę, przyglądając się jego poruszającym się wargom, zanim mnie usłyszał. Woda w rondlach prawie się przelewała. Kiedy pomagałam mu wylewać ją przez okno, zobaczyłam, że w wartowni pali się lampa, więc ojciec musiał wrócić tam mimo deszczu. A deszcz wreszcie zelżał. Powietrze pachniało nadzwyczaj świeżo. Wychyliłam się przez okno i poczułam, że na zewnątrz jest o wiele cieplej niż w domu – nasz dom zawsze potrzebuje trochę czasu, żeby przyjąć do wiadomości zmianę pogody.

– Będzie panienka miała niedługo wiosnę – odezwał się Stephen. Staliśmy, wdychając powietrze.

– Jest już całkiem łagodne, prawda? – powiedziałam. – Uznam, że to już wiosenny deszcz. A może sama siebie oszukuję? Wiesz, zawsze próbuję zaczynać wiosnę za wcześnie.

Wychylił się z okna i wziął głęboki wdech.

– Naprawdę się zaczyna, panienko Cassandro – odrzekł. – Może

będą jeszcze jakieś wahnięcia, ale już się zaczyna. – Nagle się uśmiechnął, nie do mnie, lecz patrząc wprost przed siebie, i dodał: – Początki to dobry czas.

Potem zamknął okno i znów postawiliśmy rondle pod kapiącą wodę, która grała dźwięczną melodyjkę w pustych garnkach. Ogarki świec na podłodze rzucały najdziwniejsze cienie i sprawiały, że Stephen wydawał się bardzo wysoki. Przypomniałam sobie, jak ojciec mówił o nim, że jest nadzwyczaj przystojnym młodzieńcem; a potem – że nie pamiętałam, żeby być wobec niego chłodna.

Poszliśmy z powrotem do kuchni i dałam Thomasowi coś do jedzenia. Topaz prasowała swoją jedwabną popołudniową suknię, która wyglądała cudownie: przedtem była niebieska i spłowieła, ale ufarbowała się na dziwny morski kolor. To chyba z jej powodu Rose była wyjątkowo ponura. Zaczynała prasować bawełnianą sukienkę, która nie ufarbowała się zbyt dobrze.

– Och, co za sens zajmować się letnimi ubraniami – mruknęła. – Nie mogę sobie wyobrazić, że w ogóle kiedyś znowu będzie ciepło.

– Dziś naprawdę czuje się w powietrzu wiosnę – powiedziałam do niej. – Wyjdź, to sama się przekonasz.

Rose nigdy nie ekscytuje się porami roku, więc nie zwróciła uwagi na moje słowa, ale Topaz natychmiast podeszła do drzwi i otworzyła je gwałtownie. Potem odrzuciła głowę do tyłu, rozłożyła szeroko ramiona i wzięła głęboki oddech.

– To tylko powiew wiosny, jeszcze nie pełny triumf – zauważyłam, lecz ona była tak urzeczona, że nie słyszała.

Byłam niemal pewna, że zaraz da nura w noc, ale po paru głębokich oddechach poszła na górę przymierzyć swoją popołudniową suknię.

– Nie pojmuję – odezwała się Rose. – Tyle czasu minęło, a ja ciągle nie wiem, czy ona tak się zachowuje, bo tak czuje naprawdę, czy udaje, żeby zrobić wrażenie na nas, a może na sobie samej.

– Wszystko razem – odrzekłam. – I jeżeli jej to pomaga cieszyć się życiem, to nie mam do niej pretensji.

Rose poszła zamknąć drzwi i stała w nich minutę, ale nocne

powietrze nie poprawiło jej nastroju. Trzasnęła drzwiami i powiedziała:

– Gdybym wiedziała, co desperackiego można zrobić, tobym to zrobiła.

– O co ci dokładnie chodzi, Rose? – zapytał Thomas. – Zadręczasz się od paru dni i to jest okropnie nudne. Przy Topaz możemy się przynajmniej pośmiać, a ty jesteś po prostu monotonicznie ponura.

– Nie mów z pełnymi ustami – zwróciła mu uwagę Rose. – Ja się czuję ponuro. Nie mam się w co ubrać, nie mam żadnych perspektyw, mieszkam w rozpadającej się ruinie i nie czeka mnie nic oprócz starości.

– No, tak to wygląda już od lat – zauważył Thomas. – Dlaczego teraz nagle zaczęło cię to martwić?

– To przez tę długą, ciężką zimę – podsunęłam.

– To jest długa, ciężka zima mojego życia – powiedziała patetycznie Rose, co tak rozśmieszyło Thomasa, że aż się zakrztusił. Rose miała dość zdrowego rozsądku, żeby też się roześmiać. Podeszła do stołu i przysiadła na nim, jakby trochę mniej zagniewana. – Stephen, ty chodzisz do kościoła. Czy tam ciągle wierzą w diabła? – spytała.

– Niektórzy wierzą – odpowiedział Stephen. – Chociaż nie przypuszczam, żeby pastor wierzył.

– Diabeł jest niemodny – wtrąciłam.

– Wobec tego mogłoby mu pochlebiać, gdybym w niego wierzyła... i pracowałby dla mnie wyjątkowo ciężko. Sprzedam mu swoją duszę, jak Faust.

– Faust sprzedał swoją duszę, żeby odzyskać młodość – zauważył Thomas.

– To ja sprzedam swoją, żeby przeżyć młodość, kiedy ją jeszcze mam – powiedziała Rose. – Czy on usłyszy, jak go zawołam, czy też muszę znaleźć jakąś diabelską groblę albo diabelską studnię, albo coś takiego?

– Możesz wypowiedzieć życzenie do naszego gargulca – zaproponowałam.

Chociaż była zdesperowana, teraz miała... no, taki żartobliwy nastrój, czego nie widziałam u niej już od dawna i chciałam to podtrzymać.

– Przynieś drabinę, Stephen – powiedziała.

To, co nazywamy gargulcem, jest właściwie tylko wyrzeźbioną w kamieniu głową, wysoko nad kuchennym paleniskiem. Ojciec uważa, że tam w górze była kaplica zamkowa, bo zostało trochę żłobkowanej kamieniarki i mała wnęka, być może na święconą wodę. Starą ścianę bielono tyle razy, że kontury się zatarły.

– Drabina tam nie dosięgnie, panienko Rose – odezwał się Stephen – a pastor mówi, że to głowa anioła.

– No, ale teraz ma diabelski wyraz twarzy – odrzekła Rose – a diabeł to upadły anioł.

Wszyscy popatrzyliśmy do góry na kamienną głowę i naprawdę miała trochę diabelski wyraz; jej loczki były poobijane, a to, co zostało, wyglądało jak rogi.

– Może miałyby to nadzwyczajną moc, gdybyś wypowiedziała swoje życzenie do anioła i myślała o diable – zasugerowałam. – Tak jak czarownice odprawiające mszę na odwrót.

– Moglibyśmy podnieść cię na suszarce do ubrań – zaproponował Thomas.

Suszarca była podciągnięta wysoko i wisały na niej ufarbowane prześcieradła. Rose kazała Stephenowi ją obniżyć, a on popatrzył na mnie, czy się zgadzam. Rose się skrzywiła i podeszła do dolnego krążka. Powiedziałam:

– Jak musisz się wygłupiać, to najpierw zdejmę prześcieradła. Tak więc Rose obniżyła suszarkę, a Stephen pomógł mi ułożyć je na dwóch stojakach do wietrzenia ubrań. Thomas trzymał linę, kiedy Rose usiadła na środku listewek, sprawdzając, czy wytrzymają.

– Suszarca wytrzyma – zapewnił Stephen. – Pomagałem ją robić i jest bardzo mocna. Nie wiem tylko, co z liną i krążkami.

Usiadłam koło Rose, myśląc, że jeżeli pod ciężarem nas obu nic nie trzaśnie, to ona sama też będzie bezpieczna. Wyraz jej oczu i mocne rumieńce wskazywały, że nie ma sensu próbować ją od tego

odwieść. Pokuśtałyśmy się trochę, po czym Rose orzekła:

– Wytrzyma. Podciągnij mnie.

Stephen podszedł, by pomóc Thomasowi.

– Panienko Cassandra, panienska nie – powiedział. – To niebezpieczne.

– Widzę, że nie obchodzi cię, czy ja skręcę kark – parsknęła Rose.

– No, wolałbym, żeby panienska nie skręciła – odparł Stephen – ale wiem, że żadna prośba nie zatrzyma panienki. I to panienska chce wypowiedzieć życzenie do anioła, a nie panienska Cassandra.

Z przyjemnością też bym wypowiedziała jakieś życzenie, ale tak wysoko nie wjechałabym nawet za dożywotnią pensję.

– To jest diabeł, a nie anioł, mówię wam – oznajmiła Rose. Przez jakąś minutę siedziała, machając nogami, potem spojrzała na nas po kolei. – Może ktoś ze mną?

– Nie! – zawołaliśmy chórem, co musiało być dla niej bardzo irytujące.

– Wobec tego jadę sama. Podciągnijcie mnie.

Thomas i Stephen podciągnęli suszarkę. Kiedy była jakieś dziesięć stóp nad podłogą, poprosiłam ich, żeby się zatrzymali.

– Jak tam jest, Rose? – spytałam.

– Dziwnie, ale to przyjemna odmiana. Dalej, chłopcy.

Znowu pociągnęli liny. Ta rzeźbiona kamienna głowa wisi pewnie na wysokości ponad dwudziestu stóp i kiedy Rose jechała coraz wyżej i wyżej, poczułam, że żołądek mi się skręca – chyba aż do tej chwili nie uświadamiałam sobie, jakie to było niebezpieczne. Gdy znalazła się już zaledwie parę stóp od głowy, Stephen zawołał:

– Wyżej się nie da!

Wyciągnęła rękę, ale nie mogła dotknąć głowy. Krzyknęła do nas:

– Tu jest oparcie dla stopy. Wygląda, jakby były tu kiedyś schody! W następnej sekundzie pochyliła się do przodu, złapała wystający kamień i zrobiła krok w stronę ściany. Lampa na stole nie rzucała zbyt wiele światła do góry i to wszystko wyglądało straszliwie niebezpiecznie.

– Pospiesz się i kończ już z tym! – zawołałam, z coraz bardziej

nieprzyjemnym uczuciem w nogach i w żołądku.

Musiała zrobić tylko jeden krok w górę po ścianie, by dosięgnąć głowy.

– On z bliska wcale nie jest piękny – oznajmiła. – Co mam mu powiedzieć, Cassandro?

– Poklep go po głowie – podsunęłam. – Pewnie od wieków nikt nie okazał mu żadnych uczuć.

Rose poklepała gargulca z czułością. Wzięłam lampę, podnosząc ją jak najwyżej, ale Rose nadal była ledwie widoczna. Wyglądała zupełnie niezwykle, prawie jakby leciała w górę po ścianie albo była na niej namalowana. Zawołałam:

Niebiański diable albo diabelski święty,
spełnij nasze życzenie, wysłuchaj naszej prośby,
zamek Godsend łaknie daru niebios...

...i utknęłam.

– Jeżeli on jest diabłem, to będzie dar diabła – rzekł Thomas. I właśnie wtedy jakieś auto głośno zatrafiło na drodze koło zamku Godsend, a Thomas dodał: – Właśnie kusy idzie po ciebie.

Dostrzegłam, że Rose się wzdrygnęła.

– Ściągnijcie mnie na dół! – krzyknęła zmienionym głosem i klapnęła na suszarkę.

Przez jedną potworną sekundę bałam się, że chłopcy mogli nie spodziewać się ciężaru, ale byli przygotowani i opuścili ją ostrożnie. Kiedy tylko jej stopy dotknęły ziemi, zeskoczyła i siadła na podłodze.

– Klakson auta mnie przestraszył – powiedziała całkiem roztrzęsiona. – Popatrzyłam w dół i zakręciło mi się w głowie.

Poprosiłam ją, by opisała dokładnie swoje odczucia tam na górze, ale odparła, że nic nie czuła, dopóki nie zakręciło jej się w głowie. To jest ogromna różnica między nami: ja miałabym nieskończoną liczbę wrażeń i chciałabym zapamiętać je wszystkie, a ona myślała tylko o wypowiedzeniu życzenia do kamiennego gargulca.

– Nie wypowiedziałas żadnego życzenia, prawda? – spytałam. Roześmiała się.

– Ha! Jednak powierzyłam mu parę tajemnic.

Właśnie wtedy do kuchni weszła Topaz; miała na sobie sztormiak, kapelusz ziuwestkę i kalosze i wyglądała, jakby się dokądś wybierała łodzią ratunkową. Powiedziała, że jej ufarbowana suknia popołudniowa tak bardzo się skurczyła, że nie może w niej oddychać, i że Rose może ją sobie wziąć. Potem wyszła zamaszystym krokiem, zostawiając szeroko otwarte drzwi.

– Nie zachłyśnij się nocą, dobrze? – zawołał za nią Thomas.

– Oto jest początek twojego szczęścia – rzekłam do Rose, która popędziła na górę, by przymierzyć suknię.

Thomas poszedł odrabiać lekcje w swoim pokoju, no to pomyślałam, że równie dobrze mogę zacząć się kąpać, i zapytałam Stephena, czy nie będzie mu przeszkadzało, jak to zrobię w kuchni; zazwyczaj biorę kąpiel w kuchni, ale to znaczy, że on musi omijać ją przez długi czas, i wtedy czuję się winna. Taktownie odrzekł, że ma właśnie coś do zrobienia w stodole i że pomoże mi przygotować kąpiel.

– Ale w balii jest pełno farby – przypomniałam sobie. Wylaliśmy farbę i Stephen wypłukał balię.

– Boję się, że farba może jeszcze brudzić, panienko Cassandro – powiedział. – Czy nie lepiej byłoby iść do łazienki?

Wanna w łazience jest tak ogromna, że gorącej wody wystarcza ledwie na parę cali, a z wieży strasznie wieje. Zdecydowałam, że zaryzykuję raczej farbę. Przenieśliśmy balię bliżej ognia, Stephen nalał gorącej wody z kotła i pomógł mi zrobić zasłonę z wieszaków, na których były rozpostarte zielone prześcieradła; z reguły używam do tego płacht chroniących meble przed kurzem. No i ponieważ nasze wieszaki do wietrzenia ubrań mają dobre pięć stóp wysokości, to moja kąpiel zawsze jest jak najbardziej przyzwoita, ale czuję się lepiej, kiedy mam całą kuchnię dla siebie.

– Co weźmie panienka do czytania dziś wieczór? – zapytał Stephen.

Powiedziałam, że tom od BIS do CAL naszej starej encyklopedii *Człowiek i Nadczłowiek* (którą właśnie ponownie pożyczyłam od

pastora – czuję, że umknęły mi niektóre niuanse, kiedy pięć lat temu czytałam ją po raz pierwszy) i zeszlotygodniowy egzemplarz „Home Chat”⁴, uprzejmie pożyczony przez pannę Marcy. Lubię mieć różne lektury przy kąpeli. Stephen przygotował mi to wszystko, a ja naszykowałam sobie przybory do mycia. I kiedy już zapalił latarnię, by iść do stodoły, nagle wręczył mi tabliczkę mlecznej czekolady z orzechami, za całe dwa pensy.

– Jak to zdobyłeś? – wykrztusiłam.

Wyjaśnił, że dostał ją na kredyt na podstawie tego, że ma pracę.

– Wiem, że lubi panienka zjeść coś podczas kąpeli. A poza książkami i czekoladą niewiele można ze sobą zabrać, prawda? No, może jeszcze radio.

– Tylko nie bierz radia na kredyt. – Roześmiałam się. Podziękowałam za czekoladę i poczęstowałam go, ale nie chciałam wziąć ani kawałka i poszedł do stodoły.

Właśnie miałam wchodzić do balii, kiedy Heloiza zaskomlała pod tylnymi drzwiami i trzeba było ją wpuścić. Naturalnie chciała podejść do ognia, co oznacza drobną niewygodę, jako że żadną miarą nie jest dobrym towarzystwem przy kąpeli – jej kochające łapy są w stanie boleśnie podrapać. Jednak wydawała się senna, więc zajęłyśmy się swoimi sprawami w zupełnej zgodzie. Za wysokim, chroniącym od przeciągów parawanem było nadzwyczaj przytulnie; różowawy blask ognia nadał zielonym prześcieradłom fascynujący kolor. Wpadłam na wspaniały pomysł, by usiąść na naszym największym obiadowym półmisku i w ten sposób uniknąć farby, tylko rowki na odprowadzenie sosu okazały się nieco niewygodne.

Jest przyjęte, jak sędzę, żeby najpierw umyć się w wannie, a pławić się później; ja osobiście pławię się na początku. Odkryłam, że pierwsze parę minut jest najlepsze i nie należy ich marnować – mój umysł zawsze kipi pomysłami i nagle życie wygląda o wiele lepiej niż przedtem. Ojciec mówi, że gorąca woda może być tak ożywcza jak alkohol, i chociaż mnie nigdy nie udaje się go zdobyć – chyba że liczy się porto, które pastor daje mi w buteleczce po lekarstwie na

moje rytuały przesilenia letniego – wcale mnie to nie dziwi. Tak więc najpierw się pływam, potem myję, a następnie czytam tak długo, jak długo woda jest gorąca. Ostatni etap kąpieli, kiedy woda stygnie i nie ma już na co się cieszyć, może przynosić spore rozczarowanie. Sądzę, że alkohol działa w podobny sposób.

Tym razem, pływając się, myślałam o moich bliskich i to dzięki gorącej wodzie mogłam myśleć o nich i jednocześnie odczuwać przyjemność kąpieli. No bo rzeczywiście jesteśmy nieszczęsną gromadką: ojciec gnuśniejący w wartowni, Rose wściekająca się na życie, Thomas... no, pogody ducha mu nie brakuje, ale wiadomo, że jest wiecznie niedożywiony. Topaz jest na pewno najszczęśliwsza, bo nadal jeszcze myśli, że to romantyczne być żoną ojca i mieszkać w zamku; a jej malarstwo, lutnia i niepohamowane obcowanie z naturą są dla niej wielką pociechą. Założę się, że nic nie miała pod sztormiakiem i zamierzała wejść na kopiec, by tam go zrzucić. Będąc przez wiele lat modelką malarzy, nie interesuje się nudyzmem jako takim. Pasjonuje ją jednak najbliższy kontakt z żywiołami. Wywołało to kiedyś niemałe zakłopotanie na farmie Four Stones, postanowiła więc zrzucić ubranie tylko nocą. Oczywiście zima to martwy sezon dla nagości, ale Topaz jest cudownie odporna na chłód i na pewno zapach wiosny w powietrzu ją porwał. Wprawdzie trochę się ociepliło, ale wciąż było daleko do prawdziwego ciepła, i myśl o niej, tam na kopcu, sprawiła, że moja kąpiel stała się przyjemniejsza niż kiedykolwiek.

Zjadłam połowę czekolady i chciałam dać resztę Rose, ale Heloiza biła ogonem z taką nadzieją, że się z nią podzieliłam; była mi tak ogromnie wdzięczna, że wręcz się bałam, że wejdzie do bali. Uspokoila ją, zniechęciłam do lizania mydła i właśnie zaczęłam się myć, kiedy ktoś załomotał do drzwi.

Ciągle nie mogę pojąć, dlaczego zawołałam: „Proszę”. Przypuszczam, że powiedziałam to automatycznie. Akurat namydliłam twarz, co zawsze sprawia, że człowiek czuje się bezbronny, i kiedy nagle otworzyłam oczy, dostało się do nich mydło; po omacku sięgnęłam po ręcznik, gdy usłyszałam, że drzwi

się otwierają. Heloiza zaczęła gwałtownie ujadać i popędziła w ich kierunku – cud, że nie przewróciła wieszaków. Przez następnych parę sekund trwało pandemonium, kiedy Hel szczełała najgłośniej, jak tylko potrafi, a dwóch mężczyzn próbowało ją uciszyć. Nie odwoływałam jej, bo wiem, że ona nigdy nikogo nie gryzie, i bardzo nie chciałam wyjaśniać, że jestem w kąpielni, zwłaszcza że nie miałam nawet ręcznika, żeby się owinąć; zdążyłam już otworzyć oczy i zdałam sobie sprawę, że musiałam go zostawić gdzieś w kuchni. Na szczęście Heloiza uspokoiła się po jakiejś minucie.

– Czy słyszałeś, że ktoś powiedział „proszę”? – odezwał się jeden z mężczyzn i domyśliłam się, że to Amerykanin. Miał przyjemny głos, jakim mówią mili ludzie w amerykańskich filmach, nie gangsterzy. Zawołał: – Jest tu ktoś?

Ale ten drugi zaraz go uciszył, mówiąc:

– Chcę najpierw obejrzeć to miejsce. Jest wspaniałe.

Ten głos mnie zaskoczył. Nie brzmiał jak czysty angielski, ale też nie jak amerykański, a przy tym nie miał obcego akcentu. To był zupełnie niezwykły głos, bardzo spokojny i interesujący.

– Zdajesz sobie sprawę, że ta ściana jest częścią starego zamku? – powiedział ten głos.

Nie była to dla mnie miła chwila, gdy pomyślałam, że mężczyzna zaraz podejdzie, by obejrzeć ścianę z paleniskiem, ale akurat wtedy Thomas wszedł na schody. Mężczyźni wyjaśnili, że skręcili w naszą drogę przez przypadek i ich auto ugrzęzło w błocie. Potrzebowali pomocy, by je wydobyć.

– A jeżeli będziemy musieli je zostawić na całą noc, to chcieliśmy was uprzedzić – oznajmił amerykański głos – bo auto blokuje podjazd.

Thomas powiedział, że pójdzie zobaczyć, i słyszałam, jak bierze z pralni swoje buty.

– To cudowny stary dom – dodał niezwykły głos, a ja się przestraszyłam, że poproszą, by mogli się rozejrzeć.

Ale ten drugi zaczął opowiadać, jak utknął ich samochód, i spytał, czy mamy konie, by go wyciągnąć, i po jakiejś minucie Thomas

wyszedł z nimi. Usłyszałam, że trzasnęły drzwi, i odetchnęłam z ulgą.

Poczułam się jednak trochę zawiedziona; przykro było myśleć, że nie widziałam tych mężczyzn i nigdy ich nie zobaczę. Próbowałam wyobrazić sobie twarze, które pasowałyby do głosów, i nagle zdałam sobie sprawę, że woda stawała się chłodna, a ja nawet nie zaczęłam się myć. W końcu wzięłam się do roboty, lecz żadne szorowanie nie robiło wrażenia na moich ufarbowanych na zielono ramionach. Myłam się bardzo dokładnie i kiedy skończyłam, mężczyźni już kompletnie wylecieli mi z głowy. Wskoczyłam, wzięłam jeszcze jeden dzbanek gorącej wody z kotła stojącego przy ogniu i właśnie zabierałam się do czytania, kiedy usłyszałam, że drzwi znowu się otwierają.

Ktoś wszedł do kuchni i byłam pewna, że to nikt z rodziny – oni zawołaliby do mnie, a przynajmniej zachowywaliby się znacznie hałaśliwiej. Czułam, że ktoś po prostu stoi i patrzy. Po chwili nie mogłam już tego dłużej znieść i zawołałam głośno:

– Kimkolwiek jesteś, ostrzegam, że się tutaj kąpię!

– Mój Boże, bardzo przepraszam – odezwał się mężczyzna, ten ze spokojnym głosem. – Była tu pani parę minut temu?

Odpowiedziałam, że byłam, i zapytałam, czy samochód jeszcze tkwi w błocie.

– Poszli po konie, żeby go wyciągnąć – odrzekł – więc wróciłem tutaj po cichu, by obejrzeć to wszystko. Nigdy nie widziałem takiego miejsca.

– Tylko się wytrę, pozbieram myśli i pana oprowadzę – zaproponowałam.

Wytarłam twarz i szyję w rozwieszzone prześcieradła, ale ciągle nie zdobyłam się na zimny spacer po ręcznik. Zapytałam go, czy nie widzi gdzieś ręcznika, ale nie był w stanie go dojrzeć, więc uklękłam w balii, rozsunęłam zielone prześcieradła i wystawiłam głowę. Odwrócił się w moją stronę. Byłam zaskoczona. Miał czarną brodę.

Nigdy nie znałam nikogo, kto by miał brodę, z wyjątkiem pewnego

starca w przytułku dla ubogich w Scoatney, który wyglądał jak Święty Mikołaj. Ta broda była inna, przystrzyżona i spiczasta – raczej elżbietańska. Ale zadziwiające, że głos nieznanego brzmiał całkiem młodo.

– Witam. – Uśmiechnął się, a z jego tonu domyśliłam się, że wziął mnie za dziecko. Znalazł ręcznik i już chciał podejść, by mi go podać, ale zaraz zatrzymał się i powiedział: – Nie bój się. Położę go tak, żebyś go mogła dosięgnąć, i wracam na podwórze.

– Nie boję się – odparłam – ale nie wygląda pan tak, jak brzmi pański głos. – Roześmiał się, a ja uświadomiłam sobie, że byłam niegrzeczna, i dodałam szybko: – Nie musi pan wychodzić oczywiście. Może pan usiądzie? Na pewno nie chcę wydawać się niegościnna. – I znów dotarło do mnie, że było to najbardziej pompatyczne zdanie, jakie wygłosiłam w życiu.

Zaczęłam wysuwać jedno ramię między prześcieradłami, by chwycić ręcznik.

– Będzie katastrofa, jeśli zrobisz to w ten sposób – powiedział. – Podam ci ręcznik zza rogu.

Kiedy cofnęłam głowę z powrotem za prześcieradła, zobaczyłam wysuwającą się zza nich jego rękę. Złapałam ręcznik i właśnie miałam poprosić, by podał mi też ubranie, kiedy drzwi otworzyły się ponownie.

– Szukałem cię wszędzie, Simon – usłyszałam amerykański głos. – To jest absolutnie niesamowite miejsce... właśnie widziałem ducha.

– Bzdura – rzucił mężczyzna z brodą.

– Słowo daję, jak byłem na drodze. Poświeciłem latarką w stronę wieży na wzgórzu i mignęła mi tam biała postać.

– Pewnie koń.

– Żaden koń, to szło wyprostowane. Ale, do licha, może ja naprawdę tracę zmysły. Wyglądało, jakby nie miało nóg.

Domyśliłam się, że Topaz nie zdjęła swoich czarnych kaloszy.

– Przestań już o tym mówić – szepnął mężczyzna z brodą. – Za tymi prześcieradłami kąpie się jakieś dziecko.

Zawołałam, żeby mi ktoś przyniósł moje ubrania, i wystawiłam

rękę.

– O Boże, to jest zielone dziecko! – wykrzyknął Amerykanin. – Co to za miejsce, dom Usherów?⁵

– Nie jestem wcale zielona – wyjaśniłam. – To tylko dlatego, że wszyscy tu farbowaliśmy⁶.

– No to może widziałem jednego z waszych duchów – oznajmił Amerykanin.

Mężczyzna z brodą podszedł i podał mi ubranie.

– Nie przejmuj się duchami – powiedział. – Jasne, że nie widział żadnego ducha.

– No, z łatwością mógł coś zobaczyć na szczycie kopca – przyznałam – ale pewnie była to moja macocha obcująca z naturą.

Już wyszłam z kąpieli, w stosownie udrapowanym ręczniku, więc teraz moja głowa wystawała o wiele wyżej niż przedtem, kiedy klęczałam w balii. Amerykanin najwyraźniej był zaskoczony.

– Jest pani znacznie większym dzieckiem, niż mi się wydawało – zauważył.

Kiedy brałam swoje ubranie, zobaczyłam drugiego mężczyznę. Jego twarz pasowała do głosu, była miła i świeża. Miałam dziwne wrażenie, że ją znam. Później przyszło mi do głowy, że w amerykańskich filmach często widuje się młodych ludzi podobnych do niego; nie głównego bohatera, ale brata bohaterki albo mężczyzn na stacji benzynowej. Zobaczył, że na niego patrzę, i odezwał się:

– Witam. Opowiedz mi więcej o swojej beznogiej macosze i reszcie rodziny. Czy masz siostrę, która jadąc konno, gra na harfie albo coś takiego?

Wtedy właśnie na górze Topaz zaczęła grać na swojej lutni. Musiała wślizgnąć się frontowymi drzwiami. Młodzi ludzie zaczęli się śmiać.

– Proszę bardzo, jest – powiedział z zachwytem Amerykanin.

– To nie harfa, tylko lutnia – poprawił go ten z brodą. – No, to rzeczywiście zdumiewające. Zamek, lutnia...

I wtedy na schodach pojawiła się Rose. Miała na sobie ufarbowaną

na zielono popołudniową suknię o średniowiecznym kroju, z długimi, powłóczystymi rękawami. Oczywiście nie wiedziała, że w domu są obcy ludzie, i zawołała:

– Cassandro, popatrz!

Obydwaj mężczyźni obrócili się w jej stronę, a ona skamieniała na górze schodów. Jak nigdy, lutnia Topaz była nastrojona. I nadzwyczaj stosownie, Topaz grała *Greensleeves*⁷.

4 „Home Chat” (Domowa Pogawędka) – angielski ilustrowany magazyn dla kobiet, wydawany w latach 1895–1960 (przyp. red.).

5 Z noweli Edgarda Allana Poe *Zagłada domu Usherów* (przyp. tłum.).

6 Ang. *dye* – „farbować” – wymawia się tak samo jak *die* – „umrzeć” (przyp. tłum.).

7 *Greensleeves* (Zielone rękawy) – angielska piosenka ludowa z drugiej połowy XVI wieku (przyp. red.).

V

P óźniej. Znowu na stercie sieczki w stodole. Musiałam zostawić Rose własnemu losowi na szczycie schodów, ponieważ Topaz zadzwoniła na lunch. Była zbyt zajęta, żeby gotować, więc mieliśmy zimną brukselkę i zimny gotowany ryż – wcale nie moje najbardziej ulubione jedzenie, ale doskonale sycące. Jedliśmy w salonie posprzątanym na wysoki połysk. Pomimo płonących polan było tam lodowato; zauważyłam, że pokoje nadzwyczaj czyste wzmagają odczucie zimna.

Rose i Topaz szukają teraz w żywopłotach czegoś, co można wstawić do dużych dzbanów z Devon. Topaz mówi, że jak nic nie znajdą, weźmie gołe gałęzie i przywiąże do nich coś zabawnego – jeżeli tak zrobi, to jestem pewna, że mi się to nie spodoba; można jednak sądzić, że dziewczyna tak ceniąca nagość jak Topaz pozwoli gołym gałęziom pozostać bez niczego.

Nikt z nas nie przyznaje się do tego, że spodziewamy się wizyty Cottonów jak najrychlej, ale wszyscy mamy szaloną nadzieję. Bo to właśnie byli oni, to znaczy ci dwaj mężczyźni: Cottonowie ze Scoatney, jadący tam pierwszy raz. Nie mam pojęcia, dlaczego nie domyśliłam się natychmiast, bo przecież dobrze wiedziałam, że posiadłość przeszła w ręce Amerykanina. Najmłodszy syn starego pana Cottona pojechał do Stanów na początku dwudziestego wieku – zdaje się, po jakiejś wielkiej rodzinnej awanturze – i później został

obywatelem amerykańskim. Oczywiście wtedy wydawało się nieprawdopodobne, że mógłby odziedziczyć Scoatney, ale dwaj starsi bracia zginęli na wojnie, a następny brat wraz ze swoim synem zginął w wypadku samochodowym jakieś dwanaście lat temu. Później ten amerykański syn usiłował pogodzić się z ojcem, ale starszy pan nie życzył sobie go widzieć, dopóki ten ponownie nie stanie się Anglikiem, czego on nie chciał zrobić. Zmarł jakiś rok temu i ci dwaj młodzi ludzie są jego synami. Simon – to ten z brodą – powiedział wczoraj wieczorem, że kiedy właśnie namówił swojego angielskiego dziadka, żeby go przyjął, biedny, samotny, stary pan Cotton zmarł, co jest naprawdę bardzo smutne.

Młodszy syn ma na imię Neil. Jego wymowa różni się tak od sposobu mówienia brata, bo wychował się w Kalifornii, gdzie jego ojciec miał ranczo. A Simon mieszkał z matką w Bostonie i Nowym Jorku. (Rozumiem, że rodzice byli rozwiedzeni. Pani Cotton przebywa teraz w Londynie i niedługo zjedzie do Scoatney). Ojciec zauważył, że akcent Simona jest amerykański, i dodał, że w Ameryce jest tyle samo różnych akcentów co w Anglii – może nawet więcej. Powiedział, że Simon mówi szczególnie pięknym angielskim, takim trochę wcześniejszym niż ten modny dzisiaj. Ma przy tym fascynujący głos, ale mnie chyba bardziej podoba się młodszy brat.

Szkoda, że to Simon jest dziedzicem, spadkobiercą, bo Rose uważa, że broda jest odrażająca; ale może uda nam się jej pozbyć. Czy chcę przez to w istocie powiedzieć, że moja siostra jest zdecydowana wyjść za mąż za człowieka, którego widziała tylko raz i który wcale jej się za bardzo nie podoba? To w połowie prawda i w połowie wymysł. Zdaje mi się, że to taka gra, w którą bawi się większość dziewcząt, kiedy spotkają jakichkolwiek młodych ludzi spełniających niezbędne warunki. One to po prostu... rozważają. A jeżeli jakaś rodzina kiedykolwiek miała potrzebę takiego rozważania, to na pewno nasza. Ale tylko w wypadku Rose. Zadałam sobie pytanie, czy ja sama mam jakieś osobiste oczekiwania, i szczerze mówiąc – nie, wcale nie. Wolałabym

umrzeć, niż wyjść za mąż za któregokolwiek z tych miłych młodych ludzi.

Niedorzeczność! Wolałabym wyjść za mąż za obydwu, niż umrzeć. Ale przyszło mi do głowy, gdy tak tu siedzę w stodole najedzona zimnym ryżem, że jest coś okropnego w tym, jak często dziewczęta pędzą w myślach do małżeństwa na długo przedtem, zanim pomyślą o miłości. I większość głów, z których te myśli pochodzą, jest zamknięta na to, co małżeństwo naprawdę znaczy. Prawdę mówiąc, sama wiem to głównie z książek, bo nie znam żadnych dziewcząt poza Rose i Topaz. Ale niektóre postacie w książkach wydają się bardzo prawdziwe – u Jane Austen są; i wiem, że na początku *Dumy i uprzedzenia* ta piątka panien Bennet po prostu tylko czeka, by znaleźć łup: młodych mężczyzn z Netherfield Park, i ani przez chwilę nie zastanawia się nad istotą małżeństwa. Ciekawa jestem, czy Rose o tym myśli. Muszę sprawić, by pomyślała, zanim się w coś zaangażuje. Na szczęście ja jestem świadoma tych rzeczy; pasierbica Topaz nie mogłaby być nieświadoma. Wiem, skąd się biorą dzieci. I to dla mnie nic wielkiego.

To był wspaniały moment, kiedy Rose stała tam na szczycie schodów. Pomyślałam o Beatrix z powieści Thackeraya *Historia Henryka Esmonda* – ale Beatrix nie potknęła się o kraj swojej sukni na trzecim stopniu od dołu i nie musiała chwytać poręczy ufarbowaną na zielono ręką. Wszystko jednak skończyło się jak najlepiej, choć Rose wyglądała na bardzo skrępowaną widokiem Cottonów – widziałam to po sposobie, w jaki płynęła w dół: z wdziękiem, ale trochę afektowanie. Kiedy się potknęła, Neil Cotton rzucił się naprzód, by jej pomóc, a potem wszyscy zaczęli się śmiać i mówić naraz, i Rose zapomniała o swoim zażenowaniu.

Kiedy w pośpiechu wkładałam ubranie, schowana za zielonymi prześcieradłami, Cottonowie wyjaśnili, kim są. Byli w Anglii dopiero od paru dni. Zastanawiałam się, jak bym się czuła na miejscu Simona – przybywając po raz pierwszy nocą do takiego wielkiego domu jak Scoatney i wiedząc, że należy do mnie. Przez sekundę wydawało mi się, że patrzę jego oczami, i rozumiałam, jak

dziwnie musiał wyglądać nasz zamek, nagle wyrastający z przesiąkniętego wodą krajobrazu angielskiej wsi. Wyobraziłam sobie, jak Simon zaglądał przez okno nad zlewem – bo założę się, że tak było – zanim wrócił sam, bez brata. Chyba odebrałam ten obraz prosto z jego myśli, bo gdy tylko to zobaczyłam, on powiedział:

– Nie mogłem uwierzyć, że ta kuchnia jest prawdziwa, to było jak oglądanie drzeworytu w starej książce z bajkami.

Mam nadzieję, że pomyślał też, że Rose wygląda jak księżniczka z bajki – bo z całą pewnością tak było. I była taka czarująca, taka swobodna; cały czas śmiała się swoim ładnym śmiechem. Myślałam o tym, jak inna wydawała się w tym swoim ponurym nastroju niespełna pół godziny temu, i przypomniałam sobie, jak wypowiadała swoje życzenie do diabła-anioła. I wtedy właśnie wydarzyło się coś dziwnego. Simon Cotton wydawał się równie zafascynowany Rose jak kuchnią i cały czas spoglądał to na moją siostrę, to na kuchnię. Wyjął latarkę – nazywając ją z amerykańską *flashlight* – żeby przyjrzeć się ścianie paleniska (ja już wtedy byłam ubrana), i poświecił w górę, na kamienną głowę, a potem podszedł do wąskiego okna, które wychodzi na fosę, w najciemniejszym kącie kuchni. Latarka zgasła, a on ją odwrócił, żeby sprawdzić, czy żarówka się nie przepaliła. I w tej sekundzie zaświeciła znowu. Przez moment cień jego głowy pojawił się na ścianie i z tą swoją spiczastą bródką wyglądał całkiem jak diabeł.

Rose również to zobaczyła i wydała stłumiony okrzyk. On obrócił się do niej szybko, ale wtedy Heloiza przeszła przez zielone prześcieradła, wywracając wieszak do wietrzenia ubrań, czym odwróciła uwagę, a ja jeszcze dopomogłam, krzyknąwszy: „Hel, Hel”⁸, i wyjaśniłam, że czasem w skrócie tak wołamy na Heloizę – i obu Cottonom się to spodobało, chociaż w rodzinie Mortmainów jest już starym dowcipem. Ale nie potrafiłam zapomnieć cienia. To nonsens, naturalnie – nie widziałam nigdy nikogo z łagodniejszymi oczami. Ale Rose jest bardzo przesądna. Ciekawa jestem, czy młodszy brat ma jakieś pieniądze. Był tak samo miły dla Rose jak Simon Cotton. I całkiem wyraźnie miły dla mnie.

Dramatyczny moment nastąpił, kiedy Simon zapytał mnie, czy jesteśmy właścicielami zamku, a ja odpowiedziałam: „Nie. To wy nimi jesteście!”.

Szybko dodałam, że mamy umowę jeszcze na blisko trzydzieści lat. Ciekawe, czy umowy są ważne, kiedy nie płaci się czynszu. Rzecz jasna, nie wspomniałam o czynszu. Czułam, że to może zwarzyć nastrój.

Po jakichś dwudziestu minutach naszej rozmowy przyszła Topaz, ubrana w stary tweedowy żakiet i spódnicę. Rzadko nosi tweedy w dzień i nigdy, ale to nigdy wieczorem – wygląda w nich okropnie, jest po prostu wyblakła zamiast ekscytująco biała – byłam więc bardzo zdumiona. Tym bardziej że drzwi do jej pokoju były lekko uchylone i musiała wiedzieć, kto przybył. Powstrzymałam się od tego, by zapytać ją, dlaczego pokazała się w najgorszym wydaniu. Może myślała, że tweed przyda naszej rodzinie aury ziemiaństwa.

Przedstawiłyśmy jej Cottonów i chwilę porozmawiała, ale wydawała się wyciszona... co jej mogło być wczoraj wieczorem? Po paru minutach zaczęła przygotowywać kakao. Tylko to – oprócz wody – mogłyśmy zaproponować gościom do picia; ostatnie resztki herbaty zużyłam dla Thomasa i była to bardzo niedobra herbata.

Nigdy nie pijemy kakao wieczorem, chyba że jest jakaś wyjątkowa okazja – ktoś jest chory albo trzeba załagodzić rodzinną kłótnię – i nie mogłam znieść myśli, że to ominie Thomasa i Stephena, bo ciągle jeszcze nie przyprowadzili koni z farmy Four Stones, żeby wyciągnąć auto. Uważałam też, że ojciec powinien uczestniczyć w każdym posiłku wydawanym w naszym domu, ale wiedziałam, że nie ma sensu prosić go, by przyszedł i poznał tych obcych ludzi. Obawiałam się, że nawet gdyby zszedł na dół po herbatnika, to usłyszawszy obce głosy, natychmiast by zawrócił. Nagle tylne drzwi otworzyły się gwałtownie i wkroczył ojciec; znowu zaczęło mocno padać i szybciej jest przebiec przez dziedziniec, aniżeli ostrożnie iść górą murów. Swobodnie przeklinał pogodę i fakt, że jego olejowy piec zaczął dymić; miał swój koc na głowie i nie zauważył Cottonów, aż było za późno. Topaz przestała mieszać kakao

i oznajmiła bardzo wyraźnie i z dumą:

– To jest mój mąż, James Mortmain.

I wtedy stała się rzecz niesłychana. Simon Cotton powiedział:

– Ależ... ach, to przecież cud! Pan musi być autorem *Bojów Jakuba*.

Ojciec utkwiał w nim spojrzenie, które mogę określić tylko jako zdesperowane. Z początku pomyślałam, że to dlatego, że poczuł się osaczony przez obcych. A potem powiedział: „No, tak...” – w taki dziwny, niepewny sposób, że nagle pojęłam, że był straszliwie zadowolony, choć nie całkiem dowierzał. Potrafię sobie wyobrazić rozbitka na morzu, jak dostrzega inny statek – wyglądałby jak ojciec w tej właśnie chwili. Simon Cotton podszedł, przywitał się i przedstawił brata.

A potem zaczął mówić o książce tak, jakby ją dopiero co odłożył, chociaż zrozumiałam po chwili, że czytał ją na uniwersytecie wiele lat temu. Z początku ojciec był nieco nerwowy i zakłopotany, stojąc tak owinięty w swój koc, ale stopniowo stawał się coraz bardziej swobodny, aż przejął prowadzenie w rozmowie, a Simon tylko z rzadka wtrącał jakieś słowo. W końcu ojciec zrzucił koc, jakby mu przeszkadzał, i podszedł do stołu, mówiąc: „Kakao, kakao!” – jak o najwspanialszym napoju w świecie, z czym się akurat zgadzam.

Kiedy piliśmy je, rozmowa stała się bardziej ogólna. Ojciec podkpiwał sobie z naszych zielonych rąk, a Neil Cotton odkrył obiadowy półmisek w balii i uznał za bardzo zabawne, że na tym siedziałam. Z upływem czasu Rose stawała się coraz miłsza, bardziej uśmiechnięta i łagodna. Siedziała koło ognia, tuląc w ramionach naszego kota Aba, który jest prawie tego samego koloru co jej włosy, a Cottonowie podchodzili, żeby go pogłaskać. Widziałam, że byli zafascynowani wszystkim; kiedy Heloiza poszła spać na ciepłą pokrywę kotła, Neil orzekł, że to najśłodsza rzecz, jaką widział w życiu. Ja nie mówiłam wiele – rozmowę prowadzili głównie ojciec i Cottonowie – ale wydawało się, że Cottonowie uważali wszystko, co powiedziałam, za zabawne.

I wtedy, właśnie gdy wszystko szło tak gładko, Simon Cotton zadał

to pytanie, o które się modliłam, żeby nie padło. Odwrócił się do ojca i zapytał:

– A kiedy możemy oczekiwać kontynuacji *Bojów Jakuba*? Wiedziałam, że powinnam odwrócić uwagę, wywracając swoje kakao, ale za bardzo się na nie cieszyłam. Walczyłam ze swoim łakomstwem, a ojciec tymczasem odparł:

– Nigdy.

Nie było w tym gniewu ani goryczy. Ojciec to wyszeptał. I chyba nikt poza mną nie zauważył, że w jakiś sposób stracił pewność siebie, zmienił sposób trzymania głowy, a jego ramiona opadły. Ale zanim tak naprawdę to do mnie dotarło, Simon Cotton powiedział:

– Oczywiście, jak się nad tym zastanowić, nie może być żadnej kontynuacji.

Ojciec spojrział na niego, a on szybko mówił dalej:

– Pewne wyjątkowe, niepowtarzalne książki istnieją bez poprzedników i bez następców. Nawet jeżeli mają głęboki wpływ na pracę innych pisarzy, to dla ich twórców stanowią zamkniętą całość.

Topaz przyglądała się ojcu tak samo zaniepokojona jak ja.

– Ale przecież... – zaczęła protestować, jednak ojciec jej przerwał.

– Czy chce pan powiedzieć, że tacy twórcy są często autorami jednej książki? – zapytał bardzo cicho.

– Uchowaj, Boże – odrzekł Simon Cotton. – Chcę tylko powiedzieć, że nie miałem racji, używając słowa „kontynuacja”. Inspiratorzy, a być może, w pewnym sensie, jedyni prawdziwi twórcy, tworzą głębokie, prawdziwe dzieło: kompletne, a nie będące ogniwem w łańcuchu. Później sięgają znowu po coś równie głębokiego i wyjątkowego. Bóg może stworzył inne światy, ale najwyraźniej nie zajmował się już uzupełnianiem naszego.

Powiedział to w sposób raczej dostojny i literacki, i z pełnym przekonaniem, jednak nie odniosłam wrażenia, żeby to było szczere. I nie sądzę, żeby wiele znaczyło. Myślę, że był to uprzejmy i zręczny sposób na prześlizgnięcie się przez trudny moment; a jeśli tak, to znaczy, że błyskawicznie się zorientował, jak trudny był ten moment. Dziwne tylko, że zrobiło tak wielkie wrażenie na ojcu.

Gwałtownym ruchem odrzucił głowę do tyłu, jakby mu coś przyszło na myśl, ale się nie odezwał – wyglądało na to, że chce trochę pomyśleć. Potem Simon Cotton zadał mu pytanie o trzecie marzenie w *Bojach Jakuba* i ojciec znowu się ożywił. Nie widziałam go takim od owego roku, kiedy ożenił się z Topaz. I nie mówił tylko o sobie; odpowiedział na pytanie i wciągnął nas wszystkich do rozmowy, szczególnie Rose. Cały czas mówił rzeczy, które powodowały, że Cottonowie zwracali się do niej, i najwyraźniej robili to z dużą przyjemnością.

Neil Cotton nie był tak rozmowny jak jego brat. Przez większość czasu siedział na kotle obok Heloizy. Raz mrugnął do mnie w przyjacielski sposób.

Wreszcie wszedł Thomas i powiedział, że konie czekają. (Dla niego było jeszcze kakao, ale zabrakło dla Stephena, który pozostał z końmi. Na szczęście uratowałam połowę mojego i postawiłam koło ognia, żeby było ciepłe). Ojciec i ja, brnąc przez kałuże i błoto, przeszliśmy z Cottonami do drogi, żeby zobaczyć wyciąganie auta – Rose nie mogła iść z nami z powodu swej popołudniowej sukni, a Topaz nie miała ochoty. Było sporo przyjemnego zamieszania, Cottonowie błyskali światłem latarek, wszyscy śmiali się i wydawali dźwięki, jakich oczekują konie, i wreszcie auto znalazło się bezpiecznie z powrotem na drodze. Pożegnania były raczej pospieszne, ale obydwaj Cottonowie obiecali, że wkrótce znów nas odwiedzą, i jestem pewna, że mówili poważnie.

Stephen i Thomas poszli odprowadzić konie, a ojciec i ja mozolnie, noga za nogą, ruszyliśmy w deszczu do domu. Chłopcy wzięli latarnię, więc było bardzo ciemno – nie muszę mówić, że nasza rodzina od lat nie miała czynnej latarki. Ojciec trzymał mnie mocno pod rękę i wydawał się pogodny. Zapytałam go, co myśli o Cottonach, a on odrzekł:

– Nie przypuszczam, żeby upominali się o czynsz. – Potem powiedział, że zapomniał, jacy Amerykanie potrafią być inspirujący, i przytoczył mi ciekawe historyjki ze swoich amerykańskich podróży z odczytami. Dodał, że Simon Cotton należy do tych

Amerykanów, którzy zakochują się w Anglii, jak u Henry'ego Jamesa. – On będzie godnym podziwu właścicielem Scoatney.

Jedyna powieść Henry'ego Jamesa, którą w ogóle próbowałam czytać, to *O czym wiedziała Maisie*, kiedy miałam około dziewięciu lat – myślałam, że to książka dla dzieci. Mieliśmy piękne, śliwkowego koloru, wydanie dzieł Jamesa, ale oczywiście zostało ono sprzedane razem z innymi cennymi tomami.

Gdy tylko wróciliśmy do zamku, ojciec poszedł do swego pokoju w wartowni, a ja pobiegłam dołączyć do dziewcząt. Rozmawiały z podnieceniem – Topaz wyraźnie się ożywiła. Była przekonana, że Rose zawojowała towarzystwo, i zaczęła planować, jak przerobi dla niej swoją suknię, prawdziwą suknię z Londynu, którą Rose zawsze podziwiała. Podjęły decyzję o posprzątaniu salonu, na wypadek gdyby Cottonowie mieli wkrótce znów złożyć wizytę. A ja dodałam, że to wspaniałe, że chyba spodobali się ojcu. Przez okna na tyłach wartowni widziałyśmy, jak siedzi przy biurku. Topaz powiedziała:

– To się wreszcie stało... ten cud! On znowu zacznie pracować! Stephen i Thomas wrócili i zmusiałam Stephena, żeby wypił kakao, które dla niego zachowałam – musiałam zagrozić, że je wyleję, żeby w ogóle je wziął. Potem rozeszliśmy się do pokoi. Rose wyjęła wszystkie swoje ubrania i zawiesiła na pannie Blossom, żeby zobaczyć, czy może któreś są w lepszym stanie, niż to pamiętała. Były w gorszym. Ale nawet to jej nie przygnębiło.

Gadałyśmy i gadałyśmy. Nagle usiadłam w łóżku i powiedziałam:

– Rose, za bardzo się tym emocjonujemy. Nie wolno tak. Naturalnie, to cudowne, jeżeli będziemy zapraszane na przyjęcia i spotkania, ale... Rose, przecież ty nie mogłabyś chyba poślubić tego mężczyzny z brodą?

– Mogłabym wyjść za samego diabła, gdyby tylko miał jakieś pieniądze – odrzekła Rose.

Jestem całkiem pewna, że pamiętała cień Simona Cottona, ale ponieważ nie wspomniała o tym, ja też milczałam. Nie ma sensu denerwować się z byle powodu, gdy chodzi o bogatego mężczyznę.

Po zgaszeniu świec sprawiłam, że panna Blossom przemówiła.

Nigdy nie potrafię wymyślić takich rzeczy, jakie ona mówi, dopóki nie udaję, że to są naprawdę jej słowa. Kiedy ją zapytałam, co myśli o tym wszystkim, odpowiedziała: „No, to już coś jest, dziewczęta, nie da się zaprzeczyć. Teraz tylko pokażcie się od najlepszej strony. Oczywiście te wszystkie stare ubrania, którymi mnie obwiesiłyście, wiele wam nie pomogą, ale umyćcie włosy i zadbajcie o ręce. To zielone mazidło na nich może być zabawne raz, ale potem już nie śmiesz. A teraz lepiej pomyślcie o swojej cerze i pośpijcie dla urody”.

Rose na pewno pojęła aluzję o farbie; dziś rano czyściła ręce tak długo, aż zmyła wszystko. Zużyła ostatnie ziarna proszku do szorowania, więc moja farba będzie musiała sama zejść. Teraz osiągnęła etap szarości, która wygląda jak brud. Och, właśnie coś mi przyszło do głowy: po kolacji zaatakuję swoje ręce papierem ściernym.

Jak szybko życie potrafi się zmienić! Wczoraj o tej porze panowała zimowa beznadzieja, a teraz nie tylko znamy Cottonów, ale też czuje się w powietrzu wiosnę. Z góry stodoły widzę pączki tarniny na żywopłocie... Właśnie odkryłam, że poruszając głową, mogę sprawić, że kwadratowy otwór pod dachem ukazuje mi – jak w kadrze – różne części naszej drogi. To naprawdę fascynująca zabawa...

Och! O Boże! Są tutaj – Cottonowie! Właśnie wyszli z za ostatniego zakrętu drogi! Och, co ja mam zrobić?

Przeszli. Nie mogłam w żaden sposób ostrzec Rose i Topaz; nie mogłam wyjść ze stodoły, żeby mnie nie zobaczyli. W każdym razie wiem, że obie wróciły z przechadzki, bo słyszałam, jak Rose jakiś czas temu grała na fortepianie. Ale jak są ubrane? I wielkie nieba, Rose zamierzała myć głowę! Nie miałyśmy odwagi nawet marzyć, że Cottonowie mogliby przyjść właśnie dzisiaj.

Przez szparę koło zawiasów w drzwiach stodoły patrzyłam, jak przechodzili. Potem znów wspięłam się na stertę sieczeni i śledziłam ich wzrokiem, aż skryli się w przejściu wartowni. Czy powinnam wrócić do domu? Chcę, oczywiście – ale mam wielką dziurę

w pończosze, a moja szkolna sukienka jest cała zakurzona od sieczki...

Chyba minęło już z pół godziny, od kiedy napisałam to ostatnie zdanie. Nie poszłam do domu. Leżałam na sieczce i myślałam o nich tam, w salonie, przy kominku z płonącymi polanami. Nie ma naprawdę znaczenia, czy Rose umyła włosy, bo wyglądają pięknie, kiedy schną. Jestem pewna, że zrobiłam dobrze, zostając tutaj. Przede wszystkim czasami za dużo mówię. Muszę być nadzwyczaj ostrożna, żeby nigdy nie odwracać ich uwagi od Rose. Powtarzam sobie cały czas, że to naprawdę się wydarzyło: znamy dwóch mężczyzn. I my im się podobamy – musimy się podobać, bo nie wróciliby tak szybko.

Właściwie już nie chcę teraz więcej pisać. Chcę leżeć tutaj i myśleć. Ale jest coś, co chciałabym pojąć. Jest to związane z tym, co czułam, kiedy obserwowałam Cottonów idących drogą. Takie dziwne uczucie odrębności. Lubię patrzeć na ludzi, gdy oni nie mogą widzieć mnie. Często przyglądałam się moim bliskim przez oświetlone okna i wydają się wtedy całkiem inni, trochę jak pokoje widziane w lustrach. Nie potrafię oddać tego uczucia słowami – umknęło mi, kiedy próbowałam je uchwycić.

Czarna broda Simona Cottona wygląda jeszcze dziwniej w dziennym świetle, zwłaszcza teraz, kiedy zdałam sobie sprawę, że on wcale nie jest stary; przypuszczam, że nie skończył trzydziestki. Ma ładne zęby i raczej miłe usta, bardzo kształtne, które wydają się osobliwie nagie wśród tych wszystkich włosów. Jak młody człowiek może chcieć nosić brodę? Zastanawiam się, czy nie ma jakiejś blizny.

Jego brwi na końcach biegną w górę.

Neil Cotton ma uroczą twarz, chociaż jej rysy nie są szczególnie wyraziste. Bardzo ładne włosy, jasne, kręcone. Zdrowy wygląd; Simon jest trochę blady. Obydwaj są wysocy, Simon odrobinę wyższy, a Neil mocniej zbudowany. Ani nie wyglądają jak bracia, ani nie mówią podobnie.

Simon nosi tweedowe ubrania, w bardzo angielskim stylu.

Neil ma okrycie, jakiego wcześniej nigdy nie widziałam: przód i tył w kratę, a rękawy gładkie. Może przerobione jest z dwóch starych rzeczy, ale mam nadzieję, że nie, bo to by wskazywało, że on jest biedny, a jego brat skąpy. No i ubranie wygląda raczej na zupełnie nowe. Po prostu takie rzeczy nosi się w Ameryce.

Wychodzą z zamku! Czy mam wybiec, by ich spotkać i się przywitać? Nie, nie z tymi szarymi rękami.

Stało się coś okropnego, tak okropnego, że trudno mi o tym pisać. Och, jak oni mogli, jak mogli?

Kiedy zbliżali się do stodoły, usłyszałam ich rozmowę. Neil powiedział:

– Boże, Simon, miałeś szczęście, że udało ci się ująć z życiem.

– Niesamowite, prawda? – odrzekł Simon. – Wczoraj wieczorem wcale nie zachowywała się w ten sposób. – Potem odwrócił się, żeby popatrzeć na zamek, i dodał: – Co za cudowne miejsce! Ale piekielnie niewygodne. I oni najwyraźniej nie mają ani centa. Sądzę, że nie można obwiniać tej biednej dziewczyny.

– Można mieć pretensje, że była tak cholernie niesubtelna – powiedział Neil. – A ta komiczna suknia, o tej porze dnia! Zabawne, wczoraj wieczorem całkiem mi się w niej podobała.

– Macocha wydaje się naprawdę miła. Była tak samo zażenowana jak ja. Mój Boże, jak mnie krępowała ta dziewczyna!

– Musimy zerwać z nimi kontakt, Simon. Jeżeli tego nie zrobimy, ona może cię postawić w bardzo kłopotliwej sytuacji.

Simon przyznał mu rację. Rozmawiali półgłosem, ale wokół było tak cicho, że wyraźnie słyszałam każde słowo. Kiedy przechodzili koło stodoły, Neil się odezwał:

– Szkoda, że nie widzieliśmy małej. Słodki dzieciak.

– Taka trochę rozmyślnie naiwna, nie uważasz? – powiedział Simon. – Najbardziej żal mi starego. Miałem nadzieję, że będę mógł mu pomóc. Ale niewiele da się zrobić, jeżeli jest beznadziejnym pijakiem.

Myślałam, że ich zabiję! Przecież ojciec nie ma nawet dość jedzenia, a co dopiero mówić o alkoholu! Musieli słyszeć jakieś

załgane plotki. Jak ludzie mają czelność mówić, że ojciec pije! I nie jest wcale stary, nie ma jeszcze pięćdziesięciu lat.

Więcej nie słyszałam. Żałuję teraz, że nie wybiegłam i nie przyłożyłam im. Zobaczyliby, czy rzeczywiście jestem taka rozmyślnie naiwna!

Co, do licha, zrobiła Rose? Muszę iść do domu.

Ósma godzina. W salonie.

Przyszłam tu, żeby uciec od Rose. Suszy włosy w kuchni i robi manicure zaostrzoną zapałką. I cały czas mówi. Nie pojmuję, jak Topaz może to wytrzymać, wiedząc, co wie – bo nie byłam w stanie zachować tego dla siebie, to było nie do zniesienia. Może by mi się udało, gdyby Topaz nie była sama, jak przyszłam, ale była sama i zauważyła moje zaniepokojenie. Zaczęłam jej opowiadać szeptem – nasz dom jest straszny pod tym względem, bo wszystko można podsłuchać – ale powiedziała: „Zaczekaj” – i wyciągnęła mnie do ogrodu. Słyszałyśmy Rose śpiewającą na górze, więc nie rozmawiałyśmy, dopóki nie minęłyśmy mostu i nie poszłyśmy kawałek w górę kopca.

Topaz nie była tak wściekła, jak się spodziewałam – ale oczywiście nie przekazałam jej tego, co mówili o ojcu. Nie była nawet zdziwiona. Powiedziała mi, że Rose z okna sypialni zobaczyła nadchodzących Cottonów i nic nie mogło jej powstrzymać przed włożeniem popołudniowej sukni. (Jakby ktokolwiek w ogóle nosił popołudniową suknię po południu). I zachowywała się jak obłąkana, zagiąwszy parol na Simona Cottona.

– To znaczy była dla niego przesadnie miła?

– Niezupełnie, to zresztą nie byłoby najgorsze. Była straszliwie pretensjonalna i przez cały czas nadmiernie zwracała na siebie uwagę, wymuszając zainteresowanie. Gdyby miała wachlarz, uderzałaby go, mówiąc: „Fe! Fe!”. I trzepotała rzęsami. To wszystko mogło być bardzo ujmujące, ale sto lat temu.

Och, prawie to widziałam. Rose przyswoiła to sobie ze starych książek. Nie znałyśmy żadnych nowoczesnych kobiet oprócz Topaz, ale Rose nigdy by nie przyszło do głowy, żeby ją naśladować. Ach,

biedna, biedna Rose. Nawet w kinie nigdy nie widziała nowoczesnych dziewcząt, tak jak mnie się udało.

– Oni więcej nie przyjdą – rzekła Topaz. – Czułam to, nawet bez tego, co mi teraz przekazałaś.

Odparłam, że i tak nie chciałybyśmy ich widzieć, bo muszą być wstrętnymi ludźmi, żeby wygadywać takie rzeczy. Topaz powiedziała, że to niedorzeczne.

– Rose sama się o to prosiła – zaczęła wyjaśniać. – W istocie mężczyznom nie przeszkadza, gdy im okazujesz, że ci się podobają, kiedy tak jest, ale uciekają na koniec świata od nadmiernego zachwytu, a tak właśnie wyglądało to całe prowokowanie i odrzucanie głowy do tyłu, wszystko skierowane do Simona w najbardziej prymitywny sposób. Gdyby Mortmain był w domu, mógłby żartami ją uspokoić, a poza tym sam by z nimi porozmawiał. O, niech to!

Ojciec akurat poszedł na spacer, pierwszy raz od kilku miesięcy. Topaz powiedziała, że Simon przyniósł mu książkę słynnego amerykańskiego krytyka, bo jeden z esejów dotyczył *Bojów Jakuba*.

– Myślę, że Simon może jeszcze przyjść, żeby porozmawiać z Mortmainem – dodała.

Ale ja wiedziałam swoje.

Zaczynało się ściemniać. Na dole w kuchni widać było światło. Zobaczyłyśmy Rose, jak przechodziła za oknem.

– Powiemy jej? – zapytałam.

Topaz była zdania, żeby nie mówić, chyba że zaproszą nas kiedyś do Scoatney.

– Jeżeli zostaniemy zaproszeni, możemy spróbować wbić jej trochę rozumu do głowy.

Ale nie zostaniemy zaproszeni.

Topaz objęła mnie i zaczęłyśmy powoli schodzić z kopca; było to bardzo niewygodne, bo ona robi dłuższe kroki niż ja. Kiedy już zeszyłyśmy, spojrzała za siebie na wieżę Belmonte, ciemną na tle wieczornego nieba.

– Piękna jest, prawda?

Czy ona rzeczywiście mogła w takiej chwili zachwycać się pięknem? Nawiasem mówiąc, namalowana przez nią wieża Belmonte wygląda jak czarny wałek do ciasta na obróconej do góry dnem zielonej formie do gotowania budyniu.

Moja świeca się dopala i w salonie jest coraz zimniej i zimniej – ogień na kominku zgasł wiele godzin temu, ale nie mogę tego wszystkiego pisać w pokoju, gdzie jest Rose. Kiedy na nią patrzę, zdaje mi się, że obserwuję szczura w pułapce, który ma nadzieję, że się wydostanie, podczas gdy ja wiem, że to się nie uda. Nie widziałam nigdy szczura w pułapce, no i Rose nie myśli tak o sobie; ale to nie jest dobra chwila, żeby przebierać w metaforach.

Heloiza właśnie otworzyła drzwi, weszła i polizała mnie, co jest miłe, ale bardzo zimne, kiedy wysycha. I teraz słyszę, co się dzieje w kuchni, o wiele dokładniej, niżbym sobie życzyła. Właśnie jest tam ojciec, bardzo podekscytowany. Mówi, że ten amerykański krytyk odkrył w *Bojach Jakuba* rzeczy, których on sam na pewno tam nigdy nie zawarł, i że arogancja krytyków jest niewiarygodna. Najwyraźniej cieszy się na myśl, że przedyskutuje to wszystko z Simonem Cottonem. Żywiołowa wylewność Rose jest coraz większa. Ze smutkiem stwierdzam, że Rose teraz gwizdże.

Wszedł tu Stephen i otulił mnie swoją marynarką. Pachnie koźmi.

Czy ja jestem rozmyślnie naiwna? Być może jestem, być może ten pamiętnik jest naiwny. W przyszłości będę go pisać suchą prozą. W rzeczywistości wcale nie będę go już pisać, bo doszłam do końca tego zeszytu. Zapełniłam nawet już obie wyklejki i teraz piszę w poprzek zapisanych stron, a tak stenografowany tekst pewnie nigdy nie da się odczytać.

Mijają już prawie dokładnie dwadzieścia cztery godziny od chwili, kiedy Cottonowie przyszli, zastając mnie w kąpieli.

Właśnie Topaz głośno zawołała, że robi kakao. Och, krzepiące kakao! O, już nie tak dobrze – Topaz tym razem zawołała, że musi je zrobić tylko na wodzie, bo Cottonowie wypili mleko; nie było herbaty, by ich poczęstować. Ale każde kakao jest dobre. To będzie jednak okropne, jeśli Rose pomyśli, że pijemy je, by coś uczcić,

a Topaz i ja wiemy, że to stypa.

KONIEC
Z TRZASKIEM ZAMYKAM PAMIETNIK



8 *Hell* (ang.) – piekło, a także do diabła (przyp. red.).

II • ZESZYT ZA JEDNEGO SZYLINGA



Kwiecień i maj

VI

Mam nowy zeszyt, najwspanialszy, jaki kiedykolwiek widziałam. Kosztował całego szylinga! W zeszłym tygodniu Stephen nakłonił pannę Marcy, by kupiła go w Londynie; pojechała tam na tani bilet jednodniowy. Kiedy mi go dał, myślałam, że napiszę w nim coś takiego jak *Wichrowe wzgórza*; nigdy nawet nie marzyłam, że będę chciała prowadzić dalej ten pamiętnik. Ale teraz życie zaczęło się od nowa.

Jestem na kopcu Belmonte. Wiosna wykonała taki skok, że jeszcze są kotki na leszczynie, a tu już pojawiają się stokrotki. Szczególnie lubię je w krótkiej, soczystej trawie gródka, gdzie wyglądają jak wiosna w dziecięcej książce z obrazkami i jak prawdziwa wiosna. Na dole, w ogrodzie na dziedzińcu, są już żonkile, ale ich stąd nie widzę, bo pranie łopocze na wietrze. Topaz stale wychodzi i wiesza coraz więcej i więcej rzeczy: wszystkie są częścią ekscytujących wydarzeń. Oparłam się plecami o wieżę i ze spokojną radością obserwuję przepływające białe chmury. Jest całkiem spory wietrzyk, ale łagodny, prawie jak w lecie.

Minęło już sześć tygodni, od kiedy stałyśmy z Topaz tu na Belmonte o zmierzchu, a nasze życie przechodziło kryzys – chociaż później ten kryzys jeszcze się pogłębił. Na początku tylko Topaz i ja byłyśmy przygnębione. Wymagało to dużego wysiłku, by nic po sobie nie dać poznać. Wykładałyśmy się razem na długie spacer

i wtedy mogłyśmy przestać nadrabiać miną. Radosny entuzjazm Rose trwał około dziesięciu dni, potem spostrzegła, że sprawy powinny przyjąć inny obrót.

Udało mi się przetrzymać ją jeszcze tydzień, mówiąc, że pewnie przyjazd pani Cotton bardzo zaabsorbował jej synów. Potem padł cios: panna Marcy powiedziała nam, że pastor poszedł im złożyć wizytę i został zaproszony na lunch i że różni ludzie ze Scoatney też otrzymali zaproszenia.

– Ale z Godsend tylko pastor, nikt więcej? – zapytałam pospiesznie.

Tyle że poza nami nie ma w Godsend nikogo innego, kogo by mogli zaprosić.

– Wasza kolej następnym razem, moje drogie – powiedziała panna Marcy.

Rose wstała i szybko wyszła z kuchni.

Tego wieczoru, kiedy już leżałyśmy w łózkach, nagle się odezwała:

– Zapytaj pannę Blossom, co się stało, Cassandro.

Byłam kompletnie zaskoczona. Czułam, że powinnam przemycić jakąś radę na przyszłość, ale nie wiedziałam jak, nie mówiąc brutalnej prawdy.

– Mówi, że nie wie – odrzekłam w końcu.

Nie dałam pannie Blossom powiedzieć tego osobiście, bo uważam ją za bardzo szczerą osobę.

– Sądzę, że to dlatego, że jesteśmy tacy biedni – rzuciła z goryczą Rose. Potem usiadła w swoim żelaznym łóżku (to mój tydzień w łóżu z baldachimem) i dodała: – Byłam dla nich miła, naprawdę byłam miła.

Dostrzegłam swoją szansę i odezwałam się głosem panny Blossom:

– Być może byłaś zbyt miła, złotko.

– Ależ nie – zaprzeczyła Rose. – Byłam czarująca, ale też... och, kapryśna, przekomarzałam się. Czyż nie to lubią mężczyźni?

– Bądź po prostu naturalna, moja droga – powiedziała panna Blossom. A potem zapytałam własnym głosem: – Jak bardzo ci się

naprawdę spodobali, Rose?

– Nie wiem... ale wiem, że teraz mi się nie podobają. Och, nie chcę o tym mówić.

To było wszystko, co kiedykolwiek powiedziała na ten temat, a chyba najbardziej przygnębiające było to, że nie rozmawialiśmy otwarcie. Nigdy nie czułam się tak odcięta od niej. I z żalem muszę wyznać, że zdarzały się chwile, kiedy moje głębokie i pełne miłości współczucie dla niej stapiało się z pragnieniem, żeby ją porządnie kopnąć. Bo Rose nie jest z tych dziewcząt, które potrafią rozprawić się z kłopotami, idąc na spacer lub pracując; jest z tych, które siedzą beczynnym i rzucają gniewne spojrzenia.

Topaz była cudownie cierpliwa, ale czasem zastanawiam się, czy to tylko cierpliwość, czy też trochę krowia obojętność. Ma to coś wspólnego z jej odpornością na zimno; ojciec kiedyś powiedział, że ona ma skórę podbitą pluszem, i bywają chwile, kiedy myślę, że jej uczucia też są podbite pluszem. Ale z pewnością takie nie są, kiedy chodzi o samego ojca. Trzy tygodnie temu zastałam ją płaczącą w pokoju buforowym przed portretem ojca jej pędzla – do którego on nigdy nie pozował. (Są to głównie pomarańczowe trójkąty). Powiedziała, że rozczarowanie ojca jest o wiele ważniejsze niż zawód Rose, że ojciec tak się cieszył z poznania Simona Cottona i już marzył o rozmowie na temat amerykańskiego eseju o *Bojach Jakuba*.

– Szczególnie teraz, kiedy zmienił zdanie o tym eseju; teraz uważa, że właśnie miał na myśli to wszystko, czego ten krytyk się u niego dopatrywał. I byłam pewna, że dzięki temu wróci do pisania. Ale wślizgnęłam się do wartowni, kiedy on poszedł na plebanie, i jak myślisz, nad czym teraz pracuje? Układa krzyżówki!

Wyraziłam przypuszczenie, że z krzyżówek mogą być jakieś pieniądze.

– Nie z takich krzyżówek – odparła Topaz. – One nie mają żadnego sensu. Cassandro, co się z nim dzieje?

Pomyślałam coś zupełnie okropnego. Zaczęłam się zastanawiać, czy ojciec rzeczywiście nie pije od lat, znalazłszy pod zamkiem

tajemną piwniczkę pełną wina, a może sam pędzi alkohol; wiem, że jest coś takiego, co się nazywa spirytus drzewny.

– Och, nie wygłupiaj się – powiedziała Topaz. – To widać, jak mężczyźni piją. Musimy być cierpliwe. Wszystko dlatego, że on jest geniuszem.

Poszła przemyć oczy, a potem włożyła swoją ulubioną suknię z kremowego błyszczącego adamaszku – włoskiego – która już prawie się rozlatuje; nosi do niej małą rubinowoczerwoną czapeczkę. Potem zeszła na dół zrobić placki ziemniaczane na kolację.

Byłam w ogrodzie i patrzyłam na żonkila, który już prawie się rozwinął, kiedy ojciec wrócił z plebanii.

– Są jakieś wieści? – zawołałam, by okazać mu życzliwość.

– Tyle tylko, że to całkiem spore wyróżnienie nie być zaproszonym do Scoatney. Jak rozumiem, zaproszenia są wysyłane hojnie.

– Powiedział to w swój najbardziej wyniosły sposób; potem posłał mi lekko zażenowany uśmiech i dodał: – Przykro mi, moje dziecko. Wiesz, na czym polega problem, prawda? – Spojrzałam na niego zdumiona, a on mówił dalej: – Chodzi o czynsz... musieli przyjrzeć się tej drobnej sprawie. Wiem, bo formularz wezwania do zapłaty nie przyszedł jak zwykle w dzień wnoszenia opłat dzierżawnych w marcu. No, oni są wystarczająco uprzejmi, najlepszego gatunku Amerykanin zawsze jest taki, ale nie chcą mieć z nami do czynienia.

Wiedziałam, że Topaz nie wyjawiała mu prawdy; częściowo dlatego, że myślała, iż go to zdenerwuje, a częściowo dlatego, że wyznawała zasadę, iż kobiety muszą trzymać się razem. Zastanawiałam się, czy mam mu to wyjaśnić. A potem uznałam, że jeśli poczuje się winny z powodu czynszu, to będzie dobrze; może to go natchnie do pracy. Ale gdy tak tam stał, w swoim cienkim, starym płaszczu, i marcowy wiatr rozwiewał jego wyblakłe, niegdyś złote włosy, zrobiło mi się go bardzo żal; powiedziałam mu więc, że będą placki ziemniaczane na kolację.

Niestety, kolacja nam się nie udała, bo podczas jedzenia wybuchła jedna z tych awantur rodzinnych, które są bardzo śmieszne

w książce albo w kinie. Nie są wcale zabawne w prawdziwym życiu, szczególnie kiedy mają miejsce przy posiłku, jak to się często zdarza. Zawsze sprawiają, że drzę i robi mi się niedobrze. Cała rzecz zaczęła się od tego, że Thomas trzy razy prosił Rose, żeby mu podała sól, ale nie zareagowała, a kiedy krzyknął na nią, pochyliła się i trzepnęła go w ucho. Topaz powiedziała: „Do licha, Rose, wiesz, że Thomasa boli potem ucho”. Rose odparła: „Musiałś mi to wypomnieć. Pewnie umrze i to będzie moja wina”. Ojciec zaklął: „Cholera jasna!” – i odepchnął krzesło, uderzając Heloizę, a ta zaskowyczała. Ja wtrąciłam: „Nie zniosę tego, nie wytrzymam” – co było bez sensu. Jedynie Stephen zachował spokój; bez słowa wstał, by sprawdzić, czy Heloiza jest bardzo poturbowana. Nie była i wyszła na tym najlepiej, bo oddaliśmy jej większość placków. Nam apetyty wróciły później, kiedy już nie było nic ciekawego do zjedzenia.

Nasze jedzenie nie poprawiło się za bardzo, mimo że zarobki Stephena przychodzą regularnie, bo musimy się ograniczać, dopóki nie spłacimy zaległych rachunków dostawcom i właścicielowi sklepu. Stephen zatrzymuje dla siebie jednego szylinga tygodniowo – ten zeszyt był kupiony za jego oszczędności. Mam niepokojące wrażenie, że wyda je w większości na mnie; na pewno nic nie przeznaczy dla siebie. Ostatnio nie przynosi mi żadnych wierszy, co przyjmuję z ulgą.

W tamten wieczór awantury znaleźliśmy się na samym dnie; nieszczęśliwi ludzie nie mogą sobie pozwolić na to, by się nie lubić. Okrutne ciosy losu wymagają, by wszyscy w rodzinie byli dla siebie wyjątkowo życzliwi.

Gdybyśmy tylko wiedzieli, że nasze losy już wtedy powoli zmierzały ku lepszemu, bo tego właśnie dnia zmarła ciotka ojca, Millicent. Jak okropnie bezdusznie to brzmi! I gdybym tylko mogła przywrócić ją do życia, naprawdę bym to zrobiła; ale że nie mogę, to chyba nie ma nic złego w tym, by podziękować Bogu za Jego zdumiewające zrządzenia. Bo zapisała nam, Rose i mnie, swoją osobistą szafę – co oznacza ubrania, a nie mebel, jak zrazu

myślałam. Kiedy pastor zobaczył nekrolog w „Timesie”, żywiłyśmy nikłą nadzieję, że może zostawiła ojcu jakieś pieniądze; ale ona wyłączyła go z testamentu i zapisała wszystko schronisku dla modelek malarzy. Sądzę, że uważała, iż modelki powinny siedzieć w schroniskach, a nie wychodzić za mąż za jej krewnych. („Pomyśl tylko – powiedziała Rose – gdyby ojciec nie ożenił się z Topaz, moglibyśmy teraz opływać w bogactwa”. A ja zadałam sobie pytanie, czy wolałabym opływać w bogactwa, niż mieć Topaz w rodzinie, i uznałam, że wcale bym nie wolała, co miło wiedzieć).

Kiedy minęła pierwsza euforia, przypomnieliśmy sobie, że ciocia Millicent miała siedemdziesiąt cztery lata i ubierała się ekscentrycznie. Ale otrzymanie czegokolwiek w spadku bardzo podnosi na duchu.

Adwokaci napisali do nas, prosząc, byśmy przybyły do Londynu i spakowały ubrania osobiście; zaznaczyli, że pokryją wszelkie koszty. Perspektywa spędzenia dnia w Londynie była niebiańska, ale problem, co na siebie włożyć, okazał się iście piekielny, szczególnie dla Rose – bo o moich ubraniach strach nawet myśleć, więc po prostu tego nie robię. Wyczyściłyśmy gąbką i wyprasowały nasze zimowe płaszcze i próbowałyśmy uwierzyć, że prezentują się lepiej. Potem pogoda się poprawiła i w jaskrawym słońcu płaszcze wyglądały ohydnie. Nagle wpadłam na pewien pomysł.

– Włóżmy nasze stare białe garsonki – powiedziałam.

Ciocia Millicent kazała je uszyć dla nas krótko przed tą awanturą o małżeństwo ojca z Topaz. Są z takiego jedwabistgo lnu, bardzo proste i dopasowane.

Naturalnie są też znoszone i moja jest za krótka, chociaż dół był przedłużany do ostatniej ćwierci cala; ale to na pewno najładniejsze spośród naszych rzeczy i, jakimś cudem, zostały odłożone czyste.

– Byłyby dobre, gdyby to była pełnia lata – powiedziała Rose, kiedy je przymierzałyśmy. – Ale w kwietniu?!

Jednak zdecydowałyśmy się je włożyć, jeżeli piękna pogoda się utrzyma. I kiedy obudziłyśmy się wczoraj rano, wydawało się, że to raczej czerwiec niż kwiecień. Ach, to był cudowny poranek! Myślę,

że taki piękny wiosenny poranek to jest najlepsza pogoda, jaką Pan Bóg ma do ofiarowania. Z pewnością pomaga w Niego wierzyć.

Pan Stebbins pożyczył Stephenowi wóz, żeby mógł nas zawieźć na stację, i chyba nawet koniowi podobała się ta przejażdżka.

– Czy widzieliście kiedyś tak wysokie niebo? – odezwałam się.

I zaraz zrobiło mi się wstyd, że jestem tak szczęśliwa, wiedząc, że nie mogłabym być, gdyby ciocia Millicent została przy życiu – i pewnie ją bolało, jak umierała, biedna stara dama. Jechaliśmy przez Godsend i poranne słońce oświetlało porośnięte mchem nagrobki na przykościelnym cmentarzu. Próbowałam wyobrazić sobie, że kiedyś umrę; ale nie mogłam w to uwierzyć – i potem nagle pomyślałam, że kiedy to się naprawdę stanie, będę pamiętać ten właśnie moment i znów zobaczę wysokie niebo Suffolk nad bardzo starymi grobami w Godsend.

Myśli o śmierci – dziwnej, pięknej, strasznej i bardzo odległej – sprawiły, że czułam się szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Przygnębiające było jedynie to, że przez liście drzew widziałyśmy Scoatney Hall – ale to psuło mi nastrój tylko ze względu na Rose, bo co Cottonowie mieliby mnie obchodzić? (W każdym razie co mnie obchodzili wtedy?). Starannie unikałam jej wzroku, aż park został daleko za nami, i spędziłam dwie taktowne minuty na zapinaniu buta, który miał jeden guziczek.

Dotarliśmy do stacji w Scoatney z dużym zapasem czasu. Rose uważała, że powinnyśmy wziąć bilety pierwszej klasy, skoro płacili za to adwokaci.

– A jeśli nie zapłacą od razu? – powiedziałam.

Miałyśmy pieniądze Stephena, żeby przetrwać ten dzień, ale Topaz liczyła na to, że szybko mu je oddamy. W końcu kupiłyśmy tanie bilety jednodniowe.

Stephen cały czas mnie prosił, żebym uważała na ruch uliczny. Nawet pobiegł wzdłuż pociągu, by jeszcze raz mi o tym przypomnieć. Potem stanął, machając, uśmiechnięty, ale trochę smutny. Przyszło mi do głowy, że on nigdy w życiu nie był w Londynie.

Przedziwne, jak wszystko uległo zmianie, gdy w King's Crypt przesiadaliśmy się z naszej małej ciuchci do zwykłego pociągu. Atmosfera wsi znikła – tak jakby w pociągu do Londynu uwięziono londyńskie powietrze. I nasze białe kostiumy zaczęły wyglądać osobliwie. A wyglądały jeszcze bardziej osobliwie, kiedy wysiadaliśmy w Londynie: ludzie naprawdę się na nas gapili. Rose zauważyła to natychmiast.

– To dlatego, że podziwiają nasze garsonki – odezwałam się w nadziei, że ją uspokoję, i rzeczywiście uważałam, że wyglądają o wiele lepiej niż większość bezbarwnych ubrań, które kobiety miały na sobie.

– Zwracamy uwagę – powiedziała zawstydzona.

Nawet nie przypuszczała, o ile bardziej będziemy zwracać uwagę, zanim dotrzemy do domu.

W Londynie nie byliśmy trzy lata. Oczywiście nigdy dobrze nie znałyśmy miasta. Wczoraj pierwszy raz w życiu szłam przez City. Było to fascynujące, szczególnie sklepy z artykułami papierniczymi – na nie mogłabym patrzeć bez końca. Rose twierdzi, że to najnudniejsze sklepy na świecie, poza, być może, rzeźnikiem. (Nie rozumiem, jak można nazwać sklepy rzeźnicze „nudnymi”; są zbyt pełne okrucieństwa). Cały czas gubiłyśmy drogę i musiałyśmy pytać policjantów, którzy odnosili się do nas raczej żartobliwie i po ojcowsku. Jeden z nich uprzejmie zatrzymał dla nas ruch, a jakiś taksówkarz posłał Rose głośnego całusa.

Wyobrażałam sobie, że kancelaria adwokacka będzie stara i ciemna, ze starym adwokatem, jak z Dickensa, ale było to zwykłe biuro i spotkałyśmy tam tylko młodego praktykanta o bardzo lśniących włosach. Zapytał nas, czy umiemy dojechać do Chelsea autobusem.

– Nie – odparła szybko Rose.

– A więc weźcie taksówkę – poradził nam.

Zauważyłam, że mamy trochę za mało drobnych. Rose mocno się zarumieniła. On rzucił na nią okiem, po czym powiedział:

– Zaczekajcie sekundę. – I wyszedł, zostawiając nas. Wrócił

z czterema funtami.

– Pan Stevenage mówi, że to dla was – oznajmił nam. – To pokryje koszty przejazdu koleją, taksówkę do Chelsea, taksówkę, by zawieźć rzeczy na stację, i mały lunch. I musicie tu wpaść z kluczem od domu i podpisać pokwitowanie. Rozumiecie?

Powiedziałyśmy, że rozumiemy, i wyszłyśmy. Rose była wściekła, że nikt ważniejszy nie pofatygował się, żeby nas przyjąć.

– To brak szacunku dla cioci Millicent – rzekła z oburzeniem. – Potraktowali nas jak płotki!

Mnie nie robiło różnicy, jakiego rodzaju rybą byłam, skoro miałam w garści cztery funty.

– Spróbujmy trafić tam autobusem i oszczędzić pieniądze na taksówkę – zaproponowałam.

Ale Rose oświadczyła, że nie może już znieść tego, jak ludzie się na nas gapią.

– Jesteśmy chyba jedynymi dziewczynami w Londynie ubranymi na biało.

I właśnie wtedy konduktor z autobusu zawołał: „Wskakujcie, śnieżyczki”. Rose wyniośle zatrzymała taksówkę.

W małym, wyłożonym kamiennymi płytami ogrodzie cioci Millicent staw z liliami wodnymi był wyschnięty. Miałam nadzieję, że złote rybki znalazły dobre domy.

Otworzyłyśmy kluczem frontowe drzwi. Zdziwiło mnie, że hol był kompletnie pusty. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że wszystkie meble zostały zabrane.

– Bardzo tu dziwnie – powiedziałam, kiedy zamknęłyśmy drzwi i słoneczny dzień został na zewnątrz.

– Tylko zimno – odrzekła Rose. – Przypuszczam, że ubrania będą w jej pokoju. Ciekawe, czy tam umarła.

Pomyślałam, że to nietaktowne zastanawiać się nad tym głośno. W drodze na górę zajrzałyśmy do dużego salonu. Dwa wysokie okna wytrzeszczały się na Tamizę; pokój był oślepiająco jasny. Kiedy go ostatnio widziałam, był oświetlony tuzinami świec podczas przyjęcia. To właśnie tamtego wieczoru pierwszy raz

spotkałyśmy Topaz. Jej portret pędzla Macmorrisa właśnie został wystawiony i ciocia Millicent poprosiła malarza, by przyprowadził Topaz. Miała wtedy na sobie bladoniebieską suknię, w której ją namalował, i pożyczony od niego wspaniały nefrytowy naszyjnik. Pamiętam, jak mnie zdziwiły jej długie jasne włosy spływające po plecach. I pamiętam ojca, rozmawiającego z nią cały wieczór, i ciocię Millicent, w czarnym aksamitnym kostiumie z koronkowym plastronem, która piorunowała go wzrokiem.

W dużej sypialni od frontu nie było żadnych rzeczy, co przyjąłem ze znaczną ulgą, choć nie mogę powiedzieć, żeby czuło się, że ktoś tam umarł: było tylko zimno i pusto. Ubrania leżały w małej garderobie za sypialnią, w stosach na podłodze, obok stały dwa stare czarne skórzane kufry, przygotowane dla nas do zapakowania wszystkiego. Dochodziło tam bardzo mało światła, bo zielone żaluzje zostały spuszczone. Linka była zerwana i nie mogliśmy podnieść żaluzji, ale udało nam się trochę rozchylić listewki.

Stara wojskowa czarna peleryna cioci Millicent leżała na górze jednego ze stosów. W dzieciństwie strasznie się jej bałam, bo nasuwała mi myśli o czarownicach. Wczoraj też była przerażająca, ale inaczej – wydawała się jakby częścią zmarłej osoby. Podobnie jak wszystkie inne ubrania.

– Rose, chyba nie będę mogła ich dotknąć – odezwałam się.

– Musimy – powiedziała i zaczęła w nich grzebać.

Może gdybyśmy lubiły biedną ciocię Millicent, mogłybyśmy znaleźć w sobie czułość dla jej ubrań. Może gdyby były ładne i kobiece, to wszystko nie wydawałoby się takie straszne. Ale leżały tam głównie ciężkie ciemne płaszcze i spódnice, i gruba wełniana bielizna. I kolejne rzędy butów na płaskich obcasach, na drewnianych prawidłach, najbardziej dla mnie przykrych – cały czas myślałam o nich, że to martwe stopy.

– Są tu całe tuziny płóciennych chusteczek, to już coś – powiedziała Rose.

Ale mnie nie podobały się ani chusteczki, ani rękawiczki, ani pończochy, ani para okropnych, wyglądających jak połamane,

gorsetów.

– Ubrania człowieka powinny być pochowane razem z nim – oznajmiłam. – Nie powinny być zostawione, żeby nimi pogardzano.

– Ja nimi nie pogardzam – odparła Rose. – Niektóre z tych kostiumów uszyto z cudownych materiałów.

Ale upychała je do kufrów w jakiś taki obraźliwy sposób. Zmusiłam się, by je wyjąć i złożyć starannie, i w myślach zobaczyłam ciocię Millicent, jak spogląda na to z ulgą.

– Ona zawsze lubiła, żeby jej kostiumy były doskonale wyprasowane i wyczyszczone – powiedziałam.

– Jakby to coś dla niej teraz znaczyło! – parsknęła Rose. I wtedy usłyszałyśmy, że ktoś idzie po schodach na górę.

Poczułam, jak lodowacieję od serca do ramion. Potem strach złapał mnie za gardło i nie mogłam nic powiedzieć. Patrzyłam z przerażeniem na Rose.

– To nie jest... nie jest! – wykrztusiła. – Och, Cassandro, to nie może być...!

Ale ja wiedziałam, że ona nie ma wątpliwości, co to idzie. I wiedziałam, tak jak często wiem różne rzeczy o Rose, że była przerażona od momentu wejścia do tego domu i że jej niedbały sposób obchodzenia się z ubraniami to był blef. Ale nie przypuszczałam wtedy, że była podwójnie przestraszona i myślała, że jeżeli to nie jest ciocia Millicent, to musi być jakiś włóczęga ukrywający się w suterenie, który może nas obie zabić i schować nasze ciała do kufrów.

Och, cudowna Rose! Z obiema tymi obawami jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i zawołała:

– Kto tu jest?

Na zewnątrz stał praktykant.

– Jak pan śmie, jak pan śmie? – wrzasnęła z furją. – Wślizgiwać się do domu i straszyć moją małą siostrę.

– Przestań, Rose! – powiedziałam słabym głosem.

Biedny praktykant gorąco przeproszał.

– Przyszedłem tylko wyświadczyć paniom przysługę – wyjaśnił

i podał jej list.

Rose przeczytała go, po czym krzyknęła:

– My tego nie możemy zapłacić!

Wyrwałam jej list z ręki. To było przypomnienie, że należą się pieniądze za przechowanie jakichś futer.

– Nic nie muszą panie płacić. Załatwiłem to telefonicznie – uspokoił nas praktykant. – Jesteśmy wykonawcami testamentu ciotki pań, więc to my regulujemy jej rachunki? To trafiło akurat na moje biurko, kiedy panie przyszły rano do kancelarii, ale jeszcze nie zdążyłem tego przeczytać. Futra są teraz wasze.

– Ale ciocia Millicent nigdy nie miała żadnych futer – wtrąciłam. – Uważała, że to okrutne wobec zwierząt. – I zgadzałam się z nią.

– No, ale te były jej własnością – odrzekł dependent – i okrutne czy nie, lepiej tam iść i je zabrać. Futra są kosztowne, to realne pieniądze.

Popatrzyłam jeszcze raz na list. Nie podano w nim, jakie to futra.

– Muszą być dobre, jeżeli aż tyle płaciła za przechowanie – zauważył praktykant. – Najlepiej spakujcie teraz wszystko do tych kufrów. Zabiorę je na stację i zostawię dla was w przechowalni bagażu, dobrze? A wy pędźcie po futra.

W pośpiechu załadowaliśmy ubrania i przyznaję ze wstydem, że zapomniałam o zmarłych uczuciach ciotki Millicent. Praktykant razem z taksówkarzem ściągnął kufry na dół, po czym sprowadził drugą taksówkę dla nas.

– Chciałbym jechać z wami i zobaczyć tę całą zabawę – dodał na pożegnanie – ale muszę być w sądzie o trzeciej.

Miał tłuste włosy i przyszczatą cerę, ale serce życzliwe. Rose też tak musiała myśleć, bo wychyliła się z taksówki i powiedziała, że jest jej bardzo przykro, że tak się rozzłościła.

– Nie ma o czym mówić – odrzekł. – Jestem pewny, że też bym się przeraził, gdybym był na pani miejscu. – Potem taksówka ruszyła, a on zawołał za nami: – Mam nadzieję, że to sobole!

My też miałyśmy taką nadzieję.

– Muszą być stosunkowo nowe, bo ich nie miała, kiedy ją

znałyśmy – zauważyła Rose. – Domyślam się, że przestała być tak zasadnicza na starość, gdy dotkliwiej odczuwa się zimno.

– To pewnie będą króliki – powiedziałam, czując, że powinnam poskromić naszą wyobraźnię, ale nie wierzyłam, że ciocia Millicent mogłaby nosić coś taniego.

Taksówka zatrzymała się przed cudownym sklepem – sklepem, przez który nigdy bym się nie odważyła przejść bez powodu. Weszliśmy od strony działu z rękawiczkami i pończochami, ale wszędzie były też rozłożone rzeczy z innych działów: flakony perfum i małe szklane drzewko z czereśniami, i gałązka białego prawdziwego koralu na szyfonowym szalu w kolorze morskim. Och, to było bardzo pomysłowo urządzone miejsce, żeby ludzie, którzy mają pieniądze, chcieli je wydawać bez opamiętania!

Bładoszare dywany były sprężyste jak mech i w powietrzu unosił się zapach jakby hiacyntów, tylko mocniejszy i głębszy.

– Co to właściwie za zapach? – zapytałam.

– Jak w niebie – westchnęła Rose.

W dziale futer panował inny zapach, cięższy, i same futra pachniały ekscytująco. Było ich tam mnóstwo, porozkładanych na szarych atłasowych kanapach: ciemnobrązowe, złotobrązowe, srebrzyste. Spacerowała też piękna modelka, prezentując gronostajową pelerynę na sukience z różowej gazy, w ręku miała małą mufkę. Jakaś kobieta z biało-niebieskimi włosami podeszła do nas, zapytała, czym może służyć, i zabrała nasz kwit z przechowalni; po chwili dwaj mężczyźni w białych kitlach wnieśli futra ciocie Millicent i rzucili je na kanapę.

Strzepnęłyśmy je i obejrzałyśmy dokładnie. To były dwa bardzo długie okrycia: jedno czarne, kosmate, a drugie gładkie, brązowe; krótki obcisły żakiet z szerokimi rękawami zebranymi w mankiet; i duży włochaty pled z zielonym filcowym obramowaniem.

– Ale cóż to mogły być za zwierzęta? – wykrztusiłam.

Kobieta z białymi włosami sprawdziła je ostrożnie. Powiedziała, że brązowe futro jest z bobra, a krótki żakiet z rudymi przebłyskami pod czarnym włosiem to selskiny. Zupełnie nie mogła

zidentyfikować pledu – dla mnie to wyglądało jak owczarek szkocki. Rose przymierzyła długie czarne futro. Sięgało do ziemi.

– Wyglądasz jak niedźwiedź – zauważyłam.

– Bo to jest niedźwiedzie futro – wyjaśniła kobieta z białoniebieskimi włosami. – Mój Boże, to musiało być okrycie woźnicy.

– Tutaj jest coś w kieszeni – powiedziała Rose.

Wyjęła kawałek papieru. Było na nim nagryzmołone: *Wyjechać po panią do pociągu na 13.20, panna Milly na lekcję tańca o 15.00, młode panny do pałacu o 18.00.*

Po chwili uświadomiłam sobie, że ciocia Millicent była najmłodszą siostrą ojca mojego ojca, a te futra musiały należeć do jej matki. Z tego wynikało...

– Wielkie nieba! – zawołałam. – One należały do naszej prababci. Ktoś w randze kierownika przyszedł, by z nami porozmawiać.

Zapytałyśmy, czy któreś z tych futer ma jakąś wartość.

– Nie można dziś kupić bobrów za żadne skarby – wyjaśnił – ale nie wiem, czy to się uda dobrze sprzedać. Dzisiaj robimy futra zupełnie inaczej. Te ważą tonę.

Jego sklep nie kupował używanych futer i on nie potrafił nam poradzić, dokąd mamy je zanieść. Czułyśmy, że Londyn jest najlepszym miejscem na to, żeby je sprzedać, i chciałyśmy jeszcze zostawić je w tym sklepie, dopóki nie naradzimy się z Topaz; kierownik poinformował nas jednak, że pozostawienie ich na dłużej będzie wymagało wniesienia opłaty za następny kwartał i adwokaci cioci Millicent prawdopodobnie nie zechcą już tego uiścić. Powiedziałyśmy więc, że zabierzemy je ze sobą – wydawało się to najrozsądniejsze. Podpisałyśmy papiery i ruszyłyśmy do wyjścia, obładowane futrami. Po drodze zajrzałyśmy przez sklepione przejście do działu, przez który weszłyśmy tutaj. Była tam kobieta kupująca jasnoniebieskie zamszowe rękawiczki. Miała na sobie najprostszy, mały czarny kostium, ale Rose uznała, że wygląda wspaniale.

– Tak właśnie powinnyśmy się ubierać – powiedziała.

Stałyśmy, wpatrując się w perfumy, pończochy i resztę – jakaś klientka kupowała tuzin par jedwabnych pończoch.

– Jesteśmy jak nasz kot Ab, kiedy widzi ptaki za oknem – odezwałam się w końcu. – Za chwilę zaczniemy smutno miauczeć.

Rose przyznała, że tak właśnie się czuje.

– No to pospacerujmy po całym sklepie, skoro już tu jesteśmy – zaproponowałam.

Ale Rose odparła, że jest jej za ciężko z tymi futrami; wciągnęłam więc jeszcze głęboko zapach hiacyntów, po czym skierowałyśmy się do drzwi wyjściowych.

Rose chciała od razu jechać taksówką z powrotem do City, ale żadnej nie było nigdzie widać, a ja umierałam z głodu, więc przekonałam ją, że najpierw powinnyśmy coś zjeść. Powłokłyśmy się na Oxford Street – te futra rzeczywiście ważyły tonę – i znalazłyśmy miłe miejsce z białymi obrusami i dużymi okrągłymi pojemnikami na przyprawę. Miałyśmy spory problem, żeby się usadowić: próbowałyśmy złożyć futra na krzesła i usiąść na nich, ale wtedy się okazało, że nie możemy dosięgnąć ani podłogi, ani naszych talerzy. W końcu musiałyśmy zwalić je obok na podłogę, co nie wywołało zachwyty kelnerki. Ale restauracja mi się podobała; ludzie, którzy tam jedli, byli w większości niezwykle brzydki, lecz jedzenie okazało się wspaniałe. Zjadłyśmy pieczonego kurczaka (porcja ze skrzydełkiem – dwa szylingi), podwójne porcje sosu chlebowego (każda z nas), dwa rodzaje jarzyn, pudding nasączony syropem z melasy i wypiliśmy cudowną kawę z mlekiem. Wspaniale się objadłyśmy. Kiedy skończyłyśmy, dochodziła czwarta.

– Prawie wcale nie widziałyśmy Londynu – zauważyłam, kiedy jechałyśmy z powrotem do adwokatów.

Rose odparła, że nie miałyby na to ochoty, nawet gdybyśmy nie były objuczone futrami, bo to żadna przyjemność być w Londynie w niewłaściwym stroju. Potem umilkła na tak długo, że zapytałam ją, o czym myśli.

– Prosiłam Pana Boga, żeby dał mi mały czarny kostium –

powiedziała.

Nasz przyjaciel praktykant zrywał boki ze śmiechu, gdy zobaczył futra, ale przyznał, że to ogromne rozczarowanie. Jego zdaniem to brązowe musiało być męską podróżną pelisą – była za duża nawet na niego – podszytą bobrem, z pokryciem w szkocką kratę. Dał nam herbaty i po dwa herbatniki z porzeczkami, ale byłyśmy zbyt najedzone, więc schowałyśmy je na drogę. Kiedy odbierałyśmy stare skórzane kufry z przechowalni bagażu, człowiek z obsługi zapytał, czy są w nich jakieś ciała. I wtedy Rose wyjawiała mi swoje wcześniejsze obawy, że mogły się tam znaleźć ciała – nasze.

W pociągu miałyśmy cały przedział dla siebie i kiedy po zachodzie słońca zrobiło się chłodno, narzuciłam bobrową pelisę. Okazała się cudownie przytulna. To było niezwykle: miałam najbardziej serdeczne uczucia dla tych futer. Wcale się ich nie bałam, tak jak ubrań cioci Millicent, chociaż wiedziałam, że musiały być noszone przez ludzi, którzy zmarli. Myślałam o tym sporo, rozgrzewając się coraz bardziej i bardziej w tym bobrowym futrze, i doszłam do wniosku, że to tak samo jak z różnicą pomiędzy pięknymi starymi grobami w Godsend i nowymi, otwartymi na przyjęcie trumien (na co nigdy nie mogę patrzeć); że czas zaciera brzydotę i okropieństwo śmierci i zmienia je w piękno.

Rok temu wyraziłabym tę myśl wierszem. Próbowалам też wczoraj, ale bez rezultatów. Och, przychodziły mi do głowy linijki, które się rymowały i dały się rytmicznie czytać, ale nic więcej. Teraz wiem, że wszystkie moje wiersze były zaledwie takie, a jednak nie posiadałam się ze szczęścia, kiedy udało mi się je sklecić. Brak mi tego teraz.

Oparłam się i zamknęłam oczy, i od razu cały dzień zatańczył przede mną. To nie było tylko wspomnienie; wydawało się, że wszystko zostało uwięzione pod powiekami: City, ruch uliczny, sklepy – wszystko błyszczące, w zlewających się obrazach. Potem mój mózg zaczął wybierać pojedyncze fragmenty, o których chciał pomyśleć, i zdałam sobie sprawę, jak dzień utworzył wzór z ubrań – najpierw, wcześniej rano, nasze białe garsonki, potem świadomość

tego, co ludzie noszą w Londynie, potem smutne martwe ubrania cioci Millicent, dalej wszystkie wspaniałości w sklepie i wreszcie nasze futra. I myślałam o tym, jak ważne są ubrania dla kobiet i jak zawsze były ważne. Myślałam o normańskich kobietach w wieży Belmonte, o damach Plantagenetów żyjących w zamku Godsend, o damach Stuartów, kiedy nasz dom był budowany na ruinach, o obręczach wypełniających spódnice i sukniach w czasach Jane Austen, krynolinach i tiurniurach, i o Rose, która tęskniła do małego czarnego kostiumu. Przyszły mi do głowy najgłębsze filozoficzne myśli o tym wszystkim albo może śniłam je tylko, bo wszystkie jakby uleciały. Kiedy Rose mnie obudziła, śniła mi się gałązka prawdziwego białego koralu na szyfonowym szalu w kolorze morskiej zieleni.

Nadszedł czas przesiadki. Było mi straszliwie zimno, bo zdjęłam bobrowe futro. Uważałam, że lepiej je zdjąć, ponieważ nie tylko wyglądało dziwnie, ale też ciągnęło się po ziemi. Byłam zadowolona, kiedy wsiadłyśmy już do naszej lokalnej ciuchci i mogłam znowu się nim otulić. Rose narzuciła okrycie woźnicy i wychyliłyśmy się, każda ze swojego okna, by wdychać słodki zapach wsi – którego się nie zauważa, jeśli się choć na trochę stąd nie wyjedzie. Ciągle jeszcze miałyśmy nasze herbatniki, więc jadłyśmy je, spoglądając w noc; schowałam jeden dla Stephena, który miał po nas przyjechać wozem pana Stebbinsa i zabrać kufry.

I wtedy to się stało. Kiedy zatrzymaliśmy się w Little Lymping, popatrzyłam w stronę wagonu bagażowego, by się upewnić, że nasze kufry nie zostały przez pomyłkę wyładowane – zawiadowca jest nieco tępy. I zobaczyłam, że niecałe sześć jardów ode mnie Simon Cotton też wychyla się przez okno wagonu. Jego włosy i broda wydawały się całkiem czarne, a w słabym świetle lamp na peronie wyglądał bardzo blado i nawet w tym szybkim rzucie oka zauważyłam nagość jego ust.

Cofnęłam się i zawołałam do Rose.

Oceniłam, że mamy dziesięć minut, żeby pomyśleć, co zrobić. Byłyśmy pięć mil od Scoatney i ten mały pociąg ledwie pełzł. Ale,

och, potrzebowałam więcej czasu! Nie mogłam się zdecydować, czy powiedzieć Rose, co Cottonowie o niej mówili. Bardzo się bałam, że jeżeli jej nie powiem, to znowu się wygłupi.

– Potraktujmy ich z dystansem – zaproponowałam, poprawiając włosy w lustrze pomiędzy fotografiami katedry w Norwich i plaży w Yarmouth.

– Z dystansem? Czy myślisz, że ja w ogóle zamierzam się do nich odezwać? Po tym, jak nas ignorowali?

– Ale będziemy musiały powiedzieć choćby „dobry wieczór”, prawda? Możemy rzucić to chłodno i z godnością pójść dalej.

Odparła, że nie możemy zrobić niczego z godnością – w takich strojach i obładowane futrami podobnymi do dywaników przed kominkiem. Chciała, żebyśmy wyskoczyły z pociągu, kiedy się tylko zatrzyma, i szybko odeszły, zanim Cottonowie nas zobaczą.

– Przecież nie możemy uciec bez kufrów – zauważyłam. I nagle wpadłam na pewien pomysł. – Wsiądziemy na drugą stronę torów i pójdziemy wzdłuż pociągu do wagonu służbowego. Zanim tam dotrzemy, Cottonowie opuszczą już stację.

Rose przyznała, że to się może udać. Zdecydowałyśmy, że nie zdejmemy futer, żeby być niewidoczne w ciemności na końcu peronu, gdyby Cottonowie odwrócili się i popatrzyli, jak akurat będziemy odbierać nasze kufry. Rose postawiła duży niedźwiedzi kołnierz, żeby ukryć swoje jasne włosy.

– Miejmy nadzieję, że żaden pociąg nie nadjedzie po drugim torze, gdy będziemy tamtędy szły – dodałam.

Ale wiedziałam, że było to mało prawdopodobne o tej porze i że pociągi jeżdżą tu bardzo powoli.

– I tak mogłybyśmy odepchnąć tę ciuchnię jedną ręką – odrzekła Rose.

Zarzuciłam sobie futrzak z owczarka na ramię, Rose wzięła selskinowy zakiet. W chwili kiedy pociąg się zatrzymał, zeskokczyłyśmy na tory.

Nie zdawałyśmy sobie sprawy z tego, jak trudno będzie nam iść – bardzo niewygodnie było trzymać futra i cały czas się o coś

potykałyśmy. Lampy naftowe na peronie dawały nikłe światło i akurat nie było żadnych latarni aż do samego wagonu bagażowego. Nie mogłyśmy dosięgnąć drzwi po naszej stronie, więc obeszłyśmy tył pociągu i wspięłyśmy się na peron. Drzwi wagonu były otwarte, ale nie było kolejarza, który wystawiłby nasze kufry. Zawiadowca zazwyczaj pomaga przy bagażu, ale sprawdza także bilety i na pewno zajmował się odprowadzaniem Cottonów do wyjścia.

– Musimy same sobie poradzić – powiedziałam.

Wagon był tak słabo oświetlony, że z początku nie mogłyśmy dostrzec naszych kufrów, potem Rose znalazła je w głębi, za całym mnóstwem baniek na mleko. Podchodząc do kufrów, zobaczyłyśmy dużą skrzynię. Nikłe światło lampy gazowej znajdowało się dokładnie nad tą skrzynią i zobaczyłam na niej nalepkę „COTTON, Scoatney, Suffolk”. Rose też ją dostrzegła i wydała stłumiony okrzyk. W następnej sekundzie usłyszałyśmy głosy i zbliżające się kroki na peronie. Pospieszyłyśmy w stronę drzwi, ale było już za późno, żeby wysiąść.

– Szybko, chowaj się za kufry – rzuciła Rose.

Gdybym miała czas pomyśleć, może próbowałabym ją przekonać, że strasznie się ośmieszymy, jeśli nas tu znajdą. Ale ona dała susa za kufry, a ja za nią.

– Tu nas nie zobaczą – powiedziała, gdy przykucnęłyśmy w kąciaku. Ja też sądziłam, że nas nie zobaczą – kufry były wysokie, a światło bardzo słabe i daleko od nas.

– Ale kucnij niżej – szepnęłam – twój kufer jest niższy od mojego.

– Och, poradzimy sobie we dwójkę, proszę pana – odezwał się męski głos i nie był to głos zawiadowcy, więc pomyślałam, że wrócił kierownik pociągu.

– Ja pomogę – powiedział Neil Cotton, wskakując do wagonu. A potem krzyknął: – O Boże! – I wyskoczył z powrotem.

W następnej chwili drzwi zatrzasnęły się z taką mocą, że osłonka na lampie gazowej pękła i otoczyła nas ciemność.

– O co chodzi, co się stało? – zawołał Simon Cotton.

Nie było odpowiedzi Neila, ale usłyszałam, jak kierownik pociągu

wybuchnął gromkim śmiechem.

– A to dobre! – wykrzyknął.

– Och, Rose, on nas zobaczył – szepnęłam.

– Bzdura. Dlaczego, widząc nas, miałby zatrzasnąć drzwi? – odszepnęła. – Nie, to coś innego. Cicho! Słuchaj!

Ostrożnie podniosłam głowę. Udało mi się dostrzec zarys okna, trochę uchylonego od góry. Usłyszałam głos Simona Cottona:

– Neil, zwariowałaś.

– Mówię ci, że jestem pewny.

– Ależ proszę pana, przecież ja siedziałem w tym wagonie – powiedział kierownik pociągu.

– Ale zostawił pan drzwi otwarte.

Zobaczyłam ledwie widoczną, niewyraźną plamę poruszającą się w ciemności. Była to twarz Rose wyłaniająca się zza kufra.

– Co się dzieje? – szepnęła z rozpaczą.

– Ćśś... – uciszyłam ją, wyteżając słuch.

Sądzę, że będę pamiętać tę chwilę do końca życia: gwiazdy w kwadracie okna, paciorek światła nad pękniętą osłonką lampy gazowej, zapach nieświeżego mleka i ryb.

Usłyszałam, jak Simon Cotton mówi, że przyniesie latarkę z auta.

– I powiedz mamie, żeby została w samochodzie i zamknęła drzwi! – zawołał za nim Neil.

Rose zaczęła pełznąć w stronę okna. Rozległ się głuchy brzęk; wpadła na bańkę na mleko.

Kierownik pociągu gwizdnął cicho.

– Wygląda na to, że miał pan rację.

– Oczywiście, że tak – powiedział Neil. – Czyż nie karmiłem ich w parku Yellowstone?

I wtedy do mnie dotarło.

– Rose, wzięto cię za niedźwiedzia. Usłyszałam, jak gwałtownie złapała powietrze.

– Co za idiota! Ależ to idiota! – Potem wpadła z łoskotem na drugą bańkę.

– No, siedem ósmych ciebie jest niedźwiedziem. A do King's

Crypt przyjechał cyrk i namioty są blisko torów. Cottonowie nie mogli ich nie zauważyć.

Zacząłem się śmiać, ale przestałam, słysząc, że walczy z drzwiami na przeciwległym końcu wagonu. Otworzyła je i zobaczyłam jej czarną sylwetkę na tle gwiazd.

– Chodź, szybko – powiedziała i skoczyła na tory.

Dotarłam do drzwi – każda bańka z brzękiem uderzała w sąsiednią. Przez ten hałas słyszałam, jak Simon Cotton z kierownikiem pociągu biegną wzdłuż peronu i krzyczą do maszynisty.

– Och, Rose, nie wygłupiaj się! – zawołałam. – Będziemy musiały to wyjaśnić.

Złapała mnie za ręce i pociągnęła, aż musiałam zeskoczyć.

– Jeżeli nie pójdiesz ze mną, nigdy ci nie wybaczę – szepnęła gorączkowo. – Wolę umrzeć, niż coś wyjaśniać.

– No to prawdopodobnie umrzesz, bo na wsi mnóstwo ludzi ma broń pod ręką.

Ale to nie pomogło, bo znikła w ciemnościach na końcu pociągu. Pasażerowie krzyczeli i trzaskali drzwiami. Nie mogło być ich wielu, lecz robili piekielny hałas; na szczęście znajdowali się od strony peronu. Nagle przyszło mi do głowy, że jeśli zdołam nakłonić Rose, żeby zdjęła futro, mogłybyśmy przyłączyć się do pościgu, jakbyśmy nie miały nic wspólnego z niedźwiedziem; wyzwoliłam się więc ze swego futra, wrzuciłam je do wagonu i ruszyłam za nią. Ale ledwie zrobiłam parę kroków, rozbłysło jasne światło latarki. Zobaczyłam Rose wyraźnie. Wdrapywała się na mały nasyp za końcem peronu, a ponieważ była na czworakach, wyglądała zupełnie jak niedźwiedź. Ludzie na peronie wrzeszczeli. Rose sforsowała nasyp i znikła na przyległym polu.

– Tam jest farma Foxearthów! – krzyknęła jakaś kobieta. – Oni mają troje małych dzieci.

Słyszałam, jak ktoś biegł wzdłuż peronu. Kobieta pokrzykiwała:

– Szybko, szybko, do Foxearthów!

Dał się słyszeć głuchy łomot, kiedy ktoś zeskoczył na tory, a potem w świetle latarki pojawił się Stephen. Światło zamigotało na metalu

i zdałam sobie sprawę, że niesie widły – musiały być w wozie pana Stebbinsa.

– Stój, Stephen, stój! – ryknęłam. Odwrócił się i zawołał:

– Nie zrobię mu krzywdy, chyba że będę musiał, panienko Cassandro. Zagonię go do stodoły.

Neil Cotton przeszedł koło mnie.

– Daj mi to – zwrócił się do Stephena, łapiąc widły.

Nadbiegł Simon, oświetlając latarką drogę przed sobą, a za nimi kierownik pociągu i kilku pasażerów. Ktoś wpadł na mnie i mnie przewrócił. Latarka zaczęła migotać, Simon uderzył ją i wtedy zgasła już zupełnie.

– Przynieście latarnie ze stacji! – zawołał kierownik pociągu, wspinając się z powrotem na peron.

Pasażerowie poczekali na niego, ale Simon i Stephen pognali za Neilem w ciemność.

Może powinnam była natychmiast wszystko wyjaśnić – ale hałas i to, że mnie przewrócono, oszołomiły mnie trochę. Wiedziałam, jak okropne by to było dla Rose. Nie tylko Cottonowie dowiedzieliby się, ale też wszyscy miejscowi ludzie z pociągu. I naprawdę myślałam, że uda jej się uciec.

W każdym razie Neil zobaczy, że to nie jest niedźwiedź, kiedy znajdzie się bliżej Rose, pomyślałam. Potem ci wszyscy ludzie z latarniami przebiegli obok mnie, a zawiadowca miał ze sobą swego dużego czarnego psa na łańcuchu i trzymał kamień w ręce. Wiedziałam, że niebezpiecznie byłoby milczeć dłużej. Zaczęłam do nich mówić, ale pies czekał tak głośno, że nikt mnie nie słyszał. I nagle, ponad tym hałasem, usłyszałam przeraźliwy wrzask.

Kompletnie straciłam głowę.

– To moja siostra! – krzyknęłam. – On ją zabije! – I pobiegłam wzdłuż torów.

Ci wszyscy ludzie ruszyli za mną, ktoś upadł, potknąwszy się o łańcuch psa, i zaklął siarczyście. Pokonaliśmy nasyp i znaleźliśmy się na polu; mężczyźni trzymali latarnie wysoko, ale nie było widać ani Rose, ani Cottonów, ani Stephena. Tęga kobieta chciała, żeby

zawiadowca spuścił psa z łańcucha, lecz on się obawiał, że pies pogryzie Cottonów zamiast niedźwiedzia.

– Ale on ich podusi – jęczała tęga kobieta. – Nie mają szans.

Już otworzyłam usta, żeby im wyjaśnić, że nie ma żadnego niedźwiedzia, i wtedy zobaczyłam w oddali coś białego. Mężczyźni z latarniami też to dostrzegli i pobiegli w tamtym kierunku. Nagle w świetle pojawił się Neil Cotton niosący Rose w białym kostiumie. Simon Cotton i Stephen szli parę kroków za nim.

Tęga kobieta pospieszyła do przodu.

– Proszę się odsunąć – powiedział stanowczym tonem Neil Cotton.

– Ona przeżyła okropny szok.

– Rose, Rose! – zawołałam, biegnąc do niej.

– Nic jej nie jest – uspokoił mnie szybko Simon – ale chcemy ją zabrać do naszego auta. – Złapał jedną latarnię, oświetlił drogę Neilowi i zdecydowanie pomaszrowali naprzód.

– Ale przecież niedźwiedź, proszę pana... – zaczął kierownik pociągu.

– Nie żyje – oznajmił Simon Cotton. – Mój brat go zabił.

– Jest pan pewny? – zapytał zawiadowca stacji.

– Lepiej sprawdźmy – odezwała się tęga kobieta. – Pies go zaraz znajdzie.

– Nie, nie znajdzie go – rzucił Neil Cotton przez ramię – bo wpadł do rzeki i porwał go prąd.

– Biedaczek, biedaczek, nie miał żadnych szans – lamentowała tęga kobieta. – Najpierw zabity, potem się utopił, a pewnie był cenny.

– Idź ze swoją siostrą – zwrócił się do mnie Simon Cotton.

Zrobiłam to z największą ochotą, a on podał latarnię Stephenowi i został, nakłaniając ludzi, by wracali do pociągu.

– To podejrzana sprawa – powiedział zawiadowca stacji. To na pewno była podejrzana sprawa, w moim pojęciu.

– Co się tam stało, Stephen? – zapytałam cicho. Rose nagle podniosła głowę i nerwowo szepnęła:

– Zamknij się. Zabierz kufry z pociągu.

Potem, kiedy Neil znosił ją ostrożnie z małego nasypu, słyszałam, jak mu mówiła, że mogą wydostać się przez pole na tyłach stacji. Wciąż niosąc ją na rękach, przekroczył tory i ruszył prosto przez to pole. Nie wrócili już na stację. Stephen oświetlał ich latarnią przez minutę albo dwie, a potem dołączył do mnie w wagonie bagażowym. Zanim udało mi się coś wyjaśnić, powiedział:

– Proszę, bardzo proszę nie zadawać mi teraz żadnych pytań, panienko Cassandro.

Wyrzuciłam bobrowe futro, pled i żakiet na peron.

– No, przynajmniej możesz mi zdradzić, gdzie jest to niedźwiedzie futro – zaczęłam, ale wtedy przyszedł kierownik pociągu.

Biedny, nie mógł zrozumieć, jak niedźwiedź wydostał się z wagonu. Powiedziałam, że Rose była w środku, kiedy Neil zatrzasnął drzwi, i to ona otworzyła drzwi na drugą stronę torów, gdy usłyszała ryk niedźwiedzia.

– Pognał za nią jak błyskawica – dodałam, sądząc, że wystarczająco jasno wyjaśniłam całą sprawę.

Zawiaadowca stacji pomógł nam załadować kufry na wóz pana Stebbinsa. Auto Cottonów stało w odległości paru jardów. Rose siedziała wewnątrz i rozmawiała z panią Cotton. Simon Cotton wyszedł ze stacji i zwrócił się do mnie:

– Odwozimy twoją siostrę do domu. Pojedziesz z nami? Oznajmiłam, że zostanę ze Stephenem; częściowo z zażenowania, częściowo z obawy, że powiem coś niewłaściwego, nie mając najmniejszego pojęcia, co się naprawdę stało. W drodze do domu nie udało mi się też nic wyciągnąć ze Stephena. Usłyszałam od niego tylko: „Och, to było okropne, okropne. Niech lepiej panienka Rose opowie sama. Ja nic nie powiem”.

Musiałam poczekać, aż Rose i ja znalazłyśmy się w łózkach wczoraj wieczorem, żeby poznać coś na kształt całej historii. A Rose przedstawiła nam krótki zarys sprawy, gdy tylko przyjechała do domu, ale domyślałam się, że nie mówi wszystkiego. Powiedziała, że Neil Cotton biegł z widłami w jej stronę. Zaczęła krzyczeć, on się zorientował, o co chodzi, i kazał Simonowi i Stephenowi udawać, że

tam naprawdę był niedźwiedź.

– Neil i Simon udawali nawet przed matką – dodała. – Och, byli wspaniali.

Nigdy nie słyszałam, żeby ojciec tak się śmiał. Powiedział, że historia będzie rozbudowywana i upiększana, aż się okaże, że Rose ścigało rozjuszony stado słoni. I był pełen podziwu dla przytomności umysłu Cottonów.

Nie weszli do nas – zostawili Rose na dziedzińcu.

– Neil obiecał, że pozwolą mi przedstawić moją wersję całej historii – oznajmiła. – No i teraz już wiecie. I będziecie musieli udawać po wsze czasy, że naprawdę gonił mnie niedźwiedź.

Była cała rozplómiowana z podniecenia, w najmniejszym stopniu nie czując niepokoju, że tak zwróciła na siebie uwagę. To ja się niepokoiłam. Nie wiem dlaczego, może byłam bardzo zmęczona. Nagle zaczęłam drżeć i zachciało mi się płakać. Topaz kazała nam szybko iść do łóżek, przyniosła kakao i gorące cegły do ogrzania stóp i wnet poczułam się lepiej. Ucałowała nas w matczyne sposoby, którego Rose nie docenia, i upomniała nas, żebyśmy nie gadały za długo. Zdaje mi się, że sama chciała zostać i porozmawiać, ale ojciec zawołał, żeby już szła do łóżka.

– Skończmy nasze kakao po ciemku – zaproponowałam i zdmuchnęłam świecę.

Rose zawsze zwierza się chętniej, gdy jest ciemno.

– Ile ci Stephen powiedział w drodze do domu? – zapytała po krótkiej chwili.

Powtórzyłam jej, jak mówił, że to było zbyt okropne, żeby mógł o tym opowiadać.

– Ciekawa jestem, czy widział... – Zaczęła chichotać, pierwszy raz od wielu miesięcy. Jej chichoty były stłumione i domyśliłam się, że chce je wyciszyć, chowając twarz w poduszkę. W końcu zaczerpnęła powietrza i oznajmiła: – Uderzyłam Neila Cottona w twarz.

– Rose! – Ledwie mogłam wydobyć głos. – Dlaczego? Powiedziała, że rozejrzała się dookoła i zobaczyła, jak nadchodzi,

zobaczyła też widły na tle nieba i wrzasnęła przeraźliwie, co wszyscy usłyszeliśmy.

– Potem próbowałam wydostać się z futra, ale nie mogłam znaleźć guzików, więc pobiegłam dalej. Wołał: „Stój, stój!”, wtedy musiał już wiedzieć, że to żaden niedźwiedź. W końcu dopędził mnie i złapał za ramię. Wrzasnęłam: „Puszczaj, do cholery!”, a Stephen usłyszał mój głos i zawołał: „To jest panna Rose!”. Neil Cotton krzyknął: „Ale dlaczego uciekasz?”, a ja powiedziałam: „Bo nie chcę spotkać ciebie ani twojego brata. Obydwaj możecie iść do diabła!”. I uderzyłam go w twarz.

– Och, Rose! – Czułam się kompletnie oszołomiona, bo to było okropne.

– I co on na to?

– Wykrzyknął: „O Boże!”. A potem pojawili się Simon i Stephen. Stephen powiedział, że wszyscy ludzie z pociągu chcą mnie złapać.

„To twoja wina – zwróciłam się do Neila Cottona – zrobiłeś ze mnie pośmiewisko na całą okolicę”. Próbował mnie uspokoić i zaproponował, żebyśmy wszyscy udawali, że naprawdę gonił mnie niedźwiedź, tak jak wam opowiadałam.

– Nie uważasz, że to było nadzwyczaj uprzejme z jego strony? – zapytałam.

– Może tak, w pewien sposób – zgodziła się, po czym zamilkła, a ja wiedziałam, że nad czymś się zastanawia. W końcu dodała:

– To wszystko dlatego, że nie traktuje nas poważnie. Nie chodzi tylko konkretnie o nas, ale o Anglię w ogóle. Na pewno nie ośmieliliby się wyczyniać takich głupot w Ameryce. Dla niego Anglia to temat do kpin, śmieszna zabawka: pociągi jak zabawki, wieś jak zabawka. Wyczułam to z tego, co mówił w aucie, w drodze do domu.

Wiedziałam, co miała na myśli. Ja też to trochę odczułam tamtego wieczoru, kiedy pierwszy raz pojawili się w zamku; właśnie u Neila, nie u Simona. I jestem pewna, że Neil wcale nie chce być uprzejmy.

Zapytałam, jaka jest ich matka.

– Piękna i ani na chwilę nie przestaje mówić. Nasz ojciec od razu

miałby ochotę ją zabić.

– Jeżeli ją w ogóle kiedyś spotka.

– Jasne, że ją spotka. Teraz będziemy całkiem często spotykać Cottonów.

W jej tonie była taka pewność siebie – prawie arogancja – że mnie to przeraziło.

– Och, Rose, nie wygłupiaj się przy nich tym razem – wyrwało mi się, zanim zdążyłam się powstrzymać.

Natychmiast się do tego przyczepiła.

– Co to znaczy: „Nie wygłupiaj się”? Czy Topaz mówiła, że ja się wygłupiam?

Odrzekłam, że tylko tak mi się zdaje, ale ona nie dawała mi spokoju. Zasypała mnie pytaniami. A ja, chcąc bronić Topaz i będąc bardzo zmęczona, nie byłam tak twarda, jak powinnam – i Topaz przecież uważała, że najlepiej jej powiedzieć, jeżeli miałybyśmy jeszcze spotkać Cottonów. Czułam się okropnie, kiedy w końcu jej powiedziałam. Czułam się podle i wobec Cottonów, i wobec Rose. Jeżeli jednak ma jej to wyjść na dobre... Dołożyłam starań, by wyraźnie podkreślić, że mnie nazwali rozmyślnie naiwną. Pomięłam to, co mówili o ojcu.

Chciała wiedzieć, który brat mówił najgorsze rzeczy. Posortowałam uwagi najlepiej, jak potrafiłam.

– No, Simon przynajmniej mnie żałował. To Neil chciał zerwać znajomość z nami. Och, jak ja im się za to odpłacę!

– Nie bierz im tego za złe – odezwałam się błagalnie. – Zobacz, jacy byli uprzejmi dzisiaj wieczoru. I jeżeli jesteś pewna, że chcą się teraz przyjaźnić...

– Jestem.

– Czy mówili coś o spotkaniu z nami?

– Nieważne, co mówili.

A potem, ku mojemu zdumieniu, znowu zaczęła chichotać. Nie chciała mi zdradzić dlaczego. Kiedy przestała, oznajmiła, że jest śpiąca.

Próbowałam ją skłonić, by mówiła dalej, i zmieniłam się w pannę

Blossom.

– Słuchaj no, Rosie, czy ty nie chowasz czegoś w rękawie, niegrzeczna dziewczyno?

Ale ona nie dała się sprowokować.

– Jeżeli nawet coś chowam, to tam zostanie – powiedziała. – Idźcie spać obie, ty i panna Blossom.

Ale ja leżałam i nie mogłam zasnąć przez całe wieki, rozmyślając o tym wszystkim.

Wielkie nieba, zegar na wieży kościoła w Godsend właśnie wybił czwartą – piszę tu, na górze kopca, od sześciu godzin! Topaz wcale nie zadzwoniła na lunch, by mnie wezwać, tylko przyniosła mi tutaj trochę mleka i dwie duże kanapki z serem oraz wiadomość od ojca, że mogę pisać tak długo, jak mi się podoba. To może wyglądać na egoizm, że siedzę tutaj, gdy wszyscy ciężko pracują przy ubraniach cioci Millicent, ale kiedy rozpakowywałyśmy je rano, zaczęłam znowu drzeć i gdy Topaz dowiedziała się, co do nich czuję, uznała, że lepiej będzie, jeśli pójdę pisać – i w ten sposób uwolnię się od tych uczuć. No i tak się stało, bo teraz mogę już na nie patrzeć, jak powiewają na wietrze, bez strachu – chociaż jeszcze nie lubię ich, tak jak futer.

Przed pracą Stephen pojechał na rowerze na stację w Scoatney i przywiózł zostawione tam w rowie futro z niedźwiedzia. Ojciec pamięta, że słyszał o tym futrze, kiedy był mały. Mówi, że większość woźniców miała szczęście, jeśli im dano na zimę krótką pelerynę z kozłej skóry; ale prababcia uważała, że jeżeli jej mąż, jadąc w powozie, ma na sobie futro z bobrów, to woźnica, który przebywał na zimnie, powinien być ubrany przynajmniej tak samo ciepło. Był wdzięczny za niedźwiedzia, ale zakłopotany, bo mali chłopcy gwizdali i wyśmiewali się z niego, prosząc, by zatańczył. Selskinowy żakiet należał do cioci Millicent w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, zanim zwróciła się przeciwko futrom. Ojciec uważa, że zachowała je wszystkie z sentymentu dla rodziny i może też dlatego, że była szczęśliwa tylko w dzieciństwie. Jak dziwnie pomyśleć, że stara dama

w czarnym wojskowym szynelu była panną Milly, która chodziła na lekcje tańca! To sprawia, że zaczynam się zastanawiać, jaka ja będę na starość.

Moja ręka jest bardzo zmęczona, boli, ale chcę pisać dalej. Często odpoczywam i rozmyślam. Przez cały dzień byłam dwiema osobami naraz – sobą uwięzioną we wczorajszym dniu i mną tutaj na kopcu; a teraz trzecia ja chce się tu wślizgnąć – ta, której będzie dotyczyć to, co się wydarzy w przyszłości. Czy Cottonowie zaproszą nas do Scoatney? Topaz sądzi, że zaproszą. Mówi, że niezwykłość przypadku z niedźwiedziem będzie ich fascynować, tak jak ich fascynowała niezwykłość pierwszego wieczoru, kiedy przyszli do zamku – i że dzięki swojej ucieczce Rose naprawi szkody, których narobiła, będąc zbyt uwodzicielska. Oby tylko znowu nie uwodziła! Topaz pochwaliła to, że wczoraj wieczorem wyznałam wszystko Rose; ona sama rozmawiała z nią o tym dziś rano i Rose słuchała zadziwiająco grzecznie.

„Po prostu mów raczej mniej i dużo słuchaj, aż poczujesz się swobodnie – poradziła jej Topaz. – I na litość boską, nie zachowuj się prowokacyjnie. Twoja uroda sama ich zachęci, jeśli tylko dasz im szansę”. Bardzo lubię Topaz, kiedy twardo stąpa po ziemi.

Czy to okropne brać udział w takim planowaniu? Czy jest to próba sprzedania własnej siostry? Ale przecież ona może się w nich zakochać – to znaczy w tym, który się w niej zakocha. Mam nadzieję, że to będzie Neil, bo Simon wydaje się troszkę przerażający. Tylko że właśnie Neil uważa, że Anglia to coś zabawnego...

Odpoczywałam, patrząc uważnie na zamek w dole. Chciałabym znaleźć słowa – poważne, piękne słowa – by opisać go w popołudniowym słońcu; im bardziej się staram, tym bardziej mi umykają. Jak można uchwycić, opisać plamę światła na dziedzińcu i ozłoczone okna, tę dziwną aurę, jak z dawnych czasów, którą można znaleźć na starych obrazach? Mnie przychodzi do głowy tylko określenie „światło dawnych dni”⁹ i nie ja to wymyśliłam...

Och! Właśnie zobaczyłam auto Cottonów na drodze z Godsend,

koło skrzyżowania z główną drogą, skąd po raz pierwszy można dostrzec nasz zamek. Jadą do nas! Czy mam się znowu tylko przyglądać i czekać? Nie ma mowy!

Idę na dół.



9 Tytuł wiersza Thomasa Moore'a (1779–1852), irlandzkiego poety (przyp. tłum.).

VII

Jesteśmy zaproszeni na kolację do Scoatney od dziś za tydzień! I jest jeszcze coś, o czym chcę napisać, co dotyczy mnie. Och, nie wiem, od czego zacząć!

Zeszłam z Belmonte i zdążyłam ostrzec resztę – Rose i Topaz prasowały i Rose włożyła czystą bluzkę, jeszcze gorącą od żelazka. Topaz tylko doprowadziła się do porządku, po czym przygotowała tacę do podania herbaty. Ja się umyłam i uznałam, że wystarczy mi czasu jedynie na to, żeby albo uprzedzić ojca, albo wyszczotkować włosy, ale udało mi się zrobić obie te rzeczy, bo zabrałam grzebień i szczotkę ze sobą do wartowni. Ojciec zerwał się tak szybko, że bałam się, iż ma zamiar czym prędzej wyjść, by uniknąć spotkania z Cottonami, ale on tylko złapał moją szczotkę do włosów i wyczyścił nią swoją marynarkę – żadne z nas nie uważało, że jest to moment na przejmowanie się drobiazgami.

W końcu mieliśmy kilka minut w zapasie, bo oni zostawili auto przed podjazdem – błoto teraz już wyschło, ale koleiny ciągle są bardzo głębokie.

– Pani Cotton jest z nimi! – zawołałam, kiedy wyszli z za ostatniego zakrętu drogi.

Ojciec powiedział, że przywita ich pod sklepieniem przejściem wartowni.

– To nie będzie moja wina, jeśli tym razem coś się nie uda; to

obiecałem Topaz. – Potem popatrzył z dość ponurą miną i dodał: – Cieszę się, że ty jesteś jeszcze za młoda, żeby cię wystawiać na małżeński rynek.

Pognałam z powrotem do Rose i Topaz. Zapaliły ogień na kominku w salonie i wstawiły do wody żonkile. To sprawiło, że w pokoju stało się bardziej wiosennie niż zwykle. Otworzyłyśmy okna, łabędzie przepłynęły, wyglądając na lekko zainteresowane. Przypomniałam sobie pierwsze wiosenne popołudnie w salonie, z Rose grającą na fortepianie swój ulubiony utwór. Ujrzałam mamę wychylającą się z okna nad fosą – jej popielatą suknię widziałam bardzo wyraźnie, chociaż ciągle nie udaje mi się zobaczyć jej twarzy. Coś we mnie wypowiedziało słowa: „Och, mamó, spraw, by wszystko dobrze się ułożyło dla Rose!” – i miałam wizję biednej mamy spieszącej z nieba, by zrobić wszystko, co można. Jak też myśli człowieka potrafią śmigać, kiedy się tylko otworzy okno!

Wtedy wszedł ojciec z Cottonami.

Rose uważa, że pani Cotton jest piękna, ale ja bym jej tak nie określiła. Topaz jest piękna – w dużej mierze z powodu niezwykłości swojej twarzy: wygląda, jakby należała do bielszej – niż biała – rasy. Rose jest piękna, ze swoją śliczną karnacją i oczami, które potrafią rozjaśnić całą twarz. Natomiast pani Cotton jest przystojna... nie, to brzmi zbyt poważnie. Ona jest po prostu cudownie atrakcyjna, wszystko w niej wydaje się cudownie takie jak należy. Jej czarne włosy siwieją, ale nie mają smug, bo ma w sam raz tyle siwych włosów ile trzeba i w odpowiednich miejscach – i są odpowiednio pofalowane. Jej figura jest doskonała, podobnie jak jej ubranie – niby tylko zwykłe tweedy, ale o wiele bardziej atrakcyjne, niż można by się spodziewać: czyste barwy, z odcieniami niebieskiego, co podkreśla kolor jej oczu. Obawiam się, że wpatrywałam się w nią zbyt uporczywie – mam nadzieję, że odczuła to tylko jako podziw. Ponieważ jest matką Simona Cottona, nie może mieć mniej niż pięćdziesiąt lat, w co trudno uwierzyć. Teraz, gdy o tym myślę, nie wyobrażam sobie, by mogła być dużo młodsza; tyle że to jest inny rodzaj pięćdziesiątki od tych, które

kiedykolwiek widziałam.

Weszła, mówiąc nieprzerwanie, i „nieprzerwanie” jest bardzo dobrym słowem, by to opisać; było to niczym ściana słów. Na szczęście mówi pięknie – tak jak Simon – i wcale jej nie przeszkadza, kiedy jej się przerwie; jej synowie robią to nieustannie, a ojciec szybko przyswoił sobie tę technikę – i to do niego najwięcej mówiła. Po tym, jak przedstawił Topaz i mnie, przywitała się, podając rękę, wyraziła nadzieję, że Rose doszła już do siebie po tym szoku, powiedziała: „Jakie wspaniałe łabędzie” – i zaczęła mówić o *Bojach Jakuba*, a także o tym, że była na wykładzie ojca w Ameryce. Cały czas przerywali sobie w nadzwyczaj przyjazny sposób; Rose usiadła we wnęce okna i rozmawiała z Simonem, a Topaz i ja wyslizgnęłyśmy się, by przynieść herbatę. Neil uprzejmie poszedł za nami, proponując, że nam pomoże.

Staliśmy dookoła kuchennego pieca, czekając, aż w czajniku zagotuje się woda.

– Czy twoja matka naprawdę nie wie, że to Rose była niedźwiedziem? – zapytałam.

– O Boże, nie, to zupełnie nie do pomyślenia – odparł. – To nie jest rodzaj żartu, który mogłaby uznać. Zresztą to nie byłoby w porządku wobec twojej siostry.

Oczywiście, aż za dobrze to rozumiałam. Pani Cotton dziwiłaby się, dlaczego Rose uciekała. (A Neil pewnie uważa, że uciekała, bo czuła, że zerwali znajomość z nami. Mój Boże, jakie to żenujące).

– Ale nie wyobrażam sobie, jak ktokolwiek mógł uwierzyć, że zabiłeś niedźwiedzia widłami – powiedziałam.

– Nie zabiłem. Tylko zraniłem, chyba poważnie, ale nie dosyć, by go wyeliminować z akcji. Ruszył na mnie niezdarnie, usunąłem się, a wtedy wpadł do rzeki, łbem naprzód. Słyszałem, jak się rzuca w ciemnościach. Chwyciłem duży kamień... biedny zwierzak, bardzo nie chciałem tego zrobić, ale musiałem go załatwić. Wydał tylko jeden ryk bólu, kiedy trafił go kamień, i poszedł pod wodę. Podniosłem latarnię wysoko i ujrzałem pęcherzyki powietrza na powierzchni wody. A potem zobaczyłem pod wodą ciemny kształt

unoszony prądem.

– Ale przecież nie miałeś latarni – zauważyłam.

– Nie miał też niedźwiedzia – wtrąciła Topaz.

Przez chwilę sama prawie mu uwierzyłam – i było mi straszliwie żal niedźwiedzia. Nic dziwnego, że pani Cotton dała się zwieść.

– Dziś rano matka kazała nam iść do właściciela cyrku i zrekompensować stratę – opowiadał dalej, uśmiechając się. – To maleńki cyrk i w rzeczywistości nie ma tam żadnych niedźwiedzi, ale właściciel powiedział, że z przyjemnością potwierdzi naszą historię; ma nadzieję, że mu to przysporzy reklamy. Próbowałem kupić jednego z jego lwów, ale nie chciał mi sprzedać.

– Na co ci lew? – spytałam.

– Och, był taki słodki – odpowiedział niejasno.

Wtedy zagotowała się woda; zaparzyliśmy herbatę i zanieśliśmy do salonu.

Neil pomógł podać herbatę, po czym usiadł koło Rose na drewnianej ławeczce w wykuszowym oknie. Simon uprzejmie rozmawiał z Topaz. Ojciec i pani Cotton nadal przerywali sobie nawzajem, uszczęśliwieni. To było fascynujące tak im się wszystkim przyglądać, ale rozmowy wykluczały się wzajemnie i nie mogłam się przysłuchiwać żadnej z nich. Niepokoiliłam się o Rose. Widziałam, że pozwala, by mówił głównie Neil, i to było wspaniałe; ale sprawiała wrażenie, jakby go nie słuchała, co już nie było takie dobre. Nieustannie wychylała się z okna, karmiąc łabędzie. Neil wydawał się zdziwiony. Potem zauważyłam, że Simon cały czas jej się przyglądał, i po chwili to dostrzegła, i uśmiechnęła się do niego. Neil spojrzał na nią, po czym poprosił Topaz o jeszcze trochę herbaty (choć, jak widziałam, wcale jej nie pił). Simon podszedł do Rose. Ona nadal niewiele się odzywała, ale miała minę, jakby wszystko, co mówił, było nadzwyczaj interesujące.

Dochodziły do mnie niektóre słowa: opowiadał jej o Scoatney Hall. Usłyszałam, jak mówi: „Nie, nigdy nie byłam w środku”. On na to: „Ależ musisz przyjść, koniecznie. Mamy nadzieję, że zjecie z nami kolację któregoś wieczoru w przyszłym tygodniu”. Potem zwrócił

się do pani Cotton, a ona nas zaprosiła. Był tylko jeden okropny moment, kiedy myślałam, że zostanę w domu, ponieważ zapytała: „A Cassandra jest już dość duża, by chodzić na wieczorne przyjęcia?”, ale Neil powiedział: „Jasne, że tak!” – i już było po strachu.

Och, bardzo lubię Neila! Kiedy wyszli, ja towarzyszyłam jemu, ojciec szedł z panią Cotton, a Rose z Simonem. Neil zapytał, jak dostaniemy się do Scoatney; odpowiedziałam, że zastanowimy się nad tym, a on ustalił, że przyślą po nas auto. Jest niezwykle uprzejmy – chociaż gdy mijaliśmy stodołę, przypomniałam sobie, że był daleki od uprzejmości, mówiąc tamtego dnia o Rose. Może nie powinno się brać pod uwagę rzeczy usłysanych przypadkowo. W każdym razie to Simon nazwał mnie rozmyślnie naiwną, a Neil uznał, że jestem słodkim dzieciakiem; wprawdzie nie całkiem tak siebie widzę, ale było to powiedziane w dobrej intencji.

Kiedy wracaliśmy do zamku, ojciec mówił o tym, jacy oni wszyscy byli mili, i zapytał, czy mamy sukienki na przyjęcie. Ja też się o to martwiłam, ale powiedziałam:

– Och, Topaz coś wymyśli.

– Czy można przerobić coś z rzeczy cioci Millicent? Jeżeli nie, to do diabła, musimy mieć coś, co da się sprzedać. – Rzucił mi pokorne, przeproszające spojrzenie.

Wzięłam go pod rękę i uspokoiałam szybko:

– Poradzimy sobie.

Popatrzył uważnie na Rose. Uśmiechała się lekko do siebie. Chyba nie słyszała ani słowa z naszej rozmowy.

Kiedy weszliśmy, Topaz myła naczynia po herbacie.

– Mortmain, zasłużyłeś na medal – powiedziała.

– Za co? – zapytał ojciec. – Och, za rozmowę z panią Cotton? Doskonale się bawiłem.

Topaz tylko utkwiała w nim spojrzenie.

– Przyzwyczaiłem się do żywego usposobienia amerykańskich kobiet, kiedy tam byłem – wyjaśnił.

– Czy one wszystkie tak dużo mówią? – zapytałam.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale ona należy do tego rodzaju kobiet, które często spotykałem. Właśnie takie panie chodzą na odczyty. I później wydają przyjęcia. Czasami oferują nocleg; są nadzwyczaj gościnne. – Siedział na kuchennym stole, machając nogami, i wyglądał bardzo chłopięco. – Zdumiewająca jest ta ich energia – mówił dalej. – Z łatwością potrafią mieć troje albo czworo dzieci, prowadzić dom, orientować się na bieżąco w sztuce, literaturze i muzyce... powierzchownie, oczywiście, ale na Boga, to jest coś... i jeszcze w dodatku mieć jakąś pracę. Niektóre zmieniają nawet mężów po dwa albo trzy razy, wyłącznie po to, by uniknąć stagnacji.

– Nie sędzę, żeby jakikolwiek mąż wytrzymał więcej niż kilka lat – powiedziała Topaz.

– Sam odczuwałem to na początku, ten potok słów wyczerpywał mnie kompletnie, ale po jakimś czasie się przyzwyczaiłem. One są niczym gruszka bokserska: bijesz w nie, one biją w ciebie i w sumie rezultat jest nadzwyczaj stymulujący.

– Chyba że całkiem człowieka powalą – zauważyła sucho Topaz.

– Zdarza im się czasami odnieść taki skutek – przyznał ojciec. – Spora liczba mężczyzn w Ameryce jest uderzająco milcząca.

– Wydawało się, że pani Cotton sporo wie o *Bojach Jakuba* – odezwałam się.

– Prawdopodobnie poczytała przed wizytą. One tak robią i to bardzo uprzejme z ich strony. Ciekawe, jak wiele z nich przedwcześnie siwieje; to bardzo twarzowe. No i muszę powiedzieć, że przyjemnie jest zobaczyć tak elegancko ubraną kobietę.

Zaczął nucić w roztargnieniu i odszedł do wartowni, jakby nagle zupełnie o nas zapomniał. Czułam, że mogłabym go trzepnąć za tę uwagę o elegancko ubranej kobiecie, bo Topaz akurat była daleka od elegancji. Miała na sobie ręcznie tkaną sukienkę, bliską krewną worka, a jej cudowne włosy, bardzo już wymagające umycia, były upchnięte w starą, podartą siatkę.

– Może uzna to za stymulujące, jeśli ja też będę tyle mówić – odezwała się.

– Ale my nie uznamy – odparłam. Co prawda sama też myślałam,

że pani Cotton jest bardzo stymulująca, lecz nie miałam zamiaru być tak nietaktowna, żeby to powiedzieć. – Topaz, czy w jego wieczorowym ubraniu mogą być mole? Nie nosił go od czasu przyjęć u cioci Millicent.

Uspokoiła mnie, że o nie zadbała.

– Trzeba będzie tylko znaleźć jakieś spinki do kołnierzyka, bo swoje dobre sprzedał. Och, Cassandro, to fantastyczne: geniusz, człowiek, o którym amerykańscy krytycy piszą eseje, a nie ma nawet porządnych spinek.

Powiedziałam, że wielu geniuszy nie miało koszul, żeby było w co te spinki wpiąć; potem zaczęłyśmy rozmawiać o tym, w co my się ubierzemy na przyjęcie.

Ze mną nie ma kłopotu, bo – zdaniem Topaz – moja biała sukienka na uroczystość rozdania nagród w szkole będzie odpowiednia dla tak młodej osoby jak ja. Dla siebie Topaz może odświeżyć jedną ze swoich starych wieczorowych sukien. Problem jest z Rose.

– Wśród ubrań waszej cioci nie ma ani jednej rzeczy, którą można by wykorzystać dla Rose – powiedziała Topaz – i nic ode mnie też się nie nadaje. Powinna mieć coś z falbankami. Nie uda nam się powstrzymać jej od roztaczania wczesnowiktoriańskiego uroku, więc powinnyśmy go podkreślić.

Słysząc było, że Rose gra na fortepianie. Zamknęłam kuchenne drzwi i zwróciłam się do Topaz:

– Co myślisz o jej dzisiejszym zachowaniu?

– Była przynajmniej spokojniejsza, chociaż nadal jeszcze robiła słodkie oczy. No, ale teraz to już nieważne.

Popatrzyłam na nią ze zdziwieniem, a ona mówiła dalej:

– Simonowi Cottonowi wydała się bardzo pociągająca, naprawdę pociągająca, nie zauważyłaś? Jak już do tego dojdzie, to dziewczyna może być tak głupiutka, jak tylko jej się podoba, a mężczyzna i tak pewnie uzna, że ta głupota jest urocza.

– Czy Neilowi też wydaje się pociągająca?

– Wątpię – odparła Topaz. – Mam wrażenie, że Neil ją przejrzał. Widziałam, jak przenikliwie na nią popatrzył. Och, w co my ją

ubierzemy, Cassandro? Jest szansa, że jej się uda z Simonem, naprawdę jest. Znam te oznaki.

Nagle zobaczyłam twarz Simona, bladą ponad jego brodą.

– Ale Topaz, czy ty byś naprawdę chciała, żeby Rose wyszła za niego za mąż?

– Chciałabym, żeby dostała tę szansę – zdecydowanie odrzekła Topaz. Wtedy nadeszła panna Marcy z książką dla ojca. Oznajmiła nam, że pastor został zaproszony na ten sam wieczór co my. Słyszała to od jego gospodyni.

– Większość ludzi została zaproszona tylko na lunch albo na herbatę – oznajmiła. – Kolacja jest o wiele wspanialsza!

Powiedziałyśmy jej o problemie z suknią dla Rose.

– Powinna być różowa – uznała panna Marcy – w stylu krynoliny. Dokładnie taka jest tutaj, w tym najnowszym numerze „Home Chat”.

Zanurkowała do swojej torby po pismo.

– Och, Boże, to byłoby dla niej idealne – westchnęła Topaz. Panna Marcy zarumieniła się, zamrugła powiekami, a potem zapytała:

– Czy mogłaby pani ją uszyć, pani Mortmain? Gdyby... gdyby droga Rose pozwoliła mi podarować jej materiał?

– Ja pani pozwolę – powiedziała Topaz. – Czuję się usprawiedliwiona. Panna Marcy rzuciła Topaz szybkie spojrzenie, a Topaz ledwie widocznie skinęła głową. Prawie się roześmiałam. One tak bardzo się różniły: panna Marcy jak różowy mały ptak, Topaz wysoka i blada, jak półprzytomna bogini, ale w tej właśnie sekundzie były bardzo podobne do siebie w swojej niezłomnej woli, żeby wydać Rose za mąż.

– Może mogłybyśmy ofiarować pannie Marcy coś z rzeczy cioci Millicent, jako mały rewanż – zaproponowałam.

Poszły do jadalni, gdzie te rzeczy były rozłożone, a ja zostałam, żeby przygotować posiłek dla Stephena. Topaz zdecydowała, że ci z nas, którzy pili po południu herbatę, dostaną kolację z kakao później.

Stephen się zmartwił, kiedy usłyszał, że pojedę do Scoatney

w takiej starej sukience.

– Nie mogłaby sobie panienska sprawić nowej szarfy? – zapytał. – Mam trochę oszczędności.

Podziękowałam mu, wyjaśniając, że moja niebieska szarfa z uroczystości rozdania nagród jest prawie jak nowa.

– No to może wstążkę do włosów?

– Stephen, nie noszę wstążki, od kiedy byłam mała – przypomniałam mu.

– Nosila panienska małe kokardki na końcach warkoczy, zanim panienska obcięła włosy – powiedział. – Były ładne.

Potem zapytał, jak mi się podobają bracia Cottonowie teraz, kiedy poznałam ich lepiej.

– Och, Simona nie znam wcale, prawie przez cały czas rozmawiał z Rose. Ale Neil jest bardzo miły.

– Nazwałaby go panienska przystojnym?

Odparłam, że raczej nie.

– Nie jest naprawdę przystojny. Nie tak jak ty, Stephen. Powiedziałam to bez zastanowienia. Dla nas wszystkich jest rzeczą oczywistą, że Stephen jest przystojny, ale on tak się zarumienił, że pożałowałam tych słów.

– Widzisz, ty masz klasyczne rysy – wyjaśniłam rzeczowym tonem.

– I na nic mi to, bo nie jestem dżentelmenem. – Uśmiechnął się z lekkim sarkazmem.

– Nie mów tak – zaprotestowałam szybko. – Dżentelmenem jest ten, kto się zachowuje jak dżentelmen. I ty na pewno nim jesteś.

Potrząsnął głową.

– Można być dżentelmenem, kiedy się człowiek nim urodzi, panienko Cassandro.

– Stephen, to staroświecki nonsens – powiedziałam. – Naprawdę, to jest nonsens. I przy okazji proszę, nie zwracaj się do mnie „panienko Cassandro”.

Popatrzył na mnie zdziwiony, po czym odrzekł:

– Tak, rozumiem. Powinienem teraz mówić „panno Mortmain”,

kiedy panienka już dorosła do wieczornych przyjęć.

– Nic podobnego – odparłam. – To znaczy, że powinieneś zwracać się do mnie po imieniu, Cassandro, bez słowa „panienko”. Należysz do naszej rodziny i to absurdalne, żebyś miał do mnie mówić „panienko”. Kto ci tak kazał?

– Moja matka. Dla niej to było bardzo ważne. Pamiętam pierwszy dzień, kiedy tu przyjechaliśmy. Ty i panienka Rose grałyście w piłkę w ogrodzie i pobiegłem do kuchennych drzwi, myśląc, że też się pobawię. Matka zawołała mnie z powrotem i powiedziała mi, że jesteście młodymi damami i że nie mogę bawić się z wami, jeśli nie poprosicie mnie o to. I że mam się zwracać do was „panienko”, i nigdy się nie narzucać. Nie potrafiła wytłumaczyć, co to znaczy „nie narzucać się”.

– Och, Stephen, to okropne! Ile miałeś wtedy lat?

– Chyba siedem. Ty miałaś sześć, a panienka Rose dziewięć. Thomas miał zaledwie cztery, ale matka kazała mi zwracać się do niego „paniczu Thomas”. Tylko on już wiele lat temu poprosił mnie, żebym tego nie robił.

– I ja powinnam była poprosić cię o to wiele lat temu. Nigdy mi to do głowy nie przyszło. – Jego matka długo pracowała na służbie, zanim wyszła za męża. Kiedy owdowiała, musiała wrócić do pracy i oddać Stephena pod opiekę. Wiem, że była bardzo wdzięczna, kiedy nasza mama pozwoliła jej przywieźć go tutaj, i może to uczyniło ją tak wyjątkowo pokorną. – No ale teraz już to zrobiłam i proszę cię, pamiętaj o tym.

– Czy do panienki Rose też mam zwracać się po prostu „Rose”? Nie byłam pewna, co Rose może o tym pomyśleć, więc powiedziałam:

– Och, dlaczego mamy się martwić o Rose? To jest sprawa między tobą i mną.

– Nie mógłbym zwracać się do niej „panienko”, a do ciebie nie – oświadczył zdecydowanie. – To by znaczyło dawać jej pierwszeństwo przed tobą.

Obiecałam, że porozmawiam o tym z Rose, a potem poprosiłam,

by podał swoją filiżankę, to doleję mu herbaty; zaczynałam czuć się zakłopotana tym tematem. Długo mieszał swoją drugą herbatę, aż wreszcie zapytał:

– Czy mówiłaś poważnie, że dżentelmenem jest mężczyzna, który zachowuje się jak dżentelmen?

– Oczywiście, że poważnie, Stephen. Daję słowo, że tak. Naprawdę.

Tak bardzo chciałam, żeby mi uwierzył, że pochyliłam się w jego kierunku przez stół. Popatrzył na mnie, prosto w moje oczy. Ten dziwny skrywany cień w jego spojrzeniu – które, obawiam się, nazywałam głupawym – nagle zniknął; wydawało się, że ma w oczach światło, a jednak nigdy nie widziałam, żeby były tak ciemne. I to spojrzenie było tak bezpośrednie, że odczuwałam je raczej jak dotknięcie niż spojrzenie. To trwało tylko sekundę, ale przez tę sekundę Stephen był zupełnie innym człowiekiem, o wiele bardziej interesującym, nawet trochę ekscytującym.

Wtedy wszedł Thomas – i natychmiast odskoczyłam od stołu.

– Czemu tak się zarumieniłaś, siostrzyczko? – zapytał irytująco. Doskonale rozumiem, dlaczego Rose czasami ma wielką ochotę go trzepnąć. Na szczęście nie czekał na odpowiedź, tylko mówił dalej, że w gazecie wydawanej w King’s Crypt ukazała się informacja, że woda wyrzuciła niedźwiedzia na brzeg dwadzieścia mil za miastem. Roześmiałam się i zaczęłam gotować dla niego jajko. Stephen wyszedł do ogrodu.

Przez cały czas gdy przygotowywałam dla Thomasa posiłek, czułam niepokój, bo nagle jasno zobaczyłam, że nie mogę dalej udawać, że Stephen jest mi oddany w jakiś nieokreślony sposób i że to nie ma najmniejszego znaczenia. Nie myślałam o tym przez całe tygodnie i na pewno nie traktowałam go chłodno i rzeczowo, tak jak radził mi ojciec. Obiecałam sobie, że teraz zacznę tak się do niego odnosić, ale poczułam, że nie mogę – nie po tym, jak właśnie poprosiłam, żeby przestał zwracać się do mnie „panno Cassandro”. Nawiasem mówiąc, nigdy nie czułam się mniej chłodna i rzeczowa, bo gdy ktoś tak na człowieka patrzy, to zaczyna się kręcić w głowie.

Poszłam do ogrodu przemyśleć pewne sprawy. Była to ta chwila wieczoru, kiedy jasne kwiaty wyglądają jeszcze jaśniej – żonkile wydawały się prawie białe, zupełnie nieruchome, wieczorny spokój objął wszystko, panowała cisza. U ojca w wartowni świeciła się lampa, Topaz i panna Marcy paliły świecę w jadalni, a Rose ciągle grała na fortepianie w salonie, bez światła. Przestało mi się kręcić w głowie: czułam dziwne podekscytowanie. Przeszłam przez sień wartowni i minęłam stodołę. Pojawił się Stephen. Nie uśmiechnął się jak zwykle, kiedy mnie widzi; popatrzył na mnie jakimś takim pytającym wzrokiem. Potem powiedział:

– Chodźmy na mały spacer.

– Dobrze – zgodziłam się. I zaraz dodałam: – Nie, chyba nie pójdę, Stephen. Chcę jeszcze zobaczyć pannę Marcy, nim wyjdzie.

Wcale nie chciałam widzieć panny Marcy. Chciałam iść na spacer. Ale nagle poczułam, że nie wolno mi tego zrobić.

Stephen tylko kiwnął głową. Poszliśmy razem z powrotem do zamku, nie mówiąc ani słowa.

Kiedy Rose i ja kładłyśmy się do łóżek, zapytałam ją, czy zrobiłoby jej różnicę, gdyby Stephen przestał zwracać się do niej „panienko”.

– Nie robi mi to różnicy, może się zwracać, jak chce – powiedziała.

– W końcu to on płaci za to, co jem.

Zaczęłam potem mówić o Cottonach, ale ona nie chciała być ani wesoła, ani podekscytowana. Wydawało się, że chce sobie coś przemyśleć. A ja też miałam o czym rozmyślać.

Dzisiaj wczesnym rankiem spotkałam Stephena, jak wypuszczał kury z kurnika, i powiedziałam mu, że Rose woli, żeby przestał mówić do niej „panienko”. Byłam idealnie chłodna i rzeczowa; łatwo być chłodną i rzeczową skoro świt. On powiedział tylko: „Dobrze” – dość obojętnie. Przy śniadaniu Rose i Topaz planowały wyprawę do King’s Crypt, by kupić materiał na suknię dla Rose. (Teraz tam są i mam większość dnia dla siebie). Stałam przy ogniu, robiąc grzanki, kiedy Stephen podszedł do mnie.

– Pozwól mi poprosić panią Mortmain, żeby sprawiła ci coś na to

przyjęcie – odezwał się.

Podziękowałam mu, ale odparłam, że niczego nie potrzebuję.

– Jesteś pewna? – A potem dodał bardzo cicho, jakby wypróbował jakieś trudne słowo: – Cassandro.

Oboje zarumieniliśmy się. Myślałam, że pominięcie słowa „panienko” przed imieniem Rose sprawi, że to będzie coś zupełnie zwyczajnego, ale nie było.

– Boże, jaki ten ogień gorący – powiedziałam. – Nie, naprawdę, nic takiego nie przychodzi mi do głowy.

– No to będę dalej oszczędzać na to, na co oszczędzałem – zakończył, po czym odszedł do swoich zajęć.

Teraz jest czwarta po południu. Ojciec poszedł złożyć wizytę pastorowi i mam cały zamek dla siebie. To pozwala rozważyć pewne bardziej osobiste myśli.

Nie udało mi się zejść zbyt daleko z moimi myślami. Dziś jest takie spokojne, złociste popołudnie, kiedy łatwo można utknąć w marzeniach, jeżeli siedzi się bardzo spokojnie. Na dobre dziesięć minut zapatrzyłam się, nie myśląc o niczym, w jasny kwadrat okna kuchni. Zaraz się pozbieram i pomyślę szczerze i uczciwie...

Pomyślałam. I odkryłam, co następuje:

1. Nie odwzajemniam uczuć Stephena.
2. Chciałam iść z nim na ten spacer wczoraj i – nie znosząc w książkach zbyt niewinnych dziewcząt – zapisuję tutaj, żeby było wiadomo: sędzę, że myślałam, że gdybym poszła, to on by mnie pocałował.
3. Dziś rano przy kurniku nie chciałam, żeby mnie pocałował.
4. W tej chwili nie sędzę, że chciałabym, żeby mnie pocałował...

A potem napłynęły kolejne myśli. Utknęłam w marzeniu wypełnionym obrazami. Jeszcze raz przeżyłam tę chwilę, kiedy Stephen popatrzył na mnie przez stół. Na samo to wspomnienie zakręciło mi się w głowie. Potem, w myślach, poszłam z nim na ten spacer, którego nie było. Poszliśmy ścieżką, potem drogą wiodącą

do Godsend, aż do modrzewiowego zagajnika. Nie ma jeszcze dzwonek, ale ja je tam umieściłam. W lesie było prawie ciemno i nagle ogarnął mnie chłód, zimno, takie uczucie oczekiwania. Wybrałam słowa, które Stephen miał powiedzieć, i usłyszałam jego głos, kiedy je wypowiadał. Było coraz ciemniej, aż pozostał tylko najbłedszy odblask nieba widoczny przez wierzchołki drzew. I wtedy on mnie pocałował.

Ale tego w ogóle nie mogłam odtworzyć w myślach. Po prostu nie umiałam sobie wyobrazić, jak by to było. I nagle pożałowałam, że sobie to wyobrażam, i nie chciałam już tego wszystkiego...

Kończę pisanie w sypialni, bo kiedy usłyszałam, że Stephen myje się przy pompie w ogrodzie, pobiegłam na górę. Właśnie popatrzyłam na niego przez okno i czuję się bardzo winna, że go zabrałam na ten spacer w myślach; winna i zawstydzona, z uczuciem słabości w okolicach żeber. Nigdy więcej nie będę sobie niczego takiego wyobrażać. I mam teraz całkowitą pewność, że nie chcę, żeby mnie pocałował. Jest naprawdę niezwykle przystojny, gdy stoi tam, przy tej pompie, ale znowu wrócił ten jego głupawy wyraz twarzy. Och, biedny Stephen, jestem okropna, to wcale nie jest głupawy wyraz. On jednak na pewno nie byłby w stanie wymyślić tych wszystkich rzeczy, które mu kazałam mówić; choć niektóre były całkiem dobre.

Nie będę już więcej o tym myśleć. Moje rozmyślanie o przyjemnościach w czasie wolnym będzie dotyczyło przyjęcia w Scoatney, co jest o wiele ciekawsze, chociaż może bardziej interesujące dla Rose niż dla mnie. Zastanawiam się, jak by to było być pocałowaną przez któregoś z Cottonów... NIE! Nie mam zamiaru tego sobie wyobrażać. Naprawdę, sama jestem sobą zgorziona! No i nie ma już czasu – Rose i Topaz niedługo wrócą.

Wolałabym raczej wyrwać te strony z pamiętnika. Mam to zrobić? Nie! Pamiętnik nie powinien oszukiwać. I jestem pewna, że nikt poza mną nie potrafi czytać mojej stenografii. Ale schowam ten zeszyt – zawsze go zamykam w mojej szkolnej teczce i tym razem zabiorę ją ze sobą do wieży Belmonte; mam tam specjalny schowek,

o którym nikt nie wie, nawet Rose. Wyjdę przez frontowe drzwi, żeby nie spotkać Stephena. Naprawdę nie wiem, jak mu spojrzę w oczy po tym, jak go tak zwodziłam. Na pewno w przyszłości będę wobec niego chłodna i rzeczowa. Przysięgam, że będę!

VIII

Będę musiała stopniowo opisywać wieczór w Scoatney, bo wiem, że będą mi przerywać; i to bardzo dobrze, bo życie jest zbyt ekscytujące, żeby za długo siedzieć w miejscu. Poza tym, że Cottonowie zdają się nas lubić, zdobyliśmy też dwadzieścia funtów, bo pastor kupił nasz pled, który wygląda jak zrobiony z owczarka szkockiego. Jutro wybieramy się na zakupy do King's Crypt. Ja mam dostać sukienkę na lato. Och, jak cudownie obudzić się rano ze świadomością, że czeka nas coś interesującego!

Teraz o Scoatney. Cały tydzień przygotowywaliśmy się do przyjęcia. Topaz kupiła wiele jardów różowego muślinu na suknię dla Rose i uszyła ją wspaniale. (Kiedyś, zanim została modelką malarzy, Topaz pracowała w wielkiej pracowni krawieckiej, ale nigdy nie chce nam o tym opowiadać. Ani o niczym ze swojej przeszłości, co mnie zawsze zadziwia, bo przecież w wielu sprawach jest taka szczerą).

Rose miała prawdziwą krynolinę do włożenia pod suknię; niedużą, ale efekt był znakomity. Pożyczyliśmy ją od babci pana Stebbinsa, która ma dziewięćdziesiąt dwa lata. Kiedy suknia była gotowa, przywiózł babcię do nas, żeby zobaczyła Rose, i opowiedziała nam, że miała na sobie tę krynolinę w czasie swego ślubu w kościele w Godsend, jako szesnastoletnia dziewczyna. Pomyślałam o wierszu Edmunda Wallera *Pójdź, Rózo miła...*

Mów jej, że czasu ma przed sobą mało

Wszystko, co piękne: czy to kwiat, czy ciało¹⁰

Powstrzymałam się jednak od zacytowania tych słów; biedna stara dama i tak spłakała się serdecznie. Ale powiedziała, że podoba jej się ta wyprawa do nas.

Wszystkie świetnie się bawiłyśmy, szyjąc falbanki do sukni; udawałam, że jesteśmy bohaterkami wiktoriańskiej powieści. Rose miała nawet ochotę brać w tym udział, ale zawsze milkła, ilekroć wspomniałam w zabawie o Cottonach. I nie było o nich żadnych miłych rozmów przy świecach. Nie gniewała się ani nie boczyła, tylko wydawała się po prostu czymś pochłonięta – mogła leżeć w łóżku, nawet nie czytając, z takim lekkim uśmiechem wyższości. Teraz uświadamiam sobie, że ja też trzymałam w tajemnicy to, co było między mną i Stephenem; straszliwie bym się krępowała mówić jej o swoich uczuciach, tyle że zawsze byłam bardziej skryta niż ona. I wiem, że myśli o nim jak... no, jak o chłopcu należącym do innej klasy niż nasza. (Czy ja też tak myślę? Jeżeli tak, to wstydzę się takiego snobizmu). Cieszę się, że mogę tutaj zapisać, iż byłam chłodna i rzeczowa, chociaż może bliższe prawdy wydaje się stwierdzenie, że nie byłam zachęcająca, z wyjątkiem tej sekundy, kiedy go wzięłam za rękę wczoraj wieczorem... Ale to jest częścią wieczoru w Scoatney Hall.

Już samo ubieranie się na przyjęcie było fascynujące. Wpadało jeszcze trochę dziennego światła, ale zaciągnęłyśmy zasłony, przyniosłyśmy na górę lampę i zapaliłyśmy świece, bo kiedyś czytałam, że kobiety znające się na modzie ubierają się przy blasku świec na wieczór przy świecach. Nasze suknie leżały wyłożone na łożu z baldachimem; moja została wyprana i Topaz trochę powiększyła wycięcie pod szyją. Panna Blossom była zachwycona suknią Rose i orzekła: „To przyciągnie uwagę panów. Nie sądziłam, że masz takie białe ramiona. Pomyśl tylko, Pan Bóg dał ci takie włosy i zero piegów!”. Rose śmiała się, ale była zła, że nie może obejrzeć się cała w lustrze; nasze duże, wysokie zwierciadło zostało sprzedane. Trzymałam małe lustro tak, że mogła zobaczyć po kolei

każdą część swojej sylwetki, ale to było dla niej irytujące.

– Jest lustro nad kominkiem w salonie – powiedziałam. – Może gdybyś stanęła na fortepianie...

Poszła na dół spróbować.

Ojciec wyszedł z łazienki i zmierzał do sypialni. W następnej chwili usłyszałam, jak krzyknął:

– O Boże, co ci się stało?!

W jego głosie brzmiało takie przerażenie, że pomyślałam, iż Topaz miała jakiś wypadek. Popędziłam do pokoju buforowego, ale zatrzymałam się przed drzwiami do ich sypialni: stamtąd ją zobaczyłam. Miała na sobie czarną wieczorową suknię, w której nigdy się sobie nie podobała, bardzo konwencjonalną suknię. Jej włosy były zwinięte w kok i miała delikatny makijaż: trochę różu i umalowane usta. Rezultat okazał się zdumiewający. Wyglądała całkiem przeciętnie. Po prostu była zaledwie ładna, ale niewarta tego, by spojrzeć na nią drugi raz.

Żadne z nich mnie nie widziało. Usłyszałam, jak mówi:

– Och, Mortmain, to jest wieczór Rose. Chcę, żeby na niej skupiła się uwaga wszystkich.

Na palcach wróciłam do naszego pokoju. Byłam zdumiona taką bezinteresownością, zwłaszcza że Topaz spędziła wiele godzin, naprawiając swoją najelegantszą wieczorową suknię. Naturalnie wiedziałam, co miała na myśli – w swoim najlepszym wydaniu mogła sprawić, że piękna Rose wydawałaby się zaledwie ładniutka. Nagle przypomniałam sobie, że tego pierwszego wieczoru, kiedy Cottonowie tu przyszli, tak bardzo starała się nie wyróżniać. Och, szlachetna Topaz!

Usłyszałam, jak ojciec krzyknął:

– Do diabła z tym! Bóg świadkiem, że zostało mi bardzo niewiele powodów do dumy. Pozwól mi więc przynajmniej być dumnym z własnej żony.

Topaz z trudem wykrztusiła: „Och, mój ukochany!” – a ja szybko poszłam na dół, żeby zatrzymać Rose w salonie. Czułam, że działo się coś, w co nie powinnyśmy się wtrącać. I byłam zakłopotana.

Zawsze jestem, kiedy myślę o tym, że ojciec i Topaz są małżeństwem.

Kiedy zeszli, Topaz była blada jak zwykle, a jej srebrzyste włosy, świeżo umyte, spływały na plecy. Miała na sobie swoją najlepszą suknię w stylu greckim, jak otulający ją popielaty obłok, ze wspianiałym popielatym szalem, który udrapowała na głowie i ramionach. Wyglądała pięknie – tak sobie wyobrażam Anioła Śmierci.

Zajechał samochód Cottonów, prowadzony przez szofera w liberii, i odpłynęliśmy. Byłam zgnębiona tym, że zostawiliśmy w domu Stephena i Thomasa, ale Topaz zarządziła, że na pocieszenie mają dostać kiełbaski na kolację.

Samochód był ogromny i cudowny. Podczas jazdy nie rozmawialiśmy wiele – dość mocno przeszkadzała mi obecność szofera: był taki sztywny i poprawny i na pewno miał otwarte uszy. Siedziałam wygodnie oparta, patrząc na przesuwające się pola, i czułam się rozkosznie omdlewająco i luksusowo. Myślałam o nas wszystkich i zastanawiałam się, jak oni się czują. Ojciec wyglądał bardzo przystojnie w wieczorowym ubraniu, łagodny i uśmiechnięty, ale widziałam, że jest zdenerwowany, a w każdym razie wydawało mi się, że to dostrzegam; ale potem dotarło do mnie, że właściwie tak niewiele wiem o nim czy o Topaz, czy w ogóle o kimkolwiek na tym świecie – z wyjątkiem siebie. Kiedyś pochlebiałam sobie, że potrafię wyczuć, o czym ludzie myślą, ale jeśli nawet, to wyczuwałam tylko przelotne, powierzchowne myśli. Tyle lat minęło i nie wiem, dlaczego ojciec przestał pisać! I nie mam pojęcia, co Rose myśli o Cottonach. Jeżeli chodzi o Topaz, to nigdy nie doznawałam żadnych olśnień. Oczywiście, zawsze wiedziałam, że jest życzliwa, ale nigdy bym nie sądziła, że jest zdolna do takiego szlachetnego poświęcenia się dla Rose. I właśnie wtedy, kiedy poczułam się zawstydzona tym, że kiedykolwiek mogłam pomyśleć o niej, że pozuje i udaje, ona odezwała się tym swoim słodkim głosem:

– Patrz, Mortmain, zobacz! Nie chciałbyś być bardzo, bardzo

starym człowiekiem w takiej oświetlonej lampą gospodzie?

– Tak, zwłaszcza takim cierpiącym na reumatyzm – powiedział ojciec. – Moja droga, głuptas z ciebie.

Wstąpiliśmy po pastora i zrobiło się trochę ciasno – przy krynolinie Rose... To przemiły człowiek – około pięćdziesiątki, pulchny, z kręconymi złotymi włosami; raczej jak duży bobas – i zupełnie nieświątobliwy. Ojciec kiedyś rzekł do niego: „Bóg jeden wie, jak to się stało, że został pan duchownym”. A pastor na to: „No tak, On musi to wiedzieć”.

Przyjrząwszy się nam, powiedział:

– Mortmain, twoje kobiety są zjawiskowe.

– Ja nie jestem – zaprotestowałam.

– Ach, bo ty jesteś przykładem tego, jak pozory mylą. Jesteś jak Jane Eyre z domieszką Becky Sharp. Na wskroś niebezpieczna dziewczyna. Podoba mi się twój sznur koralu.

Potem wciągnął nas wszystkich w rozmowę i nawet rozśmieszył szofera. Dziwne, że rozśmiesza ludzi, nie mówiąc nic szczególnie zabawnego. To chyba dlatego, że sam jest człowiekiem odprężonym i szczęśliwym.

Było już ciemno, kiedy zajechaliśmy do Scoatney Hall. Droga przez prywatny teren parku koło dworu jest otwarta dla wszystkich i często jeździłam tamtędy rowerem ze szkoły do domu, więc wiem, jak wygląda dwór z zewnątrz – pochodzi z szesnastego wieku, z wyjątkiem siedemnastowiecznego pawilonu w ogrodzie wodnym; ale marzyłam, by zobaczyć wewnątrz. Weszliśmy po niskich stopniach, tak wydeptanych, że każdy miał wyraźne wgłębienie, i frontowe drzwi otwarto przed nami, zanim zdążyliśmy zadzwonić. Nigdy przedtem nie spotkałam kamerdynera i poczułam się skępowana, ale pastor go znał i zwyczajnie powiedział do niego parę słów.

Zostawiliśmy nasze okrycia w przedpokoju; Topaz pożyczyła nam swoje rzeczy, oszczędzając nam wstydu pokazywania się w zimowych płaszczach. Wokół panowała cudowna aura łagodnego upływu czasu i unosił się zapach kwiatów i pszczelego wosku,

słodki, ale zarazem lekko kwaśny i stęchły; zapach, który sprawia, że odczuwa się wielką czułość wobec przeszłości.

Weszliśmy do niedużego salonu, gdzie Cottonowie stali przy kominku z dwiema innymi osobami. Pani Cotton rozmawiała do chwili, kiedy nas zaanonsowano; wówczas odwróciła się do nas i zaniemówiła na sekundę – myślę, że była zdziwiona wyglądem Topaz i Rose. Zauważyłam, że Simon patrzył na Rose. Potem wszyscy wymieniliśmy uściski dłoni i zostaliśmy przedstawieni innym gościom.

Byli to pan i pani Fox-Cottonowie – angielscy krewni Cottonów, raczej dalecy, jak mi się zdaje. Kiedy usłyszałam, że do tego pana zwrócono się „Aubrey”, przypomniałam sobie, że to architekt; czytałam w jakimś magazynie coś o jego pracach. Jest w średnim wieku, ma szarawą twarz i rzadkie bezbarwne włosy. Ale jest w nim coś bardzo eleganckiego i ma piękny głos, chociaż mówi trochę w afektowany sposób. Stałam koło niego, kiedy piliśmy koktajle (mój pierwszy – smakował okropnie), więc zapytałam go o architekturę domu. Natychmiast podjął temat.

– Doskonałym czyni go to – zaczął – że jest wielkim domem w miniaturze. Ma wszystko: okazały hol, długą galerię, centralny dziedziniec, ale to wszystko jest tak małe, że można go utrzymać nawet w dzisiejszych czasach. Marzę o nim od lat. Chciałbym przekonać Simona, żeby mi go wydzierżawił na dłuższy okres.

Mówił to do mnie, ale tak, żeby Simon również usłyszał. Simon roześmiał się i powiedział:

– Za nic w świecie.

Potem pan Fox-Cotton zapytał:

– Proszę, powiedz mi, ta wspaniała dama w szarościach to musi być Topaz z obrazu Macmorrisa w Tate Gallery, prawda?

Rozmawialiśmy o Topaz przez minutę czy dwie, po czym udał się w jej kierunku. Miałam czas zauważyć, że Simon podziwiał suknię Rose i że ona opowiadała mu o krynolinie pani Stebbins, co wydawało się go fascynować; powiedział, że koniecznie musi odwiedzić starą panią Stebbins. Potem pastor przyłączył się do mnie

i uprzejmie skończył za mnie mój koktajl. Wkrótce poszliśmy na kolację.

Stół stanowił krąg zalany światłem świec. Był tak jasny, że reszta pokoju wydawała się prawie czarna, z unoszącymi się w ciemności twarzami z portretów rodzinnych.

Pani Cotton miała naszego ojca po prawej ręce i pastora po lewej. Topaz siedziała po prawej stronie Simona, a pani Fox-Cotton po lewej. Rose przypadło miejsce pomiędzy pastorem i panem FoxCottonem; chciałam, żeby mogła siedzieć koło Simona, ale widocznie pierwszeństwo daje się kobietom zamężnym. Domyślałam się, że Neil mógł poprosić, żeby posadzono mnie koło niego, bo powiedział mi, że tak będzie, kiedy przyszedliśmy. To sprawiło, że myślałam o nim bardzo ciepło.

Kolacja była wspaniała, z prawdziwym szampanem (cudowny, podobny do bardzo dobrego piwa imbirowego, tylko bez imbiru). Co prawda wolałabym jeść to wszystko nie podczas przyjęcia, bo nie można w pełni się skupić na jedzeniu, kiedy trzeba się jednocześnie zajmować uprzejmą rozmową. I trochę się denerwowałam, bo sztuczki były skomplikowane. Nigdy nie przypuszczałam, że mogę czuć się ignorantką w takich sprawach – przecież zawsze jedliśmy różne dania u cioci Millicent – a tu jednak nie potrafiłam rozpoznać wszystkich potraw. I nie miało sensu zachowywać się tak jak Neil, bo jego maniery przy stole wydawały mi się dziwne. Chyba musiał zauważyć, że wpatruję się w niego, bo powiedział:

– Matka uważa, że powinienem jeść tak, jak to jest przyjęte w Anglii. Ona i Simon przyswoili sobie ten sposób, ale niech mnie kule biją, jeżeli ja miałbym tego próbować.

Poprosiłam, żeby wyjaśnił mi różnicę. Wygląda na to, że w Ameryce wypada odkroić kęs, odłożyć nóż, przełożyć widelec z lewej do prawej ręki, nabrać jedzenie, zjeść to, co na widelcu, przełożyć widelec z powrotem do lewej ręki, wziąć znowu nóż – i wolno nabrać tylko jeden rodzaj jedzenia na widelec na jeden raz; żadnego smacznego łączenia mięsa i jarzyn.

– Ale to zajmuje tyle czasu – zauważyłam.

– Nie, wcale nie – odparł Neil. – W każdym razie dla mnie to okropne, jak wy tu wszyscy kurczowo trzymacie się noży.

Myśl, że cokolwiek, co robią Anglicy, mogłoby wyglądać okropnie, bardzo mnie zirytowała, ale zachowałam spokój.

– Powiem ci, co jeszcze źle się tu robi – mówił Neil dalej, nieznacznie wskazując widelcem. – Popatrz, wszystko najpierw podają twojej macosze. U nas w Ameryce podano by w pierwszej kolejności mojej matce.

– Nie staracie się być grzeczni wobec swoich gości? – spytałam. Mój Boże, odezwałam się jak strasznie wyniosła mądrala.

– Ależ to jest grzeczne, a w każdym razie o wiele bardziej taktowne. Ponieważ pani domu może zawsze pokazać, jak jeść daną potrawę... Rozumiesz, co mam na myśli?

Świetnie rozumiałam i uważałam, że to cudowny zwyczaj.

– No, może nawet mogłabym przywyknąć do tego przekładania widelca z ręki do ręki – powiedziałam i spróbowałam, ale było to trudne.

Pastor przyglądał się nam przez stół.

– Kiedy budowano ten dom, ludzie używali sztyletów i palców – odezwał się. – I przetrwa on pewnie do czasów, gdy posiłek człowieka będzie składał się z pigułek.

– Pomyśleć, że będzie się zapraszało przyjaciół na pigułki. – Uśmiechnęłam się.

– Och, będzie się je przyjmowało na osobności. Do tego czasu jedzenie stanie się tabu. Obrazy żywności zostaną uznane za rzadkie i ciekawe i będą kolekcjonowane przez gburowatych starych dżentelmenów.

Pani Fox-Cotton powiedziała coś do Neila, który zwrócił się w jej stronę, by z nią porozmawiać; miałam więc okazję popatrzeć po gościach przy stole. Ojciec i pastor przysłuchiwali się pani Cotton; pan Aubrey Fox-Cotton zagarnął Topaz. W tym momencie nikt nie rozmawiał ani z Rose, ani z Simonem. Ona spojrzała na niego spod rzęs i chociaż wiem, co Topaz ma na myśli, twierdząc, że to trąci

myszka, było to jednak bardzo ujmujące spojrzenie; może Rose nabrała już wprawy. W każdym razie mogłam dostrzec, że teraz już Simona to nie irytowało. Podniósł swój kieliszek i popatrzył na nią przez stół, jak gdyby wznosił toast. Jego oczy spoglądające z nadkieliszka były całkiem ładne i nagle obudziła się we mnie nadzieja, że Rose naprawdę się w nim zakocha, pomimo tej jego brody. Ale wielkie nieba, ja bym nie mogła!

Uśmiechnęła się – był to ledwie dostrzegalny uśmiech – po czym odwróciła się, by porozmawiać z pastorem. Już się czegoś nauczyła, pomyślałam, bo gdyby dłużej patrzyła na Simona, za bardzo rzuciłoby się to w oczy.

Miałam jakieś dziwne wrażenie, przyglądając się im wszystkim i słuchając; może z powodu tego, co mówił ojciec parę minut wcześniej. Nagle wydało mi się zadziwiające, że ludzie chcieli się spotkać po to, żeby razem jeść – ponieważ jedzenie idzie do ust, a rozmowa z nich wychodzi. I kiedy obserwuje się ludzi jedzących i rozmawiających – naprawdę się ich obserwuje – jest to bardzo szczególny widok: ręce takie zajęte, widelce idące w górę i w dół, połykanie, słowa wychodzące między kęsami, szczęki pracujące z zapalem. Im dłużej się przyglądałam, tym wydawało mi się to dziwniejsze – te wszystkie twarze w świetle świec, ręce podające półmiski, właściciele tych rąk, którzy cicho krążyli dookoła, nie biorąc udziału w śmiechu i rozmowie. Oderwałam wzrok od stołu, patrząc z uwagą w półmrok w tle, i wtedy stopniowo dostrzegłam służących jako realnych ludzi – przyglądali nam się, przekazywali sobie szeptem polecenia i wymieniali spojrzenia. Zauważyłam dziewczynę z wioski Godsend i mrugnęłam do niej leciuteńko. Zaraz tego pożałowałam, bo krótko się zaśmiała, po czym z przerażeniem spojrzała na kamerdynera. A w następnej chwili moje lewe ucho dosłyszało coś, co zmroziło mi krew w żyłach – jest to zwrot, którym zawsze gardziłam, ale teraz naprawdę poczułam zimny dreszcz na ramionach: pani Cotton pytała ojca, ile czasu minęło, od kiedy coś opublikował.

– Dobre dwanaście lat – odrzekł bezbarwnym głosem, który nasza

rodzina przyjmuje jako zakończenie rozmowy.

Nie odniosło to takiego rezultatu w przypadku pani Cotton.

– Uznał pan, że najlepiej będzie odpocząć – powiedziała. – Jak niewielu pisarzom dana jest mądrość, by tak uczynić. – Jej ton był pełen zrozumienia, prawie nabożny. Potem dodała żywo: – Ale to już dość długo, nie uważa pan?

Zobaczyłam, jak ręka ojca uchwyciła brzeg stołu. Przez przerażającą sekundę myślałam, że odepchnie krzesło i wyjdzie, jak często robi w domu, kiedy ktoś z nas go zniecierpliwi. Ale on oznajmił tylko bardzo spokojnie:

– Ja przestałem pisać, proszę pani. A teraz porozmawiajmy o czymś ciekawszym.

– Ale właśnie to jest ciekawe – powiedziała. Zerknęłam na nią ukradkiem. Siedziała sztywno wyprostowana, cała w ciemnoniebieskim aksamicie i w perłach. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek widziała kobietę wyglądającą tak uderzająco czysto. – I ostrzegam, panie Mortmain, że nie dam się zbyć. Kiedy pisarz z takim potencjałem jak pan milczy tak długo, ktoś ma obowiązek znaleźć przyczynę. Automatycznie pierwsze nasuwa się picie, ale najwyraźniej to nie jest pana problem. Musi być jakiś psychologiczny powód.

I wtedy Neil coś do mnie powiedział.

– Cicho, zaczekaj chwilę – szepnęłam, ale umknęła mi reszta przemówienia pani Cotton.

– O Boże, nie może pani mówić mi takich rzeczy – odezwał się ojciec – i to przy swoim własnym stole.

– Och, ja zawsze stosuję taktykę szoku wobec mężczyzn geniuszy – odparła pani Cotton. – I należy stosować ją publicznie, bo inaczej ci geniusze biorą nogi za pas.

– Doskonale potrafię brać nogi za pas, publicznie albo nie – oznajmił ojciec, ale widziałam, że nie zamierza tego zrobić; w jego głosie dał się wyczuć taki swobodny, rozbawiony ton, jakiego nie słyszałam od lat. Mówił dalej żartobliwie: – Proszę mi powiedzieć, czy pani jest wyjątkowa, czy też amerykańska kobieta, członkini

klubu pań, stała się bardziej groźna, niż to bywało w moich czasach?

Wydało mi się okropnie niegrzeczne powiedzieć coś takiego, nawet w żartach, ale pani Cotton wcale nie wyglądała na urażoną.

Odrzekła z uśmiechem:

– Ja akurat nie należę do żadnego klubu pań, jak pan to ujął. A poza tym muszę pana wyleczyć z tego zwyczaju wygłaszania generalizujących sądów na temat Ameryki na podstawie dwóch krótkich tras z odczytami.

Dobrze ojcu tak – zawsze perorował, jakby przywiózł Amerykę ze sobą w kieszeni spodni. Rzecz jasna, chciałam dalej słuchać, ale zobaczyłam, że pani Cotton zauważyła mnie, więc szybko zwróciłam się do Neila:

– Tak, teraz już cię słucham.

– Co to było? – zapytał. – Zdawało ci się, że złamałaś ząb? Roześmiałam się i wyjaśniłam, czemu się tak przysłuchiwałam.

– No to tylko poczekaj – powiedział. – Ona go doprowadzi do tego, że będzie pisał przez osiem godzin dziennie. Chyba że ją też zaatakuje nożem do ciasta. – Spojrzałam na niego zdumiona. Mówił dalej: – No tak, kazała naszemu adwokatowi przysłać wszystkie szczegóły tej sprawy. Bardzo mnie to rozbawiło, ale zdaje mi się, że czuła się trochę rozczarowana, że to nie było prawdziwe usiłowanie zabójstwa.

– Czy potrafisz zrozumieć, jak taka niepoważna sprawa mogła zniechęcić go do pracy? – spytałam.

– Ale ja przecież nie rozumiałem pracy twojego ojca nawet wtedy, gdy nie był zniechęcony. Po prostu nie jestem odcytany.

Potem zaczęliśmy rozmawiać o innych rzeczach; uważałam, że będzie grzecznie zapytać go o Amerykę. Opowiedział mi o ranczu swojego ojca w Kalifornii, gdzie żył, nim zamieszkał z panią Cotton i Simonem. (To niewiarygodne, jak mało go z nimi łączy). Powiedziałam, że to bardzo smutne, że jego ojciec zmarł, zanim mógł odziedziczyć Scoatney Hall.

– I tak by tutaj nie mieszkał – odparł Neil. – Nigdy nie osiedliłby się nigdzie poza Ameryką... podobnie jak ja.

Już miałam zapytać: „Ale twój brat ma zamiar tu mieszkać, prawda?” – jednak w porę się powstrzymałam. Neil mówił z takim rozdrażnieniem, że musiał to być bolesny temat. Zapytałam go, czy podoba mu się suknia Rose – głównie po to, by zmienić temat.

– Nie za bardzo, jeżeli mam być szczery. Jest zbyt wyszukana jak dla mnie. Ale ona ładnie w niej wygląda. I wie o tym, prawda?

Mówił to z błyskiem w oku, co zrównoważyło niegrzeczność. Muszę przyznać, że aż nadto wyraźnie było widać po Rose, że wie.

Potem wniesiono cudowny mrożony pudding i kiedy Neil nakładał sobie porcję, pozwoliłam, by moje lewe ucho znowu posłuchało rozmowy ojca i pani Cotton. Wydawali się doskonale rozumieć, chociaż brzmiało to trochę jak zawody, kto kogo przekrzyczy. Topaz zerknęła na nich z niepokojem, ale potem najwidoczniej odczuła ulgę: ojciec chichotał.

– Och, proszę porozmawiać z pastorem i dać mi spokój – powiedział.

– Ale ja znów zaatakuję – oświadczyła pani Cotton.

Jej oczy błyszczały i wyglądała dwa razy bardziej kwitnąco, niż normalnie byłoby to możliwe u kogoś innego.

– No, i jak ci się podoba twoje pierwsze dorosłe przyjęcie z proszoną kolacją? – zwrócił się do mnie ojciec.

Były to pierwsze słowa, jakie skierował do mnie tego wieczoru, ale nie mogłam mieć do niego o to pretensji. Był bardzo ożywiony, bardziej i inaczej niż zwykle. Roztaczał wokół aury wspaniałości, którą pamiętam z czasów przed nożem do ciasta. Odrobinę tej aury miał jeszcze po ślubie z Topaz, ale nie trwało to długo. Przyszła mi do głowy okropna myśl, że może się zakochać w pani Cotton. Po paru minutach znów coś do niego mówiła. Niedługo potem panie wstały od stołu.

Kiedy szłyśmy na górę, Topaz wzięła mnie pod rękę.

– Słyszałaś? – szepnęła. – Czy on się naprawdę dobrze bawi? Czy tylko udaje?

Przyznałam, że wydaje mi się, że to prawdziwe.

– Cudownie widzieć go takim – odrzekła, ale jej głos był smutny.

To jedna z jej teorii, że kobieta nigdy nie może być zazdrosna ani próbować zatrzymać mężczyzny wbrew jego woli; ale ja wiedziałam, że nie było jej przyjemnie widzieć, że ktoś inny rozchmurzył ojca.

Sypialnia pani Cotton była fantastyczna: mnóstwo kwiatów, wszędzie porozkładane nowe książki, a szeszlony pokryty uroczymi małymi poduszkami. Był też kominek na drewno; to musi być bosko, mieć kominek w sypialni. I niesamowita łazienka – ściany całe z luster! I stał tam też szklany stół z co najmniej półtuzinem flakonów perfum i wody toaletowej.

– Simon mówi, że ta łazienka to zbrodnia przeciwko temu domowi – powiedziała pani Cotton – ale ja nie toleruję starożytności w łazienkach.

– Czyż to nie jest wspaniałe? – szepnęłam do Rose.

– Nieziemskie. – Jej głos brzmiał prawie tragicznie. Widziałam, że podobało jej się tu aż do bólu.

Doprowadziłyśmy się do porządku i poszłyśmy do Długiej Galerii, która rozciąga się na całą długość domu, a ponieważ jest wąska, wydaje się jeszcze dłuższa, niż jest. Ma trzy kominki i we wszystkich płonął ogień, ale wcale nie było zbyt gorąco. Ja i Rose szłyśmy powoli, oglądając obrazy, rzeźby i różne ciekawe rzeczy w oszklonych gablotach, podczas gdy pani Cotton rozmawiała z Topaz. Pani Fox-Cotton znikła zaraz po kolacji; przypuszczam, że udała się do swojej sypialni.

Doszłam z Rose do kominka na końcu galerii i stanęłyśmy tam, oglądając się na Topaz i panią Cotton; słyszałyśmy ich głosy, ale nie docierało ani jedno słowo, więc uznałyśmy, że możemy bezpiecznie rozmawiać.

– Jak było w czasie kolacji? – spytałam.

Powiedziała, że było nudno. Nie podobał jej się pan Fox-Cotton, zresztą i tak interesował się tylko Topaz.

– A więc skoncentrowałam się na wspaniałym jedzeniu – podsumowała. – O czym rozmawiałaś z Neilem?

– Między innymi wspomniał, że wyglądasz bardzo ładnie –

przekazałam jej.

– Co jeszcze?

– Głównie o Ameryce.

Przypomniałam sobie dla niej tyle, ile mogłam, szczególnie o ranczu w Kalifornii; podobało mi się, jak o tym opowiadał.

– Co, o krowach i takich tam? – rzuciła z niesmakiem. – Czy on tam wraca?

– Nie, zostało sprzedane, kiedy zmarł jego ojciec. Ale powiedział, że gdyby go kiedyś było na to stać, chciałby mieć ranczo.

– A czyż oni nie są bardzo bogaci?

– Och, zamknij się – szepnęłam i zerknęłam na panią Cotton; byliśmy jednak całkiem bezpieczni. – Nie przypuszczam, żeby Neil był bogaty, a wszystkie pieniądze Simona idą pewnie na utrzymanie tego domu. Chodź, lepiej wracajmy.

Kiedy doszliśmy do kominka w środku galerii, pojawiła się pani Fox-Cotton. Wtedy po raz pierwszy dobrze jej się przyjrzałam. Jest niska, niewiele wyższa ode mnie, ma czarne proste włosy, związane w ogromny węzeł nisko na karku, i bardzo ciemną cerę. I skóra, i włosy, moim zdaniem, wyglądają na tłuste. Topaz mówi, że rzeźba jej twarzy jest piękna, i z tym się zgadzam, ale nie sądzę, żeby tej rzeźbie zaszkodziło porządne mycie. Miała na sobie obcisłą ciemnozieloną suknię, tak błyszczącą, że wyglądała prawie jak oślizgła – przypominała mi wodorosty morskie. Na imię ma, wierzcie lub nie, Leda.

Ja i Rose podeszliśmy do niej, ale ona usiadła na kanapie, oparła stopy na podnóżku i otworzyła starą, oprawną w cielęcą skórę książkę, którą przyniosła ze sobą.

– Nie macie nic przeciwko temu? Chcę ją skończyć, zanim wyjedziemy jutro do Londynu.

– Co to za książka? – zapytałam kurtuazyjnie.

– Och, to nie jest książka dla małych dziewczynek – odparła.

Ma najgłupszy głos, takie brzęczące meczenie; ledwie raczy otwierać usta – słowa po prostu wyslizgują jej się przez zęby. W związku z późniejszymi wydarzeniami odnotowuję, że wówczas

pierwszy raz pomyślałam, że jej nie lubię.

I wtedy weszli panowie – zauważyłam, że przy nich natychmiast przestała czytać. Ojciec i Simon kończyli literacki spór; miałam nadzieję, że udała im się dyskusja na dole. Ciekawie było obserwować, gdzie skierowali się panowie: ojciec i pastor zaczęli rozmawiać z panią Cotton, Aubrey Fox-Cotton dał nura w stronę Topaz, Simon i Neil podeszli do Rose i do mnie, ale pani Fox-Cotton wstała z kanapy i przejęła Simona.

– Czy wiesz, że wisi tutaj portret kogoś, kto przypomina ciebie? – zwróciła się do niego, po czym wzięła go pod rękę i poprowadziła wzdłuż galerii.

– Och, też to zauważyłam – powiedziałam.

Rose, Neil i ja poszliśmy za nimi, co, idę o zakład, wcale nie podobało się pani F.C.

Był to jeden z najstarszych obrazów, chyba z epoki elżbietańskiej. Szyję mężczyzny zakrywała biała kryza; na ciemnym tle widać było tylko głowę i ramiona.

– Chyba jedynie broda jest podobna. – Simon uśmiechnął się.

– Nie, oczy – sprostowała pani Fox-Cotton.

– Głównie brwi – wtrąciłam – końce idą do góry. I włosy: na czole też rosną w szpic.

Rose uważnie wpatrywała się w portret. Simon zapytał, co o tym myśli. Odwróciła się i spojrzała na niego w skupieniu; wydawało się, że szczegółowo analizuje jego rysy. W końcu rzuciła tylko: „No, może trochę podobny” – z dziwnym roztargnieniem. Miałam wrażenie, że myślała o czymś zupełnie innym: nie o obrazie, lecz o czymś, co miało związek z samym Simonem; i kiedy wróciła do nas z bardzo daleka, zobaczyła, że czekamy na jej odpowiedź.

Poszliśmy z powrotem do reszty towarzystwa. Topaz i Aubrey Fox-Cotton też oglądali obrazy; byli przy Cottonach z osiemnastego wieku.

– Już wiem – powiedział nagle do Topaz. – Wygląda pani całkiem jak z obrazu Blake’a. Prawda, Ledo?

Pani Fox-Cotton przyjęła to z lekkim zainteresowaniem. Obrzuciła

Topaz długim, taksującym, uważnym spojrzeniem i rzekła:

– Tak, gdyby miała więcej ciała na kościach.

– Rose jest z Romneya – odezwał się Simon. – Bardzo przypomina lady Hamilton. – Wtedy pierwszy raz usłyszałam, jak wypowiada imię Rose. – A Cassandra z Reynoldsa oczywiście: dziewczynka z pułapką na myszy.

– Wcale nie! – zaprotestowałam z oburzeniem. – Nienawidzę tego obrazu. Mysz jest przerażona, kot głodny, a dziewczynka to okrutny mały potwór. Nie zgadzam się, że nią jestem.

– No, ale ty byś wypuściła mysz z pułapki i znalazła ładną nieżywą sardynkę dla kota – powiedział Simon.

Zaczęłam go nieco bardziej lubić.

Inni zajęli się wyszukiwaniem malarza dla pani Fox-Cotton. W końcu zgodzili się, że to surrealista nazwiskiem Dali. „Z węzami wyłaniającymi się z jej uszu” – dodał pan Fox-Cotton. Nie mam najmniejszego pojęcia, co to jest surrealizm, ale z łatwością mogę sobie wyobrazić węże w uszach pani F.C. I na pewno nie miałabym im za złe, że chcą wyjść.

Potem zdecydowano, że powinniśmy potańczyć.

– W holu – powiedział Neil – bo victrola jest na dole.

Pani Cotton, ojciec i pastor zostali na miejscu, dalej rozmawiając.

– Będzie nam brakowało jednego pana – narzekała pani Fox-Cotton, kiedy szliśmy na dół.

Powiedziałam, że będę się przyglądać, bo nie znam nowych tańców. (Rose też właściwie ich nie zna, chociaż próbowała je tańczyć raz czy dwa razy na przyjęciach u cioci Millicent).

– A jakie znasz? – zapytał Simon, drocząc się. – Sarabandy, kuranty i pawany?

Powiedziałam, że po prostu walce i polki. Mama pokazała nam je, kiedy byłyśmy małe.

– Ja cię nauczę – odezwał się Neil.

Położył płytę na gramofonie (spodziewałam się, że victrola to coś bardziej ekscytującego), po czym wrócił do mnie, ale oznajmiłam, że wolę przyglądać się pierwszym paru tańcom.

– Ależ daj spokój, Cassandro – powiedział, lecz wtrąciła się pani Fox-Cotton.

– Pozwól jej się przyglądać, skoro tak chce. Zatańcz to ze mną. Rozwiązałam sprawę, biegnąc schodami na górę.

Siedziałam na najwyższym stopniu, patrząc na nich. Rose tańczyła z Simonem, Topaz z panem Fox-Cottonem. Muszę przyznać, że pani Fox-Cotton tańczyła przepięknie, chociaż wydawała się prawie leżeć na piersi Neila. Suknia Rose wyglądała cudownie, ale ona sama myliła kroki. Topaz trzymała się sztywno, jak pogrzebacz – uważa, że nowoczesne tańce są wulgarne – ale pan Fox-Cotton tańczył tak dobrze, że stopniowo się rozluźniła. To było fascynujące patrzeć na nich wszystkich z góry, ze szczytu schodów. Hol był słabo oświetlony, dębowa podłoga wydawała się czarna jak rzeka w nocy. Znowu zauważyłam tajemniczą woń starego domu, ale teraz zmieszana była z zapachem perfum pani Fox-Cotton – bogatym, niezwykłym, niepodobnym do zapachu żadnych kwiatów.

Oparłam się o rzeźbioną balustradę, słuchając muzyki, i poczułam się zupełnie inaczej niż kiedykolwiek dotychczas; delikatniejsza i piękna, i tak jakby wielu mężczyzn było we mnie zakochanych i jakbym ja mogła bardzo łatwo zakochać się w nich. Ogarnęło mnie niezwykle uczucie – bezbronna tkliwość, to najtrafniejsze słowo, jakim potrafię je oddać; zastanawiałam się nad tym w przyjemny, nieokreślony sposób, wpatrując się w wielką wazę pełną białych tulipanów na dole, na tle niezastłoniętego ogromnego okna, kiedy nagle kompletnie mnie zmroziło.

W czarnej szybie okna ujrzałam dwie twarze.

Po chwili znikły. Wyteżyłam wzrok, żeby je znowu zobaczyć. Tancerze cały czas poruszali się na tle okna, zasłaniając mi widok. Nagle twarze wróciły, choć bardziej zamglone. Potem znowu stały się wyraźne – i właśnie wtedy skończyła się płyta. Tancerze się zatrzymali, twarze znikły.

Aubrey Fox-Cotton krzyknął:

– Widziałeś to, Simon? Dwóch wieśniaków zaglądało tu znowu.

– To najgorszy skutek prawa przejścia przez teren prywatny,

zwłaszcza gdy droga jest tak blisko domu – wyjaśnił Simon Rose.

– Och, do diabła, jakie to ma znaczenie? – powiedział Neil. – Niech sobie patrzą, jeżeli chcą.

– Ale to któregoś wieczoru bardzo wystraszyło matkę. Poproszę ich, żeby tego nie robili, jeżeli tylko uda mi się ich złapać.

Simon podszedł do drzwi i otworzył je. Zbiegłam ze schodów i popędziłam do niego przez hol. Nad drzwiami była lampa, przez co wszystko dalej wydawało się czarne jak smoła.

– Nie łap ich – wyszeptałam. Uśmiechnął się do mnie zdziwiony.

– Ależ nie mam zamiaru zrobić im krzywdy. – Wyszedł na zewnątrz i krzyknął: – Jest tam kto?

W pobliżu dał się słyszeć stłumiony śmiech.

– Są za cedrem – rzekł Simon i zaczął iść w kierunku drzewa. Modliłam się, żeby wzięli nogi za pas, ale nie było słychać odgłosów ucieczki. Złapałam Simona za ramię i szepnęłam:

– Wracaj, proszę. Powiedz, że nie mogliście ich znaleźć. To Thomas i Stephen.

Simon roześmiał się głośno.

– Musieli przyjechać na rowerze – powiedziałam. – Proszę, nie gniewaj się. To tylko dlatego, że marzyli, żeby zobaczyć zabawę.

– Thomas, Stephen, gdzie jesteście? – zawołał. – Wejdźcie i porozmawiajcie z nami.

Nie odezwali się ani słowem. Ruszyliśmy w stronę cedru. Nagle rzucili się w jego kierunku i Thomas natychmiast potknął się o coś i upadł jak długi.

– Dajcie już spokój! – krzyknęłam do nich. – Wszystko jest w porządku.

Simon podszedł i pomógł Thomasowi wstać. Wiedziałam, że nic mu się nie stało, bo tak bardzo się śmiał. Moje oczy zdążyły już przywyknąć do ciemności i zobaczyłam Stephena stojącego kilka jardów dalej; zatrzymał się i nie szedł w naszym kierunku. Podeszłam do niego i wzięłam go za rękę.

– Jest mi ogromnie przykro – szepnął. – Wiem, że zrobiliśmy straszną rzecz.

– Bzdura – powiedziałam. – Nikomu to nie przeszkadza.

Miał całkiem wilgotną rękę. Byłam pewna, że czuł się okropnie. Inni usłyszeli krzyki i pojawili się w drzwiach. Neil wybiegł z latarką.

– O, mój stary przyjaciel Stephen? – krzyknął. – Czy są tu jakieś niedźwiedzie dziś wieczór?

– Ja nie chcę tam wchodzić. Bardzo proszę! – szepnął do mnie Stephen.

Ale Neil i ja wzięliśmy go z obu stron pod ramię i poprowadziliśmy do środka. Thomas wcale się nie krępował, cały czas krztusił się ze śmiechu.

– Zerknęliśmy na was w czasie kolacji – powiedział – a potem gdzieś zniknęliście. Właśnie w rozpaczy mieliśmy iść do domu, gdy pojawiliście się na dole.

Kiedy zobaczyłam twarz Stephena w oświetlonym holu, żałowałam, że go zmusiłam, by wszedł; był purpurowy aż po korzonki włosów i zbyt zawstydzony, żeby wykrztusić chociaż słowo. A Rose jeszcze pogorszyła sprawę, mówiąc afektowanie (myślę, że to z powodu zażenowania):

– Bardzo za nich przepraszam. Powinni się wstydzić.

– Nie zwracajcie uwagi na waszą ciocię-babcię Rose, chłopcy – odezwał się Neil z uśmiechem. – Chodźcie, spustoszymy lodówkę.

Kiedyś widziałam, jak zrobili coś takiego na filmie, i wyglądało to cudownie. Chciałam też iść z nimi, ale pani Fox-Cotton zawołała mnie.

– Kim jest ten chłopak, ten wyższy, z jasnymi włosami? – zapytała kategorycznym tonem.

Opowiedziałam jej o Stephenie.

– Muszę go sfotografować – oznajmiła.

– Co, o tej porze, w nocy? Zaśmiała się, rżąc lekko.

– Oczywiście, że nie, ty głuptasku. On musi przyjechać do Londynu. Jestem zawodowym fotografem. Słuchaj, zapytaj go... Nie, zostaw. – I pobiegła na górę.

Neila i chłopców już nie było. Żałowałam, bo poczułam się głodna,

mimo ogromnej kolacji; chyba mój żołądek się rozochocił. Obawiałam się, że jeżeli tu zostanę, Simon uzna, iż powinien ze mną zatańczyć; Znowu tańczył z Rose i chciałam, żeby tańczył z nią nadal. Poszłam więc na górę.

Dobrze mi było samej – ducha domu poznaje się lepiej w samotności. Szłam bardzo powoli, oglądając stare ryciny na ścianach. Wszędzie w Scoatney człowiek jest tak dotkliwie świadomy przeszłości: to jak czyjaś obecność, jak pogłaskanie powietrza. Nie czuję tego często u nas w zamku; może był zbyt wiele razy przebudowywany, a najstarsze części wydają się tak całkowicie odległe. Tu, w Scoatney, nastrój pewnie też tworzą piękne stare meble.

Spodziewałam się, że usłyszę głosy, które zaprowadzą mnie z powrotem do galerii, ale wszędzie panowała cisza. W końcu doszłam do otwartego okna wychodzącego na dziedziniec, wychyliłam się i określiłam swoje położenie: zobaczyłam okna galerii. Mogłam też widzieć okna kuchni i Neila, Thomasa oraz Stephena jedzących przy stole. Wyglądało na to, że się dobrze bawią.

Kiedy weszłam do galerii, ojciec i pani Cotton byli na drugim końcu, a pastor leżał na kanapie przy środkowym kominku i czytał książkę pani Fox-Cotton. Powiedziałam mu o Thomasie i Stephenie.

– Chodźmy z nimi porozmawiać – zaproponował. – Chyba że chcesz, żebym z tobą zatańczył. Tańczę jak gumowa piłka.

Powiedziałam, że chciałabym zobaczyć kuchnię. Wstał, zamykając książkę.

– Pani Fox-Cotton mówiła, że to nie jest książka dla małych dziewczynek – zauważyłam.

– To nie jest książka dla małych pastorów – odrzekł ze śmiechem.

Zaprowadził mnie na dół tylnymi schodami. Dobrze zna cały dwór, bo przyjaźnił się ze starym panem Cottonem. Ciekawie było zauważyć różnicę, kiedy dotarliśmy do pomieszczeń dla służby; cienkie, wydeptane dywany, jaskrawe oświetlenie i dużo większy chłód. Zapach też był inny: równie stary, choć nie taki łagodny;

stęchły, wilgotny i przygnębiający.

Ale kuchnia okazała się piękna – cała pomalowana na biało, z białym emaliowanym piecem kuchennym i ogromną lodówką. (Ciocia Millicent miała tylko starą, cieknącą lodówkę). Neil i chłopcy jeszcze jedli. Pani Fox-Cotton przysiadła na stole i zdecydowanym tonem tłumaczyła coś Stephenowi.

Kiedy weszłam, wręczała mu swój bilet wizytowy. Usłyszałam, jak mówi:

– Wystarczy, że podasz ten adres kierowcy taksówki. Pokryję koszty twojego przyjazdu... albo może lepiej od razu dam ci trochę pieniędzy. – Otworzyła swoją wieczorową torebkę.

– Naprawdę będziesz fotografowany? – zapytałam Stephena. Kiwnął głową i pokazał mi bilet wizytowy. Było na nim wydrukowane: LEDA. ARTYSTA FOTOGRAFIK, pod pięknie wyrysowanym małym łabędziem, i adres w St. John's Wood.

– Bądź miłą dziewczynką i pomóż mi go namówić – zwróciła się do mnie. – Może przyjechać w którąkolwiek niedzielę. Opłacę jego przyjazd i dam mu dwie gwinee. To jest dokładnie to, czego szukałam od miesiący.

– Nie, dziękuję pani – odrzekł bardzo grzecznie Stephen. – To by mnie krępowało.

– Wielkie nieba, a niby z jakiego powodu? Chcę tylko sfotografować twoją głowę. Czy zrobiłbyś to za trzy gwinee?

– Za jeden dzień?

Spojrzała na niego przenikliwie, po czym rzuciła szybko:

– Pięć gwinei, jeżeli przyjedziesz w najbliższą niedzielę.

– Stephen, jeśli nie chcesz, nie rób tego – wtrąciłam.

Przełknął ślinę, zastanawiając się nad czymś. Wreszcie powiedział:

– Będę musiał to przemyśleć, proszę pani. Czy byłoby też pięć gwinei, gdybym przyjechał trochę później?

– W każdą niedzielę, kiedy zechcesz... zawsze mi się przydasz. Tylko napisz najpierw, by się upewnić, że jestem wolna. Ty napisz za niego – dodała, zwracając się do mnie.

– On sam napisze, jak będzie chciał – powiedziałam chłodno.

Mówiła tak, jakby myślała, że Stephen jest analfabetą.

– Tylko mu nie odradzaj. Pięć gwinei, Stephen. I pewnie nie będzie to trwało dłużej niż dwie, trzy godziny.

Złapała skrzydełko kurczaka i siedziała tam, obgryzając je. Neil mnie też poczęstował, ale straciłam apetyt.

Stephen oznajmił, że muszą już z Thomasem wracać do domu. Neil zaprosił ich, żeby zostali potańczyć, jednak nie nalegał, widząc, że Stephen nie ma ochoty. Wszyscy poszliśmy ich odprowadzić – rowery były gdzieś na tyłach domu. Po drodze minęliśmy spiżarnię, gdzie wisały ogromne szynki.

– Stary pan Cotton przysyłał nam zawsze taką szynkę na każde Boże Narodzenie – odezwał się Thomas. – Tylko że zmarł w ostatnie święta.

Neil sięgnął do góry i zdjął z haka największą szynkę.

– Proszę bardzo, Tommy – powiedział.

– Och, Thomas, nie możesz! – zaczęłam, lecz nie chciałam, żeby Neil nazwał mnie ciocią-babcią Cassandra, więc dokończyłam: – Ale chyba będziesz musiał.

I z całą pewnością zemdlałabym z rozpaczy, gdyby Thomas odmówił przyjęcia szynki. W końcu zobowiązałam się zabrać ją do domu, bo on nie poradziłby sobie z nią na rowerze.

– Tylko daj słowo, że nie będziesz udawać damy i nie zostawisz jej tutaj – szepnął.

Dałam słowo.

Po odjeździe chłopców wróciliśmy do holu i zobaczyliśmy, że reszta towarzystwa jeszcze tańczy.

– Chodź, Cassandro – powiedział Neil i porwał mnie do tańca.

Taniec to naprawdę dziwna sprawa, kiedy się tak nad tym zastanowić. Jeśli mężczyzna weźmie cię za rękę i obejmie w pasie – nie w czasie tańca – to jest to coś bardzo ważnego; podczas tańca nawet się tego nie zauważa – no, może trochę. Udało mi się naśladować kroki lepiej, niżbym się spodziewała, choć nie tak łatwo, by się dobrze bawić; byłam całkiem zadowolona, kiedy płyta się skończyła.

Potem Neil poprosił do tańca Rose, a ja zatańczyłam cudownego walca z pastorem; tak nam się zakręciło w głowach, że musieliśmy klapnąć na kanapę. Zdaje mi się, że Rose nie chwyciła kroków tak dobrze jak ja, bo kiedy mnie mijali, słyszałam, jak powiedział do niej: „Nie dodawaj stale tych swoich małych wymyślnych kroczków”. Pomyślałam, że ją to rozgniewa, i tak było; kiedy umilkła muzyka i poprosił Rose, żeby wyszła z nim do ogrodu złapać trochę powietrza, odparła: „Nie, dziękuję” – prawie niegrzecznie.

Później udaliśmy się ponownie do Długiej Galerii, gdzie ojciec i pani Cotton nadal rozmawiali z ogromnym ożywieniem. Pani Cotton uprzejmie przerwała, gdy weszliśmy, i przez chwilę rozmowa była ogólna; ale pani Fox-Cotton cały czas ziewała, zakrywając usta i mówiąc: „Wybaczcie”, co tylko jeszcze bardziej zwracało uwagę, więc wkrótce Topaz powiedziała, że pora się żegnać. Pani Cotton grzecznie zaprotestowała, a potem zadzwoniła po auto. Dał się odczuć nastrój końca zabawy, tak jak na przyjęciach dla dzieci (w każdym razie tych kilku, na których byłam), kiedy pierwsza niania przybywała zabrać dziecko do domu.

Gdy przechodziliśmy przez hol, wzięłam szynkę i taktownie trzymałam ją pod okryciem, które pożyczyła mi Topaz; było w stylu przedziwnego burnusa, ale akurat bardzo się przydało. Simon i Neil wyszli z nami do samochodu i powiedzieli, że odwiedzą nas po powrocie z Londynu – mieli jechać nazajutrz i zostać tam przez dwa tygodnie.

No i tak skończyło się przyjęcie.

– O Boże, Cassandro, skąd to masz? – spytał ojciec, kiedy zobaczył, jak troskliwie taszczę szynkę.

Wyjaśniłam mu i dodałam, że chowałam ją na wypadek, gdyby miał zamiar kazać mi odmówić jej przyjęcia.

– Odmówić przyjęcia? Chyba oszalałaś, moje dziecko. – Wziął ją ode mnie, by zobaczyć, ile waży.

Wszyscy zaczęliśmy zgadywać, co było czystą stratą czasu, bo i tak nie mieliśmy w domu wagi.

– Hołubisz ją, jakby to było twoje pierwsze dziecko – zażartował ojciec, kiedy mi ją w końcu oddano.

Wyraziłam wątpliwość, czy jakiegokolwiek pierwsze dziecko było milej widziane. Potem wszyscy zamilkliśmy – nagle przypomnieliśmy sobie o obecności szofera.

Po przyjeździe do domu wcale nie zaczęliśmy od razu dzielić się wrażeniami. Wydawało mi się, że każde z nas chciało trochę porozmyślać na osobności. Ja z całą pewnością miałam taki zamiar.

Zacząłam, gdy tylko zdmuchnęliśmy świece w sypialni. Wcale nie chciało mi się spać. Prześledziłam w myślach cały wieczór: wszystko było nawet miłsze niż wtedy, kiedy się faktycznie działo, aż doszłam do sceny w kuchni, gdy pani Fox-Cotton poprosiła Stephena, żeby jej pozował; zorientowałam się, że jestem o to wściekła. Ale właściwie dlaczego? Dlaczego ma nie zarobić pięciu gwinei za parę godzin pracy? Pięć gwinei to ogromna suma pieniędzy. I na pewno fotograf ma prawo angażować modeli. Uznałam, że jestem nierozsądna, ale dalej byłam wściekła.

Kiedy jeszcze spierałam się ze sobą, Rose wstała z łóżka z baldachimem, otworzyła szerzej okno i usiadła na ławeczce w wykuszu.

– Nie możesz zasnąć? – spytałam.

Odrzekła, że nawet nie próbowała, i odgadłam, że odtwarzała w myślach wydarzenia tego wieczoru, tak jak ja; żałowałam, że nie mogę na chwilę zamienić się z nią pamięcią i przeżyć jej wieczoru.

Wstałam i usiadłam obok niej. Było tak ciemno, że widziałam tylko zarys jej sylwetki. Nagle się odezwała:

– Żałuję, że nie wiem więcej o mężczyznach.

– Z jakiego powodu? – zapytałam z delikatną zachętą w głosie. Milczała tak długo, że pomyślałam, że nie ma zamiaru odpowiadać; a potem wyrzuciła z siebie:

– Podobam mu się... wiem, że tak jest. Ale pewnie podobało mu się już wiele dziewcząt. No i to niekoniecznie oznacza, że się oświadczy. Gdybym tylko wiedziała, jak się mądrze zachować!

– Och, Rose, czy zastanowiłaś się, czym naprawdę jest

małżeństwo? – spytałam.

– Tak, myślałam o tym dzisiejszego wieczoru... kiedy patrzyłam na niego, żeby zobaczyć, czy jest podobny do mężczyzny z tego starego portretu. Nagle wyobraziłam sobie, że jestem z nim w łóżku.

– Też sobie moment wybrałaś! Zauważyłam, że coś zaprzęta ci myśli. No i jak to było?

– Bardzo dziwnie. Ale mogłabym to znieść.

– Czy to tylko pieniądze, Rose?

– Nie wiem – odparła – naprawdę nie wiem. Sama siebie nie rozumiem. To bardzo ekscytujące wiedzieć, że się podobasz mężczyznom. To jest... no, ty tego nie zrozumiesz.

– A może zrozumiem... – Przez sekundę myślałam, że powiem jej o Stephenie, ale zanim zdążyłam zacząć, ona już mówiła dalej.

– Podoba mi się, naprawdę. Jest taki uprzejmy. On pierwszy sprawił, że poczułam, że jestem dla kogoś ważna. I jest przystojny... w pewnym sensie, nie uważasz? W każdym razie ma ładne oczy. Gdybym tylko mogła się przyzwyczaić do tej brody.

– Jesteś pewna, że nie wolałabyś Neila? On jest taki bardzo uważający i ma miłą i otwartą twarz.

– Och, Neil! – Jej ton był tak pełen pogardy, że zdałam sobie sprawę, że musiał ją rozgniewać mocniej, niż przypuszczałam. – Nie, możesz go sobie wziąć.

Wtedy po raz pierwszy błysnęła mi ta myśl. Nie brałam jej serio, ale czułam, że zasługuje na to, by ją spokojnie rozważyć.

– Gdyby mi się tylko udało namówić Simona, żeby zgolił brodę – ciągnęła Rose. Nagle głos jej stwardniał. – Zresztą co to ma za znaczenie! Wyszłabym za niego za mąż, nawet gdybym go nienawidziła. Cassandro, czy widziałaś kiedykolwiek coś tak pięknego jak łazienka pani Cotton?

– Tak, mnóstwo rzeczy – odrzekłam z przekonaniem. – I żadna łazienka na świecie nie usprawiedliwi ślubu z brodaczem, którego nienawidzisz.

– Ale ja go wcale nie nienawidzę. Przecież mówię ci, że mi się podoba. Ja prawie... – Przerwała i wróciła do łóżka.

– Może nie będziesz pewna, co czujesz, dopóki mu nie pozwolisz, żeby cię pocałował? – podsunęłam jej.

– Ale nie mogę tego zrobić, dopóki się nie oświadczy, bo potem mógłby się w ogóle nie oświadczyć – odparła zdecydowanie. – To jedno wiem na pewno.

Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że Rose jest odrobinę staroświecka, lecz zachowałam swoje poglądy dla siebie.

– Będę się modlić, żebyś się w nim naprawdę zakochała, a on w tobie, oczywiście. I pomodłę się o to na klęczkach.

– To ja też! – zawołała, wyskakując z łóżka.

Obie modliłyśmy się gorąco, Rose o wiele dłużej. Klęczała jeszcze, kiedy ja już ułożyłam się do snu.

– Dosyć już, Rose – odezwałam się do niej w końcu. – Wiesz, wystarczy tylko wspomnieć, o co prosisz. Za długie modlitwy są jak naprzykrzanie się.

Wierciłyśmy się całe wieki. Próbowaliśmy wymyślić coś uspokajającego i kazać pannie Blossom to powiedzieć, ale nie byłam w nastroju. Po jakimś czasie usłyszałam pohukiwanie sowy. Myśl, że leci po ciemku nad polami, podziałała na mnie kojąco, lecz potem przypominałam sobie, że będzie polować na myszy. Chociaż lubię sowy, chciałabym, żeby Pan Bóg stworzył je wegetarianami. Rose ciągle przewracała się na łóżku.

– Och, przestań już się tak rzucać – powiedziałam. – Połamię ostatnie sprężyny, które to łoże jeszcze ma.

Ale kiedy już prawie zasypiałam, ona wciąż, raz za razem, przewracała się z hukiem. Zegar na wieży kościoła w Godsend wybił drugą, gdy wreszcie usłyszałam, że oddycha spokojnie. Potem i ja w końcu zasnęłam.

IX

O pisanie przyjęcia w Scoatney zajęło mi trzy dni. Nie zaznaczałam przerw, bo chciałam, żeby to wyglądało jak jeden cały rozdział. Teraz, kiedy życie stało się o tyle bardziej ekscytujące, wyobrażam sobie ten pamiętnik jako historię, którą opowiadam. Nowy rozdział wydarzył się wczoraj i marzę, żeby natychmiast o tym napisać, ale oprę się pokusie i najpierw uzupełnię chronologicznie moje zapiski.

Jedyną pokusą, której nie zdołałam się oprzeć, było to, że pozwoliłam swojej wyobraźni przenieść się trochę w przyszłość. Kiedy Rose powiedziała, że mogę sobie wziąć Neila, spróbowałam to rozważyć; myślałam o tym, gdy się obudziłam nazajutrz po przyjęciu, i wyobraziłam sobie jego oświadczyzny; na ich miejsce wybrałam ogród wodny w Scoatney. Przyjęłam je, a potem Rose i ja organizowałyśmy podwójny ślub i kupowałyśmy wspaniałe wyprawy ślubne. Później zdrzemnąłam się znowu i śniło mi się, że naprawdę jestem żoną Neila. Byliśmy zamknięci razem w łazience pani Cotton w straszliwie krępujący sposób, a twarz Stephena cały czas wirowała po lustrzanych ścianach. Byłam bardzo zadowolona, kiedy się obudziłam i okazało się, że to tylko sen. Oczywiście Neil na pewno mi się nie oświadczy teraz, jak pozwoliłam sobie to wyobrazić. No i wcale mnie to nie martwi.

Chociaż całkiem niewykluczone, że mógłby – ale w zupełnie inny

sposób i nie w ogrodzie wodnym.

Topaz i ja poplotkowałyśmy sobie serdecznie podczas siania łożek. Ona jest dobrej myśli w sprawie Rose, ale przygnębiona w związku z ojcem; był niegrzeczny, kiedy go zapytała, o czym rozmawiał z panią Cotton.

– Skwitował to tylko: „Nie bądź niemądra, moja droga. Jak można powtórzyć szczegóły rozmowy? Ona jest bardzo inteligentną kobietą i potrafi słuchać, jak również rozmawiać”. A potem, jak myślisz, co powiedział? Że źle ją osądził; jej znajomość literatury nie jest wcale powierzchowna, a ona sama jest bardzo czytana. „Po tym widać – dodał – że nie powinno się wygłaszać generalizujących sądów na temat narodów na podstawie krótkiej znajomości”. No i można by było pomyśleć z jego tonu, że to ja wygłaszam takie sądy.

– Ogromnie irytujące – przyznałam, próbując się nie roześmiać, bo bardzo mnie rozbawiło, że ojciec wziął sobie do serca tamtą drobną pouczającą uwagę pani Cotton.

– W każdym razie jak to jest, że on może dyskutować o literaturze z nią, a nie może ze mną? Wciąż próbuję rozmawiać z nim o książkach, ale zawsze to ucina.

Mam do ojca pretensje o wiele spraw, lecz akurat nie o to, bo to rzeczywiście męczarnia rozmawiać z nią o książkach. Kiedy chciałam zwyczajnie podyskutować o *Wojnie i pokoju* Tołstoja, powiedziała: „Ach, te nakładające się wymiary są takie cudowne. Próbowałam je kiedyś namalować na okrągłym płótnie” – a potem nie mogła sobie przypomnieć, kim była Natasza.

W sprawie ojca byłam dla niej pełna współczucia, ale dosyć szybko się z tym uporałam, bo chciałam pisać swój pamiętnik. Przed lunchem udało mi się wykroić tylko godzinę, za to potem przez całe popołudnie mogłam pracować na strychu. Przyszedł tam do mnie Stephen, kiedy wrócił z farmy Four Stones. Serce mi zamarło, gdy podał mi złożony papier; miałam nadzieję, że już wyrósł z przynoszenia mi wierszy. Stał i czekał, żebym to przeczytała.

Po pierwszej linijce zdałam sobie sprawę, że tym razem była to jego własna praca – o mnie siedzącej na schodach w Scoatney,

podczas gdy inni tańczyli. Zastanawiałam się, co mam powiedzieć, kiedy wyrwał mi kartkę z ręki.

– Wiem, to jest okropne – rzucił. Zaprzeczyłam.

– Wcale nie, Stephen, miejscami rymuje się wspaniale. I jest całe twoje własne. Podoba mi się o wiele bardziej niż te, które przepisywałeś. – Uważałam, że to jest okazja, żeby na przyszłość zniechęcić go do przepisywania.

– To nie było dokładne kopiowanie – odparł, nie patrząc na mnie. – Zawsze zmieniałem jakieś słowa. Nie chciałem być nieuczciwy, Cassandro, tylko nic, co sam napisałem, nie wydawało mi się dość dobre.

Powiedziałam, że doskonale rozumiem, ale w przyszłości musi pisać własne wiersze. I poradziłam mu, żeby również nie naśladował wierszy innych ludzi.

– Wiem, że sam wymyśliłeś każde słowo w tym ostatnim – dodałam – ale i tak było to jeszcze trochę podobne do Herricka. Cały ten fragment o liliach i różach, i fiołkach. Nie widziałeś ich naprawdę w holu wczoraj wieczorem, były tam tylko białe tulipany.

– Założę się, że Herrick nie widział wszystkich tych kwiatów, o których pisał – odrzekł Stephen, uśmiechając się. – I jedyny rym, jaki mogłem znaleźć do słowa „tulipany”, to były „niebieskie łany”.

Roześmiałam się, mówiąc, że są sprawy ważniejsze niż rymy.

– Dużo dobrej poezji nie ma ich wcale. Najważniejsze, żebyś pisał, co naprawdę czujesz.

– Tego nie mógłbym zrobić – odparł. – Nie, to niemożliwe.

– Ależ dlaczego, Stephen? Oczywiście, że możliwe.

– Nie, wykluczone. – Uśmiechnął się, patrząc prosto przed siebie, jakby do czegoś zabawnego, o czym wiedział tylko on.

Przypomniało mi to pewien wieczór sprzed kilku miesięcy, kiedy podstawialiśmy garnki pod wodę kapiącą z przeciekającego dachu – uśmiechnął się wtedy w taki sam sposób, jakby do swej prywatnej tajemnicy.

– Stephen – odezwałam się – czy pamiętasz... przecież to było tego wieczoru, kiedy Cottonowie pierwszy raz tutaj przyszli! Czy

pamiętasz, jak wyglądając przez to okno, powiedziałaś: „Początki to dobry czas”?

Kiwnął głową.

– Ale nie spodziewałem się żadnych Cottonów – rzucił ponuro.

– Tańczyłaś z nimi wczoraj?

– Spróbowałam raz z Neilem.

– Ludzie wyglądają okropnie w tańcu. Ja bym się wstydził. Nigdy byś nie robiła tego tak jak ta Leda, prawda?

– Nigdy nie będę tańczyć tak dobrze jak ona – odparłam. – Ale wiem, o co ci chodzi. Ona rzeczywiście wieszka się na swoich partnerach. Nie masz zamiaru pozwolić jej się fotografować, co?

Powiedziałam to mimochodem, jakby mi to wcale nie robiło różnicy. Ku memu zdziwieniu Stephen przybrał swój beznamiętny wyraz twarzy, który bardzo się różni od jego głupawego wyglądu. Głupawy jest zamglony, rozmarzony, a ten beznamiętny jest zawzięty, prawie ponury. Stephen patrzy tak czasem na Rose, ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek mnie potraktował tym spojrzeniem.

– Może się zgodzę – odrzekł. – Jak ktoś chce wyrzucać pieniądze...

– Ależ Stephen, przecież to by było okropne.

– Mogłoby się okazać, że warto znieść coś okropnego, żeby zarobić pięć gwinei. Pięć gwinei prawie by wystarczyło na... – Przerwał i odwrócił się, żeby zejść na dół.

– Na co by wystarczyło? – zawołałam za nim.

– O, na różne rzeczy – odparł, nie odwracając się. – Pięć gwinei to więcej, niż mogę zaoszczędzić przez cały rok.

– Ale wczoraj wieczorem byłeś taki pewny, że tego nie chcesz. Na małych krętych schodkach obejrzał się jeszcze – jego głowa znajdowała się na poziomie podłogi.

– Może chce, może nie – rzucił denerwująco i poszedł na dół. Jakiś głos w mojej głowie powiedział: „Choćby nie wiem co, nie będziesz pozował Ledzie Fox-Cotton”. Potem zadzwoniono na kolację, więc też poszłam na dół.

Topaz ugotowała połowę szynki. Uważała, że starczy na dłużej, jak ją pokroimy, kiedy całkiem wystygnie, ale Thomas nalegał – był

bardzo zaborczy, jeśli chodzi o tę szynkę. Wszyscy wachlowaliśmy ją gazetami do ostatniej chwili. Była cudowna, oczywiście; szynka z musztardą to wspaniały posiłek.

Panna Marcy przysłała po kolacji, by dowiedzieć się wszystkiego o przyjęciu. Powiedziała mi, że fotografie pani Fox-Cotton są bardzo dobrze znane z reprodukcji w czasopismach. Szczególnie zapamiętała jedną z nich, na której widać dziewczynkę chowającą się za gigantyczną muszlą i cień człowieka zbliżającego się w jej kierunku.

– I można mieć wrażenie, że on ma na sobie... no, nic nie ma po prostu, co mnie dosyć zdziwiło, bo nieczęsto widzi się fotografie tak artystyczne jak obrazy, prawda? Ale pewnie cały czas miał na sobie strój kąpielowy, tego przecież nie byłoby widać na cieniu, prawda?

Roześmiałam się. Uwielbiam kochaną pannę Marcy. Ale byłam tym bardziej przeświadczona, że Stephen nie powinien ani na krok zbliżyć się do tej kobiety, pani Fox-Cotton.

Następnego ranka Topaz, Rose i ja poszłyśmy do King's Crypt z dwudziestoma funtami, które pastor dał nam za futrzak, ten z sierści owczarka szkockiego. Kupiłam swoją pierwszą sukienkę dla dorosłych, z bladzielonego lnu; Rose wybrała różową. Topaz powiedziała, że niczego nie potrzebuje – zresztą i tak wygląda nienaturalnie w gotowych ubraniach. Ja wzięłam jeszcze białe buty i parę prawie jedwabnych pończoch. Gdyby ktoś mnie zaprosił na przyjęcie w ogrodzie, to mogę iść.

Kiedy wróciłyśmy do domu, okazało się, że ojciec nie zjadł lunchu, który Topaz przygotowała dla niego, i że nigdzie w zamku go nie ma. Pojawił się około dziewiątej, wyjaśniając, że pojechał do Scoatney na rowerze; okazało się, że Simon udostępnił mu bibliotekę na czas ich nieobecności. Zapytałam, czy czytał coś szczególnie interesującego.

– Och, głównie amerykańskie czasopisma... i kilka esejów krytycznych – odrzekł. – Już zapomniałem, na jakim wysokim poziomie jest amerykańska krytyka.

Topaz powiedziała, że poda mu posiłek, ale on odparł, że jadł

lunch i duży obiad wieczorem.

– Wygląda na to, że pani Cotton wydała polecenie, by mnie karmiono, gdy się tam pojawię – dodał i raczej zadowolony z siebie poszedł do wartowni.

Wycofałam się na poddasze, by prowadzić i uzupełnić swój pamiętnik. Kiedy znów zeszłam do kuchni, Stephen pisał coś na rozprostowanej torebce od cukru. Na mój widok zrobił się purpurowy i szybko zgniótł torebkę. Wtedy właśnie nadeszła z ogrodu Topaz, w płaszczu cioci Millicent, ale bez pończoch i butów. Domyśliłam się, że odbyła jedną ze swoich sesji nago.

– Dzięki Bogu, natura mnie nigdy nie zawodzi – powiedziała, ciężkim krokiem idąc na górę.

Kiedy się odwróciłam, Stephen wrzucał torebkę po cukrze do ognia.

– Czy to był nowy wiersz? – spytałam. Uważam, że powinnam go podtrzymywać na duchu teraz, kiedy pisze własne wiersze. – Dlaczego go spaliłeś?

– Bo był nie do pokazania – odparł, ciągle bardzo zaczerwieniony. Popatrzył na mnie uważnie przez sekundę, potem nagle wybiegł do ogrodu. Czekałam na niego, siedząc przy ogniu z Ab i Hel, ale nie wrócił.

Kiedy poszłam na górę, Rose siedziała na łóżku i lakierowała paznokcie; wybrała sobie ten lakier jako specjalną przyjemność z pieniędzy od pastora, a ja kupiłam lawendowe mydło.

– Za wcześnie się do tego bierzesz – zauważyłam. – Cottonowie wracają dopiero za dwanaście dni.

Wcale się nie spodziewałam, że zobaczymy ich już za cztery!

Wczoraj był pierwszy maja. Uwielbiam takie szczególne dni w roku – świętego Walentego, wigilię Wszystkich Świętych, a najbardziej noc świętojańską. Rzadko się zdarza, żeby pierwszy maja był taki jak powinien, kiedy jednak wychyliłam się przez okno w sypialni i zobaczyłam, że woda w fosie ma błyszczące zmarszczki od ciepłego lekkiego wiatru, byłam najszcześliwsza na świecie. Wiedziałam, że to będzie pomyślny dzień.

Ale zaczęło się od falstartu przed śniadaniem.

Ojciec pojawił się na dole w swoim najlepszym ciemnym ubraniu, którego nie miał na sobie przez całe lata. Rose i ja gapiłyśmy się na niego, a Topaz przestała mieszać owsiankę i zapytała:

– Mortmain, co do licha?

– Jadę do Londynu – oznajmił krótko.

– Po co? – zapytałyśmy wszystkie trzy, dość głośno.

– Interesy – powiedział ojciec jeszcze głośniejszym głosem i wyszedł z kuchni, trzasnąwszy drzwiami.

– Nie martwcie go, nie zadawajcie pytań – szepnęła Topaz. Potem spojrzała na nas z przygnębieniem. – Myślicie, że jedzie zobaczyć się z nią, z panią Cotton?

– No przecież nie mógłby bez zaproszenia – zauważyłam.

– Ależ oczywiście, że mógłby – powiedziała Rose. – Popatrzcie tylko, co robi: jeździ do Scoatney trzeci dzień z rzędu, pozwala służbie się karmić, przebiera w książkach i czasopiśmie! Mówię wam, skończy się tym, że ich do nas zniechęci.

– To nie on zniechęcił ich do nas ostatnim razem – rzuciła Topaz. Zobaczyłam, że zanosi się na ostrą wymianę zdań, więc poszłam do salonu. Ojciec siedział na ławeczce w wykuszu i czyścił buty zasłoną. Kiedy wstał, był cały w białych kudłach Heloizy z poduszki na siedzeniu.

– Czy nie ma w tym domu miejsca, gdzie mężczyzna w ciemnym ubraniu mógłby usiąść?! – krzyknął, idąc do holu po szczotkę do ubrania.

– Nie ma, chyba że przefarbujemy Hel na czarno – powiedziałam. Próbowałam wyszczotkować mu ubranie, ale szczotka nie miała większości włosia, garnitur ojca był wytarty i Heloiza straciła więcej sierści, niż wydawało się to prawdopodobne, więc rezultat był marny. Topaz przyszła powiedzieć, że śniadanie gotowe, ale ojciec odrzekł, że spóźniłby się na pociąg, gdyby miał jeszcze coś jeść.

– Nie rób zamieszania, daj spokój – powiedział, kiedy go błagała, żeby zjadł cokolwiek.

Potem szybko przeszedł koło niej w najbardziej niegrzeczny

sposób i złapał rower Rose, bo jego własny miał pękniętą dętkę.

– Kiedy wrócisz? – zawołała za nim Topaz.

Odkrzyknął przez ramię, że nie ma najmniejszego pojęcia.

– Co mu jest? – spytała Topaz, gdy wracałyśmy przez ogród. – Wiem, że zawsze był kapryśny, ale nie taki wybuchowy. I jest coraz gorzej od czasu naszej wizyty w Scoatney.

– Może to lepsze niż głęboka rezygnacja – podsunęłam, próbując podnieść ją na duchu. – Był przerażająco wybuchowy, kiedy byłyśmy małe, gdy zajmował się pisaniem. Wiesz o naszej mamie i nożu do ciasta.

Twarz Topaz nagle rozbłysła nadzieją.

– Może mnie nawet zmasakrować, jeżeli mu to naprawdę pomoże – powiedziała. Potem światło w jej oczach zgasło. – Ale on mnie już nie potrzebuje. To ta kobieta go ożywia.

– Boże, wcale nie wiemy, czy w ogóle coś go ożywia – odrzekłam.

– Mieliśmy tyle fałszywych alarmów. Skąd on wziął pieniądze, żeby jechać do Londynu?

Przyznała się, że dała mu pięć funtów z pieniędzy od pastora za futrzak.

– Chociaż nie myślałam, że wyda je na spotkanie z tą kobietą. – Potem dodała szlachetnie: – Pewnie w ogóle nie powinnam na to zwracać uwagi, jeżeli ona go inspiruje.

Rose wyszła z kuchni, trzymając kromkę chleba z dżemem, i minęła nas bez słowa. Domyśliłam się, że miała z Topaz bardzo ostrą kłótnię, kiedy czyściłam ojcu ubranie. Zobaczyłyśmy, że owsianka się przypaliła – a mało jest mniej przyjemnych rzeczy do jedzenia; tak więc to oraz ponury nastrój Topaz sprawiły, że nasz posiłek był przygnębiający. (Chłopcy naturalnie wyszli wcześniej; jedli na śniadanie szynkę).

– Pójdę do ogrodu i będę kopać, aż odzyskam spokój – oznajmiła Topaz, kiedy skończyłyśmy zmywać i pościeliłyśmy łóżka.

Wiedziałam, że poczuje się lepiej, jak zostanie sama, a ja chciałam wrócić do swego pamiętnika; skończyłam opisywać wieczór w Scoatney, ale było jeszcze kilka refleksji o życiu, które pragnęłam

zanotować. (Nigdy ich nie zanotowałam – i teraz już nie pamiętam, co to było). Kiedy się usadowiłam na wzgórzu Belmonte, zobaczyłam Rose idącą drogą, z krynoliną pani Stebbins. Stephen przyniósł wiadomość, że pani Stebbins martwi się o tę krynolinę. Nie chciał jej odnieść, uznając, że byłoby to dla niego krępujące. Rose zarzuciła krynolinę na ramię; wyglądała bardzo osobliwie.

Zdecydowałam się porozmyślać trochę, zanim zacznę pisać. Położyłam się, rozkoszując się ciepłem słońca i patrząc w wielką niebieską czaszę nieba. Cudownie było czuć ciepłą ziemię pod sobą i sprężystą trawę pod dłońmi, podczas gdy mój umysł szybował w górę. Niestety, moje myśli nigdy nie zatrzymują się dłużej na wzniosłych sprawach i wnet z radością oddałam się szczęśliwym rozważaniom o mojej nowej zielonej sukience, zastanawiając się, czy będzie mi do twarzy, jak zakręcę włosy. Zamknęłam oczy, jak zwykle, kiedy zamyślam się bardzo głęboko. Stopniowo zaczęłam sobie wyobrażać Rose wychodzącą za mąż za Simona; nie przynosi pecha wyobrażanie sobie przyszłości innych ludzi, tylko o sobie nie wolno myśleć, bo się nie spełni. Wyprawiłam Rose cudowny ślub i doszłam do tego, jak w paryskim hotelu zostaje sama z Simonem – trochę się go bała, ale sprawiłam, że jej się to podobało. Patrzył na nią w taki sposób jak podczas przyjęcia, kiedy wypił jej zdrowie...

Otworzyłam oczy. Był tutaj, prawdziwy Simon Cotton, i patrzył na mnie.

Nic nie słyszałam. W tej samej sekundzie widziałam go w paryskim hotelu, idealnie wyraźnie, chociaż takiego małego i odległego, jak widzi się obraz w wypukłym lustrze – i nagle pojawił się niczym olbrzym na tle nieba. Leżałam, mając słońce na powiekach, więc przez chwilę wszystko miało zmienione kolory. Trawa i niebo były wyblakłe, a jego twarz wydawała się szara. Ale broda pozostała czarna, jak zawsze.

– Przestraszyłem cię? – zapytał z uśmiechem. – Założyłem się ze sobą, że wejdę tu na górę tak, że nie usłyszysz. Och, chyba nie spałaś, co?

– Nie, nie o tej porze dnia – powiedziałam i usiadłam, mrugając.

Usiadł koło mnie. Było to bardzo dziwne uczucie – zamienić człowieka, którego sobie wyobrażałam, na niego samego, prawdziwego. Sprawiałam, że był tak ogromnie fascynujący – w rzeczywistości wcale nie jest taki, chociaż jest bardzo, bardzo miły; wiem to teraz. Przyjechali z Neilem na jeden dzień; Neil go wysadził na początku drogi prowadzącej do naszego zamku i pojechał dalej do Scoatney – co wyglądało, jakby nie był nami zbyt zainteresowany.

– Szkoda, że nie zastałem twojej siostry – powiedział Simon – ale pani Mortmain ma nadzieję, że Rose niedługo wróci.

Potwierdziłam, że na pewno zaraz wróci, chociaż w istocie myślałam, że nie będzie jej co najmniej przez godzinę, i zastanawiałam się, czy potrafię być na tyle interesująca, by tak długo podtrzymywać rozmowę. Zapytałam go, czy dobrze się bawia w Londynie.

– Och, tak, uwielbiam Londyn. Ale szkoda nie być tutaj przy takiej pogodzie. – Oparł się na łokciu, patrząc na pola. – Nie miałem pojęcia, że angielska wiosna może być tak olśniewająca.

Przyznałam, że zadziwia nas co roku.

– Za tydzień wrócimy na dłużej... to znaczy Neil i ja; matka jest zajęta swoim nowym apartamentem czy jak wy to mówicie: mieszkaniem. Leda i Aubrey pomagają jej wybrać meble. I to mi przypomina... – Wyjął z kieszeni kopertę. – Miałem to zostawić w zamku. To dla tego miłego chłopaka, Stephena; na bilet do Londynu, od Ledy.

– Przekażę mu to – powiedziałam.

Ciekawa byłam, czy to Stephen napisał do niej, że zgadza się przyjechać, czy też ona przysłała pieniądze, by go skusić.

Simon podał mi kopertę.

– Opowiedz mi o nim – poprosił. – Jak to jest, że mówi zupełnie inaczej niż inni chłopcy ze wsi?

Stephen mówi tak jak my – tyle że używa takich grzecznych, pokornych słów. Wyjaśniłam to Simonowi.

– Ciekaw jestem, co pomyśli o Ledzie – powiedział Simon. – Ona

chce, żeby pozował z jakimiś kopiami greckich rzeźb. Wpakuje go w tunikę, a jak nie będzie uważał, to nawet sfotografuje bez tuniki. On rzeczywiście ma wspaniałą głowę, może wyląduje w Hollywood.

Włożyłam kopertę do pamiętnika, żeby jej wiatr nie porwał.

– Co to jest? Lekcje? – zapytał Simon.

– Ależ nie! Dawno skończyłam szkołę.

– Bardzo przepraszam. – Roześmiał się. – Ciągle myślę o tobie jak o tamtej małej dziewczynce w kąpieli. Czy to jest opowiadanie? Przeczytaj mi kawałek.

Powiedziałam mu, że to jest mój pamiętnik i że właśnie skończyłam opisywać przyjęcie w Scoatney.

– Czy o mnie też tam jest? Dam ci pudełko cukierków, jak pozwolisz mi przeczytać jedną stronę.

– Dobrze – zgodziłam się.

Złapał zeszyt. Po sekundzie czy dwóch podniósł wzrok znad kartek.

– Nabrałaś mnie. Czy to jest twój prywatny szyfr?

– Mniej więcej, chociaż zaczęło się to od pewnego rodzaju stenografii. Zmieniało się stopniowo. I stale zmniejszam pismo, żeby nie marnować papieru.

Odwracał strony i zgadywał jakieś słowo tu i ówdzie, ale widziałam, że jestem bezpieczna. Po minucie albo dwóch powiedział:

– Wczoraj znowu czytałem dziennik w *Bojach Jakuba*, zdobyłem pierwsze wydanie. Ze zdziwieniem przypomniałem sobie, jakie było to dla mnie niejasne, kiedy czytałem tę książkę w wieku szesnastu lat. Gdy potem przerabiałem ją w college'u, wydawało się już zupełnie zrozumiałe.

– Jedyne części, która jest wciąż zagadkowa, to ten rozdział z drabiną. Wiesz, tam gdzie tekst jest wydrukowany tak, że faktycznie wygląda jak drabina: jedno zdanie na każdy szczebel. Ojciec nie chce odpowiadać na żadne pytania na ten temat.

– Może nie potrafi. Zawsze uważałem, że to opis jakiegoś mistycznego doznania. Oczywiście znasz teorię, że każdy szczebel

prowadzi do następnego, chociaż zdania wydają się wcale nie łączyć z sobą.

– Nie, nie znam – odparłam. – Och, to niezwykle słyszeć, jak ludzie teoretyzują o pracy ojca i studiują ją w college’ach tysiące mil stąd. Musi być ważniejsza, niż my sobie zdajemy z tego sprawę.

– No, ta książka stała się jedną z tych, które wytyczają kierunek powojennej literatury. A twój ojciec jest ogniwem w łańcuchu pisarzy mających obsesję na temat formy. Gdyby tylko rozwinął dalej swoje metody!

– Ale czyż sam nie mówiłeś, że nie może? Że *Boje Jakuba* to rodzaj książki, która stanowi dla twórcy zamkniętą całość i nie może mieć kontynuacji.

Rzucił mi szybkie spojrzenie.

– Ciekawe, że to pamiętasz! Wiesz, wstyd mi przyznać, ale te słowa nie miały głębszego znaczenia. Chciałem taktownie wybrnąć z sytuacji, kiedy zobaczyłem, że palnąłem gafę.

Powiedziałam mu, że się tego domyśliłam, co go rozbawiło.

– Ty nieznośny dzieciaku, wszystko zauważysz! Ale nie sądzę, żeby twój ojciec to dostrzegł. I pod jednym względem to, co mówiłem, jest prawdą: nie może rozwinąć swojej metody z *Bojów Jakuba*, bo inni pisarze znacznie go wyprzedzili na tej drodze; James Joyce na przykład. Musiałby wykonać ogromny skok ponad tym, co zostało przez ten czas dokonane, a on nawet się w tym nie orientuje. Zastanawiam się, czy nie to właśnie powstrzymuje go od pisania: że następny szczebel drabiny, skoro już mówimy o drabinach, wykorzystali inni twórcy. Jak ci się podoba taka teoria? Albo może tylko próbuję usprawiedliwić gafę, którą popełniłem tamtego wieczoru?

– No, to jest przyjemna odmiana w porównaniu z teorią, że nie może pisać, bo poszedł do więzienia – powiedziałam.

– To wspaniałe, przecież sprawozdania z tej sprawy sądowej czyta się jak coś żywcem wziętego z operetek Gilberta i Sullivana. A matka mówi, że jego opis życia w więzieniu jest nawet jeszcze śmieszniejszy.

– To znaczy, że on jej faktycznie to opowiedział? – Z trudem wydobyłam głos.

Nigdy nie słyszałam, żeby ojciec choć słowem napomknął o swoim życiu w więzieniu.

– Zapytała go wprost; muszę przyznać, że ja bym się nie odważył. Mama mówi, że przez sekundę wyglądał tak, jakby chciał ją uderzyć, a potem pogodnie wystartował do półgodzinnego monologu. Och, jestem pewny, że to nie więzienie jest przyczyną kłopotu.

Powiedziałam, że sama nigdy w to nie wierzyłam.

– Ale to dziwne, że nie napisał zupełnie nic, od kiedy wyszedł.

– Rzeczywiście to dziwne. Pewnie powinien się poddać psychoanalizie.

Przypuszczam, że żadna przeciętnie inteligentna osoba żyjąca w latach trzydziestych nie może nie mieć choćby ogólnego pojęcia o psychoanalizie, ale niewiele jest rzeczy, o których wiem mniej niż o tym. Poprosiłam Simona, żeby mi to wyjaśnił.

– To bardzo trudne zadanie – odrzekł ze śmiechem. – Ja także mam o tym tylko mgliste pojęcie laika. Niech się zastanowię... No więc myślę, że psychoanalityk by powiedział, że przyczyny kłopotu należy szukać o wiele wcześniej niż pobyt w więzieniu, ale więzienie mogło ją wydobyć na powierzchnię. Na pewno zbadałby ten okres dokładnie, sprawiając, że twój ojciec przypominałby sobie wszystkie szczegóły; w pewnym sensie trzeba by go było wsadzić z powrotem do więzienia.

– Ale nie fizycznie?

– Nie, oczywiście, że nie. Chociaż... niech pomyślę... tak, przypuszczam, że można przyjąć, że jeżeli kłopot zaczął się w więzieniu, ponowne zamknięcie mogłoby to wyjaśnić. Tylko to bardzo naciągane i zupełnie niewykonalne, bo gdyby twój ojciec zgodził się na uwięzienie, to w rzeczywistości wcale nie czułby się zamknięty; a żaden psychoanalityk nie odważyłby się zamknąć go bez jego zgody.

– Żaden psychoanalityk nie mógłby się do niego zbliżyć nawet na

mię. Już samo wspomnienie o psychoanalizie go denerwuje. Mówi, że to wszystko bzdury.

– Czasami tak jest – przyznał Simon – ale nie zawsze. Fakt, że jest do tego uprzedzony, może być symptomatyczny. A tak nawiasem mówiąc, jesteś pewna, że nie pracuje nad czymś w tajemnicy?

– Nie wiem, jak by to było możliwe. W wartowni wszystko widać, okna są od frontu i od tyłu, a on rzadko kiedy zbliża się do swego biurka. Siedzi po prostu i czyta stare kryminały. Obudził nasze nadzieje kilka tygodni temu... Topaz widziała, że coś pisze. Ale okazało się, że rozwiązywał krzyżówkę.

– On sam jest jak zagadka kryminalna – powiedział Simon. – „Przypadek zakopanego talentu”. Chciałbym ją rozwikłać. Bardzo chciałbym o nim napisać.

Nie wiedziałam, że Simon pisze. Zapytałam, jakiego rodzaju rzeczy.

– Och, najczęściej eseje krytyczne, w wolnym czasie. Kilka mi opublikowano. Twój ojciec byłby wspaniałym tematem. Gdybym tylko zdołał odkryć, co spowodowało tę blokadę twórczą.

– Byłoby jeszcze lepiej, gdybyś zdołał ją usunąć – powiedziałam.

– Tak, znalezienie przyczyny to pierwszy krok. – Położył się na trawie i zamknął oczy, by pomyśleć.

Skorzystałam z okazji, żeby mu się dobrze przyjrzeć. Ze zdziwieniem zauważyłam, jak młodo wygląda jego skóra – w odróżnieniu od brody. Coraz bardziej mi się podobał w czasie tej naszej rozmowy i planowałam, że powiem Rose miłe rzeczy o nim. Cieszyłam się, że ma ładne uszy, bo ona przywiązuje do tego wagę. Ludzie wyglądają zupełnie inaczej, kiedy mają zamknięte oczy, bo wtedy ich rysy wydają się o wiele bardziej wyraziste. A usta Simona są bardzo wyraziste – interesujące usta.

Słyszałam siebie, jak opowiadam Rose: „Wiesz, myślę, że on może być całkiem ekscytującym mężczyzną”.

Wtedy właśnie otworzył oczy i powiedział:

– Nie podoba ci się, prawda? Czułam, że się rumienię.

– Co się nie podoba? – zapytałam.

– Moja broda – odrzekł. – Zastanawiałaś się, jak w ogóle mężczyzna może nosić brodę... chyba że fascynuje cię jej brzydota. Co mi powiesz?

– Właściwie zaczynam się do niej przyzwyczajać.

Roześmiał się i powiedział, że to szczyt upokorzenia: wszyscy się przyzwyczaili.

– Wszyscy z wyjątkiem mnie samego – dodał. – Ja zawsze patrzę na siebie w lustro ze zdziwieniem.

– Czy byłoby niegrzecznie zapytać, dlaczego ją nosisz?

– To byłoby raczej naturalne. Zapaściłem brodę, kiedy miałem dwadzieścia dwa lata, bo się założyłem, a potem zachowałem ją z czystego uporu... była tak cudownie niestosowna w biurze na Wall Street; pracowałem tam z kuzynem mojej matki, z którym się nie lubiliśmy. I jak sądzę, czułem, że broda łączy mnie z literaturą. Ale też pewnie ma jakieś głębsze psychologiczne znaczenie. Chyba próbuję ukryć przed światem swoją niechlubną naturę.

– No, jest to prawie najładniejsza broda, jaką kiedykolwiek widziałam... Myślisz, że kiedyś jej się pozbędziesz?

Z jakiegoś powodu rozśmieszyło go to.

– Och, może za dziesięć albo dwanaście lat – rzucił – na przykład kiedy skończę czterdziestkę. To może nawet być korzystne, pojawić się pewnego ranka bez brody, wyglądając o dwadzieścia lat młodziej. Czy twoja siostra bardzo jej nie cierpi?

Ciekawa byłam, czy gdybym potwierdziła, zgoliłby brodę, żeby zrobić przyjemność Rose. I nagle straciłam pewność, czy chcę, by broda znikła.

– Musisz sam ją zapytać – odrzekłam ze śmiechem.

Spojrzał na zegarek i powiedział, że chyba nie może już dłużej na nią czekać.

– Neil ma po mnie przyjechać do zajazdu w Godsend kwadrans po dwunastej. Bądź miłym, przyjaznym dzieciakiem i odprowadź mnie do wsi. – Wstał i wyciągnął rękę, by pomóc mi się podnieść. Potem popatrzył w górę na wieżę Belmonte. – Chciałem cię poprosić, byś mnie oprowadziła i pokazała mi to wszystko, ale teraz już nie mam

czasu. Z bliska robi jeszcze większe wrażenie.

– Czy już się przyzwyczyłeś, że to należy do ciebie? – zapytałam.

– Przecież nie należy. Przynajmniej przez najbliższe trzydzieści lat. W każdym razie ciągle muszę sobie powtarzać, że Scoatney jest moje.

Kiedy schodziliśmy ze wzgórza, opowiedziałam mu, jak sobie wyobrażałam jego pierwsze spotkanie ze Scoatney w tamten marcowy wieczór.

– Jest duże, ale mnie się wydaje mniejsze – powiedział.

– To znaczy, że już je wcześniej widziałeś?

– O tak, jak miałem siedem lat. Ojciec przywiózł mnie tutaj, kiedy przyjechał pogodzić się z moim dziadkiem. Niestety, pokłócili się znowu, gdy ojciec został obywatelem amerykańskim.

– Czy wiedziałeś wtedy, że Scoatney będzie twoje?

– Absolutnie nie. Było jeszcze sześć osób przede mną. Ale od dziecka kochałem to miejsce. Pamiętam, jak stałem kiedyś na szczycie schodów i patrzyłem w dół, na mojego dziadka, ojca, wujków i kuzyna w moim wieku, którzy pili herbatę w holu, i myślałem: „Gdyby oni wszyscy nie żyli, Scoatney należałoby do mnie”. A potem z wrzaskiem pobiegłem do pokoju dziecięcego, przerażony, że jestem taki niegodziwy. Czasami myślę, że to było tak, jakbym im wszystkim wtedy źle życzył.

– To musiałyby być ogromnie złe życzenia jak na siedmioletnie dziecko – powiedziałam.

Próbowałam wyobrazić go sobie, bardzo małego, z ciemnymi włosami, tam na schodach Scoatney, gdzie sama siedziałam, patrząc na tańczących.

– Mój dziadek nazywał mnie „mały jankes”, co mnie wściekało. Ale uważałem, że jest wspaniały. Żałuję, że nie zdążyłem go jeszcze zobaczyć, zanim zmarł. Może nie powinienem był czekać na jego zgodę, lecz nie chciałem się narzucać.

Potem wyjaśnił mi, że sytuacja była wyjątkowo trudna, ponieważ nigdy nie był pewny, czy stary pan Cotton zostawi mu dosyć pieniędzy na utrzymanie Scoatney. Posiadłość podlega

dziedziczeniu jako ordynacja, ale nie łączyło się to z pieniędzmi, a nie mając ich, Simon musiałby wynająć Scoatney i zostać w Ameryce.

– Pewnie było ci bardzo ciężko – zauważyłam – gdy nie wiedziałeś, czy mieszkać tam, czy zdecydować się na Anglię.

– Zgadza się, miałem zamęt w głowie; czasem myślę, że to się nigdy nie rozplące. Och, pewnie w końcu zapuszczę tu korzenie. Ale żałuję, że nie wiedziałem o tym, kiedy tam stałem na schodach.

Doszliśmy do przełazu prowadzącego do wąskiej drogi. Na chwilę usiadł na barierce, patrząc na stodołę.

– Jest wspaniała. Cudowne stare drewniane bale. Czy nie powinienem naprawić dachu? Chciałbym być dobrym właścicielem.

Wyjaśniłam mu, że to jest nasze zadanie, bo wynajęliśmy zamek z obowiązkiem wykonywania napraw. Potem nasze oczy się spotkały i wybuchnęliśmy śmiechem.

– Nie będziesz liczył na to, że zrobimy to w tym roku? – dodałam. Pomógł mi przejść górą przez barierkę, wciąż się śmiejąc. Potem się odezwał:

– Posłuchaj, Cassandro, jest coś, co twój ojciec powinien wiedzieć, ale nie chcę mu tego mówić osobiście. Czy możesz dać mu do zrozumienia, że czynsz jest mi zupełnie obojętny i zawsze będzie, nawet jeżeli on nie zapłaci ani centa do końca dzierżawy? Chciałbym, żeby wiedział, że jestem zaszczycony tym, że jest moim dzierżawcą.

– Nazwałabym go raczej gościem niż dzierżawcą – sprostowałam i znowu się roześmialiśmy, po czym mu podziękowałam i obiecałam, że powtórzę ojcu.

– Zrób to taktownie, dobrze? Tak żeby moje słowa nie zabrzmiały łaskawie czy protekcyjnie.

– Ale ja uważam, że jesteś łaskawy, tym dobrym rodzajem łaskawości. I wiesz, istnieje też dobry rodzaj mecenatu. Może ojciec zadedykuje ci swoją następną książkę, jako temu „jedynemu, dzięki któremu powstała”.

– Jaki z ciebie miły dzieciak – rzucił cicho.

– Nie za bardzo rozmyślnie naiwny?

Przysięgam, że powiedziałam to bezwiednie, po prostu wymknęło mi się. To przyglądanie się stodole doprowadziło do tego – kiedy rozmawialiśmy, wspominałam tamten dzień i rozkoszowałam się tym, jak sprawy się zmieniły.

Gwałtownie odwrócił głowę w moją stronę.

– O co ci chodzi?

– O nic szczególnego – odrzekłam nieprzekonująco. – Niektórzy ludzie tak o mnie myślą.

Mijaliśmy stodołę. W tej chwili Heloiza wystawiła głowę z miejsca, gdzie siedziałam tamtego dnia, i okropnie się rozszczękała; zwykle drzemie na sieczce, z jednym uchem nadstawionym na szczury.

– Byłaś tam na górze? – spytał Simon.

Kiwnęłam głową. Oboje byliśmy bardzo czerwoni.

– Co słyszałaś?

– Tylko to, o mnie.

Heloiza wypadła ze stodoły, ciągle szczekając, i miałam nadzieję, że to zakończy sprawę; mogłam się pochylić, żeby ją pogłaskać, co było dobrym sposobem, by uniknąć jego spojrzenia.

– Ogromnie mi wstyd – powiedział. – Przepraszam najszczerzej.

– Drobiazg. Dobrze mi to zrobiło.

– Nie tylko to słyszałaś, prawda? Czy słyszałaś... Nie dałam mu skończyć.

– Chodźmy już, bo się spóźnimy i Neil będzie musiał czekać – rzuciłam szybko. – Pozwól mi tylko zostawić tu pamiętnik.

Pobiegłam i schowałam pamiętnik w stodołę, zabawiając tam dobrą chwilę, a kiedy potem dołączyłam ponownie do Simona, bardzo zdecydowanie zaczęłam mówić o pogodzie.

– To jest najładniejszy pierwszy maja, jaki sobie przypominam – zauważyłam, po czym zajęłam się wołaniem Heloizy, która gdzieś odbiegła. Wystawiła łeb ze zwiewnej trybuli leśnej, wyglądając jak panna młoda. – Cała okolica przyodziła się w białe koronki – dodałam, kiedy szliśmy wąską dróżką.

Tak długo nic nie mówił, że myślałam, że mnie nie słyszał. Potem nagle się odezwał:

– Co? Och, tak, przepraszam. Próbowałem sobie przypomnieć, co mogłaś usłyszeć z tego, co mówiłem o Rose.

Usiłowałam znaleźć jakiś przekonujący sposób, by go uspokoić.

– Cokolwiek to było, ona o tym nie wie – zapewniłam go w końcu. Jestem uczciwym kłamcą, kiedy mam czas się zastanowić. Uwierzył mi od razu.

– Cudowny dzieciak z ciebie, że jej nie powiedziałaś.

Już słyszałam siebie, jak tłumaczę się Panu Bogu, jak to zwykle robię przy nieszkodliwych, poczciwych i użytecznych kłamstwach. Simon zaczął mi wyjaśniać, dlaczego „zupełnie źle odebrał Rose”.

– To dlatego, że jest taka oryginalna – powiedział.

– Oryginalna? Rose?

– Ależ oczywiście, nawet sposób, w jaki się ubiera. Ta różowa suknia z falbanami. I żeby pożyczyć prawdziwą krynolinę...

– To była... – Chciałam powiedzieć, że to była Topaz, że to ona wymyśliła wszystko, ale zatrzymałam się w pół zdania. – To była ładna suknia, prawda? – dokończyłam.

– Wszystko w Rose jest ładne.

I mówił o niej przez dobre ćwierć mili: jak bardzo się różni od przeciętnej nowoczesnej dziewczyny i że z tego powodu jej nie zrozumiał. Myślał, że jest afektowana, gdy tymczasem ona jest jedyna w swoim rodzaju. Wszystko, co robi Rose, jest oryginalne, nawet sposób, w jaki tańczy, wymyślając własne małe kroki. I jest taka inteligentna – uprzejmie dodał, że ja też jestem, ale ona jest dowcipna (fakt jeszcze rodzinie nieznan). Jeżeli chodzi o urodę, to Rose mogłaby być ozdobą każdej epoki.

Mogłam się całym sercem zgodzić z opinią o jej urodzie. Powiedziałam mu, że potrafię ją sobie wyobrazić przybywającą do Bath¹¹ z pełną pompą i Beau Nasha¹² witającego ją, jako panującą piękność; wyraźnie zrobiło to na nim duże wrażenie.

Temat Rose wystarczył nam aż do modrzewiowego lasku, gdzie Simon zatrzymał się i zaczął podziwiać zieleń drzew.

– Niedługo będą tu dzwonki, już teraz zaczynają pokazywać się pędy – oznajmiłam.

Stał, przyglądając się zagajnikowi, po czym rzekł w zamyśleniu:

– Co takiego jest w krajobrazie wsi angielskiej? Dlaczego jego piękno to nie tylko ładny widok? Dlaczego tak wzrusza człowieka?

Brzmiało to trochę smutno. Być może uważa, że piękno jest zasmucające. Ja sama też to czasami czuję. Kiedy byłam jeszcze całkiem mała, zapytałam raz ojca, dlaczego tak jest, i wyjaśnił mi, że powodem jest nasza wiedza o nietrwałości piękna, co przypomina nam, że sami też umrzemy. Potem powiedział, że prawdopodobnie jestem zbyt mała, by go zrozumieć, ale ja rozumiałam doskonale.

Poszliśmy dalej i zapytałam Simona o amerykańską wieś, a on opisał kilka starych wsi w Nowej Anglii. Wydawały się miłe: bardzo uporządkowane i białe, o wiele większe niż nasze wioski, o szerokich ulicach obsadzonych cienistymi drzewami. Opowiedział mi też o małych nadmorskich miejscowościach w stanie Maine, gdzie spędzał wakacje. Mówi *vacations*, gdzie my byśmy powiedzieli *holidays*. No i chociaż nadal uważam, że jego wymowa jest nadzwyczaj angielska, to teraz widzę, że w prawie każdym zdaniu wtrąca jakieś słowo, którego Anglicy nie używają. Och, jest mnóstwo takich słów. I Simon jest o wiele bardziej amerykański przy mnie niż przy ojcu, i o wiele młodszy; przy ojcu dobiera słowa z taką dbałością, że mówi pedantycznie i jak osoba w średnim wieku, a przy mnie jest prawie chłopięcy.

– O, głóg już kwitnie – zauważyłam, kiedy doszliśmy do skrzyżowania.

Pączki w żywopłocie siedziały ciasno skulone, ale na drzewie koło drogowskazu było już mnóstwo rozwiniętych. Przywiązuję ogromną wagę do głogu. Kiedyś spędziłam wiele godzin, próbując opisać jego pojedynczy kwiat, ale zdołałam wymyślić tylko „szczerooki kwiateczek z wąsikiem jak koteczek”, zupełnie nie do wymówienia.

– „Wierzba i głóg czynią wiejskie rezydencje pięknymi”¹³ – zacytował Simon. – Myślę, że to właśnie ten wiersz sprawia, że wydaje mi się, iż ludzie w epoce elżbietańskiej żyli w wiecznej

wiośnie.

Potem razem przypominaliśmy sobie resztę wiersza i jak doszliśmy do:

Młodzi kochankowie spotykają się, stare kobiety siedzą w słońcu,
Na każdej ulicy te dźwięki cieszą nasze uszy –

Ku-ku, czk-czk, pi-wi, ti-lit-tu!

– to się okazało, że już jesteśmy we wsi.

– Czy słyszysz jakieś ptasie dźwięki zgodne z tym opisem? – zapytałam.

– Posłuchajmy – zaproponował Simon. Zaczęliśmy się wsłuchiwać. Usłyszeliśmy:

stukot młotka,

kurę zgłaszającą, że zniosła jajko,

wiejskie radio informujące, że mówi BBC,

pompę pobrękującą na błoniach w środku wsi.

Były to raczej brzydkie hałasy, ale zegar na kościele, wybijając kwadrans, jakoś połączył je razem w jeden przyjemny wiejski dźwięk, unoszący się w lekkim wiosennym powietrzu. Potem Heloiza zburzyła wszystko, trzepiąc uszami po wytarzeniu się na błoniach.

– A ile zapachów czujesz? – zapytałam Simona.

Policzyliśmy.

Dym z drewna.

Zapach gospodarstwa wiejskiego docierający w podmuchach powietrza (podzieliliśmy to na:

słomę, siano, konie, czyste krowy – ładne;

obornik, świnie, kury, stara kapusta: nieładne – ale nie za bardzo okropne, jeżeli w małych dawkach).

Wspaniały placek albo zapiekanka, właśnie gdzieś przygotowywane.

Ładny, świeży zapach, który nie pochodzi od kwiatów czy trawy, czy czegoś innego, tylko jest po prostu czystym wiejskim powietrzem – nie zauważa się go, dopóki człowiek sobie nie

przypomni.

– Ciekaw jestem, o ile więcej zapachów czuje Heloiza – powiedział Simon.

– Zobaczmy, ile zapachów mógł czuć pies Chestertona Quoodle. Wodę i kamień, i rosę, i grzmot błyskawicy...

– I niedzielny poranek. Chesterton miał sporo racji, gdy mówił że niedziela ma własny zapach – rzekł Simon.

Och, jak przyjemnie przebywać z kimś, kto zna te same wiersze! Naprawdę mam nadzieję, że Simon zostanie moim szwagrem.

Przeszliśmy przez błonia i skręciliśmy w krótką dróżkę, która prowadzi do najładniejszej części Godsend. Normañski (a po części może i saksoński) kościół stoi po jednej stronie dróżki, pomiędzy plebanią w stylu królowej Anny a osiemnastowiecznym małym budynkiem szkoły panny Marcy; gospoda Pod Kluczami jest naprzeciwko, ale ponieważ dróżka tam właśnie zakręca, one wszystkie wydają się tworzyć jedną grupę. Topaz mówi, że to bardzo piękna „kompozycja”. Gospoda jest pomalowana na kremowo i ma bardzo nieregularne szczyty. Obok rośnie ogromny kasztan; na razie kwitnie, ale ma liście w najlepszej formie, wszystkie nowe, jasnozielone, a niektóre lepkie pączki są jeszcze zamknięte. Przed gospodą stoi ława i długi stół, częściowo osłonięte kasztanem; i tam siedzieli Rose i Neil z piwem imbirowym w kamionkach.

Okazało się, że ona przyszła przez pola z Four Stones, żeby kupić kostkę pachnącego mydła toaletowego w sklepie, gdzie również mieści się poczta (Topaz daje nam po jednym szylingu kieszonkowego, dopóki wystarczy dwudziestu funtów od pastora), i spotkała tam Neila kupującego papierosy.

– Kiedy powiedziałem, że niedługo tu przyjdiesz, bardzo uprzejmie zaczęła ze mną – zwrócił się Neil do Simona.

Może mi się wydawało, ale wyczułam w jego głosie lekką kpinę.

Usiedliśmy, Simon koło Rose. Neil spytał mnie, czego się napiję. Miałam zamiar poprosić o lemoniadę, ale nagle przyszedł mi do głowy szalony pomysł.

– Czy mogłabym prosić o wiśniówkę? Zawsze chciałam jej spróbować.

– Nie możesz pić likieru przed lunchem – powiedziała Rose w bardzo dorosły sposób.

– Oczywiście, że może, jeśli chce – rzekł Neil, idąc do baru. Rose wzruszyła ramionami, dość teatralnie, i odwróciła się, by rozmawiać z Simonem. Wydawał się naprawdę uradowany, że ją widzi. Po kilku minutach zaproponował, żebyśmy wszyscy zjedli lunch na miejscu, i zawołał do Neila, żeby zamówił.

W zasadzie pani Jakes podaje tylko chleb z serem, ale znalazły się także kiełbaski na zimno, trochę miodu i ciasta. Neil zjadł swoją kiełbaskę z miodem, co mnie po prostu zafascynowało – ale wtedy już prawie wszystko mnie fascynowało. Wiśniówka jest cudowna.

Jednak nie sądzę, że to uczucie zadowolenia było spowodowane wyłącznie wiśniówką – kieliszki są malutkie. (Pragnienie gasiłam lemoniadą). Wszystko razem było takie przyjemne: jedzenie na dworze, słońce, niebo między liśćmi kasztana, Neil miły wobec mnie i Simon bardziej niż miły dla Rose; ale naturalnie wiśniówka też miała w tym swój udział.

Kiedy Neil poszedł po drugi kieliszek dla mnie, uważnie przyjrzałam się Rose. Miała na sobie swoją najstarszą sukienkę ze spranej niebieskiej bawełny, idealnie jednak stosowną na takie siedzenie przed gospodą. Jedna z gałęzi kasztana zwisała nisko, tuż za jej głową, i akurat gdy jej się przyglądałam, kosmyk jej jasnych włosów zaczepił o liść.

– Czy ta gałąź ci przeszkadza? – zapytał Simon. – Chciałabyś zmienić miejsce? Mam nadzieję, że nie, bo twoje włosy tak ładnie wyglądają na tle tych liści.

Byłam zadowolona, że zauważyła takie rzeczy. Rose odparła, że gałąź wcale jej nie przeszkadza.

Kiedy Neil przyniósł mi drugi kieliszek wiśniówki, powiedziała:

– No, teraz, jak skończyliśmy lunch, ja też się napiję wiśniówki... – Wiedziałam, że mi zazdrości mojej. Potem zawołała za nim: – Nie, nie wiśniówki. Poproszę o *cre`me de menthe*.

Byłam zdziwiona, bo obie spróbowałyśmy tego likieru miętowego kiedyś u cioci Millicent i strasznie nam nie smakował; ale natychmiast zorientowałam się, o co jej chodziło. Kiedy dostała swój kieliszek, cały czas trzymała go tak wysoko, że jego zieleń pięknie wyglądała na tle jej włosów, chociaż kłóciła się okropnie z liśćmi kasztana. Jeszcze nie widziałam jej tak afektowanej, ale Simon wydawał się zachwycony. Neil nie; puścił do mnie oko i powiedział:

– Za chwilę twoja siostra włoży tego drinka na głowę, jak kapelusz.

Neil jest zabawny, chociaż to raczej kwestia jego lakonicznego sposobu mówienia niż tego, co w istocie mówi; czasami brzmi to prawie ponuro, a jednak wiadomo, że on wtedy żartuje. Sądzę, że to się nazywa dowcipem. Rose miała rację, twierdząc, że Neil uważa Anglię za przedmiot kpin, komiczną zabawkę, ale nie sądzą, że nią pogardza, jak odbiera to Rose; on tylko nie traktuje Anglii poważnie. Jestem raczej zdziwiona, że Rose żywi o to taką wielką urazę, bo Anglia nie jest dla niej jedną z ważnych spraw, tak jak dla mnie – no, nie flagi, Kipling i ostatnie bastiony Imperium, lecz wiejski krajobraz i Londyn, i takie rezydencje jak Scoatney. Zajadanie chleba z serem w gospodzie jest wybitnie angielskie, chociaż likiery sprawiły, że stało się trochę bardziej niezwykłe. Pani Jakes trzyma te dwie butelki, odkąd pamiętam, obie pełniuteńkie.

Siedzieliśmy, rozmawiając, aż zegar na kościele wybił drugą i wtedy zdarzyła się najmiłsza rzecz na świecie: panna Marcy zaczęła lekcję śpiewu. Okna w szkole były otwarte i dotarły do nas dziecięce głosiki, bardzo jasne i wysokie. Śpiewano kanony w formie ronda; najpierw *Moja dama ma kulawego oswojonego żurawia*, potem *Teraz, Robinie, pożycz mi swój łuk* i *Lato przyszło* – moją najbardziej ulubioną melodię. Kiedy się jej uczyłam w szkole, była częścią lekcji o Chaucerze i Langlandzie, i to był jeden z tych rzadkich momentów, w których miałam wrażenie, że zanurzam się w przeszłość. Słuchałam, jak śpiewają uczniowie panny Marcy, czułam, że udaje mi się uchwycić wszystko razem: średniowieczną

Anglię, siebie w wieku dziesięciu lat, minione letnie miesiące i to, że nowe lato naprawdę nadchodzi. Nie pamiętam, żebym była kiedykolwiek szczęśliwsza niż w tamtej chwili, i gdy to sobie uświadomiłam, Simon się odezwał:

– Czy coś tak pięknego zdarzyło się już kiedyś?

– Zanieśmy dzieciom trochę lemoniady – zaproponował Neil. Kupiliśmy więc dwa tuziny butelek i zanieśliśmy je na drugą stronę placu. Panna Marcy prawie zemdląła z zachwytu i przedstawiła dzieciom Simona jako „wielmożnego pana z Godsend i Scoatney”.

– No dalej, wygłoś przemówienie, oczekują tego – szepnęłam. Potraktował to poważnie i spojrzał na mnie z udręką. Potem powiedział im, jak bardzo mu się podobał ich śpiew, i wyraził nadzieję, że wszyscy przyjadą pewnego dnia do Scoatney, by zaśpiewać dla jego matki. Cała klasa odniosła się do tego z aplauzem, tylko jedna bardzo mała dziewczynka rozplakała się i schowała pod ławkę. Myślę, że bała się jego brody.

Potem wyszliśmy i Cottonowie zaproponowali, że odwiozą nas do domu. Neil poszedł uregulować rachunek u pani Jakes, a ja wyciągnęłam z kuchni Heloizę, która obzarała się kielbasą. Kiedy wróciłam, Simon opierał się o kasztan i uważnie przypatrywał się szkole.

– Spójrz na to okno – powiedział.

Spojrzałam. Jest to dosyć wysokie okno z łukowatym zwieńczeniem. Wewnątrz na parapecie stał wybudujący późny hiacynt z białymi korzeniami rosnącymi w wodzie, słoik z kijankami i jeż.

– To byłoby dobre do namalowania – zauważyłam.

– Właśnie o tym myślałem. Gdybym był malarzem, chyba zawsze malowałbym okna.

Popatrzyłam na gospodę.

– Masz tam jeszcze jedno – powiedziałam.

Blisko huśtającego się szyldu ze skrzyżowanymi złotymi kluczami, w otwartym oknie z małymi szybkami było widać ciemnoczerwone zasłony i mały dzbanek z miednicą w roślinne wzory, a głębiej mosiężną gałkę i czarne pręty żelaznego łóżka. Było to cudowne,

wprost wymarzone do malowania.

– Wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć... – Patrzył z uwagą dookoła, jakby próbując wszystko zapamiętać.

Gospodyni pastora spuściła rolety z powodu słońca i plebania wyglądała, jakby miała zamknięte oczy. (Pani Jakes powiedziała nam, że pastora nie ma, bo inaczej złożylibyśmy mu wizytę). Uczniowie panny Marcy zachowywali się bardzo cicho – myślę, że wszyscy żłopali lemoniadę. Trwała chwila wielkiego spokoju i ciszy. Potem zegar wybił pół godziny, a biały gołąb z głośnym trzepotem skrzydeł wylądował na dachu gospody tuż nad otwartym oknem. Neil zapuścił silnik auta.

– Nie uważasz, że to jest piękne? – zapytał go Simon.

– Tak, śliczne jak obrazek – potwierdził Neil. – Taki jak w układankach.

– Jesteś straszny. – Roześmiałam się.

Oczywiście rozumiałam, co miał na myśli; ale żadne śliczniutkie obrazki nigdy nie zniszczą piękna takich wiosek jak Godsend.

Rose siedła z tyłu z Simonem. Heloiza i ja – z przodu. Przez jakiś czas Neil prowadził auto, obejmując Heloizę ramieniem. „O rety, ile ona ma seksapilu” – zauważył. Potem jej powiedział, że jest miłym psiskiem, ale prosi, żeby mu nie myła uszu. Wcale to jednak nie pomogło; Heloiza, widząc ludzkie ucho na poziomie swego pyska, nie może się powstrzymać, by mu nie matkować.

Kiedy dojechaliśmy do zamku, uznałam, że grzecznie będzie ich zaprosić, by weszli, ale Neil umówił Simona na spotkanie z zarządcą Scoatney. Simonowi oczywiście bardzo zależy na tym, żeby dowiedzieć się wszystkiego o posiadłości, nie przypuszczam jednak, żeby był urodzonym farmerem. Neil jest – tyle że to na nic, skoro nie ma zamiaru zostać w Anglii.

– Czy Simon wspominał coś, kiedy znów nas odwiedzą? – spytałam Rose, patrząc za odjeżdżającym autem.

– Nie martw się, przyjdą. – Mówiła pogardliwym tonem, co mi się nie podobało, bo przecież Cottonowie byli dla nas tacy mili.

– Jesteś bardzo pewna siebie, prawda? – zauważyłam. Potem coś

mi przyszło do głowy. – Och, Rose, chyba nie masz im ciągle jeszcze za złe tego, co mówili o tobie, gdy ich podsłuchałam?

– Mam pretensje do Neila. Jest moim wrogiem. – Dramatycznie odrzuciła głowę do tyłu.

Powiedziałam jej, żeby nie była idiotką.

– Jest do mnie wrogo nastawiony. Dziś właściwie jasno to wyraził, zanim przyszłaś. Oznajmił, że wciąż ma nadzieję, że Simon wróci z nim do Ameryki.

– No, to go nie czyni twoim wrogiem – powiedziałam.

Ale muszę przyznać, że jego zachowanie wobec Rose jest trochę nieprzyjazne. Naturalnie, posiadanie Scoatney to jest to, co naprawdę mogłoby zatrzymać Simona w Anglii, ale przypuszczam, że ślub z Angielką też mógłby go do tego skłonić.

– Owszem, czyni go moim wrogiem, a zresztą i tak go nienawidzę. I nie będzie, powtarzam, nie będzie się wtrącać. – Poczerwieniła i miała taką desperację w oczach, że zrobiło mi się za nią wstyd.

– Och, Rose, nie licz na nic za bardzo – odezwałam się błagalnie. – Simon może wcale nie myśleć o oświadczeniach. Amerykanie są przyzwyczajeni, że można się tylko przyjaźnić z dziewczętami. I prawdopodobnie uważają, że jesteśmy zabawne. Tak jak Neil myśli, że angielska wieś jest zabawna.

– Do cholery z Neilem! – zawołała z furją.

Wolę ją widzieć w furii aniżeli zdesperowaną; przypomniało mi to dzień, kiedy wściekła się na byka, który nas gonił (okazało się, że była to krowa jakiegoś dziwnego kształtu). To wspomnienie sprawiło, że poczułam, jak bardzo ją lubię, więc przekazałam jej wszystkie miłe rzeczy, które Simon mówił o niej podczas naszego spaceru do Godsend. Wymogłam też na niej przyrzeczenie, że nigdy mu nie powie, że mu skłamałam. Nawet jak za niego wyjdzie. Bardzo bym nie chciała, żeby się o tym dowiedział, chociaż zrobiłam to z dobrego serca. Och, coraz wyraźniej widzę, że nie powinnam była nigdy pozwolić, by wyciągnęła ze mnie tę rozmowę, którą usłyszałam! Nie tylko dało to początek jej nienawiści do Neila, lecz także sprawiło, że żywi zupełnie niepohamowaną ambicję

wobec Simona – wyjdzie za niego, choćby miała pęknąć.

Topaz znalazłyśmy śpiącą na ławeczce w wykuszowym oknie salonu: wyglądała, jakby płakała, ale obudziła się całkiem pogodna i powiedziała, że nasz obiad jest w piekarniku, przykryty talerzami (zjadłyśmy go na kolację). Kiedy skończyłyśmy jej opowiadać o Cottonach, zapytała:

– Jak, do licha, mamy zrewanżować się za ich gościnność? Zastanawiam się nad tym od czasu wizyty w Scoatney. Duża kolacja jest wykluczona, nie mamy mebli w pokoju jadalnym. Może uda się zrobić piknik z lunchem?

– Nie, nie uda się – odparła Rose. – Tylko byśmy wszystko spaprały. Zostawcie ich w spokoju, niech to oni się o nas starają.

I poszła na górę.

– Nie gań jej zbyt – odezwała się Topaz. – Dziewczyny często tak się zachowują, kiedy po raz pierwszy czują swoją władzę. – Potem zaczęła ziewać, więc pozwoliłam jej dokończyć drzemkę.

Wzięłam pamiętnik ze stodoły i przypomniałam sobie o liście Ledy Fox-Cotton do Stephena. Powiedziałam sobie, że to śmieszne odczuwać niechęć i że nawet mu nie wspomnę o tym liście, tylko zostawię go gdzieś, gdzie na pewno go zobaczy, jak wróci z pracy. Pomyślałam, że może nie chcieć, by inni widzieli ten list – czułam, że Rose może odnieść się do tego z pogardą – więc zniosłam go do jego pokoju. Nie pamiętałam, że bym tam była od czasu, jak oglądaliśmy zamek po raz pierwszy, kiedy to był kawałek kuchni z miejscem dla kur; ojciec wykroił z tego dwa małe pokoiki dla Stephena i jego matki – w jej pokoju jest teraz składzik.

Kiedy otworzyłam drzwi do pokoju Stephena, zaszokowało mnie, jak tam jest ciemno i wilgotno: wąskie okno prawie zarosło bluszczem, wapno na ścianach zszarzało i łuszczyło się płatami. Stało tam wąskie, zapadnięte łóżko, bardzo porządnie zaścielone, i komoda, niegdyś biała, ze śrubkami wystającymi tam, gdzie odpadły uchwyty, a w ścianę były wbite trzy haki na ubrania. Na komodzie leżał jego grzebień dokładnie pomiędzy fotografią jego matki, z nim na rękę, a moją; obydwie zdjęcia w o wiele za dużych

aluminiowych ramkach. Koło łóżka stała stara drewniana skrzynka, a na niej leżał egzemplarz *Bojów Jakuba*, który ojciec dał mu parę lat temu, obok tomu poezji Swinburne'a. (O Boże, Stephen bierze się do Swinburne'a?). To było wszystko. Żadnego dywanu, żadnego krzesła. Pokój pachniał wilgocią i ziemią. Nie był podobny do niczego w zamku, jakim go teraz znamy, ale wciąż kojarzył się z tą kuchnią, którą widzieliśmy, będąc tu po raz pierwszy. Zastanawiałam się, czy Stephena straszą duchy dawno nieżyjących kur.

Długo patrzyłam na fotografię pani Colly, wspominając, jaka dobra była dla nas przez te lata po śmierci mamy. I przypomniałam sobie, jak odwiedzałam ją w szpitalu w Cottage, a potem pomagałam ojcu, kiedy przekazywał Stephenowi, że ona nie wyzdrowieje. Powiedział tylko: „To źle. Dziękuję panu. Czy to wszystko w tej chwili?” – i poszedł do swojego pokoju. Po jej śmierci czułam, że musi być bardzo samotny, i wprowadziłam zwyczaj czytania mu w kuchni co wieczór; chyba się sobie podobałam, kiedy tak czytałam na głos. To wtedy polubił poezję. Ojciec ożenił się z Topaz w następnym roku i w tym całym zamieszaniu moje wieczory ze Stephenem się skończyły. Zupełnie o nich zapomniałam aż do chwili, kiedy stałam tam, patrząc na fotografię jego matki. Zdawało mi się, że spogląda na mnie z wyrzutem, bo nie byłam dobra dla jej syna, a ja się zastanawiałam, czy mogłabym coś zrobić, żeby jego pokój wyglądał trochę lepiej. Mogłabym uszyć mu zasłony, gdyby Topaz znalazła kiedyś wolne pieniądze na materiał; ale okno z wijącym się bluszczem jest najładniejszą rzeczą w tym pokoju, więc byłoby szkoda je zakryć. I zawsze podświadomie czuję, że to nie wychodzi Stephenowi na dobre, kiedy jestem dla niego miła; najlepiej, kiedy jestem chłodna i rzeczowa. Spojrzałam w oczy pani Colly i przekazałam jej wiadomość: „Staram się, jak mogę. Naprawdę”.

Potem pomyślałam, że lepiej będzie dla Stephena, jeśli się nie dowie, że byłam w jego pokoju. Właściwie nie wiem dlaczego – poza tym, że sypialnia to jednak coś bardzo osobistego i mogłoby mu się nie podobać, że zobaczyłam, jak biedny i mały jest ten

pokoik. Ostatni raz popatrzyłam dookoła. Popołudniowe słońce prześwitywało przez bluszcz i wszystko było skąpane w zielonym świetle. Ubrania wiszące na ścianie wyglądały na zmęczone, prawie martwe.

Gdybym zostawiła list, odgadłby, że go tam położyłam; tak więc w końcu dałam mu go, zaraz jak wrócił z pracy. Obojętnym głosem wyjaśniłam, skąd się wziął, po czym pobiegłam na górę. Nic nie powiedział, tylko mi podziękował. Ciągle nie wiem, jakie ma plany co do Londynu.

Wieczorem, kiedy ślęczałam w salonie nad swoim pamiętnikiem, wszedł ojciec. Byłam tak zajęta, że nie słyszałam, jak wrócił do domu.

– Dobry wieczór, czy twoje sprawy dobrze poszły? – zapytałam grzecznie.

– Sprawy? Jakie sprawy? Byłem w British Museum. – Potem nagle rzucił się na mój pamiętnik. Wyrwałam mu go, patrząc w zdumieniu. – Ależ nie, nie chcę wściubiać nosa w twoje sekrety – powiedział. – Chcę tylko popatrzeć na twoją stenografię. Napisz mi, co chcesz, na przykład: „Boże, chroń króla”.

Pomyślałam, że może równie dobrze zobaczyć mój pamiętnik – wybrałam nie całkiem prywatną stronę, w razie gdyby potrafił lepiej zgadywać niż Simon. Popatrzył uważnie, potem przysunął świecę bliżej i poprosił mnie, żebym wskazała znaki słów.

– Nie ma żadnych – wyjaśniłam mu. – To w większości tylko skróty.

– To na nic, zupełnie do niczego. – Niecierpliwie odsunął zeszyt, po czym pomaszerował do wartowni.

Poszłam do kuchni i zobaczyłam, że Topaz robi dla niego kanapki z szynką; powiedziała, że ani słowem nie wspomniał jej o tym, co robił cały dzień.

– No, ale przynajmniej nie był u pani Cotton – pocieszyłam ją – bo spędził dzień w British Museum.

– Jakby to miało jakieś znaczenie – rzuciła Topaz ponuro. – Ludzie nie robią nic innego, tylko się tam umawiają. Sama raz się tam z nim

spotkałam, w sali z mumiami.

Poszła do wartowni z kanapkami dla niego: poprosił, by mu je tam przyniosła. Po powrocie oznajmiła:

– Cassandro, on traci zmysły. Ma arkusz papieru milimetrowego przypięty do biurka i kazał mi poprosić Thomasa, by mu pożyczył cyrkle. Kiedy mu wyjaśniłam, że Thomas śpi, powiedział: „To daj mi kozę. Och, idź do łóżka, idź spać”. Na litość boską, czy on naprawdę chciał kozę?

– Jasne, że nie – odparłam ze śmiechem. – To tylko taka idiotyczna kombinacja słów, no, wiesz, „Kozą i Cyrkiel”; czasem gospody tak się nazywają. Słyszałam już, jak robi takie żarty, i zawsze sądziłam, że to bardzo niepoważne.

Topaz wyglądała na lekko rozczarowaną. Myślę, że jej nawet by się podobało holowanie kozy gdzieś po nocy.

Parę minut później ojciec wpadł do kuchni, demolując wszystko po drodze, i oświadczył, że musi mieć ten cyrkiel, choćby nawet trzeba było obudzić Thomasa; ale ja zakradłam się do jego pokoju i udało mi się zwędzić cyrkiel z jego szkolnej torby, nie budząc go. Ojciec zabrał cyrkiel i wyszedł. Była trzecia w nocy, kiedy wreszcie wrócił z wartowni. Słyszałam zegar z wieży kościoła w Godsend wybijający godzinę chwilę po tym, jak ojciec obudził Heloizę, która zaczęła szczekać. Coś takiego, żeby siedzieć do trzeciej w nocy, zabawiając się papierem milimetrowym i cyrklem! Miałam ochotę mu przyłożyć!

11 Zawsze modne uzdrowisko w Anglii, letnia stolica towarzyska wyższych sfer (przyp. tłum.).

12 Beau Nash (1674–1762), dandys, mistrz ceremonii w Bath, wyrocznia mody i elegancji (przyp. tłum.).

13 Wiersz *Spring, the Sweet Spring (Wiosna, słodka wiosna)* Thomasa Nashe’a (1567–1602), angielskiego poety i prozaika (przyp. tłum.).

X

Och, bardzo bym chciała natychmiast – od razu w pierwszym akapicie – zdradzić, co wiem, ale tego nie zrobię! Jest okazja, by się nauczyć sztuki suspensu.

Nie mieliśmy żadnych wiadomości od Cottonów prawie przez dwa tygodnie od lunchu we wsi, ale też właściwie nie spodziewaliśmy się, jako że wciąż bawili w Londynie. Kiedy opisywałam ten dzień, miałam wrażenie, jakbym przeżywała go raz jeszcze, byłam więc bardzo zadowolona. Pisanie zajęło mi dużo czasu, bo Topaz dała się opętać manii prania, naprawiania i sprzątanania i potrzebowała mojej pomocy. Pisałam więc głównie wieczorami w łóżku, co nie pozwalało mi wyciągać Rose na częste rozmowy – a ona sama także nie wykazywała na nie większej ochoty, bo zaczęła wychodzić na długie samotne spacerzy. To pragnienie samotności często ją ogarnia, kiedy w domu jest pora sprzątanania.

Skończyłam opisywać pierwszy maja w drugą sobotę po tym dniu i natychmiast poczułam, że już czas, by wydarzyło się coś nowego. Popatrzyłam przez pokój na Rose leżącą w łóżku z baldachimem i zapytałam, czy wie dokładnie, kiedy Cottonowie wracają.

– Och, są już z powrotem – rzuciła jak gdyby nigdy nic. Dowiedziała się o tym dziś rano w Godsend i zachowała to dla siebie. – Nie licz na to, że szybko ich zobaczysz – dodała. – Neil będzie trzymał Simona z dala ode mnie tak długo, jak tylko zdoła.

– Bzdury – mruknełam, chociaż w rzeczywistości zaczęłam wierzyć, że Neil jej nie lubi.

Próbowałam wciągnąć ją w rozmowę – miałam ochotę na trochę przyjemności, jaką daje niecierpliwe oczekiwanie – ale nie była do tego skora. I doskonale to rozumiem: kiedy coś jest dla nas bardzo ważne, wtedy ekscytujące oczekiwanie po prostu może przynieść pecha.

Następnego dnia, w niedzielę, coś się wydarzyło i zapomniałam o Cottonach. Kiedy zesłam na dół, Topaz oznajmiła, że Stephen pojechał do Londynu. Nie pisnął nikomu ani słowa i dopiero kiedy przyszła robić śniadanie, okazało się, że już jest gotowy do drogi.

– Był bardzo spokojny i opanowany – dodała. – Zapytałam go, czy się nie boi, że się zgubi, a on powiedział, że jeżeli się zgubi, to weźmie taksówkę; ale nie sądzi, że to będzie potrzebne, bo panna Marcy dokładnie mu wyjaśniła, którymi autobusami jechać.

Nagle poczułam wściekłość, że zapytał pannę Marcy, a przed nami miał takie tajemnice.

– Nienawidzę tej baby, Fox-Cotton – rzuciłam.

– Ostrzegłam go, by miał oczy szeroko otwarte – powiedziała Topaz. – Rzecz jasna, jej zainteresowanie może mieć tylko zawodowy charakter, chociaż muszę przyznać, że w to wątpię.

– Chcesz powiedzieć, że ona mogłaby się z nim kochać? – ledwie wykrztusiłam i po raz pierwszy naprawdę zrozumiałam, dlaczego nie podobało mi się, że pojechał.

– No, ktoś kiedyś będzie, prędzej czy później. Tylko wolałabym, żeby to była jakaś miła dziewczyna ze wsi. Nie rób takiej przerażonej miny, Cassandro. Nie bądź psem ogrodnika.

Odrzekłam, że nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby to był ktoś odpowiedni dla niego.

Przyjrzała mi się z ciekawością.

– Czy on ci się wcale nie podoba? W twoim wieku na pewno nie mogłabym mu się oprzeć... z tą jego urodą. Ale chodzi o coś więcej niż uroda, naturalnie.

– Och, ja wiem, że on ma wspaniały charakter – powiedziałam.

– Nie to miałam na myśli. – Topaz się roześmiała. – Obiecałam jednak twojemu ojcu, że nic ci nie będę kładła do głowy na temat Stephena, więc zostawmy to.

Wiedziałam doskonale, co miała na myśli. Ale jeżeli Stephen jest atrakcyjny fizycznie, to dlaczego na mnie nie działa – tak naprawdę? A może działa?

Po śniadaniu poszłam do kościoła. Pastor zauważył mnie z ambony i wyglądał na bardzo zdziwionego. Później, kiedy budziłam Heloizę z drzemki na jednym z najstarszych nagrobków, podszedł do mnie, by porozmawiać.

– Czy ta rozkoszna niespodzianka oznacza, że masz jakąś osobistą sprawę do Pana Boga? – zapytał.

Nie oznaczała, oczywiście, chociaż skorzystałam z okazji, żeby pomodlić się za Rose; nie wierzę, że modlitwy w kościele są szczególnie skuteczne, ale nie można marnować całego tego klęczenia na twardych podnóżkach.

– Nie, tylko tak wpadłam – wyjaśniłam niepewnie.

– No to zapraszam na odrobinę sherry – zaproponował. – I zobaczysz, jak dobrze wygląda ten owczarkowy futrzak na mojej sofie.

Powiedziałam mu jednak, że muszę porozmawiać z panną Marcy, i pospieszyłam za nią; w istocie właśnie to spotkanie było prawdziwym powodem mojego przyjścia.

Bardzo uprzejmie zagłębiła się natychmiast w temat, na który chciałam ją naprowadzić.

– Czyż to nie wspaniałe dla Stephena – powiedziała, w zachwycie trzepocząc rzęsami. – Pięć gwinei za jeden dzień. Prawie sześć, jeżeli zaoszczędzi pieniądze na taksówki! To świadczy o życzliwości; pani Fox-Cotton musi być bardzo miła!

Nie dowiedziałam się niczego interesującego. Stephen przyszedł do niej po przewodnik po Londynie; nie ma takiego w bibliotece, ale mogła mu pomóc, dając różne rady. Kiedy wychodziłam, ona jeszcze paplała o cudownej okazji dla niego i uprzejmości pani Fox-Cotton. Panna Marcy nie jest światową kobietą tak jak Topaz i ja.

Stephen wrócił do domu późnym wieczorem.

– No, i jak ci poszło? – spytała Topaz ku mojej wielkiej uldze, bo postanowiłam nie zadawać mu żadnych pytań.

Powiedział, że wsiadł do dobrego autobusu i zgubił się tylko na parę minut, kiedy szukał domu. Pani Fox-Cotton odwiozła go na stację i po drodze pokazała Londyn.

– Była niezwykle miła – dodał. – Wyglądała zupełnie inaczej, profesjonalnie, w spodniach, jak mężczyzna. Nigdy nie widziałem takiego dużego, wspaniałego aparatu fotograficznego.

Topaz zapytała, co miał na sobie do zdjęć.

– Koszulę i sztruksowe spodnie, które tam były. Ale uznała, że wyglądają na zbyt nowe, więc mam je nosić do pracy i wtedy będą dobre następnym razem.

– A więc znowu pojedziesz. – Staralam się, by mój głos brzmiał całkiem obojętnie.

Powiedział, że tak i że ona da mu znać, kiedy będzie miała następną wolną niedzielę, być może za miesiąc. Potem opowiedział nam o rozbitych fragmentach posągów, z którymi był fotografowany, i o tym, jak całe wieki trwało przygotowanie oświetlenia i jak jadł lunch z państwem Fox-Cottonami.

– Studio mieści się na tyłach domu – wyjaśnił. – Niewyobrażalny jest ten dom. Dywany są jak mech, a hol wyłożono czarną marmurową posadzką. Pan Fox-Cotton prosił, by przekazać ukłony pani Mortmain.

Poszedł się umyć, a Topaz przygotowała mu coś na kolację.

– Wszystko w porządku – orzekła. – Pomyliłam się co do tej kobiety.

Rozmawiałam ze Stephenem, jak wrócił. Wszystko znowu wydawało się normalne i proste. Powiedział, że chciał mi kupić prezent, ale sklepy były zamknięte.

– Mogłem dostać jedynie czekoladę z automatu na peronie, ale nie sądzę, żeby to była jakaś specjalna londyńska czekolada.

Był zbyt zmęczony, by zjeść coś więcej. Kiedy poszedł się położyć, myślałam o nim, jak zasypia w tym małym wilgotnym

pokoju, z obrazami studia i bogatego domu Fox-Cottonów tańczącymi mu przed oczyma. Dziwna była świadomość, że oglądał rzeczy, których ja nigdy nie widziałam; dzięki temu uzyskał własną tożsamość i, w jakiś sposób, stał się bardziej dorosły.

Następnego ranka zajęły mnie inne sprawy. Przyszły do mnie dwie paczki! Nie dostałam od nikogo żadnej paczki od czasu, kiedy pokłóciliśmy się z ciocią Millicent. (Ostatnia, którą przysłała, zawierała skarpetki do spania, wyjątkowo szkaradne, ale nie do pogardzenia w zimowe noce. Teraz dobiegają końca swego żywota, uszczelniając okna).

Nie mogłam uwierzyć, kiedy zobaczyłam swoje nazwisko na naklejkach dwóch sklepów z Bond Street, a rzeczy w paczkach były jeszcze bardziej niesamowite. Najpierw rozpakowałam wielkie okrągłe pudło czekoladek, a potem pamiętnik oprawny w bładoniebieską skórę, z tłoczonymi złoceniami; jego dwieście stron – policzyłam je – ma cudowne złoczone brzegi, a na wyklejce są niebieskie i złote gwiazdy. (Topaz powiedziała, że kosztował przynajmniej dwie gwinee). W żadnej z paczek nie było biletu wizytowego, ale przecież pamiętałam, że Simon obiecał mi pudło słodczy, jeżeli pozwolę mu zajrzeć do mojego pamiętnika. I przysłał mi też nowy pamiętnik!

Dla Rose nie było nic.

– Mnie może przysyłać prezenty, bo uważa mnie za dziecko – podkreśliłam. – Pewnie się obawia, że ty byś ich nie przyjęła.

– To jest pesymistą. – Uśmiechnęła się.

– Ale jedz, ile chcesz – powiedziałam. – Oddasz mi, kiedy się zaręczysz. Wtedy będziesz dostawać mnóstwo takich bombonierek.

Wzięła jedną czekoladkę, ale jasne dla mnie było, że to sama idea posiadania ich była dla niej ważna, a nie czekoladki jako takie. Nie zjadła ani połowy tego co Topaz i ja; Rose nigdy nie była zachłanna na jedzenie.

Ledwie ochłonęliśmy z emocji z powodu paczek, kiedy przyjechał samochód ze Scoatney. Był w nim tylko szofer. Przyniósł pudło kwiatów z oranżerii z zaproszeniem od Simona na lunch następnego

dnia, nawet dla Thomasa i Stephena. Kwiaty nie były zaadresowane do nikogo konkretnie, ale zaproszenie przekazano na ręce Topaz; powiedziała, że Simon zachował się nadzwyczaj poprawnie, co było dobrym znakiem. Dała szoferowi odpowiedź na piśmie, przyjmując zaproszenie w imieniu nas wszystkich, z wyjątkiem Thomasa i Stephena, bo nie miała co do nich pewności. Nie chciała odmówić, nie wiedząc, jakie jest ich zdanie, i bardzo dobrze się stało, bo Thomas uparł się, by opuścić szkołę i iść z nami. Stephen oznajmił, że za żadne skarby nie pójdzie.

Powinnam była opisać tę drugą wizytę w Scoatney natychmiast, kiedy tylko stamtąd wróciliśmy, ale relacjonowanie pierwszego maja trochę mnie zmęczyło i wyczerpało moją ochotę do pisania. Teraz, kiedy patrzę wstecz, widzę głównie zielenią ogrodów, gdzie spędziliśmy popołudnie; zostaliśmy też na popołudniową herbatę. Było to przyjęcie pełne spokoju i relaksu – ani przez chwilę nie denerwowałam się tak jak wtedy na tej kolacji. (Ale przyjęcie z kolacją było bardziej ekscytujące; żarzy się w mojej pamięci jak ciemny obraz rozświetlony blaskiem świec i błyszczącymi posadzkami, kiedy noc napiera z zewnątrz na czarne okna). Pani Cotton jeszcze nie wróciła i Simon wyraźnie był panem domu, raczej poważnym, nawet trochę dostojnym, rozmawiał głównie z ojcem i Topaz. Również wobec Rose był zadziwiająco formalny, ale ze mną żartował. Neil zadał sobie wiele trudu, zajmując się Thomasem – bardzo zachęcał go do jedzenia i grał z nim w tenisa. Zaprosił też Rose i mnie do gry, ale ona nie chciała, bo od kiedy skończyła szkołę, nie miała rakiety w ręku. Tak więc poszliśmy na spacer same i trafiłyśmy do największej oranżerii. Cudownie było poruszać się w nagrzanym, wilgotnym i mocno pachnącym powietrzu: dawało to poczucie szczególnej prywatności – prawie jakbyśmy trafiły do świata oddzielnego od innych. Rose nagle się odezwała:

– Och, Cassandro, czy to się wydarzy? Czy to nastąpi? Wyglądała jak w wigilię Bożego Narodzenia, kiedy wieszaliśmy nasze pończochy na prezenty.

– Jesteś całkiem pewna, że tego chcesz? – zapytałam.

I zaraz zrozumiałam, że to zbyt proste pytanie, bo wyraźnie była w pełni zdecydowana. Ale ku memu zdumieniu, rozważała je długo, patrząc na drugą stronę trawnika, gdzie Simon rozmawiał z ojcem i z Topaz. Różowa kamelia upadła z delikatnym głuchym odgłosem.

– Tak, całkiem pewna – potwierdziła w końcu głosem pełnym napięcia. – Do tej chwili było to jak historia, którą sobie opowiadałam. Teraz stało się prawdą. I musi się wydarzyć. Musi.

– Ja też czuję, że to nastąpi – powiedziałam i naprawdę tak czułam. Tyle że oranżerie zawsze wprawiają mnie w nastrój oczekiwania i gotowości.

Neil nalegał, by Thomas przyjął jeszcze jedną szynkę i sześć słoików dżemu. Ojciec zaprotestował, ale łagodnie; miał cudownie dobry humor. Pożyczył od Simona mnóstwo książek i wycofał się z nimi do wartowni, gdy tylko wróciliśmy do domu.

Następny ekscytujący dzień zdarzył się, kiedy zaprosili nas na piknik – zjawili się zupełnie niespodziewanie. Ojciec znowu wyjechał do Londynu (bez słowa wyjaśnienia), a Topaz znalazła jakąś wymówkę, żeby zostać w domu, więc wybrałyśmy się tylko Rose i ja. Pojechaliśmy nad morze. Nie był to zwykły angielski piknik, bo Neil przygotował steki na ogniu – to się nazywa *barbecue*; zastanawiałam się, co to może być, od czasu kiedy czytałam o Bracie Króliku¹⁴. Stek był spalony na zewnątrz i surowy w środku, ale bardzo romantyczny. Simon pokazał się w swoim najmłodszym i najbardziej amerykańskim wydaniu. Razem z Neilem cały czas wspominali piknik, na którym byli jako bardzo mali chłopcy, zanim ich rodzice się rozwiedli. Zdaje mi się, że oni dopiero teraz stopniowo zaczynają się znowu poznawać, choć jestem pewna, że Neil już lubi Simona; o Simonie trudno coś powiedzieć, bo zachowuje się z dużo większą rezerwą. Obaj są jednakowo uprzejmi, ale usposobienie Neila jest o wiele cieplejsze, bardziej otwarte. Tamtego dnia był miły nawet dla Rose – no, przez większość czasu; chociaż nie wiem, jak ktokolwiek mógłby nie być, bo była w najlepszej formie. Pewnie morze i przygotowywanie

steków spowodowało tę przemianę; znowu stała się cudownie naturalną osobą. Śmiała się i bawiła, a nawet zjeżdżała na śledzia z piaskowych gór. Nie kąpaliśmy się, bo nikt z nas nie wziął kostiumu kąpielowego, ale to i lepiej, bo woda w morzu była lodowata.

Simon był bardziej zafascynowany Rose niż zwykle. Późnym popołudniem, kiedy była szczególnie urwisowata, powiedział do Neila:

– Widziałeś kiedyś, żeby dziewczyna tak się zmieniała?

– Nie, to znaczny postęp – odrzekł Neil.

Uśmiechnął się do Rose, a ona zrobiła do niego zabawną minę; wtedy, przez tę chwilę, czułam, że byli naprawdę przyjaźnie do siebie nastawieni.

– Czy ty też uważasz, że to postęp? – zwróciła się do Simona.

– Sam nie wiem. Powiedzmy, że teraz jesteś doskonała w słońcu nad morzem, a ta inna Rose jest doskonała w blasku świec. I może najdoskonalsze będzie, jak się okaże, że jest kilka różnych Rose.

Kiedy to mówił, patrzył prosto na nią i zobaczyłam, że odwzajemnia spojrzenie. Ale nie było ono takie jak przy kolacji w Scoatney. Jej oczy nie spoglądały zalotnie; przez moment były szeroko otwarte i jakby bezbronne, prawie błagalne. Potem uśmiechnęła się bardzo ładnie i powiedziała:

– Dziękuję, Simon.

– Czas wracać – odezwał się Neil.

Przemknęło mi przez myśl, że podobnie jak ja poczuł, że to ważny moment, i nie chciał go przedłużać. Potem był tak szorstki wobec Rose jak zwykle, a ona go po prostu ignorowała. Szkoda, skoro mogli być dla siebie tacy mili przez cały dzień.

Neil prowadził auto w drodze na piknik, a Simon wiozł nas do domu, z Rose siedzącą z przodu. Nie słyszałam, żeby dużo rozmawiali; Simon jest bardzo ostrożnym kierowcą i kręte wąskie drogi zmuszały go do skupienia. Ja i Neil miło gawędziliśmy, siedząc z tyłu. Opowiedział mi mnóstwo ciekawych rzeczy o życiu w Ameryce. Zdaje się, że oni się tam rzeczywiście dobrze bawią,

zwłaszcza dziewczęta.

– Czy Rose i ja wydajemy się bardzo oficjalne i konwencjonalne w porównaniu z amerykańskimi dziewczętami? – zapytałam.

– No, raczej nie jesteście konwencjonalne – odrzekł ze śmiechem.

– Nawet ta panienka zadzierająca nosa. – Wskazał głową w stronę Rose. – Nie, nie powiedziałbym „konwencjonalny” o nikim z twojej rodziny, choć myślę, że we wszystkim tutaj jest pewna oficjalność, nawet mieszkańcy wsi są oficjalni; nawet ty, chociaż jesteś taka fajna.

Zapytałam go, co dokładnie miał na myśli, mówiąc „oficjalność”. Trudno mu to było wyrazić słowami, ale domyślałam się, że to obejmuje rezerwę i pewien rodzaj surowości.

– Nie, żeby to miało znaczenie, oczywiście – dodał szybko. – Anglicy są świetni.

I to jest właśnie cały Neil; żartuje na temat Anglii, ale zawsze bardzo się stara, by nie urazić naszych uczuć.

Potem rozmawialiśmy znowu o Ameryce i opowiedział mi o trasie długości trzech tysięcy mil, którą przejechał samochodem z Kalifornii do Nowego Jorku. Opisał, jak przybywał o zachodzie słońca do jakiegoś małego miasteczka, wjeżdżał od strony dzielnicy mieszkaniowej, gdzie rosły duże drzewa i były zielone nieogrodzone trawniki, a ludzie siedzieli na gankach na tle oświetlonych okien; potem jechał wzdłuż głównej ulicy z jasnymi sklepami i neonami jarzącymi się na tle granatowego nieba. Muszę powiedzieć, że nigdy nie sądziłam, że neonowe oświetlenie może być romantyczne, ale tak to wyglądało w jego opowieści. Hotele muszą być cudowne: nawet w całkiem małych miastach jest zwykle jeden hotel, w którym większość pokoi ma własną łazienkę; i dostaje się wspaniałe jedzenie w miejscach zwanych barami kawowymi. Potem opowiedział mi o krajobrazie kolejnych stanów, przez które przejeżdżał – pomarańczowych gajach w Kalifornii, kaktusach na pustyni, ogromie Teksasu, starych miastach na południu, gdzie dziwny szary mech zwisa z drzew; to mi się szczególnie podobało. Przejechał samochodem od letniej pogody do zimy, od kwiatów

pomarańczy w Kalifornii do śnieżnej zadymki w Nowym Jorku.

Powiedział, że taka podróż pozwala doskonale poznać całą Amerykę. A już samo tylko słuchanie jego opisu Ameryki uczyniło ją prawdziwszą niż wszystko, co kiedykolwiek czytałam czy widziałam w kinie. Dla niego było to nadal tak żywe, że chociaż za każdym razem kiedy przejeżdżaliśmy przez jakąś piękną wieś, mówił: „Tak, bardzo ładna”, miałam wrażenie, że ciągle ma przed oczami Amerykę. Powiedziałam mu, że też próbuję ją zobaczyć; jeżeli można czasami odebrać telepatycznie przebiegi myśli innych ludzi, to również powinno się móc zobaczyć, co widzą oczami duszy.

– Skoncentrujmy się na tym – powiedział i ujął moją dłoń pod pledem.

Zamknęliśmy oczy i mocno się skoncentrowaliśmy. Uważam, że obrazy, które ujrzałam, to było wyobrażenie tego, co on opisywał, ale miałam przedziwne poczucie przestrzeni i wolności. Kiedy więc otworzyłam oczy, pola, żywopłoty i nawet niebo wydawały się tak blisko, że prawie nacierały na mnie. Neil wyglądał na bardzo poruszonego, kiedy mu to powiedziałam; wyznał, że przez większość czasu tak właśnie się czuje w Anglii.

Potem, kiedy już przestaliśmy się koncentrować, on dalej trzymał mnie za rękę, ale nie wydaje mi się, żeby to cokolwiek znaczyło; raczej myślę, że to taki amerykański zwyczaj. Ogólnie biorąc, było to tylko przyjazne i miłe, chociaż od czasu do czasu odczuwałam dziwny dreszcz na plecach.

Było już ciemno, kiedy dojechaliśmy do zamku. Zaprosiliśmy ich do środka, ale tego wieczoru spodziewali się powrotu pani Cotton i musieli się spieszyć.

Ojciec wrócił do domu, kiedy właśnie opowiadałam Topaz o naszym dniu. (Ani słowa nie wspomniał o tym, co robił w Londynie). Jechał tym samym pociągiem co pani Cotton i zaprosił ją na obiad w następną sobotę – z Simonem i Neilem. Tym razem Topaz naprawdę bardzo się rozgniewała.

– Mortmain, jak mogłeś? – wręcz krzyknęła na niego. – Co mamy

im podać... i na czym? Wiesz, że nie ma ani kawałka mebla w pokoju jadalnym.

– Och, daj im szynkę z jajkami, w kuchni – powiedział ojciec. – Nie obrażą się. Przecież dostaliśmy od nich wystarczająco dużo szynki.

Patrzyliśmy na niego z bezdenną rozpaczą. Dobrze, że Rose nie było, bo naprawdę myślę, że mogłaby się wściec: wyglądał tak irytująco arogancko. Nagle jednak stracił całą pewność siebie.

– Ja... po prostu czułem, że tak należy. – Cała brawura znikła z jego głosu. – Ona znowu zaprosiła nas na obiad do Scoatney w przyszłym tygodniu i... mój Boże, chyba tracę rozum... faktycznie zapomniałem o meblach w jadalni. Nie mogłabyś czegoś sklecić?

Popatrzył błagalnie na Topaz. Nie znoszę, kiedy robi się pokorny; wygląda jak siedzący na tylnych łapach żebrzący lew (nigdy co prawda takiego lwa nie widziałam). Topaz wspaniale stanęła na wysokości zadania.

– Nie martw się, damy sobie radę. To dobra zabawa, w pewnym sensie rodzaj wyzwania. – Próbowwała użyć swego najbardziej kojącego kontraltu, ale głos jej się trochę załamał. Miałam ochotę ją uścisnąć. – Chodź, obejrzymy pokój jadalny – szepnęła do mnie, kiedy ojciec jadł kolację.

Wzięliśmy świece i poszliśmy. Nie wiem, co miała nadzieję tam zobaczyć, ale nie znalazłyśmy tego. Nie znalazłyśmy niczego z wyjątkiem pustki. Nawet dywan został sprzedany, wraz z meblami.

Przeszliśmy do salonu.

– Kłapa fortepianu byłaby oryginalna – powiedziała Topaz.

– A ojciec kroiłby mięso dla wszystkich na klawiaturze?

– Czy moglibyśmy siedzieć na poduszkach, na podłodze? Na pewno nie mamy tylu krzeseł.

– Poduszek też nie mamy tak wielu. Jedyne, czego jest naprawdę pod dostatkiem, to podłoga.

Śmiałyśmy się tak, że wosk świecy kapał nam na ręce. A potem poczułyśmy się o wiele lepiej.

W końcu Topaz kazała Stephenowi zdjąć z zawiasów drzwi kurnika i zrobić pod nie proste kozły. Ustawiliśmy to przy ławeczce w wykuszowym oknie, co nam dało trzy siedzenia. Jako obrus posłużyły popielate brokatowe zasłony z holu. Wyglądały wspaniale, chociaż szew było trochę widać i przeszkadzały pod stopami. Całe nasze srebra, dobra porcelana i szkło dawno wyprzedaliśmy, ale pastor pożyczył nam swoje, łącznie ze srebrnymi świecznikami. Jego oczywiście też zaprosiliśmy: przyszedł wcześniej, usiadł w kuchni i polerował sztucce, dodając blasku swemu dobytkowi, kiedy myśmy się przebierały. (Rose włożyła czarną suknię Topaz; teraz suknia wcale nie wydawała się konwencjonalna – Rose wyglądała w niej wspaniale).

Nasze menu obiadowe było następujące:

Bulion (na połowie kości z drugiej szynki)

Gotowany kurczak, szynka

Brzoskwinie ze śmietaną (Cottonowie przysłali brzoskwinie – akurat w porę)

Pikantna przystawka: pasta z szynki, na ostro

Topaz przyszykowała to wszystko, a Ivy Stebbins podawała do stołu; Thomas i Stephen pomagali jej w kuchni. Nic niefortunnego się nie zdarzyło, tylko Ivy gapiła się cały czas na brodę Simona. Powiedziała mi później, że jej widok przyprawiał ją o gęsią skórkę.

Pani Cotton mówiła dużo, jak zwykle, ale była bardzo miła, w zupełnie niewymuszony sposób; myślę, że w istocie to ona pozwoliła nam uznać, że obiad się udał. Amerykanie przystosowują się wspaniale – Neil i Simon pomogli nam przy zmywaniu. Wolałabym raczej, żeby nie nalegali, bo kuchnia wyglądała bardzo nie po amerykańsku. Panował w niej dziki bałagan, a Thomas położył wszystkie talerze na podłodze dla Heloizy i Abelarda do wylizania; zupełnie bez sensu, bo kości z drobiu są niebezpieczne dla zwierząt.

Ivy zmywała, a myśmy wszyscy wycierali. Potem Stephen odprowadził Ivy do domu. Ona jest w moim wieku, ale bardzo duża i ładna. Najwyraźniej ma Stephena na oku – przedtem nie zdawałam

sobie z tego sprawy. Uważam, że dla niego byłoby wspaniale, gdyby się z nią ożenił, bo ona jest jedynym dzieckiem Stebbinsów i odziedziczy gospodarstwo. Byłam ciekawa, czy pocałuje ją w drodze do domu, czy w ogóle pocałował kiedykolwiek jakąś dziewczynę. Część moich myśli powędrowała z nim przez ciemne pola, ale większość została z Cottonami w kuchni. Neil siedział na stole i głaskał śpiącego rozkosznie Aba, Simon chodził dookoła, oglądając wszystko. Nagle powróciło do mnie wspomnienie ich pierwszej wizyty. Mam nadzieję, że Rose zapomniała, iż cień Simona przypominał diabła – ja sama prawie o tym zapomniałam. Na pewno nigdy nie znałam osoby mniej diabelskiej.

Zaraz potem zaczęła się najbardziej ekscytująca część wieczoru. Najpierw Simon zapytał, czy mogliby zobaczyć zamek; przypuszczałam, że tak będzie, i dopilnowałam, żeby sypialnie były posprzątane.

– Zaświeć latarnię, Thomas, to będziemy mogli pójść na mury – powiedziałam; czułam, że im bardziej romantycznie potrafię to zorganizować, tym lepiej dla Rose. – Zaczniemy od holu.

Przeszliśmy przez salon, gdzie reszta towarzystwa rozmawiała – to znaczy rozmawiali ojciec i pani Cotton. Topaz tylko słuchała, a pastor na nasze wejście otworzył oczy tak szeroko, że podejrzewam, iż drzemał. Wyglądał, jakby miał ochotę przyłączyć się do nas, ale postanowiłam w żaden sposób go nie zachęcać. Miałam nadzieję zmniejszyć naszą grupkę, a nie powiększyć.

– Najpierw wartownia – powiedziała Rose, kiedy doszliśmy do holu, i frunęła przez frontowe drzwi tak szybko, że domyśliłam się, iż chciała ominąć jadalnię.

Osobiście uważam, że kompletna pustka byłaby bardziej wytworna niż nasze meble w sypialni.

Kiedy szliśmy przez ogród na dziedzińcu, Simon popatrzył w górę na kopic.

– Jak wysoka i czarna wydaje się wieża Belmonte na tle rozgwieżdżonego nieba – powiedział.

Widziałam, że wprawia się w cudownie romantyczny nastrój. To

była wspaniała noc z ciepłym, delikatnym wietrzykiem – och, idealnie pomocny rodzaj nocy.

Nigdy nie wchodziłem na wieżę wartowni, pomijając naszą pierwszą wspinaczkę tamtego dnia, gdy odkryliśmy ten zamek, kiedy to Rose popychała mnie z tyłu. Wspominając to oraz nasze dzieciństwo, poczułam wielką tkliwość dla Rose i byłam zdecydowana zrobić dla niej wszystko, co tylko mogłam. Cały czas, kiedy kroczyliśmy za latarnią i Simon zachwycał się, że ciężkie kamienne schody mogą zakręcać z takim wdziękiem, chciałam siłą woli zmusić go, żeby poddał się urokowi Rose.

– To niezwykle – powiedział, gdy na szczycie wieży wyszedł na zewnątrz.

Nigdy przedtem nie byłam tu w nocy i to naprawdę było ekscytujące – nie to, że nie widzieliśmy nic z wyjątkiem gwiazd i paru migających świateł w Godsend i na farmie Four Stones. To atmosfera była taka ekscytująca – jak gdyby noc znalazła się bliżej nas.

Thomas postawił latarnię wysoko na parapecie muru obronnego, tak że oświetlała twarz i włosy Rose, której sylwetka, w czarnej sukni, stopiła się z ciemnością nocy. Delikatny wiatr zdmuchnął jej szyfonową pelerynkę z ramion na twarz Simona. „To było jak skrzydła nocy” – powiedział, śmiejąc się. Fascynujące było patrzeć na ich głowy obok siebie, w świetle latarni – jego, taka ciemna, i jej, taka lśniąca. Cały czas próbowałam wymyślić sposób, żeby ich zostawić samych tam na górze, ale są granice ludzkiej wyobraźni.

Po paru minutach zeszliśmy na tyle daleko, że można było przejść po murach. Zabrało nam to sporo czasu, bo Neil chciał się dowiedzieć wszystkiego o obronie zamków. Był szczególnie zafascynowany informacją, że machina miotająca przerzucała przez mury martwe konie. Rose zaraz na początku potknęła się o swoją suknię i potem Simon mocno trzymał ją pod rękę, a więc ten czas nie był zmarnowany; nie puścił jej, aż weszliśmy do wieży z łazienką.

Zostawiłyśmy Thomasa, by pokazał Cottonom łazienkę.

Słyszałam, jak Neil ryczał ze śmiechu, rozbawiony widokami zamku Windsor. Rose i ja pobiegłyśmy do sypialni i zapaliłyśmy świece.

– Nie ma jakiegoś sposobu, żebyśmy pobyli przez chwilę sami? – szepnęła.

Powiedziałam jej, że zastanawiam się nad tym od końca obiadu.

– To bardzo trudne. Nie możesz zostać trochę z tyłu? Odrzekła, że próbowała to zrobić na górze wartowni.

– Ale Simon zawołał tylko: „Poczekaj z tą latarnią, Thomas, bo Rose nie będzie nic widziała!”. I musiałam iść na dół.

– Nie martw się, przysięgam, że coś wymyślę – obiecałam jej. Usłyszałyśmy, jak idą przez podest.

– Kto śpi na łóżku z baldachimem? – zapytał Simon, gdy weszli.

– Rose – powiedziałam szybko.

Był akurat mój tydzień, ale uznałam, że będzie bardziej romantycznie, jeśli wyobrazi ją sobie pod baldachimem, a nie na żelaznym łóżku. Potem otworzył drzwi do wieży i był bardzo rozbawiony, kiedy zobaczył, że wisi tam jej wieczorowa różowa suknia – trzyma ją tam, bo falbany gniotłyby się w szafie.

– Coś takiego, żeby w szesnastowiecznej wieży wieszać ubrania! – zawołał.

Neil objął ramieniem pannę Blossom i oznajmił, że jest akurat w jego typie, po czym ukląkł na ławeczce w wykuszowym oknie, żeby popatrzeć w dół na fosę. Nagle poczułam natchnienie.

– Miałbyś ochotę popływać? – spytałam go.

– Bardzo chętnie – zgodził się natychmiast.

– Co? Pływać teraz w nocy? – Thomas wybałuszył na mnie oczy.

– Tak, to będzie dobra zabawa. – Na szczęście zauważył cień mrugnięcia, które mu posłałam, i przestał się dziwić. – Thomas, pożycz Neilowi swoje kąpielówki. Niestety, Simon, obawiam się, że jest tylko jedna para, ale możesz je wziąć później. Rose nie powinna się kąpać, bo łatwo się przeziębia. – (Boże, przebacz mi! Rose jest zdrowa jak koń: to ja jestem tą, która łapie przeziębienia).

– Będziemy się przyglądać z okna – powiedział Simon. Znalazłam swój kostium kąpielowy i pobiegłam do Thomasa, który wydzierał

się ze swojego pokoju, że nie może znaleźć kąpielówek – przez jedną okropną chwilę bałam się, że zostawił je w szkole.

– Co ty kombinujesz? – szepnął. – Zapomniałaś, że woda jest lodowata?

Wcale nie zapomniałam. Nigdy nie kąpiemy się w fosie wcześniej niż w lipcu albo sierpniu. I nawet wtedy zwykle tego żałujemy.

– Później ci wyjaśnię – powiedziałam. – Nie próbuj odwozić od tego Neila. – Znalazłam w końcu te kąpielówki, pomagały uszczelniać pełen przeciągów kominiek Thomasa; na szczęście są czarne. – Lepiej się przebierz w łazience! – zawołałam do Neila. – I zejź schodami w wieży. Pokaż mu, Thomas, a potem zostań i poświęć nam latarnię. Neil, spotkamy się przy fosie.

Dałam mu kąpielówki i poszłam się przebrać do pokoju buforowego. Kiedy przebiegałam przez sypialnię, Simon zawołał: „Miłego pływania!” – po czym znów odwrócił się do Rose. Siedzieli na ławeczce w oknie wykuszowym i wyglądali na cudownie zadowolonych.

No i dopiero przebierając się, poczułam wyraźnie, w co się wpakowałam; ja, która nienawidzę zimnej wody do tego stopnia, że już samo wkładanie kostiumu kąpielowego sprawia, że dostaję dreszczy. Poszłam na dół kuchennymi schodami, czując się jak Eskimos idący do swojego zamrożonego piekła.

Nie miałam zamiaru pokazywać się w salonie – tak wyrosłam z kostiumu kąpielowego, że napis ze szkolnym mottem rozciągał się przez całą klatkę piersiową – więc poszłam do fosy przez ruiny za kuchnią. Jest tam mostek z desek, który prowadzi na pole pszenicy. Usiadłam na mostku, ostrożnie trzymając stopy daleko od wody.

Neil jeszcze nie zszedł. Widziałam fosę na całej długości, bo księżyc właśnie wschodził. Rzucał na zieloną pszenicę absolutnie niezemskie światło, tak piękne, że prawie zapomniałam o horrorze kąpieli. Jak bardzo różny bywa księżyc! Raz jest biały, raz złoty, a teraz był jak oślepiający krążek cyny. Nigdy przedtem nie widziałam, żeby księżyc wydawał się taki twardy.

Woda w fosie była czarna, srebrna i złota; srebrna tam, gdzie

światło księżyca padało na nią migotliwie, złota od blasku świec w oknach; i kiedy tak patrzyłam, złota plama rozlała się na wodzie koło narożnej wieży, gdy Thomas wyszedł i postawił latarnię w drzwiach. Potem pojawił się Neil, bardzo wysoki, w czarnych kąpielówkach, i przeszedł od światła latarni do blasku księżyca.

– Cassandro, gdzie jesteś? – usłyszałam jego głos.

Zawołałam, że już idę, po czym zanurzyłam jeden palec w wodzie, żeby poznać najgorsze. Było o wiele gorzej, niż się spodziewałam, i bohaterски pomysł, żeby przewyciężyć obawy przed wejściem do wody i popłynąć w kierunku Neila, znikł w sekundę. Uważałam, że odroczenie tej kąpieli nawet o parę chwil jest warte wszystkiego. Poszłam więc powoli skrajem pola – pszenica chłodno łaskotała moje nogi, gdy ocierały się o nią – siadłam na brzegu naprzeciwko Neila i rozpoczęłam błyskotliwą konwersację. Poza tym, że chciałam odwlec koszmar zanurzenia się w wodzie, uważałam również, że guzdranie się było wskazane, żeby dać Rose więcej czasu – byłam całkiem pewna, że jak już wejdziemy do fosy, to naprawdę bardzo szybko z niej wyskoczymy.

Mówiłam o urodzie nocy. Opowiedziałam ujmującą anegdotę, jak próbowałam przepłynąć fosę w koszu do bielizny, gdy usłyszałam o łodziach zrobionych z nieprzemakalnego materiału rozpiętego na szkielecie z wikliny. Potem podjęłam dobry temat do długiej rozmowy: zaczęłam mówić o Ameryce, ale on mi przerwał:

– Uważam, że grasz na zwłokę z tym pływaniem. Ja wchodzę. Czy jest dość głęboko i mogę skoczyć?

Powiedziałam, że tak, jeżeli będzie ostrożny.

– Uważaj na muł na dnie – ostrzegł go Thomas.

Skoczył rozważnie i wynurzył się, wyglądając na bardzo zdziwionego.

– Boże, ale zimno! – zawołał. – Po tym całym słońcu, które teraz mieliśmy!

Jakby nasza fosa zwracała uwagę na słońce! Zasila ją strumień, który płynie pewnie prosto z Grenlandii.

– Zastanawiam się – zaczęłam z namysłem – czy powinnam się

kąpać po tak obfitym posiłku.

– Nie wykręcisz się – odparł Neil. – Sama to zaproponowałaś. Wchodź albo cię wciągnę. Da się wytrzymać.

Zwierzyłam się Panu Bogu: „Robię to dla siostry. Proszę, ogrzej trochę tę wodę”. Ale oczywiście wiedziałam, że On tego nie zrobi. Ostatnie, co pomyślałam przed skokiem, to że wolałabym umrzeć.

To było potworne: jakby obdzierano człowieka ze skóry lodowatymi nożami. Płynęłam jak szalona, powtarzając sobie, że za minutę będzie lepiej, i byłam absolutnie pewna, że nie będzie. Neil płynął koło mnie. Musiałam mieć bardzo ponurą minę, bo nagle spytał:

– Słuchaj, wszystko w porządku?

– Ledwie – wykrztusiłam z trudem i podciągnęłam się na mostek.

– Wracaj tu i płyn dalej – powiedział – albo będziesz musiała iść do domu i się wytrzeć. Och, chodź już. Zaraz się przyzwyczaisz.

Zeslizgnęłam się do wody i nie było tak strasznie; kiedy przepłynęliśmy z powrotem, aż do miejsca bezpośrednio pod naszym salonem, zaczynało mi się nawet podobać. Topaz i pastor, obramowani złotym kwadratem okna, z góry patrzyli na nas. W oknie nie było za to Simona i Rose; miałam nadzieję, że byli zbyt zajęci, by wyglądać przez okno. Przepłynęliśmy przez skrawek księżycowego światła – śmiesznie było robić srebrne zmarszczki na wodzie tuż przed samymi oczami – i potem do schodów narożnej wieży. Thomas gdzieś się podział, miałam nadzieję, że – na litość boską! – nie wrócił do Rose i Simona.

Kiedy skręciliśmy za róg, w stronę frontonu zamku, nie było już złotego światła z okien ani z latarni – nic, tylko światło księżyca. Płynęliśmy na plecach, patrząc w górę na strome, nienaruszone mury – nigdy nie wydawały mi się tak wysokie. Woda pluskała i chlupotała, odbijając się od murów, a one wydzielały tajemniczy zapach – jak przed nadejściem burzy w gorący dzień, pełen wilgoci i zapachu wodorostów, tak jak ta noc. Zapytałam Neila, jak by opisał ten zapach, ale on powiedział tylko: „Och, myślę, że są to po prostu mokre kamienie” – i zorientowałam się, że chciał myśleć

jedynie o wrzącym oleju wylewanym na nas z murów obronnych. Fascynowało go wszystko, co dotyczyło sztuki wojennej na zamku; kiedy dotarliśmy do wartowni, zapytał, jak działały mosty zwodzone, i był rozczarowany, kiedy mu wyjaśniłam, że nasz obecny most nie jest jednym z nich – nazywamy go tylko zwodzonym mostem dla odróżnienia od mostu Belmonte. Potem chciał wiedzieć, co się stało i dlaczego mury, które właśnie mijaliśmy, są zrujnowane, i był oburzony na purytanów Cromwella za to, że je zburzyli. „Co za cholerna szkoda” – powiedział, patrząc w górę na rumowisko kamieni. Zwróciłam mu uwagę, że pierwszy raz od kiedy go znam, okazuje jakieś uczucie wobec czegoś starego.

– Och, to miejsce podoba mi się nie dlatego, że jest stare – wyjaśnił – tylko dlatego, że cały czas mam wrażenie, że to musiała być fantastyczna zabawa.

Za rogiem, na odcinku fosi od strony Belmonte, było bardzo ciemno, bo księżyc znajdował się tak nisko, że jego światło nie docierało tu sponad domu. Nagle coś białego zamajaczyło przed nami, usłyszeliśmy syk i trzepotanie skrzydeł – i zderzyliśmy się ze śpiącymi łabędziami. Neilowi to się podobało i ja też się śmiałam, ale tak naprawdę się przestraszyłam; łabędzie mogą być bardzo niebezpieczne. Na szczęście nasze nie życzyły nam źle: po prostu zeszyły z drogi i z trzepotem skrzydeł schowały się w sitowiu.

Zaraz potem przepłynęliśmy pod mostem Belmonte i za zakrętem znaleźliśmy się znowu w świetle księżyca, w południowej części fosi. Nie ma tam ruin i ogród schodzi do samej wody; duża rabata obsadzona lewkoniami pachniała bosko. Przyszło mi do głowy, że nigdy przedtem nie widziałam kwiatów rosnących nad głową – bo teraz zobaczyłam najpierw łodygi i kwiaty tylko od spodu. To była całkiem przyjemna nowość.

Czułam się już zmęczona, więc leżałam na wodzie tak jak Neil; cudownie było tak płynąć z prądem i patrzeć na gwiazdy. Wtedy właśnie usłyszeliśmy, jak pastor gra na fortepianie Arię z *Muzyki na wodzie* Haendla, jeden z jego najładniejszych utworów. Domyśliłam się, że wybrał ten, bo pasował do naszego pływania, i bardzo mi się

to spodobało. Muzyka docierała do nas cicho, ale wyraźnie. Chciałam tak leżeć na wodzie bez końca i słuchać, ale wnet poczułam zimno i znowu musiałam popłynąć szybciej.

– Proszę bardzo, zrobiliśmy pełne koło – powiedziałam do Neila, kiedy dotarliśmy do mostka. – Teraz muszę odpocząć.

Pomógł mi wyjść z wody, po czym wspięliśmy się na ruiny i usiedliśmy, opierając się plecami o ścianę kuchni; słońce świeciło na nią cały dzień i cegły były jeszcze ciepłe. Siedzieliśmy w pełnym świetle księżyca. Neil miał kępki jasnozielonej rzęsy wodnej na głowie i na jednym ramieniu; wyglądał cudownie.

Czułam, że przy księżycu, muzyce, zapachu lewkonii i pływaniu w sześćsetletniej fosie romans dostał najlepsze możliwe wsparcie – szkoda tylko, że nie byliśmy w sobie zakochani. Zastanawiałam się, czy nie powinnam była wyprawić raczej Rose i Simona, by sobie popływali w fosie zamiast nas. Ale w końcu uznałam, że zimna woda jest zdecydowanie antyuczuciowa, bo kiedy Neil wreszcie objął mnie ramieniem, nie było to ani w połowie tak podniecające jak wtedy, kiedy trzymał mnie za rękę w aucie, pod ciepłym pledem. Może później byłoby lepiej, lecz za chwilę usłyszałam, jak Topaz mnie woła – nie wiedziałam, gdzie jest, dopóki Thomas nie dał sygnału latarnią z mostu Belmonte. Potem ojciec zawołał, że idą z panią Cotton i pastorem obejrzyć kopiec i wieżę Belmonte.

– Uważaj, żebyś się nie przeziębila – ostrzegła mnie Topaz.

– Już ją posyłam do domu, proszę pani! – zawołał Neil.

– Ale mnie wcale nie jest zimno – powiedziałam szybko, obawiając się, że jeszcze nie dałam Rose dość czasu.

– Owszem, jest ci zimno, zaczynasz drżeć, ja zresztą też. – Zdjął rękę z moich ramion. – Chodź. Gdzie znajdziemy ręczniki?

Nigdy jeszcze tak niewinne pytanie nie poruszyło mnie tak głęboko. Ręczniki! Mamy ich tak niewiele, że w dni, kiedy jest pranie, po prostu musimy się otrzepywać z wody.

– Och, zaraz dostaniesz – rzuciłam lekko, po czym ruszyłam przodem, a on podążył za mną.

Szłam przez ruiny powoli, żeby mieć czas się zastanowić.

Wiedziałam, że mamy w łazience dwa różowe ręczniki dla gości. To znaczy miały grać rolę ręczników dla gości, a w istocie były małymi serwetkami na popołudniową herbatę, łaskawie pożyczonymi nam przez pannę Marcy. Czy mogłam je podać dużemu mokremu mężczyźnie? Nie mogłam. Potem wpadłam na pewien pomysł.

Kiedy dotarliśmy do tylnych drzwi, powiedziałam:

– Wejź tutaj, dobrze? Tu przy kuchennym ogniu będzie ciepło. Zaraz przyniosę ręcznik.

– Ale moje ubranie jest w łazience... – zaczął Neil. Wybiegłam, wołając przez ramię:

– Też ci je przyniosę!

Zdecydowałam się wziąć mój ręcznik albo Rose – który okaże się bardziej suchy – i złożyć go jak czysty; potem wrócić do Neila, przyciskając ręcznik do siebie, i przeprosić, że się trochę zmoczył. Nie musiałam przerywać te`te-a`-te`te Rose i Simona, bo obydwa ręczniki były na schodach w wieży koło naszej sypialni – tam je rzuciłam, porządkując dom przed wizytą Cottonów – i mogłam się do nich dostać przez drugie wejście do wieży, z salonu. Chciałam ubrać się błyskawicznie, kiedy Neil się będzie ubierał, a potem wrócić do kuchni i zatrzymać go tam rozmową jeszcze przez dłuższy czas.

Udało mi się bardzo cicho otworzyć drzwi z salonu do wieży i zaczęłam iść w górę. Na zakręcie schodów znalazłam się w ciemnościach i poszłam dalej na czworakach, ostrożnie badając drogę. W pewnej chwili niezdarnie zaplątałam się w różową suknię Rose, ale wyzwoliwszy się, dojrzałam smugę światła pod drzwiami naszej sypialni. Wiedziałam, że ręczniki leżą parę stopni wyżej, więc wyciągnęłam się, szukając ich po omacku.

I wtedy usłyszałam przez drzwi, jak Simon mówi:

– Rose, czy wyjdiesz za mnie?

Stałam bez ruchu, nie śmiejąc nawet drgnąć, żeby mnie nie usłyszeli. Naturalnie spodziewałam się, że Rose powie „tak” natychmiast, ale ona milczała. Przez dobre dziesięć sekund panowała absolutna cisza. A potem usłyszałam, jak Rose mówi

bardzo cicho, ale nadzwyczaj wyraźnie:

– Proszę, pocałuj mnie, Simon.

Znowu cisza, długa cisza. Miałam czas pomyśleć, że nie chciałabym, żeby mój pierwszy pocałunek był z brodaczem, zastanowić się, czy Neil by mnie pocałował, gdyby Topaz mnie nie zawołała, i zauważyć, że z wieży wieje na mnie lodowate powietrze. Potem dopiero Rose odezwała się głosem trochę łamiącym się z podniecenia, który tak dobrze znam.

– Tak, Simon.

Złapałam ręcznik – tylko jeden udało mi się znaleźć – i zaczęłam schodzić. Nagle się zatrzymałam. Czy nie byłoby rozsądniej wejść tam do nich, na wszelki wypadek...? Nie wiem, co miałam na myśli, z tym „na wszelki wypadek” – na pewno przecież nie to, że Simon mógłby zmienić zdanie? Jednak wiedziałam, że im pręcej zaręczyny zostaną ogłoszone oficjalnie, tym lepiej. Wróciłam tam.

Kiedy otworzyłam drzwi wieży, oni jeszcze stali objęci. Simon gwałtownie odwrócił głowę, po czym się uśmiechnął.

Mam nadzieję, że też się uśmiechnęłam. Mam nadzieję, że nie widać było mojego zdumienia. Przez sekundę myślałam, że to nie jest Simon. Nie miał brody.

– Czy nie masz nic przeciwko temu, żeby Rose wyszła za mnie za mąż? – zapytał.

Potem wszyscy mówiliśmy naraz. Przytuliłam Rose i uścisnęłam rękę Simonowi.

– Moje dziecko, jesteś lodowata – powiedział i puścił moją dłoń. – Przebierz się szybko.

– Muszę najpierw zanieść Neilowi ręcznik – odrzekłam – i jego ubranie.

Ruszyłam po nie do łazienki.

– Jak ci się podoba Simon bez brody? – krzyknęła za mną Rose. Wiedziałam, że powinnam jakoś to skomentować, ale czułam się skępowana.

– Cudownie! – zawołałam.

Tylko czy tak było? Oczywiście wyglądał o wiele, wiele młodziej

i byłam zdumiona, jaki jest przystojny. Ale spostrzegłam coś bezbronnego w jego twarzy, jakby straciła swą moc. Och, jego podbródek nie jest słaby – to nie o to chodzi. Po prostu... wyglądał na zagubionego.

Jak, do licha, Rose doprowadziła do tego, że zgolił tę brodę, zastanawiałam się, kiedy zbierałam rzeczy Neila. Domyślałam się, że rzuciła mu wyzwanie. Muszę powiedzieć, że mnie zdziwił; to się wydaje takie niegodne, żeby użyć przyborów ojca do golenia i mojej małej emaliowanej miednicy. (I wygląda też na to, że pełen godności, dostojny Simon znikł razem z brodą – trudno mi teraz uwierzyć, że kiedykolwiek choć trochę się go bałam. No i nie uważam, że ta zmiana jest spowodowana wyłącznie zniknięciem brody, w znacznie większym stopniu przyczyną jest to, że on tak bardzo kocha Rose).

Kiedy weszłam do kuchni, Neil stał tak blisko ognia, że jego kąpielówki parowały.

– No, myślałem, że już o mnie zapomniałaś – powiedział, odwracając się do mnie z uśmiechem.

– Czyż to nie jest wspaniałe? – zawołałam. – Rose i Simon się zaręczyli. – Jego uśmiech znikł, jakby lampa zgasła. – Nie wyglądasz na zadowolonego – zauważyłam.

– Zadowolony! – Przez sekundę stał i tylko patrzył piorunującym wzrokiem, potem złapał ręcznik. – Wynoś się i daj mi się ubrać – powiedział naprawdę bardzo niegrzecznym tonem.

Rzuciłam jego ubranie i odwróciłam się, żeby odejść, ale potem zmieniłam zamiar.

– Neil, proszę cię. – Próbowałam mówić bardzo przyjaźnie i rozsądnie. – Dlaczego tak nienawidzisz Rose? Od samego początku.

Dalej się wycierał.

– Nie, wcale nie. Bardzo mi się podobała na początku.

– A teraz? Dlaczego nie?

Przestał się wycierać i spojrział mi prosto w twarz.

– Bo jest naciągaczką. I ty o tym wiesz, Cassandro.

– Nie, nie wiem – odparłam z oburzeniem. – Jak śmiesz mówić coś takiego?

– Czy możesz mi uczciwie powiedzieć, że ona nie wychodzi za Simona dla jego pieniędzy?

– Oczywiście, że mogę! – wykrzyknęłam z największym przekonaniem.

I naprawdę wierzyłam w to przez chwilę. Potem poczułam, że moja twarz robi się purpurowa, bo... no...

– Ty paskudna mała kłamczucho – powiedział Neil. – A ja myślałem, że jesteś takim miłym, przyzwoitym dzieciakiem! Czy umyślnie zabrałaś mnie na to pływanie?

Nagle poczułam gniew zarówno ze względu na siebie, jak i ze względu na Rose.

– Tak, właśnie tak! – zawołałam. – I cieszę się, że tak zrobiłam. Rose mi mówiła, że gdybyś mógł, na pewno byś temu przeszkodził, bo chcesz, żeby Simon wrócił z tobą do Ameryki! Pilnuj swojego nosa, Neilu Cottonie!

– Wynoś się stąd! – ryknął, wyglądając na tak rozwścieczonego, aż się zląkłam, że mnie uderzy.

Pognałam z kuchni schodami na górę, jak błyskawica, ale zatrzymałam się na najwyższym stopniu i powiedziałam z godnością:

– Radziłabym ci wziąć się w garść, zanim zobaczysz Simona. – Potem czmychnęłam do sypialni i zaryglowałam drzwi; można się było po nim spodziewać, że będzie mnie gonić.

Jedną dobrą rzeczą z tego gniewu było to, że zrobiło mi się o wiele cieplej, ale i tak z przyjemnością zdjęłam mokry kostium i wytarłam się narzutą z łóżka Topaz. Właśnie kończyłam się ubierać w pokoju buforowym, kiedy usłyszałam, że przez dziedziniec wraca towarzystwo z wyprawy na Belmonte. Usłyszałam w pokoju obok głos Simona:

– Chodźmy im powiedzieć, Rose.

Wbiegłam więc do nich i razem poszliśmy na dół.

Spotkaliśmy wszystkich w holu. Pani Cotton stała blisko kinkietu,

więc mogłam dokładnie widzieć wyraz jej twarzy. Wyglądała na dość zdziwioną, kiedy zobaczyła, że Simon nie ma brody, ale zdążyła tylko powiedzieć: „Simon!” – gdy on jej przerwał: „Rose zgodziła się wyjść za mnie za męż” – a wtedy po prostu otworzyła usta. Jestem prawie pewna, że była równie przerażona, jak zdziwiona – ale tylko przez sekundę; potem wydawała się absolutnie zachwycona. Ucałowała Rose i Simona i podziękowała Rose, że nakłoniła Simona, żeby się ogolił. Ucałowała Topaz i mnie – myślałam, że pocałuje ojca! I nie przestawała mówić! Kiedyś napisałam, że jej mówienie jest jak ściana słów; tym razem przypominało raczej okręt bojowy z wszystkimi działami dającymi ognia. Ale była bardzo, bardzo miła; im lepiej się ją poznaje, tym bardziej się ją lubi.

W środku gratulacji przyszedł Neil. Z przyjemnością zobaczyłam, że jego wyjściowa koszula całkiem się pogniotła, kiedy taszczyłam ją po domu. Nikt by nie odgadł, że parę minut temu stracił panowanie nad sobą.

– Gratulacje, Simon – rzekł spokojnie. – Widzę, że broda znikła! Rose, moja droga, jestem pewien, że wiesz, czego ci życzę.

Muszę przyznać, że wypadło to dosyć zgrabnie; a Rose nie zwróciła uwagi na dwuznaczność tych słów. Uśmiechnęła się i podziękowała mu uprzejmie, a potem słuchała dalej pani Cotton.

Pastor powiedział, że ma trochę szampana w swojej piwniczce, i Neil ofiarował się pojechać na plebanie – miał nawet odwagę poprosić mnie, żebym pojechała z nim. Odmówiłam, najchłodniej jak się tylko dało, ale tak, by to nie zwracało uwagi.

Później jednak, kiedy wszyscy, rozmawiając, staliśmy na dziedzińcu, zanim Cottonowie poszli do auta, odciągnął mnie od reszty towarzystwa tak zdecydowanie, że poszłam z nim. Poprowadził mnie daleko, aż do dużej rabaty lewkonii nad fosą. Tam w końcu się odezwał:

– Pogodzimy się?

– Nie wiem, czy mam ochotę – odparłam. – Nazwałś mnie kłamczuchą.

- Przypuśćmy, że cię przeproszę?
- Czy to znaczy, że tak nie myślisz?
- Nie wystarczy ci szczerze przeprosiny?

Czułam, że w tych okolicznościach może bym się i zgodziła, ale nie wiedziałam, jak to ująć, żeby nie obróciło się przeciwko Rose, więc milczałam. Neil mówił dalej:

– Przypuśćmy, że powiem, że nie miałbym ci za złe nawet, gdybyś skłamała... jeżeli tak było. I że cię podziwiam, że broniłaś Rose. Nie musisz nic mówić, ale jeżeli mi przebaczasz, po prostu uściśnij mi rękę. – Zsunął dłoń z mojego łokcia, a ja odwzajemniłam uścisk jego dłoni. – Dobrze. – I dodał poważnym tonem, jakiego nigdy u niego nie słyszałam: – Cassandro, to nie chodzi o to, że chcę, żeby Simon wrócił ze mną do Ameryki, naprawdę. Oczywiście, chciałbym, z egoistycznego powodu.

– Nie powinnam była tego powiedzieć – wtrąciłam. – Teraz moja kolej na przeprosiny.

– Przeprosiny przyjęte. – Ścisnął moją dłoń znowu, potem puścił i westchnął głęboko. – A może myślę się co do niej. Może ona naprawdę się w nim zakochała. Dlaczego nie? Sądzę, że chyba każda rozsądna dziewczyna mogłaby się zakochać w Simonie.

Myślę, że tu się myli. Uważałam, że wielu dziewczętom Simon by się nie podobał, mimo że jest taki miły, i że większości podobałby się Neil. Księżyc świecił na jego włosy, które schły dopiero teraz i były bardziej kręcone niż zwykle. Powiedziałam mu, że ma w nich jeszcze trochę rzęsy, a on się roześmiał i odrzekł:

– A jednak cholernie dobrze było popływać. Potem pani Cotton zawołała:

– Chodźcie już, wy obydwójce.

Po tym, jak ich pożegnaliśmy, noc nagle stała się bardzo cicha. Myślę, że wszyscy byliśmy trochę skrepowani. Kiedy weszliśmy z powrotem do domu, ojciec odezwał się z udawaną beztróską:

- Hm, Rose, kochanie, jesteś szczęśliwa?
- Tak, bardzo – potwierdziła Rose z wielkim ożywieniem – ale okropnie zmęczona. Idę prosto do łóżka.

– Wszyscy chodźmy – powiedziała Topaz. – Obudzimy Stephena, jeżeli zaczniemy teraz zmywać kieliszki.

Stephen już dawno wrócił, choć muszę zauważyć, że sporo czasu zajęło mu odprowadzanie Ivy do domu. Poprosiłam, żeby przyłączył się do nas i wypił zdrowie Rose szampanem pastora, ale nie chciał. Uśmiechnął się w bardzo dziwny sposób, kiedy mu powiedziałam o zaręczynach, a potem rzekł: „A, ja tam nic nie powiem” – i poszedł do łóżka. Bóg jeden wie, co on miał na myśli.

Czułam, że całował się z Ivy.

Bardzo chciałam wyciągnąć Rose na zwierzenia, ale wiedziałam, że nic nie powie, dopóki spaceruje tam i z powrotem do łazienki się nie skończy, a ojciec i Topaz wyjątkowo grzebali się z myciem. Kiedy już wreszcie poszli do siebie, Rose upewniła się, że nasze jedne i drugie drzwi są porządnie zamknięte, potem wskoczyła do łóżka i zdmuchnęła świecę.

– No i? – spytałam zachęcająco.

Zaczęła mówić szybko, prawie szeptem, opowiadając mi o wszystkim. Okazało się, że dobrze odgadłam, iż to ona sprowokowała Simona do ogolenia brody.

– Na początku sądził, że żartuję – zaczęła. – Potem myślał, że chcę go ośmieszyć, i zrobił się sztywny, pełen godności. Nie zwracałam wcale na to uwagi, bo musiałam go zobaczyć bez tej brody, Cassandro; wpędziłam się w jakiś paniczny strach przed nią. Podeszłam blisko do niego, popatrzyłam w oczy i powiedziałam: „Masz takie ładne usta, po co je chować?”. I dotknęłam palcem konturu jego ust. Próbował mnie pocałować, ale się uchyliłam i odparłam: „Nie, nie, dopóki masz tę brodę”, a on spytał: „A pozwolisz, jak ją zgolę?”. Powiedziałam: „Nic nie wiem, dopóki jej nie zgolisz”, a potem pobiegłam po przybory do golenia ojca, nożyczki do paznokci Topaz i dzbanek gorącej wody z łazienki. Śmiałyśmy się cały czas, ale też było to dziwne i ekscytujące, i musiałam go powstrzymywać, żeby mnie nie całował. Miał straszną robotę z tym goleniem i nagle poczułam się skrępowana, i żałowałam, że go do tego nakłoniłam. Widziałam, że był wściekły.

Boże, jak on wyglądał, kiedy obciął te długie włosy! Założę się, że zobaczył na mojej twarzy przerażenie, bo krzyknął: „Odejdź! Odejdź! Przestań na mnie patrzeć!”. Poszłam usiąść na ławeczce w wykuszowym oknie i modliłam się, to znaczy myślałam tylko: „Proszę Cię, Boże, proszę, Boże”, i nic więcej nie mogłam wymyślić. Upłynęły całe wieki, zanim Simon w końcu wytarł twarz i odwrócił się. Powiedział: „No, to teraz wiesz najgorsze”, takim śmiesznym, żalonym głosem; zauważyłam, że już nie był zły; wyglądał pokornie i jakoś wzruszająco... i tak bardzo przystojnie! Nie uważasz, Cassandro, że teraz jest przystojny?

– Tak, jest. Co było dalej?

– Powiedziałam: „To cudowne, Simon. Podobasz mi się tysiąc razy bardziej. Dziękuję ci, bardzo dziękuję, że zrobiłeś to dla mnie”. A potem poprosił mnie, żebym wyszła za niego za męża.

Nie zdradziłam jej, że to słyszałam. Gdyby mnie się oświadczano, wcale nie chciałabym, żeby ktoś to słyszał.

– Potem – mówiła dalej – ...to było dziwne, bo jestem pewna, że nie słyszałam cię w wieży... nagle pomyślałam o tobie. Przypomniałam sobie, jak powiedziałaś, że nie dowiem się, co do niego czuję, dopóki nie pozwolę mu się pocałować. I miałaś rację. Och, wiedziałam, że mi się podoba i że go podziwiam, ale ciągle nie miałam pewności, czy jestem zakochana. I to była moja szansa, żeby to sprawdzić, skoro już wcześniej mi się oświadczył! Więc poprosiłam, żeby mnie pocałował. I to było cudowne. Tak cudowne jak...

Zamilkła. Domyśliłam się, że wspominając, przeżywała to jeszcze raz, i dałam jej jakąś minutę.

– No, opowiadaj – ponagliłam ją w końcu. – Tak cudowne jak co?

– Och, jak tylko mogło być. Boże, nie potrafię tego opisać! Było w porządku w każdym razie. Jestem zakochana i strasznie szczęśliwa. Dla ciebie też mam zamiar urządzić wszystko wspaniale. Przyjedziesz i zostaniesz z nami, i też wyjdiesz za kogoś za męża. Może za Neila.

– Myślałam, że go nienawidzisz.

– Dzisiaj nikogo nie nienawidzę. Och, co za ulga... jaka to ulga mieć pewność, że jestem zakochana w Simonie!

– A gdybyś nie miała tej pewności, odmówiłabyś mu?

Odezwała się po dłuższej chwili, a jej ton brzmiał arogancko.

– Nie, nie odmówiłabym. Na chwilę przed tym, jak mnie pocałował, powiedziałam sobie: „Wyjdiesz za niego tak czy siak, moja mała”. I wiesz, co było tego powodem? Na toalecie zobaczyłam swój ręcznik, który mu pożyczyłam do golenia, cały sprany, wystrzępiony i okropny. Nie mamy ani jednego zapasowego ręcznika w tym domu.

– Przecież ja to wiem – przerwałam jej z naciskiem.

– Nie chcę tak żyć. Nie chcę, nie chcę!

– No, to teraz będziesz miała tyle ręczników, ile tylko zechcesz – przemówiła panna Blossom. – Najserdeczniejsze gratulacje, Rosie, kochanie.

– I tyle ubrań, ile zechcę – powiedziała Rose. – Będę sobie teraz o nich wszystkich myślała przed zaśnięciem.

– Czy odstąpić ci łóżko z baldachimem, żebyś mogła się rozkoszować w pięknym stylu?

Ale nie chciało jej się już przenosić.

Kiedy potem leżałam, przepływając jeszcze raz fosę, zauważyłam mój emaliowany dzbanek i miednicę na tle okna; dziwne wydawało mi się, że odegrały pewną rolę przy goleniu Simona. Cały czas widziałam go z dwiema twarzami – z brodą i bez brody. Potem przyszło mi do głowy, że ktoś znany ogolił się z powodu jakiejś kobiety. Długo zastanawiałam się, kto to był, ale zasnęłam, zanim zdołałam to sobie przypomnieć.

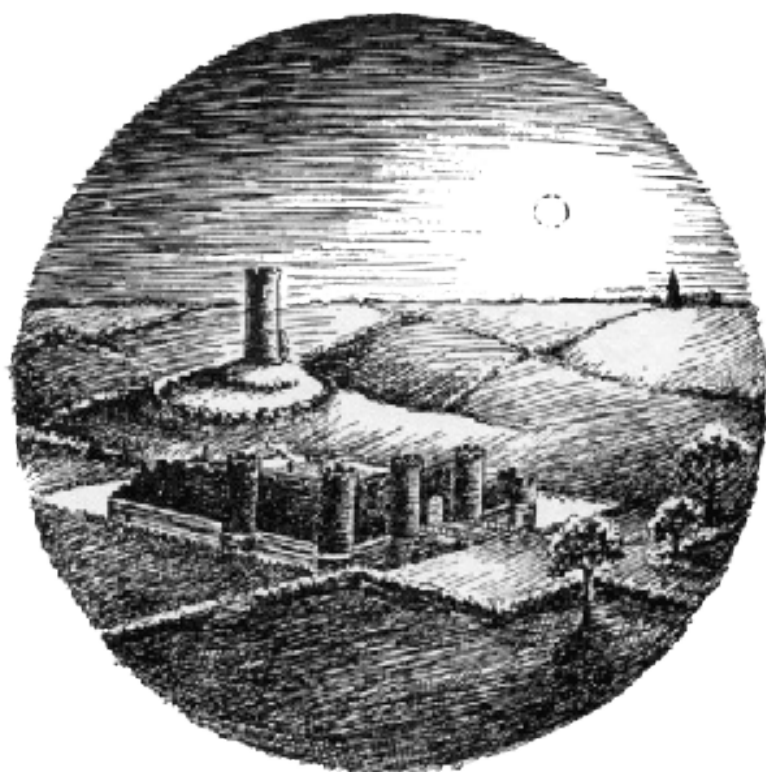
Bardzo wczesnie rano obudziłam się i pomyślałam: „Samson i Dalila” – tak jakby ktoś mi powiedział te słowa prosto do ucha. Naturalnie, Samsonowi obcięto włosy, a nie ogolono brodę, więc ta historia nie całkiem tu pasowała. Ale przyszło mi do głowy, że Rose chętnie by się widziała jako Dalila.

Usiadłam i zerknęłam na nią, zastanawiając się, o czym śniła. Kiedy jej się przypatrywałam, rozjaśniło się na tyle, że widziałam jej

jasne włosy rozrzucone na poduszce i delikatnie zaróżowione policzki. Wyglądała szczególnie pięknie, chociaż nikt nie mógłby powiedzieć, że koszula nocna ciotki Millicent była twarzowa. Dziwne, jak inaczej Rose wygląda, kiedy ma zamknięte oczy – o wiele bardziej dziecinnie, łagodnie i pogodnie. Poczułam, że bardzo ją lubię. Spała głęboko i spokojnie, chociaż w strasznie niewygodnej pozycji, z jedną ręką bezwładnie zwisającą z łóżka – trzeba na nim leżeć z samego brzegu, żeby ominąć najgorsze góry i doły w materacu. Myślałam o tym, jak inne będzie łóżko, które teraz na pewno zdobędzie. Bardzo się cieszyłam z jej sukcesu.

14 Ang.: Br'er Rabbit – postać z afroamerykańskich opowieści ludowych, których narratorem jest „wuj Remus” (Uncle Remus); zebrał je i opracował Joel Chandler Harris (1845–1908), amerykański dziennikarz i pisarz (przyp. red.).

III • ZESZYT ZA DWIE GWINEE



Od czerwca do października

XI

Siedzę na ruinach za kuchnią – gdzie siedziałam z Neilem trzy tygodnie temu bez jednego dnia, po pływaniu w fosie. Jakież inne wydaje się teraz wszystko w gorącym słońcu! Pszczoły brzęczą, gołąb grucha, fosa jest pełna nieba. Heloiza właśnie zeszła tam, żeby się napić, i jeden łabędź patrzy na nią z najwyższą pogardą. Abelard parę minut temu wszedł w wysokie niedojrzałe zboże, wyglądając prawie jak lew wstępujący w puszcze.

Dziś pierwszy raz zapisałam coś w pięknym pamiętniku, który dostałam od Simona – wiecznym piórem, które wczoraj od niego przyszło. Szkarłatne pióro i niebiesko-złoty, oprawiony w skórę pamiętnik; co mogłoby dawać więcej natchnienia? Ale wydaje się, że lepiej mi szło, kiedy miałam ogryzek ołówka i gruby zeszyt za szylinga, od Stephen'a... Co chwila zamykam oczy i leniwie rozkoszuję się ciepłem. To znaczy moje ciało tak robi, bo mój umysł jest niespokojny. Wędruje wstecz i w przód, wspomina przeszłość i zastanawia się nad przyszłością – i widzę, że zupełnie nierozsądnie tęskni bardziej za przeszłością niż za przyszłością. Przypominam sobie, jak często było nam głodno i chłodno i prawie nie mieliśmy co włożyć na grzbiet, a potem dziękuję Bogu za wszystko, co nam zesłał; ale i tak wydaje mi się, że najbardziej lubię przeszłość. To śmieszne. I śmieszne jest też, że czuję coś tępego, ciężkiego, niezupełnie smutnego i mam taki kiepski nastrój, podczas gdy

powinnam być bezgranicznie szczęśliwa. Być może, jeżeli zmuszę się do pisania, to dowiem się, co mi dolega.

Właśnie mija tydzień, jak Rose i Topaz pojechały do Londynu. Pani Cotton mnie również zaprosiła – zatrzymały się u niej, w jej mieszkaniu na Park Lane – ale ktoś musiał tu zostać, by opiekować się ojcem, Thomasem i Stephenem; ponadto, gdybym przyjęła zaproszenie, ona mogłaby czuć się zobowiązana i mnie też kupować ubrania – poza tym, że finansuje wyprawę ślubną Rose. Pani Cotton jest cudownie szczodra i cudownie taktowna. Zamiast nalegać, byśmy przyjęli pieniądze na nasze potrzeby, wymyśliła, żeby za dwieście funtów kupić od nas pelisę podbitą bobrami. A jeżeli chodzi o wyprawę ślubną, to powiedziała do Rose: „Moja droga, zawsze pragnęłam mieć córkę i ją ubierać, pozwól mi więc mieć udział w twoim szczęściu”.

Byłam dosyć zdziwiona, że Topaz zgodziła się jechać do Londynu, ale w wieczór przed ich wyjazdem odbyłyśmy pouczającą rozmowę. Przyszłam z kuchni z jakimiś rzeczami, które właśnie wyprasowałam dla niej, i zastałam ją siedzącą na łóżku nad spakowaną do połowy walizką i patrzącą w przestrzeń.

– Nie jadę – oznajmiła z takim tragizmem, że jej głos brzmiał prawie jak baryton.

– O Boże, dlaczego? – spytałam.

– Bo moje motywy nie są całkiem w porządku. Powtarzam sobie, że Mortmainowi dobrze zrobi, jak pobędzie tu trochę beze mnie, a ja powinnam zobaczyć się z przyjaciółmi, odświeżyć artystyczne zainteresowania, zyskać nowe inspiracje. Ale szczerą prawdą jest taka, że chcę mieć na oku tę kobietę i być pewna, że się z nim nie spotka, kiedy on przyjedzie do Londynu. I to jest podłe. Oczywiście, że nie pojedę.

– No, nie wiem, jak możesz teraz odmówić – powiedziałam. – A zawsze możesz uspokoić swoje sumienie i zrezygnować z pilnowania pani Cotton. Topaz, naprawdę myślisz, że ojciec się w niej zakochał? Nie masz na to cienia dowodu.

– Dowodów dostarczyły mi moje oczy i uszy. Przyjrzałaś im się,

kiedy są razem? On słucha, jakby mu się to podobało, i nie tylko słucha, ale też rozmawia. Rozmawia z nią więcej w jeden wieczór niż ze mną przez cały ostatni rok.

Przypomniałam jej, że z nikim spośród nas nie rozmawia zbyt wiele.

– A dlaczego? Co z nami jest nie tak? Zaczęłam już myśleć, że ma takie ponure usposobienie, ale kiedy zobaczyłam, jak uruchomił cały swój wdzięk dla Cottonów...! Bóg mi świadkiem, że nie oczekiwałam łatwego życia, kiedy wychodziłam za niego. Byłam nawet przygotowana, że może być gwałtowny. Ale nie znoszę ponuractwa.

– Może pani Cotton wróci do Ameryki razem z Neilem – pocieszyłam ją.

– Raczej nie. Wynajęła mieszkanie na trzy lata. Och, Boże, jaka jestem głupia. Jak mogę powstrzymać ją od spotkania się z nim, nawet jeżeli zamieszka u niej? Są przecież tysiące miejsc, gdzie mogą się spotkać. On pewnie na nowo zainteresuje się British Museum.

Muszę przyznać, że to jest odrobinę podejrzanę: ojciec ani razu nie wybrał się do Londynu, kiedy pani Cotton była w Scoatney.

– W tej sytuacji możesz równie dobrze pojechać – powiedziałam. – To znaczy twoje obiekcje tracą sens, skoro wiesz, że i tak nie masz możliwości go pilnować.

– To prawda. – Wydobyła z siebie westchnienie jak jęk, co zabrzmiało bardzo teatralnie, po czym zaczęła pakować swoje podobne do całunu koszule nocne. Nagle podeszła do okna i stała tam, patrząc na światło u ojca w wartowni. – Ciekawe! – powiedziała grobowym głosem.

Uprzejmie zapytałam co.

– Czy ja tu jeszcze wrócę. Mam wrażenie, jakbym była na rozdrożu. Miałam je tylko trzy albo cztery razy w życiu. Tego wieczoru w Cafe´ Royal, kiedy Everard uderzył kelnera. – Nagle zamilkła.

– Dlaczego to zrobił? – zapytałam z najwyższym

zainteresowaniem.

Everard był jej drugim mężem, projektantem mody; jej pierwszy mąż nazywał się Carlo i miał coś wspólnego z cyrkiem. Rose i ja zawsze chcieliśmy się czegoś o nich dowiedzieć.

Ale to nic nie dało. Zwróciła na mnie lekko przerażone spojrzenie i mruknęła niejasno:

– Niechaj umarli grzebią swoich umarłych.

O ile wiem, Everard żyje i ma się dobrze, a ja nigdy nie potrafiłam zrozumieć, jak umarli mogą grzebać kogokolwiek.

Nic specjalnie ważnego dla mnie nie wydarzyło się między wieczorem zaręczyn a wyjazdem Rose i Topaz do Londynu. Naturalnie byliśmy w Scoatney kilka razy, ale Neila nie było. Wyjechał, żeby zobaczyć derby i inne gonitwy; szkoda, że musiał pojechać na nie sam. Przemyślawszy to dokładnie, napisałam do niego krótki liścik. Pamiętam wszystko słowo w słowo.

Drogi Neilu!

Jestem pewna, że będzie Ci przyjemnie dowiedzieć się, że Rose jest naprawdę zakochana w Simonie. Kiedy rozmawiałam z Tobą ostatnio, obawiałam się, że może nie być – więc miałeś słuszne powody nazwać mnie kłamczuchą, ale teraz już nią nie jestem. Rose powiedziała mi to osobiście, a ona jest bardzo prawdomówna. Na dowód powiem Ci, że otwarcie przyznała się, że wyszłaby za niego za mąż, nawet gdyby nie była zakochana. Ja w to raczej nie wierzę, ale w każdym razie proszę Cię, nie tłumacz tego na jej niekorzyść: jest dziewczyną, która z trudem znosi biedę i musiała ją znosić przez całe lata. Na szczęście zakochała się w nim w odpowiednim momencie, więc wszystko świetnie się ułożyło.

Mam nadzieję, że dobrze się bawisz w Londynie.

Ucałowania od Twojej przyszłej szwagierki
Cassandry

Uznałam, że stosownie będzie napisać „ucałowania” w rodzinnym stylu, chociaż nie jestem całkiem pewna, czy małżeństwo Rose naprawdę uczyni mnie jego szwagierką. Może będę tylko szwagierką Simona.

Muszę iść teraz do domu – częściowo dlatego, że słońce grzeje zbyt mocno, a częściowo dlatego, żeby móc przepisać odpowiedź Neila...

No więc jestem już tutaj, na ławeczce w wykuszowym oknie w sypialni, ze szklanką mleka – a banana już zjadłam.

Neil mi odpisał:

Droga Cassandro!

Miło z Twojej strony, że napisałaś ten list, i to, co mówisz, jest prawdopodobnie słuszne. To ja byłem nierozsądny i na pewno bardzo niegrzeczny. Przepraszam raz jeszcze.

Mieszkanie matki jest tak pełne, że przeniosłem się do hotelu i nie widuję ich często, ale wczoraj wieczorem wybrałem się z nimi do teatru i wszyscy wydawali się bardzo szczęśliwi. Było to premierowe przedstawienie i reporterzy rzucili się na panią Mortmain, która wyglądała olśniewająco.

Mam nadzieję, że Cię zobaczę przed moim wyjazdem do domu. Może znowu przepłyniemy fosę? Jak się mają łabędzie?

Będę wniebowzięty, mając Cię za szwagierkę.

Ucałowania
Neil

Wolałabym, żeby nie wracał do Ameryki. Zamierza przystąpić do spółki na jakiejś farmie, jak opowiadał mi Simon; gdzieś na pustyni w Kalifornii. Pustynie w Ameryce, zdaje się, nie są pustynne.

Dziś rano dostałam list od Rose, który tu przepisuję.

Droga Cassandro!

Przepraszam, że nie pisałam wcześniej, ale jesteśmy tu bardzo zajęte. Kompletowanie wyprawy ślubnej to naprawdę ciężka praca. Chyba byłabyś zdziwiona, widząc, jak to robimy. Prawie wcale nie chodzimy do normalnych sklepów, tylko odwiedzamy duże piękne domy mody. Są tam salony z żyrandolami i małe złożone krzeselka ustawione dookoła. Siedzisz tam i oglądasz modelki, które chodzą, prezentując ubrania. Masz kartonik i ołówek i zapisujesz, gdy ci się coś podoba. Ceny są niesamowite: całkiem zwykłe sukienki kosztują około dwudziestu pięciu funtów. Mój czarny kostium będzie kosztować trzydzieści pięć; właściwie więcej, bo wszystkie ceny są w gwineach, nie w funtach. Na początku byłam przerażona tymi ogromnymi sumami, ale teraz już wydaje się to prawie naturalne. Przypuszczam, że koszt mojej całej wyprawy ślubnej sięgnie tysiąca funtów – co wcale nie znaczy, że będzie to bardzo dużo rzeczy. Naprawdę, nie przy tych cenach, które płacimy. A takie rzeczy jak futra i biżuteria dojdą jeszcze po ślubie. Oczywiście mam już

zaręczynowy pierścionek, kwadratowy szmaragd. Cudowny.

Domyślam się, że chciałabyś, żebym Ci opisała wszystko, co kupiliśmy, ale nie mam czasu, a poza tym czułabym się skrępowana, że mam tyle, kiedy Ty masz tak niewiele. Dostaniesz jednak bardzo piękną suknię druhny – przyjedziesz tu do miary – i myślę też, że te gotowe suknie, które noszę teraz, będzie można przerobić dla Ciebie, gdy otrzymam już swoją wyprawę. A kiedy już będę zamężna, zaczniemy jak szalone robić zakupy dla Ciebie.

A teraz trochę wieści, które szczególnie Cię zainteresują. Jedliśmy obiad z Fox-Cottonami i obejrzelśmy zdjęcia Stephena, i, moja droga, on wygląda jak wszyscy greccy bogowie razem wzięci. Leda jest pewna, że mógłby dostać pracę w filmie, całkiem poważnie. Powiedziałam, że to przezabawne wyobrazić sobie jego jako aktora, na co ona się mocno zdenerwowała. Powinnaś lepiej pilnować swojej własności. Żartuję tylko – nie rób żadnych głupstw. Mam zamiar znaleźć dla Ciebie kogoś naprawdę świetnego.

Fox-Cottonowie nie podobają mi się za bardzo. Aubrey robi dużo hałasu wokół Topaz – kilka razy zabrał ją do miasta. A ona bardzo zwraca na siebie uwagę. Znała niektóre modelki na pokazie w salonie mody – myślałam, że umrę. I znała też fotografów na premierze, na której byliśmy. Malarz Macmorris tam był – wygląda jak bardzo blada małpa. Chce ją znowu malować. Jej ubrania wydają się dziko ekscentryczne teraz, kiedy jesteśmy wśród eleganckich ludzi – śmiać mi się chce, jak pomyślę, że kiedyś tak jej zazdrościłam.

Wczoraj myślałam o Tobie. Wybrałam się do miasta sama i poszłam do tego sklepu, gdzie były przechowywane futra – po tym, co widziałam gdzie indziej, ubrania tam wydają się toporne, ale zauważyłam bardzo ładne rękawiczki i inne rzeczy. Zobaczyłam też gałązkę z białego koralu, która tak Ci się podobała, i spytałam, czy mogłabym ją kupić, ale okazało się, że to tylko dekoracja. Potem pomyślałam, że kupię Ci te perfumy, o których mówiłaś, że pachną jak hiacynty, ale cena była astronomiczna i nie miałam tyle przy sobie – jedynie kieszonkowe, które wydziela mi Topaz, a jest bardzo ostrożna z wydawaniem pieniędzy za bobrowe futro, chociaż ściśle mówiąc, te pieniądze należą do Ciebie i do mnie. Pani Cotton wydaje oczywiście fortunę na mnie, ale nie proponuje mi gotówki, żebym mogła sama coś kupić – pewnie myśli, że nie byłoby to taktowne, ale byłoby jak najbardziej.

Och, kochana, pamiętasz, jak stałyśmy, patrząc na kobietę kupującą

cały tuzin par jedwabnych pończoch, i ty powiedziałaś, że jesteśmy jak kot, który miauczy, widząc ptaki za oknem? To chyba właśnie w tym momencie postanowiłam, że zrobię wszystko, wszystko, by przestać być tak strasznie biedna. To był ten wieczór, kiedy znowu spotkałyśmy Cottonów. Czy wierzysz, że można sprawić, żeby coś się wydarzyło? Ja wierzę. Miałam takie samo pełne desperacji wrażenie tej nocy, gdy wyraziłam życzenie do anioła – i zobacz, co z tego wynikło! On jest aniołem, a nie diabłem. I takie cudowne jest, że mogłam się zakochać w Simonie, jak również wszystko inne.

Kochana Cassandro, przyrzekam, że gdy wyjdę za mąż, nigdy więcej nie będziesz już musiała miauczeć do ptaków za oknem. I wiesz, że są jeszcze inne rzeczy, w których mogę Ci pomóc. Zastanawiałam się, czy chciałabyś uczyć się dalej (czy wiesz, że Thomas ma iść do Oksfordu?). Osobiście uważam, że to byłoby nudne, ale Tobie mogłoby się podobać, bo jesteś taka inteligentna. Wiesz, moje małżeństwo pomoże nam wszystkim – nawet ojcu. Z dala od niego stałam się bardziej wobec niego tolerancyjna. I Simon, i pani Cotton mówią, że on był naprawdę wielkim pisarzem. W końcu to już teraz nie ma znaczenia, że nie może zarabiać żadnych pieniędzy. Przekaż mu ucałowania ode mnie – Thomasowi i Stephenowi też. Poślę im wszystkim pocztówki. Ten list, naturalnie, jest wyłącznie do Ciebie.

Bardzo bym chciała, żebyś tu była ze mną – brak mi Cię co najmniej sto razy dziennie. Zrobiło mi się tak smutno, kiedy byłam w tym sklepie sama, bez Ciebie. Wrócę tam i kupię Ci te perfumy, jak tylko wydobędę więcej pieniędzy od Topaz – nazywają się Noc Świętojańska i dostaniesz je przed Twoimi obrzędowymi zabawami na kopcu Belmonte.

Boże, zużywam tyle kartek eleganckiego papieru listowego pani Cotton, ale trochę czuję się, jakbym rozmawiała z Tobą. Chciałam Ci też opowiedzieć wszystko o teatrach, ale już nie mogę teraz zaczynać – jest później, niż myślałam, i muszę się przebrać do kolacji.

Całuję Cię i proszę, pisz często do Twojej
Rose

PS Mam łazienkę tylko dla siebie i dostaję tam codziennie czyste ręczniki brzoskwiniowego koloru. Kiedy się czuję samotna, idę tam i siedzę tak długo, aż poprawi mi się humor.

Jest to pierwszy list, który od niej w ogóle dostałam, bo nie rozstawałyśmy się od czasu, kiedy byłyśmy bardzo małe i Rose

miała szkarlatynę. Brzmi dziwnie, trochę jak nie od niej. Przede wszystkim jest o wiele bardziej serdeczna: nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek zwróciła się do mnie „kochana”. Może to dlatego, że za mną tęskni? Z całą pewnością jest to oznaka pięknego charakteru, kiedy dziewczyna, zakochana i otoczona tymi wszystkimi wspaniałościami, tęskni za siostrą.

Pomyśleć, że kostium może kosztować trzydzieści pięć gwinei! To jest trzydzieści sześć funtów i piętnaście szylingów; uważam, że sklepy są przebiegłe, wyceniając rzeczy w gwineach. Nie wiedziałam, że ubrania mogą tyle kosztować. Przy takich cenach Rose ma rację, kiedy mówi, że tysiąc funtów nie starczy na zbyt wiele; wcale nie, jeśli się pomyśli o tych wszystkich kapeluszach, butach i bieliźnie. Wyobrażałam sobie, że Rose będzie miała dziesiątki sukienek – bo można dostać istne cuda po dwa, trzy funty; ale może ma się inne wspaniałe poczucie luksusu, kiedy się nosi małe czarne kostiumy za bajeczne pieniądze – tak jak kiedy ma się prawdziwą biżuterię. Rose i ja zawsze czułyśmy się fantastycznie, nosząc nasze cienkie łańcuszki z prawdziwego złota z serduszkami z małą perełką. Szlochałyśmy rozdzierająco, gdy musiały zostać sprzedane.

Tysiąc funtów na ubranie – pomyśleć tylko, jak długo biedni ludzie mogliby za to żyć! Pomyśleć, jak długo my moglibyśmy za to żyć, jeżeli już o tym mowa! Dziwna rzecz, nigdy nie myślałam o nas jak o biedakach – to znaczy nigdy mi nie było nas tak okropnie żal jak bezrobotnych czy żebraków; chociaż właściwie byliśmy w gorszej sytuacji, bez szans na zatrudnienie, i nie mając kogo prosić o wsparcie.

Czuję, że nie mogłabym spojrzeć żebrakowi w oczy, gdyby moja wyprawa ślubna kosztowała tysiąc funtów... Och, dość tego – pani Cotton nie oddałaby tego tysiąca funtów żebrakom, gdyby go nie wydała na Rose, więc równie dobrze Rose może się nim cieszyć. A ja przyjmę ubrania od Rose z przyjemnością. Powinam się wstydić – jestem zadowolona, że bogactwo nie obciąży mojego sumienia, podczas gdy nader chętnie będę je mieć na swoim

grzbiecie.

Chciałam tu przepisać list od Topaz, ale jest przypięty w kuchni: przede wszystkim są to wskazówki, jak gotować – o czym nie mam pojęcia bardziej, niż myślałam. Radziliśmy sobie całkiem dobrze, kiedy wyjeżdżała pozować artystom, bo w tamtych czasach żywiliśmy się głównie chlebem, jarzynami i jajkami; lecz teraz, kiedy możemy sobie pozwolić na mięso, a nawet kurczaki, stale mam kłopoty. Kotlety, które wyglądały na takie raczej brudne, wyszorowałam mydłem, co trwale zmieniło ich smak, i nie wyjęłam z kurczaka pewnych rzeczy, które powinnam była wyjąć.

Nawet utrzymanie czystości w domu okazało się bardziej skomplikowane, niż sądziłam – zawsze przy tym pomagałam oczywiście, ale nigdy sama tego nie organizowałam. Coraz wyraźniej zdaję sobie sprawę, jak ciężko Topaz pracuje.

Jej list wygląda, jakby był napisany patykiem – ona zawsze używa bardzo grubego gęsiego pióra. Jest tam sześć błędów. Po pomocnych wskazówkach, jak gotować, Topaz wspomina o premierze, na której byli, i mówi, że sztuka nie była „znacząca” – słowo, którego właśnie zaczęła używać. Architektura Aubreya Fox-Cottona jest znacząca, ale fotografie Ledy Fox-Cotton nie są – Topaz wątpi w ich „podstawową motywację”. Jej list jest dokładnie taki jak ona sama – trzy czwarte praktycznej dobroci i jedna czwarta humoru. Mam nadzieję, że humor oznacza, że czuje się szczęśliwsza; było tego coraz mniej i mniej, od kiedy martwiła się z powodu ojca. Całe miesiące nie grała na lutni ani nie obcowała z naturą.

Kończy list, pisząc, że przyjedzie do domu natychmiast, kiedy tylko ojciec da jakikolwiek znak, że mu jej brakuje. Na nieszczęście, nie daje; i o wiele mniej się irytuje niż wtedy, gdy ona tu jest – choć wcale nie przejawia większej chęci do rozmowy. Spotykamy się tylko przy posiłkach; przez resztę dnia albo spaceruje, albo zamyka się w wartowni (i teraz, jak wychodzi, zamyka drzwi na klucz i zabiera go ze sobą). Niestety, czyta ponownie całą kolekcję powieści kryminalnych panny Marcy. Spędził też dzień w Londynie.

Kiedy go nie było, powiedziałam sobie, że to absurd tak mu się dać zahipnotyzować, żeby nie zadawać mu żadnych pytań, więc gdy wrócił, zapytałam pogodnie:

– Jak tam było w British Museum?

– Och, nie byłem tam – odrzekł całkiem miło. – Dziś poszedłem do... – Przerwał, nagle patrząc na mnie, jakbym była jakimś niebezpiecznym zwierzęciem, które właśnie dostrzegł; potem wyszedł z pokoju.

Chciałam zawołać za nim: „Ojczy, doprawdy! Czy ty nie dziwaczysz?”. Ale uderzyła mnie myśl, że jeżeli ktoś zaczyna dziwaczyć, to jest ostatnią osobą, której należałoby o tym mówić.

To zdanie postawiło mnie na równe nogi. Czy ja naprawdę podejrzewam, że ojciec traci zmysły? Nie, oczywiście, że nie. Nawet mam nikłą cudowną nadzieję, że może pracuje – dwa razy poprosił o atrament. Ale trochę to dziwne, że wziął moje kolorowe kredy – resztki, które jeszcze zostały – i stary egzemplarz „Little Folks”¹⁵; i również to, że poszedł na spacer, zabierając ze sobą nieaktualny rozkład jazdy pociągów Bradshawa.

Zwykle zachowuje się normalnie. I jest bardzo pobłażliwy dla mojego gotowania – co jest oczywistą oznaką, że umie zapanować nad sobą.

Jakże pewna siebie byłam! Pamiętam, jak zapisałam w tym pamiętniku, że „uchwyczę”, czyli opiszę, ojca później. Chciałam napisać jego błyskotliwą krótką charakterystykę. Uchwycić ojca! Przecież ja o nikim nic nie wiem! Nie zdziwiłabym się, gdybym usłyszała, że nawet Thomas prowadzi podwójne życie – chociaż wydaje się, że cały składa się tylko z lekcji i apetytu. Miło jest móc wreszcie nakarmić go do syta; nakładam mu furi jedzenia na talerz.

A Stephen? Nie, nie potrafię „uchwycić” Stephena. Życie naprawdę robi nieoczekiwane zwroty. Obawiałam się, że może być trudno, kiedy będę z nim sama tyle czasu – podczas długich wieczorów, gdy ojciec zamyka się w wartowni, a Thomas jest zajęty lekcjami. Nie mogłam się bardziej mylić. Po kolacji on mi pomaga zmywać naczynia, potem zazwyczaj zajmujemy się ogrodem – ale

często w dwóch różnych częściach ogrodu, a on i tak rzadko się odzywa.

Już więcej nie jeździł do Londynu i jestem pewna, że nie widział swoich fotografii, a ja wiedziałabym, gdyby je tu przysłano.

To naprawdę bardzo dobrze, że – jak się wydaje – przestał się mną interesować, bo czując się tak, jak się czuję, mogłabym nie być wobec niego chłodna i rzeczowa.

A jak się czujesz, Cassandro Mortmain? Przybita? Smutna? Odczuwasz pustkę? Jeżeli tak, to wyjaśnij łaskawie dlaczego.

Myślałam, że jeśli zmuszę się do pisania, to się dowiem, co mi dolega, ale jak dotąd się nie dowiedziałam. Chyba że... Czy to możliwe, że zazdrozczę Rose?

Zrobię przerwę i zajrzę w najskrytsze zakamarki swojej duszy...

Badałam ją przez pełne pięć minut. I przysięgam, że nie zazdrozczę Rose; co więcej, wcale nie chciałabym się z nią zamienić. Oczywiście głównie dlatego, że nie chciałabym wyjść za mąż za Simona. Ale przypuśćmy, że byłabym w nim zakochana, tak jak Rose? To zbyt trudne do wyobrażenia. No, a przypuśćmy, że to by był Neil – bo od czasu kiedy wyjechał, zastanawiałam się, czy nie jestem tak troszeczkę w nim zakochana. No dobrze, jestem zakochana w Neilu i wychodzę za niego, i on jest tym bogatym bratem. Wydaje się tysiąc funtów na moją wyprawę ślubną, a futra i biżuterię dostaję później. Mam mieć cudowny ślub i wszyscy mówią: „Jaką dobrą partię zrobiła ta spokojna mała dziewczyna”. Będziemy żyć w Scoatney Hall, mając wszystko, czego dusza zapagnie, i prawdopodobnie mnóstwo pięknych dzieci. I „będą żyli długo i szczęśliwie”, jak w bajkach.

A i tak bym tego nie chciała. Och, byłabym zachwycona ubraniami i ślubem. Nie wiem, czyby mi się podobało to, skąd się biorą dzieci, ale otrząsnęłam się już z gorzkiego rozczarowania, które odczułam, kiedy dowiedziałam się o tym, no i najwyraźniej i tak trzeba tego spróbować, prędzej czy później. I najbardziej bym chyba nie cierpiała tego ustabilizowanego uczucia, że już niczego poza szczęściem nie można się spodziewać. To oczywiste, że żadne życie

nie jest idealnie szczęśliwe – dzieci Rose pewnie będą chorować, ze służbą trudno będzie wytrzymać – i może droga pani Cotton okaże się taką najmniejszą łyżeczką dziegciu w beczce miodu. (Chciałabym wiedzieć, skąd się w ogóle ten dziegieć wziął w miodzie i jaki to miód). Są setki zmartwień i trosk, które mogą nadejść, ale... naprawdę chodzi mi chyba o to, że Rose wcale nie będzie chciała, żeby się coś działo. Będzie chciała, żeby wszystko pozostało tak, jak jest. Nigdy nie będzie czuła radości z oczekiwania, że coś cudownego i podniecającego może właśnie być za rogiem.

Śmiem twierdzić, że jestem bardzo niepoważna, ale tak to jest! JA NIE ZAZDROSCZĘ ROSE. Kiedy sobie wyobrażam, że zamieniamy się miejscami, czuję to co wtedy, gdy kończę czytać powieść z bezapelacyjnym happy endem – to znaczy z zakończeniem, po którym już się nigdy więcej nie myśli o jej bohaterach...

Mam wrażenie, że dużo czasu minęło, od kiedy pisałam te ostatnie słowa. Siedziałam tu, gapiąc się na pannę Blossom, nie widząc jej ani niczego innego. Teraz widzę wszystko o wiele wyraźniej niż zwykle – często się to zdarza po takim zablokowaniu. Meble wydają się ożywać i pochylać w moją stronę, jak krzesło na obrazie van Gogha. Nasze dwa łóżka, mój mały dzbanek i miednica, bambusowa toaletka – ileż to lat Rose i ja dzieliłyśmy się tym wszystkim! Zawsze tak skrupulatnie każda trzymała się swojej połowy toaletki. Teraz na połowie Rose nie ma niczego z jej rzeczy, z wyjątkiem różowego porcelanowego stojaczka na pierścionki, do którego nigdy nie miała żadnych pierścionków – no, to teraz ma jeden.

Nagle odkrywam, co mi dolegało przez cały tydzień. Boże, ja nie zazdrozczę Rose, ja za nią tęsknię! Nie dlatego, że wyjechała – choć czuję się trochę samotna – ale dlatego, że brak mi tej Rose, która odeszła na zawsze. Byłyśmy zawsze dwie, szłyśmy na spotkanie życia, rozmawiałyśmy z panną Blossom w nocy, zadziwione, pełne nadziei; dwie dziewczyny, jak u sióstr Bronte czy Jane Austen, biedne, ale z fantazją, dwie dziewczyny z zamku

Godsend. Teraz jest tylko jedna i nic już nigdy więcej nie będzie tak dobrą zabawą jak kiedyś.

Och, jaką jestem egoistką – przecież Rose jest taka szczęśliwa! Oczywiście nie chciałabym, żeby coś było inaczej; nawet ze względu na siebie, bo cieszę się na prezenty – chociaż... ciekawa jestem, czy nie ma jakiejś pułapki w posiadaniu mnóstwa pieniędzy. Czy to nie odbiera wszystkiemu przyjemności? Pomyśleć tylko, jak się cieszyłam z mojej zielonej lnianej sukni – po tym, jak bardzo długo nie miałam żadnej nowej rzeczy! Czy Rose będzie potrafiła za parę lat odczuwać coś takiego?

Jedno wiem na pewno: uwielbiam moją zieloną lnianą suknię, mimo że kosztowała tylko dwadzieścia pięć szylingów. „Tylko” dwadzieścia pięć szylingów! Kiedy ją kupowałyśmy, wydawało się to fortuną.

Właśnie wszedł Ab, głośno miaucząc – musi być pora na kolację; ten kot ma zegarek w żołądku. Tak – słyszę Stephena mówiącego coś do Heloizy na dziedzińcu; i ojciec woła z okna wartowni, by dowiedzieć się, czy Thomas przyniósł mu egzemplarz pisma „Skaut” (Na co dorosłemu mężczyźnie może być potrzebny „Skaut”?).

Ciekawa jestem, czy Thomas pamiętał o wędzonych śledziach... Tak, pamiętał – właśnie wrzasnęłam do niego na dół. Często przynosi nam teraz ryby z King’s Crypt. Mówi się, że to dobre dla mózgu – być może przyda się ojcu. Och, śledzie na kolację, dla każdego po dwa! Nawet trzy, jak ktoś będzie chciał.

Czuję się lepiej.

Muszę iść na dół nakarmić rodzinę.

15 „Little Folks” (Małe stworzenia) – angielskie pismo dla młodzieży, wychodzące w latach 1871–1933 (przyp. red.).

XII

Jest dzień świętego Jana, zbliża się noc świętojańska – tak piękna jak jej nazwa. Piszę na strychu: wybrałam to miejsce, bo stąd widać przez okno Belmonte. Najpierw myślałam, że będę siedzieć tam na kopcu, ale to by było zbyt wiele – tam cały czas przeżywałabym to wszystko, zamiast o tym pisać. I muszę zapisać to dzisiaj tak, żeby zachować na zawsze, nienaruszone i cudowne, nietknięte smutkiem, który nadchodzi – bo oczywiście musi przyjść; mój umysł mi to mówi. Myślałam, że dziś rano już tu będzie, ale go nie ma – och, tak bardzo daleka jestem od smutku, że trudno mi uwierzyć, iż w ogóle kiedyś nadejdzie!

Czy to źle, że jestem taka szczęśliwa? A może powinnam się czuć winna? Nie. Nie ja sprawiłam, że to się wydarzyło, i nie może to skrzywdzić nikogo oprócz mnie. Przecież mam prawo do własnej radości. Dopóki trwa...

To jest jak drgnienie serca, jak rozpostarcie skrzydeł – och, gdybym tylko potrafiła pisać poezje, jak wtedy, gdy byłam dzieckiem! Próbowałam, ale słowa były tak tanie jak w sentymentalnej piosence. Więc to podarłam. Muszę to wyrazić prosto – wszystko, co mnie wczoraj spotkało – normalnie i po ludzku, bez żadnej pretensjonalności. Choć pragnęłabym być poetką i złożyć hołd...

Mój cudowny dzień zaczął się po wschodzie słońca; często się

wtedy budzę, ale zazwyczaj jeszcze zasypiam. Wczoraj natychmiast przypomniałam sobie, że to dzień przed nocą świętojańską, mój ulubiony, i leżałam rozbudzona, z radością planując swoje obrzędy na kopcu. Wydawało mi się to wszystko jeszcze bardziej cenne niż zwykle, bo zastanawiałam się, czy to czasem nie jest ostatni rok tych moich obrzędów – wprawdzie nie sądziłam, że tak będzie, ale Rose wyrosła z tego, kiedy była mniej więcej w moim wieku. I zgadzam się z nią, że byłoby okropne odprawiać je, gdyby miały być tylko pretensjonalnym udawaniem; w zeszłym roku wydały mi się trochę dziwne, kiedy Topaz życzliwie mi asystowała i wpadła w bardzo pogański nastrój. Najmilsze lata były wtedy, gdy byliśmy jeszcze na tyle małe, żeby się trochę bać.

Pierwszy raz odprawialiśmy obrzędy, kiedy miałam dziewięć lat – pomysł zaczerpnęłam z książki o folklorze. Mama uważała, że to niestosowne dla małych chrześcijanek (pamiętam swoje zdziwienie, że nazwano mnie chrześcijanką), i martwiła się, żeby nasze sukienki nie zajęły się od ognia podczas tańców wokół stosu ofiarnego. Zmarła następnej zimy i w kolejną noc świętojańską miałyśmy o wiele większe ognisko; kiedy dorzucaliśmy drewna, nagle pomyślałam o niej, zastanawiając się, czy nas widzi. Miałam poczucie winy nie tylko z powodu ogniska, ale też dlatego, że już nie tęskniłam za nią i dobrze się bawiłam. Potem przyszła pora na ciasto i byłam zadowolona, że mogę dostać dwa kawałki – ona pozwalała na jeden – lecz w końcu wzięłam tylko jeden. Matka Stephena zawsze piekła wspaniałe ciasto na wieczór świętojański – cała rodzina uczestniczyła w poczęstunku, ale Rose i ja nigdy nie pozwoliłyśmy innym przyłączyć się do naszych obrzędów na kopcu; chociaż następnego roku – po tym, jak zobaczyłyśmy Zjawę – Stephen zaczął kręcić się po dziedzińcu, w razie gdybyśmy zawołały o pomoc.

Kiedy wczoraj leżałam w łóżku, patrząc, jak słońce wspina się znad pola pszenicy, próbowałam przypomnieć sobie wszystkie nasze wieczory świętojańskie po kolei. Doszłam do tego lata, gdy była ulewa i próbowałyśmy rozpalić ognisko pod parasolem. Potem

znowu usnęłam – był to najpiękniejszy, mglisty, lekki sen. Śniło mi się, że byłam na wieży Belmonte o wschodzie słońca i wszędzie dookoła mnie, gdziekolwiek spojrzełam, roztaczało się wielkie złote jezioro. Po zamku nie zostało ani śladu, ale w ogóle się tym nie przejmowałam.

Kiedy robiłam sobie śniadanie, Stephen powiedział mi, że nie wraca na lunch, jak zwykle w sobotę, bo znowu jedzie do Londynu pozować pani Fox-Cotton.

– Chce zacząć pracę jutro rano jak najwcześniej – wyjaśnił – więc mam dziś jechać i tam przenocować.

Zapytałam, czy ma w co zapakować rzeczy, a on mi pokazał zjedzoną przez mole torbę podróżną z grubej dywanowej tkaniny, należącą jeszcze do jego matki.

– Boże, nie możesz tego wziąć – powiedziałam. – Pożyczę ci swoją teczkę, jeśli nie będzie za mała.

– Na pewno nie będzie – odrzekł z uśmiechem.

Zobaczyłam, że bierze tylko koszulę nocną, golarkę, szczoteczkę do zębów i grzebień.

– Czy nie mógłbyś kupić sobie szlafroka, Stephen... z tych pięciu gwinei, które zarobiłeś ostatnim razem?

Powiedział, że przeznaczył je na inne rzeczy.

– No to ze swojej pensji. Nie ma potrzeby, żebyś oddawał nam ją teraz, kiedy mamy dwieście funtów.

Ale on odparł, że nie może robić żadnych zmian bez omówienia tego z Topaz.

– Może ona liczy na mnie. I dwieście funtów nie starczy na wieczność. Nie zacznij czuć się bogata, to niebezpieczne.

W końcu obiecał, że pomyśli o kupnie szlafroka, ale pewnie powiedział to tylko dlatego, żeby mi zrobić przyjemność. Nie – chyba dlatego, żeby skończyć ten temat; już przestał się specjalnie starać, by mi zrobić przyjemność. I niewątpliwie bardzo dobrze, że tak jest.

Ledwie zdążył wyjść, pojawił się ojciec w swoim najlepszym garniturze – on też wybierał się do Londynu, i to na parę dni, proszę,

proszę!

– Gdzie się zatrzymasz, u Cottonów? – zaryzykowałam pytanie.

„Zaryzykowałam” – bo tak właśnie teraz zadaję mu wszystkie pytania.

– Co, gdzie? Tak, przypuszczam, że mógłbym. To bardzo dobry pomysł. Coś przekazać dziewczętom? Przez chwilę nic nie mów.

Patrzyłam na niego w zdumieniu. Wziął ze stołu talerz i badał go dokładnie – taki porysowany stary talerz w chiński niebieski wzór na białym tle, który znalazłam w kurniku i przyniosłam do domu, by uzupełnić braki w naczyniach stołowych.

– Interesujące. To całkiem możliwe – rzekł w końcu, po czym poszedł do wartowni, zabierając talerz ze sobą.

Po paru minutach wrócił bez niego i zabrał się do śniadania.

Widziałam, że jest czymś zaabsorbowany, ale byłam ciekawa, co z tym talerzem. Zapytałam, czy jest cenny.

– Być może, być może – rzucił, patrząc przed siebie.

– Znasz kogoś, kto by go kupił?

– Kupił go? Nie bądź niemądra. I przestań mówić. Dałam temu spokój.

Potem było zwykłe zamieszanie, żeby go wyprawić na czas do pociągu. Wyprowadziłam mu rower i stałam, czekając na dziedzińcu.

– Gdzie masz rzeczy na noc? – spytałam, gdy wyszedł bez bagażu. Jakby się trochę spłoszył, ale odparł:

– No trudno, nie da się zabrać walizki na rower. Obejdę się bez niczego. Chwileczkę. – Zauważył torbę podróżną Stephena, którą wyrzuciłam z kuchni, bo roiała się od jajeczek moli. – O, to się przyda... mógłbym to zawiesić na kierownicy. Szybko, przynieś moje rzeczy!

Zaczęłam mówić, jak okropna jest ta torba, ale pogonił mnie do domu, wykrzykując za mną, tak żebyśmy słyszała: „Piżama!” – jak przechodziłam przez kuchnię, „Przybory do golenia!” – na kuchennych schodach, i „Szczotka do zębów, chustki do nosa i koszula, jeśli jest jakaś czysta!” – gdy szukałam rzeczy w jego

sypialni. Kiedy dotarłam do łazienki, rozległ się ryk: „Dość tego, wracaj zaraz, bo spóźnię się na pociąg!”. Ale kiedy popędziłam na dół, wydawało się, że zapomniał o pośpiechu: siedział na schodku tylnych drzwi i badał torbę.

– To nadzwyczaj interesujące, imitacja perskiego dywanika – zaczął, po czym zerwał się na równe nogi, krzyząc: – No szybko, dawaj mi te rzeczy!

Zegar na kościele w Godsend wybił właśnie pół godziny – i to sprowadziło go z powrotem na ziemię.

Wrzucił wszystko do torby, zawiesił ją na rowerze i odjechał pędem, rozjeżdżając róg rabaty kwiatowej. Przy wartowni nagle zahamował, zeskoczył z roweru i pognął na górę po schodach w wieży; rower, zostawiony bez porządnego oparcia, wywrócił się na ziemię. Kiedy podbiegłam, by go podnieść, ojciec już schodził, niosąc talerz z niebieskim wzorem. Wrzucił go do torby i ruszył znowu, pedałując zawzięcie, a torba obijała mu się o kolana. Na pierwszym zakręcie drogi nagle odwrócił głowę i krzyknął: „Do widzenia!” – o mało nie spadając z roweru. I już go nie było. Nigdy nie widziałam go takiego rozkojarzonego – ale czy naprawdę? Czy nie był przypadkiem właśnie taki w czasach, gdy miał gwałtowne usposobienie?

Po powrocie do domu dotarło do mnie, że będę zupełnie sama w nocy: Thomas spędzał weekend u Harry’ego, swego szkolnego kolegi. Przez moment miałam przerażające poczucie osamotnienia, ale wnet wytłumaczyłam sobie, że nie ma się czego bać – rzadko kiedy pojawiają się na naszej drodze włóczędzy, a jeśli już, to są zazwyczaj bardzo mili; a Heloiza jest wspaniałym psem obronnym.

Gdy już oswoiłam się z myślą, że będę sama tak długo, wręcz mi się to spodobało. Zawsze cieszy mnie taka inna atmosfera w domu, jak człowiek jest sam, i myśl, że może to trwać aż całe dwa dni, cudownie wzmocniła to uczucie. Zamek wydawał się mój jak nigdy przedtem; ten dzień w jakiś szczególny sposób należał do mnie; miałam nawet wrażenie, że byłam sobą bardziej niż zwykle. Bardzo wyraźnie odczuwałam wszystkie swoje ruchy – kiedy podniosłam

ramię, patrzyłam na nie zaskoczona, myśląc: „To moje!”. I znajdowałam przyjemność w poruszaniu się, zarówno w wysiłku fizycznym, jak i w dotknięciu powietrza – to było zupełnie niesłychane, jak powietrze zdawało się dotykać mnie nawet wtedy, gdy było absolutnie nieruchome. Przez cały dzień miałam poczucie ogromnej swobody i przestrzeni. I moje szczęście miało dziwny, zapamiętany smak, jak gdybym już je kiedyś przeżyła. Och, jak mam je uchwycić ponownie – to bezbłędne poczucie rozpoznawania czegoś znajomego, niczym powrót do domu. Teraz mi się wydaje, że ten cały dzień był jak aleja prowadząca do domu, który niegdyś kochałam, ale zapomniałam; pamięć o nim powracała podczas mojej wędrówki tak niejasno, tak stopniowo, że dopiero gdy w końcu ujrzałam mój dom przed sobą, mogłam zawołać:

– Teraz wiem, dlaczego byłam szczęśliwa!

Jak magiczną moc mają słowa! Kiedy pisałam o alei, ujrzałam ją w wyobraźni. Teraz też ją widzę, wysadzaną wielkimi drzewami o gładkich pniach, z gałęzmi spotykającymi się wysoko nade mną. Nieruchome powietrze przepenia spokój, gdy jednak zawiera jakiś rodzaj oczekiwania – co już raz odczułam, kiedy o zachodzie słońca byłam w katedrze w King’s Crypt. Wędruję wciąż dalej i dalej pod sklepieniem gałęzi i liści... i cały czas ta aleja to jest wczoraj, to jest długie zbliżanie się do piękna. Jak dziwne obrazy tworzy umysł...

Przyglądałam się niebu – nigdy nie widziałam, żeby było bardziej jasnoniebieskie. Wielkie pierzaste chmury, z iskrzącymi się srebrem brzegami, kłębią się na tle słońca. Cały ten dzień jest srebrzysty, migotliwy, słychać ostre skrzeczenie ptaków... Wczorajszy dzień był złotawy; rankiem światło było lekko senne, a wszystkie dźwięki wydawały się stonowane.

Koło dziesiątej skończyłam swoje zwykłe zajęcia i zastanawiałam się, co dalej robić. Przeszłam się po ogrodzie, przyjrzałam się drozdowi, który nasłuchując, szukał robaków na trawniku, i w końcu zatrzymałam się na trawiastym brzegu fosy. Kiedy dotknęłam ręką błyszczącej wody, okazało się, że jest o wiele cieplejsza, niż myślałam, więc zdecydowałam się na kąpiel. Przepłynęłam dookoła

zamku dwa razy, słysząc w myślach *Muzykę na wodzie* Haendla.

Kiedy wieszalałam swój kostium kąpielowy za oknem sypialni, nagle zamarzyłam, by położyć się na słońcu nago. Nigdy nie czułam niczego takiego – u nas Topaz zawsze miała monopol na nagość – ale im więcej o tym myślałam, tym bardziej mi się to podobało. I wpadłam na wspaniały pomysł, żeby iść się opalać na szczyt sypialnianej wieży, gdzie nikt pracujący na polach czy idący naszą drogą nie mógł mnie zobaczyć. To przedziwne uczucie tak wspinać się nago po zimnych, szorstkich kamiennych stopniach – ekscytujące w jakiś tajemniczy sposób, którego nie potrafiłam sobie wyjaśnić. Wyjście na zewnątrz na szczycie było cudowne: ciepło i światło otuliły mnie jak ogromna peleryna. Gorąca ołowiana blacha prawie parzyła mi stopy; byłam bardzo zadowolona, że pomyślałam, by przynieść koc do rozłożenia.

Panował idealny spokój. Ta wieża zachowała się najlepiej ze wszystkich; krąg obronnego szczytu z blankami jest kompletny, chociaż widać parę głębokich pęknięć – w jednym wyrósł nagietek. Gdy już położyłam się na wznak, nie mogłam nawet zobaczyć blanków bez odwracania głowy. Nade mną nie było nic poza wypełnioną słońcem kopułą bezchmurnego nieba.

Cóż to za różnica: być w najbardziej nawet skąnym kostiumie kąpielowym czy nie mieć na sobie niczego! Po paru minutach wydawało mi się, że żyję w każdym calu swego ciała taką pełnią, jaką zwykle czuję tylko w umyśle, w dłoniach i w sercu. Miałam fascynujące wrażenie, że potrafię myśleć każdą częścią swego ciała z taką samą łatwością jak umysłem – i nagle pomyślałam całym swoim ciałem, że niedorzeczności Topaz o obcowaniu z naturą nie są wcale żadnymi niedorzecznościami. Ciepło słońca odczuwałam jak ogromne, obejmujące mnie lekko dłonie, a drgnienia powietrza jak delikatne palce. Mój sposób czczenia natury zawsze był związany z magią i folklorem, chociaż czasami przybierał lekko świątobliwe zabarwienie. Tym razem było inaczej. Chyba to właśnie Topaz określa jako „pogańskie”. W każdym razie było to ekscytujące.

Ale przód mojego ciała zrobił się strasznie gorący. Kiedy jednak odwróciłam się na brzuch, stwierdziłam, że moje plecy nie były tak bardzo zainteresowane obcowaniem z naturą. Zaczęłam myśleć tylko mózgiem, w normalny sposób, i poczułam, że mój umysł raczej zamyka się w sobie – pewnie dlatego, że nie miał niczego innego do oglądania poza dachem i to było bardzo nudne. Zaczęłam przysłuchiwać się ciszy – nie pamiętam takiego cichego poranka. Żaden pies nie zaszczekał, żadna kura nie zagdakała; najdziwniejsze, że w ogóle nie śpiewały ptaki. Wydawało mi się, że jestem w dźwiękoszczelnej kuli upału. Właśnie pomyślałam, że może straciłam słuch, kiedy pochwyciłam najdelikatniejszy cień dźwięku – pac, pac – nie miałam pojęcia, co to mogło być. Kap, kap – rozwiązałam problem: woda z mojego kostiumu kąpielowego kapie do fosy. Potem pszczoła, bzyząc, wylądowała na nagietku koło mojego ucha – i nagle stało się tak, jakby wszystkie pszczoły całego letniego świata zaczęły brzęczeć wysoko na niebie. Zerwałam się na równe nogi i zobaczyłam zbliżający się samolot, więc pognałam do schodów i siadłam tam, wystawiając tylko głowę. Samolot przeleciał całkiem nisko nad zamkiem, a mnie przyszedł do głowy śmieszny pomysł, że jestem średniowieczną damą z rodu de Godysów, która właśnie widzi człowieka lecącego przez wieki – i może ma nadzieję, że to przybywa ukochany, by ją zdobyć.

A potem średniowieczna dama zeszła po omacku po schodach i włożyła swoją szatę.

Właśnie kiedy skończyłam się ubierać, na dziedzińcu pojawił się listonosz, wołając: „Jest ktoś w domu?”. Miał paczkę – dla mnie! Rose poszła jeszcze raz do tego sklepu i zamówiła perfumy Noc Świętojańska; a ja myślałam, że zapomniała. Och, to był fascynujący prezent! Pod zewnętrznym opakowaniem zobaczyłam drugie – białe w kolorowe kwiatki – skrywające niebieskie, aksamitne w dotyku pudełko, w którym była buteleczka ozdobiona wygrawerowanym księżycem i gwiazdami, a w niej – bladozielone perfumy. Korek zabezpieczono srebrnym drucikiem i srebrnymi pieczęciami. Najpierw pomyślałam, że otworzę je natychmiast;

potem zdecydowałam, że otwarcie perfum będzie wstępem do obrzędów, czymś, na co będę się cieszyć cały dzień. Postawiłam więc buteleczkę na tej połowie toaletki, która kiedyś należała do Rose, i posłałam jej w myślach fale podziękowań. Chciałam napisać do niej o moich „zabawach na Belmotte”, jak to nazywała, i zaznaczyć, że specjalnie na tę okazję skropiłam się tymi perfumami... Och, dlaczego nie napisałam natychmiast? Co ja mogę jej teraz powiedzieć...?

Byłam głodna, ale nie chciało mi się gotować, więc zrobiłam sobie najwspanialszy lunch z zimnej fasoli w sosie pomidorowym – co za rozkosz, że możemy sobie teraz znowu pozwolić na jedzenie z puszek! Zjadłam też chleb z masłem, sałatę i zimny pudding ryżowy oraz dwa kawałki ciasta (prawdziwego ciasta ze sklepu) i popiłam mlekiem. Hel i Ab (nasz pies i kot) siedziały na stole, częstowane smakołykami – naturalnie dostały wcześniej już swój obiad. Natychmiast zabrały się do fasoli w sosie pomidorowym – mało jest rzeczy, do których się nie zabierają, a Heloiza zjadła nawet posoloną sałatę. (Podczas naszego okresu głodowego stała się prawie wegetarianką). Potem cała nasza trójka, bardzo objedzona, ucięła sobie drzemkę w łóżu z baldachimem, Ab zwinął się w kłębek u moich stóp, a Hel przywarła grzbietem do mojej piersi, co mnie trochę za bardzo grzało – ale zawsze daje to kojące poczucie czyjejś obecności.

Spaliśmy dobrych parę godzin – chyba nigdy nie spałam tak długo w dzień; miałam okropne poczucie winy, kiedy się obudziłam i zobaczyłam, że jest prawie wpół do czwartej. Hel uderzała ogonem, jakby właśnie skądś wróciła, a Ab popatrzył na nas, jakby nigdy w życiu nas nie widział – po czym zeskoczył z łóżka, poostrzył pazurki na pojedynczej nodze panny Blossom i ruszył na dół. Kiedy wyjrzałam na dziedziniec parę minut później, był już wysoko na zewnętrznym murze, z jedną łapą wskazującą w niebo, pilnie się myjąc. To mi podsunęło pomysł, żeby umyć włosy.

A potem był już czas, by zbierać kwiaty na obrzędy.

To muszą być dzikie kwiaty – nie pamiętam, czy taka jest tradycja,

czy wymyśliłyśmy tak Rose i ja: ślaz, firletka i dzwonek na girlandy do powieszenia na szyi, naparstnica do niesienia w ręce i zawsze dzikie róże we włosach. Nawet gdy Rose przestała brać udział w obrzędach, niekiedy przyłączała się do zbierania kwiatów na girlandy – cały czas rozmawiałam z nią wczoraj i słyszałam jej odpowiedzi; to sprawiło, że było mi jej brak jeszcze bardziej niż kiedykolwiek, więc rozmawiałam z Heloizą. Odbyłyśmy bardzo spokojną, przyjazną przechadzkę wzdłuż naszej drogi i przez pola i Heloiza co paręnaście metrów niosła koszyk z kwiatami przez parę sekund, a jej ogon merdał wtedy z dumą. Cieszyłam się, że było jeszcze dużo dzwoneków w modrzewiowym zagajniku. Jeden z najmiłszych widoków, jakie znam, to Heloiza wężająca dzwonek swoim długim, białym, wilgotnym nosem. Jak ludzie mogą mówić, że bulterierzy są brzydkie? Heloiza jest cudowna – chociaż trochę za bardzo przytyła w tych ostatnich, bardzo sytych tygodniach.

Wstawiłam na długo kwiaty do wody – polne tak szybko marnieją bez niej, że nigdy nie robię girlandy przed siódmą. Do tego czasu nazbierałam dosyć gałązek, by rozpaścić ogień – Stephen zawsze przynosi mi polana – i spakowałam koszyk. Kiedy skończyłam girlandę, była już prawie ósma i blade księżyc wschodził, chociaż niebo ciągle jeszcze było niebieskie. Przebrałam się w zieloną lnianą suknię, założyłam girlandę i wpięłam we włosy dzikie róże; potem, w ostatniej chwili, otworzyłam perfumy od Rose.

Jeden głęboki wdych i znów znalazłam się w tym ekskluzywnym sklepie – och, to był wspaniały zapach! Ale dziwna rzecz, nie przypominał mi już hiacyntów. Poruszyłam skropioną lekko chusteczką i udało mi się uchwycić to wrażenie na sekundę, lecz głównie była to po prostu tajemnicza, nieuchwytna słodycz, która oznaczała Londyn i luksus. Tyle że zabiło to delikatną woń dzikich kwiatów i wiedziałam, że zepsułoby też cudowny zapach, który idzie od trawy na Belmonte po gorącym dniu; zdecydowałam więc, że nie użyję perfum do obrzędów. Powąchałam je jeszcze raz i zbiegłam do kuchni po worek gałązek i koszyk, i wyruszyłam. Byłam zadowolona, że Heloiza nie szła ze mną, bo zawsze chce

zjeść obrzędowe ciasto.

Kiedy wspinałam się na kopiec, nie czułam nawet najbliższego powiewu wiatru. Słońca już nie było – zazwyczaj zaczynam obrzędy, patrząc, jak zachodzi, jednak próbowanie perfum trwało dłużej, niż myślałam. Niebo za wieżą Belmonte było wodnistożółte, z jednym pasemkiem zieleni – żywej zieleni, magicznie pięknej. Ale szybko zbladła i znikła, kiedy dotarłam do kamieni, które ułożyliśmy, by otoczyć ogień. Patrzyłam, aż żółty kolor także zbladł – po czym obróciłam się do księżyca, który stał jeszcze nisko nad polem pszenicy. Błękit dookoła pociemniał tak mocno, że księżyc nie był już blady, lecz wyglądał jak mnóstwo skrzącego się śniegu.

Panował tak głęboki spokój, że wydawało się, jakby opływała mnie miękka, gęsta substancja, w której nie mogłam się poruszać; ale kiedy zegar na wieży kościoła wybił dziewiątą, ruszyłam się wreszcie. Wysypałam gałązki z worka na środek kamiennego kręgu i dołożyłam małe polana przygotowane przez Stephena. Przyniósł także kilka długich cienkich gałęzi, które ustawiłam nad polanami jak tyczki wigwamu. Potem poszłam do wieży po ogień na podpalenie ogniska.

Prawdziwy sposób na rozpalenie ognia w noc świętojańską to pocieranie dwóch suchych kawałków drewna; ale kiedy pierwszy raz przygotowujemy obrzędy, spędziliśmy na tym godzinę i nie udało nam się uzyskać ani isierki. Zdecydowaliśmy więc, że będzie wystarczająco pogańsko, jeżeli weźmiemy do wieży zapalki i zapalimy świeczkę. Potem Rose ją wyniosła, a ja szłam za nią, machając kwiatem naparstnicy. Zawsze byliśmy zafascynowane tym, że już przy takim nikłym płomieniu zmierzch od razu stawał się głębszy i o wiele bardziej niebieski – uważaliśmy, że to był początek czarów; i było niezwykle ważne, żeby świeczka nie zgasła, kiedy szliśmy na dół po schodach wieży i przechodziliśmy przez kopiec – w wietrzne wieczory używaliśmy szkła od lampy naftowej, by ochronić płomień. Wczoraj wieczorem było tak spokojnie, że nawet nie musiałam osłaniać go dłonią.

Kiedy już ognisko płonie, cała okolica ginie w mroku, więc ostatni

raz popatrzyłam wkoło po spokojnych polach, żałując, że zaraz znikną. Potem podpaliłam gałązki. Zająły się szybko – kocham te pierwsze minuty ogniska, skwierczenie i trzaski, delikatne migotliwe płomyczki, pierwszy ostry zapach dymu. Polana wolniej zaczynała się palić, więc położyłam się z głową przy ziemi i dmuchnęłam. Nagle płomienie objęły dłuższe gałęzie wigwamu i zobaczyłam śnieżny księżyc uwięziony w klatce z ognia. Potem zasłonił go dym, kiedy polana wreszcie zaczęła się palić. Pozbierałam się z ziemi i usiadłam wygodnie, patrząc w buzujące wysoko płomienie. Wszystkie moje myśli wydawały się tonąć w ogniu – i palić razem z nim w jasno oświetlonym kręgu z kamieni. Cały świat zdawał się wypełniony syczeniem, trzaskami i hukami.

I wtedy, gdzieś daleko w zapomnianym zmierzchu, ktoś zawołał moje imię.

– Cassandra...!

Czy nadleciało to z drogi, czy z zamku? I czyj to był głos? Kompletna cisza, czekałam, aż zawoła znowu, próbując odgrodzić się od trzasków ognia. Czy to był głos mężczyzny, czy kobiety? Chciałam to sobie odtworzyć, ale słyszałam tylko ogień. Po paru sekundach pomyślałam, że musiało mi się zdawać. Potem Heloiza zaczęła szczekać tak, jak szczeka, kiedy ktoś nadchodzi.

Pobiegłam przez kopiec i spojrzałam w dół. Z początku moje oczy były tak pełne płomieni, że nic nie mogłam zobaczyć wyraźnie, potem stopniowo blade światło wieczoru znowu rozpostarło się dookoła mnie; ale niczego nie widziałam ani na drodze, ani na dziedzińcu, bo gęsta mgła podnosiła się z fosy. Heloiza szczekała tak zajadle, że zdecydowałam się iść na dół. Właśnie kiedy zaczęłam schodzić, ona przestała szczekać – a potem, przez mgłę, znowu dotarł do mnie ten głos: „Cas-san-dra!” – długie, przeciągłe wołanie. Tym razem wiedziałam, że to głos mężczyzny, ale wciąż nie mogłam go rozpoznać. Byłam pewna, że to nie jest ani głos ojca, ani Stephena, ani Thomasa. To był głos, który nigdy przedtem mnie nie wołał.

– Tutaj jestem! – odpowiedziałam. – Kto tam?

Ktoś poruszał się we mgle, idąc przez mostek. Heloiza pobiegła przodem, zadowolona z siebie.

„Ależ oczywiście, to z pewnością Neil!” – pomyślałam nagle i zaczęłam biec na dół, by go spotkać. W końcu zobaczyłam go wyraźnie. To nie był Neil. To był Simon.

Och, jak dziwnie jest to wspominać – wcale się nie ucieszyłam, że go widzę. Chciałam, żeby to był Neil – jeżeli już ktoś w ogóle musiał być, kiedy właśnie miałam zaczynać obrzędy. Nie miałabym pretensji do nikogo, kto by zobaczył taką dużą dziewczynę, odprawiającą je, i uznał, że jest „rozmyślnie naiwna”.

Kiedy podaliśmy sobie dłonie na powitanie, zdecydowałam, że wezmę go do domu i nie wspomnę o ognisku. Ale on popatrzył w górę i powiedział:

– Zapomniałem, że dziś jest noc świętojańska... Rose mi opowiadała, jak dobrze się zawsze bawiłyście. Jaką masz ładną girlandę.

A później poszliśmy razem na kopiec.

Przyjechał, by spotkać się z zarządcą Scoatney, i pracował z nim cały dzień.

– Potem pomyślałem, że złożę tobie i twemu ojcu wizytę. Nie ma go? Nie widziałem żadnych świateł w zamku.

Wyjaśniłam, co z ojcem. Powiedziałam, że całkiem możliwe, iż pojawił się w ich londyńskim mieszkaniu.

– No to będzie musiał spać w moim pokoju. Tłoczmy się w tym apartamencie jak sardynki w puszcze. Jaki wspaniały ogień!

Kiedy usiedliśmy, zastanawiałam się, ile Rose mówiła mi o naszych obrzędach – miałam nadzieję, że wiedział tylko, że paliliśmy ognisko. Potem zauważyłam, że patrzy na koszyk.

– Jak się ma Rose? – zapytałam szybko, żeby odwrócić jego uwagę od koszyka.

– Doskonale, przesyła ci ucałowania. Topaz też. Czy to jest to porto od pastora, o którym Rose mi mówiła?

Butelka po lekarstwie wyraźnie wystawała z koszyka.

– Tak, pastor daje mi trochę każdego roku – powiedziałam, czując

się okropnie zażenowana.

– Czy my to będziemy pić, czy urządzimy libację wedle starożytnych zwyczajów?

– My?

– Och, mam zamiar też świętować. Będę reprezentował Rose, nawet jeżeli ona czuje się już na to za stara.

Nagle opuściło mnie całe zażenowanie. Pomyślałam, że Simon jest jednym z niewielu ludzi, dla których obrzędy nocy świętojańskiej będą naprawdę romantyczne – że przyjmie je jako powiązanie z przeszłością i że mogłoby to nawet pomóc tym angielskim korzeniom, które chce zapuszczać.

– Dobrze – zgodziłam się więc. – To bardzo miło. – Zaczęłam rozpakowywać koszyk.

Przyglądał się ze sporym zainteresowaniem.

– Rose nigdy mi nie mówiła o paczuszce ziołowych przypraw kuchennych. Do czego one służą?

– Palimy je, chronią przed czarami. Oczywiście nie powinny pochodzić ze sklepu, lecz należy je zbierać przy księżycu. Ale nie wiem, gdzie można znaleźć takie ładnie pachnące.

Powiedział, bym w przyszłości brała je z ogrodu ziół w Scoatney.

– Będą wdzięczne, że się ich używa, po tym, jak zrobiły kompletną klapę w sałatkach. A co to jest to białe?

– To sól, odpędza pecha. I daje płomieniom cudowny niebieski kolor.

– A ciasto?

– Prezentujemy je ognisku, zanim zjemy. Potem pijemy wino i rzucamy parę kropli w płomień.

– A potem tańczycie dookoła ogniska? Powiedziałam mu, że jestem na to o wiele za stara.

– Nigdy w życiu, wcale nie jesteś – odparł Simon. – Będę tańczył z tobą.

Nie wspomniałam mu o wierszach, które zwykle recytuję, bo napisałam je, kiedy miałam dziewięć lat, i są tak głupie, że szkoda gadać.

Wysokie płomienie zamierały; widziałam, że będziemy potrzebować więcej drewna, jeżeli mamy utrzymać wielkie buzujące ognisko. Pamiętałam, że było trochę starego drewna w wieży – pozostałość z czasów, kiedy często robiliśmy pikniki na kopcu. Poprosiłam Simona, by pomógł mi je przynieść.

Kiedy doszliśmy do wieży, zatrzymał się na chwilę, patrząc w górę na jej szczyt na tle nieba.

– Ile ma wysokości? – zapytał. – Na pewno z siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt stóp.

– Sześćdziesiąt – odrzekłam. – Wygląda na wyższą, bo stoi taka samotna.

– Przypomina mi obraz, który kiedyś widziałem, zatytułowany *Wieża czarnoksiężnika*. Można tam wejść na górę?

– Thomas tam wszedł parę lat temu, ale to było bardzo niebezpieczne; i górna część schodów jeszcze się mocniej pokruszyła od tego czasu. W każdym razie nie ma tam gdzie wyjść, nawet jeżeli człowiek się dostanie na górę... dach zapadł się setki lat temu. Idź i sam zobacz.

Wspięliśmy się po zewnętrznych długich kamiennych schodach, które prowadzą do wejścia, a w środku zeszliśmy po drabinie. Gdy popatrzyliśmy na krąg nieba wysoko nad nami, było ono jeszcze ciągle jasnoniebieskie, jednak pełne gwiazd – wydawało się to dziwne, bo na zewnątrz prawie wcale nie było ich widać.

Przez otwarte drzwi wpadało wystarczająco dużo światła, by Simon mógł się rozejrzeć. Pokazałam mu początek krętych schodów, ukryty pod takim jakby wybrzuszeniem. (To tam chowam mój pamiętnik). Zapytał, co jest za sklepionym przejściem, które prowadzi do wybrzuszenia po przeciwnej stronie.

– Teraz nic – odparłam. – Kiedyś były tam garderoby. – Powinnam właściwie powiedzieć: „wygódki” albo „latryny”, ale „garderoby” lepiej brzmi.

– Ile tu pierwotnie było pięter?

– Trzy, możesz zobaczyć wyjścia z klatki schodowej. Był poziom wejścia, komnata powyżej i lochy poniżej, tu gdzie teraz jesteśmy.

– Założę się, że dobrze się tu bawili, siedząc i ucztuając, podczas gdy więźniowie w lochach szczękali łańcuchami.

Powiedziałam, że prawdopodobnie ucztowano gdzie indziej – kiedyś musiało być tego zamku Belmonte znacznie więcej, chociaż żadne ślady się nie zachowały.

– Najpewniej to była głównie wieża strażnicza. Uważaj, żebyś nie wpadł na stelaż łóżka.

Stelaż już tu był, kiedy się sprowadziliśmy – od podwójnego łóżka, dość wymyślny, teraz masa zardzewiałego żelaza. Ojciec zamierzał się go pozbyć, ale potem, kiedy zobaczył, jak białe kwiatki trybuli leśnej przedzierają się przez niego ku światłu, stelaż mu się spodobał. Rose i ja lubiliśmy tu przesiadywać, ale mama zawsze narzekała, bo nasze białe majtki ciągle miały rdzawe plamy od sprężyn łóżka.

– To czysty surrealizm – powiedział Simon, śmiejąc się. – Nigdy nie zrozumiem, dlaczego tak wiele porzuconego żelastwa poniewiera się po całym kraju.

Wyraziłam przypuszczenie, że pewnie dlatego, iż żelastwo jest takie trwałe, podczas gdy inne śmieci po prostu się rozkładają.

– Ale z ciebie logiczna panienska, nigdy bym tego nie potrafił wymyślić. – Przez chwilę nic nie mówił, patrząc na zamglony szczyt wysokiej wieży. Spóźniony ptak przyleciał z rozgwieżdżonego nieba i trzepocąc skrzydłami, wylądował w swoim gnieździe, wysoko w otworze strzelniczym. – Czy ty to potrafisz zrozumieć, to uczucie, że tu naprawdę mieszkali ludzie? – zapytał w końcu.

Wiedziałam dokładnie, co miał na myśli.

– Kiedyś próbowałam to ogarnąć, lecz oni zawsze wydawali mi się jak figurki na gobelinie, a nie żywi mężczyźni i kobiety. To było tak dawno temu. Ale musi mieć jakieś znaczenie to, że tę wieżę zbudował jeden z twoich przodków. Szkoda, że ród de Godysów wymarł.

– Nazwałbym swojego najstarszego syna Etienne de Godys Cotton, gdybym wiedział, że z takim imieniem da radę przeżyć w Anglii... Myślisz, że to by było możliwe? W Ameryce na pewno by się

wyśmiewano z takiego dziecka.

Powiedziałam, że się obawiam, że w każdym kraju takie dziecko byłoby narażone na kpiny. Nagle w wejściu na górze pojawiła się Heloiza, co nam przypomniało, że trzeba wziąć drewno, po które przyszliśmy.

Wyciągnęłam je spod wiejskiego stołu i podawałam gałęzie Simonowi, który stał w połowie drabiny – ten sam sposób zawsze stosowałyśmy z Rose. Kiedy w końcu wspiełam się po drabinie, Simon pomógł mi się wydostać i rzekł:

– Popatrz, oto czary dla ciebie.

Mgła z fosy podnosiła się i opływała Belmonte; niższe części wzgórza były już zakryte.

– Tak samo było tej nocy, kiedy zobaczyłyśmy Zjawę – odezwałam się.

– Co takiego?

Opowiedziałam mu o tym, gdy nieśliśmy gałęzie do ogniska.

– To się zdarzyło w trzecim roku naszego odprawiania obrzędów, po bardzo gorącym i bezwietrznym dniu, jak dzisiaj. Mgła tak samo szła w naszym kierunku i nagle przybrała kształt ogromnej zjawy, tak wysokiej... och, wyższej niż wieża. I wisiało to tam między zamkiem i nami; wydawało się, że spada na nas... nigdy w życiu nie czułam takiego przerażenia. I dziwna rzecz, żadna z nas nie próbowała uciekać; wrzasnęłyśmy i przypadłyśmy twarzami do ziemi. To była właśnie Zjawa, a ja wymówiłam zaklęcie, które coś takiego obudziło.

Roześmiał się i powiedział, że to musiało być jakieś złudzenie optyczne wywołane mgłą.

– Biedne dzieciaki! Co się zdarzyło później?

– Modliłam się do Boga, by to zabrał, i On bardzo uprzejmie mnie wysłuchał. Rose była na tyle odważna, żeby po minucie albo dwóch popatrzeć na to, ale znikło. Potem było mi tego żal; śmiem twierdzić, że nikt tego czegoś nie wzywał od czasów pradawnych Brytów.

Simon roześmiał się znowu, po czym zerknął na mnie

z zaciekawieniem.

– Nie myślisz ciągle jeszcze, że to była zjawa?

Czy nie myślę? Wiem tylko, że właśnie wtedy odruchowo spojrzałam w stronę nadchodzącej mgły – jej pierwsza kłębiąca się fala już przeszła i teraz mgła pełzła rozrzedzona – i nagle wspomnienie tego ogromnego kształtu wróciło tak przerażające, że o mało nie krzyknęłam. Udało mi się niewyraźnie zaśmiać i zaczęłam dokładać drewna do ogniska, tak żebym mogła już nie mówić na ten temat.

Rose też wierzyła, że to była zjawa – a przecież Rose miała wtedy prawie czternaście lat i wcale nie bujała w obłokach.

Kiedy ogień znowu buzował wysoko, uznałam, że trzeba powoli kończyć obrzędy. Moje zażenowanie z ich powodu znowu trochę wróciło, więc starałam się być bardzo rzeczowa; muszę powiedzieć, że opuszczenie wiersza sprawiło, że wszystko było raczej nudne. Spaliliśmy sól i zioła i podzieliliśmy się ciastem z Heloizą; Simon zjadł tylko trochę, bo był najedzony po obiedzie. Później wypiliśmy porto pastora – mieliśmy jeden kieliszek do wina, więc Simon pił z butelki po lekarstwie, co, jak powiedział, nadało winu bardzo interesujący posmak; potem dopełniliśmy ceremonii libacji, dodatkowo wznosząc toast za Rose. Miałam nadzieję, że na tym skończymy, ale Simon zdecydowanie przypomniał o tańcach dookoła ogniska. W końcu okrążyliśmy je siedem razy, a Heloiza biegła za nami i szczełała jak szalona. Trochę to było tak, jakby Simon bawił się z dziećmi, ale wiem, że tak nie myślał, i był taki miły, że musiałam udawać, że się dobrze bawię – nawet udało mi się zrobić parę szalonych skoków. Topaz jest najlepsza w skokach; zeszłego roku prawie wstrząsnęła kopcem.

– Co teraz? – zapytał Simon, kiedy wreszcie padliśmy na ziemię. – Nie złożymy w ofierze Heloizy?

Właśnie próbowała nas lizać z wielkim zapalem, zachwycona, że nas wreszcie złapała po długim polowaniu.

– Gdybyśmy ją przeprowadzili przez żarzący się popiół, wyleczyłoby ją to z zarazy – wyjaśniłam – ale akurat jest całkiem

zdrowa. I to już wszystko. Potem zwykle siedzę tu spokojnie, aż płomienie wygasną, i próbuję w myślach przenieść się w przeszłość.

To naturalnie bardzo odpowiadało Simonowi, tyle że nie udało nam się przenieść bardzo daleko w przeszłość, bo cały czas rozmawialiśmy. Powiedział między innymi, że się nigdy nie przyzwyczai do cudownego długiego angielskiego zmierzchu. Nigdy przedtem nie zwróciłam uwagi na to, że mamy długie zmierzchy – Amerykanie chyba naprawdę mówią rzeczy, które sprawiają, że Anglicy zauważają Anglię.

Dywan mgły podpełzł i zatrzymał się parę stóp od nas. Simon powiedział, że musiałam to zaczarować. W dole, nad fosą, mgła wisiała tak wysoko, że widać było tylko wieże zamku. Ogień zgasł szybko i wkrótce został tylko szary dym przenikający szary zmierzch. Zapytałam Simona, czy to, co widzieliśmy, było końcem światła dnia, czy początkiem księżycowego światła nocy – i naprawdę trudno to było stwierdzić. Potem stopniowo światło księżycy zwyciężyło i mgła otulająca zamek posrebrzała.

– Czy ktoś potrafiłby to namalować? – odezwał się Simon. – Debussy wyraził to w muzyce. Lubisz go?

Musiałam przyznać, że nigdy nie słyszałam ani jednej nuty Debussy’ego.

– Och, na pewno musiałaś słyszeć. Na płytach albo w radiu... Kiedy mu wyjaśniłam, że nie mamy ani gramofonu, ani radia, był zdumiony. Wydaje mi się, że Amerykanie nie potrafią uwierzyć, że ktoś na świecie może nie mieć takich rzeczy.

Powiedział mi, że mają w Scoatney nowy gramofon, który sam zmienia płyty, a ja myślałam, że żartuje, dopóki nie zaczął opisywać, jak to działa.

– Może cię zawiozę teraz i posłuchasz – zaproponował. – Zjemy jakąś kolację.

– Przecież mówiłeś, że zjadłeś duży obiad – przypomniałam mu.

– No to mogę z tobą rozmawiać, jak będziesz jadła. A Heloiza dostanie kość w kuchni. Zobacz, jak próbuje łapami zetrzeć rosę z nosa! Idziemy, ta trawa robi się bardzo wilgotna. – Pomógł mi

wstać.

Z przyjemnością przyjąłem zaproszenie, bo byłem straszliwie głodny. Simon zdeptał przygasający żar ogniska, a ja poszłam zamknąć drzwi do wieży. Przystanąłam na chwilę na szczycie schodów, próbując uchwycić wrażenia i emocje, które zwykle mam w noc świętojańską – bo byłem zbyt zajęta zabawianiem Simona, żeby o tym pomyśleć wcześniej. I nagle zrozumiałam, że słusznie obawiałam się, że to może być mój ostatni rok odprawiania tych obrzędów – że jeśli kiedyś znowu wezmę w nich udział, to wtedy ja będę „bawiła się z dziećmi”. Poczułam tylko leciutki smutek, bo miałam przed sobą przyjemność kolacji w Scoatney; ale powiedziałam sobie, że mimo obecności Simona i tak wykonam pożegnalne zawołanie – tym razem pożegnanie na zawsze, a nie tylko na rok. To zawołanie jest takim dziwnym okrzykiem bez słów, składającym się ze wszystkich samogłosek – to było fascynujące, kiedy robiłyśmy to razem z Rose, ale sama też całkiem dobrze to potrafię. „Ayieou!” – zawołałam i odbiło się to echem od murów zamku, tak jak zawsze. Potem Heloiza podniosła łeb i zawyła – i znowu odezwało się echo. Simon był zachwycony; powiedział, że to był najlepszy moment obrzędów.

Schodzenie z Belmonte było przedziwnym doznaniem – każdy krok prowadził nas coraz głębiej w mgłę, aż zamknęła się nad naszymi głowami. Jakbyśmy utonęli w oparach wody.

– Lepiej weź płaszcz – powiedział Simon, kiedy szliśmy przez most w stronę dziedzińca – bo auto jest odkryte. Zaczekam tu na ciebie.

Pobiegłam na górę umyć ręce; były brudne od drewna. I lekko skropiłam perfumami Noc Świętojańska suknię i chusteczkę – były bardzo odpowiednie na proszoną kolację. Moja girlanda jeszcze nie zwiędła, więc założyłam ją na płaszcz, ale kiedy szłam na dół, uznałam, że może wyglądać afektowanie i na pewno będzie potrzebowała wody; dlatego, przechodząc przez zwodzony most, wrzuciłam ją do fosy.

To nie było to auto, które zwykle przyjeżdża ze Scoatney, tylko

nowe, bardzo długie i niskie; tak niskie, że człowiek się boi, że uderzy pupą o drogę.

– Uważam, że jest trochę zbyt ekstrawaganckie – odezwał się Simon – ale Rose straciła dla niego głowę.

Noc była cudownie jasna, gdy odjechaliśmy spory kawałek od zamku – patrzyliśmy na zamek z wysokiego punktu drogi do Godsend i było widać tylko mały obłok mgły wznoszący się z pól pszenicy oświetlonych blaskiem księżyca.

– Moim zdaniem ten zamek jest zaczarowany – powiedział Simon.
– Może jak cię będę odwoził, to okaże się, że znikł na zawsze.

Nowym autem jechało się fantastycznie. Oczywiście mieliśmy na wysokości stromej skarpy poniżej żywopłotu na poboczu i każde źdźbło trawy było jaskrawozielone w świetle reflektorów, wydając się bardziej żywe niż w najmocniejszym słońcu. Musieliśmy jechać bardzo powoli z powodu zajęcy – Heloiza cały czas próbowała rzucać się na nie przez przednią szybę. Jeden biedny zajac biegł przed nami tak długo, że Simon w końcu zatrzymał auto i zgasił reflektory, żeby zwierzak mógł oprzytomnieć i wskoczyć do rowu. Kiedy czekaliśmy, zapalił papierosa, odchyłiliśmy głowy na oparcia i patrzyliśmy w gwiazdy, rozmawiając o astronomii i przestrzeni kosmicznej rozciągającej się bez końca, i o tym, jakie to niepokojące.

– No i oczywiście jest jeszcze wieczność... – zaczęłam, a wtedy zegar na kościele w Godsend wybił dziesiątą i Simon powiedział, że musimy się spieszyć, żeby nadrobić czas.

Bardzo niewiele świateł paliło się jeszcze w Scoatney – nagle zastanowiło mnie, czy cała służba poszła już spać; ale pojawił się kamerdyner, by nas powitać. Jakie niezwykle musi być to, że można powiedzieć do postawnego, imponującego mężczyzny: „Kolację dla panny Mortmain proszę przynieść do pawilonu, dobrze?” – bez żadnych przeprosin, że sprawia się kłopot tak późno w nocy! Przeprosiłam ze swej strony, a kamerdyner odrzekł: „Nic nie szkodzi, panienko” – ale tak raczej z dystansem. Kiedy szedł sztywnym krokiem za Heloizą (ona już zna drogę do kuchni), nagle

zdałam sobie sprawę, że wkrótce będzie kamerdynerem Rose. Ciekawa jestem, czy ona się kiedykolwiek do niego przyzwyczai.

Minęliśmy mroczny hol i wyszliśmy na tyłach domu.

– Proszę, oto twoje zioła w świetle księżycy – rzekł Simon. Poprowadził mnie przez mały, raczej nieciekawy ogród ziołowy – sama idea ziół jest o wiele bardziej ekscytująca niż ich wygląd – a potem dalej, do ogrodu roślin wodnych, gdzie włączył fontanny na środku dużej owalnej sadzawki. Przez parę minut patrzyliśmy na nie, siedząc, po czym poszliśmy do pawilonu. Simon zapalił tylko jedną świecę.

– Zgaszę ją, jak nastawię gramofon – powiedział. – Będziesz mogła dalej oglądać fontanny i słuchać Debussy’ego... dobrze pasuje to do siebie.

Usiadłam przy jednym z trzech wysokich łukowatych okien i rozejrzałam się dookoła; nie byłam w pawilonie od czasu, kiedy przemieniono go na pokój muzyczny. Razem z cudownym gramofonem przybył duży koncertowy fortepian i dziesiątki albumów płytowych, ułożonych na półkach dwóch pomalowanych szafek. Simon przeszedł wzdłuż nich ze świecą, szukając płyt z muzyką Debussy’ego.

– Chyba powinniśmy zacząć od samego początku – powiedział – ale nie myślę, żebyśmy mieli coś z *Kącika dziecięcego*. Dam ci posłuchać *Clair de lune* i na pewno okaże się, że to znasz.

Miał rację – jak tylko się zaczęło, przypomniałam sobie: kiedyś jedna uczennica grała to na szkolnym koncercie. Jest piękne – a gramofon był zdumiewający; to tak jakby ktoś naprawdę grał na fortepianie, tylko o wiele lepiej, niż kiedykolwiek słyszałam, żeby ktoś grał. Potem płyta zmieniła się sama – Simon odwołał mnie od okna, żebym to zobaczyła, i powiedział mi o następnym utworze *La cathédrale engloutie*. Słyszysz się, jak zatopiona katedra wynurza się i jej dzwony biją, a potem znowu tonie w morzu.

– Teraz wiesz, dlaczego powiedziałem, że Debussy mógłby skomponować muzykę o zamku we mgle – podsumował.

Trzecia płyta to był utwór *La terrasse des audiences du clair de*

lune. Cudownie było słuchać i jednocześnie obserwować fontanny – w muzyce też słyszało się fontanny.

– No, widzę, że Debussy bardzo ci się podoba – rzekł Simon. – Chociaż nie jestem pewny, czy kiedyś z niego nie wyrośniesz. Jesteś tego rodzaju dzieckiem, które może zafascynować się Bachem.

Powiedziałam mu, że w szkole się to nie udało. Ten jeden utwór Bacha, którego się uczyłam, sprawiał, że czułam się, jakby mnie wciąż stukano po głowie łyżeczką do herbaty. Ale moja nauka muzyki nie trwała zbyt długo – pieniądze na lekcje skończyły się, kiedy miałam dwanaście lat.

– Znajdę ci coś takiego Bacha, co ci się spodoba – powiedział Simon.

Znowu zapalił świecę i zaczął szukać czegoś na dużej płycie. Gramofon przestał grać. Podeszłam do szafek i patrzyłam na okładki albumów – już samo czytanie nazwisk kompozytorów było ekscytujące.

– Z czasem posłuchasz ich wszystkich – odezwał się Simon. – Chciałbym zagrać ci parę naprawdę nowoczesnych rzeczy. Jaka szkoda, że Rose nie lubi muzyki.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

– Ależ bardzo lubi! Gra o wiele lepiej ode mnie i śpiewa też.

– Jednak tak naprawdę nie lubi muzyki – odparł zdecydowanie. – Zabrałem ją na koncert i wydawała się okropnie znudzona... A oto i twoja kolacja.

Kolacja przybyła na srebrnej tacy i kamerdyner nakrył mały stolik koronkową serwetą. Dostałam zupę, kurczaka na zimno (całą pierś), owoce i wino – a także lemoniadę, w razie gdybym nie chciała wina, ale chciałam. Simon poprosił kamerdynera, żeby zapalił świecę, i ten obszedł kryształowe kinkiety z zapalającym knotem osadzonym na długim drążku, co sprawiło, że poczułam się jak w osiemnastym wieku.

– Postanowiłem nie zakładać tutaj prądu elektrycznego – oznajmił Simon.

Kiedy kamerdyner nalał nam wino, Simon powiedział mi, że może

odejść. Byłam zadowolona, bo przy nim czułabym, że powinnam szybko połknąć swoją kolację. Nawiasem mówiąc, on się nazywa Graves, ale nigdy jeszcze nie zdecydowałam się zwrócić do niego po nazwisku i wymawiać je w nonszalancki sposób, tak jak to powinno się robić.

Simon znalazł płytę, której szukał.

– Ale to musi poczekać, aż skończysz; nie zamierzam pozwolić ci jeść w trakcie Bacha.

Nastawił jakąś muzykę taneczną i bardzo ściszył dźwięk, po czym usiadł ze mną przy stoliku.

– Opowiedz mi o Rose – poprosiłam, bo poczułam nagle, że za mało o nią pytałam; byłam taką egoistką.

Opowiedział mi o wyprawie ślubnej i o tym, jak bardzo Rose jest wszędzie podziwiana.

– Topaz też, oczywiście, i moja matka również jest całkiem przystojna. Kiedy wychodzą gdzieś we trójkę... no, to jest coś.

Wtrąciłam, że potrzebowałyby mnie, żeby obniżyć średnią – i natychmiast pożałowałam tych słów. Taka uwaga po prostu wymusza komplement.

Simon roześmiał się i powiedział, żebym nie domagała się komplementów.

– Jesteś o wiele ładniejsza, niż jakakolwiek równie inteligentna dziewczyna ma prawo być. W istocie – dodał z lekkim zdziwieniem – jesteś naprawdę bardzo ładna.

– Zdaje mi się, że trochę lepiej wyglądam, kiedy Rose nie ma w pobliżu – zauważyłam.

Zaśmiał się znowu.

– No, w każdym razie jesteś na pewno bardzo ładna dzisiejszego wieczoru. – Potem wzniosł kieliszek do toastu i wypił moje zdrowie, jak kiedyś zrobił to wobec Rose.

Poczułam, że się rumienię, i szybko zmieniłam temat.

– Czy ostatnio zajmowałaś się pisaniem?

Powiedział, że zaczął esej krytyczny o ojcu, ale nie mógł się zmobilizować, żeby go skończyć.

– Wydaje się, że nie ma sposobu, żeby nie zwrócić uwagi na jego brak aktywności. Gdyby tylko ktoś mógł dać choćby najmniejszą sugestię, że on nad czymś pracuje...!

Przez moment chciałam mu powiedzieć o swoich nadziejach, ale wtedy musiałabym opisać zachowanie ojca w ostatnim czasie; i sama myśl, że miałabym wyrazić słowami takie rzeczy jak czytanie „Little Folks” i studiowanie talerzy z chińskim wzorem, uzmysłowiła mi, jak bardzo to było dziwne. Pozwoliłam więc Simonowi mówić dalej o jego eseju, choć brzmiało to dla mnie bardzo niezrozumiale. On musi być niesamowicie zdolny.

Kiedy skończyłam jeść wspaniałego kurczaka, Simon obrał dla mnie gruszkę – i byłam zadowolona, bo zawsze sprawiało mi to kłopoty; a jemu poszło jak z płatka. Zwróciłam uwagę, jakie ma piękne dłonie, i nagle zrozumiałam, o czym myślała Topaz, mówiąc kiedyś, że jego wszystkie linie są dobre. Miał na sobie białą jedwabną koszulę – zdjął marynarkę – i linia jego ramion wydawała się idealnie zgodna z linią szczęki (jaka mądra była Rose, żeby pozbyć się tej brody). Miałam przedziwne uczucie, że go rysuję – wiedziałam dokładnie, jak nakreśliłabym linię lekko wznoszących się brwi i łuk ust, które zacisnął, koncentrując się na gruszcze. I kiedy to rysowałam w wyobraźni, każde pociągnięcie czułam delikatnie odwzorowane na własnej twarzy, ramionach, rękach i dłoniach – nawet fałdy jego koszuli wydawały się mnie dotykać. Ale te nakreślone linie nie stworzyły obrazu przed moimi oczami – wciąż widziałam go takim, jaki był, w tym migotliwym blasku świec.

Zjadłam gruszkę i kończyłam pić wino, kiedy gramofon zaczął grać nadzwyczaj fascynującą melodię. Zapytałam go, jak to się nazywa.

– To? Chyba *Lover*¹⁶ – powiedział Simon. – Zatańczymy? Potem muszę odwieźć cię do domu.

Poszedł dać muzykę trochę głośniejszą i wrócił do mnie. Nigdy z nim wcześniej nie tańczyłam i trochę się tego obawiałam; pamiętałam, jakie to było trudne, kiedy tańczyłam z Neilem. Ku memu zdziwieniu z Simonem poszło dużo łatwiej; trzymał mnie o wiele

lżej, wszystko wydawało się bardziej niewymuszone – miałam poczucie swobody i lekkości. Po pierwszych paru sekundach przestałam się martwić, jak naśladować jego kroki, moje stopy robiły to same. To dziwne, że Neil bardziej pomaga dostosować krok, prowadzi tak, jakby prawie zmuszał partnerkę. Natomiast przy Simonie nie czułam żadnej presji.

Ta płyta była ostatnia, więc gramofon się zatrzymał. Staliśmy na tyle blisko, że Simon mógł puścić ją jeszcze raz, nie zdejmując ręki z moich pleców; zatańczyliśmy ponownie, bez jednego słowa – właściwie wcale nie rozmawialiśmy podczas tańca. I chyba nawet w ogóle o niczym nie myślałam. Tak jakbym poruszała się z przyjemnością, która nie wymagała myślenia.

Kiedy gramofon znowu przestał grać, Simon powiedział: „Dziękuję ci, Cassandro”, nadal trzymając mnie w ramionach, i uśmiechnął się do mnie.

Uśmiechnęłam się również i odrzekłam: „Ja też ci dziękuję, to było cudowne”.

I wtedy pochylił głowę i mnie pocałował.

Cały czas próbuję sobie przypomnieć, co wtedy czułam. Na pewno musiałam czuć zdziwienie, ale nie pamiętam tego. Wszystko, co mogę sobie przypomnieć, to szczęście, szczęście w myślach i w sercu, i w całym ciele, szczęście, jak ciepło słońca, które otuliło mnie na wieży. Była to również ciemność – i ta ciemność teraz wraca, kiedy próbuję odtworzyć, uchwycić ten moment... i wówczas okazuje się, że odnajduję siebie chłodno oddzieloną – nie tylko od Simona, lecz i od siebie takiej, jaką byłam wtedy. Osoby, które widzę w oświetlonym światłami pawilonie, są mi obce.

Następną rzeczą, którą pamiętam zupełnie normalnie, jest dźwięk śmiechu Simona. Był to najmiłszy, najbardziej delikatny śmiech, ale mnie wystraszył.

– Zdumiewający dzieciak – powiedział Simon. Zapytałam, co ma na myśli.

– Tylko to, że bardzo słodko całujesz. – Potem dodał, drocząc się: – Musisz mieć sporą praktykę.

– Nigdy w życiu nie pocałowałam jeszcze żadnego mężczyzny... Natychmiast pożałowałam tych słów – bo uświadomiłam sobie, że wiedząc, iż nigdy się nie całowałam, a jednak odwzajemniłam jego pocałunek, domyśli się, jak wiele to dla mnie znaczyło. Uwolniłam się od niego i pobiegłam do drzwi, myśląc tylko tyle, że chcę ukryć swoje uczucia.

– Cassandro... stój! – Złapał mnie za ramię, kiedy otworzyłam drzwi. – O Boże, tak mi przykro! Powinienem był wiedzieć, że się pogniewasz.

Nie domyślił się. Widziałam, że po prostu uznał, że się gniewam. Udało mi się opanować.

– Co za nonsens, Simon! Oczywiście, że się nie gniewam.

– Ale tak to odczułem. – Wyglądał na zmartwionego i zaskoczonego. – Dlaczego chciałeś uciec ode mnie? Na Boga, przecież chyba cię nie wystraszyłem?

– Jasne, że nie!

– To dlaczego?

Wymyśliłam coś, co miało brzmieć rozsądnie.

– Simon, nie wystraszyłeś mnie i się nie gniewam. Jak mogłabym się gniewać, że pocałował mnie ktoś, kogo tak lubię? Ale potem, tylko przez chwilę, byłam zła, że uważałeś za oczywiste, że możesz mnie pocałować.

Wydał się całkiem przybity.

– Ależ nie, to nie tak, jak myślisz. Czy możesz uwierzyć, że to był nagły impuls, bo byłaś taka miła przez cały wieczór, bo dobrze mi się tańczyło i dlatego, że bardzo cię lubię?

– I może dlatego, że tęsknisz za Rose? – podsunęłam. Poczzerwieniał nagle i odrzekł:

– Niech mnie diabli wezmą, jeżeli na to pozwolę. To by obraziło was obie. Nie, to był pocałunek przeznaczony tylko dla ciebie, moja mała.

– Chyba za bardzo się tym przejmujemy – powiedziałam. – Zapomnijmy o tym. I proszę cię, wybac mi, że byłam taka niepoważna. Czy mogę jeszcze posłuchać Bacha, zanim pójdę do

domu? – Czułam, że to pomoże mu trochę się rozluźnić.

Stał, nadal patrząc na mnie z niepokojem. Myślę, że próbował znaleźć słowa, by lepiej to wyjaśnić. Wreszcie zrezygnował.

– Proszę bardzo, posłuchamy tego, gdy będę gasił świece. Usiądź na zewnątrz, żeby moje chodzenie ci nie przeszkadzało. Wyłączę fontanny, to będziesz lepiej słyszeć.

Siadłam na kamiennej ławce, obserwując, jak zmarszczki na wodzie się wygładzają. Potem w pawilonie rozległa się muzyka – najbardziej delikatna i spokojna muzyka, jaką kiedykolwiek słyszałam. Przez trzy wysokie okna widziałam, jak Simon powoli idzie wkoło i po kolei gasi świece kapturkiem. Za każdym razem widziałam światło na jego zwróconej ku górze twarzy i za każdym razem złote okna przygasały trochę, aż w końcu stały się całkiem czarne. A potem płyta się skończyła i zrobiło się tak cicho, że usłyszałam plusk ryby, która skoczyła gdzieś na drugim końcu sadzawki.

– No i jak, będziesz lubić Bacha? – zawołał Simon, kiedy zamknął za sobą drzwi do pawilonu.

– Bardzo! Mogłabym tego słuchać bez końca – powiedziałam i zapytałam o tytuł tej kompozycji.

To była muzyka do arii *Owce mogą się bezpiecznie paść z Kantaty myśliwskiej*.

Rozmawialiśmy dalej o muzyce, idąc po Heloizę do kuchni i później, podczas jazdy do domu. Bez trudu potrafiłam prowadzić luźną rozmowę; to było tak, jakby prawdziwe uczucia zostały głęboko ukryte w moich myślach, a to, co mówiliśmy, było tylko lekką jak piórko, powierzchowną konwersacją.

Zegar na kościele w Godsend wybijał północ, gdy zajechaliśmy pod wartownię.

– No, udało mi się odwieźć Kopciuszka do domu przed północą – zażartował Simon, kiedy pomagał mi wysiąść z auta.

Odprowadził mnie do kuchni i zapalił mi świecę, śmiejąc się z tego, jak Heloiza popędziła prosto do swojego koszyka. Podziękowałam mu za uroczy wieczór, a on podziękował mi za to,

że mu pozwoliłam wziąć udział w obrzędach nocy świętojańskiej – powiedział, że zawsze będzie to pamiętał. Potem, gdy podaliśmy sobie ręce, zapytał:

– Czy naprawdę zostało mi przebaczone? Uspokoiliam go, że oczywiście tak.

– Zrobiłam z tego wielką sprawę, niepotrzebnie. Boże, będziesz myślał, że jestem nie wiadomo jaką skromnią!

– Obiecuję, na pewno nie – odrzekł poważnie. – Myślę, że jesteś wszystkim, co najmilsze, i jeszcze raz dziękuję. – Potem szybko uścisnął moją dłoń i w następnej chwili drzwi się za nim zamknęły.

Stałam zupełnie bez ruchu przez jakąś minutę, a potem pognałam na górę, przez łazienkową wieżę, i wybiegłam na mury. Mgła opadła tak, że mogłam śledzić światła auta jadącego wolno naszą wąską drogą i skręcającego w kierunku Godsend. Nawet kiedy już znikły, patrzyłam dalej i dostrzegłam je jeszcze raz, już na drodze do Scoatney.

Cały czas kiedy stałam na murach, byłam jakby oszołomiona, nieświadoma prawie niczego poza poruszającym się autem; i gdy oprzytomniałam na tyle, żeby wrócić do domu i rozebrać się, nadal świadomie nie dopuszczałam do siebie żadnych myśli. Dopiero kiedy położyłam się w ciemności, pozwoliłam myślom płynąć. I przyniosły mi tylko i wyłącznie szczęście – takie jakie odczułam, gdy Simon mnie pocałował, tyle że bardziej pogodne. Och, mówiłam sobie, że on należy do Rose, że nigdy bym jej go nie odbiła, nawet gdybym była do tego stopnia niegodziwa, żeby spróbować, ale przecież nie zrobiłabym tego. I nic nie pomogło. Już samo bycie zakochaną wydawało się najbardziej niebiańskim luksusem, jaki kiedykolwiek był moim udziałem. Pomyślałam, być może właśnie to, że się kogoś kocha, jest ważne, a nie kochanie z wzajemnością – że może prawdziwa miłość zawsze zna wyłącznie szczęście. Przez moment czułam, że odkryłam wielką prawdę.

A potem nagle dojrzałam sylwetkę panny Blossom i usłyszałam, jak mówi: „No, to teraz zapamiętaj dobrze te wzniosłe myśli, kochanie, bo ci to będzie potrzebne”. I w jakiś dziwny,

podświadomy sposób wiedziałam, że to prawda – ale nie robiło mi to żadnej różnicy. Zasnęłam szczęśliwsza, niż byłam kiedykolwiek w życiu.



16 *Lover* (Ukochany) – piosenka z filmu *Kochaj mnie dziś* z 1932 roku (przyp. red.).

XIII

Och, jak gorzko jest czytać tę ostatnią linijkę, którą napisałam nieco ponad trzy tygodnie temu – teraz, kiedy nawet nie potrafię przypomnieć sobie, jak to jest czuć szczęście!

Nie czytałam dalej. Zanadto obawiałam się utracić to struchlałe, wypalone uczucie pilnowania siebie, które pojawiło się dzisiaj rano po raz pierwszy. Jest ono bardzo przykre, ale lepsze niż dojmujące uczucie niedoli, i przyniosło mi niewyraźne pragnienie, by zapomnieć, pisząc o wszystkim w pamiętniku, co pozwoli mi zapełnić parę godzin. Czy zdołam jednak napisać o okropnej rzeczy, którą zrobiłam w swoje urodziny? Czy potrafię się zdobyć na to, żeby opisać to szczerze? No cóż, mogę spróbować.

Boże, jaką przykrą pogodę mieliśmy – ulewne deszcze, zimne wiatry; moje urodziny były jedynym słonecznym dniem. Dziś jest ciepło, ale bardzo pochmurno i przygnębiająco. Jestem na kopcu, siedzę na kamiennych stopniach prowadzących do wieży Belmonte. Heloiza jest ze mną. To jeden z tych okresów, kiedy musi być w odosobnieniu, i nudzi się okropnie, jak ją zostawiam zamkniętą samą w domu. Jej smycz jest bezpiecznie przywiązana do mojego paska, w razie gdyby nagle miała fantazję biegać gdzieś z wizytami. Rozchmurz się, kochana Heloizo, jeszcze tylko parę dni i będziesz wolna.

Deszcz zaczął padać, gdy skończyłam mój ostatni wpis w tamtą

niedziele, na strychu; kiedy wyjrzałam, zobaczyłam wielkie burzowe chmury pędzące po wieczornym niebie. Pospieszyłam na dół, żeby zamknąć okna. Wtedy jeszcze czułam się cudownie szczęśliwa – pamiętam, że to sobie mówiłam.

Kiedy się wychyliłam, żeby zamknąć okno w sypialni, zauważyłam, że pszenica jest całkiem nieruchoma, jakby pełna wyczekiwania; miałam nadzieję, że jest na tyle młoda, żeby się nie obawiać, że ją zbije deszcz. Potem popatrzyłam w dół i zobaczyłam, że moja porzucona girlanda przypląnęła z prądem i leży pod samym oknem na szarej tafli fosy. W następnej sekundzie lunął deszcz – wydawało się, że tysiące małych monet odbijają się od powierzchni wody. Chciałam uratować girlandę, ale kiedy na nią popatrzyłam, już tonęła.

Heloiza skomlała przy tylnych drzwiach – i chociaż natychmiast pobiegłam na dół, by ją wpuścić, zdążyła całkowicie przemoknąć. Wytarłam ją, potem rozpałam ponownie ogień pod kuchnią, bo wygasł, kiedy pisałam na strychu. Gdy właśnie się rozpało, zjawił się Stephen – wrócił z Londynu. Posłałam go, by się przebrał w suche ubranie, a potem zjedliśmy kolację, siedząc na osłonie paleniska. Opowiedziałam mu o swoim wieczorze z Simonem – oczywiście zachowując wszystkie sekretne szczegóły dla siebie – a on opowiadał mi całkiem sporo o swoim wyjeździe; wydawał się już o wiele mniej zażenowany tym, że go fotografowano, chociaż zrozumiałam, że krępowały go greckie tuniki, które Leda Fox-Cotton kazała mu wkładać. Powiedział, że jadł wszystkie posiłki z państwem Fox-Cottonami i spał w pokoju z zasłonami złotego koloru i złotymi kupidynami nad łóżkiem. I pan Aubrey Fox-Cotton dał mu szlafrok, prawie nowy. Podziwiałam to wszystko i przyznałam, że są to bardzo mili ludzie – wydawało się, że cała moja niechęć do Ledy Fox-Cotton znikła.

- Czy pokazała ci zdjęcia, które robiła ostatnim razem? – spytałam.
- O, tak. Widziałem je. – Nie brzmiało to entuzjastycznie.
- No, a kiedy ja je zobaczę? Nie dała ci żadnych?
- Powiedziała, że mogę sobie wziąć parę, ale nie chciałem. One są

takie wielkie i... no, takie pochlebne. Następnym razem poproszę o kilka, jeżeli naprawdę chcesz je obejrzeć.

– Więc jedziesz tam jeszcze?

– Tak, ale z innego powodu. – Bardzo się zaczerwienił. – Och, to zbyt niepoważne, żeby o tym mówić.

Przypomniał mi się list od Rose.

– Czy ona chce, żebyś poszedł do filmu?

Odparł, że tak naprawdę to bzdura.

– Ale był tam wczoraj na kolacji jakiś człowiek, który ma coś do czynienia z filmem, i stwierdził, że się nadam. Kazali mi przeczytać coś na głos. Mam iść na jakieś testy, tak oni to nazywają. Tylko wcale nie wiem, czy pójdę.

– Ależ musisz iść, Stephen – odrzekłam zachęcająco.

Rzucił mi szybkie spojrzenie i zapytał, czy chciałabym, żeby grał w filmie – i nagle zrozumiałam, że się myliłam, sądząc, że już przestał się mną interesować. (Chociaż wtedy nie wiedziałam, jak bardzo się myliłam). Zadawałam mu pytania tylko z grzeczności – nic poza Simonem nie miało dla mnie znaczenia – ale starałam się mówić z entuzjazmem:

– No wiesz, Stephen, to by było cudowne. Oczywiście chciałabym, żebyś grał.

– Wobec tego spróbuję. Powiedzieli, że mogą mnie nauczyć. Pomyślałam, że na pewno mogą – Stephen ma taki miły głos, choć czasami, gdy jest onieśmielony, staje się on trochę stłumiony i chropowaty.

– To nadzwyczaj ekscytujące – odezwałam się radośnie. – Może pojedziesz do Hollywood.

Uśmiechnął się i odparł, że wcale by na to nie liczył.

Kiedy skończyliśmy jeść kolację, pomógł mi pozmywać, a potem poszedł na farmę Four Stones: Stebbinsowie mieli jakieś przyjęcie. Jestem pewna, że Ivy była bardzo przejęta tym, że on będzie grał w filmach. (Ale jak dotychczas nic więcej w związku z tym się nie wydarzyło). Położyłam się wcześniej, ciągle jeszcze szczęśliwa. Nawet odgłos deszczu bijącego o dach sprawiał mi przyjemność, bo

przypominał, że Simon kazał naprawić wszystkie przeciekające miejsca. Wszystko, co w jakikolwiek sposób łączy się z Simonem, jest dla mnie cenne; nawet jeżeli ktoś tylko wymówi jego imię, to dla mnie jakby mały prezent – i sama też chciałabym je wymówić, więc podejmuję tematy, które do tego prowadzą, a potem czuję, że się zaczynam czerwienić. Cały czas sobie przyrzekam, że już nie będę więcej o nim mówić – a potem nadarza się okazja i natychmiast ją łapię.

Ojciec wrócił do domu następnego ranka; z jego torby podróżnej wystawała londyńska książka telefoniczna.

– Boże, czy będziemy mieć telefon? – zapytałam.

– Nie, ależ skąd! – Rzucił torbę na jedno z kuchennych krzeseł, z którego natychmiast spadła na podłogę, wyrzucając książkę telefoniczną i różne inne książki. Ojciec zgarnął je z powrotem do torby, najszybciej jak tylko mógł, ale zdążyłam dostrzec bardzo elegancki tomik *Mowa kwiatów*, książkę *Początki chińskiego* i pismo „Gołąb Pocztowy”.

– A gdzie jest chiński talerz? – Staralam się, by zabrzmiało to obojętnie.

– Rozbił mi się na stacji Liverpool Street, lecz spełnił swe zadanie. Odwrócił się, by wyjść do wartowni, ale jeszcze powiedział, że miałby ochotę na szklankę mleka. Nalewając mu je, zapytałam, czy zatrzymał się w mieszkaniu Cottonów.

– O tak, dostałem pokój Simona – odrzekł. – Aha, póki pamiętam, specjalnie prosił, żeby przekazać ci pozdrowienia; mówił, że przyjął go bardzo miło.

– Gdzie poszedłeś, kiedy on wczoraj wrócił do domu?

– Zostałem w jego pokoju. A on poszedł do hotelu, w którym mieszka Neil; bardzo to uprzejme z jego strony. Simon ma urocze usposobienie... niestety.

– Dlaczego niestety? – zapytałam, podając mu mleko.

– Bo Rose to wykorzystuje. Ale żaden mężczyzna nie powinien być aż tak zakochany jak Simon; przez to można poczuć niechęć do całego rodzaju kobiecego.

Zaniosłam dzbanek z mlekiem do spiżarni i zawołałam przez ramię:

– Nie rozumiem dlaczego, zważywszy na to, że Rose jest w nim zakochana!

– Czyżby? – zapytał ojciec; i kiedy siedziałam w spiżarni, mając nadzieję, że zostawi ten temat, zawołał mnie z powrotem. – Jesteś pewna, Cassandro, że ona jest w nim zakochana? Chętnie bym się dowiedział.

– No, wyznała mi, że tak, a wiesz, jaka jest prawdomówna. Zastanawiał się przez chwilę, aż w końcu rzekł:

– Masz rację. Nie pamiętam, żeby kiedyś powiedziała nieprawdę. Prawdomówność czasem idzie w parze z bezwzględnością. Tak, tak, jeżeli Rose mówi, że jest zakochana, to jest, i jej zachowanie wczoraj wieczorem było całkowicie z tym zgodne, biorąc pod uwagę jej usposobienie.

Postawił szklanę na stole, więc mogłam ją zabrać do zlewu, odwracając się do niego plecami.

– A jak się zachowywała wczoraj? – zapytałam.

– Tak cholernie obojętnie i najwyraźniej była pewna swojej władzy nad nim. Och, to chyba nie jej wina. Jest jedną z tych kobiet, które nie powinny być kochane zbyt czule: kiedy tak jest, wtedy jakieś pierwotne pragnienie brutalności sprawia, że próbują tę brutalność prowokować. Ale jeżeli jest naprawdę zakochana, to wszystko się dobrze ułoży. Simon jest tak inteligentny, że w końcu potrafi znaleźć równowagę... bo z całą pewnością nie jest słaby; tylko że bycie tak bardzo zakochanym stawia człowieka w niekorzystnej sytuacji.

– Och, jestem przekonana, że sprawy dobrze się ułożą – wtrąciłam szybko, po czym skupiłam się na szklance; nigdy w życiu żadnej szklanki nie wytarłam tak dokładnie.

Ojciec znowu ruszył do wartowni, ku mojej wielkiej uldze. Kiedy mnie mijał, dodał jeszcze:

– Cieszę się, że mogliśmy porozmawiać. To mnie znacznie uspokoiło.

Mnie nie. Pewnie powinnam być zadowolona, że tak rozsądnie rozmawiał, ale zbyt pochłonęły mnie własne kłopoty – bo to wtedy ogarnęła mnie niewypowiedziana udręka, jak również wyrzuty sumienia. Wszystko, co ojciec mówił o uczuciach Simona do Rose, sprawiało mi taką męczarnię, iż nagle pojęłam, że podtrzymywał mnie na duchu nie tylko ten cudowny stan zakochania: gdzieś głęboko w jakiś niejasny, pomieszany sposób pozwalałam sobie mieć nadzieję, że jemu tak naprawdę nie zależało na niej i że to mnie kochał, co do niego dotarło, gdy mnie pocałował. „Jesteś głupia i gorzej jeszcze – powiedziałam sobie – jesteś potencjalną złodziejką”. Potem zaczęłam płakać i kiedy wzięłam swoją chusteczkę do nosa, poczułam zapach perfum od Rose i przypomniałam sobie, że nie napisałam do niej, by jej podziękować. „Zanim to zrobisz, musisz oczyścić swoje sumienie – upomniałam się surowo – i wiesz, jak to się robi. To, co sobie wyobrażasz, że się wydarzy, nigdy potem się nie sprawdza; więc proszę, możesz sobie pozwolić na cudowne marzenia o tym, jak Simon cię kocha i żeni się z tobą zamiast z Rose – a wtedy to się nigdy nie stanie. I porzucisz wszelką nadzieję, że zdobędziesz go dla siebie, odbijając go swojej siostrze”.

To sprawiło, że zaczęłam się zastanawiać, czy mogłam rywalizować z Rose na początku, kiedy to byłoby całkiem uczciwe. Myślałam o szansie, którą przegapiłam pierwszego maja, gdy szłam z Simonem do wsi. Gdybym tylko potrafiła być bardziej fascynująca! Ale uznałam, że moje wysiłki w tym kierunku byłyby beznadziejne – wiem, że Simonowi nie zależało zbyt wiele na Rose, dopóki się nie zakochał w jej urodzie; potem naturalnie odkrył, że jest zafascynowany tym, jaka Rose jest fascynująca.

Później przypomniałam sobie, jak panna Marcy kiedyś powiedziała: „Droga Rose przysporzy mężczyznom kłopotów” – i uderzyło mnie to, że ojciec miał na myśli coś podobnego, mówiąc o tym, jak Rose demonstrowała swoją władzę nad Simonem. Nagle bardzo zapragnęłam stłuc ją, a ponieważ miałam wybić sobie z głowy wszelkie szanse na zdobycie Simona, postanowiłam zrobić

to starannie i na dodatek stłuc Rose. Roznieciłam więc ogień pod kuchnią i nastawiłam mięso duszone z jarzynami na obiad, po czym przysunęłam blisko fotel i puściłam wodze fantazji.

Wyobraziłam sobie, że wszystko dzieje się w apartamencie pani Cotton – dodałam mu balkon z widokiem na Hyde Park. Zaczęliśmy tam, a potem weszliśmy do pokoju. Rose zjawiała się właśnie, kiedy Simon mnie całował, i była nieprzytomnie wściekła, albo może to w którymś późniejszym obrazie? Tych wytworów wyobraźni było tak dużo, że stopniowo zaczęły się ze sobą mieszać. Nie wydaje mi się, żebym mogła się zmusić do opisania któregośkolwiek z nich w szczegółach, bo – mimo że są cudowne w danej chwili – kiedy potem o nich myślę, wywołują przygnębienie, obrzydzenie i uczucie wstydu. I są jak narkotyki: potrzeba ich coraz częściej i częściej i muszą być coraz bardziej ekscytujące – aż w końcu wyobraźnia już wcale nie chce pracować. Po paru dniach jednak wraca do normy. Bóg jeden wie, jak spojrzę w oczy Rose po tym, co w wyobraźni mówiłam do niej i co jej robiłam; posunęłam się do tego, że raz ją kopnęłam. Oczywiście zawsze twierdzę, że ona nie kocha Simona, tylko chce jego pieniędzy. Biedna Rose! To niezwykle, jak bardzo ją lubię w rzeczywistości, nie wspominając już o tym, jak winna się czuję – a jednak w swoich wyobrażeniach nienawidzę jej jak zarazy.

Powrót do realnego świata po tym pierwszym razie był szczególnie okropny, bo w tej wizualizacji nieodwołalnie wyrzekłam się Simona – inne nie dawały takiego poczucia ingerencji w los (ale to zawsze jest straszne, kiedy obrazy przed oczami tracą znaczenie i pojawia się tam realny świat, który też wydaje się bez znaczenia). Z całą pewnością nie miałam nastroju, żeby pisać do Rose, ale po południu jednak się zmusiłam – to było jak tworzenie listu jakiejś postaci z książki. Napisałam jej, jaką przyjemność sprawiły mi perfumy, i dodałam wieści o Hel i Abie, i okropnej pogodzie – deszcz był użytecznym łącznikiem do: „Jakie szczęście, że w noc świętojańską była piękna pogoda. Miło ze strony Simona, że odwiedził nas tutaj. Powiedz mu, że doskonale się bawiłam”. Cudownie było to pisać – prawie jakbym mu mówiła, że się cieszę, że mnie pocałował.

Ale po wysłaniu listu martwiłam się, że może odgadnąć, co miałam na myśli. I kiedy wracałam z poczty, przysła mi do głowy potwornie dręcząca myśl: a jeżeli on powiedział Rose, że mnie pocałował, i razem się z tego śmiali?

Tak mnie to zabolalo, że jęknęłam głośno. Chciałam się rzucić w błoto i wbić się w ziemię. Na szczęście starczyło mi zdrowego rozsądku, żeby uprzytomnić sobie, jak bym wyglądała po czymś takim, więc się nie rzuciłam; ale nie mogłam iść dalej. Usiadłam na przelazie, starając się odegnać tę myśl od siebie – a tymczasem opadły mnie jeszcze gorsze myśli. Zadawałam sobie pytanie, czy to nie było niewłaściwe ze strony Simona, że mnie pocałował, skoro kocha Rose – czy nie należał do tych mężczyzn, którzy uważają, że można całować każdą dziewczynę? Ze wszystkich mężczyzn najgorsza jest ta, gdy myślę źle o Simonie; ale nigdy nie trwa to długo.

Kiedy już tak sobie posiedziałam trochę na deszczu, uznałam, że nie było nic złego w tym, że mnie pocałował. Chociaż powiedział, że to nie z powodu jego tęsknoty za Rose, pewnie tak właśnie było. W każdym razie myślę, że Amerykanie całują raczej łatwo i często – panna Marcy miała kiedyś różne amerykańskie czasopisma i były tam zdjęcia całujących się ludzi na każdej prawie stronie, łącznie z reklamami. Przypuszczam, że Amerykanie są serdeczni – jako naród. Na pewno bym się nie zdziwiła, gdyby pocałował mnie Neil, i nigdy nie pomyślałabym, że to znaczy, że jest poważnie zakochany. To jednak wydawało się niepodobne do Simona, ale... Potem zaczęłam się zastanawiać, czy nie uznał może, że tego oczekuję, czy nie sprowokowałam tego pocałunku. To sprawiło, że chciałam umrzeć ze wstydu, a równocześnie było pocieszające, bo usprawiedliwiało Simona, jeżeli zrobił to z uprzejmości.

Nagle powiedziałam głośno w deszcz: „On nie powie Rose i nie będzie się śmiać. I nie zrobił nic złego. Cokolwiek nim kierowało, nie było to złe. Jeśli się kocha ludzi, to się im ufa”.

Potem wstałam z przelazu i powędrowałam do domu. I pomimo ulewnego deszczu było mi całkiem ciepło.

Ta odrobina uczucia spokoju wystarczyła mi na cały wieczór, ale kiedy się obudziłam następnego ranka, spokój zniknął. Najgorsza jest chwila przebudzenia – jeszcze zanim otworzę oczy, czuję, jak wielki ciężar przygniata mi serce. Zwykle udaje mi się zmniejszyć go trochę w ciągu dnia – przede wszystkim jedzenie w tym pomaga, mimo że kojarzy się tak nieromantycznie. Mój apetyt staje się tym większy, im bardziej jestem nieszczęśliwa. Spanie też jest cudowne – nigdy dawniej nie myślałam, że sen może być przyjemnością, ale teraz czekam na niego z utęsknieniem. Najprzyjemniejszy moment jest wieczorem, tuż przed zaśnięciem, kiedy mogę przytulić myśl o Simonie i poczuć, jak znika moja niedola. Często śpię także w ciągu dnia. Przecież to nie może być normalne, żeby ktoś tak nieszczęśliwie zakochany jadł i spał tak dobrze? Czy jestem jakimś dziwolągiem? Wiem tylko, że jestem nieszczęśliwa, jestem zakochana i dużo jem, i śpię.

Innym wielkim luksusem wydaje się to, że pozwalam sobie na płacz – zawsze potem czuję się cudownie spokojna. Ale trudno mi wybrać odpowiedni moment na to, bo moja twarz wymaga dużo czasu, by dojść do siebie; nie jest to bezpieczne rankami, jeżeli mam wyglądać normalnie w trakcie lunchu z ojcem, a popołudnia też wcale nie są lepsze, bo Thomas wraca do domu o piątej. Najlepiej byłoby w łóżku, wieczorem, ale to takie marnotrawstwo, bo jest to właśnie mój najszczęśliwszy czas. Dni, kiedy ojciec jedzie czytać do biblioteki w Scoatney, są dobre, żeby się wypłakać.

W środę tego pierwszego tygodnia błota i niedoli poszłam odwiedzić pastora: ma dużo starych nut i miałam nadzieję, że może znajdę arię Bacha *Owce mogą się bezpiecznie paść*. Tego ranka deszcz przestał padać na parę godzin, ale było bardzo zimno i wilgotno i zbita deszczem okolica wyglądała tak, jak ja się czułam. Kiedy człapałam błotnistą drogą do Godsend, myśląc o tym, że muszę być ostrożna, by się nie zdradzić przed pastorem, zaczęłam się zastanawiać, czy przyniosłoby mi ulgę zwierzenie się komuś, jak to zrobiła Lucy Snowe w książce Charlotte Bronte *Villette*. Pastor nie jest przesadnie przywiązany do kościelnego ceremoniału i ja

z pewnością nie miałabym ochoty zwierzać się jemu czy komukolwiek innemu; ale wydawało mi się, że osoba tak nieszczęśliwa jak ja powinna móc otrzymać jakąś pomoc od Kościoła. Potem powiedziałam sobie, że jeżeli nigdy nie myślałam o Kościele, kiedy czułam się szczęśliwa, to nie powinnam oczekiwać, że zrobi coś dla mnie teraz, kiedy nie jestem. Nie dostaje się wypłaty ubezpieczenia, jeżeli nie płaci się składek.

Zastałam pastora, gdy właśnie zaczynał przygotowywać kazanie, owinięty w kupiony od nas futrzak. Bardzo lubię gabinet pastora: cały w starej zielonej boazerii z wyjątkiem ściany, na której od podłogi do sufitu są półki z książkami. Gospodyni pastora stara się, żeby wszystko lśniło czystością.

– Wspaniale – powiedział. – Mam pretekst, żeby przestać pracować i zapalić ogień na kominku.

Zapalił; już samo przyglądanie się, jak ogień trzaska, podnosiło na duchu. Powiedział, że chyba nie ma utworu *Owce mogą się bezpiecznie paść*, ale pozwolił mi przejrzeć nuty. Większość jest w starych, oprawnych w cielecą skórę tomach, które kupił na wyprzedazy w jakimś dworze. Pachną stęchlizną i druk wygląda inaczej niż w nowoczesnych nutach: każdy utwór poprzedza misterna całostronicowa grawiura. Kiedy się przewraca kartki, myśli się o wszystkich ludziach, którzy je wcześniej przewracali, i to przenosi człowieka wstecz, bliżej kompozytora; lubię myśleć o kompozycjach Beethovena granych w parę lat po tym, jak umarł.

Wnet natknęłam się na nuty z *Muzyki na wodzie* Haendla – na tym już specjalnie mi nie zależało – ale nie znalazłam *Owiec*. Jednak to przeglądanie starych tomów było uspokajające, bo myślenie o przeszłości sprawiało, że terażniejszość wydawała się trochę mniej realna. I podczas gdy ja przeglądałam nuty, pastor przygotował herbatniki i maderę. Nigdy przedtem nie piłam madery i było to cudowne – bardziej sama idea niż smak, bo czułam się jak ktoś składający przedpołudniową wizytę w jakiejś starej powieści. Przez chwilę popatrzyłam na siebie z boku i pomyślałam: „Biedna Cassandra! Nigdy jej się nie układa. Przeżywa swój upadek”.

Rozmawialiśmy o Cottonach, o Scoatney i o tym, jak wspaniale się wszystko ułożyło dla wszystkich, i jak cieszymy się z sukcesu Rose. Bardzo go zainteresowało, że Simon spędził ze mną noc świętojańską, i zadał mi mnóstwo pytań na ten temat. Potem zaczęliśmy rozmawiać o religii, co mnie raczej zdziwiło, bo pastor tak rzadko o tym wspomina – to znaczy przy naszej rodzinie; bo oczywiście, religia jest stale obecna w jego życiu codziennym.

– Powinnaś tego kiedyś spróbować – powiedział. – Wierzę, że ci się spodoba.

– Ale przecież już próbowałam, prawda? – odrzekłam. – Byłam w kościele. Nie wydaje mi się, żeby to na mnie działało.

Roześmiał się i powiedział, że wie, że narażałam się na infekcję od czasu do czasu.

– Ale złapanie czegoś zależy w dużej mierze od stanu zdrowia. Powinnaś odwiedzić kościół, kiedy będziesz duchowo wyczerpana.

Przypomniałam sobie swoje myśli w drodze do wsi.

– Och, to nie byłoby w porządku, że człowiek pędzi do kościoła, bo czuje się nieszczęśliwy – zauważyłam, starając się, żeby to zabrzmiało szczególnie radośnie.

– To by było naprawdę nie w porządku, gdyby się nie poszło; odbierałabyś wtedy religii jej najlepszą szansę.

– Uważa pastor, że „krytyczne sytuacje człowieka są szansą Pana Boga”¹⁷?

– Właśnie. Rzecz jasna, istnieją tu skrajności: największe szczęście łączy się z religią prawie w takim samym stopniu jak i największe nieszczęście.

Przyznałam, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Nalał mi madery, po czym mówił dalej:

– Ponadto sądzę, że religia ma szansę wtedy, gdy umysł szuka pociechy w muzyce albo poezji, w ogóle w jakiegokolwiek formie sztuki. Osobiście uważam, że to właśnie jest sztuka, ta największa; rozszerzenie duchowej bliskości, którą inne rodzaje sztuki usiłują osiągnąć.

– Przypuszczam, że pastor ma na myśli duchową bliskość

z Bogiem.

Tak gwałtownie parsknął śmiechem, że zakrztusił się maderą.

– Co, do licha, powiedziałam aż tak śmiesznego? – zapytałam, kiedy wycierał oczy.

– To ten twój kompletnie pozbawiony wyrazu ton. Pan Bóg mógłby być długim, deszczowym tygodniem, który teraz właśnie nam zsyła. – Spojrzał w stronę okna. Deszcz znowu zaczął padać, tak mocno, że ogród za ociekającymi wodą szybami wyglądał jak rozmyta zielona plama. – Jak inteligentni młodzi ludzie unikają nawet wzmianki o Bogu! To sprawia, że czują się zarówno znudzeni, jak i wyniesieni ponad to.

– No, kiedy już raz przestaje się wierzyć w starego dżentelmena z brodą... – próbowałam wyjaśnić. – To jest tylko słowo Bóg, wie pastor... to ma taki konwencjonalny wydźwięk.

– To jest jedynie skrót myślowy dotyczący tego, skąd pochodzimy, dokąd idziemy i o co w tym wszystkim chodzi.

– A czy religijni ludzie dowiadują się, o co w tym wszystkim chodzi? Czy naprawdę znajdują odpowiedź na tę zagadkę?

– Dostają czasami tylko przedsmak odpowiedzi. – Uśmiechnął się do mnie, a ja uśmiechnęłam się do niego, i oboje wypiliśmy trochę madery. Potem kontynuował: – Przypuszczam, że msze w kościele też mają dla ciebie konwencjonalny wydźwięk, i mogę to zrozumieć. Och, one są naturalne dla ludzi wprawionych i sprzyjają życiu towarzyskiemu, ale czasami myślę, że głównym celem jest to, by dodać Kościołowi patyny i pomóc mu przetrwać... no wiesz, tak jak palenie fajki zabarwia ją. Jeżeli jakaś... no, niereligijna osoba szukałaby pociechy w religii, poradziłbym jej, by posiedziała w pustym kościele. I siedziała, nie klęczała. I słuchała, a nie modliła się. Modlitwa to bardzo trudna sprawa.

– Naprawdę?

– No, dla niedoświadczonych w modlitwie czasami tak. Widzisz, oni zwykle myślą o Bogu jak o jakimś automacie, na przykład do napojów. Jeżeli nic się nie pojawia, mówią: „Wiedziałem, że tam nic nie ma”. Podczas gdy całym sekretem modlitwy jest wiedza, że to

urządzenie jest pełne.

– A jak to się wie?

– Napelniając je samemu.

– Wiarą?

– Wiarą. Pewnie uważasz to za jeszcze jedno nudne słowo. I ostrzegam cię, że ta metafora z automatem może nas zawieść w każdej chwili. Ale jeżeli kiedykolwiek poczujesz się bardzo nieszczęśliwa... co oczywiście nie dotyczy cię teraz, kiedy tak dobry los spotkał twoją rodzinę... spróbuj posiedzieć w pustym kościele.

– I poczuć przedsmak odpowiedzi?

Oboje się roześmialiśmy, a pastor powiedział, że byłoby równie rozsądne mówić o czuciu czy smakowaniu Boga jak o widzeniu czy słyszeniu Go.

– Jeżeli człowiek będzie miał szczęście, to pozna Boga wszystkimi zmysłami i żadnym z nich. Pewnie można by to określić, że poczujemy się „bardzo dziwnie”.

– Czy pastor już się tak czuł?

Westchnął i odrzekł, że nawet przedsmak odpowiedzi bardzo rzadko się zdarza.

– Ale jeśli już, to zapamiętuje się to na zawsze – dodał cicho. Potem zamilkliśmy i obydwójce zapatrzyliśmy się w ogień. Krople deszczu wpadały przez komin i syczały lekko. Myślałam o tym, że taki dobry z niego człowiek i że nigdy nie jest irytująco świątobliwy. I po raz pierwszy uderzyła mnie myśl, że jeżeli taki inteligentny i bardzo wykształcony mężczyzna może wierzyć w religię, to prawie bezczelnością ze strony takiej niedouczonej osoby jak ja jest czuć się znudzoną i wyniesioną ponad to – bo zdałam sobie sprawę, że to nie tylko słowo „Bóg” sprawiało, że tak się czułam.

Zaczęłam się zastanawiać, czy jestem ateistką. Nigdy o sobie nie myślałam jako o ateistce, a czasami, w bardzo piękne dni, jestem prawie pewna, że musi coś tam gdzieś być. I modłę się co wieczór, chociaż zdaje mi się, że moje modlitwy są tylko jak wypowiedanie życzeń do księżycyca w nowiu... ale jednak nie całkiem; modłę się po prostu na wypadek, gdyby był jakiś Bóg. (Nie modliłam się teraz,

kiedy cierpię z powodu Simona, bo nie wolno mi prosić, żeby mnie kochał, ale nie poproszę też, żebym ja przestała go kochać, wolałabym raczej umrzeć). Na pewno nigdy w czasie modlitwy nie miałam poczucia duchowej bliskości z Bogiem – jedyny przeblysłk czegoś takiego zdarzył mi się podczas tych kilku minut, kiedy zwiedzałam katedrę w King’s Crypt o zachodzie słońca, tylko zaraz to zgasło, gdy usłyszałam głos dyrektorki naszej szkoły, jak głądziła o zabytkach i pozostałościach z czasów Brytów i Sasów. Siedząc teraz z pastorem, próbowałam ponownie uchwycić tamte odczucia, ale stopiły się ze wspomnieniem podobnej do katedry alei, którą sobie wyobraziłam, kiedy opisywałam obrzędy nocy świętojańskiej; a potem katedra, aleja, moja miłość do Simona i ja sama pisząca o tym na strychu – wszystko to złączyło się w mojej pamięci: każda sprawa zamknięta w swoim własnym świetle, a jednocześnie będąca częścią następnej. Długo siedziałam bez ruchu, patrząc w ogień na kominku.

Wróciłam na ziemię dopiero, gdy zegar na kościele wybił pół godziny. Wtedy zerwałam się, żeby iść – i zostałam zaproszona na lunch; ale wiedziałam, że powinnam wracać do domu i przygotować posiłek ojcu.

Kiedy pastor podawał mi mój płaszcz przeciwdeszczowy, poprosił, żebym weszła do kościoła i sprawdziła, czy nie zostawił otwartego okna w zakrystii i czy nie napadało do środka. Co prawda deszcz przestał już padać, ale pastor i tak chciał, żeby zamknąć okno; powiedział, że na pewno znowu lunie, akurat jak będzie szykował się do popołudniowej drzemki. Stał i patrzył za mną, gdy biegłam przez dziedziniec kościelny – pomachałam mu, zanim weszłam do kościoła przez boczne drzwi. Kiedy je zamykałam za sobą, wydało mi się prawie śmieszne, że posłał mnie do kościoła, a nawet doradził, jak znaleźć pociechę w religii, nie mając najmniejszego pojęcia, że właśnie tego potrzebowałam.

Okazało się, że okno nie było otwarte. Po wyjściu z zakrystii pomyślałam: „No, skoro już jesteś w pustym kościele, lepiej to wykorzystaj”. Byłam blisko ołtarza, więc go sobie dobrze

obejrzałam. Tablice pamiątkowe z mosiężnymi napisami i obrus ołtarzowy zupełnie do mnie nie przemawiały. Białe róże były świeże, ale zmęczone deszczem; wyglądały na takie całkiem nieruchome, jak zawsze kwiaty na ołtarzu. Wszystko na ołtarzu wydawało się nienaturalnie nieruchome... ascetyczne, zamknięte w sobie.

Pomyślałam: „Wcale nie czuję, żebym uzyskała jakąś pomoc czy ukojenie”. Potem przypomniałam sobie miły, głęboki głos pastora, jak mówił: „Usiądź... posłuchaj”. Powiedział mi, żebym się nie modliła, a ponieważ patrzenie na ołtarz zawsze kieruje moje myśli ku modlitwie, więc siadłam na stopniach i patrzyłam w kierunku głównej nawy. Nasłuchiwałam uważnie.

Słyszałam wodę deszczową, wylewającą się z rynien, i cienką gałązkę, ocierającą się o jedno z okien; ale kościół wydawał się kompletnie odcięty od niespokojnego dnia tam na zewnątrz – tak jak ja czułam się odcięta od kościoła. Pomyślałam: „Jestem niepokojem wewnątrz spokoju otoczonego niepokojem”.

Po jakiejś minucie ta zamknięta w kościele cisza zaczęła mi dźwięczeć w uszach – myślałam z początku, że to dobry znak, ale nic ciekawego się nie zdarzyło. Potem przypomniałam sobie, co pastor mówił o poznawaniu Boga wszystkimi zmysłami, więc dałam spokój oczom i spróbowałam wyczuć coś nosem. Był tam zapach starego drewna, starych klęczników, starych śpiewników z hymnami – mieszanka stęchlizny i kurzu; zimne róże na ołtarzu w ogóle nie pachniały, chociaż wokół niego unosiła się jakaś delikatna duszna słodycz; zorientowałam się, że pochodziła z bogato haftowanego obrusa. Następnie wypróbowałam swój zmysł smaku, ale niósł tylko wspomnienie madery i herbatników. Dotyk: jedynie zimny kamień stopni. Jeżeli chodzi o wzrok, to było oczywiście wiele do oglądania: pięknie zdobiony łuk arkadowy, wspaniałe grobowiec rodziny de Godysów, wysoka ambona: uderzająco pusta i zarazem trochę karcąca. Och, dostrzegałam mnóstwo rzeczy, wiele z nich było pięknych, ale nic poza widokiem nie dotarło do mnie przez oczy, więc je zamknęłam. Pastor powiedział: wszystkie zmysły

i żaden z nich – i pomyślałam, że może gdybym całkowicie oczyściła umysł...

Często to robiłam – kiedyś myślałam, że to dobry sposób na przewidywanie przyszłości, ale nigdy nie udało mi się nic poza tym, że wyobrażałam sobie czerń. Siedząc na stopniach ołtarza, zobaczyłam czerń czarniejszą niż kiedykolwiek wcześniej i również ją odczułam – tony ciemności zdawały się nacierać na mnie. Nagle przypomniałam sobie słowa z wiersza Henry’ego Vaughana: „Jest w Bogu (niektórzy mówią) głęboka, lecz olśniewająca ciemność” – i w następnej sekundzie ta ciemność eksplodowała światłem. „Czy to był Bóg? Czy to się naprawdę wydarzyło?” – zapytałam siebie. Ale uczciwa część mojego umysłu odpowiedziała: „Nie. Wyobraziłaś to sobie”. Potem zegar na wieży kościelnej wybił trzy kwadranse, wypełniając powietrze dźwiękiem. Otworzyłam oczy i znalazłam się z powrotem w pięknym, chłodnym, dusznym kościele, który wydawał się nie przejmować tym, czy żyję, czy nie.

Bicie zegara uświadomiło mi, że nie zdążę przygotować lunchu dla ojca, więc biegłam przez większość drogi do domu – tylko po to, żeby zobaczyć, że wziął sobie sam jedzenie (zimne mięso wyglądało, jakby je kroił motyką) i wyszedł. Nie było jego roweru, więc się domyśliłam, że pojechał do Scoatney. Uznałam, że uda mi się doprowadzić twarz do porządku przed kolacją, i popłakałam sobie do woli, z ciastem i mlekiem na zakończenie; czułam się o tyle lepiej niż zwykle, nawet po płaczu, że zaczęłam się zastanawiać, czy rzeczywiście nie dostałam w kościele jakiejś odpowiedzi od Boga.

Ale następnego ranka ciężar przygniatający mi serce był najgorszy, jaki pamiętam. I wcale się nie zmniejszył, gdy przygotowywałam śniadanie; a potem, kiedy Stephen i Thomas wyszli, a ojciec zamknął się w wartowni, było ze mną tak źle, że chodziłam wkoło, opierając się o ściany – nie mam pojęcia, dlaczego cierpienie sprawia, że opieram się o ściany, ale tak jest. Jednak tym razem wcale nie chciało mi się płakać; miałam ochotę krzyczeć. Wybiegłam więc z domu w deszcz, na puste pole daleko od wszystkich, i wrzeszczałam wniebogłosy, a potem poczułam się

okropnie głupio – i byłam przemoczona do suchej nitki. Nagle gorąco zapragnęłam siedzieć z życzliwym pastorem u niego przy kominku, pijąc maderę, a ponieważ byłam już i tak w połowie drogi do Godsend, w linii prostej, poszłam dalej przed siebie, gramoląc się przez żywopłoty i rowy. Próbowałam znaleźć jakiś dobry powód do tej drugiej wizyty i najlepsze, co wymyśliłam, to że złapał mnie deszcz i bałam się przemarznąć – choć i tak było mi obojętne, co pastor sobie pomyśli, bylebym tylko mogła usiąść przy ciepłym kominku, z kieliszkiem madery.

Ale kiedy wreszcie dotarłam na plebanię, nikogo tam nie było. Stałam, dzwoniąc i waląc w drzwi – miałam wrażenie, że w ten sposób sprawię, że ktoś tam jednak będzie, a zarazem wiedziałam, że to nic nie da.

„Czy mam wślizgnąć się do kościoła i poczekać?” – zastanawiałam się, idąc ścieżką przez zalany deszczem ogród. Ale akurat wtedy pani Jakes zawołała do mnie z gospody Pod Kluczami po drugiej stronie ulicy, że pastor z gospodynią robią zakupy w King’s Crypt i wrócą dopiero wieczorem.

Pobiegłam do niej i zapytałam, czy mogłaby mi zaufać i dać na kredyt kieliszek porto. Roześmiała się, mówiąc, że prawo zabrania sprzedaży alkoholu przed dwunastą, ale może mnie poczęstować.

– I na miły Bóg, to ci dobrze robi – dodała, gdy szłam za nią do baru. – Jesteś kompletnie przemoczona. Zdejmij tę sukienkę, to wysuszę ją przy kuchennym piecu.

Jakiś człowiek naprawiał zlew w kuchni, więc nie mogłam tam siedzieć bez sukienki; ale ona zamknęła drzwi do baru na zasuwę i powiedziała, że przypilnuje, żeby nikt nie wszedł do baru przez kuchnię. Dałam jej moją sukienkę i siedząc przy barze w koszulce i czarnych szkolnych spodenkach gimnastycznych, piłam porto.

Porto było dobre i rozgrzewające, ale nie uważam starych wiejskich barów za wesołe miejsca; jest coś wyjątkowo przygnębiającego w zapachu zwiędzłego piwa. Gdybym była w dobrym nastroju, mogłaby mi się podobać myśl, że mieszkańcy wsi pili tutaj od trzystu lat. No, ale w obecnym stanie rzeczy

myślałam tylko o tym, jak okropne musiało być ich życie i że większość z nich już umarła. Za barem wisało lustro, naprzeciw okna, w którym mogłam zobaczyć odbity obraz mokrych nagrobków na przykościelnym cmentarzu. Myślałam o deszczu przenikającym w głąb ziemi, do przesiąkniętych wilgocią trumien. I cały czas z moich mokrych włosów kapłała woda, spływając mi po plecach.

Jednak kieliszek porto nieco ukoił moje cierpienie. Czułam się głupawo; zaczęłam błędzić wzrokiem po barze. Spojrzałam na butelki likieru miętowego i wiśniówki – i przypomniałam sobie, jak piłyśmy to z Rose pierwszego maja. I nagle poczułam pełną goryczy nienawiść do zielonego likieru miętowego Rose i głęboką czułość do mojej rubinowej wiśniówki.

Podeszłam do drzwi i wsunęłam przez nie głowę.

– Proszę pani – zawołałam – czy mogę prosić o wiśniówkę? Właśnie bije dwunasta, więc może mi pani dać to na kredyt, bez łamania prawa.

Przyszła i nalała mi kieliszek, a kiedy odstawiła butelkę, mogłam rozkoszować się tym, że ubyło z niej więcej niż z butelki likieru miętowego. „Teraz każdy uzna, że wiśniówka ma większe powodzenie” – pomyślałam. Potem do drzwi zapukało dwóch starszych mężczyzn, domagając się piwa, a pani Jakes szybko zabrała mnie z baru, razem z moim kieliszkiem.

– Możesz poczekać w pokoju panny Marcy – powiedziała. – Twoja sukienka jeszcze przez dobrą chwilę będzie się suszyła.

Panna Marcy ma pokój w gospodzie na piętrze, dostatecznie daleko od barowych hałasów. Od kiedy tylko przyjechała do Godsend, ciągle mówi o kupnie własnego domu, ale mijają lata, a ona nadal mieszka Pod Kluczami i nie sądzę, że kiedykolwiek się wyprowadzi. U pani Jakes jest jej bardzo wygodnie i stąd ma blisko do szkoły.

Kiedy szłam po schodach, zdziwiło mnie, że moje nogi są takie niepewne. Powiedziałam do siebie: „Biedna mała, jesteś bardziej wyczerpana, niż zdajesz sobie z tego sprawę”. Z ulgą usiadłam w wiklinowym fotelu panny Marcy – tyle że był o wiele niższy, niż się spodziewałam; trochę rozlałam cenną zawartość kieliszka.

Z głęboką satysfakcją wypijałam resztę, z każdym łykiem myśląc: „Kij ci w oko, ty zielony miętowy likierze”. A potem uderzyła mnie bardzo dezorientująca myśl, że przecież to zielony jest moim kolorem, a różowy należy do Rose, więc kolory alkoholi były całkiem głupio pomyłone. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie jestem trochę pijana. Przejrzałam się w lustrze toaletki panny Marcy – wyglądałam okropnie: włosy w strąkach, twarz ubrudzona, a jej wyraz po prostu rzewny. Zupełnie bez powodu uśmiechnęłam się do siebie. Pomyślałam: „Kim ja jestem? Kim ja jestem?”. Zawsze gdy zadaję sobie to pytanie, czuję, że jeden porządny bodziec mógłby mnie popchnąć na skraj szaleństwa; odwróciłam się więc od lustra i spróbowałam nie myśleć o sobie – pomogło mi w tym rozejrzenie się po pokoju panny Marcy.

Jest on naprawdę fascynujący – wszystkie jej osobiste rzeczy są takie maleńkie. Jej obrazy to reprodukcje starych mistrzów na kartach pocztowych. Ma mnóstwo metalowych zwierzątek wielkości jednego cala, małe drewniane buciki, malowane pudełeczka, w których tylko znaczki pocztowe mogą się zmieścić. Te rzeczy wydają się jeszcze mniejsze przez to, że pokój jest taki ogromny, z grubymi dębowymi belkami, i wszystkie meble pani Jakes są masywne.

Kiedy oglądałam miniaturowe dzbanuszki z Devon na gzymsie nad kominkiem (pięć, a w każdym był jeden dziki kwiatek), uczucie ciepła po wiśniówce opuściło mnie – pewnie dlatego, że wiatr z komina przewiewał moje spodenki gimnastyczne. Zawinęłam się więc w narzutę i położyłam na łóżku. Prawie zasypiałam, kiedy panna Marcy wróciła do domu na lunch.

– Och, moje biedne, biedne dziecko! – zawołała, podchodząc i kładąc dłoń na moim czole. – Może powinnam zmierzyć ci temperaturę?

Odparłam, że nic mi nie dolega, poza kieliszkiem czegoś mocniejszego. Zachichotała, zamrugła oczami i wykrzyknęła: „No, nie!” – i nagle poczułam się bardzo światowa i dużo starsza od niej. Przyniosła mi moją sukienkę i trochę gorącej wody. Po umyciu

poczułam się całkiem normalnie, tyle że cały ten ranek ciążył mi na sumieniu w okropnie zawstydzający sposób.

– Muszę pędzić do domu – powiedziałam. – Już się spóźniłam pół godziny z lunchem dla ojca.

– Och, twój ojciec znowu jest w Scoatney – poinformowała mnie panna Marcy. – Dostanie tam wspaniałą, grubą stek. – Dowiedziała się o tym od pani Jakes, która usłyszała to od rzeźnika, a on od kucharki w Scoatney. – Więc możesz zostać i zjeść lunch ze mną. Pani Jakes przyśle na górę tyle, że starczy dla nas obu.

Panna Marcy dostaje posiłki z kuchni gospody, ale w dużym mahoniowym narożnym kredensie trzyma różne rzeczy, które nazywa specjalnymi smakołykami.

– Lubię pogryzać je w nocy – powiedziała, wyjmując jakieś herbatniki. – Zawsze się budzę koło drugiej i mam ochotę coś zjeść.

Wyobraziłam ją sobie, jak leży w szerokim, zapadającym się łóżku, patrzy na kwadrat okna z małymi szybkami i chrupie herbatniki w świetle księżyca.

– Czy długo tak leży pani bezsennie?

– Och, zwykle słyszę, jak zegar wybija kwadrans po drugiej. Powtarzam sobie, że mam być grzeczną dziewczynką i zasnąć. Najczęściej wymyślam jakąś ładną historyjkę, zanim zasnę.

– Jaką historyjkę?

– No, to nie są takie prawdziwe historie, oczywiście. Czasem wyobrażam sobie, co się dalej dzieje z bohaterami książek, jak książka się już skończy. Albo myślę o ciekawych ludziach, których znam: o drogiej Rose, robiącej zakupy w Londynie, czy o Stephenie, jak go fotografuje ta uprzejma pani Fox-Cotton. Uwielbiam układać różne historie o ludziach.

– A o sobie samej?

Wyglądała na całkiem zaskoczoną.

– Wiesz, chyba nie, nigdy. Nie uważam, żebym była szczególnie interesująca.

Coś załomotało przy drzwiach i panna Marcy poszła odebrać tacę.

– Och, wspaniale – skomentowała. – Mięso duszone z jarzynami

świetnie poprawia nastrój w deszczowy dzień.

Kiedy zasiadłyśmy do jedzenia, powiedziałam, że to musi być niezwykle nie uważać siebie za interesującą osobę.

– Nigdy nie czuła się pani interesująca, panno Marcy? Zamyśliła się, przeżuując ogromny kęs jedzenia.

– Chyba się czułam, gdy byłam małą dziewczynką. Moja ukochana matka zawsze mówiła, że jestem bardzo egocentryczna. I wiecznie niezadowolona!

– Teraz pani nie jest. Co panią zmieniło?

– Bóg zesłał mi prawdziwe zmartwienie, moja droga. – Opowiedziała mi, jak jej rodzice zmarli, jedno po drugim, w ciągu miesiąca, kiedy miała siedemnaście lat, i jak straszliwie to przeżyła.

– Och, moja droga, nie mogłam uwierzyć, że słońce jeszcze kiedyś zaświeci. Potem nasz miejscowy pastor poprosił mnie o pomoc przy opiece nad grupą dzieci, które zabierał na wieś... i wiesz, to okazało się dla mnie cudem. Chyba wtedy zaczęłam bardziej interesować się innymi niż sobą.

– Dla mnie okazałoby się to cudem... to znaczy gdybym była kiedyś nieszczęśliwa.

Powiedziała, że sądzi, że chyba się jednak mylę; potem zapytała, czy bardzo tęsknię za Rose. Zauważyłam, że przygląda mi się badawczo, więc bardzo swobodnym tonem potwierdziłam, po czym zaczęłam radośnie mówić o wyprawie ślubnej Rose i o tym, jak się cieszę z jej szczęścia, aż usłyszałyśmy pod oknem głosy dzieci maszerujących gromadką do szkoły. Wtedy panna Marcy poderwała się i przypudrowała sobie na białe nos maleńkim puszką z kartonowego pudełeczka.

– Dziś po południu mamy śpiewanie – powiedziała. – Zawsze się na to cieszymy.

Pomyślałam o śpiewaniu w dniu pierwszego maja, o Simonie, bardzo zażenowanym i tak miłym, przemawiającym do dzieci. Och, cudowny dzień – zanim Simon oświadczył się Rose!

Poszłyśmy na dół i podziękowałam pani Jakes za wszystko, łącznie z pożyczką na wiśniówkę. (Cały szyling – i to ze zniżką. Picie jest

rujnujące). Deszcz przestał padać, ale było ciągle bardzo szaro i chłodno.

– Mam nadzieję, że do soboty się wypogodzi – odezwała się panna Marcy, kiedy robiłyśmy unik przed kroplami kapiącymi z liści kasztana – bo zabieram dzieci na piknik. Czy nie znalazłabyś, moja droga, czasu, żeby mi pomóc? Potrafisz wymyślać takie wspaniałe zabawy.

– Obawiam się, że będę trochę zajęta w zamku – odparłam szybko. Dzieci wrzeszczały przy jakiejś grze na boisku i czułam, że nie zniosłabym czegoś takiego przez całe popołudnie.

– To było bezmyślne z mojej strony! Jasne, że masz pełne ręce roboty pod koniec tygodnia, kiedy chłopcy są w domu, no i twój ojciec... A może masz trochę czasu w te długie jasne wieczory? Wiesz, niektórzy starsi ludzie lubią, żeby im poczytać.

Patrzyłam na nią ze zdumieniem. Ani Rose, ani ja nigdy nie przepadałyśmy za takimi rzeczami; nawiasem mówiąc, nie wierzę, że wieśniacy naprawdę lubią, żeby dla nich spełniać dobre uczynki. Panna Marcy musiała zauważyć mój wyraz twarzy, bo mówiła dalej szybko:

– Och, to tylko taki pomysł. Myślałam, że to mogłoby cię trochę rozerwać, jeżeli życie wydaje ci się nudne bez Rose.

– Właściwie nie – odrzekłam pogodnie.

Bóg świadkiem, nie można przecież nazwać cierpienia nudzeniem się. Droga panna Marcy nie wiedziała, że zajmowało mnie coś więcej niż tęsknota za Rose. No i właśnie wtedy jakieś dzieci podeszły z żabą w kartonowym pudełku, więc się pożegnała i odeszła z nimi w stronę sadzawki popatrzeć, jak żaba będzie pływać.

Kiedy wróciłam do domu, zamek był kompletnie opuszczony, nawet Aba i Hel nigdzie nie było. Czułam się winna, bo nie dostały jedzenia, wołałam je i wołałam, ale nie przyszły. Mój głos przepełniała rozpacz i nagle poczułam się samotna jak nigdy w życiu i jeszcze bardziej smutna. Wszystko, na co patrzyłam, było szare – szara woda w fosie, wielkie szare strzeliste mury, odległe

szare niebo; nawet pszenica, mieniąca się zielenią i złotem, wydawała się bez koloru.

Siedziałam w sypialni na ławeczce pod wykuszowym oknem, patrząc nieruchomym wzrokiem na pannę Blossom. Nagle usłyszałam jej głos w swojej głowie: „Ty idź na ten piknik, kochaneczko”.

Słyszałam, jak ją pytam, dlaczego mam iść.

– Bo mała panna Mrugaoczko ma rację: przestaniesz myśleć o sobie. A robienie czegoś dla innych sprawia, że cała promieniejesz.

– Porto też tak działa – powiedziałam cynicznie.

– Nie można tak mówić, nie w twoim wieku – wytknęła mi panna Blossom. – Chociaż można było pęknąć ze śmiechu, gdy widziało się, jak spacerujesz w pantalonach i z tą wiśniówką. Pomyśleć, że tak ci zasmakował alkohol!

– Nie mogę w nim za często topić swoich smutków – odparłam. – To zbyt wiele kosztuje. Dobre uczynki są bardziej dostępne.

– Religia też jest – powiedziała panna Blossom. – I niektórzy mówią, że jest najlepsza ze wszystkiego. Gdybyś się bardziej postarała, mogłabyś się na nią otworzyć... no wiesz, z tym twoim uwielbieniem dla poezji.

To bardzo dziwne, ale z pomocą panny Blossom często mówię sobie różne rzeczy, o których nie wiedziałam, że są mi znane. Kiedy powiedziała to o otworzeniu się na religię, natychmiast zdałam sobie sprawę, że miała rację – i tak mnie to zaskoczyło, że pomyślałam:

„Boże, czy zostałam nawrócona?”. Wnet jednak uznałam, że to nie było nic aż tak drastycznego; wszystko, co tak naprawdę zrozumiałam, to była... no, realna możliwość nawrócenia. Nagle dotarło do mnie, że religia, Bóg – coś poza codziennym życiem – jest do odnalezienia, jeśli człowiek naprawdę tego chce. I pojęłam, że chociaż to, co odczułam w kościele, stanowiło tylko wytwór wyobraźni, był to jednak krok w tym kierunku; ponieważ wyobraźnia sama w sobie może być pewnego rodzaju gotowością: pozorem, że coś istnieje dlatego, że się tego pragnie. Uświadomiłam

sobie, że jakoś wiązało się to ze słowami pastora, że religia jest rozszerzeniem sztuki – i nagle olśniło mnie, że religia może wyleczyć człowieka ze smutku; potrafi ten smutek przetworzyć na piękno, tak jak sztuka potrafi uczynić smutne rzeczy pięknymi.

Złapałam się na tym, że mówię do siebie: „Istotą sprawy jest poświęcenie. Człowiek musi poświęcić coś dla sztuki i tak samo jest z religią; a potem to poświęcenie zmienia się w korzyść”. W tym momencie się pogubiłam, tracąc logiczny tok myśli – aż do chwili kiedy panna Blossom zauważyła: „Bzdury, kochanieńka, to bardzo proste. Poświęcasz się czemuś innemu, a nie sobie, i odczuwasz cudowną ulgę”.

To zrozumiałam jasno. A potem pomyślałam: „Przecież panna Marcy też w ten sposób wyleczyła się ze swego smutku, tyle że ona poświęciła się innym ludziom, a nie religii”. Która droga życia była lepsza – jej czy pastora? Uznałam, że on kocha Boga i tylko lubi mieszkańców wsi, podczas gdy ona kocha mieszkańców wsi i tylko lubi Boga – i nagle się zastanowiłam, czy mogłabym połączyć obydwie drogi, kochać Boga i sąsiadów jednakowo. Czy rzeczywiście tego chciałam?

Bardzo! Przez chwilę naprawdę chciałam! Widziałam siebie, jak chodzę regularnie do kościoła, przystępuję do konfirmacji, robię małą kapliczkę z kwiatami i świecami – i jestem taka cudowna dla każdego w domu i we wsi, opowiadam historyjki dzieciom, czytam starym ludziom (śmiem twierdzić, że takt pomógłby ukryć to, że się spełnia dla nich dobre uczynki). Czy byłabym szczerą, czy tylko bym udawała? Nawet gdyby zaczęło się od udawania, to na pewno szybko stałoby się szczerą. A może już było autentyczne, bo sama myśl o tym zdjęła ciężar cierpienia z mego serca i odpędziła je tak daleko, że chociaż jeszcze je widziałam, to już go nie czułam.

A potem zdarzyło się coś bardzo dziwnego: objawiła mi się nowa droga, która omija King's Crypt – szeroka, prosta, z pasami szybkiego ruchu. I zobaczyłam również zatłoczoną część miasteczka, z siecią poplątanych wąskich, starych uliczek, takich okropnych dla kierowców w dni targowe, a przecież tak bardzo,

bardzo pięknych. Oczywiście, obraz widziany oczami duszy chciał mi powiedzieć, że zarówno pastorowi, jak i pannie Marcy udało się ominąć cierpienie, które dotyka większości ludzi – jemu dzięki religii, a jej przez dobroć dla innych. I zrozumiałam jednocześnie, że omijając cierpienie, możemy stracić zbyt wiele – nawet, w pewnym sensie, swoje życie. Czy to właśnie dlatego panna Marcy wygląda tak młodo jak na swoje lata? Czy dlatego pastor pomimo swego bystrego umysłu przypomina starego niemowlaka?

Powiedziałam głośno: „Ja nie chcę, by mnie cokolwiek ominęło”. A potem smutek wrócił i zwałił się na mnie jak rzeka, która przerwała tamę. Próbowałam otworzyć serce i przyjąć go jako część życiowego doświadczenia, no i z początku przyniosło to pewną ulgę. Ale później było tak źle jak nigdy wcześniej, odczuwałam to fizycznie i duchowo; serce i żebra, i ramiona, i klatka piersiowa, nawet ręce – wszystko mnie bolało. Tak rozpaczliwie pragnęłam, by ktoś mnie pocieszył, że podeszłam do panny Blossom i złożyłam głowę na jej biuście. Myślałam, że jest miękki i matczynej pod niebieską satynową bluzką, i wyobrażałam sobie, jak ona mówi do mnie: „Właśnie tak, przejdź przez sam środek tego wszystkiego, nie omijaj niczego, kochana. To w końcu najlepszy sposób dla większości z nas”.

Potem inny głos zabrzmiał w moich myślach, gorzki i sarkastyczny – mój własny głos w najokropniejszym wydaniu: „Upadłaś całkiem nisko, moja mała, przytulając się do krawieckiego manekina. Nie jesteś już trochę za stara na te głupstwa z panną Blossom?”. I wtedy po raz pierwszy w życiu zaczęłam się zastanawiać, jak „robiłam” pannę Blossom. Czy była jak matka Stephena – choć nie taka pokorna – czy raczej jak sprzątaczką cioci Millicent? Czy wzięłam ją z jakiejś książkowej postaci? Nagle zobaczyłam ją wyraźniej niż zwykle, jak stoi za barem w staroświeckim londyńskim pubie. Patrzyła na mnie z wielkim wyrzutem, potem włożyła na swoją niebieską bluzkę selskinowy żakiet, zgasła wszystkie światła i wyszła w noc, zamykając za sobą drzwi. W następnej sekundzie jej biust stał się twardy jak deska i pachniał tylko kurzem i klejem.

Wiedziałam, że odeszła na zawsze.

Całe szczęście, że właśnie wtedy pojawiła się Heloiza, bo tak bym się popłakała, że nie zdołałabym się ogarnąć do kolacji. Przy Heloizie nie można płakać – macha współczująco ogonem, ale wygląda na zażenowaną i szybko się oddala. A i tak musiałam dać jej bardzo spóźniony obiad.

Po tym wszystkim nie byłam w stanie nawet spojrzeć na pannę Blossom. I to nie tylko dlatego, że jest zaledwie krawieckim manekinem, ale też dlatego, że myślę o niej jak o zwłokach krawieckiego manekina.

Religia, dobre uczynki, mocny alkohol – och, jest jeszcze inny sposób ucieczki, haniebny, o wiele gorszy niż upijanie się. Wypróbowałam go w swoje urodziny, tydzień temu.

Kiedy się obudziłam tamtego ranka, świeciło słońce, pierwszy raz od dwóch tygodni. Ledwie zdążyło to do mnie dotrzeć, kiedy usłyszałam muzykę za drzwiami mojej sypialni. Skoczyłam na równe nogi i wybiegłam na podest – tam, na podłodze, stało małe przenośne radio, na którym leżała kartka urodzinowa, a na niej było napisane: „Najlepsze życzenia od Stephen’a”. To na to oszczędzał! Dlatego pozował Ledzie Fox-Cotton!

Zawołałam bardzo głośno:

– Stephen! Stephen!

– Poszedł wcześniej do pracy – odkrzyknął z holu Thomas. – Myślę, że czuł się zażenowany, że mu będziesz dziękować. To całkiem dobre radyjko. Ubieraj się szybko, posłuchamy przy śniadaniu.

Wbiegł po schodach i chwycił radio, zanim zdążyłam chociażby pokręcić gałkami. Już miałam zamiar powiedzieć mu, żeby je przyniósł z powrotem, ale pomyślałam: „Mój Boże, a cóż to ma za znaczenie?”. Poranny smutek przygniótł mi serce. Ubierając się, wyliczyłam, że dwa tygodnie i dwa dni temu posiadanie radia uszczęśliwiłoby mnie niebywale, a teraz było mi to zupełnie obojętne. Potem przyszło mi do głowy, że przynajmniej mogę sobie cierpieć przy muzyce.

Kiedy zeszłam do kuchni, zobaczyłam, że Stephen nakrył stół i postawił na nim kwiaty.

– A to prezent ode mnie – powiedział Thomas. – Nie zapakowałem go, bo jestem właśnie w połowie.

Była to książka o astronomii, którą Thomas bardzo się interesuje; ucieszyłam się, że wybrał coś, co sam chciał mieć, bo chociaż dostaje teraz jakieś kieszonkowe, to długo potrwa nadrabianie tych lat, kiedy nie dostawał ani pensa.

Potem do kuchni zszedł ojciec; oczywiście nie pamiętał o moich urodzinach.

– Ale Topaz będzie pamiętać – rzucił wesoło. – Na pewno przyśle ci coś ode mnie.

Był przerażony na widok radia – zawsze twierdził, że życie bez radia jest jedną z niewielu przyjemności biedy – ale zainteresował się nim w trakcie śniadania. Tylko nie mógł znieść muzyki ani głosów; podobały mu się tylko zakłócenia w odbiorze.

– Pewnie nie zechcesz mi go pożyczyć na jakąś godzinę? – spytał po wyjściu Thomasa do szkoły. – Te hałasy są wspaniałe.

Pozwoliłam mu zabrać radio. Dla mnie najważniejsze było, czy Simon przyśle mi jakiś prezent, czy nie.

Poczta z paczkami przysłała koło jedenastej. Dostałam szlafrok od Topaz, wydanie Szekspira od ojca (Topaz taktownie pamiętała, że ojciec nie cierpi pożyczać mi swojego), nocną koszulę – z prawdziwego jedwabiu – od Rose, sześć par jedwabnych pończoch od pani Cotton i duże pudło czekoladek od Neila. Nic od Simona.

Nic od Simona, naprawdę? Jeszcze siedziałam oszołomiona z rozczarowania, kiedy rozległ się klakson na naszej drodze dojazdowej. W następnej chwili furgonetka dostawcza się zatrzymała i kierowca wyładował skrzynkę, stawiając ją na zwodzonych moście. Zawołałam ojca, żeby przyszedł na dół, i razem podważyliśmy wieko. W środku było radio połączone z gramofonem – och, cudowna rzecz! Zamknięte wygląda jak pękata walizka z rączką. Jest cudownie niebieskie, jak len, ale błyszczące. Ma też do kompletu pudełko na płyty. Nikt nigdy nie dostał tak

cudownego prezentu.

Simon dołączył list.

Droga Cassandro!

Chciałem Ci posłać radio i gramofon na prąd, ale przypomniałem sobie, że nie macie prądu. Radio gra na baterie, które można naładować w warsztacie samochodowym w Scoatney, a gramofon jest starego typu, na korbkę – ale lepszy taki niż żaden. Posyłam Ci Debussy’ego, który Ci się podobał, ale nie mogłem dostać płyty Bacha, którą Ci puszczałem. Pożyczaj w Scoatney, co tylko zechcesz, aż zobaczysz, jaką muzykę naprawdę lubisz, i wtedy kupię Ci mnóstwo innych płyt.

Przysięgam mi tu, że doręczą to w odpowiednim dniu, i mam nadzieję, że tak będzie. Dużo, dużo najlepszych życzeń. Do zobaczenia wkrótce. Ucałowania.

Simon

List był napisany ołówkiem, w sklepie, więc nie mogłam oczekiwać, że będzie długi czy osobisty. I kończył się: „Ucałowania” – a przecież mógł napisać „pозdrowienia” albo „serdeczności”, albo coś takiego. Wiedziałam, że to nie jest taki rodzaj uczucia jak moje, ale i tak było to dla mnie bezcenne.

Czytałam ten list w kółko, podczas gdy ojciec wydobywał z radia jakieś potworne hałasy.

– Och, przestań! – krzyknęłam w końcu. – Takie piski nie mogą być dobre dla radia.

– Brzmi jak zagubione dusze mew, prawda? – zawołał, przekrzykując harmider.

Przecisnęłam się koło niego i wyłączyłam radio. W ciszy, która nagle zapanowała, usłyszeliśmy radio Stephena grające samotnie na górze w wartowni.

– Czy pomyślałaś, jak poczuje się twój adorator? – zapytał ojciec. Ogarnęła mnie tylko niechęć do Stephena, bo jego przykrość będzie przeszkadzać mojej radości z prezentu Simona; ale i tak nic nie było w stanie zepsuć mi tej radości.

Na szczęście ojciec nie czekał na odpowiedź.

– To radio jest o wiele mocniejsze – ciągnął. – Pożyczę je na chwilę.

Krzyknęłam: „Nie!” – tak głośno, że popatrzył na mnie ze zdumieniem. „Marzę o tym, żeby wypróbować gramofon” – dodałam, starając się mówić spokojnie i rozsądnie. Nagle się uśmiechnął i powiedział: „No, no”, prawie ojcowskim tonem; potem wniósł urządzenie do mnie na górę i zostawił mnie samą. Wyjęłam z falistego ochronnego kartonu płyty i zaczęłam je puszczać. Był tam wybór preludiów i fug Bacha, jak również album Debussy’ego.

Simon nie przysłał płyty z melodią *Lover*.

Zanim Stephen wrócił do domu, odezwała się lepsza część mojej natury i zaczęłam się straszliwie martwić tym, jak on się poczuje. Miałam jego radio w kuchni (ojciec przestał się nim interesować) i dopilnowałam, żeby grało na pełny regulator, kiedy Stephen wejdzie. Prawie eksplodowałam, dziękując mu za nie, i chyba nigdy jeszcze nie widziałam go tak zadowolonego. Podczas lunchu zapytałam ojca, czy nie byłoby dobrym pomysłem schować prezent od Simona na dzień lub dwa, ale uznał, że w efekcie byłoby to jeszcze bardziej przykre dla Stephena.

– Po prostu powiedz mu, że ogromnie się cieszysz z tego naprawdę lekkiego radia, które możesz wszędzie ze sobą nosić, i że tego od Simona będziesz prawdopodobnie używać tylko z powodu gramofonu – zaproponował, a ja pomyślałam, że mówi bardzo rozsądnie. Tyle że w następnej chwili zobaczyłam, jak obraca płytę w kółko, jakby czytał rowki, a przecież człowiek, który próbuje czytać płytę gramofonową, nie może być chyba normalny?

Dołożyłam wielkich starań, żeby taktownie przekazać Stephenowi wiadomość – powiedziałam to wszystko, co radził ojciec, i jeszcze dużo więcej.

– To od ciebie ma prawdziwe, drewniane pudło – podkreśliłam – takie piękne, na wysoki połysk.

Ale jego oczy straciły blask. Zapytał, czy może zobaczyć prezent od Simona. Wszedł do mojej sypialni, popatrzył przez parę sekund i powiedział:

– Tak, jest bardzo piękne. – I odwrócił się, żeby wyjść.

– Samo radio nie jest takie dobre! – zawołałam za nim, niezgodnie

z prawdą.

Poszedł na dół.

Och, tak mi go było żal! Po tych wszystkich miesiącach oszczędzania! Pobiegłam za nim i ze szczytu kuchennych schodów widziałam, jak patrzył w napięciu na swoje małe brązowe radio. Wyłączył je, po czym, z wyrazem rozgoryczenia na twarzy, wyszedł do ogrodu.

Złapałam go, kiedy przechodził przez zwodzony most.

– Chodźmy na mały spacer – zaproponowałam.

– Dobrze, jak chcesz. – Powiedział to, nie patrząc na mnie.

Noga za nogą powlekliśmy się dróżką. Czułam coś podobnego jak kiedyś, gdy Rose bardzo bolał ząb – że to bezduszne z mojej strony być tak daleko od czyjś bólu, że współczucie dla tych, którzy cierpią, nie wystarcza. Gdy jednak zapytałam siebie, czy ze względu na Stephena byłabym skłonna wyrzec się prezentu od Simona, odpowiedź brzmiała: nie, nie byłabym skłonna.

Próbowałam w sposób naturalny rozmawiać o obu urządzeniach, podkreślając, że jego radio można przenosić z pokoju do pokoju, a nawet wziąć na zewnątrz (choć wiedziałam, że gdyby Stephena nie było w pobliżu, tobym wszędzie taszczyła radio Simona, nawet jeśli miałabym złamać sobie kręgosłup). Chyba przesadziłam, bo przerwał mi, mówiąc:

– No wiesz, nic się nie stało.

Rzuciłam mu szybkie spojrzenie. Próbował uśmiechnąć się uspokajająco, ale umknął przed moim wzrokiem.

– Och, Stephen! – zawołałam. – Prezent od ciebie znaczy o wiele więcej. Simon nie musiał na to oszczędzać ani pracować.

– Właśnie, to był mój przywilej – powiedział cicho.

Wydało mi się, że wyraził to w najpiękniejszy sposób. Zrobiło mi się go jeszcze bardziej żal niż kiedykolwiek – tak bardzo, że prawie żałowałam, że nie zakochałam się w nim zamiast w Simonie. I wtedy właśnie dodał prawie szeptem: „Moja droga”. W tej sekundzie szalony pomysł przyszedł mi do głowy. Och, po co to było? Czy coś w jego głosie obudziło we mnie to uczucie? Czy też

to dlatego, że przechodziliśmy przez modrzewiowy zagajnik i przypomniało mi się, jak kiedyś wyobrażałam sobie, że idę tam razem z nim?

Zatrzymałam się i popatrzyłam na niego uważnie. Jego twarz była złota od zachodzącego słońca. Zapytał, czy chcę wracać.

– Nie – odparłam. – Chodźmy zobaczyć, czy są w lesie jakieś późne dzwonki.

Spojrzał na mnie szybko, wreszcie prosto w oczy.

– Chodź – powiedziałam.

Kiedy odgarnialiśmy pierwsze zielone gałązki modrzewia, pomyślałam: „No, teraz zostanie obalona moja teoria, że to, co sobie wyobrażam, nigdy się nie sprawdza”. Ale tak się nie stało – bo wszystko wyglądało inaczej niż w moich wyobrażeniach. Las był przeredzony, więc nie tak chłodny i ciemny, jak oczekiwałam; powietrze było jeszcze ciepłe i zachodzące słońce świeciło zza naszych pleców, a w jego promieniach pnie drzew żarzyły się czerwienią. Unosił się gorący, żywiczny zapach, a nie woń leśnych hiacyntów, bo te, już uschnięte, miały nasiona w miejsce kwiatów. I zamiast spokojnego oczekiwania wokół panowało dławiące podniecenie. Stephen nie powiedział nic z tego, co kiedyś dla niego wymyśliłam; żadne z nas nie odezwało się ani słowem. Szłam przed nim i dotarłam wcześniej na małą trawiastą polankę. Tam się odwróciłam, by poczekać na niego. Podszedł bliżej i jeszcze bliżej, potem stanął bez ruchu, patrząc na mnie pytająco. Skinęłam głową, a wtedy wziął mnie w ramiona i pocałował bardzo delikatnie. Nic to dla mnie nie znaczyło – wiem, że ja go nie pocałowałam. Ale nagle się zmienił, całował mnie dalej, już wcale nie delikatnie – i ja też się zmieniłam, i chciałam, żeby nie przestawał mnie całować. Nawet nie zaprotestowałam, kiedy zsunął mi suknię z ramienia. I w końcu to on się zatrzymał.

– Nie pozwól mi, nie pozwól – powiedział z trudem i odepchnął mnie tak mocno, że prawie się przewróciłam.

Kiedy chwytając się do tyłu, ogarnął mnie paniczny strach i gdy tylko odzyskałam równowagę, na oślep rzuciłam się

z powrotem przez las. Wołał za mną: „Uważaj na oczy, spokojnie, nie pójdę za tobą” – ale ja pędziłam między drzewami, osłaniając twarz ramieniem. Przebiegłam całą drogę do zamku i pognałam na górę kuchennymi schodami, bo chciałam się zamknąć w swoim pokoju, lecz w połowie drogi poślizgnęłam się i mocno stłukłam sobie kolano, a wtedy się rozpłakałam i leżałam tam, płacząc. Straszne jest to, że coś we mnie miało nadzieję, że jeśli zostanę tam wystarczająco długo, on przyjdzie i zobaczy, jaka jestem nieszczęśliwa – chociaż ciągle nie mogę zrozumieć, dlaczego tego chciałam.

Po krótkiej chwili usłyszałam go przy kuchennych drzwiach.

– Cassandro, proszę, przestań płakać! – zawołał. – Nie chciałem wchodzić, ale kiedy cię usłyszałem... Proszę cię, proszę, przestań płakać.

Płakałam dalej. Zbliżył się do schodów. Zaczęłam powoli wstawać, chwytając się poręczy i nadal płacząc. Powiedział:

– Wszystko w porządku, naprawdę. Nie ma w tym nic złego, jeżeli się kochamy.

Wypaliłam z furją:

– Ja cię nie kocham. Ja cię nienawidzę. – A potem zobaczyłam wyraz jego oczu i zrozumiałam, jakie straszne to wszystko było dla niego; do tej chwili myślałam tylko o swoim własnym cierpieniu. Z trudem wykrztusiłam: – Nie, nie, nie to chciałam powiedzieć. Och, nigdy tego nie potrafię wyjaśnić. – I pognałam do swojego pokoju, zamykając drzwi na klucz.

Miałam się właśnie rzucić na łóżko, kiedy spostrzegłam prezent od Simona na ławeczce pod wykuszowym oknem. Podeszłam, zamknęłam wieko gramofonu i objęłam go, kładąc na nim głowę. I po raz pierwszy w życiu zapragnęłam umrzeć.

Kiedy już zrobiło się całkiem ciemno, pozbierałam się na tyle, żeby zapalić świecę, i przygnębiona zaczęłam przygotowywać się do snu. Parę minut później rozległo się pukanie do drzwi i głos Stephena: „Nie chcę wchodzić, tylko proszę, przeczytaj list, który tu zostawiam”. Zawołałam: „Dobrze” – i zobaczyłam list w szparze

pod drzwiami. Kiedy go podnosiłam, usłyszałam kroki Stephena idącego na dół, a potem trzaśnięcie frontowych drzwi.

Napisał:

Najdroższa Cassandro!

Proszę, nie bądź nieszczęśliwa. Wszystko będzie dobrze. To dlatego, że jesteś taka młoda. Czasami zapominam o tym, bo jesteś taka mądra. Nie potrafię tego wyjaśnić, bo myślę, że czułabyś się jeszcze gorzej, a zresztą i tak nie wiem jak. Ale nic złego się nie stało. To wszystko moja wina. Jeżeli mi wybaczysz, że tak Cię przestraszyłem, napisz, proszę, TAK na kartce papieru i zostaw pod moimi drzwiami. Wychodzę teraz i nie wrócę, dopóki światło u Ciebie nie zgaśnie, więc nie musisz się bać, że mnie spotkasz. I wyjdę rano do pracy, zanim wstaniesz. Nie będziemy o tym rozmawiać – w każdym razie przez długi czas. Sama zdecydujesz kiedy. Naprawdę, to nic złego.

Pozdrawiam Cię.

Stephen

X X X X X X ale nie wcześniej, niż Ty ich będziesz chciała.

Na osobnym arkuszu napisał: „Może to pomoże Ci zrozumieć. Oczywiście tylko wtedy, kiedy będziemy po ślubie” – i przepisał cztery wiersze z *Filozofii miłości*:

Oddzielnych przedmiotów rzesza

Boską decyzją tajemną

Spotyka się, łączy, miesza –

A ty – nie złączysz się ze mną?¹⁸

Percy Bysshe Shelley (ur. 1792 – zm. 1822)

Domyśliłam się, że podał nazwisko Shelleya i daty, żebym nie myślała, że znowu przypisuje sobie cudze wiersze. Och, Stephen – bardzo dobrze wiem, dlaczego kiedyś tak robiłeś! Marzę i tęsknię, by wyrazić swoją miłość do Simona, ale nic, co piszę, nie wydaje mi się dostatecznie dobre.

Napisałam TAK i położyłam kartkę pod jego drzwiami. Nie miałam serca tego nie zrobić – i oczywiście, była to w pewnym stopniu prawda: przebaczyłam mu. Ale przez to pozwalałam, żeby uwierzył w kłamstwo – że byłam przerażona tylko dlatego, że mnie zaszokował. Od tamtego czasu ani razu nie byliśmy sami.

Rozmawiamy całkiem swobodnie przy innych, ale nigdy nie patrzę wprost na niego. A on pewnie myśli, że jestem nieśmiała.

Naturalnie, uczciwiej byłoby mu powiedzieć, że nigdy nic z tego nie będzie, ale nawet gdybym była w stanie zrobić mu taką przykrość, to wątpię, czy zdołałabym go przekonać, nie przyznając się, że zależy mi na kimś innym – bo z całą pewnością moje zachowanie, kiedy mnie całował, mogło mu sugerować, że ma jakąś szansę. Och, dlaczego mu pozwoliłam? Pozwoliłam? Ty go zachęciłaś, moja panno! Ale dlaczego? Po co? Skoro całym sercem tęskniłam do Simona! Może mogłabym zrozumieć siebie lepiej, gdybym tak nie brzydziła się tego wspominać – nawet teraz nie zapisałam wszystkiego, co się zdarzyło.

Wiem jedno: to, że go poprosiłam, żebyśmy poszli do lasu, było haniebne, niegodziwe wobec niego i niegodziwe wobec mnie samej. Szczerze mówiąc, to, że było mi go tak bardzo żal, też miało z tym coś wspólnego, ale głównie była to czysta perfidia. No i tylko dzięki Stephenowi nie skończyło się o wiele gorzej.

Naprawdę zgrzeszyłam. Zrobię sobie teraz przerwę i posiedzę tu na kopcu, odczuwając skruchę w najgłębszym zawstydzeniu...

O Boże, to był wielki błąd! Przeszłam w myślach od skruchy do stwierdzenia, że nie byłby to grzech, gdyby Stephen był Simonem. I ta zamiana pomogła mi jeszcze bardziej zdać sobie sprawę, jak zniszczyłam wspomnienie pocałunku Simona. Och, jak ja mam teraz stawić czoła mojej nieszczęsnej przyszłości? Będę musiała być druhną Rose, rok za rokiem patrzeć, jak ona mieszka w Scoatney i jak on ją uwielbia. I jak mam ukryć swoje uczucia, kiedy będę ich widzieć razem?

Gdybym tylko mogła wyjechać! Ale jedyną rzeczą, dla której żyję, jest to, by znowu zobaczyć Simona.

Właśnie mi się przypomniało, że kiedyś napisałam, że nie zazdroścę Rose i że uważam, że szczęśliwe małżeństwo mogłoby być nudne. Boże, jaka ja byłam głupia!

Drogą jedzie na rowerze ojciec, po dniu znowu spędzonym w Scoatney, i chłopcy wrócą do domu lada moment. Pewnie

powinnam iść na dół i przygotować kolację; chyba łosoś z puszki najlepiej by mi poprawił humor. Bardzo dziwny i przygnębiający jest powrót do terażniejszości po tym, jak spędziłam tyle czasu ze swoim pamiętnikiem; pisałam cały dzień z jedną tylko przerwą, kiedy zabrałam Heloizę do domu na obiad i sama zjadłam kilka zimnych kiełbasek.

Naszło mnie ogromne pragnienie, żeby się porządnie wypłakać. Zbiegnę z kopca, uśmiechając się i śpiewając, by to przezwyciężyć.

Dziewiąta godzina. Pisane w łóżku.

Coś się wydarzyło. Och, wiem, że mi nie wolno niczego budować na tym – ale wiem, że buduję.

W czasie kolacji przyszedł telegram do Stephena od Ledy Fox-Cotton: chce, żeby przyjechał do Londynu w przyszły weekend. Poszedł na farmę zapytać, czy mogą go zwolnić w sobotę rano. Gdy tylko zniknął za drzwiami, zgasiałam jego radio i poszłam na górę posłuchać radia Simona; nigdy go nie włączam, kiedy Stephen jest w domu. Thomas też przyszedł i poprosił mnie, bym puściła płyty z preludiami i fugami Bacha – szczególnie mu się podobają. Leżeliśmy na łóżkach, słuchając, i było naprawdę miło. Wydaje mi się, że Thomas ostatnio stał się bardziej dorosły i inteligentny. Zawsze był bystry, jeśli chodzi o naukę, ale nigdy nie uważałam, że rozmowa z nim może być ciekawa. Teraz często mnie zadziwia. Może to całe dobre jedzenie, które ostatnio dostaje, idzie prosto do jego mózgu.

Po wysłuchaniu płyt nagle się odezwał:

– Pamiętasz, jak Rose wypowiedziała życzenie do tej głowy z kamienia?

Zapytałam, co, do licha, sprawiło, że akurat teraz przyszło mu to na myśl.

– Och, pewnie słuchanie gramofonu od Simona. To też jest częścią zmian, które Cottonowie wprowadzili do naszego życia. Nigdy przedtem nie skojarzyłem tego, że Rose chciała zaprzedać się diabłu, wypowiedziała życzenie, a zaraz potem oni się pojawili.

Patrzyłam na niego w napięciu.

– Ale Rose nie sprzedaje siebie, jest zakochana w Simonie. Powiedziała mi to, a wiesz, że ona nigdy nie kłamie.

– To prawda – przyznał Thomas. – Wobec tego może oszukuje samą siebie, bo ja wiem, że nie jest zakochana. I wcale nie pasuje do Simona.

– A skąd ty możesz wiedzieć, że nie jest zakochana?

– No więc przede wszystkim rzadko w ogóle wspomina o Simonie. Siostra Harry’ego jest zakochana i ani na chwilę nie przestaje mówić o swoim narzeczonym. Harry i ja zakładamy się o to. W zeszły weekend, kiedy tam byłem, wspomniała o nim pięćdziesiąt dwa razy.

– To bzdura – odparłam. – Po prostu Rose jest bardziej powściągliwa.

– Powściągliwa? Rose? Przecież zawsze gada jak najęta, kiedy się do czegoś zapali. Czy wiesz, że w liście, który od niej dostałem, nie ma ani słowa o Simonie?

– Kiedy dostałeś ten list? – zapytałam. – Czy mogłabym go zobaczyć?

Powiedział, że przypadkiem spotkał listonosza na drodze do domu kilka dni temu.

– I nie pokazałem ci tego listu, bo prosiła, żeby nie pokazywać, ale z tak głupiego powodu, że nie rozumiem, dlaczego miałbym tego nie zrobić. Zaraz go przyniosę.

To był niezwykle dziwny list. Nie pisała ani słowa o Simonie ani o nikim innym, ani nawet o sobie. To była jedna ogromna lista rzeczy, które dla niej kupiono, z wyliczeniem, ile co kosztowało. Na końcu dodała: „Wolałabym, żebyś nie pokazywał tego Cassandrze, bo wydaje się to okropne, że ja mam tyle cudownych rzeczy, kiedy ona ma tak mało. Ty nie będziesz zawistny, bo nie jesteś dziewczyną. A mnie jest miło, że mogę komuś o tym powiedzieć”.

– A ja się założę, że wiem, dlaczego zrobiła tę listę – rzekł Thomas. – Chce po prostu samą siebie przekonać, że wyjście za mąż dla pieniędzy ma sens. Och, ja bym się tym za bardzo nie martwił; wiesz, kobiety zawsze wychodzą za mąż, żeby zdobyć pieniądze.

W każdym razie to na pewno dar niebios dla nas wszystkich, nawet jeżeli jest to trochę zesłane jej przez diabła.

– A co z Simonem? – zapytałam.

– Simon? Och, dla niego nie ma ratunku. Czy pamiętasz naszą ostatnią wizytę w Scoatney, zanim wszyscy pojechali do Londynu? Wymówił imię Rose czterdzieści dwa razy, gdy zwiedzaliśmy stajnie... policzyłem. Konie musiały mieć jej całkiem dosyć po tym, co słyszały.

Powiedziałam mu, że nie jest to żaden prawdziwy dowód na to, co czuje Rose; ale w moim sercu zaczęła się rodzić szalona nadzieja – bo to na pewno dziwne, że w jej liście nie ma nic o Simonie, przecież z pewnością chce się pisać o osobie, w której jest się zakochanym? No jakże, nawet ja piszę imię Simona na skrawkach papieru! (A potem drzę z obawy, że ich nie podarłam).

Kiedy Thomas poszedł odrabiać lekcje, wyjęłam jedyny list, który Rose napisała do mnie. Na początku moje nadzieje spadły do zera, bo co mogłoby być bardziej wyraźne niż słowa: „Takie cudowne jest, że mogłam się zakochać w Simonie, jak również wszystko inne”. Ale przypuśćmy, że ona naprawdę „oszukuje samą siebie”, jak powiedział Thomas? Tam jest tak mało o Simonie. A jedna część listu wydaje się taka smutna – pisze o samotności, o tym, że idzie posiedzieć w pięknej łazience, aż nastrój jej się poprawi. Och, gdybym miała Simona, nigdy nie czułabym się samotna!

Leżałam w łóżku, próbując wyobrazić sobie list, który napisałabym, gdybym była Rose. Nie sądzę, że powiedziałabym dużo o swoich najgłębszych uczuciach. Potrafię zrozumieć, że Rose chowa to dla siebie. Ale wiem, że bym napisała, które sukienki mi się podobają i co myśli o teatrach.

Wiem, że byłby najważniejszym tematem listu.

Czy ja to wszystko sama wymyślam – wierząc w to, w co chcę wierzyć? I nawet jeżeli ona go nie kocha, to wiem, że on kocha ją. Ale gdyby go zostawiła...

Och, jak w tym pokoju jest gorąco! Nie mogę szeroko otworzyć okna, żeby Heloiza nie wyskoczyła – jeden z jej zalotników, pies

pasterski z farmy Four Stones, krąży dookoła zamku. Heloizo, moja kochana, on byłby zupełnie nieodpowiednią partią. Ciekawe, czy już sobie poszedł... Nie, nie poszedł. Teraz są tam dwa psy, po drugiej stronie fosy; widzę dwie pary oczu płonących w ciemności. Ogromnie jest mi żal zakochanych psów. Chociaż nie mogę powiedzieć, że Heloiza bardzo się przejmuje – wygląda raczej na zadowoloną z siebie...

Już zdecydowałam, co zrobię. Muszę poznać prawdę. Jeżeli Rose rzeczywiście go kocha, nigdy nie będę próbowała jej go odebrać, nawet w myślach. Wyjadę – może do college'u, jak sama zasugerowała. Ale muszę poznać prawdę. Muszę się z nią zobaczyć.

Pojadę do Londynu ze Stephenem, w sobotę.

17 Ang.: *Mans extremity is God's opportunity* – myśl Johna Flavela (1627–1691), prezbiteriańskiego pastora, autora wielu dzieł o tematyce religijnej (przyp. red.).

18 Przekład Stanisława Barańczaka (przyp. red.).

XIV

Jestem z powrotem. Nic to nie dało. Nigdy już między Rose a mną nic nie będzie tak jak dawniej. Przez całą drogę, kiedy wczoraj rano jechaliśmy na rowerach ze Stephenem na stację w Scoatney, wspominałam początek mojej ostatniej podróży do Londynu, kiedy Rose była ze mną. W myślach rozmawiałam z nią taką, jaka była wtedy; nawet prosiłam ją o radę, co powinnam powiedzieć tej nowej Rose. Rose, która ma wyprawę za tysiąc funtów, wydaje mi się zupełnie inną osobą niż Rose w przyciasnym białym kostiumiku, która wyruszała ze mną w tamten jasny kwietniowy poranek. Jak świeża była wówczas nasza wiejska okolica! Wczoraj, po deszczu, też była zielona, ale brakowało tego nastroju nadziei i poczucia, że coś się zaczyna. Słońce grzało mocno i chociaż cieszyłam się, że minęła zła pogoda, to wydawało mi się zbyt oślepiające. Środek lata może być bezlitosny dla przygnębionych.

Bycie sam na sam ze Stephenem było znacznie mniej kłopotliwe, niż się spodziewałam. Rozmawialiśmy bardzo niewiele i tylko o najzwyczajniejszych rzeczach. Czułam się winna i, zupełnie niesprawiedliwie, byłam zła na niego z tego powodu. Miałam pretensję, że na dodatek do wszystkich innych spraw muszę jeszcze martwić się o niego.

Kiedy czekaliśmy na stacji, przybiegła zziębnięta Heloiza – uciekła

Thomasowi i popędziła za naszymi rowerami. Już nie trzeba jej izolować od świata i nie chcieliśmy zostawiać jej na peronie, bo kiedy raz tak zrobiliśmy, wkradła się do następnego pociągu i wylądowała na posterunku policji w King's Crypt. Stephen kupił więc dla niej bilet, a zawiadowca stacji dał jej dużo wody i znalazł jakiś sznurek, żeby zrobić smycz. W czasie podróży zachowywała się wspaniale, tylko że po przesiadce do londyńskiego pociągu zabrała ciastko małemu chłopczykowi. Szybko mu podziękowałam za to, że dał jej to ciastko, a on uwierzył mi na słowo, że właśnie chciał to zrobić.

Stephen nalegał, żeby mnie odprowadzić pod sam dom na Park Lane. Umówiliśmy się, że zatelefonujemy do siebie, którym pociągiem będziemy wracać do domu, i pospieszył do St. John's Wood.

Pospacerowałam trochę z Heloizą dookoła domu, po czym weszłyśmy. Dom był zupełnie jak pałac, ze sprężystymi dywanami, z portierami w lśniących liberiach i z samoobsługową windą. Ma się dziwne i nieodwołalne wrażenie po naciśnięciu guzika, kiedy winda zaczyna jechać w górę. Heloiza miała klaustrofobię i próbowała wspinać się na obite skórą ściany. Nie wyszło im to na dobre.

Nigdy nie widziałam miejsca, które by było tak uderzająco ciche jak korytarz prowadzący do apartamentu; trudno było uwierzyć, że ktoś w ogóle mieszka za błyszczącymi drzwiami wejściowymi. Kiedy otworzyły się przede mną, niemal doznałam szoku.

Zapytałam, czy jest Rose, i powiedziałam pokojówce, kim jestem.

– Wszyscy wyszli – oznajmiła.

Nagle zdałam sobie sprawę, że powinnam była ich zawiadomić, że przyjeżdżam.

– Kiedy wrócą? – zapytałam.

– Pani mówiła, że o szóstej trzydzieści, by zdążyć się przebrać do kolacji. Może panienka wejdzie?

Zaproponowała, że przyniesie wodę dla Heloizy, która dyszała komediancko, i zapytała, czy ja sobie czegoś życzę. Powiedziałam, że może trochę mleka, i spytałam, czy mogłabym się odświeżyć.

Wprowadziła mnie do sypialni Rose. Pokój był cudowny, a dywan naprawdę tak biały, że strach brał po nim chodzić. Wszystko było białe albo kremowe, z wyjątkiem wielkiego bukietu czerwonych róż w marmurowym wazonie na nocnym stoliku. Obok leżał bilecik, wystający z koperty, ze słowami: „Dzień dobry, kochanie” napisanymi przez Simona. Kiedy przypatrywałam się różom, wróciła pokojówka z moim mlekiem i wodą dla Heloizy; potem zostawiła nas same.

Łazienka Rose wyglądała, jakby w ogóle z niej nie korzystano – nawet szczoteczka do zębów była schowana. Rose pisała w swoim liście, że codziennie są czyste ręczniki, ale nie wyobrażałam sobie, że jest ich aż tyle – w trzech rozmiarach, i zupełnie zachwycające myjki do twarzy, z monogramami.

Kiedy już się umyłam, wróciłam do sypialni i znalazłam Heloizę błogo zrelaksowaną na białej pikowanej narzucie: wyglądała słodko. Zdjęłam buty i położyłam się obok niej, zastanawiając się, co powinnam zrobić. Róże pachniały cudownie.

Zorientowałam się, że jeżeli Rose wróci tak późno, to nie uda mi się z nią porozmawiać ani przed kolacją, ani po kolacji; powinnam to zrobić powoli i taktownie, a nie będzie czasu, nawet gdybym została do pociągu o dziewiątej trzydzieści. Pomyślałam, że może spróbuję ją znaleźć – przecież na pewno wróciłyby, gdyby wiedziała, że jestem.

Zadzwoiłam po pokojówkę, ale ona nie miała pojęcia, gdzie poszli.

– Nie ma nikogo, kto mógłby to wiedzieć? – zapytałam rozpaczliwie.

– No, można jeszcze zapytać pana Neila, chociaż ostatnio nie widzimy go zbyt często.

Zadzwoiła do hotelu, ale go nie zastała. Wpadłam na pomysł, że może Fox-Cottonowie coś wiedzą, i zadzwoniłyśmy do nich.

Leda Fox-Cotton wcale nie była zachwycona, że ma rozmawiać ze mną.

– Ty głuptasku, dlaczego ich nie uprzedziłaś? – powiedziała. – Nie,

oczywiście nie wiem, gdzie są. Zaczekaj, zapytam Aubreya. Może Topaz coś mu wspomniała. – Wróciła po chwili. – On wie tylko, że Topaz będzie w domu wieczorem, bo jest z nią umówiony i wychodzą. Chyba lepiej zjedz lunch z nami, ale będziesz musiała poczekać do drugiej, bo całe przedpołudnie pracujemy ze Stephenem. Po południu muszę go zabrać na spotkanie z filmowcami. Potrafisz się czymś zająć przez godzinę albo dwie, prawda? Weź taksówkę o wpół do drugiej.

Miałam ochotę odmówić, ale bardzo chciałam zobaczyć jej dom i studio – i przyjrzeć się jeszcze raz jej samej i jej mężowi; z tego, co słyszałam, Topaz była z nim bardzo blisko. Podziękowałam więc i przyjąłam zaproszenie. Kiedy już przestałam słyszeć jej beczący głos, powiedziałam sobie, że w istocie to naprawdę uprzejme, że mnie zaprosiła i powinnam przewyciężyć swoje uprzedzenia wobec niej.

– To będzie przyjemne dla panienki – powiedziała pokojówka – chociaż oczywiście nasza kucharka dałaby panience jakiś lunch. Zostało półtorej godziny i pewnie będzie panienka chciała obejrzeć sklepy.

Nie miałam ochoty ciągać Heloizy po zatłoczonych ulicach, więc oznajmiłam, że po prostu pójdę na spacer do Hyde Parku.

– Sukienka panienki jest trochę pognieciona – zauważyła pokojówka. – Mogłabym ją przeprasować, jeśli panienka chce.

Przejrzałam się w wysokim lustrze Rose. Zadziwiająco, co otoczenie potrafi zrobić z ubraniem – poprzedniego dnia wyprałam i wyprasowałam swoją zieloną sukienkę i myślałam, że jest bardzo ładna, ale w pokoju Rose wydawała się tania i pospolita. I to, że leżałam w niej na łóżku, wcale nie poprawiło sytuacji. Ale nie chciałam jej zdejmować do prasowania, bo moja bielizna była znoszona i pocerowana, więc podziękowałam pokojówce, mówiąc, że mi to nie przeszkadza.

Było zbyt gorąco, by chodzić po parku; siadłam na trawie pod drzewami. Heloiza wytarzała się, po czym zaczęła trącać mnie łapami, prosząc, by ją podrapać; ale byłam zbyt leniwa, żeby

porządnie spełnić jej prośbę, odwróciła się więc i zasnęła. A ja oparłam się o pień drzewa i rozglądałam się wkoło.

Przyszło mi do głowy, że po raz pierwszy jestem sama w Londynie. Normalnie cieszyłoby mnie poznawanie atmosfery miasta, bo to się nigdy całkiem nie udaje, jeśli człowiek nie jest sam. Chociaż mój umysł był zaprzątnięty zmartwieniami, przyjemnie było tam siedzieć i patrzeć na czerwone autobusy w oddali, na stare, pomalowane na kremowo domy przy Park Lane i wielkie szare nowe bloki z żaluzjami w oknach. A atmosfera samego Hyde Parku była niezwykła i interesująca – najbardziej zwracał uwagę jego szczególny charakter: wydawało się, że park jest uśmiechnięty i przyjazny, ale w jakiś sposób zachowuje dystans do całej reszty Londynu. Z początku pomyślałam, że jest tak dlatego, że należał do starszego Londynu – wiktoriańskiego, osiemnastowiecznego czy jeszcze wcześniejszego. Ale potem, przyglądając się owcom spokojnie skubiącym trawę, doszłam do wniosku, że Hyde Park nigdy nie należał do żadnego Londynu; że zawsze był i jest kawałkiem wiejskiego krajobrazu, że w magiczny sposób łączy Londyny różnych epok – przez to, że po wsze czasy trwa niezmienny w samym sercu stale zmieniającego się miasta.

Kiedy usłyszałam zegar wybijający kwadrans po pierwszej, wyszłam z Hyde Parku na Oxford Street i zatrzymałam sympatyczną odkrytą taksówkę. Dla Heloizy była to pierwsza jazda przez Londyn, czekała więc prawie bez przerwy – taksówkarz powiedział, że dzięki temu nie musi używać klaksonu.

Nigdy wcześniej nie byłam w St. John's Wood; jest to fascynujące miejsce: spokojne, wysadzone drzewami ulice i tajemniczo wyglądające, w większości stare domy. W takiej scenerii pomalowane na szkarłatno drzwi wejściowe Fox-Cottonów wydawały się zdumiewające.

Pan Aubrey Fox-Cotton pojawił się w holu, by mnie powitać.

– Leda jest jeszcze zajęta – oznajmił swoim pięknym, modulowanym głosem.

W dziennym świetle jego wąska twarz wydawała się bardziej szara

niż tamtego wieczoru w Scoatney. To bardzo zagadkowa postać, jednak jest coś fascynującego w jego mrocznej elegancji. Przypadł bardzo do gustu Heloizie, ale tylko powiedział „komiczne stworzenie” i machnął odruchowo ręką w jej stronę.

Poczęstował mnie odrobiną sherry i rozmawiał uprzejmie, właściwie nie dostrzegając mnie tak naprawdę. W końcu, gdy już było sporo po drugiej, powiedział, że udamy się do studia i wyciągniemy ich stamtąd.

Przez ogród za domem przeszliśmy do budynku, który wyglądał, jakby pierwotnie był stajnią. W środku stanęliśmy przed czarną aksamitną zasłoną rozciągającą się przez całą długość. W jednym rogu były małe kręcone schody.

– Wejdz na górę – szepnął – i bądź cichutko, bo może to jakiś psychologiczny moment.

Z galerii na szczycie schodów mogliśmy popatrzeć w dół, do studia. Było bardzo jasno oświetlone i wszystkie światła koncentrowały się na podwyższeniu na drugim końcu. Stał tam Stephen, w greckiej tunice, na tle namalowanych ruin świątyni. Wyglądał wspaniale. Nie mogłam dostrzec Ledy Fox-Cotton, ale ją słyszałam.

– Masz zbyt zacięte usta. Zwilż wargi i nie zamykaj ich całkiem. I patrz odrobinę wyżej.

Stephen zrobił, jak mu kazała, a potem szarpnął głową i bardzo się zaczerwienił.

– Co, do diabła... – zaczęła Leda Fox-Cotton, ale zaraz zdała sobie sprawę, że zobaczył kogoś na galerii, więc przeszła tam, skąd mogła nas widzieć. – No, to już koniec – powiedziała. – Teraz już nic więcej z niego nie wydobędę. Cały ranek był skrępowany, przypuszczam, że to przez tę tunikę. Idź i przebierz się, Stephen.

Była ubrana cała na czarno – czarne spodnie, czarna bluzka – bardzo zgrzana, z przetłuszczoną twarzą i włosami, ale widać było po niej, że ciężko pracowała, i dlatego to przetłuszczenie wydawało się mniej nieprzyjemne niż wtedy w Scoatney. Kiedy czekaliśmy na Stephena, zapytałam, czy mogłabym zobaczyć jakieś jej prace.

Zabrała mnie do pomieszczenia, które dawniej było pewnie stajnią sąsiedniego domu, a teraz służyło jako salon – stały tu wielkie sofy zarzucone poduszkami. Wszystko było czarne albo białe. Na ścianach wisiły powiększenia wykonanych przez nią fotografii; jedna, ponadnaturalnej wielkości, przedstawiała wspaniałego, całkiem nagiego Murzyna. Sięgała od podłogi aż do wysokiego sufitu i wyglądała przerażająco.

Była tam również ogromna oprawiona fotografia głowy Stephena, przygotowana do zawieszenia. Zachwyciła mnie i powiedziałam, że Stephen wspaniale wychodzi na zdjęciach.

– To jedyny znany mi chłopiec, który jest piękny, a przy tym nie wygląda na zniewieściałego – odrzekła. – I jego sylwetka jest tak samo dobra jak głowa. Chciałabym, żeby ten głuptas rozebrał się dla mnie, bo chcę mieć jego zdjęcie koło mojego Murzyna.

Potem podała mi cały stos fotografii Stephena: wszystkie były cudowne. Dziwna rzecz, że był na nich bardzo podobny do siebie, a jednak wydawał się zupełnie inny – o wiele bardziej zdecydowany, energiczny i inteligentny. Na żadnym zdjęciu nie miał tego swojego wyrazu twarzy, który kiedyś nazywałam głupawym. Kiedy jedliśmy lunch (na stole z lustrzanym blatem), zastanawiałam się, czy przypadkiem w prawdziwym życiu ten dawny wyraz całkiem już nie zniknął. Teraz Stephen był na pewno bardziej dorosły i czuł się zdumiewająco swobodnie przy Fox-Cottonach. Ale ciągle nie był... no, taką fantastyczną osobowością jak na fotografiach.

Jedzenie było wspaniałe, jak zresztą wszystko inne, jeśli już o to chodzi – w taki ultranowoczesny sposób.

– Kompletnie nie pasują do tego starego domu – powiedział Aubrey (kazali mi zwracać się do siebie po imieniu), kiedy zachwyciłam się meblami. – Ja wolę nowoczesne meble w Londynie, ale Leda nie chce wyprowadzić się ze swojego studia i wynająć mieszkania. Nowoczesność w Londynie i antyki na wsi, to lubię. Bardzo chciałabym, żeby Simon zgodził się wynająć mi Scoatney.

– Może Rose zakocha się w Nowym Jorku, jak tam pojedą na miesiąc miodowy – wtrąciła Leda.

– A jadą tam? – zapytałam najbardziej od niechcienia, jak tylko potrafiłam.

– Och, Rose coś o tym wspominała – odrzekła Leda. – To byłaby dobra pora, żeby tam jechać, jeżeli wezmą ślub we wrześniu. Nowy Jork jest cudowny jesienią.

Zalała mnie potworna fala przygnębienia. Nagle dotarło do mnie, że już nic nie powstrzyma tego ślubu i że mój przyjazd do Londynu to niepotrzebna strata czasu; chyba zaczęłam to rozumieć od chwili, kiedy w apartamencie zobaczyłam róże od Simona. Teraz marzyłam, żeby znaleźć się już z powrotem w zamku, wpełznąć do łóżka z baldachimem i porządnie się wypłakać.

Leda rozmawiała ze Stephenem o dalszym pozowaniu następnego ranka.

– Ale my musimy jechać do domu dzisiaj – wtrąciłam szybko.

– Och, bzdura, możesz spać w apartamencie – powiedziała Leda.

– Tam nie ma miejsca – zauważyłam. – A ja i tak muszę wracać.

– Ale przecież Stephen chyba nie musi? Możesz jechać sama.

– Nie, sama nie może, nie tak późno w nocy – oznajmił Stephen. – Oczywiście zawiozę cię, jeżeli chcesz jechać, Cassandro.

Leda rzuciła mu krótkie, przenikliwe spojrzenie – jakby nagle pojęła, co on do mnie czuje; nie była z tego zadowolona, ale nie miała zamiaru się z nim spierać.

– To okropna niewygodna – powiedziała i znowu zwróciła się do mnie: – Jestem pewna, że w apartamencie znajdzie się jakieś miejsce dla ciebie. Dlaczego nie możesz zostać?

Chciałam odparować, że to nie jej sprawa. Ale ponieważ byłam przez nią zaproszona, grzecznie wyjaśniłam, że ojciec i Thomas mnie potrzebują.

– O Boże... – zaczęła, ale zobaczywszy mój zdecydowany wyraz twarzy, wzruszyła tylko ramionami i dodała: – No, jak zmienisz zdanie, to zadzwoń.

Lunch dobiegł końca. Kiedy szliśmy przez hol, Heloiza leżała na

czarnej marmurowej posadzce, bardzo objedzona. Leda zatrzymała się i popatrzyła na nią.

– Ładne to jej odbicie w marmurze – zauważyła. – Może by ją sfotografować? Nie, nie ma czasu na ustawianie tutaj świateł.

Na jej twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu, kiedy Heloiza zaczęła bić ogonem. Uderzyło mnie, że nigdy nie widziałam, żeby Leda się uśmiechała.

Kiedy przebierała się do wyjścia, by zaprowadzić Stephena do studia filmowego, pomyślałam, że będzie grzecznie, jeśli porozmawiam z Aubreyem o jego pracy i poproszę, by pokazał mi zdjęcia i rysunki. Oczywiście nie mam pojęcia o nowoczesnej architekturze, ale to wszystko bardzo mi się podobało. To dziwne, że taki nijaki człowiek może być tak zdolny – i dziwne, że ktoś, kto wydaje się taki powierzchowny jak Leda, potrafi robić tak wspaniałe zdjęcia. Gdy zjawiała się na dole, miała na sobie piękną czarną suknię i kapelusz, ciemnoczerwone rękawiczki i stary naszyjnik z rubinów; nadal jednak zwracała uwagę jej wyraźnie przetłuszczona cera.

Zdecydowałam się pojechać do mieszkania Cottonów, w razie gdyby Rose wróciła do domu wcześniej, niż oczekiwała pokojówka, więc Leda podwoziła mnie tam po drodze do studia. Stephen umówił się, że przyjedzie po mnie o wpół do dziewiątej.

Leda rzuciła mi jeszcze jedną zrzedliwą uwagę:

– Trzeba być naprawdę uprzykrzonym dzieciakiem, żeby kazać mu zawozić się do domu dziś wieczorem. Będzie musiał natychmiast wracać do Londynu, jeśli dostanie tę pracę.

– Nie musi ze mną jechać, chyba że sam zechce. – Nie sądzę, żebym powiedziała to niegrzecznie. – W każdym razie powodzenia z tą pracą, Stephen.

Odjechali, a ja ruszyłam z Heloizą na spacer dookoła budynku, ale nie uszłam daleko, gdy samochód zatrzymał się i Stephen wrócił do mnie biegiem.

– Czy na pewno chcesz, żebym przyjął tę pracę, jeżeli mi zaproponują? – spytał.

Powiedziałam, że zdecydowanie tak i że wszyscy będziemy bardzo z niego dumni.

– No, dobrze... jeżeli jesteś całkiem pewna...

Kiedy patrzyłam za nim, jak wracał do auta, poczułam nieuprawnioną dumę – nie dlatego, że był mi tak oddany, ale dlatego, że Leda musiała zdać sobie z tego sprawę.

Popołudnie spędziłam w salonie Cottonów. Trochę czytałam – było tam kilka bardzo poważnych amerykańskich magazynów, zupełnie innych niż te u panny Marcy. Jednak przez większość czasu głównie rozmyślałam. A najwięcej rozmyślałam o luksusie. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że jest to coś więcej niż tylko posiadanie rzeczy; luksus sprawia, że już nawet samo powietrze jest inne. I ja się czułam inaczej, oddychając tym powietrzem: zrelaksowana, rozleniwiona, jeszcze smutna, ale był to przytępiiony smutek. Może z czasem taki efekt zanika, może się go nie zauważa, jeżeli człowiek był przeznaczony do życia w luksusie, ale naprawdę wydaje mi się, że aura bogactwa zawsze musi trochę przytępiać zmysły. Być może tak samo przyćmiewa radość, jak łagodzi smutek.

I chociaż nie mogę uczciwie powiedzieć, że kiedykolwiek odwróciłabym się plecami do luksusu, który udałoby mi się zdobyć, to jednak czuję, że jest w nim też coś niedobrego. Może dlatego luksus wydaje się tym bardziej przyjemny.

O piątej po południu miła pokojówka przyniosła mrożoną herbatę i kanapki z ogórkiem oraz herbatniki dla Heloizy, która zdecydowanie wolała kanapki. Potem zasnęłam na kanapie.

I nagle wszyscy wrócili – pokój był ich pełen, śmiali się i rozmawiali. Wszystkie trzy były na czarno – widocznie najelegantsze kobiety w Londynie noszą czerń przy upalnej pogodzie; wydaje się to niestosowne, ale wyglądały w tym bardzo ładnie. I tak bardzo się cieszyły, że mnie widzą – Rose aż mnie przytuliła. Wszyscy obstawali przy tym, że powinnam zostać na weekend. Rose zapewniała mnie, że jej łóżko jest wystarczająco duże dla nas obydwu, a kiedy powiedziałam, że będziemy się kopać, odrzekła:

– Dobrze, będę spała na podłodze, ale musisz zostać.

– Tak, koniecznie, moja droga – wtrąciła pani Cotton. – I potem, w poniedziałek rano, zajmiemy się twoją suknią druhny.

– Gdybym tylko wiedziała, że przyjechałaś, pędziłabym tu jak na skrzydłach! – zawołała Rose. – Byliśmy na okropnie nudnym popołudniowym przedstawieniu.

Wachlowała się programem. Trzy miesiące temu żadne popołudniowe przedstawienie nie byłoby dla niej nudne.

Topaz nalegała, żebym została, pytając jednocześnie, czy ojciec poradzi sobie beze mnie. Wyliczyłam szczegółowo, co zostawiłam ojcu i Thomasowi do jedzenia.

– Zadzwonimy do Scoatney i pośle im się zimną pieczoną wołowinę – odezwała się pani Cotton. – Będą mieli dość jedzenia.

Potem wszedł Simon i już samo to, że go znowu zobaczyłam, było tak cudowne, że nagle poczułam się całkiem szczęśliwa.

– Tak, jasne, że musi zostać – powiedział. – I wyjdzie z nami dziś wieczorem.

Rose powiedziała, że pożycz mi sukienkę.

– A ty, Simon, zadzwoń do Neila i powiedz, że ma tu przyjść i że będzie z nią tańczył – dodała. – Weźmiesz kąpiel w mojej łazience, Cassandro.

Objęła mnie ramieniem i zaprowadziła do swojej sypialni. Ciche mieszkanie Cottonów ożyło. Otwarto drzwi i okna, pokojówka podciągała story, z Hyde Parku napływał chłodny wietrzyk pachnący sianem i benzyną samochodową – najbardziej ekscytujący londyński zapach, który mieszał się z cudownym zapachem przygotowywanego obiadu.

– Ktoś musiał zostawić otwarte drzwi do kuchni – powiedziała pani Cotton do pokojówki, wyraźnie zagniewana.

Tak jakby komukolwiek mógł przeszkadzać zapach naprawdę dobrego jedzenia!

Kiedy brałam kąpiel, Rose zadzwoniła za mnie do Fox-Cottonów – obawiałam się, że Leda odbierze telefon, a nie miałam ochoty mówić jej, że zmieniałam plany. Potem poczułam, że byłoby bardzo

nieuprzejmie nie zapytać Stephena, jak mu poszło, więc krzyknęłam do Rose, że chciałabym z nim rozmawiać.

– On jest w studiu z Ledą! – zawołała do mnie Rose. – Aubrey poprosi go, żeby później do ciebie zadzwonił.

Po odłożeniu słuchawki powiedziała mi, że Stephen otrzymał tę rolę w filmie.

– Aubrey mówi, że Leda jest tym bardzo podekscytowana. Stephen ma dostawać dziesięć funtów dziennie, co najmniej przez pięć dni. Nie musi nic mówić, tylko będzie wędrował z jakimiś kozami. To ma być symboliczne czy coś takiego.

– Wyobraź sobie Stephena, który zarobi pięćdziesiąt funtów!

– Zarobi jeszcze więcej dzięki pomocy Ledy – odrzekła Rose. – Ona za nim szaleje.

Kiedy wróciłam z łazienki, zobaczyłam wyłożoną dla mnie wieczorową suknię – znowu modna czerń! Okazało się, że Rose wybrała ją dla mnie, bo to była jej najkrótsza suknia. Pasowała na mnie doskonale, ledwie dotykając podłogi, i była absolutnie luksusowa, chociaż Rose rzuciła od niechcienia: „Och, to tylko jedna z tych gotowych, kupiona, żebym miała coś na teraz”.

Kiedy skończyłam się ubierać, usłyszałam głos Neila w korytarzu.

– To wyraz uznania dla ciebie – zauważyła Rose – bo u nas się nie pokazał od tygodni. Mój Boże, mam nadzieję, że mi nie doda trucizny do zupy.

Powiedziałam, że szkoda, że się nie polubili.

– No, i to nie z mojej winy – odparła Rose. – Bardzo chętnie zaprzyjaźniłabym się z nim, chociażby ze względu na Simona. Próbowałam wiele razy i dziś wieczorem też spróbuję, sama zobaczysz. Ale to nic nie da.

Kiedy Rose powiedziała: „chociażby ze względu na Simona”, pomyślałam: „Jasne, że ona go kocha. Byłam głupia, że uwierzyłam Thomasowi”. Jednak nadal czułam się szczęśliwa. Powtarzałam sobie: „Widziałam go, za chwilę znowu go zobaczę. To mi w zupełności wystarczy”.

Neil zapukał do drzwi sypialni i zawołał:

– Gdzie jest moja przyjaciółka Cassandra?

Rose nie była jeszcze gotowa, więc wyszłam do niego sama. Zapomniałam, jak bardzo jest miły. Poszliśmy do salonu i na mój widok Simon się odezwał:

– Ależ ona się zrobiła dorosła!

– I to bardzo ładnie dorosła – dodała pani Cotton. – Musimy iść na zakupy w przyszłym tygodniu, moja droga.

Myślę, że wyglądałam całkiem nieźle w sukni Rose.

Wszyscy byli dla mnie cudownie sympatyczni – może czuli, że mnie trochę zaniedbano. Kiedy Rose przyszła, wzięła mnie pod rękę i powiedziała:

– Ona powinna zostać o wiele dłużej, prawda? Ojciec będzie musiał sam się o siebie troszczyć.

Topaz nigdy by na to nie pozwoliła, ale jej nie było, bo wyszła z Aubreyem Fox-Cottonem.

Po późnym obiedzie (cztery dania; zupa z owoców morza była cudowna) zdecydowano, gdzie pójdziemy potańczyć. Pani Cotton nie szła z nami – oświadczyła, że zostanie w domu i znów będzie czytać Prousta.

– Zaczęłam wczoraj wieczorem – powiedziała do Simona – i marzę o tym, żeby wrócić do niego. Tym razem robię notatki, żeby zapamiętać ulubione urywki, tak jak ty robiłeś.

Potem zaczęli rozmawiać o Prouście, czego bardzo chciałam posłuchać, ale Rose zabrała mnie do swojej sypialni, żebyśmy przygotowały się do wyjścia.

– Och, sposób, w jaki tych dwoje rozmawia o książkach! – parsknęła Rose. – I żeby choć raz wspomnieli autora, którego ja też czytałam.

Spacer był fascynujący: w świetle ulicznych latarni na tle ciemnoniebieskiego nieba, wzdłuż Park Lane, do hotelu, gdzie mieliśmy tańczyć. Ale po pierwszych paru krokach zorientowałam się, że będę miała kłopoty z satynowymi butami od Rose. Kiedy je włożyłam, wydawało się, że pasują doskonale, ale teraz, gdy szłam, spadały mi z pięt, jeśli ich nie przytrzymałam palcami. Taniec

okazał się jeszcze trudniejszy niż spacer. Po jednym okrążeniu sali zrozumiałam, że to beznadziejne.

– Będę musiała się tylko przyglądać – powiedziałam do Neila.

– Mowy nie ma – odparł i zaprowadził mnie na pusty korytarz tuż obok sali balowej. Musiał być zaprojektowany jako miejsce odpoczynku, bo były tam małe łóżka wpuszczone w ściany obite różowym brokatem, ale Neil wyjaśnił, że rzadko ktoś tu przychodzi.

– Zdejmij teraz te zakichane buty – zwrócił się do mnie – a ja swoje też zdejmę, w razie gdybym miał cię nadepnąć.

Bardzo dziwnie się czułam, tańcząc na grubym dywanie, ale bardzo mi się to podobało. Kiedy przestali grać, usiedliśmy w jednej z łóż i zaczęliśmy rozmawiać.

– Cieszę się, że przyjechałaś do Londynu – powiedział – bo inaczej mógłbym cię nie zobaczyć. Za tydzień ostatecznie wracam do domu.

– To znaczy do Kalifornii? – zdziwiłam się. – Nie zostajesz na ślub? Myślałam, że będziesz drużbą.

– Simon będzie musiał znaleźć kogoś innego. Ja nie mogę stracić tej szansy. Zaproponowano mi współudział w ranczu, dziś dostałem telegram. Potrzebują mnie natychmiast. – Właśnie wtedy zobaczyliśmy Rose i Simona, jak wychodzili z sali balowej, najwyraźniej nas szukając. – Nie wspominaj nic o tym, dobrze? – rzucił szybko Neil. – Chcę najpierw oznajmić to matce, zanim powiem innym. Na pewno nie będzie zachwycona.

Zaraz po tym, jak Rose i Simon dołączyli do nas, znowu rozległa się muzyka. Rose zwróciła się do Neila i naprawdę miłym głosem spytała:

– Czy zatańczysz ze mną?

Zobaczyłam wtedy, że miała rację, myśląc, że to beznadziejne próbować z nim się zaprzyjaźnić. Przez chwilę wydawało mi się, że jej odmówi, ale w końcu odrzekł: „Pewnie, jak chcesz” – całkiem grzecznie, ale bez cienia uśmiechu. Odeszli, zostawiając mnie samą z Simonem.

Rozmawialiśmy najpierw o Rose; martwił się, że te wszystkie wielkie zakupy już ją zmęczyły.

– Chciałbym, żebyśmy mogli wziąć ślub natychmiast i wyjechać z Londynu – powiedział. – Ale i ona, i matka nalegają, żeby czekać na wyprawę ślubną.

Mnie też się wydawało, że Rose jest trochę mniej ożywiona niż zwykle, ale wcale nie była tak bardzo zmęczona jak on. Był bledszy niż zazwyczaj i taki przygaszony. To sprawiło, że podobał mi się jeszcze bardziej – i tak straszliwie chciałam być dobra dla niego.

Długo rozmawialiśmy o Rose, a potem Simon zapytał o ojca i rozważyliśmy możliwość, że może jednak pracuje, ale trzyma to w tajemnicy.

– Bardzo dziwnie się zachowywał, kiedy zatrzymał się u nas parę tygodni temu – powiedział Simon. – Matka mi mówiła, że poszedł do kuchni i pożyczył wszystkie książki kucharskie.

Miałam przerażające wrażenie, że czas pędzi, a my nie rozmawiamy o niczym, co mogłabym na zawsze zachować w pamięci – Simon był czarujący i miły jak zawsze, ale wydawało się, że ledwie mnie dostrzega jako osobę. Marzyłam o tym, żeby powiedzieć coś zabawnego, lecz nic mi nie przychodziło do głowy, więc usiłowałam być inteligentna.

– Czy uważasz, że powinnam przeczytać Prousta?

Widocznie było to bardziej zabawne niż inteligentne, bo sprawiło, że się roześmiał.

– No, nie ma raczej takiego obowiązku – odrzekł – ale mogłabyś spróbować. Przyślę ci *W stronę Swanna*.

Potem zaczęłam mówić o prezencie, jaki mi przysłał na urodziny, a on wspomniał, że mój list z podziękowaniami był taki miły.

– Mam nadzieję, że pożyczasz ze Scoatney wszystkie płyty, na jakie tylko masz ochotę – dodał.

Kiedy to powiedział, nagle zobaczyłam pawilon oświetlony blaskiem księżyca i świec – i wtedy, przez najbardziej okrutny zbieg okoliczności, zespół muzyczny, który prezentował wiązanek melodii, zaczął grać *Lover*. Poczułam, że mocno się czerwienię – nie pamiętam, żebym była kiedyś tak zażenowana. Skoczyłam na równe nogi i pobiegłam do lustra, które było dalej w korytarzu.

– Co się stało? – zawołał za mną.

– Rzęsa wpadła mi do oka! – odkrzyknęłam.

Zapytał, czy może pomóc, ale powiedziałam, że sobie poradzę, i dłubałam coś chusteczką przy twarzy, aż rumieniec znikł – nie sędzę, że to dostrzegł. Kiedy wróciłam do niego, odezwał się:

– To dziwne, jak ta suknia cię zmienia. Nie wiem, czy apróbuję to, że doroślejesz. Może się jakoś do tego przyzwyczaję. – Uśmiechnął się do mnie. – Ale byłaś wspaniała taka, jaka byłaś.

To właśnie tamtą śmieszna, małą dziewczynkę lubił – zabawnego dzieciaka odprawiającego świętojańskie obrzędy; to ją pocałował. Chociaż nie sędzę, bym kiedykolwiek w pełni zrozumiała, dlaczego to zrobił.

Potem rozmawiałam z nim już zupełnie swobodnie, tak że nawet roześmiał się parę razy – czułam, że znowu mu się podobam. Ale to nie było wcale moje obecne ja; dawałam imitację siebie takiej, jaką mnie lubił. Byłam bardzo „rozmyślnie naiwna”. Wcześniej nigdy, ale to nigdy, nie zachowywałam się tak wobec niego; bez względu na to, jak brzmiało to, co mówiłam, zawsze czułam się całkowicie naturalnie. Teraz jednak, kiedy tam siedziałam, usiłując go rozbawić, podczas gdy grano melodię *Lover*, wiedziałam, że rzeczy, które były dla mnie naturalne, zanim usłyszałam ją po raz pierwszy, już nigdy więcej takie nie będą. To nie tylko ta czarna suknia sprawiła, że dorosłam.

Kiedy przestano grać, Rose i Neil wrócili do nas, a Neil poszedł zamówić coś do picia.

– To była ładna melodia, ta ostatnia – zauważyła Rose. – Jak ona się nazywa?

– Niestety, nie zwróciłem na nią uwagi – odparł Simon.

– Ja też nie – powiedziałam.

Rose usiadła w łóży naprzeciwko i oparła stopy na siedzeniu.

– Zmęczona? – zapytał Simon, podchodząc do niej.

– Tak, bardzo – odrzekła.

Nie przesunęła się, by zrobić mu miejsce, więc usiadł na podłodze koło niej.

– Czy chcesz, żebym cię zabrał do domu, jak tylko wypijemy nasze drinki? – zapytał, a ona powiedziała, że tak.

Neil zostałby ze mną, ale zwróciłam mu uwagę, że nie możemy dalej tańczyć na bosaka w tym korytarzu.

– Rzeczywiście, trochę to wygląda jak wyłożony gąbką pokój w szpitalu psychiatrycznym – przyznał.

Nigdy tego nie zapomnę – gruby dywan, obite brokatem ściany, ostre światła odbijające się w lustrach ze złoconymi ramami; wszystko było tak bardzo luksusowe – i zarazem tak pozbawione sensu, bezduszne.

Kiedy dotarliśmy do domu, Neil oznajmił, że nie wejdzie na górę, ale odprowadził nas do windy i tak to zrobił, że zostaliśmy sporo w tyle.

– Wygląda na to, że się żegnamy na dobre – powiedział. Odczułam smutek, całkiem inny od mojej osobistej masy cierpienia.

– Ale przecież spotkamy się jeszcze kiedyś, prawda?

– No pewnie. Musisz przyjechać do Ameryki.

– A ty już nigdy tu nie wrócisz?

Odparł, że w to wątpi, a potem się roześmiał i dodał:

– Może przyjadę, jak już będę bogatym starym człowiekiem.

– Dlaczego czujesz do nas taką niechęć, Neil?

– Do ciebie nie czuję – powiedział szybko. – Och, do nikogo i niczego nie czuję niechęci. Po prostu nic mi się tu nie udaje.

Wtedy zawołano, że jest już winda, więc szybko uścisnęliśmy sobie dłonie. Nie mogłam znieść myśli, że może lata całe upłyną, zanim go znowu zobaczę.

W mieszkaniu czekała na mnie wiadomość od Stephena – zupełnie zapomniałam, że miał do mnie zatelefonować. Rose przeczytała ją na głos: „Dla panny C. Mortmain od pana S. Colly’ego. Dżentelmen prosił przekazać, że jest całkowicie do dyspozycji, kiedy tylko zajdzie potrzeba”.

– To bardzo uprzejma wiadomość – odezwał się Simon. – Nie powinnaś oddzwonić?

– Och, zostaw to do rana – poprosiła Rose. – I chodźmy się kłaść.

Nie miałyśmy nawet jeszcze okazji porozmawiać.

Wtedy właśnie Topaz wyszła ze swojej sypialni i powiedziała, że chce ze mną pomówić.

– Nie możesz poczekać do jutra? – zapytała Rose.

Topaz odparła, że nie widzi powodu, dla którego miałyby czekać.

– Jest dopiero wpół do jedenastej i specjalnie wcześniej wróciłam.

– No dobrze – zgodziła się Rose – ale się pośpiesz. Topaz zabrała mnie do ogrodu na dachu.

– Człowiek nigdy nie wie, czy ktoś nie usłyszy czegoś w tym mieszkaniu – powiedziała.

Na dachu było przyjemnie: stało tam mnóstwo małych drzewek w donicach i ładne meble ogrodowe. Nikogo poza nami nie było. Usiadłyśmy na dużej bujanej ławce, oczekiwałam, że Topaz powie mi coś ważnego, ale chciała tylko porozmawiać o ojcu.

– Kiedy tu był, nie spędziłam z nim chyba ani minuty – powiedziała. – Mój pokój jest zbyt mały dla dwóch osób. A pani Cotton w obydwie wieczory zatrzymała go rozmową do późna.

Zapytałam, czy ciągle się jeszcze martwi z powodu tych dwojga.

– O, nie tak bardzo jak kiedyś. No i z jej strony nic nie ma. Widzę teraz, że on interesuje ją nie jako mężczyzna, tylko jako sławny człowiek, oczywiście, jeżeli spełni jej oczekiwania i znowu stanie się sławny. Ma nadzieję, że tak będzie, i chce mieć w tym swój udział. Simon również.

– A co w tym złego? – zapytałam. – Wiesz, że intencje mają szlachetne.

– Simon na pewno tak; on się interesuje pracą Mortmaina dla niej samej i ze względu na Mortmaina. Ale myślę, że pani Cotton tylko kolekcjonuje sławy, nawet mnie zaczęła teraz cenić, kiedy zobaczyła parę obrazów, na których jestem.

– Zaprosiła cię do siebie, zanim je zobaczyła – podkreśliłam. – Lubię panią Cotton, a jej życzliwość dla naszej rodziny jest fantastyczna.

– Proszę bardzo, powiedz mi, że jestem niesprawiedliwa. – Topaz westchnęła głęboko, po czym dodała: – Wiem, że istotnie taka

jestem. Ale ona tak mnie irytuje, że dostaję szału. Ciekawe, dlaczego nie irytuje Mortmaina. To dla mnie zagadka. Wciąż tylko gada i gada, nigdy nie widziałam takiej energii. Nie wierzę, że to normalne u kobiety w jej wieku, żeby była taka zdrowa. Jak chcesz wiedzieć, to jest to hormonalne.

Zaczęłam się śmiać, ale zobaczyłam, że Topaz mówi całkiem serio; „hormonalne” to jej ulubione słowo.

– No to wracaj do zamku i odpocznij – podsunęłam jej.

– Właśnie o to chciałam cię zapytać. Czy Mortmain dał choćby najmniejszy znak, że mnie potrzebuje?

Próbowałam wymyślić, jak w taktowny sposób powiedzieć „nie”. Na szczęście zaraz mówiła dalej:

– Muszę czuć się potrzebna, Cassandro... zawsze byłam potrzebna. Mężczyźni albo mnie malowali, albo byli we mnie zakochani, albo po prostu źle mnie traktowali... niektórzy mężczyźni mają zwyczaj się znęcać, wiesz, to służy ich pracy; ale tak czy inaczej, zawsze byłam potrzebna. Muszę inspirować ludzi, Cassandro, to jest moje życiowe zadanie.

Wyjawiłam jej wtedy, że mam cię nadziei, że ojciec pracuje.

– Czy to znaczy, że dałam mu inspirację, oddalając się od niego? Obie wybuchłyśmy śmiechem. Topaz rzadko wykazuje poczucie humoru, ale jeśli już, to jest znakomite. Kiedyśmy się uspokoiły, zapytała:

– A co myślisz o Aubreyu Fox-Cottonie?

– Właściwie nic – odparłam. – Czy on potrzebuje inspiracji? Wydaje się, że radzi sobie całkiem dobrze.

– Mógłby tworzyć większe dzieła. Sam czuje, że mógłby.

– To znaczy gdybyście obydwójce dostali rozwody i się pobrali?

– Niezupełnie – odrzekła Topaz.

Nagle poczułam, że to bardzo ważna chwila, i zastanawiałam się, co, do licha, mogłabym powiedzieć, żeby na nią wpłynąć. Nie miało sensu udawać, że ojciec jej potrzebuje, bo wiedziałam, że w niespełna pół godziny po powrocie do domu zorientowałyby się, że tak nie jest. W końcu zapytałam:

– Pewnie by ci nie wystarczyło, że Thomas i ja bardzo cię potrzebujemy?

Wyglądała na zadowoloną – a potem wygłosiła okropną Topazową mądrość:

– Och, kochanie! Czy nie rozumiesz, że sztuka jest ważniejsza od człowieka?

Doznałam nagłego olśnienia.

– No to nie możesz zostawić ojca – powiedziałam. – Och, Topaz, nie pojmujesz, że bez względu, czy za tobą tęskni, czy nie, taki szok mógłby go kompletnie załamać? Tylko sobie wyobraź, jak jego biograf pisze: „Mortmain miał właśnie zacząć drugi etap swojej kariery, kiedy niewierność jego żony modelki zrujnowała mu życie. Nigdy się nie dowiemy, co stracił świat przez tę niegodną młodą kobietę”... I ty też byś się nie dowiedziała, Topaz, bo gdyby ojciec po twoim odejściu nie napisał już ani linijki, zawsze czułabyś, że to twoja wina.

Patrzyła na mnie zdumiona; zauważyłam, że zrobiło to na niej wielkie wrażenie. Na szczęście nie przyszło jej do głowy, że nikt nie napisze biografii ojca, jeżeli on nie stworzy już żadnego dzieła.

– Czy nie widzisz, jak potomni źle by cię osądzili? – dorzuciłam. – A jeśli z nim zostaniesz, będziesz „tą piękną dziewczyną, jak anioł namalowany przez Blake’a, która poświęciła swoje rozliczne talenty, by Mortmain mógł się odrodzić”. – Zamilkłam, bojąc się, że przesadziłam, ale ona to wszystko przełknęła.

– Och, kochanie, ty sama powinnaś napisać tę biografię – wykrztusiła z trudem.

– Napiszę, napiszę – zapewniłam ją, zastanawiając się, czy rozważyłaby pozostanie, żeby to mnie dostarczyć inspiracji; ale zdaje się, że ona postrzega siebie jako inspirację tylko dla mężczyzn.

W każdym razie niepotrzebnie się martwiłam, bo powiedziała tym swoim najgłębszym barytonem:

– Cassandro, uratowałaś mnie przed popełnieniem najstraszliwszego błędu. Dziękuję, dziękuję ci. – Pochwyciła mnie w ramiona z taką siłą, że spadłam z bujanej ławki.

Och, kochana Topaz! Określa zainteresowanie pani Cotton ojcem jako kolekcjonowanie sław i nie dostrzega, że jej pragnienie, by dawać natchnienie mężczyznom, jest tylko inną formą tego samego – i to o wiele mniej szczerą. Bo zainteresowanie pani Cotton jest intelektualne, no, towarzysko-intelektualne, podczas gdy intelektualizm mojej drogiej pięknej macochy – jest bardzo, bardzo podrabiany. Prawdziwa Topaz to ta, która gotuje, sprząta i szyje dla nas wszystkich. Jak skomplikowani są ludzie – skomplikowani i mili!

Kiedy schodziłyśmy z dachu do mieszkania pani Cotton, Topaz powiedziała, że wróci do domu za dziesięć dni, najwyżej za dwa tygodnie – kiedy tylko Macmorris skończy malować jej nowy portret. Powiedziałam, że bardzo się cieszę, ale nagle poczułam, jak trudno będzie mi ukryć przed nią swoje problemy. Rozmowa z Topaz pozwoliła mi o nich zapomnieć, ale gdy weszłyśmy do mieszkania, było po prostu tak, jakby tam na mnie czekały.

Wszyscy już się położyli. Pod drzwiami Simona widać było smugę światła. Pomyślałam o tym, jak blisko mnie będzie spać, i nie wiedzieć dlaczego sprawiło to, że się poczułam okropnie nieszczęśliwa. A perspektywa ponownego spotkania z nim nazajutrz wcale nie przynosiła mi ulgi; w tym lśniącym korytarzu koło sali balowej odkryłam, że przebywanie z nim może być jeszcze bardziej bolesne niż oddalenie od niego.

Rose siedziała w łóżku, czekając na mnie. Jej jasne włosy pięknie wyglądały na tle białego aksamitnego wezgłowia.

– Przygotowałam ci jedną z moich wyprawowych koszul nocnych – odezwała się.

Podziękowałam jej i dodałam, że mam nadzieję, że się nie podrze – wydawała się bardzo delikatna. Rose powiedziała, że i tak ma dużo więcej.

– No to teraz możemy pogawędzić – rzekłam pogodnie, myśląc: „Ty opowiadaj”.

Już nie miałam zamiaru zadawać żadnych pytań o jej uczucia do Simona; jasne, że go kochała, jasne, że nic by nie powstrzymało

ślubu, mój przyjazd do Londynu był głupią pomyłką.

– Chyba nie mam dzisiaj na to ochoty – odparła.

To mnie zdziwiło – wydawało się, że tak bardzo chce porozmawiać – ale rzuciłam tylko:

– No, jutro będzie jeszcze mnóstwo czasu.

Potwierdziła, ale nie brzmiało to zachęcająco; potem poprosiła, żebym wystawiła róże do łazienki na noc. Kiedy podeszłam, by je zabrać, popatrzyła na bilecik od Simona na nocnym stoliku i dodała:

– Wyrzuć to do kosza, dobrze?

Nie powiedziała tego normalnie, mimochodem, lecz z pewnego rodzaju pogardliwą niechęcią. Moje postanowienie, że nie będę z nią rozmawiać, natychmiast się rozwiało.

– Rose, ty go nie kochasz – powiedziałam. Posłała mi skąpy, ironiczny uśmiech.

– Nie. Czy to nie pech? – odrzekła.

No i proszę – miałam to, o czym marzyłam! Ale zamiast być zadowolona, zamiast czuć jakąkolwiek iskierkę nadziei, poczułam gniew; byłam tak rozgniewana, że nie miałam odwagi się odezwać. Stałam tam i wpatrywałam się w nią, aż usłyszałam:

– No? Powiedz coś.

Udało mi się mówić całkiem spokojnie.

– Dlaczego kłamałaś mi tego wieczoru, kiedy się zaręczyłaś?

– Nie kłamałam. Naprawdę myślałam, że jestem zakochana. Kiedy mnie pocałował... Och, i tak tego nie zrozumiesz, jesteś za młoda.

Rozumiałam doskonale. Gdyby Stephen mnie pocałował, zanim jeszcze wiedziałam, że kocham Simona, mogłabym popełnić ten sam błąd – szczególnie gdybym go chciała popełnić, tak jak Rose. Ale dalej byłam wściekła.

– Od jak dawna wiesz? – zapytałam ostro.

– Teraz to już całe tygodnie. Zorientowałam się zaraz po przyjeździe do Londynu: tutaj Simon dużo więcej ze mną przebywa. Och, gdyby tylko nie był taki zakochany! Potrafisz zrozumieć, co mam na myśli? No i nie tylko o to chodzi, że chce się do mnie zalecać... Gdy jesteśmy razem, w każdej minucie czuję, że prosi

o miłość. W jakiś sposób łączy to ze wszystkim: kiedy jest szczególnie cudowny dzień, kiedy widzimy coś pięknego albo razem słuchamy muzyki. Mam ochotę wyć. O Boże. Miałam ci o tym nie mówić. Chociaż chciałam... wiedziałam, że to przyniosłoby mi ulgę, ale przed chwilą postanowiłam, że nie powiem, bo wiem, że to egoistyczne. Żałuję, że to ze mnie wydobyłaś. Widzę, że bardzo się zdenerwowałaś.

– Nie szkodzi – odrzekłam. – Czy chciałabyś, żebym mu to powiedziała w twoim imieniu?

– Powiedzieć mu? – Patrzyła na mnie nieruchomo. – Och, nic dziwnego, że się zdenerwowałaś. Nie martw się, kochanie, i tak za niego wyjdę.

– Nie zrobisz tego – oświadczyłam stanowczo. – Nie zrobisz niczego tak haniebnego.

– Dlaczego nagle ma to być haniebne? Zawsze wiedziałaś, że wyjdę za niego bez względu na to, czy go kocham, czy nie. I pomagałaś mi, jak tylko mogłaś, wcale nie będąc pewna, czy go kocham.

– Nie rozumiałam tego. To była tylko zabawa, jak coś w książce. To nie było naprawdę...

W głębi serca wiedziałam jednak, że moje sumienie przez cały ten czas było niespokojne, ale ja go nie słuchałam. Całe moje nieszczęście było karą za to.

– Teraz jest aż nadto naprawdę – rzuciła ponuro Rose.

Poczucie winy sprawiło, że mój gniew na nią zelżał trochę. Podeszłam i usiadłam przy niej na łóżku, próbując rozsądnie porozmawiać.

– Wiesz, że nie możesz tego zrobić, Rose... tylko z powodu ubrań, biżuterii i łazienek...

– Mówisz tak, jakbym to wszystko robiła tylko dla siebie – przerwała mi. – Czy wiesz, o czym myślę każdego wieczoru, kiedy tu leżę przed zaśnięciem? „No, przynajmniej będą mieli co jeść dzisiaj w zamku”. Przecież nawet po Heloizie widać, że je teraz do syta! A o tobie myślę więcej niż o kimkolwiek innym, o tych

wszystkich rzeczach, które będę mogła zrobić dla ciebie, jak wyjdę za mąż.

– No to możesz przestać myśleć, bo ja nic od ciebie nie przyjmę. – Nagle mój gniew wrócił z całą siłą i słowa jakby same zaczęły płynąć. – I możesz przestać udawać, że robisz to dla nas wszystkich. Robisz to po prostu dla siebie, bo nie znosisz biedy. Masz zamiar zrujnować życie Simonowi, bo jesteś zachłanna i jesteś tchórzem...

Mówiłam i mówiłam, ostrym szeptem – cały czas zdawałam sobie sprawę, że mógł mnie ktoś usłyszeć, i powstrzymywałam się od krzyku, ale straciłam wszelką kontrolę nad tym, co mówiłam; większości tego nawet nie pamiętam. Rose ani razu nie próbowała mi przerwać – siedziała i patrzyła na mnie nieruchomo. Nagle zobaczyłam w jej oczach, że zaczyna się domyślać. Przerwałam w pół słowa.

– Ty sama jesteś w nim zakochana – powiedziała. – Tylko tego było trzeba. – I wybuchła dławiącym łkaniem, wciskając głowę w poduszkę, żeby nie było słychać.

– Och, cicho bądź – rzuciłam.

Po jakiejś minucie przestała wyć do poduszki i zaczęła po omacku szukać chusteczki do nosa. Nie można patrzeć, jak ktoś to robi, i nie pomóc, bez względu na to, jak bardzo jest się rozgniewanym, więc podałam jej chustkę, bo spadła na podłogę. Wytarła trochę oczy i powiedziała:

– Cassandro, przysięgam na wszystkie świętości, że zrezygnowałabym z niego, gdybym myślała, że wtedy ożeni się z tobą. O, bardzo chętnie bym to zrobiła; pieniądze zostałyby w rodzinie, a ja nie musiałabym go mieć za męża. Nie chcę Scoatney, nie chcę wielkiego luksusu. Mnie zależy tylko na tym, żeby nie wracać do tej okropnej biedy... nie wrócę do tego, nie chcę, nie chcę! A musiałabym, gdybym od niego odeszła, bo wiem, że on się w tobie nie zakocha. Myśli o tobie tylko jak o małej dziewczynce.

– To, co on myśli o mnie, nie ma tu nic do rzeczy – odparłam. – Ja myślę teraz o nim, a nie o sobie. Nie wyjdiesz za niego, nie

kochając go.

– A nie wiesz, że on i tak wolałby mieć mnie taką, niż wcale mnie nie mieć? – odrzekła.

Nigdy o tym nie pomyślałam, ale kiedy tak powiedziała, pojęłam, że to była prawda. To sprawiło, że znienawidziłam ją jeszcze bardziej. Zaczęłam z siebie zdzierać czarną suknię.

– Właśnie, chodź się połóż – powiedziała. – Zgaśmy światło i porozmawiajmy spokojnie. Może sobie tylko wyobrażasz, że jesteś w nim zakochana, może to jest to, co się nazywa cielecą miłością, kochanie? Nie wiesz na pewno, czy jesteś zakochana, dopóki ktoś ci tego nie okaże. Na pewno ci to przejdzie, kiedy spotkasz innych mężczyzn, i ja dopilnuję, żeby tak było. Porozmawiajmy. Spróbujmy sobie nawzajem pomóc. Chodź do łóżka.

– Ja się nie kładę – warknęłam, zrzucając kopniakiem suknię. – Jadę do domu.

– Przecież nie możesz, nie teraz w nocy. Nie ma już pociągów.

– No to posiedzę w poczekalni do rana.

– Ale dlaczego...

– Nie mam zamiaru kłaść się koło ciebie.

Walczyłam z moją zieloną sukienką, usiłując ją włożyć. Wskoczyła z łóżka i próbowała mnie zatrzymać.

– Cassandro, posłuchaj, proszę...

Powiedziałam jej, żeby się zamknęła, bo obudzi cały dom.

– I ostrzegam cię, że jak spróbujesz mnie zatrzymać, to postawię wszystkich na nogi i usłyszą moją opowieść. Wtedy będziesz musiała zerwać swoje zaręczyny.

– Nic podobnego. – Pierwszy raz głos Rose zabrzmiał złością. – Powiem im, że kłamiesz, bo jesteś zakochana w Simonie.

– Tak czy inaczej, lepiej nie budźmy nikogo.

Szukałam wszędzie butów, które pokojówka gdzieś schowała. Rose chodziła za mną, na wpeł ze złością, na wpeł z błaganiem.

– Ale co ja im powiem, jak teraz wyjedziesz? – zapytała.

– Nic im nie mów do rana, a potem powiesz, że mnie nagle ruszyło sumienie, że zostawiłam ojca samego, i pojechałam wczesnym

pociągiem. – Znalazłam wreszcie swoje buty i włożyłam je. – Och, powiedz im, do licha, co ci się podoba. Ja wyjeżdżam.

– Sprawiasz mi zawód, i to właśnie teraz, kiedy cię najbardziej potrzebuję.

– Tak, żebym ze współczuciem wysłuchiwała twoich żalów i głaskała cię po plecach. Przepraszam, nie ma mowy!

Otwierałam wszystkie szuflady, szukając swojej torebki. Kiedy ją wreszcie znalazłam, przeszłam zdecydowanie obok Rose. Próbowала mnie jeszcze zatrzymać.

– Cassandro, błagam cię, zostań. Gdybyś wiedziała, jaka jestem nieszczęśliwa...

– To idź sobie posiedzieć w swojej łazience i policz swoje brzoskwiniowe ręczniki – parsknęłam. – One cię rozweselą, ty zakłamana, pazerna mała oszustko.

Potem wyszłam, opanowując się na tyle, żeby cicho zamknąć drzwi. Przez sekundę myślałam, że Rose wyjdzie za mną, ale nie wyszła – pewnie uwierzyła, że rzeczywiście wykrzyczałabym prawdę; i myślę, że mogłoby się tak stać, bo byłam strasznie wściekła.

W holu było ciemno, jedynie wokół frontowych drzwi sączyło się światło z korytarza na zewnątrz. Poszłam tam na palcach, gdy nagle usłyszałam ciche skomlenie. Heloiza! Zupełnie o niej zapomniałam. W następnej chwili znalazła się przy mnie, w tych ciemnościach, bijąc ogonem. Wywlokłam ją przez frontowe drzwi i pospieszyłam do windy, która jakimś cudem była na górze, jakby czekała. Kiedy jechałyśmy na dół, usiadłam na podłodze i pozwoliłam, by Heloiza położyła mi łapy na ramionach i nacieszyła się do woli.

Miała na szyi obrozę, więc użyłam paska od sukienki jako smyczy – był ciągle zbyt duży ruch, by puścić ją wolno, nawet kiedy skręciłyśmy z Park Lane w spokojniejszą uliczkę. Byłam zadowolona, że jestem na chłodnym, świeżym powietrzu, ale po pierwszych paru minutach ulgi zaczęłam w kółko odtwarzać sobie scenę z Rose. Cały czas myślałam o jeszcze gorszych rzeczach, które mogłam powiedzieć, i wyobrażałam sobie, jak je mówię.

W oczach wciąż miałam tak wyraźny obraz białej sypialni, że ledwie widziałam, gdzie idę; niejasno pamiętam, że szłam przed siebie, mijając bogate domy. W jednym z nich odbywały się tańce i ludzie wychodzili na balkon – jak przez mgłę przypominam sobie, że poczułam żal, że jestem zbyt zajęta sobą, żeby się tym zainteresować (parę miesięcy wcześniej to byłaby doskonała okazja, by puścić wodze fantazji). W głębi duszy miałam nadzieję, że prędzej czy później zobaczę autobusy albo wejście do kolejki podziemnej, wtedy będę mogła dotrzeć na stację i usiąść w poczekalni. Wróciłam do rzeczywistości dopiero, kiedy zobaczyłam Regent Street.

Zdecydowałam, że muszę się pozbierać – przypomniałam sobie różne rzeczy, które słyszałam o Regent Street, zwłaszcza o tym, co tam się dzieje w nocy. Ale chyba musiałam ją pomylić z jakąś inną ulicą, bo nic nie wyglądało tak, jak się spodziewałam. Wyobrażałam sobie strumień jaskrawo ubranych, wymalowanych kobiet, które przechadzają się, mrugając do przechodniów – a tymczasem jedyne kobiety, jakie widziałam, wydawały się nadzwyczaj szacowne, elegancko ubrane na czarno, i po prostu wyszły na wieczorny spacer; niektóre miały ze sobą małe pieski, co interesowało Heloizę. Ale zauważyłam, że większość pań była w towarzystwie, w parach, i zdałam sobie sprawę, że nie powinnam być na ulicy sama tak późno wieczorem. Właśnie kiedy to pomyślałam, jakiś mężczyzna podszedł do mnie i zagadnął:

– Przepraszam bardzo, czy ja już nie spotkałem pani psa kiedyś wcześniej?

Nie zwróciłam na niego uwagi, ale Heloiza zaczęła machać ogonem. Pociągnęłam ją dalej, a on szedł za nami, mówiąc głupie rzeczy w rodzaju: „Jasne, że pies mnie zna. Jesteśmy starzy kumple, spotkaliśmy się w Hammersmith Palais de Dance”. Heloiza była coraz bardziej przyjacielska. Niemal zataczała ogonem kółka i bardzo się bałam, że lada chwila skoczy na niego, żeby go polizać. Więc powiedziałam ostro: „Heloizo, kto to jest?” – co mówimy, kiedy jakiś podejrzenie wyglądający włóczęga przychodzi

myszkować koło zamku. Zaczęła tak strasznie szczekać, że ten człowiek odskoczył do tyłu, wpadając na dwie damy. Już nie próbował iść za nami, ale ja nie mogłam uspokoić Heloizy – szczekała całą drogę aż do Piccadilly Circus i dalej, sprawiając, że okropnie rzucałyśmy się w oczy.

Z ulgą zobaczyłam wreszcie wejście do kolejki podziemnej, ale nie na długo starczyło tej ulgi, bo okazało się, że nie wpuszczają psów do pociągu. Mogłam zabrać psa do autobusu, lecz nie za wiele ich już jeździło, bo było dobrze po północy. Zaczynałam się zastanawiać, czy nie wziąć taksówki, kiedy przypomniałam sobie, że blisko Piccadilly jest restauracja Corner House, o której Topaz mi kiedyś powiedziała, że jest otwarta całą noc. Marzyłam o herbacie i czułam, że Heloiza też by się chętnie napiła – przestała wreszcie szczekać i wyglądała na dosyć zmęczoną. A więc poszłyśmy tam.

Było to tak wspaniałe miejsce, że się obawiałam, czy wpuszczą Heloizę, ale wybrałyśmy chwilę, kiedy portier był akurat zajęty czymś innym. I dostałam stolik przy ścianie, tak że Heloiza mogła być prawie niezauważalna; kelnerka ją dostrzegła, jednak powiedziała tylko: „No, jeżeli już ją wpuszczono... ale musi być cicho” – co jakimś cudem jej się udało. Po tym, jak jej niepostrzeżenie podałam trzy razy spodek pełen wody, głęboko zasnęła na moich stopach; chociaż było mi okropnie gorąco, nie ruszałam się, nie chcąc ryzykować, że ją obudzę.

Herbata była pocieszeniem – i w tamtym momencie naprawdę bardzo potrzebowałam pociechy. Prawie wszystko bolało mnie ze zmęczenia i miałam wrażenie, jakbym od wielu lat nie zamykała oczu; jednak jeszcze gorsze – gorsze nawet od mojej niedoli z powodu Simona, do której już się mniej więcej przyzwyczaiłam – było stopniowe uświadamianie sobie, że zachowałam się nie w porządku wobec Rose. Zobaczyłam, że głównym powodem mojego wybuchu była nie szlachetna troska o szczęście Simona, ale po prostu piekielna zazdrość. I co mogło być bardziej wstrętne, niż pomagać jej się zaręczyć, a potem z tego powodu zwrócić się przeciwko niej? Jak bardzo miała rację, oskarżając mnie, że ją

zawiodłam! Mogłam przynajmniej spokojnie przedyskutować z nią tę sprawę. A najgorzej czułam się dlatego, że w głębi serca wiedziałam, że Rose lubiła mnie bardziej niż kogokolwiek innego na świecie; tak jak i ja lubiłam ją, dopóki się nie zakochałam w Simonie.

Ale nie powinna była mówić tego o ciełej miłości. „Jak ona śmie! – myślałam. – Kim ona jest, żeby decydować, czy to, co czuję, jest ciełą miłością – która jest śmieszna – czy też pierwszą miłością – która jest piękna? Przecież ona sama nigdy nie była zakochana!”.

Nie przestawałam myśleć o tym wszystkim, wciąż dolewając sobie wody do herbaty – aż wreszcie była tak słaba, że zobaczyłam nierozpuszczony cukier na dnie. Wtedy przyszła kelnerka i zapytała, czy życzę sobie jeszcze czegoś. Nie miałam ochoty wychodzić, więc przejrzałam menu i zamówiłam kotlet jagnięcy; jego przygotowanie wymaga dużo czasu, a kosztował tylko siedem pensów.

Czekając, próbowałam ukoić swoje cierpienie z powodu Rose, myśląc o swoim cierpieniu z powodu Simona. „To beznadziejne – myślałam. – Wszyscy troje będziemy nieszczęśliwi do końca życia”. Potem pojawił się kotlet jagnięcy otoczony morzem białego talerza i wyglądał na mniejszy niż jakiegokolwiek moje wyobrażenie o kotlecie. Jadłam go, jak się dało najwolniej; zjadłam nawet gałązkę pietruszki, którą dorzucają w ramach siedmiu pensów. Wtedy kelnerka położyła rachunek na stole i zabrała mój talerz w bardzo zdecydowany sposób, więc po dłuższym popijaniu wody, która była za darmo, poczułam, że lepiej już iść. Otworzyłam torbę, żeby wyjąć pieniądze, i wtedy...

Do końca życia będę to pamiętać. W torbie nie było portmonetki. Szukałam jej gorączkowo, choć bez cienia nadziei. Ponieważ wiedziałam, że portmonetka została w wieczorowej torebce, którą pożyczyła mi Rose. Wszystko, co znalazłam, to była zapiaszczona moneta wartości ćwierć pensa, w przegródce na grzebień.

Poczułam lodowate zimno i zrobiło mi się niedobrze. Światła wydały się nagle o wiele bardziej jaskrawe, a ludzie dookoła stali się

bardziej hałaśliwi i równocześnie zupełnie nierealni. W myślach usłyszałam głos, który mówił: „Spokój, zachowaj spokój, możesz to wyjaśnić kierownikowi. Podasz mu nazwisko i adres i zaoferujesz, że zostawisz coś wartościowego”. Tyle że nie miałam przy sobie nic wartościowego: ani zegarka, ani biżuterii, moja torba była bardzo znoszona, nawet nie miałam płaszcza ani kapelusza – przez jedną szaloną chwilę pomyślałam, że mogłabym zostawić swoje buty. „Ale on zobaczy, że jesteś przyzwoitą osobą, i ci zaufa”.

Próbowałam się uspokoić, a potem zaczęłam się zastanawiać, czy wyglądam jak przyzwoita osoba. Miałam włosy w nieładzie, moja zielona suknia była jaskrawa i tania w porównaniu z londyńskimi kreacjami, a to, że Heloiza potrzebowała mojego paska od sukienki, wcale nie polepszało sytuacji. „Przecież nie mogą wezwać policji z powodu czajniczka herbaty i jednego kotleta” – mówiłam sobie. I nagle dotarło do mnie, że potrzebowałam pieniędzy nie tylko na zapłacenie rachunku. Jak dostanę się na stację bez taksówki? Nie mogłam kazać Heloizie wędrować tyle mil, nawet gdybym sama dała radę je przejść. A mój bilet kolejowy...

Bilet też był w portmonetce.

„Muszę uzyskać jakąś pomoc” – pomyślałam w rozpacz.

Ale jak? Przed restauracją stały budki telefoniczne, jednak pomijając już to, że wolałabym umrzeć, niż zatelefonować do mieszkania pani Cotton, wiedziałam również, że taki telefon zmusiłby Rose do wyjaśnienia całej sprawy. Potem nagle przypomniałam sobie wiadomość zostawioną przez Stephena, że jest zawsze do mojej dyspozycji – tylko czy mogłam obudzić Fox-Cottonów koło drugiej w nocy? Jeszcze rozważałam to w myślach, kiedy wróciła kelnerka i popatrzyła na mnie bardzo znacząco, tak że poczułam, że muszę coś zrobić.

Wstałam, zostawiając rachunek na stole.

– Czekam na kogoś, kto się spóźnia... muszę zatelefonować – powiedziałam. – Proszę zatrzymać to miejsce dla mnie.

Heloizie bardzo nie spodobało się budzenie, ale nie miałam odwagi zostawić jej pod stołem; na szczęście była zbyt śpiąca, żeby zacząć

szczekać. Wyjaśniłam przy kasie, że idę zatelefonować; zauważyłam, że kasjerka patrzyła, czy weszłam do budki telefonicznej. W środku było okropnie gorąco, zwłaszcza że Heloiza padła przy moich stopach, grzejąc mnie jak skrzyżowanie futra z piecem. Otworzyłam książkę telefoniczną, żeby znaleźć numer Fox-Cottonów.

I wtedy przypomniałam sobie, że jak się dzwoni z publicznego telefonu, potrzebne są monety.

„Będiesz się z tego kiedyś śmiała – mówiłam do siebie – będziesz się śmiała jak nie wiem co”. A potem oparłam się o ścianę budki telefonicznej i zaczęłam płakać, ale zaraz przestałam, przypomniawszy sobie, że chusteczka do nosa też jest w torebce Rose. Patrzyłam na otwór, do którego wkłada się monety, i myślałam, że chętnie bym obrabowała ten automat, gdybym wiedziała jak. „Och, proszę Cię, Boże, zrób coś!” – westchnęłam z głębi serca.

Potem osoba, która nie wydawała się mną, podniosła szybko rękę i nacisnęła przycisk B. Kiedy wyspały się monety, mój wewnętrzny głos powiedział: „Wiedziałam, że wylecą”.

A później usłyszałam w głowie tamte słowa pastora o modlitwie, wierze i automatach.

Czy wiara może działać wstecz? Czy fakt, że miałam zamiar pomodlić się, mógł sprawić, że ktoś zapomniał wybrać swoje pensy? I jeżeli to naprawdę była kwestia modlitwy, to czy nie mógł ten przycisk B oszczędzić mi kłopotania Stephena, dając mi całego funta? Pomodliłam się znowu, potem nacisnęłam guzik, zastanawiając się, jak sobie poradzę z lawiną dwustu czterdziestu jednopensówek, ale niepotrzebnie się martwiłam. Zadzwoiłam więc do Fox-Cottonów.

Telefon odebrała Leda, i to szybciej, niż się spodziewałam. Była wściekła. Powiedziała, że jest mi nadzwyczaj przykro, że ją niepokoję, ale nie mam wyjścia. Potem poprosiłam do telefonu Stephena.

– Wykluczone – odparła. – Nie możesz z nim teraz rozmawiać.

– Ale ja muszę – powiedziałam. – I wiem, że nie będzie się gniewał, jak go obudzisz. Na pewno by chciał, żebyś tak zrobiła, gdyby wiedział, że mam kłopoty.

– Możesz sobie mieć te kłopoty do jutra rana. Nie pozwolę ci teraz zawracać Stephenowi głowy. To obrzydliwe, jak... – Przestała mówić i przez jedną koszmarną sekundę myślałam, że odłożyła słuchawkę. Potem usłyszałam głosy, chociaż nie mogłam rozróżnić słów, aż nagle wrzasnęła: – Nie waż się tego zrobić!

Wydała z siebie ostry krótki pisk – i już w następnej chwili w słuchawce odezwał się Stephen.

– Co się stało? Co jest? – zawołał.

Wyjaśniłam mu sprawę jak najkrócej – pomijając kłótnię z Rose, rzecz jasna. Powiedziałam, że chcę wracać do domu późnym pociągiem.

– Ale przecież nie ma już żadnego pociągu.

– Jest – rzuciłam szybko – jest jeden, o którym nie wiedziałeś. Wyjaśnię ci to potem. Najważniejsze teraz, że jestem tu uziemiona i jak zaraz nie przyjdiesz, to mnie zaaresztują.

– Wychodzę w tej chwili. – Miał bardzo zdenerwowany głos. – Nic się nie bój. Wracaj do stolika i zamów coś jeszcze, to przestaną cię podejrzewać. I nie rozmawiaj z żadnymi mężczyznami... z kobietami też nie, a zwłaszcza z pielęgniarkami.

– Dobrze, tylko się pośpiesz.

Potem zaczęłam żałować, że wspomniałam o tym aresztowaniu, bo wiedziałam, że on w to uwierzy – podczas gdy ja sama tak naprawdę w to nie wierzyłam. Ale znalezienie się tak na łasce losu w londyńskiej restauracji może wywołać uczucie paniki, szczególnie w środku nocy, a chciałam mieć pewność, że on przyjdzie. Kiedy odwiesiłam słuchawkę, byłam mokra jak mysz. Musiałam sturlać Heloizę z moich stóp i po prostu zawlec ją z powrotem do stolika. Miała oczy jak szparki. Szła zupełnie jak lunatyczka.

Powiedziałam kelnerce, że mój przyjaciel wkrótce nadejdzie, i zamówiłam lody czekoladowe z syropem i wodą sodową. Potem usiadłam wygodnie oparta, napawając się uczuciem ulgi – była tak

wielka, że zapomniałam o swoich kłopotach i z ciekawością rozejrzałam się po sali. Przy sąsiednim stoliku siedzieli jacyś ludzie związani z nową sztuką teatralną (jeden z nich był autorem), którzy czekali, aż ukażą się poranne gazety z recenzjami. Zabawne, jak prawie wszyscy wydawali się sympatyczni i interesujący – teraz, gdy już opuściło mnie uczucie paniki; przedtem było to po prostu morze hałaśliwych twarzy. Właśnie rozkoszowałam się wspaniałymi lodami, kiedy weszła jakaś pielęgniarka i siadła przy stoliku tuż obok. Prawie się zakrztusiłam – bo wiedziałam, co biedny Stephen chciał mi dać do zrozumienia. Panna Marcy opowiadała o tym, jak wszędzie działają fałszywe pielęgniarki, które podają narkotyki dziewczętom i wysyłają je do Argentyny, żeby tam były, jak to nazwała: „No, córami przyjemności, moja droga”. Ale, jak sądzę, Argentyna ma wystarczająco dużo własnych takich cór.

Stephen przyszedł dopiero po trzeciej – wyjaśnił, że musiał iść piechotą prawie milę, zanim złapał taksówkę. Był dziwnie spięty, co przypisałam temu, że tak bardzo się o mnie bał. Zmusiłam go, żeby sobie zamówił koktajl cytrynowy.

– Czy wyrwałeś Ledzie słuchawkę telefoniczną? – zapytałam. – Tak to brzmiało. Co za szczęście dla mnie, że usłyszałeś, jak rozmawia! Czy ich telefon jest na podeście schodów, czy jak?

– Jeden telefon jest w studiu... byliśmy tam – odrzekł.

– Chcesz powiedzieć, że jeszcze cię fotografowała? Wyjaśnił, że byli w tym drugim studiu.

– W tym, gdzie są te wielkie fotografie. Po prostu siedzieliśmy i rozmawialiśmy.

– Co, do drugiej nad ranem? – Zauważyłam, że unika mojego spojrzenia, więc szybko poprosiłam: – Opowiedz mi o rozmowach z tymi ludźmi z filmu.

Zaczął o tym mówić, ale do mnie nie docierało ani jedno słowo – byłam zbyt zajęta wyobrażaniem sobie jego z Ledą w studiu. Miałam pewność, że ona go uwodziła. Widziałam ich siedzących na tapczanie, z zapalonym jednym tylko przyćmionym światłem i wielkim nagim Murzynem patrzącym z góry. Ta myśl była

przerazająca i fascynująca zarazem.

Wróciłam na ziemię, do rzeczywistości, gdy Stephen właśnie mówił:

– Zabiorę cię teraz do domu i spakuję swoje ubrania, chociaż Leda twierdzi, że będę musiał kupić jakieś lepsze. I spotkam się z panem Stebbinsem. Powiedział, że nie będzie mi przeszkadzał w karierze.

„Kariera” – śmiesznie zabrzmiało to słowo w odniesieniu do Stephena.

– A co powie Ivy? – zapytałam.

– Ach, Ivy... – Wydawało się, że przypomina ją sobie jak z odległej przeszłości. – Dobra dziewczyna z tej Ivy.

Ktoś przyniósł poranne gazety ludziom, którzy na nie czekali.

Wszystkie recenzje były chyba bardzo złe. Biedny mały autor powtarzał w kółko: „Naturalnie, nie chodzi mi o to ze względu na siebie”. A jego wszyscy towarzysze byli strasznie oburzeni na krytyków i mówili, że recenzje nic nie znaczą, nigdy nic nie znaczą i nigdy nie będą znaczyć.

– Pewnie niedługo ty też będziesz miał recenzje – powiedziałam do Stephena.

– No, może nie od razu recenzje, ale moje nazwisko pojawi się w prasie. Pod zdjęciem, które Leda ma zamiar umieścić w gazetach, będzie informacja mówiąca o mnie jako o młodym, bardzo obiecującym aktorze. Po tym filmie, w którym prowadzę kozy, mam dostać kontrakt i będą mnie uczyć aktorstwa. Ale nie za dużo, bo jak twierdzą, nie chcą zepsuć tego, co mam.

W jego głosie usłyszałam nutę zarozumiałości. To było tak niepodobne do niego, że wpatrywałam się weń ze zdumieniem – musiał się domyślić, dlaczego tak patrzę, bo zarumienił się i dodał:

– No, to oni tak powiedzieli. A ty chciałaś, żebym to zrobił. Och, chodźmy już stąd.

Chętnie stamtąd wyszłam. Ulga, że zostałam uratowana, już trochę zbladła; atmosfera w restauracji wydała mi się teraz stęchła, męcząca i nienaturalna – myśl, że tego lokalu nigdy nie zamykają, sprawiła, że poczułam się wyczerpana. Większość ludzi wyglądała

na znużonych i zmartwionych – biedny mały autor wychodził kompletnie przybity. Pielęgniarka natomiast była nadal całkiem pogodna; właśnie zjadała drugą porcję sadzonych jajek.

Usiedliśmy na chwilę na Leicester Square, a Heloiza położyła się nam obojgu na kolanach; jej łapy wbijały się we mnie boleśnie. Wcale nie podobał mi się ten skwer – nie jest ani trochę taki jak inne londyńskie skwery – więc zaproponowałam: „Chodźmy popatrzeć na Tamizę teraz, kiedy zaczyna świtać”.

Zapytaliśmy policjanta o drogę. Powiedział: „Nie zamierza panienka robić użytku z rzeki i wskakiwać do niej, prawda?” – co mnie rozśmieszyło.

Był to całkiem spory spacer – nie podobał się Heloizie; ale ożywiła się po tym, jak dostała kroieta z mięsem, którego kupiliśmy dla niej w ulicznym barze. Dotarliśmy do Mostu Westminsterkiego, akurat jak niebo poróżowiło w brzasku dnia. Pomyślałam o sonecie Wordswortha, ale nie pasował – miasto wcale nie było „całe rozjaśnione i błyszczące w bezdymnym powietrzu”, bo wszystko spowijała mgła porannej zorzy. I nie czułam dalszych słów sonetu: „Drogi Boże! Nawet domy wydają się spać”, bo połowa mnie była jeszcze w restauracji Corner House, która nigdy nie zasypia.

Staliśmy oparci o balustradę mostu, patrząc na rzekę. Była piękna, chociaż nie przynosiła uczucia spokoju. Czułam na twarzy lekki, łagodny wietrzyk – to było tak, jakby ktoś mi współczuł. Łzy popłynęły mi z oczu.

– Co ci jest, Cassandro? – spytał Stephen. – Czy to... przeze mnie? Przez chwilę myślałam, że wraca do tego pocałunku w modrzewiowym lesie. Potem dostrzegłam w jego oczach wyraz zawstydzienia.

– Nie, oczywiście, że nie – odparłam.

– Jasne. Mogłem się spodziewać, że to, co zrobiłem dzisiejszej nocy, nic dla ciebie nie znaczy. W kim ty jesteś zakochana, Cassandro? Czy to Neil?

Powinnam mu była powiedzieć, że gada głupstwa, że w nikim nie jestem zakochana, ale byłam zbyt zmęczona i nieszczęśliwa, żeby

udawać, więc tylko szepnęłam:

– Nie, to nie Neil.

– To znaczy, że Simon. To niedobrze, bo Rose go nigdy nie wypuści z rąk.

– Ale Stephen, ona go nie kocha. Przyznała się do tego. – Zaczęłam mu opowiadać o naszej okropnej kłótni w jej sypialni, opisując, jak wyszłam z mieszkania.

– Ty i te twoje późne pociągi – wtrącił. – Dobrze wiedziałem, że nie ma żadnego.

Opowiedziałam mu wszystko. Kiedy wyznałam, że zdaję sobie sprawę z tego, jak źle się zachowałam wobec Rose, on rzucił:

– O to się nie martw. Rose jest niedobra.

– Nie tak naprawdę niedobra – zaprzeczyłam i zaczęłam usprawiedliwiać ją, mówiąc, że chciała również pomóc rodzinie, nie tylko sobie.

– Ona jest naprawdę niedobra – przerwał mi. – Wiele kobiet jest takich.

– Czasem jest się niedobrym bezwiednie – zauważyłam. A potem zapytałam go, czy kiedykolwiek zdoła mi wybaczyć, że pozwoliłam mu się pocałować, choć wiedziałam, że jestem zakochana w kimś innym. – Och, Stephen, to nie było w porządku! I pozwoliłam ci myśleć, że mogłabym cię pokochać.

– Myślałem tak tylko przez dzień albo dwa... szybko zrozumiałem, że robię z siebie głupca. Ale nie mogłem tego pojąć... to znaczy dlaczego mi pozwoliłaś. Teraz rozumiem. Takie rzeczy się zdarzają, kiedy człowiek kocha nie tę osobę. I jeszcze gorsze. Rzeczy, których nigdy nie można sobie wybaczyć.

Patrzył prosto przed siebie i wyglądał na przybitego.

– Czy jesteś taki nieszczęśliwy, bo kochałeś się z Ledą Fox-Cotton? – zapytałam. – To była jej wina, prawda? Nie musisz sobie robić żadnych wyrzutów.

– Będę się obwiniał do końca życia – powiedział i nagle odwrócił się do mnie. – To ciebie kocham i zawsze będę cię kochał. Och, Cassandro, czy jesteś pewna, że nigdy nic do mnie nie poczujesz?

Przecież było ci przyjemnie, kiedy cię pocałowałem... przynajmniej tak mi się zdawało. Gdybyśmy mogli się pobrać...

Blask wschodzącego słońca rozświetlał jego twarz, wiatr rozwiewał jego gęste jasne włosy. Był zrozpaczony i wyglądał wspaniale, o wiele lepiej niż na którejkolwiek fotografii Ledy. Ten dawny nieobecny wyraz znikł z jego oczu – czułam, że na zawsze...

– Pracowałbym dla ciebie, Cassandro. Jeżeli się okaże, że moje aktorstwo jest dobre, moglibyśmy zamieszkać w Londynie, daleko od nich wszystkich. Czy nie mógłbym w jakiś sposób pomóc ci przetrwać... gdy Simon będzie już mężem Rose?

Kiedy wymówił jego imię, zobaczyłam twarz Simona. Zobaczyłam go tak, jak wyglądał w tym korytarzu koło sali balowej, zmęczony i bardzo blady. Zobaczyłam czarne włosy układające się w kosmyk na czole, brwi idące w górę i drobne zmarszczki wokół ust. Na początku gdy zgolił brodę, uznałam, że jest całkiem przystojny, ale tylko dlatego, że wydawał się o wiele młodszy i mniej dziwaczny. Teraz wiem, że nie jest przystojny – zwłaszcza w porównaniu ze Stephenem.

Kiedy jednak od obrazu Simona w mrokach mojej pamięci odwróciłam się do Stephena, stojącego twarzą do słońca, to było tak, jakby twarz Simona była żywa, a Stephena tylko wyobrażona w myślach – albo na fotografii, na obrazie – piękna, ale właściwie zupełnie nierzeczywista. Miałam serce tak pełne Simona, że nawet moje współczucie dla Stephena nie było całkiem prawdziwe. To było tylko coś, co czułam, że powinnam odczuwać, a co płynęło raczej z umysłu niż z serca. I wiedziałam, że powinnam tym bardziej mu współczuć, bo współczułam mu tak niewiele.

– Och, proszę, proszę cię, przestań! – zawołałam. – Tak bardzo cię lubię. I jestem ci głęboko wdzięczna. Ale nigdy nie mogłabym wyjść za ciebie za męża. Och, Stephen, mój drogi... tak mi strasznie przykro.

– W porządku – powiedział, patrząc przed siebie.

– Przynajmniej jesteśmy towarzyszami niedoli – zauważyłam. Potem Heloiza wstała i położyła łapy na balustradzie między nami,

a moje łzy kapały ciurkiem, zostawiając szare ślady na jej lśniącem białym łbie.

XV

Przebiegam przy biurku ojca w wartowni. Nawet królewskie biurko w pałacu Buckingham nie byłoby bardziej zadziwiające. Jest teraz wpół do dziesiątej wieczorem. (O tej porze w zeszłym tygodniu rozmawiałam z Simonem w tamtym korytarzu koło sali balowej – teraz wydaje się, że to było całe wieki temu). Mam zamiar tu pracować nad swoim pamiętnikiem aż do drugiej, kiedy obudzę Thomasa. Zeszłej nocy on objął tę wartę, a ja następną. I czułam się okropnie prawie przez cały czas. Dzisiaj mniej się denerwuję, ale i tak co jakiś czas ogarniają mnie złe przeczucia. Och, czy udało nam się doprowadzić do cudu, czy też zrobiliśmy coś tak potwornego, że nie mam odwagi nawet myśleć o tym?

Nie skończyłam ostatniego wpisu – na wspomnienie moich łez kapiących na łeb Heloizy zalała mnie tak ogromna fala rozczulenia nad sobą, że nie mogłam dalej pisać. Ale i tak już nie było więcej co pisać o tym wyjeździe do Londynu. Wróciliśmy pierwszym pociągiem. Spałam przez większość drogi i poszłam spać od razu, gdy tylko dotarliśmy do domu.

Był środek popołudnia, kiedy się obudziłam – i okazało się, że jestem sama w zamku; Stephen poszedł na farmę Four Stones, ojciec był w Scoatney, a Thomas spędzał weekend u swego przyjaciela Harry’ego. Stephen wrócił do domu koło dziewiątej i położył się, nie niepokojąc mnie; byłam na poddaszu i pisałam ten pamiętnik.

Słyszając, jak przechodzi przez dziedziniec, zastanawiałam się, czy powinnam zejść i porozmawiać z nim, ale czułam, że nie mam nic pocieszającego do powiedzenia.

Później pomyślałam, że zrobię mu przynajmniej kakao i pogawędzę z nim o tej pracy w filmie, ale zanim zeszłam do kuchni, światło w jego pokoju już zgasło.

Pojechał do Londynu w poniedziałek wcześniej rano, zapakowawszy swoje ubrania do małego marynarskiego kuferka z metalowymi okuciami, pożyczonego od starej pani Stebbins; kuferek należał do jej brata, który uciekł na morze, by zostać chłopcem okrętowym. Nie poszłam na stację, bo Stephen powiedział, że pan Stebbins go odwiezie, i spodziewałam się, że Ivy też z nimi będzie. Uważam, że Stephenowi należy dać wszelkie szanse, by znalazł pocieszenie – i wołałabym, żeby je znalazł raczej u Ivy niż u Ledy, bo Ivy jest naprawdę miłą dziewczyną. Stephen nie był jeszcze całkiem gotowy, kiedy ona i pan Stebbins przyjechali, więc wyszłam porozmawiać z nimi. Ivy miała jasnoszary kostium, obcisłe białe rękawiczki i najbardziej jaskrawy niebieski kapelusz, jaki kiedykolwiek widziałam, który podkreślał czerwień jej policzków. Jest ładną dziewczyną. Chociaż ma ogromne stopy.

Stephen tak długo się nie zjawiał, że poszłam zobaczyć, co robi. Przez otwarte drzwi jego sypialni ujrzałam, że po prostu stoi i rozgląda się wkoło. Okno było tak zarośnięte, że pokój wydawał się podobny do zielonej jaskini.

– Może będziesz już sławny, kiedy znów zobaczysz ten pokój – odezwałam się. – Chociaż nie zwlekaj zbyt długo, żeby przyjechać tu i pobyć trochę z nami, dobrze?

– Nie wrócę tutaj – rzekł cicho – nawet jeżeli mi się nie uda jako aktorowi. Nie, nie wrócę tu.

Powiedziałam, że na pewno przyjedzie, ale on potrząsnął głową. Potem ostatni raz rozejrzał się po pokoju. Zdjęcia moje i jego matki znikły. Pościel była zdjęta z łóżka, a jedyny koc porządnie złożony.

– Zamiotłem pokój, żebyś nie miała dodatkowej roboty –

powiedział. – Możesz zamknąć to miejsce i zapomnieć o nim. Oddałem książki panu Mortmainowi, zanim pojechał do Scoatney. Będzie mi brakowało książek.

– Przecież możesz je sobie teraz sam kupować – zauważyłam. Odparł, że nie pomyślał o tym.

– Jeszcze nie dociera to do mnie od strony pieniędzy.

– Pamiętaj, żeby oszczędzać, na wszelki wypadek – ostrzegłam go. Pokiwał głową i rzucił smętnie, że pewnie niedługo znowu będzie karmił świnie. Wtedy usłyszeliśmy klakson pana Stebbinsa.

– Odprowadzę cię – powiedziałam – ale prywatnie pożegnamy się tutaj. – Podałam mu rękę, dodając: – Proszę, pocałuj mnie, jeśli chcesz. Zgadzą się, jeżeli ty chcesz.

Przez sekundę myślałam, że to zrobi; pokręcił jednak głową i tylko uściśnął moją dłoń. Chciałam pomóc mu nieść marynarski kuferek, ale zarzucił go sobie na ramię. Wyszliśmy do samochodu. Była tam Heloiza, zainteresowana kołami, i kiedy Stephen przytoczył kuferek do bagażnika, pochylił się i pocałował ją w łeb. Ani razu się nie obejrzał, gdy odjeżdżali naszą drogą.

Zmywając po śniadaniu, uprzytomniłam sobie, że zupełnie nie wiem, gdzie Stephen się zatrzyma. Czy wróci do Fox-Cottonów? Rose chyba powinna wiedzieć. (Napisałam do niej tamtego ranka, wyjaśniając, że nie miałam racji, i poprosiłam, żeby mi wybaczyła. Muszę przyznać, że trochę trwało, zanim mi odpisała, ale dziś po południu dostałam od niej telegram, że napisze do mnie, jak będzie mogła, i że prosi, bym spróbowała ją zrozumieć. Nie wspomniała nic o wybaczeniu mi, ale podpisała się „Twoja zawsze kochająca Rose”, więc rozumiem, że mi wybaczyła).

Pracowałam nad swoim pamiętnikiem prawie przez cały poniedziałek, kończąc w strumieniach łez, i nie zdążyłam doprowadzić się do porządku przed powrotem Thomasa. Powiedział: „Ryczałaś znowu, prawda? Pewnie nasz zamek jest przygnębiający po pobycie w Londynie” – co mi bardzo ułatwiło sprawę. Potwierdziłam, że o to chodzi i że smutno było patrzeć, jak Stephen wyjeżdża, i zastanawiać się, co z nim będzie.

– Nie martwiłbym się o Stephena – odrzekł Thomas. – Na pewno stanie się gwiazdą. Wszystkie dziewczęta we wsi kochały się w nim i zwykle płątały się na drodze do Godsend, żeby go spotkać. Kiedyś się dowiesz, co straciłaś.

Zaczęłam przygotowywać kolację; Thomas przyniósł łupacza.

– Ojciec dostanie kolację w Scoatney, więc nie musimy czekać – powiedziałam.

– Służba musi mieć już dość karmienia go – rzucił Thomas. – Co on tam robi dzień po dniu? Czy tylko czyta tak sobie, dla zabawy, czy coś kombinuje?

– Och, gdybyśmy tylko mogli to wiedzieć – westchnęłam.

– Harry twierdzi, że powinien poddać się psychoanalizie. Spojrzałam na niego zdumiona.

– Czy Harry wie coś o psychoanalizie?

– Jego ojciec czasem o tym mówi, wiesz, on jest lekarzem.

– I wierzy w to?

– Nie, zawsze okropnie z tego szydzi. Ale Harry’emu całkiem się to podoba.

Musiałam skoncentrować się na gotowaniu ryby, lecz przy jedzeniu wróciłam do sprawy psychoanalizy i opowiedziałam Thomasowi o swojej rozmowie z Simonem na ten temat, gdy pierwszy raz siedzieliśmy na kopcu; nie mogłam jednak przypomnieć sobie wszystkiego.

– Żałuję, że nie wypytałam Simona dokładniej – powiedziałam. – Myślisz, że ojciec Harry’ego ma jakieś przydatne książki?

Thomas obiecał, że się dowie, chociaż – jak dodał – teraz, gdy Rose wychodzi za mąż za Simona, to już nie jest takie ważne, czy ojciec pisze, czy nie.

– Och, Thomas, to jest ważne! – zawołałam. – To jest ogromnie ważne dla ojca. I dla nas też, bo jeżeli te wszystkie ekscentryczne rzeczy, które robi od miesięcy, nie prowadzą do niczego, to znaczy, że on traci zmysły. I szalony ojciec to nie jest dobry pomysł, bez względu na nasze czułe uczucia do niego.

– Masz jakieś czułe uczucia dla niego? Nie wiem, czy ja mam...

chodzi o to, że go nie lubi...

Wtedy właśnie wszedł ojciec. W odpowiedzi na moje powitanie rzucił tylko: „Cześć” – i ruszył na górę do swojej sypialni. W połowie drogi zatrzymał się i popatrzył na nas; potem szybko znów zszedł do kuchni.

– Możecie mi to dać? – zapytał, chwytając szkielet łupacza w dwa palce.

Myślałam, że to sarkazm – ponieważ nie zostawiliśmy dla niego ryby. Wyjaśniłam, że nie wiedzieliśmy, że wróci, i zaproponowałam, że zaraz przygotuję mu jajka.

Powiedział: „Och, jadłem kolację” – i trzymając szkielet ryby ociekający mlekiem, wyszedł tylnymi drzwiami i skierował się do wartowni. Kot Ab ruszył za nim z nadzieją. Kiedy wrócił, był tak bardzo rozczarowany, że Thomas i ja zaczęliśmy się pokładać ze śmiechu – aż nas wszystko rozbolało.

– Biedny kot! – wykrztusiłam, dając mu resztki ze swojego talerza.
– Przestań się śmiać, Thomas. Będziemy się wstydzić naszej bezduszności, jeżeli ojciec rzeczywiście traci zmysły.

– Nic mu nie jest, udaje, jak to on – powiedział Thomas. A potem w jego oczach pojawiło się przerażenie i dodał: – Postaraj się trzymać noże z daleka od niego. Jutro porozmawiam z ojcem Harry’ego.

Ale ojciec Harry’ego nic nam nie pomógł.

– Oświadczył, że nie jest ani psychoanalitykiem, ani psychiatrą, ani niczym psycho, dzięki Bogu – zrelacjonował mi Thomas, kiedy wrócił wieczorem do domu. – I nie wie, dlaczego chcemy, żeby ojciec znowu pisał, bo przeglądał kiedyś *Boje Jakuba* i nie zrozumiał ani słowa. Harry był bardzo zażenowany.

– To znaczy, że Harry rozumie tę książkę?

– Tak, oczywiście. Pierwszy raz słyszę, że trudno ją zrozumieć. No ale to, co dla jednego pokolenia jest bełkotem, dla następnego staje się kaszką z mlekiem, czymś tak prostym jak dziecienna rymowanka.

– Nawet ten rozdział z drabiną?

– Ach, to! – Thomas uśmiechnął się wyrozumiale. – To tylko

zabawy ojca. I kto twierdzi, że zawsze trzeba wszystko rozumieć? Może ci się coś podobać, choć tego nie rozumiesz... czasem nawet podoba się bardziej. Powinienem był wiedzieć, że ojciec Harry'ego nam nie pomoże; to taki typ, co mówi o sobie, że lubi niestworzone historie.

Z całą pewnością nie doceniałam Thomasa – parę tygodni temu myślałabym, że Thomas sam lubi niestworzone historie. A teraz dowiaduję się, że przeczytał naprawdę sporo trudnej nowoczesnej poezji (jakiś nauczyciel ze szkoły mu pożyczył) i przyjął ją spokojnie. Żałuję, że nie dał mi tego do przeczytania – chociaż wiem bardzo dobrze, że mnie się nie mogą podobać rzeczy, których nie rozumiem. Ze zdziwieniem odkrywam, jak wyszukany intelektualnie Thomas ma gust – o wiele bardziej niż ja. I to absolutnie niezwykle, jak potrafi docenić różne formy sztuki – rzeczowo i bez emocji. Choć właściwie podchodzi w ten sposób do większości spraw – był taki spokojny i pewny siebie przez cały ostatni tydzień, że często czułam, jakby to on był starszy ode mnie. Potrafi jednak zaśmiewać się i być najzwyklejszym szkolnym wyrostkiem. Doprawdy, ludzie są zagadkowi!

Po rozmowie o ojcu Harry'ego Thomas wziął się do odrabiania lekcji, a ja powędrowałam wąską drogą koło zamku. Ogromne słońce zachodziło na czerwono, niebo było pełne zwiastujących pogodę chmur o dziwnych kształtach i wiał gorący południowy wiatr – zawsze mi się wydaje, że to ekscytujący rodzaj wiatru; nie przychodzi do nas często. Ale byłam zbyt przygnębiona, by zwracać uwagę na ten piękny wieczór. Przez cały dzień wiązałam nadzieje z psychoanalizą: spodziewałam się, że Thomas przyniesie jakieś książki, do których będziemy mogli poważnie się zabrać. I nie tylko dobro ojca miałam na myśli. Tego ranka nagle przyszło mi do głowy, że gdyby zaczął znowu pisać, Rose może pomyślałaby, że w domu będzie dosyć pieniędzy, by życie stało się znośne, i zerwałaby swoje zaręczyny. Nie byłam pewna, czy udałoby mi się wtedy zdobyć Simona, ale wiedziałam i zawsze będę wiedzieć, że nie powinien ożenić się z dziewczyną, która czuje do niego to co

Rose.

Poszłam do końca naszej drogi i skręciłam w stronę Godsend, próbując cały czas znaleźć jakiś sposób, by pomóc i ojcu, i sobie. Na wzniesieniu obejrzałam się i zobaczyłam jego lampę, świecącą w wartowni. Pomyślałam o tym, jak często widziałam ją z daleka, z pól, podczas swoich letnich wieczornych spacerów i jak to zawsze przywoływało obraz ojca – wyniosłego, zamkniętego w sobie, niedostępnego. Powiedziałam do siebie: „Przecież powinno się chyba wiedzieć więcej o własnym ojcu, niż my wiemy?”. I wracając do domu, zastanawiałam się, czy to była tylko nasza wina, czy może również jego. Czy ja sama naprawdę próbowałam się z nim zaprzyjaźnić? Byłam pewna, że dawniej tak, ale czy ostatnio? Nie. Usprawiedliwiłam się, myśląc: „Och, to beznadziejne zaprzyjaźnić się z kimś, kto nigdy o sobie nic nie mówi”. A potem przypomniała mi się jedna z niewielu rzeczy, które wiem o psychoanalizie: że trzeba sprawić, by ludzie mówili o sobie. Czy wystarczająco usilnie starałam się – czy nie nazbyt łatwo czułam się zawsze odtrącona? „Czy ty się go boisz?” – zapytałam siebie. W głębi serca wiedziałam, że tak. Ale dlaczego? Czy on w ogóle kiedykolwiek w życiu uderzył któreś z nas? Nigdy. Jego jedyną bronią było milczenie, a czasem trochę sarkazmu. No to skąd bierze się ta nieprzekraczalna bariera wokół niego? Co ją tworzy? Skąd się wzięła?

Odczuwałam to tak, jakby ktoś poza mną zadawał te pytania, atakując mnie nimi. Próbowałam znaleźć odpowiedzi. Zastanawiałam się, czy nauki matki, że nie wolno nam go nigdy martwić ani mu przeszkadzać, ciągle jeszcze działają; a Topaz, chroniąc go, utwierdzała je. Czy został we mnie jakiś ukryty lęk od tego dnia, kiedy widziałam go z nożem do ciasta? Czy może sądziłam, nigdy się do tego nie przyznając, że on naprawdę chciał zaatakować nim matkę? „O Boże – pomyślałam – teraz siebie poddaję psychoanalizie! Gdybym tylko mogła to zrobić z ojcem!”.

Doszłam do ostatniego zakrętu drogi i zobaczyłam ojca w oświetlonym lampą oknie wartowni. Co on robi? To, że jest przy

biurku, niekoniecznie oznacza, że pisze – zawsze tam siedzi, kiedy czyta encyklopedię, bo jest zbyt ciężka, by ją trzymać. Czy teraz czyta? Pochylał głowę, ale nie mogłam dojrzeć nad czym. I w tej chwili podniósł rękę, żeby odgarnąć włosy do tyłu. W dłoni miał ołówek! W tym momencie głos, który atakował mnie, kiedy wracałam do domu, powiedział: „Przypuśćmy, że on rzeczywiście cały czas pracuje. Przypuśćmy, że pisze jakąś wspaniałą książkę, która przyniesie pieniądze – a ty dowiesz się o tym, jak już będzie za późno, żeby pomóc i tobie, i Rose?”.

Ruszyłam z powrotem w stronę zamku. Nie pamiętam, żebym ułożyła jakiś plan, nie podjęłam nawet żadnej konkretnej decyzji – to było tak, jakby mój umysł nie potrafił wyprzedzić moich kroków. Weszłam w cień sklepionego przejścia wartowni, potem w ciemność schodów w wieży. Po omacku dotarłam do drzwi ojca. Zapukałam.

– Odejdź – usłyszałam natychmiast.

Klucz był na zewnątrz, a więc ojciec się nie zamknął. Otworzyłam drzwi. Gdy weszłam, odwrócił się gwałtownie od biurka, wściekły. Ale właściwie zanim zdążyłam dostrzec wyraz jego twarzy, kurtyna opadła i furia została ukryta.

– Coś ważnego? – zapytał doskonale opanowanym głosem.

– Tak. Bardzo – odrzekłam i zamknęłam drzwi za sobą. Wstał i przyjrzał mi się uważnie.

– Co się stało, Cassandro? Jesteś okropnie blada. Źle się czujesz? Lepiej usiądź.

Ale nie usiadłam. Stałam tam, patrząc w zdumieniu na pokój. Coś się z nim stało. Przede mną, między północnym a południowym oknem, zamiast rzędów półek z książkami rozciągał się bezmiar jaskrawokolorowego papieru.

– Boże, co ty tu robiłeś? – zdołałam wykrztusić.

Zobaczył, na co patrzę.

– Och, to tylko amerykańskie komiksy, inaczej mówiąc, dowcipy rysunkowe albo historyjki obrazkowe. O co chodzi, Cassandro?

Podeszłam bliżej i zobaczyłam, że to, co wzięłam za tapetę, to było całe mnóstwo gazetowych stron przypiętych pinezkami do brzegu

półek na książki. W słabym świetle lampy nie widziałam dokładnie obrazków, ale wyglądało to jak małe kolorowe ilustracje, połączone razem.

– Skąd się to wzięło? – zapytałam.

– Przyniosłem ze Scoatney wczoraj. Są w niedzielnych wydaniach amerykańskich gazet; rozumiem, że Neil nie może żyć bez nich. Mój Boże, nie zacznij ich teraz czytać.

– Czy one mają coś wspólnego z twoją pracą?

Otworzył usta, by odpowiedzieć, a potem w jego oczach pojawił się dziwny nerwowy wyraz.

– Po co przysłaś? – spytał ostro. – Nie wtrącaj się do mojej pracy.

– Właśnie w tej sprawie przysłałam – odrzekłam. – Ojczy, musisz mi powiedzieć, co robisz.

Przez sekundę patrzył na mnie w milczeniu. Potem lodowato zapytał:

– I to jest jedyny powód tych odwiedzin... żeby mnie przesłuchać?

– Nie, nie – zaczęłam, ale potem zebrałam się w sobie. – Tak, taki jest powód, właśnie taki. I nie odejdę, dopóki mi nie odpowiesz.

– Jazda stąd – rzucił ojciec.

Wziął mnie za ramię i poprowadził w stronę drzwi – byłam tak zdziwiona, że prawie się nie opierałam. Ale w ostatniej sekundzie wyrwałam mu się i pognałam do biurka. Miałam szaloną nadzieję, że może zobaczę to, nad czym pracuje. Wrócił za mną natychmiast, lecz udało mi się dojrzeć wiele stron zawierających jakieś długie spisy, zrobione jego charakterem pisma. Złapał mnie za rękę i odwrócił do siebie. Nigdy nie widziałam w jego oczach takiej furii. Szarpnął mnie i odciągnął od biurka z taką siłą, że poleciałam przez cały pokój i uderzyłam o drzwi. Zabolało tak strasznie, że zawylałam i wybuchłam płaczem.

– O Boże, czy to łokieć? – zapytał ojciec. – To potwornie boli. Podszedł i dotknął mojej ręki, próbując wyczuć, czy nie mam jakiegoś złamania; pomimo bólu zauważyłam, jak w jednej sekundzie znikł jego gniew. Dalej krztusiłam się łzami – naprawdę potwornie bolało, aż do przegubu i dłoni. Po jakiejś minucie ojciec

objął mnie ramieniem i zaczął chodzić ze mną tam i z powrotem po pokoju.

– Już mija – oznajmiłam, kiedy tylko poczułam, że jest trochę lepiej. – Pozwól mi trochę posiedzieć.

Usiedliśmy razem na kanapie i ojciec pożyczył mi chusteczkę, żebym otarła twarz. Po chwili mogłam mu powiedzieć:

– Już prawie dobrze, zobacz! – Poruszyłam ręką i ramieniem. – To nie było nic poważnego.

– Mogło być – rzekł dziwnym, napiętym głosem – Nie straciłem tak panowania nad sobą od... – Urwał w pół słowa i wrócił do biurka.

– Od kiedy rzuciłeś się na mamę z nożem do ciasta? – Samą mnie zdziwiło, że słyszę te słowa wychodzące z moich ust. Dodałam szybko: – Oczywiście wiem, że naprawdę wcale się na nią nie rzuciłeś, to było nieporozumienie, ale... no, byłeś bardzo zły na nią. Och, ojczy, myślisz, że to o to chodzi... że przestałeś być wybuchowy? Czy tłumienie gniewu w jakiś sposób stłumiło twój talent?

Prychnął sarkastycznie i nawet nie zadał sobie trudu, by na mnie spojrzeć.

– Kto ci nakładł tych błyskotliwych pomysłów do głowy? Topaz?

– Nie, sama na to wpadłam, w tej chwili.

– Bardzo wnikliwe. Ale tak się akurat składa, że to bzdura.

– Nie większa od tej, że przestałeś pisać, bo poszedłeś do więzienia – powiedziałam, znów zadziwiając samą siebie. – Niektórzy ludzie naprawdę tak myślą, wiesz o tym.

– Idioci! – parsknął ojciec. – Niby jak parę miesięcy w więzieniu mogło mi wyrządzić jakąkolwiek krzywdę? Często myślę, że chciałbym tam wrócić; przynajmniej strażnicy nigdy mi nie siedzieli na karku, by ustalić przyczyny mojego niepisania. Och, żeby tak mieć ciszę i spokój tamtej małej celi!

Jego ton był bardzo sarkastyczny, ale wcale nie taki gniewny, jak się spodziewałam, więc znowu zebrałam się na odwagę.

– A czy ty sam wiesz, co cię zablokowało? – spytałam spokojnym

tonem zwykłej pogawędki. – Simon uważa...

Natychmiast się odwrócił, przerywając mi.

– Simon? Czy rozmawialiście o mnie?

– No, interesowaliśmy się tobą.

– I jakie teorie przedstawił Simon?

Miałam zamiar powiedzieć, że Simon proponował psychoanalizę, ale ojciec znowu wyglądał na tak rozgniewanego, że stchórzyłam i zaczęłam łamać sobie głowę, jak z tego taktownie wybrnąć. W końcu udało mi się poskładać:

– No, kiedyś myślał, że mogło cię zablokować to, że byłeś tak bardzo oryginalnym pisarzem, że nie mogłeś rozwijać się jak zwykli pisarze... że musiałbyś znaleźć całkiem nową drogę... – Zaczynałam się płatać, więc skończyłam szybko: – Powiedział coś takiego zaraz tego pierwszego wieczoru, kiedy tu przyszli. Nie pamiętasz?

– Owszem, pamiętam doskonale. – Ojciec odprężył się. – Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. Ale potem doszedłem do wniosku, że był to tylko jakiś nadzwyczaj taktowny nonsens ze strony Simona, niech go Bóg błogosławi; wtedy jednak dałem się temu zwieść. Wcale nie jestem pewny, czy to właśnie od tego czasu nie zacząłem... Przerwał. – Dobrze, dobrze, biegnij się kąsać, moje dziecko.

– Ach, ojcie – wykrzyknęłam – czy chcesz powiedzieć, że znalazłeś nowy sposób i pomysł na pracę? Czy te wszystkie wariackie rzeczy: krzyżówki, te dziwne czasopisma i co tam jeszcze... czy to wszystko coś znaczy?

– Na Boga, za kogo ty mnie masz? Oczywiście, że coś znaczy.

– Nawet ten talerz w chiński wzór... nawet jak próbujesz czytać płyty gramofonowe? To fascynujące! Chociaż zupełnie nie mogę sobie wyobrazić...

– Nie musisz – zdecydowanie przerwał mi ojciec. – Musisz tylko pilnować swojego nosa.

– Ale czy nie mogłabym ci pomóc? Wiesz, że jestem dostatecznie bystra. Nigdy nie czujesz, że miałbyś ochotę z kimś porozmawiać?

– Nie czuję – odparł. – Rozmawiać, rozmawiać... Jesteś taka sama

jak Topaz. Przecież żadna z was i tak by nie miała najmniejszego pojęcia, o co mi chodzi! I gdybym z nią rozmawiał, opowiedziałyby to każdemu malarzowi w Londynie, a ty byś powiedziała Simonowi, który od razu napisałby o tym zgrabny artykuł. A jak długo nowość może pozostać nowością, kiedy wszyscy o niej rozmawiają? A poza tym w moim przypadku tajemnica jest istotą procesu twórczego. Teraz już idź!

– Pójdę, jak mi odpowiesz na jeszcze jedno pytanie – oznajmiłam.

– Ile to potrwa, zanim książka będzie ukończona?

– Ukończona? Nawet nie jest jeszcze zaczęta! Ciągłe zbieram materiały, chociaż to, oczywiście, może trwać w nieskończoność. – Chodził po pokoju, mówiąc raczej do siebie niż do mnie. – Uważam, że mógłbym zacząć teraz, gdybym stworzył strukturę, która mnie naprawdę usatysfakcjonuje. Potrzebuję szkieletu...

– To dlatego wzięłeś ości łupacza? – zapytałam bezwiednie. Znowu się na mnie wściekł.

– Nie bądź niemądra! – Potem chyba poznał z wyrazu mojej twarzy, że nie miałam zamiaru mu dokuczać, bo parsknął śmiechem i mówił dalej: – Nie, można powiedzieć, że łupacz okazał się tematem zastępczym po drodze... z wieloma sprawami tak jest. Czy ja wiem, może struktura drabiny byłaby interesująca? Muszę zbadać ryby świata i wieloryby, i przodków wielorybów... – Znowu mówił do siebie, chodząc po pokoju. Siedziałam cichuteńko. – Pierwotny, przedpotopowy... arka? Nie, byle nie znowu Biblia. Prehistoryczny, od najmniejszej kości mamuta? Czy to jest jakiś ślad?

Pospieszył do biurka i zrobił kilka notatek; potem zaczął mrużyć coś do siebie. Mogłam rozumieć tylko urwane frazy i pojedyncze słowa, takie jak: „Projekt, konkluzja, rekonstrukcja... symbol... wzór i problem... zawsze odkrywcze poszukiwanie... wieczna zagadka...”. Mówił ciszej i ciszej, aż wreszcie zamilkł.

Siedziałam tam, wpatrując się w tył jego głowy na tle mocnych kamiennych słupków gotyckiego okna. Światło lampy na biurku sprawiało, że zmrok wydawał się wręcz granatowy. Tykanie małego podróznego budzika naszej matki rozlegało się niewiarygodnie

głośno w panującej ciszy. Wyobraziłam sobie, że może właśnie teraz pomysł, którego szukał, przychodzi mu do głowy. Modliłam się, żeby tak było – dla jego własnego szczęścia; wtedy już nie miałam nadziei, że zdąży na czas, by pomóc Rose i mnie.

Po paru minutach poczułam, że wolałabym już wyjść, ale obawiałam się, że otwieranie drzwi narobi hałasu. I jeżeli jego pomysł się pojawił, mogłabym wszystko zrujnować, uznałam. Potem przyszło mi na myśl, że gdyby już przywykł do tego, że jestem w tym pokoju, to mogłabym się okazać naprawdę pomocna. Przypomniałam sobie, że lubił, by matka siedziała z nim, kiedy pisał – pod warunkiem, że była całkiem cicho; nie pozwalał jej nawet szyc. Pamiętam, że mi opowiadała, jak było jej trudno na początku, jak sobie mówiła, że wytrzyma jeszcze pięć minut, potem jeszcze pięć, aż te minuty rosły w godziny. Powiedziałam do siebie: „Za dziesięć minut jej podróżny budzik wybije dziewiątą. Posiedzę spokojnie do tego czasu”. Ale po paru minutach zaczęło mnie wszystko straszliwie łaskotać. Utkwiłam wzrok w oświetlonej lampą tarczy zegara, prawie modląc się do niego, żeby szedł prędej – jego tykanie wydawało się coraz głośniejsze i głośniejsze, aż huczało mi w głowie. Aż w końcu poczułam, że nie zniosę tego ani sekundy dłużej, i wtedy silny podmuch wiatru otworzył jedno z południowych okien; amerykańskie gazety przypięte pinezkami do półek z książkami podfrunęły z łopotem, a ojciec odwrócił się gwałtownie.

Miał dziwnie zapadnięte oczy; zamrugał – widziałam, że wraca z bardzo daleka. Sądziłam, że będzie się gniewał, że jeszcze tu jestem, ale on tylko powiedział: „Cześć” – łagodnie, z lekkim oszołomieniem.

– Czy to był dobry pomysł? – zaryzykowałam.

Przez sekundę jakby nie wiedział, o czym mówię. A potem odparł:

– Nie, nie, to jeszcze jeden błędny ognik. Trzymałaś za mnie kciuki, ty moje biedne, cichutkie jak myszka dziecko? Twoja matka miała zwyczaj tak tu siedzieć.

– Wiem. Myślałam o niej przed chwilą.

– Naprawdę? Ja też. To pewnie telepatia.

Gazety znowu załopotaly i poszedł zamknąć okno; potem stał tam, patrząc w dół na dziedziniec. Bałam się, że znowu o mnie zapomni, więc powiedziałam szybko:

– Mama ci bardzo pomagała, prawda?

– Tak, w niezwykle, delikatny sposób. – Usiadł na ławeczce w wykuszowym oknie, najwidoczniej gotowy na małą pogawędkę. – Bóg świadkiem, że nigdy nie miała żadnych pomysłów, kochana kobieta, ale posiadała taki nadzwyczajny dar mówienia przydatnych rzeczy przez przypadek, tak jak wymieniła imię Jakub, kiedy poszukiwałem głównego pomysłu na *Boje Jakuba*. Tak naprawdę mówiła wtedy o mleczarzu. I to, że była ze mną w pokoju, dawało mi jakby wiarę w siebie... zwykle atmosfera robiła się aż gęsta od jej modlitw. No, dobranoc, moje dziecko. – Wstał i podszedł do mnie. – Czy łokieć przestał już cię boleć?

– Prawie – odrzekłam.

– To dobrze. Następnym razem, jak przyjdiesz, powitam cię lepiej: z pełnymi honorami. Ale musisz poczekać, aż będziesz zaproszona. Jestem ciekawy, kto cię namówił na ten atak dziś wieczorem. Czy to przypadkiem nie pani Cotton próbowała mnie mobilizować przez posłańca, co?

– Boże, nie! – Naturalnie nie miałam zamiaru zdradzać mu prawdziwej przyczyny mojej wizyty; to by go niepotrzebnie zmartwiło i nie byłoby w porządku wobec Rose. – Niepokoiłam się o ciebie.

– Czyżby chodziło ci o stan mojego umysłu? – Zaśmiał się, a potem spojrział na mnie z troską. – Biedne maleństwo, naprawdę sądziłaś, że tracę rozum? No tak, chyba wydawałem się dość ekscentryczny, a wiele osób uzna, że to za słabe słowo... kiedy ta książka wyjdzie. Jeżeli w ogóle wyjdzie. Dlaczego nie mogę ostro zabrać się do pisania? Umyka mi pomysł, od którego mógłbym zacząć. Wiesz, straciłem pewność siebie... przysięgam, że to nie jest lenistwo. – W jego głosie dał się słyszeć pokorny, prawie błagalny ton. – To nigdy nie było lenistwo. Mam nadzieję, że mi wierzysz,

moja droga. To... to po prostu nie jest możliwe.

– Oczywiście, że wierzę – przytaknęłam. – I wierzę też, że już bardzo niedługo zaczniesz.

– Też mam taką nadzieję. – Zaśmiał się w dziwny, nerwowy sposób. – Bo jeżeli nie zacznę zaraz pisać, to cały mój zapal może zgasnąć, a wtedy naprawdę rozważę długie, spokojne zanurzenie się w szaleństwie. Czasami przepaść wygląda bardzo zachęcająco. No, już dobrze, dobrze, nie bierz tego zbyt poważnie.

– Oczywiście, że nie – powiedziałam natychmiast. – Posłuchaj, ojczu. Dlaczego nie mogłabym tu siedzieć, tak jak siedziała mama? Będę się modlić tak jak ona; naprawdę to potrafię. A ty usiądź przy biurku i zacznij już dziś wieczorem.

– Nie, nie, jeszcze nie mogę... – Był wręcz przerażony. – Wiem, że chcesz dobrze, moja droga, ale mnie to denerwuje. No, biegnij do łóżka. Ja już też się położę.

Uniósł amerykańskie gazety i dał pod nie nura, sięgając do półki ze starymi powieściami kryminalnymi i biorąc jakąś na chybił trafił. Potem zgasił lampę. Kiedy wychodziliśmy, mały zegar mamy zaczął wybijać dziewiątą. Gdy ojciec już zamknął drzwi na klucz i po omacku schodziliśmy po ciemnych schodach, jeszcze było słychać delikatne, dźwięczne uderzenia.

– Muszę pamiętać, żeby nosić przy sobie zapaliki – odezwał się ojciec. – Teraz nie ma Stephena, który zawsze zostawiał tu przed drzwiami zapaloną lampę.

Obiecałam, że dopilnuję tego w przyszłości. Nie było też latarni w sklepionym przejściu wartowni – jeszcze jedno, czym zajmował się Stephen; stale natykam się na różne rzeczy, które robił, choć nawet o tym nie wiedziałam.

– Pozwól, że ci zrobię kakao, ojczu – zaproponowałam, kiedy weszliśmy do kuchni, ale odparł, że niczego nie potrzebuje.

– Może poza herbatnikiem – dodał. – I znajdź mi świecę na co najmniej trzy godziny czytania. – Dałam mu cały talerz herbatników i nową świecę. – Obecna zasobność naszego życia nie przestaje mnie zadziwiać – powiedział, idąc do sypialni.

Thomas pilnie odrabiał zadania domowe przy kuchennym stole. Kiedy usłyszałam, że ojciec wszedł do łazienki, którą nazywamy Zamkiem Windsor, szepnęłam do Thomasa:

– Wyjdźmy, muszę z tobą porozmawiać. Weź latarnię, żebyśmy mogli pójść trochę dalej, bo nie chcę, żeby ojciec coś usłyszał przez jakieś otwarte okno.

Poszliśmy aż do przełazu i usiedliśmy tam, trzymając latarnię między sobą. Opowiedziałam Thomasowi wszystko, przemilczając jednak prawdziwą przyczynę tego, że stawiałam czoło ojcu; wyjaśniłam mu, że zrobiłam to powodowana nagłym impulsem.

– No i co o tym myślisz? – spytałam na koniec.

– To absolutnie okropne – odrzekł Thomas. – Obawiam się, że on rzeczywiście traci rozum.

Byłam zdumiona.

– Wobec tego w mojej opowieści ojciec wypadł gorzej, niż było naprawdę... przez to, że opowiadałam wszystko zbyt szybko. Tylko na samym końcu jego zachowanie było dziwne. No i może trochę wtedy, gdy mówił do siebie o wielorybach i mamutach.

– Ale te jego zmiany nastroju... w jednej chwili wściekał się na ciebie, a zaraz potem był bardzo miły. I jak dodasz do tego te wszystkie bzdurne rzeczy, którymi interesował się ostatnio... O Boże, kiedy myślę, jak zabrał szkielet tej ryby... – Thomas zaczął się śmiać.

– Przestań, Thomas! – zawołałam. – Chyba tak śmiali się ludzie w osiemnastowiecznych zakładach dla obłąkanych.

– No, pewnie sam bym się z nich śmiał. Wiesz, czasem, jak coś jest zbyt straszne, to może być śmieszne. Ale ciekawe – nagle spowaźniał – czy nie zachowujemy się jak ojciec Harry’ego, kiedy kpił z *Bojów Jakuba*? Może nasz ojciec naprawdę coś szykuje. Chociaż nie podobają mi się te spisy, które układa... to jak notowanie wszystkiego na lekcji: człowiek myśli, że czegoś dokonał, a w istocie nic nie zrobił.

– Chcesz powiedzieć, że on może nigdy nie zacząć pisać samej książki? – Przez chwilę nic nie mówiłam, wpatrując się w latarnię,

ale wciąż widziałam przed sobą tylko twarz ojca, pełnego skruchy i zdenerwowanego. – Och, Thomas, jeżeli nie zaczniesz pisać, to na pewno oszaleje. Powiedział, że nie mówi poważnie tego o zanurzeniu się w szaleństwie, ale ja wiem i czuję, że to było serio. To może być taki przypadek z pogranicza... szaleństwo i geniusz są bardzo blisko siebie, prawda? Gdybyśmy tylko mogli popchnąć go we właściwym kierunku!

– No, nie działałaś wiele dzisiejszego wieczoru – zauważył Thomas. – Posłałaś go tylko do łóżka z powieścią kryminalną. W każdym razie ja już wracam. Czy ojciec jest zdrowy na umyśle, czy wariuje, i tak muszę jeszcze zrobić algebrę.

– Możesz określić go jako x , czyli niewiadomą – powiedziałam. – Chyba tu jeszcze trochę zostanę. Dasz sobie radę bez latarni?

Odrzekł, że tak – przy rozgwieżdżonym niebie było zresztą dość jasno.

– Chociaż tobie nic nie pomoże, jak tu będziesz siedzieć i rozmyślać – dodał.

Ale ja nie zamierzałam rozmyślać. Postanowiłam przeczytać opis swojej rozmowy z Simonem o psychoanalizie – w nadziei, że znajdę tam coś, co mi pomoże – a nie chciałam, żeby Thomas dowiedział się, gdzie chowam swój pamiętnik. Oczekałam trochę, aż zyskałam pewność, że już wrócił do zamku, po czym przeszłam przez łąkę i ruszyłam w górę kopca. Towarzyszył mi mały obłoczek białych ciem, latających dookoła latarni.

Dziwnie było wejść z ciepłej, wietrznej nocy do chłodnego spokoju wieży Belmonte. Kiedy szłam w dół po wewnętrznej drabinie, myślałam o tym, jak byłam tu z Simonem w noc świętojańską – wspominam to za każdym razem, kiedy wchodzę do wieży. Potem wzięłam się w garść. „Może to twoja ostatnia szansa, by uchronić ojca przed pokojem bez klamek” – powiedziałam ostro do siebie. Wtedy też znów pojawił się błąd promyczek nadziei w mojej osobistej sprawie. Czułam, że gdybym pomogła ojcu, by chociaż zaczął pisać jakąś poważną książkę, to może udałoby się namówić Rose, żeby odłożyła swój ślub – a wtedy wszystko mogłoby się

wydarzyć.

Wgramoliłam się po sfatygowanych schodach i przyniosłam pudło na chleb – używam go od jakiegoś czasu, bo mrówki dostawały się do mojej szkolnej teczki. Rozłożyłam swoje trzy pamiętniki na stelażu żelaznego łóżka i siedziałam tam, przeglądając je; mogłam czytać swobodnie w świetle latarni. Dość szybko znalazłam wpis z pierwszego maja, o psychoanalizie.

Najpierw była wypowiedź Simona: nie wierzył, że ojciec przestał pisać tylko dlatego, że był w więzieniu – prawdopodobnie przyczyna leżała o wiele głębiej w przeszłości, ale więzienie mogło ją wydobyć na powierzchnię. W każdym razie psychoanalityk na pewno zadałby ojcu pytania dotyczące czasu, który tam spędził – jak gdyby przenosząc go z powrotem do celi. Potem był fragment o tym, że być może kolejny okres fizycznego uwięzienia mógłby rozwiązać problem. Jednak Simon powiedział, że to jest niewykonalne, bo nie można tego zrobić bez zgody ojca – no, a gdyby się zgodził, to oczywiście nie czułby się uwięziony.

Wyglądało na to, że tą drogą do niczego się nie dojdzie. Przejrzałam jeszcze jedną stronę, na wypadek gdybym coś przeoczyła, i natknęłam się na opis twarzy Simona, jak leżał na trawie z zamkniętymi oczami. Poczułam przeszywające ukłucie, w którym szczęście i niedola były ze sobą splecione. Zamknęłam pamiętnik i siedziałam, patrząc w górę, w ciemny tunel wieży.

I potem...! Nagle cały plan pojawił się gotowy w mojej głowie, prawie do ostatniego szczegółu. Ale przecież z pewnością wcześniej widziałam to jedynie jako żart. Pamiętam, że myślałam, jak by to rozśmieszyło Thomasa. To był jeszcze ciągle tylko żart, kiedy schowałam swoje pamiętniki i ruszyłam z powrotem – musiałam wspinać się po drabinie bardzo powoli, bo w jednej ręce trzymałam latarnię. W połowie tej wspinaczki zdarzyło się coś niezwykłego. Zegar na kościele w Godsend zaczął wybijać dziesiątą – i nagle, równocześnie z głębokim dźwiękiem dzwonu, usłyszałam w pamięci dźwięczne uderzenia małego podróznego zegarka matki. A potem ujrzałam jej twarz – nie tę z fotografii, którą zawsze widzę, kiedy

o niej myślę, ale jej twarz taką, jaka była naprawdę. Zobaczyłam jej jasnobrązowe włosy i usianą piegami skórę – aż do tej chwili nie pamiętałam, że miała piegi. I wtedy rozległ się jej głos – po tylu latach, kiedy nie mogłam go sobie przypomnieć. Był spokojny, urywany, cichy; odezwał się rzeczowo: „Czy wiesz, moja droga, że ten twój plan może nawet się powieść?”. I usłyszałam swój własny głos: „Ale mam, chyba jednak nie powinniśmy? To takie niesamowite”. „Wasz ojciec jest niesamowitym człowiekiem” – powiedział głos mamy.

W tej sekundzie wiatr zatrzasnął drzwi do wieży tuż nade mną i wystraszył mnie tak, że o mało nie spadłam z drabiny. Uspokoiliam się i znowu nasłuchiwałam głosu matki, zadając jej pytania. Wszystko, co usłyszałam, to było ostatnie uderzenie kościelnego zegara. Ale decyzja została podjęta.

Pospieszyłam z powrotem do zamku i znowu wyciągnęłam Thomasa na zewnątrz. Ku memu zdziwieniu, wcale nie uważał, że mój plan jest tak nieprawdopodobny, jak mnie samej się wydawało – od razu zapalił się do niego i rzeczowo przystąpił do jego realizacji.

– Dasz mi trochę pieniędzy na życie i jutro kupię wszystko, czego potrzebujemy – powiedział. – I potem, następnego dnia, to zrobimy. Musimy działać szybko, bo Topaz może w przyszłym tygodniu wrócić do domu.

Nie wspomniałam o swoim dziwnym doznaniu, że to mama mi tak poradziła; zrobiłabym to, gdyby Thomas sprzeciwiał się mojemu planowi, ale on go zaakceptował. Czy naprawdę wierzę, że miałam kontakt z matką, czy może coś głęboko we mnie wybrało ten sposób na udzielenie mi rady? Nie wiem. Wiem tylko, że to się zdarzyło.

Ojciec udał się do Scoatney następnego ranka, więc nie było niebezpieczeństwa, że się zorientuje, co zamierzam. Do powrotu Thomasa miałam wszystko przygotowane, z wyjątkiem paru rzeczy, które były zbyt ciężkie, żebym je sama przenosiła. Thomas pomógł mi w tym, po czym ustaliliśmy ostatnie szczegóły.

– I musimy to zrobić natychmiast po śniadaniu – zaznaczył – bo on

może znowu wyjechać do Scoatney.

Kiedy się tylko obudziłam w czwartek rano, pomyślałam: „Nie mogę tego zrobić. To niebezpieczne, coś straszego może się zdarzyć”. Potem przypomniało mi się, jak ojciec powiedział, że jeżeli nie zaczniesz wkrótce pracować, to jego zapal może zgasnąć. Ubierając się, cały czas myślałam: „Och, gdybym tylko mogła być pewna, że to jest akurat ta właściwa rzecz, którą należy zrobić!”. Próbowałam uzyskać jeszcze jakąś radę od matki, ale bez powodzenia. Próbowałam modlić się do Boga – też nic. Modliłam się do „kogokolwiek, kto mnie słyszy”... do porannego słońca... do Natury za pośrednictwem ładu zboża... W końcu zdecydowałam się rzucić monetą. I wtedy właśnie przybiegł Thomas, mówiąc, że ojciec nie czeka na śniadanie i może w każdej chwili wyruszyć do Scoatney. Natychmiast zrozumiałam, że bardzo chcę przeprowadzić nasz plan i że za nic nie zrezygnowałabym z niego.

Przez otwarte okno usłyszeliśmy pisk pompowanych opon rowerowych.

– Już za późno. Dziś przepadło – powiedział Thomas.

– Jeszcze nie – zapewniłam go. – Wyjdź z domu tak, żeby cię nie zobaczył. Idź wzdłuż murów i na dół schodami w wartowni. Potem pędź na górę kopca i ukryj się za wieżą. Bądź gotowy do pomocy. Leć, szybko!

Wybiegł pędem, a ja pospieszyłam na dziedziniec, udając, że bardzo martwię się tym, że ojciec wychodzi bez śniadania. „Och, dadzą mi coś w Scoatney” – rzucił bez troski. Zaczęłam mówić o jego rowerze, proponując, że go wyczyszczę, i stwierdziłam, że potrzebuje nowych opon.

– Pozwól, że napompuję mocniej tę tylną oponę – powiedziałam i zajmowałam się tym do chwili, kiedy uznałam, że Thomas miał już dość czasu. Oddając ojcu rower, spytałam mimochodem: – Masz jeszcze chwilę, żeby zajrzeć do wieży Belmonte? Pewnie zechcesz poinformować kogoś w Scoatney, jak to tam teraz wygląda.

– O Boże, czy ta ostatnia ulewa narobiła poważnych szkód? – zapytał ojciec.

– Zobaczysz spore zmiany – powiedziałam, jak najbardziej zgodnie z prawdą.

Przeszliśmy przez most i zaczęliśmy wspinać się na kopiec.

– Nieczęsto można w Anglii zobaczyć takie błękitne niebo jak dziś – zauważył. – Ciekaw jestem, czy pełnomocnik Simona może sam decydować o remoncie wieży.

Gawędził dalej w nadzwyczaj miły i zupełnie normalny sposób. Wszystkie moje wątpliwości wróciły, ale czułam, że kości zostały rzucone.

– Naprawdę powinienem tu spędzać więcej czasu – powiedział, idąc za mną schodami na zewnątrz wieży. Otworzyłam ciężkie dębowe drzwi i zrobiłam mu miejsce, żeby mógł wejść. Zszedł po drabinie i stanął, mrugając oczami. – Niewiele widzę po tym słońcu! – zawołał do mnie, rozglądając się dookoła. – O, a co to, biwakowałaś tu na dole?

– Ktoś z nas będzie biwakować – odrzekłam i dodałam szybko: – Wejdź parę kroków po schodach, dobrze?

– Tam jest jeszcze większa ruina, prawda? – Przeszedł pod łukiem przejścia i ruszył w górę po schodach.

Thomas już wyszedł cicho z za wieży. Skinęłam na niego i znalazł się przy mnie w mgnieniu oka. Razem wyciągnęliśmy drabinę na górę i wyrzuciliśmy ją na zewnątrz.

– Zejdź tu i pokaż mi, co miałaś na myśli, Cassandro! – zawołał ojciec.

– Nic nie mów, dopóki nie wróci – szepnął Thomas.

Ojciec znowu zawołał, a ja znów nie odpowiedziałam. Po paru sekundach ojciec wrócił pod sklepionym przejściem.

– Czy nie słyszałaś, jak wołałem? – zapytał, patrząc na nas w górę. – Cześć, Thomas, dlaczego nie poszedłeś do szkoły?

Patrzyliśmy na niego. Teraz, kiedy nie było drabiny, wydawał się o wiele dalej od nas; krąg kamiennych ścian otaczał go jak w lochu. Widzieliśmy go pod takim kątem, że miał tylko twarz, ramiona i stopy.

– Co się dzieje? Dlaczego nie odpowiadacie? – krzyknął z dołu.

Łamałam sobie głowę, jak najdelikatniej wyjaśnić mu, co się dzieje.

W końcu udało mi się powiedzieć:

– Proszę, rozejrzyj się wkoło, ojcze. To jest niespodzianka. Położyliśmy materac z łoża z baldachimem na żelazny stelaż, daliśmy koce i poduszki. Nowiutki papier do pisania był zachęcająco rozłożony na wiejskim stole, wraz z kamieniami, które miały służyć jako przyciski do papieru. Stał tam też fotel, który przynieśliśmy z kuchni.

– Wszystko do mycia i woda pitna jest w garderobie! – zawołałam. Mój emaliowany dzbanek i miednica znowu się przydały. – Sądzymy, że będziesz miał dość światła do pracy teraz, kiedy wycięliśmy bluszcz z najniższych strzelnic. Oczywiście damy ci latarnię na noc. Bardzo smaczne posiłki będziemy ci spuszczać w koszyku... kupiliśmy termos... – Nie mogłam mówić dalej, wyraz jego twarzy to było dla mnie zbyt wiele.

Właśnie dotarło do niego, że nie ma drabiny.

– Dobry Boże w niebiesiech! – zaczął, a potem usiadł na łóżku i ryknął śmiechem.

Śmiał się i śmiał, aż zaczęłam się bać, że się udusi.

– Och, Thomas – szepnęłam. – Czy popchnęliśmy go w złą stronę? Ojciec otarł oczy.

– Moje drogie, drogie dzieci! – odezwał się w końcu. – Cassandro, ty masz... siedemnaście, osiemnaście lat? Czy osiem? Natychmiast przynieś tę drabinę.

– Powiedz coś, Thomas – szepnęłam.

Odchrząknął i powiedział bardzo głośno i powoli:

– Uważamy, że powinieneś zacząć pracować, ojcze, i to o wiele bardziej dla własnego dobra niż ze względu na nas. I uważamy, że zamknięcie cię tutaj pomoże ci się skoncentrować... i będzie też korzystne z innych powodów. Zapewniam cię, że przemyśleliśmy sprawę niezwykle starannie i zgodnie z teorią psychoanalizy.

– Przynieście tę drabinę! – ryknął ojciec.

Widziałam, że dostojna przemowa Thomasa tylko go rozwścieczyła.

– Nie ma sensu się spierać – odparł spokojnie Thomas. – Teraz pozwolimy ci się tutaj zadomowić. W porze lunchu powiesz nam, czy potrzebne są ci do pracy jakieś książki albo gazety.

– Żebyście nie ważyli się odejść! – Głos ojca załamał się tak żałośnie, że powiedziałam szybko:

– Proszę, nie męcz się krzykiem i wzywaniem pomocy, bo poza nami nie ma nikogo na wiele mil dookoła. Och, ojczu, to jest eksperyment, daj mu szansę.

– Ty mała wariatko... – zaczął z wściekłością ojciec.

– Ostrzegam cię, że z tego będzie tylko awantura – szepnęła do mnie Thomas. – Daj, zamknę te drzwi.

Ze strony ojca to już była awantura. Zrobiłam krok do tyłu i Thomas zamknął drzwi.

– Lunch o pierwszej, ojczu! – zawołałam pokrzepiająco.

Zaryglowaliśmy drzwi. Nie było najmniejszej szansy, żeby ojciec mógł się do nich wspiąć, ale czuliśmy, że dzięki temu psychologiczny efekt będzie lepszy. Kiedy schodziliśmy z kopca, wrzaski ojca brzmiały zadziwiająco słabo; gdy dotarliśmy do mostu, nic już nie było słychać.

– Czy myślisz, że on zemdleł? – odezwał się. Thomas zawrócił kawałek.

– Nie, jeszcze go słyszę. To ta wieża tłumi dźwięki. Patrzyłam na nią z namysłem.

– Och, Thomas, czy myśmy nie popełnili jakiegoś szaleństwa?

– Na pewno nie – odrzekł pogodnie Thomas. – Wiesz, nawet sama zmiana atmosfery może już mu pomóc.

– Ale żeby go tak zamknąć... To kiedyś były lochy! Uwięzić własnego ojca!

– No przecież na tym polega ten pomysł, prawda? Nie chodzi o to, że więzę aż tak wielkie nadzieje z tą całą psychologiczną stroną sprawy jak ty. Moim zdaniem to, że ojciec wie, że nie zostanie wypuszczony, dopóki trochę nie popracuje, jest dużo ważniejsze.

– Bzdura – powiedziałam. – Jeżeli nie zadziała to psychologicznie, nie wyniknie z wnętrza ojca, to wcale nie zadziała. Nie można

spętać twórczego umysłu.

– Dlaczego nie? – rzucił Thomas. – Jego twórczy umysł nie był spętany przez całe lata, a on nawet palcem nie kiwnął. Zobaczymy więc, co da spętanie.

Po powrocie do domu zjedliśmy śniadanie. Wydawało mi się okropne to, że ojciec zaczyna swoją przygodę o pustym żołądku, ale wiedziałam, że wkrótce mu to wynagrodzimy. Napisałam do szkoły, że Thomas będzie nieobecny przez parę dni, i poszłam na górę ścielić łóżka. Thomas uprzejmie zgodził się pościierać kurze.

– A to co?! – zawołał nagle. – Popatrz no tutaj! Klucz do wartowni leżał na toalecie ojca.

– Chodźmy tam i popatrzmy na te spisy, o których mi mówiłaś – powiedział.

Kiedy wchodziliśmy na schody wartowni, spytałam:

– Och, Thomas, czy to jest szpiegowanie?

– Tak, oczywiście – potwierdził, otwierając drzwi.

Nagle poczułam się przerażona i winna – miałam wrażenie, jakby część umysłu ojca ciągle jeszcze pozostawała w tym pokoju i była wściekła na nas za to wtargnięcie. Słońce wpadało przez południowe okno, „historyjki obrazkowe” nadal wisiały przypięte do półek, mały zegar podróży mamy tykał na biurku. Ale spisy zniknęły – i biurko było zamknięte na klucz.

Byłam zadowolona, że nie udało nam się niczego znaleźć. Gorzej się czułam z powodu myszkowania w jego pokoju niż z powodu zamknięcia go w wieży.

Thomas został tam, by poczytać komiksy, a ja poszłam przygotować lunch dla ojca.

O pierwszej zanieśliśmy mu go w koszyku – zupę w termosie, sałatkę z kurczaka, truskawki ze śmietaną i cygaro (za dziewięć pensów).

– Zastanawiałam się, czy dobrze robimy, rozpieszczając go tym wspaniałym jedzeniem – powiedział Thomas, gdy wchodziliśmy na kopiec. – Chleb i woda lepiej by pasowały do więziennej atmosfery.

Kiedy doszliśmy do wieży, wszędzie panowała cisza.

Otworzyliśmy drzwi i zajrzeliśmy na dół. Ojciec leżał na łóżku, patrząc nieruchomo w górę.

– Cześć – rzucił bardzo przyjaznym tonem.

Byłam zdumiona, a jeszcze bardziej się zdziwiłam, kiedy uśmiechnął się do nas. Oczywiście odwzajemniłam uśmiech i wyraziłam nadzieję, że dopisuje mu apetyt.

Thomas zaczął opuszczać koszyk na sznurze do bielizny.

– To tylko lekki lunch, żebyś nie poczuł się senny – wyjaśniłam. – Wieczorem dostaniesz większy posiłek, z winem. – Zauważyłam, że już napił się wody, co wskazywało na to, że powoli przystosowywał się do sytuacji.

Nadzwyczaj grzecznie podziękował Thomasowi za koszyk i rozłożył zawartość na stole; potem znów uśmiechnął się do nas.

– Wspaniale – powiedział swoim najłagodniejszym głosem. – Posłuchajcie no teraz, żartownisie. Spędziłem tu długi, spokojny ranek i miałem dość czasu na myślenie; było naprawdę przyjemnie tak sobie leżeć i patrzeć w niebo. Zupełnie szczerze wam powiem, że wzrusza mnie to, co zrobiliście, żeby mi pomóc. I wcale nie jestem pewny, czy wam się nie udało. Było to inspirujące; miałem jeden lub dwa wspaniałe pomysły. Udało się... rozumiecie? Ale teraz urok nowości już minął. Jeżeli będziecie trzymać mnie tu dłużej, możecie zniszczyć swoją dobrą robotę. Mam zamiar zjeść teraz ten świetny lunch, a potem wy przyniesiecie drabinę... dobrze? – Jego głos zadrżał przy słowie „dobrze?”. – I przysięgam, nie wyciągnę wobec was żadnych konsekwencji – zakończył.

Popatrzyłam na Thomasa, żeby sprawdzić, jak to przyjmuje. A on spytał tylko beznamiętnym głosem:

– Czy chcesz jakieś książki albo gazety, ojcze?

– Nie, nie chcę! – krzyknął ojciec i nagle znikła jego serdeczność.

– Wszystko, czego chcę, to stąd wyjść.

Thomas zatrzaskał drzwi.

– Kolacja o siódmej! – zawołałam, ale wątpię, czy ojciec mnie usłyszał, bo wrzeszczał jeszcze głośniejszym głosem niż na początku, kiedy go zamknęliśmy; miałam nadzieję, że to nie popsuje mu apetytu.

Spędziłam część popołudnia, czytając komiksy – najpierw myśli się, że są głupie, ale później wciągają człowieka. Potem przygotowałam jedzenie dla ojca – to miał być pełny, duży posiłek: melon, łosoś na zimno, brzoskwinie z puszki, ser i herbatniki, butelka białego wina (trzy szylingi), kawa i jeszcze jedno cygaro (dziewięć pensów). I mniej więcej kieliszek porto, które jeszcze zostało mi w buteleczce po lekarstwie (ze świętojańskich obrzędów).

Zanieśliśmy to wszystko na tacach, akurat kiedy zegar na wieży kościoła w Godsend wybił siódmą. To był cudowny, spokojny wieczór. Ledwie minęliśmy most, usłyszeliśmy, że ojciec okropnie wrzeszczy.

– Czy tak się zamęczałeś krzykiem przez całe popołudnie? – spytałam, kiedy Thomas otworzył drzwi.

– Prawie – powiedział ojciec schrypniętym głosem. – Ktoś na pewno będzie szedł polami, wcześniej czy później.

– Wątpię – odrzekł Thomas. – Całe siano już zebrane, a zboże pan Stebbins będzie zbierał dopiero za parę tygodni. Zresztą twój głos i tak nie dociera poza kopiec. Jeżeli spakujesz koszyk po lunchu, to go tu wyciągnę i pošlę ci na dół twoją kolację.

Spodziewałam się, że ojciec będzie szaleć, ale on bez słowa zaczął robić, co powiedział Thomas. Jego ruchy były bardzo niezdarne i nerwowe. Zdjął marynarkę i rozpiął kołnierzyk, co sprawiło, że wyglądał żałośnie – niemal jakby był gotów dać się poprowadzić na egzekucję.

– Musimy przynieść mu piżamę i szlafrok – szepnęłam do Thomasa.

Ojciec usłyszał to i gwałtownie podniósł głowę.

– Jeżeli mnie tu zostawicie na całą noc, to oszaleję... naprawdę, Cassandro. Ta świadomość uwięzienia... już zapomniałem, jakie to potworne. Czy nie wiecie, co robi z ludźmi takie zamknięcie w małym pomieszczeniu? Nie słyszeliście o klaustrofobii?

– Jest mnóstwo przestrzeni nad tobą – powiedziałam najbardziej stanowczo, jak tylko potrafiłam. – I nigdy nie cierpisz na

klaustrofobię, kiedy zamykasz się w wartowni.

– Ale to co innego, jeśli ktoś cię zamyka. – Głos mu się załamał. – Och, wy przekłete małe durnie, wypuście mnie! Wypuście!

Czułam się okropnie, ale Thomas wydawał się niewzruszony. Wyciągnął koszyk, który ojciec załadował, wyjął brudne talerze po lunchu i włożył kolację. Myślę, że wiedział, że zaczynam mięknąć, bo szepnął do mnie:

– Musimy to przeprowadzić. Zostaw to mnie. – Potem spuścił koszyk na dół i zawołał stanowczo: – Pozwolimy ci wyjść, jak tylko coś napiszesz... powiedzmy, pięćdziesiąt stron.

– Nigdy nie napisałem pięćdziesięciu stron szybciej niż w trzy miesiące, i to nawet wtedy, kiedy mogłem pisać – powiedział ojciec jeszcze bardziej załamującym się głosem, po czym rzucił się na fotel i ukrył twarz w dłoniach.

– Rozpakuj swoją kolację, dobrze? – zawołał Thomas. – Najpierw wyjmij dzbanek z kawą.

Ojciec popatrzył w górę i nagle jego twarz zrobiła się purpurowa. Potem dał nura w stronę koszyka z kolacją i w następnej sekundzie talerz przeleciał koło mojej głowy. Widelec świsnął przez drzwi, zanim zdołaliśmy je zamknąć, a potem usłyszeliśmy, jak naczynia się o nie rozbijają.

Usiadłam na schodach i rozplakałam się. Ojciec wychrypiał:

– O Boże, stało ci się coś, Cassandro?

– Nie, nic mi nie jest – odparłam. – Ale proszę, proszę, nie rzucaj talerzami, zjedz to, co ci przynieśliśmy. Och, nie mógłbyś chociaż spróbować pisać, ojcze? Pisz cokolwiek, choćby „Na kocyku siedział kot”¹⁹, jak chcesz. Cokolwiek, bylebyś pisał!

Zaczęłam płakać jeszcze bardziej rozpaczliwie. Thomas pomógł mi wstać i sprowadził mnie na dół.

– Nie powinniśmy byli tego robić – łkałam, kiedy schodziliśmy z kopca. – Wypuszczę go dziś wieczorem, nawet jeżeli miałyby nas zabić za to wszystko.

– Nie, nie wypuścisz... Pamiętaj o swojej przysiędze. – Przysięgliśmy sobie nie wycofywać się, chyba że oboje się na to

zgodzimy. – Ja się jeszcze nie poddam. Zobaczymy, jak będzie się czuł po kolacji.

Gdy tylko zaczęło zmierzchać, Thomas wziął piżamę i szlafrok i zapalił latarnię. Zbliżając się do wieży, nie słyszeliśmy żadnego dźwięku.

– Och, Thomas, a jeżeli on roztrzaskał sobie głowę o ścianę? – szepnęłam.

A potem doleciał do nas delikatny, uspokajający zapach dymu z cygara.

– Twój znakomity pomysł zadziałał! – zawołał ojciec ochryple, ale radośnie. – Zdarzył się cud! Zacząłem pisać!

– Och, to wspaniale! – wykrzyknęłam.

– To świetnie, ojciec – odezwał się Thomas bez cienia emocji. – Czy możemy zobaczyć, co napisałeś?

– Mowy nie ma, nie zrozumielibyście ani słowa. Ale zapewniam was, że zacząłem. Teraz mnie wypuście.

– To podstęp – szepnął Thomas.

– Ile stron napisałeś, ojciec? – spytałam.

– No, nie za dużo... przez ostatnią godzinę było tu bardzo złe światło...

– Teraz, z latarnią, będziesz miał jasno – powiedział Thomas, zaczynając spuszczać ją na dół.

Ojciec ją odebrał i odezwał się bardzo poważnym tonem:

– Thomas, daję ci moje słowo, że zacząłem pracować. Proszę, sam możesz zobaczyć. – Przysunął kartkę papieru do latarni, potem szybko ją cofnął. – Cassandro, ty sama piszesz, więc zrozumiesz, że pierwsza wersja tekstu może być... no, nie zawsze przekonująca. Niech to szlag trafi, przecież zacząłem dopiero po kolacji. Była wspaniała, nawiasem mówiąc; dziękuję bardzo. No to pospieszcie się teraz z tą drabiną, chcę wrócić do wartowni i pracować całą noc.

– Ale już jesteś w idealnym miejscu do tego, żeby pracować całą noc – powiedział Thomas. – Przenoszenie się do wartowni tylko by ci przeszkodziło. Proszę, tu jest twoja piżama i szlafrok. Przyjdę do ciebie wcześniej rano. Dobranoc, ojciec. – Thomas rzucił ojcu

ubranie, zamknął drzwi i ujął mnie mocno za łokieć. – Idziemy, Cassandro.

Poszłam bez dyskusji. Nie wierzyłam, żeby ojciec blefował; wierzyłam, że nasza kuracja naprawdę zaczęła działać, ale uważałam, że potrzeba czasu, żeby rzeczywiście dała rezultat. A że ojciec wydawał się taki rozsądny i opanowany, byłam całkiem skłonna zostawić go tam na noc.

– Ale musimy trzymać wartę – powiedziałam – w razie gdyby podпалиł swoją pościel czy coś takiego.

Podzieliliśmy noc na wachty. Ja spałam – nie za dobrze – do drugiej; potem przejęłam wartę od Thomasa. Szłam na kopiec co godzinę, ale wszystko, co usłyszałam, to lekkie chrapanie koło piątej.

Obudziłam Thomasa o siódmej rano i zamierzałam iść z nim do ojca, lecz Thomas wymknął się sam, kiedy byłam w łazience. Spotkałam go na moście, jak już wracał. Oznajmił, że wszystko w porządku i że ojciec był zadowolony z wiadra wspaniałej gorącej wody, którą mu zaniósł.

– Zaczynam wierzyć, że ojciec pracuje; na pewno pisał, kiedy otworzyłem drzwi. Jest spokojny i bardziej współdziała: miał wszystkie rzeczy z kolacji już spakowane w koszu. I mówi, że chciałby dostać teraz śniadanie.

Za każdym razem kiedy zanosiliśmy mu dziś posiłki, pisał jak szalony. Ciągle jeszcze prosi, żeby go wypuścić, ale nie traci na to zbyt wielu słów. I kiedy zanieśliśmy mu wieczorem latarnię, powiedział: „No, prędzej, prędzej, musiałem przerwać pracę, czekając na to”. Na pewno nie mógłby blefować tak długo. Ja bym go wypuściła już dziś wieczorem, Thomas jednak mówi, że najpierw musi nam pokazać trochę tego, co napisał.

Teraz jest prawie czwarta nad ranem. Nie obudziłam Thomasa o drugiej, bo chciałam skończyć ten opis i mieć to na bieżąco; biedny chłopaczyna śpi taki wykończony tu na kanapie. Nie uważał za konieczne, byśmy trzymali wartę dziś w nocy, ale ja się uparłam – poza obawą, żeby ojcu nic się nie stało, barometr spada. Czy

bylibyśmy nadal nieprzejednani, gdyby zaczęło lać?

Thomas jest bardziej niewzruszony ode mnie. Razem z latarnią posłał na dół parasol.

Wyglądałam przez południowe okno co godzinę – głównym powodem, dla którego zdecydowaliśmy się spędzić noc w wartowni, jest właśnie to, że możemy widzieć wieżę Belmonte przez jedno okno i pilnować drogi prowadzącej do zamku przez drugie. Chociaż kto miałby tutaj przyjechać w środku nocy? Nikt, absolutnie nikt. Niemniej jednak czuję się jak strażnik na warcie.

Ludzie musieli trzymać straż w tej wartowni sześćset lat temu... Właśnie znowu popatrzyłam na wieżę. Księżyc świeci teraz prosto na nią. Miałam dziwne wrażenie, że to coś więcej niż tylko nieożywione kamienie. Czy ona wie, że znowu gra swoją rolę w życiu, że jej lochy znowu otaczają śpiącego więźnia?

Jest już czwarta. Zegarek matki zaczyna jakby żyć własnym życiem – małe, przysadziste, pracowite stworzenie o parę cali od mojej ręki.

Thomas śpi głęboko. Przyglądanie się śpiącym ludziom sprawia, że człowiek czuje się jeszcze bardziej od nich oddalony.

Heloiza we śnie goni króliki – piszczy i powarkuje, łapy jej drgają.

Kot Ab zaszczycał nas swoją obecnością do północy; teraz poluje gdzieś przy świetle księżyca.

Pewnie będziemy musieli jutro wypuścić ojca... nawet jeżeli nadal nie pokaże nam swojej pracy. Jego zwrócona do góry twarz wyglądała tak dziwnie, kiedy wczoraj wieczorem odbierał od nas latarnię – prawie jak u świętego, jakby miał wizje.

A może to dlatego, że przydałoby mu się golenie?

Czy mam obudzić Thomasa teraz, kiedy już uzupełniłam pamiętnik? Wcale nie chce mi się spać. Zgaszę lampę i posiedzę przy świetle księżyca...

Ciągle jest tak jasno, że można by nawet pisać. Pamiętam, jak pisałam przy świetle księżyca tej nocy, kiedy zaczęłam prowadzić pamiętnik. Jak dużo się zdarzyło od tamtego czasu!

Pomyślę teraz o Simonie. Teraz? Jak gdybym nie myślała o nim

nieustannie! Nawet kiedy się tak martwiłam o ojca, jakiś głos w moim sercu wciąż mówił: „Przecież i tak naprawdę nie liczy się dla ciebie nic poza Simonem”. Och, gdyby Rose zerwała zaręczyny, na pewno kiedyś zwróciłby na mnie uwagę.

No i właśnie na drodze do Godsend pojawił się samochód! Dziwnie jest obserwować reflektory i zastanawiać się, kto to jedzie tak po nocy.

Wielkie nieba! Ten samochód skręcił na naszą drogę! Och, co ja mam zrobić?

Spokój, zachowaj spokój, on tylko się pomylił. Wycofa się albo w najgorszym razie zawróci, kiedy dojedzie do zamku. Ale ludzie, którzy już dojadą do zamku, zwykle zatrzymują się, żeby go obejrzyć – a jeśli ojciec usłyszy samochód, to jego głos też chyba do nich dotrze? To możliwe, w ciszy nocy. Och, zawracaj, zawracaj!

Wciąż się zbliża. Czuję się jak ktoś, kto pisze pamiętnik do ostatniej sekundy przed nadchodzącą katastrofą...

Ta katastrofa już się wydarzyła. Simon i Topaz wysiadają z auta.

19 Ang.: *The cat sat on the mat* – zdanie, od którego angielskie dzieci zaczynają naukę czytania i pisania, w rodzaju polskiego: „Ala ma kota” (przyp. red.).

XVI

W biegliśmy do kuchni, akurat gdy Topaz zapalała zapałkę, żeby zaświecić lampę. Usłyszałam głos Simona, zanim zobaczyłam jego twarz.

– Czy Rose jest tutaj?

– Rose? – W moim głosie musiała zabrzmieć konsternacja.

– O, mój Boże! – wykrzyknął Simon.

Lampa zapłonęła i pochwyciłam jego zrozpaczone spojrzenie.

– Ona znikła – oznajmiła Topaz. – Nie bój się... to nie jest wypadek ani nic takiego; zostawiła wiadomość dla Simona. Ale... – Topaz zerknęła na niego, po czym mówiła dalej: – To niczego nie wyjaśnia. Najwidoczniej wyjechała dziś rano. Simona nie było, bo odwoził matkę do jakichś jej przyjaciół. Rose nie miała ochoty jechać z nimi. Został tam na obiad i późno wrócił do domu. Mnie nie było cały dzień, bo pozowałam Macmorrisowi, a potem poszłam z nim do teatru. Wróciłam dopiero, kiedy Simon czytał wiadomość od Rose. Pomyśleliśmy, że mogła chcieć się z tobą zobaczyć, więc natychmiast przyjechaliśmy.

– W każdym razie jest bezpieczna – uspokoiłam Simona. – Dostałam od niej telegram, ale pisze tylko, że odezwie się, kiedy będzie mogła, i prosi, żebym spróbowała ją zrozumieć. – Właśnie do mnie dotarło, że ta prośba dotyczyła nie naszej kłótni, ale jej ucieczki.

– Gdzie był nadany ten telegram? – spytała Topaz.

– Nie zauważyłam. Zaraz go przyniosę.

Był w moim pokoju. Kiedy spieszyłam do frontowych schodów, usłyszałam, jak Topaz mówi: „Ciekawe, że Mortmain przesypia to wszystko!”. Obawiałam się, że pójdzie go obudzić, zanim wrócę, ale tego nie zrobiła.

Rozłożyłam telegram pod lampą.

– Zobacz, przecież to przyszło z tej małej miejscowości nad morzem, gdzie byliśmy na pikniku! – zawołałam do Simona.

– Po co, do licha, ona tam pojechała? – wtrącił Thomas. – I dlaczego, głupia oślica, nie mogła wyjaśnić tego w swojej wiadomości?

– Bardzo dobrze wyjaśniła – powiedział Simon. – Dziękuję ci, że próbujesz mnie nie zranić, Topaz, ale to raczej bezcelowe. – Wyjął z kieszeni kartkę i położył ją obok telegramu. – Równie dobrze możecie zobaczyć, co pisze.

To było nagryzmolone ołówkiem.

Drogi Simonie!

Chcę, żebyś wiedział, że na początku nie kłamałam. Naprawdę myślałam, że Cię Kocham. Teraz nie mogę zrobić nic innego, jak tylko błagać Cię o przebaczenie.

Rose

– No, to koniec – odezwał się Thomas, rzucając mi wymowne spojrzenie: „A nie mówiłem?”.

– Ale to nic ostatecznego – szybko powiedziała Topaz. – Wyjaśniałam Simonowi, że to po prostu nerwy panny młodej; za dzień lub dwa będzie się czuła całkiem inaczej. Najwidoczniej pojechała tam przemyśleć parę spraw.

Simon popatrzył na zegarek.

– Czy jesteś zbyt zmęczona, żeby zaraz wyruszyć? – zwrócił się do Topaz.

– Masz na myśli pościg za nią? Och, Simon, jesteś pewny, że to roztropne? Jeżeli ona chce przez chwilę pobyc sama...

– Nie będę jej niepokoił. Nawet się z nią nie spotkam, jeśli nie zechce. Ty możesz najpierw z nią porozmawiać. Ale muszę

dowiedzieć się trochę więcej, niż wiem teraz.

– Wobec tego oczywiście pojedę z tobą. Pozwól mi tylko zamienić słowo z Mortmainem.

Ruszyła w kierunku kuchennych schodów, ale ja byłam pierwsza.

– Nie ma po co iść na górę – powiedziałam.

– Co, znowu jest w Londynie?

– Nie... – Zerknęłam na Thomasa w nadziei, że mi pomoże. – Widzisz, Topaz...

– O co chodzi? Co przede mną ukrywasz? – Była tak przerażona, że zapomniała o swoim kontralcie.

– Nic mu nie jest – zapewniłam ją szybko – tylko nie ma go na górze. To bardzo dobra wiadomość, uwierz mi, Topaz, będziesz naprawdę zadowolona.

Potem Thomas przejął pałeczkę, oznajmiając spokojnie:

– Ojciec od dwóch dni jest w wieży Belmonte. Zamknęliśmy go, żeby nakłonić do pracy, i jeżeli można mu wierzyć, osiągnęliśmy cel.

Uważałam, że wyraził to z godną podziwu jasnością, ale Topaz gorączkowo zadała mnóstwo pytań, zanim coś do niej dotarło. A kiedy w końcu zrozumiała, jej gniew był straszliwy.

– Zabiliście go! – wrzasnęła.

– Żył i wydawał się pełen energii wczoraj wieczorem – powiedziałam. – Prawda, Thomas?

– Ta energia była raczej umiarkowana. Wyglądał na spokojnego i pracował. Jeżeli masz choć trochę rozsądku, Topaz, zostawisz go tam jeszcze na parę dni.

Była już przy kredensie, gdzie zazwyczaj wisi klucz do wieży.

– Gdzie klucz? Dajcie mi go natychmiast! Jeżeli nie dostanę tego klucza za dwie minuty, to wyrąbuję drzwi siekierą!

Bardzo by jej się to podobało! I zrobiłaby to z przyjemnością! Widziałam, że jej przerażenie już minęło; mówiła teraz dramatycznie grobowym głosem.

– Będziemy musieli go teraz wypuścić – powiedziałam do Thomasa. – I tak bym to jutro zrobiła.

– Ja nie – odparł Thomas. – To zrujnuje cały eksperyment. – Jednak poszedł po latarnię.

Księżyc schował się za chmury, ale gwiazdy świeciły jasno, kiedy wyszliśmy na dziedziniec.

– Zaczekajcie, wezmę latarkę z auta – rzucił Simon.

– Bardzo cię przepraszam – zwróciłam się do niego, gdy przechodziliśmy przez most Belmonte za Topaz i Thomasem. – Nie powinniśmy wciągać cię w kłopoty rodzinne, kiedy jesteś taki zmartwiony.

– Zmartwiony czy nie, i tak bym tego nie przepuścił – odrzekł. Kiedy wspinaliśmy się na kopic, z wieży nie dochodził żaden dźwięk.

– Tylko nie zacznij wołać, że przychodzisz go uwolnić – powiedziałam do Topaz. – Wiesz, jaki on jest, gdy się go nagle zbudzi.

– Jeżeli się w ogóle zbudzi!

Miałam ochotę ją uderzyć – trochę dlatego, że była w swoim najgorszym wydaniu, a trochę dlatego, że sama się denerwowałam. Z całą pewnością nie myślałam, że ojciec mógłby nie żyć, ale nieco się obawiałam, że mogliśmy poluzować mu klepki w głowie – bo ich stabilność była już raczej wątpliwa, zanim w ogóle zaczęliśmy.

Kiedy doszliśmy do schodów, nadal panowała kompletna cisza.

– Daj mi klucz – szepnęła Topaz do Thomasa. – Sama chcę stawić temu czoło.

– Jak nie będziesz ostrożna, to stawisz temu czoło, lecąc piętnaście stóp w dół – odrzekł Thomas. – Najpierw my z Cassandrą otworzymy drzwi i ustawimy drabinę, a potem będziesz mogła zstąpić jak anioł opiekuńczy.

Idea anioła opiekuńczego bardzo jej się spodobała.

– Dobrze, ale pozwólcie, żeby mnie pierwszą zobaczył.

– Zrób to jak najciszej – szepnęłam do Thomasa, kiedy braliśmy drabinę. – Chciałabym popatrzeć na niego, zanim się obudzi. Pożyczyłam latarkę od Simona.

Udało nam się bezszelestnie otworzyć drzwi, po czym poświeciłam

latarką w ciemność na dole.

Ojciec leżał na łóżku – tak nieruchomo, że przez moment poczułam przerażenie. Ale jego krótkie chrapnięcie mnie uspokoiło. Osobliwie to wszystko wyglądało tam na dole. W świetle latarki wysokie, pozbawione słońca chwasty były białe jak szkielety liści. Nogi starego żelaznego łóżka dziwnie odstawały – widocznie łóżko ledwie wytrzymało ciężar ojca. Obok stał rozłożony parasol; pomyślałam, że umysł ojca musi być w porządku, skoro był on zdolny do takiej przezorności. I humor poprawił mi się jeszcze bardziej, kiedy skierowałam światło latarki na stół. Oprócz dużego stosu czystych kartek papieru były tam cztery małe stosiki, starannie przyciśnięte kamieniami.

Po cichutku ustawiliśmy z Thomasem drabinę. Topaz była tuż za nami i po prostu wyrwała się, by iść na dół. Musiała oczywiście schodzić tyłem, co było zupełnie niestosowne dla anioła opiekuńczego, ale nadrobiła to, kiedy dostała się już na dół. Trzymając latarnię jak najwyżej, krzyknęła: „Mortmain, przyszedłam cię uratować! To ja, Topaz! Nic ci już nie grozi!”. Ojciec poderwał się, usiadł i z trudem wykrztusił: „Wielki Boże! Co się dzieje?”. Topaz zapikowała na niego i łóżko załamało się z hukiem, a głowa i nogi ojca prawie zetknęły się nad tym wszystkim.

Dusząc się ze śmiechu, czym prędzej wymknęliśmy się na zewnątrz. Wciąż jednak słyszeliśmy z dołu fantastyczny harmider: ojciec klął, wydawał jakieś dziwne dźwięki i śmiał się równocześnie, a Topaz gaworzyła basem.

– Może lepiej zostawcie ich na trochę samych? – odezwał się Simon.

– Tak, pozwólmy jej wyrzucić z siebie najgorsze komedianstwo – powiedziałam do Thomasa.

Czekaliśmy na dziedzińcu, aż zobaczyliśmy, że latarnia wędruje w dół kopca. Simon taktownie uznał, że lepiej, by go nie widziano, i poszedł poczekać w samochodzie.

– Czy my też znikamy? – zapytał Thomas.

– Nie, przebrnijmy już od razu przez to spotkanie.

Pobiegliśmy w ich stronę, gdy przechodzili przez most. Topaz trzymała ojca pod rękę, słyszałam, jak mówi: „Oprzyj się o mnie, Mortmain, oprzyj się” – jak mały lord Fauntleroy do swego dziadka.

– Dobrze się masz, ojczu? – zawołałam pogodnie.

– Moi drodzy młodzi strażnicy więzienni – powiedział ojciec, najwyraźniej wyczerpany. – Tak, myślę, że przeżyję... jeżeli Topaz przestanie traktować mnie, jakbym był oboma naraz Małymi Książętami w twierdzy Tower²⁰.

Kiedy wszedł do kuchni, Topaz została trochę w tyle, złapała mnie za ramię i wykonała jedną ze swoich najbardziej uroczych przemian w realistkę.

– Biegnij tam z powrotem i zobacz, co on napisał – szepnęła. Pognaliśmy z Thomasem w górę kopca; na szczęście jeszcze miałam latarkę Simona.

– Boże, co za ekscytująca chwila – odezwałam się, kiedy stanęliśmy przy wiejskim stole. – Może pewnego dnia opiszę to w biografii ojca.

Thomas zdjął kamień z pierwszego stosiku kartek.

– Zobacz, to jest początek – powiedział, kiedy latarka oświetliła duży nagłówek: „Część A”.

Odłożył gwałtownie pierwszą kartkę i wydał stłumiony okrzyk zdumienia.

Cała następna kartka była zapisana dużymi drukowanymi literami – nieforemnymi, takimi jakie stawia dziecko uczące się pisać. Przesuwałam latarkę wzdłuż linijek i oto, co czytaliśmy: NA KOCYKU SIEDZIAŁ KOT. NA KOCYKU SIEDZIAŁ KOT. NA KOCYKU SIEDZIAŁ KOT... i tak dalej, i dalej, do końca strony.

– Och, Thomas! – jęknęłam. – Doprowadziliśmy go do szaleństwa.

– Bzdura. Słyszałaś, jak przytomnie rozmawiał.

– No, może przychodzi do siebie, ale... nie widzisz, co się stało? – Nagle to do mnie wróciło. – Nie pamiętasz, co krzyczałam do niego przez drzwi, kiedy byłam taka przerażona? „Pisz cokolwiek, choćby «na kocyku siedział kot»”. I to właśnie napisał!

Thomas oglądał następne kartki. Czytaliśmy: KOT UGRYZŁ

DUŻEGO, TŁUSTEGO SZCZURA²¹ i tak dalej, ciągle wielkimi drukowanymi literami.

– Zaczął dziecinnieć – załkałam. – I my się do tego przyczyniliśmy.

– Zobacz, tu już jest lepiej – powiedział Thomas. – Wyraźnie dorośleje. – Ujrzeliśmy normalne pismo ojca w najstaranniejszym, eleganckim wydaniu. – Ale co to ma być, do licha... O Boże, on układa zagadki!

Był tam łatwy akrostych, rebus, parę strofek z ukrytymi imionami zwierząt – różne rodzaje dziecięcych zagadek ze starego czasopisma „Little Folks”. Potem była strona prostych zgadywanek. Na ostatniej kartce ojciec napisał:

Do sprawdzenia Stare zeszyty Przykłady
Encyklopedia dla dzieci
Układanki
Zabawki w London Museum

– To jest całkiem przytomne – zauważył Thomas. – Mówię ci, że to coś znaczy.

Ale ja mu nie wierzyłam. Och, otrząsnęłam się z pierwszego strachu, że ojciec postradał zmysły; uznałam jednak, że te dziecinne bzdury to było coś dla zabicia czasu – tak jak jego zabawa, w którą gra przy użyciu encyklopedii.

Thomas zdjął kamień z pliku kartek z nagłówkiem „Część B”.

– No, tu nie ma nic dziecinnego – powiedział po paru sekundach. – Tyle że ani w ząb tego nie rozumiem.

Było tam mnóstwo ponumerowanych zdań, każde na dwie albo trzy linijki. Z początku myślałam, że to poezja: piękne kombinacje słów, i chociaż były zagadkowe, czułam, że jest w nich ukryte jakieś znaczenie. A po chwili moja świeżo narodzona nadzieja nagle umarła.

– To są hasła do krzyżówek – powiedziałam z niesmakiem. – On się po prostu zabawiał... nie mam zamiaru więcej tego czytać.

Nagle przyszło mi do głowy, że jeżeli nie wrócę szybko do zamku, to mogę nie zobaczyć Simona przed jego odjazdem.

– Wracaj z tą latarką! – krzyknął Thomas, gdy zaczęłam wchodzić po drabinie. – Ja stąd nie wyjdę, dopóki nie przejrzę wszystkiego, co napisał. – Nie zatrzymałam się, więc wyrwał mi latarkę z ręki. Kiedy dotarłam do końca drabiny, zawołał do mnie: – Powinnaś zobaczyć część C: pełno tu wykresów pokazujących odległości między różnymi miejscami. I narysował ptaka, któremu z dziobka wychodzą słowa.

– To gołąb pocztowy – parsknęłam drwiąco. – Niedługo pewnie znajdziesz torbę podróżną z perskiego dywanika i talerz w białoniebieski wzór.

Odkrzyknął, że jestem jak ojciec Harry’ego, kpiący z *Bojów Jakuba*.

– W tym wszystkim coś jest, bez wątpienia – dodał.

Ale ja nadal w to nie wierzyłam. Zresztą w tej chwili było mi to zupełnie obojętne. Moja cała uwaga skupiła się na Simonie.

Topaz przybiegła z sypialni na górze, kiedy wchodziłam do kuchni.

– Można rozmawiać, Mortmain poszedł się kąpać – oznajmiła. – Och, czy to nie cudowne, że zaczął pracować? Co znaleźliście?

Bardzo nie chciałam jej rozczarować, więc przyznałam, że Thomas może mieć rację, a ja mogę się mylić. Ale kiedy wspomniałam o krzyżówce, podupała na duchu.

– Co prawda jestem przekonana, że on myśli, że faktycznie pracuje – odezwała się zgnębiona. – Na pewno ma mętlik w głowie po tym wszystkim, co przeszedł. Chcę ci parę rzeczy powiedzieć, moja panno, ale teraz nie ma na to czasu; musimy coś zrobić z Simonem. Cassandro, czy pojedziesz z nim zamiast mnie? Wtedy będę mogła zostać z Mortmainem. Nie chcę, żeby się dowiedział o Rose, dopóki trochę nie odpocznie; teraz nawet nie wie, że Simon jest tutaj.

Serce mi podskoczyło.

– Tak, oczywiście, że pojedę.

– I na litość boską, zrób coś, żeby Rose nabrała rozumu. Powiedziałam Simonowi, że wolałabym, żebyś ty pojechała, i uznał, że to dobry pomysł... możesz mieć na nią lepszy wpływ. Czeka w samochodzie.

Pobiegłam na górę, by się przygotować. To był najbardziej niegodziwy moment w moim życiu, bo mimo że nie udało nam się z ojcem i mimo cierpienia, które widziałam na twarzy Simona, byłam nieprzytomnie szczęśliwa. Rose go zostawiła, a ja miałam z nim jechać na spotkanie świtu.

Było jeszcze ciemno, gdy biegłam do samochodu, choć na niebie pojawiały się pierzaste chmury i gwiazdy zaczynały już blednąć. Kiedy przechodziłam przez most, usłyszałam, jak Heloiza wyje w pokoju wartowni, gdzie ją zostawiliśmy w zamknięciu. Stała na biurku ojca i przyciskała swój długi pysk do ciemnego okna. Jej widok przypomniiał mi, że zostawiłam pamiętnik na biurku, ale na szczęście przyszła Topaz z kanapkami i obiecała mi, że go schowa i że nie będzie próbowała czytać moich stenograficznych zapisków.

– Ucałuj ojca i powiedz mu, że mieliśmy najlepsze intencje – dodałam.

Byłam tak szczęśliwa, że chciałam być dobra dla całego świata. Potem wyruszyliśmy – minęliśmy stodołę, gdzie kiedyś podsłuchiłam Simona, skrzyżowanie, gdzie cytowaliśmy wiersze w dniu pierwszego maja, błonia, gdzie kiedyś liczyliśmy zapachy. Gdy przejeżdżaliśmy pod kasztanem przed gospodą, poczułam ukłucie w sercu. Czy Simon pamięta włosy Rose na tle liści tego kasztana? „Och, ja mu to zrekompensuję – obiecałam sobie. – Przysięgam, że to zrobię, teraz, jak mi już wolno”.

Na początku rozmawialiśmy trochę o ojcu. Simon nie chciał wierzyć, że to, co znaleźliśmy z Thomasem, rzeczywiście nie miało sensu; powiedział, że musiałby sam zobaczyć.

– Chociaż to, co mówisz, brzmi bardzo dziwacznie – przyznał. Potem zamilkł. Byliśmy parę mil za Godsend, kiedy spytał: – Czy wiedziałaś, co Rose do mnie czuje?

Tak długo zastanawiałam się, co odpowiedzieć, że dodałam:

– Nieważne. Nie powinienem cię o to pytać.

– Simon... – zaczęłam, ale mi przerwał.

– Chyba wolałbym o tym nie rozmawiać, dopóki nie będę pewny, co ona tak naprawdę myśli.

Potem zapytał, czy jest mi dość ciepło, czy może ma opuścić dach; kiedy wyjeżdżali z Londynu, było gorąco i Topaz chciała, żeby był podniesiony. Powiedziałam, że ja też tak wolę. Powietrze było świeże i rześkie, ale nie zimne.

To było dziwne uczucie jechać tak przez śpiące wioski – przy każdej z nich samochód wydawał się bardziej hałaśliwy, a reflektory bardziej oślepiające. Zauważyłam, że Simon zawsze zwalniał; jestem pewna, że inni mężczyźni, czując się tak, jak on się czuł, gnaliby jak wściekli. W jakimś wiejskim domu widać było zapaloną świecę za rombami szybek w oknie na piętrze, a przed drzwiami stał samochód.

– Może tam jest lekarz – powiedziałam.

– Ktoś umiera albo się rodzi, być może – rzekł Simon. Stopniowo niebo robiło się coraz bledsze, aż stało się podobne do widzianego z daleka dymu. Nie było żadnych kolorów. Wiejskie domy wyglądały jak rysunek kredą na szarym papierze. Wydawało się, że to raczej zmierzch niż świt, a właściwie nie należało to do żadnej pory dnia ani nocy. Kiedy podzieliłam się tymi wrażeniami z Simonem, odpowiedział, że zawsze myśli o tej porze przed świtem jak o świetle w stanie zawieszenia.

Chwilę potem zatrzymał się, żeby popatrzeć na mapę. Wszędzie dookoła nas, za rowami bez żywopłotów, były podmokłe łąki spowite mgłą i usiane wierzbami, z których sterczały kikuty konarów. Gdzieś bardzo daleko piał kogut.

– Szkoda, że nie ma ładniejszego wschodu słońca dla ciebie – odezwał się Simon.

Ale żaden wschód słońca w moim życiu nie był piękniejszy od tego – kiedy stopniowo szara mgła zmieniała się w złoty blask.

– To naprawdę nadzwyczajne – rzekł Simon, rozglądając się wokół. – I właściwie wcale nie widać słońca.

Powiedziałam sobie, że to było symboliczne – że nie mógł jeszcze dostrzec, jak szczęśliwym uczynię go pewnego dnia.

– Czy miałbyś ochotę na kanapkę? – spytałam.

Sądzę, że poczęstował się tylko dlatego, żeby dotrzymać mi

towarzystwa, ale gdy jedliśmy, rozmawiał całkiem naturalnie – o tym, jak trudno znaleźć słowa, by opisać opalizującą mgłę, i dlaczego człowiek pragnie opisać piękno.

– Może w ten sposób próbuje nim zawładnąć – wtrąciłam.

– Lub mu się poddać; a może w istocie to jedno i to samo. Myślę, że jest to całkowite utożsamienie się z pięknem, którego każdy z nas poszukuje.

Mgła stawała się coraz jaśniejsza. Mogłabym patrzeć na to bez końca, ale Simon, ukrywszy starannie papier śniadaniowy w rowie, ruszył dalej.

Wkrótce zapachniało morzem. Mgła nad słonymi błotami była zbyt gęsta, by wschodzące słońce mogło się przez nią przebić, ale jej biel była oślepiająca. Czułam się, jakbyśmy pokonywali tunel w chmurach.

– Jesteś pewna, że to tutaj byliśmy na pikniku? – spytał Simon, gdy jechaliśmy główną ulicą. – Wygląda jakoś inaczej.

Powiedziałam, że to przez atmosferę lata i wakacji. Wtedy, w maju, wieś robiła wrażenie, jakby była położona w głębi łądu; teraz dziecięce wiaderka i łopatki oraz sieci na krewetki znajdowały się koło drzwi na zewnątrz domów, a na parapetach wisiły kostiumy kąpielowe. Nagle zapragnęłam być dzieckiem budzącym się w obcej sypialni, mającym przed sobą dzień na piaszczystej plaży – chociaż, Bóg mi świadkiem, w tej właśnie chwili nie zamieniłabym się miejscami z nikim na świecie.

Na głównej ulicy nie widzieliśmy ani żywej duszy, ale frontowe drzwi jedyne go hotelu były otwarte i sprzątaczką szorowała hol. Pozwoliła nam zajrzeć do księgi gości.

Nie było tam nazwiska Rose.

– Lepiej poczekajmy, aż ludzie wstaną, i wtedy sprawdzimy każdy dom we wsi – powiedziałam.

– Myślę, że może być Pod Łabędziem – odezwała się sprzątaczką.

– To nie jest tak naprawdę hotel, ale wynajmują tam jeden czy dwa pokoje.

Pamiętałam to miejsce z naszego pikniku: taka maleńka gospoda

nad samym morzem, około mili od brzegu, ale nie wyobrażałam sobie, żeby Rose mogła się tam zatrzymać.

– Możemy sprawdzić, zanim wieś się obudzi – rzekł Simon. Pojechaliśmy pustą nadbrzeżną drogą. Nad morzem nie było mgły, wszystko wokół lśniło bladym złotem i panował taki spokój, że zdawało się, jakby fale ledwie mogły dopłynąć do brzegu i pozostawić na piasku koronkową warstewkę piany.

– Popatrz! To tam mieliśmy nasze *barbecue*! – zawołałam.

Simon tylko skinął głową, a ja żałowałam, że się odezwałam. To nie był moment, żeby mu przypominać tamten szczęśliwy dzień.

Z daleka widzieliśmy gospodę Pod Łabędziem, bo to był jedyny budynek przed nami; taka stareńka gospoda podobna jak Pod Kluczami w Godsend, chociaż jeszcze mniejsza i bardziej prymitywna. Okna błyszcząły, odbijając poranne słońce.

Simon podjechał pod same drzwi.

– Ktoś już tam nie śpi – powiedział, patrząc w górę.

W pokoju pod dachem było otwarte okno – nadzwyczaj podobne do okna w gospodzie Pod Kluczami. Przypłynął do nas dźwięk dziewczęcego głosu śpiewającego *Wczesnie pewnego ranka*.

– To Rose! – szepnęłam.

Simon spojrział na mnie zdziwiony.

– Jesteś pewna?

– Najzupełniej.

– Nie miałem pojęcia, że potrafi tak śpiewać.

Siedział, słuchając, a oczy mu nagle rozbłysły. Po kilku sekundach przestała śpiewać słowa i tylko nuciła melodię. Słyszałam, jak się porusza po pokoju, otwiera i zamyka szufladę.

– Na pewno nie mogłaby tak śpiewać, gdyby nie była szczęśliwa – rzekł Simon.

Zmusiłam się, żeby powiedzieć:

– Być może wszystko jest w porządku, może to tylko nerwy, jak mówiła Topaz. Czy mam do niej zawołać?

Zanim Simon zdążył się odezwać, usłyszeliśmy pukanie do drzwi tamtego pokoju, a potem męski głos:

– Dzień dobry! Czy jesteś gotowa, żeby iść się kąpać?

Simon wziął gwałtowny oddech. W następnej chwili włączył silnik i ostro ruszył przed siebie.

– Ale co to znaczy? – zawołałam. – Przecież to Neil! Simon kiwnął głową.

– Nie mów nic przez chwilę.

Po paru minutach zatrzymał samochód i zapalił papierosa.

– W porządku, nie patrz z taką udręką – powiedział. – Teraz czuję, jakbym to zawsze wiedział.

– Ależ Simon, oni się nienawidzą!

– Tak by się wydawało, prawda? – rzucił ponuro.

Jechaliśmy przed siebie tak długo, aż znaleźliśmy inną drogę, którą mogliśmy wrócić, nie przejeżdżając koło tamtej gospody. Simon nie był specjalnie rozmowny, ale powiedział mi, że na początku Rose podobała się Neilowi.

– Potem uznał, że jest pretensjonalna i wyrachowana, tak przynajmniej mówił. Wmawiałem sobie, że jest urażony, ponieważ ona wybrała mnie... tak jak sobie wmawiałem, że naprawdę jej na mnie zależało; to znaczy tak było na początku. Ale już od paru tygodni nękały mnie wątpliwości, choć liczyłem też na to, że sprawy jakoś się ułożą, kiedy się pobierzemy. Bóg mi świadkiem, nie miałem najmniejszego pojęcia, że jest zakochana w Neilu, a Neil w niej. Mogli uczciwie się przyznać. To wszystko jest niepodobne do Neila.

– Nie przypuszczałabym, że to może być podobne do Rose – powiedziałam żałośnie.

Wracaliśmy do domu w pełnym blasku poranka. Mijane wsie budziły się do życia i wszędzie wesoło czekały psy. Jeszcze parę smug mgły unosiło się w powietrzu nad podmokłymi łąkami, gdzie oglądaliśmy zamglony wschód słońca. Właśnie tam przypomniałam sobie, jak chciałam sprawić, żeby Simon był szczęśliwy. Nie czułam się tą samą osobą. Bo teraz wiedziałam, że nabijałam sobie głowę głupimi mrzonkami, że nigdy nie będę mogła znaczyć dla niego tyle, ile znaczyła Rose. Myślę, że pierwszy raz zdałam sobie z tego

sprawę, obserwując jego twarz, kiedy słuchał jej śpiewu, a potem coraz bardziej i bardziej, gdy opowiadał mi o tej całej nieszczęsnej historii – nie z gniewem czy goryczą, lecz całkiem spokojnie i bez jednego złego słowa o Rose. Ale najwyraźniej docierało to do mnie z powodu zmiany we mnie samej. Być może patrząc na cierpienie kogoś, kogo się kocha, człowiek uczy się więcej, niż gdyby sam cierpiał.

Czułam teraz, że z całego serca – i dla spokoju mojego serca, jak i jego – oddałabym mu Rose, gdybym tylko mogła.

Teraz jest październik.

Jestem na kopcu, blisko kręgu z kamieni. Leży tam jeszcze parę kawałków zwęglonego drewna, które zostały po moim ognisku w noc świętojańską.

Popołudnie jest cudowne, złote, bezwietrzne, chociaż dość chłodne. Ale mam na sobie selskinowy żakiet cioci Millicent, cudownie ciepły, a do siedzenia – stary pled podróżny ojca. On używa obecnie dużej szuby z niedźwiedziego futra. W taki czy inny sposób wszystkie futra cioci Millicent znalazły w końcu właściwe zastosowanie.

Wszystkie pola pszenicy są już rżyskami o barwie sznurka. Jedyłą plamę żywszego koloru tworzą krzewy trzmieliny w dole, przy drodze do zamku. Koło farmy Four Stones widać pana Stebbinsa i jego konie przy orce. Niedługo będziemy otoczeni tym, co Rose nazywała morzem błota.

Dziś rano dostałam od niej list.

Ona i Neil przejechali samochodem całą Amerykę i są teraz na kalifornijskiej pustyni, która ma niewiele wspólnego z tym, jak ja wyobrażam sobie pustynię; Rose pisze, że nie ma tam wielbłądów, a na ranczu są trzy łazienki. Jest absolutnie szczęśliwa – poza tym, że jej ślubna wyprawa okazała się mitycznym skarbem, zupełnie nieprzydatnym w życiu. Tam są jej potrzebne tylko spodnie i szorty, których w wyprawie nie było. Ale Neil ma ją zabrać do Beverly Hills, żeby mogła potańczyć w swoich wieczorowych sukniach.

Żałuję, że czuję jeszcze w sobie tak ogromny gniew na nią; to nie

w porządku z mojej strony, bo przecież oficjalnie jej wybaczyłam. No i nie uciekła z Neilem tak bez słowa. Neil wyjaśnił wszystko Simonowi w liście, który zostawił na stole w holu razem z wiadomością od Rose, ale list zawieruszył się wśród popołudniowej poczty. Simon nawet nie pomyślał o otwieraniu czegokolwiek po tym, jak znalazł wiadomość od Rose.

Tylko raz widziałam się z nią sam na sam przed jej wyjazdem do Ameryki. Było to w ten okropny dzień, kiedy wszyscy przybyliśmy do mieszkania pani Cotton i cała sytuacja została załagodzona. Najpierw pani Cotton przeprowadziła rozmowę z Rose i z Neilem, by udzielić im przebaczenia, a potem Simon rozmawiał z każdym z nich osobno, by też im wybaczyć. Pani Cotton zapytała ojca, czy chciałby pomówić z Rose na osobności, ale on odparł: „Wielki Boże, nie! Nie rozumiem, dlaczego Simon znosi ten cały horror”. Pani Cotton powiedziała: „Należy być cywilizowanym” – na co ojciec tak gniewnie prychnął, że Topaz ostrzegawczo złapała go za ramię.

Potem wszyscy wzięliśmy udział w konwencjonalnym lunchu z szampanem. Przyszedł też Stephen – był w bardzo dobrze skrojonym garniturze i naprawdę wyglądał olśniewająco przystojnie. Podając mu rękę, Rose powiedziała: „Będę ci do końca życia wdzięczna”.

Nie rozumiałam, co miała na myśli, aż do chwili, kiedy później zostałam z nią sama, pomagając jej się pakować. Wyjaśniła mi wtedy, że Stephen poszedł do Neila do hotelu i powiedział mu jasno i wyraźnie, że ona nie kocha Simona. Neil chyba mi uwierzył, jak do niego napisałam, że Rose naprawdę Simona kocha; w efekcie Neil wcale się z nią nie widywał, gdy była w Londynie. Ale po rozmowie ze Stephenem udał się do mieszkania matki i wprost zapytał o to Rose.

– I wiesz, jak to było? Czy pamiętasz, jak wróciłam do domu po szkarlatynie i przytuliłyśmy się mocno, mocno, nie mogąc wykrztusić ani słowa? To było właśnie tak, tylko jeszcze milion razy silniej. Myślałam, że nigdy nie przestaniemy trzymać się

w objęciach. Wyszłabym za niego nawet, jakby nie miał ani pensa, i zrobiłabym to już wiele tygodni temu, gdyby tylko dał mi szansę. Widzisz, ja nie wiedziałam, że jemu na mnie zależy.

– Ale skąd Stephen o tym wiedział?

– No, miał podstawy przypuszczać, że Neil jest mną zainteresowany – odrzekła Rose i roześmiała się w swój najmilszy sposób. – Pamiętasz ten wieczór, kiedy wzięli mnie za niedźwiedzia i uderzyłam Neila w twarz? Po tym, jak mnie zaniósł przez tory na pole za stacją i postawił już na ziemi, powiedział: „To za ten policzek”, i pocałował mnie. A Stephen to widział.

Więc to było to, co przemilczała, kiedy rozmawialiśmy tamtego wieczoru, leżąc już w łózkach! Czułam wtedy, że coś przede mną ukrywa, a potem całkiem o tym zapomniałam.

– Ale tylko dlatego, że widział, jak Neil cię raz pocałował... – zaczęłam.

– To było więcej niż raz, to było wiele razy. I to było cudowne. Ale uważałam, że należy mu się kara za to, co mówił na mój temat, kiedy go usłyszałaś na ścieżce koło stodoły, i za to, że śmiał mnie tak całować... mimo że mi się to podobało. Poza tym to nie on był ten bogaty. Jednak... szczerze, Cassandro, nie sądzę, że to by mi przeszkadzało, gdyby on chociaż raz pokazał, że naprawdę go obchodzę. Ale nigdy tego nie zrobił... nigdy więcej nie był dla mnie miły, zawsze zachowywał się niegrzecznie i wstrętne; bo myślał, że poluję na Simona, co z całą pewnością było prawdą. I kiedy Simon mnie pocałował, też wydawało mi się to w jakiś sposób cudowne... naprawdę nie można sądzić po pocałunkach... więc byłam zdeorientowana. Ale nie trwało to długo.

Och, tyle rzeczy mi się przypomniało! Zobaczyłam, jak Rose starała się rozbudzić w sobie nienawiść do Neila – jej niechęć do niego zawsze wydawała się przesadzona. Przypomniałam sobie, jak szybko powiedziała Simonowi, żeby go sprowadził do mieszkania pani Cotton tego wieczoru, kiedy ja tam byłam, jak go poprosiła, żeby z nią zatańczył, jak przygnębiona była, gdy wrócili do rozświetlonego korytarza koło sali tanecznej. I oczywiście, gniew

Neila w zaręczynowy wieczór był w dużej mierze spowodowany zazdrością!

Tamtego ranka wyszli z mieszkania pani Cotton, mając nadzieję, że natychmiast wezmą ślub...

– Neil mówił, że można tak zrobić w Ameryce – ciągnęła Rose. – Ale szybko dowiedzieliśmy się, że tutaj nie można. Wybraliśmy to miejsce, bo Neil powiedział, że wtedy podczas pikniku ostatni raz widział mnie zachowującą się po ludzku. No i naturalnie, kochanie, tak naprawdę tobie powinnam podziękować za wszystko, bo jestem pewna, że Stephen poszedł do Neila tylko z twego powodu. Powiedział Neilowi, że ty jesteś tą właściwą dla Simona... przypuszczam, że Stephen odgadł, że jesteś w nim zakochana, i próbował ci pomóc.

Och, mój drogi, drogi Stephenie, czy kiedyś zdołam ci się odwdzińczyć za taką bezinteresowność? Jednak szczęście, które chciałeś zdobyć dla mnie, nigdy nie stanie się moim udziałem.

– I oczywiście teraz wszystko dobrze się ułoży – trąkotała dalej Rose. – Jak Simon dojdzie trochę do siebie po rozstaniu ze mną, będziesz mogła go sobie zdobyć.

– Sądziłam, że już wyrosłaś z mówienia o zdobywaniu mężczyzn – rzuciłam chłodno.

Zarumieniła się.

– Nie to miałam na myśli, wiesz przecież. Mam nadzieję, że on się naprawdę w tobie zakocha. Już bardzo cię lubi, nawet dziś o tym wspomniał.

Uderzyła mnie straszliwa myśl.

– Rose... och, Rose! – zawołałam. – Ty mu chyba nie powiedziałaś, że jestem w nim zakochana?

Przysięgła mi, że nie.

Ale obawiam się, że jednak powiedziała. Jest ostatnio taki uważający – zawsze był, ale teraz jego życzliwość wydaje się zamierzona. Albo może tylko to sobie wyobrażam? Wiem, że właśnie przez to prawie nie mogę znieść spotkań z nim; choć z kolei wymaga dużej determinacji to, żeby go nie widywać, skoro prawie

codziennie przychodzi porozmawiać z ojcem. W tej chwili też są razem w wartowni.

Okazuje się, że całkowicie myliłam się co do ojca. Okazuje się, że to bardzo inteligentne zacząć książkę od napisania dziewiętnaście razy NA KOCYKU SIEDZIAŁ KOT.

Przestań natychmiast, Cassandro Mortmain. Ciągłe czujesz irytację, że to właśnie Thomas odgadł, że to, co znaleźliśmy w wieży, nie było tylko bzdurą. Próbujesz usprawiedliwić swoją głupotę – i to była głupota, zważywszy na to, że ojciec ci jasno powiedział, że wszystkie jego dziwactwa mają jakieś znaczenie. I książka wcale nie zaczyna się od dziewiętnastu kotów na kocyku; w wersji poprawionej jest ich tylko siedem. I istnieje dla nich zupełnie logiczne wytłumaczenie, uważa Thomas, bystry chłopiec. One podobno mają się znajdować w umyśle dziecka, które uczy się czytać i pisać.

Czy ja jestem okropnie głupia? Czy jestem staroświecka? Czy tak naprawdę jestem jak ojciec Harry'ego, który kpi z *Bojów Jakuba*? Och, dostrzegam przecież, że zagadki i łamigłówki mojego ojca są pomysłowe same w sobie, że język, jakim je tworzy, wywołuje piękne obrazy; ale dlaczego uważa się, że są czymś więcej niż zagadkami i łamigłówkami?

Thomas i ja służyliśmy za króliki doświadczalne przy pierwszych czterech częściach, kiedy ojciec całkowicie przerabiał tekst; jest w nich teraz o wiele więcej niż wtedy, kiedy znaleźliśmy je dwa miesiące temu. Ja naprawdę się starałam. Dziecięce łamigłówki rozwiązałam z łatwością. Udało mi się też rozwiązać krzyżówkę, ale nie mogę powiedzieć, że mi się podobała, bo wszystkie hasła były związane z koszmarami i strachem. Potraktowałam gołębia pocztowego z największym szacunkiem (to bohater komiksu zatytułowanego *Życie gołębia*). Nawet przekopałam się przez większość części D, która jest nowym rodzajem łamigłówki wynalezionej przez ojca, składającej się częściowo ze słów, częściowo z kształtów i wzorów, przy czym każde hasło prowadzi coraz bardziej wstecz, w przeszłość. Ale nie mogłam się doszukać

żadnego znaczenia w tym wszystkim – w przeciwieństwie do Thomasa, chociaż przyznał, że nie potrafi wyrazić swych odczuć słowami.

Ojciec powiedział: „Gdybyś potrafił, mój chłopcze, poszedłbym się utopić”. Potem wybuchnął śmiechem, bo Topaz zauważyła, że część A zawiera „wydźwięk wieczności”.

Jeżeli o mnie chodzi, to uważam, że to wszystko ma wydźwięk obłądu... STOP. Znowu mam szydercze myśli. Jestem TĘPA. Skoro Simon mówi, że ENIGMATYZM ojca jest wspaniały, no to tak jest. (Właśnie Simon nazwał to „enigmatyzmem” – i jest to bardzo dobra nazwa). Wydawcy zarówno w Anglii, jak i w Ameryce wypłacili ojcu zaliczki, chociaż cała książka może nie być gotowa jeszcze przez lata. Ale wkrótce cztery pierwsze części zostaną opublikowane w amerykańskim czasopiśmie. Może więc powinnam przestać kpić?

Gdyby tylko ojciec zechciał odpowiedzieć na parę pytań! Gdyby Thomas zechciał podrzucić jeszcze parę swoich bystrych pomysłów! (Po tym, jak mi wyjaśnił, że część A to dziecko uczące się czytać i pisać, zdecydował, że nie jest „gotowy” nic więcej powiedzieć). Topaz naturalnie głosi swoje poglądy z największą przyjemnością, ale one wcale mi nie pomagają. Jej ostatnie pomysły to „kosmiczne znaczenie” i „sferyczna głębia”.

Jedyną osobą, która mogłaby okazać się przydatna w wyjaśnieniu mi tego, jest Simon; ale nie chcę go prosić o rozmowę sam na sam, żeby nie myślał, że za nim latam. Staram się unikać spotkań z nim, chyba że jeszcze ktoś jest wtedy obecny. Często ukrywam się, dopóki nie pojedzie już z powrotem do Scoatney.

Czy mam się z nim dzisiaj spotkać? Czy mam zbiec z kopca, kiedy on wyjdzie z wartowni, i zapytać go o pracę ojca? Tak, rzeczywiście chcę tak zrobić, ale bardziej niż czegokolwiek w życiu chcę po prostu z nim być. Gdybym tylko mogła mieć pewność, że Rose nie powiedziała mu o mnie!

Poczekam do jutra. Obiecuję sobie, że jutro...

Już mi się to wymknęło spod kontroli. Popatrzyłam w dół

i zobaczyłam, jak stoi na dziedzińcu – pomachał do mnie i ruszył w stronę mostu... idź tu na górę! Och, postaram się nie być zażenowana! Łatwiej mi będzie, jeśli mocno się skoncentruję na rozmowie o ojcu.

Ileż można się dowiedzieć w godzinę!

To, o czym najbardziej chcę pisać, zdarzyło się przed samym jego odejściem. Ale jeżeli pozwolę sobie zacząć od tego, to mogę zapomnieć wcześniejsze rzeczy. A każde słowo, które powiedział, jest dla mnie bezcenne.

Siedliśmy koło siebie na podróznym pledzie ojca. Przyszedł się pożegnać: za parę dni jedzie do Ameryki – częściowo dlatego, że pani Cotton chce spędzić zimę w Nowym Jorku, a częściowo dlatego, że on sam chce tam być, gdy praca ojca zostanie opublikowana. Simon zamierza napisać o niej kilka artykułów.

– Twój ojciec mówi, że jestem jak czujny terier potrząsający szczurem – powiedział do mnie. – Ale myślę, że jest raczej zadowolony z tego potrząsania. Ważne, żeby go podzucić właściwym ludziom.

– Simon, jako prezent na pożegnanie... – zaczęłam – czy mógłbyś mi poradzić, jak mogę zrozumieć, o co mu chodzi?

Ku mojemu zdziwieniu, odrzekł, że już sam o tym myślał.

– Bo widzisz, jak ja wyjadę, ty będziesz jedyną osobą, która ma z nim bliski kontakt i potrafi to zrozumieć. Och, Thomas jest bystrym chłopcem, ale jego zainteresowanie jest dziwnie powierzchowne... w pewnym sensie jest to zainteresowanie dziecka. Uważam, że ojcu jest potrzebne twoje zainteresowanie.

Byłam zdziwiona i pochlebiło mi to.

– No, ja bardzo chętnie. Ale jeżeli on nie zechce niczego wyjaśnić... Simon, dlaczego tak jest?

– Ponieważ to jest istota zagadki, którą każdy musi sam sobie rozwiązać.

– Ale przynajmniej trzeba wiedzieć... no, jakie są zasady rozwiązywania tych zagadek.

Simon przyznał, że tu się ze mną zgadza i dlatego przekonał ojca,

żeby mu pozwolił ze mną porozmawiać.

– Czy chcesz mnie o coś zapytać?

– Oczywiście. Pierwsza rzecz: dlaczego w ogóle praca ojca musi być zagadką?

Simon roześmiał się.

– Dobrze zaczęłaś. Nikt nigdy nie będzie wiedział, dlaczego twórca tworzy w taki sposób, w jaki tworzy. W każdym razie twój ojciec miał bardzo wybitnego poprzednika. Bóg sprawił, że wszechświat jest zagadką.

– I to bardzo dezorientuje wszystkich. Nie rozumiem, dlaczego ojciec musi Go kopiować.

Simon odrzekł, że jego zdaniem każdy twórczy artysta tak robi i że być może każda ludzka istota jest potencjalnie twórcza.

– Myślę, że jednym z celów twojego ojca jest pobudzenie tej potencjalnej kreatywności: sprawienie, żeby ci, którzy studiują jego pracę, brali udział w jej rzeczywistym tworzeniu. Oczywiście, on postrzega twórczość jako odkrycie. Chcę powiedzieć, że wszystko zostało już stworzone przez pierwotną przyczynę... nazwij to Bogiem, jak chcesz; wszystko już istnieje i tylko trzeba to znaleźć. – Chyba musiał zauważyć, że jestem trochę oszołomiona, bo przerwał i dodał po chwili: – Nie wyrażam tego jasno, poczekaj, daj mi minutę.

Zastanawiał się, zamknąwszy oczy, tak jak wtedy, pierwszego maja; odważyłam się tylko raz szybko zerknąć na jego twarz. Usiłowałam ukryć swoje najgłębsze uczucia – nie pozwoliłam nawet, żeby dotarło do mnie, że on wyjeżdża. Będzie dość czasu, żeby zdać sobie z tego sprawę, gdy już wyjedzie.

– Myślę – odezwał się wreszcie – że twój ojciec uważa, iż zainteresowanie tak wielu ludzi łamigłówkami, które często zaczyna się w dzieciństwie, znaczy coś więcej niż tylko pragnienie rozrywki; że może nawet brać się z odwiecznej ciekawości człowieka dotyczącej jego pochodzenia. W każdym razie wymaga to użycia pewnych zdolności do postępującego, narastającego poszukiwania, czego nie daje żadne inne intelektualne ćwiczenie. Twój ojciec chce

przekazać swoje idee poprzez te zdolności.

Poprosiłam go, żeby to powtórzył wolniej. I nagle zrozumiałam – och, zrozumiałam doskonale!

– Ale jak to funkcjonuje? – zawołałam.

Powiedział, żebym pomyślała o krzyżówce – o setkach obrazów, które pojawiają się w umyśle, kiedy się ją rozwiązuje.

– W krzyżówkach twojego ojca całość obrazów dopełnia znaczenie idei, które chce on przekazać. A całość wszystkich części jego książki, wszystkie zagadki, zadania, wzorce, sekwencje... zdaje się, że będzie tam również część detektywistyczna... wszystko to dopełnia jego filozofię tworzenia przez poszukiwanie.

– A co do tego mają te koty na kocyku? – zapytałam z lekką ironią. Wyjaśnił, że koty pomagają wprowadzić nastrój.

– Wyobraź sobie, że jesteś dzieckiem poznającym pierwsze zagadkowe symbole w życiu: litery alfabetu. Pomyśl o literach, jak to było, zanim je rozumiałaś, potem o literach, jak stają się słowami, potem o słowach, jak stają się obrazami w umyśle... Dlaczego wyglądasz na taką zmartwioną? Czy męcę ci w głowie?

– Nie, nie – odparłam. – Doskonale rozumiem, co mówisz. Ale... och, Simon, żywię taką urazę do ojca! Dlaczego musi to wszystko tak komplikować? Dlaczego nie może jasno powiedzieć tego, co ma na myśli?

– Bo jest bardzo wiele spraw, których nie można wyrazić jasno. Spróbuj jasno opisać, co to jest piękno, a wtedy pojmiesz, o co mi chodzi. – Dodał, że sztuka niewiele może stwierdzić, że jej jedynym celem jest wywoływanie reakcji. I że bez innowacji i eksperymentów, takich jak ojca, cała sztuka ulegnie stagnacji. – To dlatego nie można pozwolić sobie na niechęć wobec nich, chociaż uważam, że to normalne odczucie, prawdopodobnie spowodowane podświadomym strachem przed tym, czego nie rozumiemy.

Potem mówił o pewnych wielkich innowacjach, które początkowo były przyjęte z niechęcią: ostatnie kwartety Beethovena i dużo utworów współczesnej muzyki, jak też dzieła wybitnych malarzy, które teraz prawie każdy podziwia. W literaturze nie ma tak wielu

innowacji jak w innych sztukach, zaznaczył, i dlatego właśnie tym bardziej należy dodać ojcu otuchy.

– Wobec tego będę dodawać mu otuchy, jak tylko potrafię – powiedziałam. – Nawet jeżeli ciągle jeszcze żywię do niego pewną urazę, spróbuję ją ukryć.

– Nie będziesz w stanie – odrzekł Simon. – I uraza sparaliżuje twoją zdolność percepcji. O Boże, jak ja mam cię przeciągnąć na jego stronę? Pomyśl... czy zawsze potrafisz w swoim pamiętniku wyrazić dokładnie to, co chcesz? Czy wszystko daje się przekazać w ładnych i precyzyjnych słowach? Czy nie uciekasz się stale do przenośni? Pierwszy człowiek, który zastosował metaforę, był ogromnym innowatorem, a teraz używamy ich, prawie nie zdając sobie z tego sprawy. W pewnym sensie cała praca twojego ojca to tylko rozszerzenie metafory.

Kiedy to powiedział, nagle przypomniałam sobie, jak trudno było mi przelać na papier to, co czułam w noc świętojańską, i jak opisałam tamten dzień, porównując go do alei wysadzonej wielkimi drzewami. Obrazy, które wtedy pojawiły się w moim umyśle, były już na zawsze związane z tamtym dniem i z Simonem. Jednak nigdy nie potrafiłam wyjaśnić, jak obraz i rzeczywistość przenikają się, w jaki sposób rozbudowują i upiększają się nawzajem. Czy ojciec próbował wyrazić rzeczy tak niewyraźne jak to...?

– Coś kliknęło w twojej głowie – odezwał się Simon. – Czy możesz to opisać słowami?

– Na pewno nie będą ładne i precyzyjne. – Starłam się mówić lekko; wspomnienie nocy świętojańskiej tak wyraźnie uświadomiło mi, że go kocham. – Ale przestałam żywić urazę. Teraz wszystko będzie dobrze. Jestem po jego stronie.

Później rozmawialiśmy o tym, co sprawiło, że ojciec zaczął znowu pisać. Przypuszczam, że nigdy się nie dowiemy, czy zamknięcie go w wieży naprawdę przyniosło jakąś korzyść.

Simon uważa, że prawdopodobnie zadziałało wszystko razem.

– Nasz przyjazd tutaj: jak wiesz, matka jest bardzo inspirująca. Mogło też pomóc jego czytanie w Scoatney. Wszędzie

porozkładałem rzeczy, które, jak miałem nadzieję, mogły go zainteresować. Jestem przekonany, że twój ojciec czuje, że to zamknięcie w wieży w jakiś sposób odblokowało go emocjonalnie; no i z całą pewnością w pełni docenia to, że kazałaś mu pisać: „Na kocyku siedział kot”. To mu pozwoliło zacząć... stąd wziął się cały pomysł dziecka uczącego się czytać.

Myślę, że najbardziej pomogło ojcu to, że stracił panowanie nad sobą. Coraz bardziej upewniam się w przekonaniu, że ten incydent z nożem do ciasta był dla niego za ostrą lekcją i zablokował go intelektualnie. Simon uważa, że to całkiem dobra teoria.

– W jakim nastroju jest teraz? – spytał.

– Nie pamiętam, żeby był kiedyś miłszy. A jak wpada w furję, jest wspaniały. Topaz jest bardzo szczęśliwa.

– Kochana Topaz! – Simon uśmiechnął się. – Jest idealną żoną dla niego teraz, kiedy on pracuje, i sam o tym wie. Ale nie wyobrażam sobie, by życie w zamku miało być dla ciebie interesujące tej zimy. W naszym mieszkaniu będzie pokojówka, gdybyś chciała się tam kiedyś zatrzymać. Jesteś pewna, że nie zdecydujesz się na college?

– Całkiem pewna. Chcę tylko pisać. A tego nie uczy żaden college... tego uczy życie.

Roześmiał się i powiedział, że jestem dla niego samą radością – czasami zbyt dojrzała jak na swój wiek, a czasami taka młodziutka.

– Wolałabym się nauczyć pisania na maszynie i prawdziwej stenografii – oznajmiłam. – Wtedy mogłabym być sekretarką jakiegoś pisarza, czekając, aż sama stanę się pisarką.

Powiedział, że Topaz to dla mnie załatwi. Wiem, że Simon zostawia Topaz pieniądze dla nas wszystkich – wyjaśnił jej, że powinna je przyjąć, by oszczędzić ojcu trosk. Och, naprawdę jest najbardziej delikatnym i szczodrym mecenasem!

– A ciebie proszę, pisz do mnie, jeżelibyś czegoś potrzebowała – dodał. – Zresztą ja niedługo wrócę.

– Ciekawa jestem.

Spojrzał na mnie szybko i zapytał, co chcę przez to powiedzieć. Żałowałam, że tak chlapnęłam. Obawiałam się, że wielka krzywda,

jaką wyrzuciła mu Rose, może go zniechęcić do zamieszkania w Anglii.

– Byłam tylko ciekawa, czy Ameryka nie wysunie roszczeń wobec ciebie – wyjaśniłam pośpiesznie.

Tak długo nie odpowiadał, że wyobraziłam sobie, że odszedł na zawsze, a w Scoatney zainstalowali się Fox-Cottonowie, którzy tak bardzo tego pragną. „Może już go nigdy nie zobaczę” – pomyślałam i nagle poczułam takie zimno, że dreszcz mnie przeszedł. Simon zauważył to, przysunął się bliżej i opatulił nas oboje pledem. I wreszcie powiedział:

– Wrócę na pewno. Nigdy nie mógłbym opuścić Scoatney. Odrzekłam, że wiem, jak bardzo je kocha.

– Bardzo, ale ze smutkiem. To trochę tak jakby kochać piękną umierającą kobietę. Wiadomo, że duch takich domów długo już nie przetrwa.

Potem rozmawialiśmy o jesieni – miał nadzieję, że zdąży ją jeszcze zobaczyć w Nowej Anglii.

– Czy jest piękniejsza od naszej? – spytałam.

– Nie. Ale mniej melancholijna. Tak wiele najpiękniejszych rzeczy w Anglii jest melancholijnych. – Przez chwilę patrzył nieruchomo na pola, po czym dodał szybko: – Nie, żebym czuł się teraz melancholijnie. Nigdy tak się nie czuję, kiedy jestem z tobą. Czy wiesz, że to jest nasza trzecia rozmowa na kopcu Belmonte?

Wiedziałam bardzo dobrze.

– Tak, zdaje się... – Usiłowałam nadać temu całkiem obojętny, zdawkowy ton.

Chyba mi się jednak nie udało, bo nagle objął mnie ramieniem.

Spokojne popołudnie wydało się jeszcze spokojniejsze, późne słońce było jak dar losu. Na całe życie zapamiętam tę chwilę ciszy.

W końcu się odezwał:

– Pragnąłbym zabrać cię ze sobą do Ameryki. Chciałabyś pojechać? Przez moment myślałam, że to była tylko żartobliwa uwaga, ale zapytał jeszcze raz: „Chciałabyś, Cassandro?”. I wtedy coś w sposobie, w jaki wymówił moje imię, sprawiło, że

zrozumiałam, że jeśli powiem „tak”, on poprosi mnie, bym wyszła za niego za męża. I nie mogłam tego zrobić, chociaż chyba teraz nie wiem tak naprawdę dlaczego.

Powiedziałam najbardziej normalnym tonem, na jaki mogłam się zdobyć:

– Gdybym już była po kursie, mogłabym pojechać jako twoja sekretarka. Choć nie wiem, czy chciałabym w tym roku opuszczać ojca na tak długo.

Myślałam, że jeżeli tak to ujmę, to nie domyśli się, że odgadłam, co mu chodziło po głowie. Ale pewnie się jednak domyślił, bo powiedział bardzo cicho:

– Och, zawsze byłaś nad wiek mądra.

Potem zaczęliśmy rozmawiać całkiem normalnie o samochodzie, który on pożycza ojcu, i o tym, że możemy odwiedzać Scoatney, kiedy tylko będziemy mieli na to ochotę. Ja sama nie mówiłam wiele – umysł zaprzętało mi głównie zastanawianie się, czy nie popełniłam okropnej pomyłki.

Kiedy wstał, żeby już wracać, otulił mnie starannie podróżnym pledem, po czym poprosił, bym wysunęła rękę.

– Tym razem nie jest zielona – zauważył, ujmując moją dłoń.

– Simon, wiesz, że bardzo chciałabym zobaczyć Amerykę, gdyby kiedykolwiek okoliczności były... no, sprzyjające.

Odwrócił moją dłoń i ją pocałował.

– Powiem ci o nich, kiedy wrócę.

A potem poszedł szybko w dół kopca. Gdy odjeżdżał naszą drogą, nagły powiew wiatru poderwał z żywopłotów i drzew brązowe liście, które wydawały się chmurą płynąć za autem.

Nie popełniłam żadnego błędu. Wiem, że kiedy był bliski tego, by poprosić mnie o rękę, działał tylko pod wpływem impulsu, tak jak wtedy, gdy mnie pocałował w noc świętojańską; takie połączenie dużej sympatii do mnie i tęsknoty za Rose. To jest część tej gry, w którą graliśmy wszyscy, godząc się na gorszy wybór – Rose z Simonem, Simon ze mną, ja ze Stephenem i Stephen pewnie z tą obrzydliwą Ledą Fox-Cotton. To nie jest najlepsza gra; ludzie,

z którymi w nią gramy, mogą zostać zranieni. Może nawet Leda została zraniona, chociaż nie mogę powiedzieć, że myśl o tym jakoś szczególnie mnie gnębi.

Ale dlaczego, och, dlaczego Simon musi ciągle jeszcze kochać Rose? Skoro ona ma tak niewiele z nim wspólnego, a ja mam tak dużo? Jakaś część mnie chce biec za nim do Scoatney i krzyczeć: „Tak, tak, tak!”. Parę godzin temu, kiedy pisałam, że nigdy nie będę wiele dla niego znaczyć, taka szansa wydawałaby mi się niebem na ziemi. I na pewno mogłabym mu ofiarować... coś w rodzaju zadowolenia?

To jednak za mało... Nie dla ofiarującego.

Zapada zmrok. Ledwie widzę, co piszę, i palce mam zimne. Jest jeszcze tylko jedna strona w moim pięknym pamiętniku oprawnym w bladoniebieską skórę, ale to akurat tyle, ile mi potrzeba. Nie zamierzam prowadzić dalej tego dziennika; wyrosłam już z chęci pisania o sobie. Dzisiaj zaczęłam tylko z poczucia obowiązku – uważałam, że powinnam zgrabnie zakończyć historię Rose. Swoją też chyba udało mi się zakończyć, chociaż tak naprawdę nie tego oczekiwałam...

Co za nedorzeczne, łzawe słowa – jest przecież Simon, wypożyczono nam samochód i możemy korzystać z mieszkania w Londynie! Stephen też ma tam teraz mieszkanie, takie maleńkie. Wędrował ze swoimi kozami tak zadowolająco, że w następnym filmie ma dostać rolę mówioną. Jeżeli zatrzymam się w mieszkaniu Cottonów, mogę czasami gdzieś z nim wyjść i być dla niego bardzo, bardzo miła, ale zdecydowanie w siostrzany sposób. Jak teraz o tym myślę, zima powinna być bardzo ekscytująca, szczególnie dlatego, że ojciec jest tak cudownie pogodny albo inspirująco gwałtowny. I przecież są tysiące osób, o których mogę pisać, a które nie są mną...

Nie ma sensu udawać, że nie płaczę, bo płaczę... Przerwa na otarcie łez. Teraz już lepiej.

A może to byłoby dosyć nudne – wyjść za mąż i prowadzić ustabilizowane życie. Kłamczucha! To by było boskie.

Zostało już tylko pół strony. Czy mam to wypełnić słowami: „Kocham cię, kocham cię” – tak jak ojciec swoimi kotami na kocyku? Nie. Nawet złamane serce nie usprawiedliwia marnowania dobrego papieru.

Na dole w kuchni widać światło. Dziś wieczorem wezmę tam kąpiel, przy grającym gramofonie od Simona. Teraz Topaz go włączyła, by przed kolacją sprowadzić ojca na ziemię – jest o wiele za głośno, ale z tej odległości brzmi wspaniale. Nastawiła *Kołysankę z Ognistego ptaka* Strawińskiego. Muzyka wydaje się mówić: „Co mam zrobić? Dokąd iść?”.

Mgła unosi się nad polami. Dlaczego letnia mgła jest romantyczna, a jesienna po prostu smutna?

Po nocy świętojańskiej też była mgła, kiedy wjeżdżaliśmy w świt. Powiedział, że wróci.

Już został tylko margines do zapisania. Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię.

20 Mali Książęta, czyli 12-letni król Edward V i jego 9-letni brat Ryszard, książę Yorku, w 1483 roku zostali przywiezieni do Tower i słuch po nich zaginął; według legendy pojawiają się tam czasami ich duchy (przyp. red.).

21 Ang.: *The cat bit the fat rat* – prosta dziecięca rymowanka (przyp. red.).

Ur ku'vt gšek

| | |
|--|------|
| Mctvc'v{ wıqy c | 4 |
| Mctvc'tgf cne{lpc | 5 |
| K' \ GU [V' \ C'U GŞĈ'RGP UŃY | 7 |
| KK | 38 |
| KKK | 54 |
| KX | 68 |
| X | 86 |
| KK' \ GU [V' \ C'LGFP GI Q'U [NKPI C | : 2 |
| XK | : 3 |
| XKK | 333 |
| XKKK | 348 |
| KZ | 374 |
| Z | 3: 5 |
| KKK' \ GU [V' \ C'FY IG'I Y KP GG | 435 |
| ZK | 436 |
| ZKK | 449 |
| ZKKK | 479 |
| ZKX | 4; 7 |
| ZX | 555 |
| ZXK | 586 |